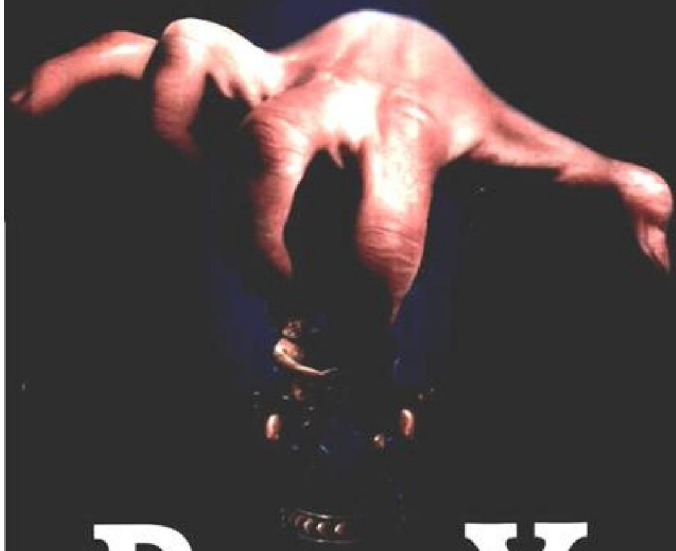


PETER
STRAUB



Pan X

Prószyński i S-ka

PETER STRAUB

Pan X

Przełożyła Maciejka Mazan

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału: MR. X

Copyright © 1999 by Peter Straub

All Rights Reserved

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Redakcja: Jacek Ring

Redakcja techniczna: Małgorzata Wnuk

Korekta: Grażyna Nawrocka

Łamanie: Małgorzata Wnuk

ISBN 83-7337-427-2 Warszawa 2003

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa,

ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Drukarnia Naukowo-Techniczna Spółka Akcyjna

03-828 Warszawa,

ul. Mińska 65

*Dla moich braci,
Johna i Gordona Straubów*

Nie mogłam oszacować siebie - Siebie -
Mój rozmiar wydał się mały - mnie samej - czytuje
pańskie Artykuły w „Atlanticu” - i doświadczyłam sza-
cunku dla Pana - byłam pewna, że nie odtrąci Pan ufne-
go pytania -
Czy to właśnie - proszę Pana - miałam Panu powie-
dzieć?

Emily Dickinson
list do Thomasa Wentwortha Higginsona
25 kwietnia 1862 roku

I

Jak wróciłem
do domu
i dlaczego

1.

Idiota ze mnie - znowu wróciłem do starych nawyków i cały tydzień bawiłem się w ruchomy cel. Przez cały czas wiedziałem, że jadę w kierunku południowego Illinois, ponieważ moja matka umiera. Kiedy matka daje pożegnalny występ, człowiek wraca do domu.

Mieszkała w East Cicero z dwoma podstarzałymi braćmi nad ich klubem „Panorama”. W weekendy dawała wieczorem dwa występy z miejscowym triem. Robiła to, co zawsze, żyła bez troski o konsekwencje, co na ogół sprawia, że konsekwencje robią się poważniejsze i nadchodzą szybciej niż u innych osób. Kiedy w końcu nie mogła dłużej ignorować swojej śmiertelności, pocałowała braci na pożegnanie i wróciła do jedyne go miejsca, w którym mogłem ją znaleźć.

Kiedy się urodziłem, Star miała osiemnaście lat - do brodu szna dziewczyna o wielkim sercu, dokładnie tak samo nadająca się do ustabilizowanego życia jak kot dachowiec. Kiedy skończyłem cztery lata, zacząłem kursować pomiędzy Edgerton i szeregiem zastępczych domów. Moja matka należała do tych ludzi, którzy rodzą się artystami, choć nie specjalizują się w żadnej dziedzinie sztuki. Wiele razy zabierała się do malowania, pisania, garncarstwa i innych rzeczy - zależnie od mężczyzny, który według niej je personifikował. Najmniej dbała o jedno, w czym była naprawdę dobra; kiedy więc wstawała i zaczynała śpiewać, robiła to z nonszalancką, wesołą swobodą, którą jej

publiczność uważała za czarującą. Aż do ostatnich lat życia promieniowała łagodną, rozbrajającą urodą - dziewczęcą i doświadczoną, kocią i całkowicie przyziemną, wszystko jednocześnie.

Mieszkałem z sześcioma różnymi parami w czterech różnych miastach, ale nie było tak źle, jakby się można spodziewać. Najlepsza z tych sześciu par, Phil i Laura Grantowie, była tak dobra, że prawie święta. Byli jeszcze inni, prawie tak samo przyzwoici, gdyby tylko nie wzięli sobie zbyt wielu dzieci, które ich wykańczały. Dwie inne pary też były fajne, ale typu „w tym domu obowiązują pewne zasady”.

Zanim pojechałem do Naperville, od czasu do czasu wracałem na Cherry Street, gdzie Dunstanowie mieszkali w rozlicznych starych domach. Ciozia Nettie i wujek Clark wozili mnie ze sobą jak dodatkową walizkę Star. Przez jakiś miesiąc, może półtora, dzieliłem pokój z matką, starając się nie oddychać i czekając na następne trzęsienie ziemi. Kiedy wprowadziłem się do Grantów, schemat się zmienił i Star zaczęła odwiedzać mnie w Naperville. Zawarliśmy pewną umowę - jedną z tych podstawowych, przy których nie trzeba słów.

Fundamentem naszego porozumienia, na którym oparło się wszystko inne, był fakt, że moja matka mnie kochała, a ja kochałem ją. Ale choćby mnie kochała nie wiadomo jak mocno, miała w sobie coś takiego, że nie potrafiła zostać w jednym miejscu dłużej niż rok. Byłem jej synem, ale ona nie potrafiła być matką. A to znaczyło, że nie mogła mi pomóc w rozwiązywaniu problemów, które przerażały, niepokoiły czy gniewały wszystkich rodziców zastępczych przed Grantami. Za to Grantowie towarzyszyli mi w pielgrzymce przez gabinety lekarskie, laboratoria radiologiczne, badania krwi, moczu, mózgu i nie pamiętam jakie jeszcze.

Ograniczając się do zasadniczych szczegółów, sprawa wygląda tak: Star mnie kochała, ale nie potrafiła się mną zaopiekować tak, jak Grantowie. W tamtych czasach, gdy Star przyjeżdżała do Naperville, padaliśmy

sobie z płaczem w ramiona, lecz oboje pamiętaliśmy o umowie. Ona zwykle pojawiała się tuż po świętach Bożego Narodzenia i niemal zawsze w pierwszych dniach lata, kiedy zaczynały się wakacje. Nigdy nie przyjeżdżała w moje urodziny i nie przysłała mi nic poza kartkami. W urodziny dopadał ją problem związany ze mną, a ten problem tak ją dołował, że nie chciała o nim nawet myśleć.

Wydaje mi się, że zawsze to rozumiałem, ale nie świadomie, nie w sposób, który mógłbym do czegoś wykorzystać - aż dwa dni po moich piętnastych urodzinach wróciłem ze szkoły do domu i znalazłem na stoliku w holu kopertę zaadresowaną pochyłym pismem mojej matki. List został wysłany z Peorii w dniu moich urodzin, 25 czerwca. Zaniośłem kopertę do pokoju, rzuciłem na biurko, puściłem „Groove Blues” Gene’a Ammonsa i kiedy muzyka zaczęła się sączyć, otworzyłem kopertę i spojrzałem na kartkę od matki.

Balony, serpentyny i zapalone świecek unosiły się nad wyidealizowanym podmiejskim domkiem. W środku, pod wydrukowanym napisem „Wszystkiego najlepszego”, widniał tekst, który Star zawsze umieszczała na kartkach:

Mój piękny chłopcze -

Mam nadzieję...

Mam nadzieję...

Bardzo cię kocham

Star

Wiedziałem, że nie życzyła mi szczęśliwych urodzin, tylko spokojnych, co już byłoby szczęściem. Pół sekundy po tym, jak to odkrycie uchyliło zamknięte drzwi, pierwszy raz jak dorosły spojrzałem na swoje życie. Zrozumiałem, że matka nie odwiedza mnie w urodziny, ponieważ ma wyrzuty sumienia, a z tym uczuciem wolne duchy - takie jak Star - po prostu sobie nie radzą.

Gene Ammons grał „It Might as Well Be Spring”. Dźwięki ulatywały

z głośników i przesywały moje ciało na wskroś.

Grantowie, ubrani w szorty khaki i koszulki polo, nadzorowali wzrost ziół i warzyw w ogródku. Zanim mnie zauważyli, doświadczyłem pierwszego od miesiąca uczucia „Znajdź różnice w tym obrazku”, zwierzęcej świadomości mojej obcości w tym słodkim podmiejskim krajobrazie. Niebezpieczeństwo, wstyd, izolacja, bezbronność. Ja i mój cień, oto my. Laura odwróciła się i to złe uczucie znikło, zanim jeszcze jej twarz rozświetliła się i nabrała jakiegoś głębokiego wyrazu, jakby wiedziała, co się ze mną dzieje.

- Patrzcie państwo - odezwał się Phil.

Laura spojrzała na kartkę i znowu zajrzała mi w oczy.

- Star nigdy by nie zapomniała o twoich urodzinach. Mogę zobaczyć?

Oboje lubili moją matkę, choć na różne sposoby. Kiedy Star przyjeżdżała do Naperville, Phil traktował ją ze staroświecką galanterią, według niego dystyngowaną, według mnie i Laury - przekomiczną. Laura chodziła z nią na zakupy, żeby móc spokojnie porozmawiać. Wydaje mi się, że przy okazji zwykle wsuwała jej do kieszeni jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt dolarów.

Laura uśmiechnęła się na widok eleganckiego białego domku i urodzinowych gadżetów, a potem spojrzała na mnie. Drugie dorosłe odkrycie mojego życia załśniło między nami jak iskra. Star wybrała tę kartkę nie bez przyczyny. Laura nie próbowała tego zatuszować.

- Byłoby miło, gdybyśmy mieli takie okna na facjatce i werandę dookoła całego domu, prawda? Sama bym była pod wrażeniem, gdybym tak mieszkała.

Phil podszedł do niej, a ona otworzyła kartkę. Jej brwi się zbiegły.

- Mam nadzieję...

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziałem.

- Oczywiście.

Zrozumiała.

Phil uściśnął moje ramię; wszedł już w rolę dyrektora. Pracował w dużym domu handlowym.

- Mogą sobie te głupki gadać do woli, uważam, że to problem somatyczny. Kiedy znajdziemy odpowiedniego lekarza, będzie po problemie.

„Te głupki” to moi pediatrzy, lekarz rodzinny Grantów i pół tuzina specjalistów, którym nie udało się zdiagnozować mojej choroby. Specjaliści doszli do wniosku, że mój problem nie ma „pochodzenia somatycznego” - innymi słowy, że dotyczy mojej głowy.

- Myślisz, że mam to po niej? - spytałem Laury.

- Nie sądzę, żebyś miał to po kimkolwiek. Ale jeśli pytasz, czy ma z tego powodu wyrzuty sumienia, to tak, okropnie.

- Star? - spytał Phil. - Musiałaby oszaleć, żeby się o to obwiniać.

Laura przyglądała mi się, żeby stwierdzić, ile zrozumiałem.

- Matki chcą usunąć wszystko, co sprawia ból ich dzieciom, nawet jeśli nie mają na to wpływu. Strasznie się czuję, gdy widzę, co się z tobą dzieje, a nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to przeżywa Star. Przynajmniej ja widuję cię codziennie. Gdybym była twoją prawdziwą matką i mogłabym sprawić, że na Ziemi nie będzie głodu przez tysiąc lat, ale w tym celu musiałabym wyjechać z miasta w dniu twoich urodzin, i tak czułabym się okropnie, że cię zawiodłam. Zresztą i tak czułabym się okropnie, bez względu na to, czy jestem twoją prawdziwą matką, czy nie.

- Tak jakbyś mnie kiedyś zawiodła.

- Twoja matka kocha cię tak bardzo, że czasami zachowuje się jak kwoka.

Myśl o Star Dunstan zachowującej się jak kwoka rozśmieszyła mnie do łez.

- Można postępować dobrze, ale nie zawsze się z tym dobrze czuć, choć mówią, że jest inaczej. Właściwe postępowanie czasami boli jak jasna ciasna! Jeśli chcesz znać moje zdanie - masz wspaniałą mamę.

Znowu miałem ochotę się roześmiać, tym razem z powodu tego jej dziewczęcego wyobrażenia o przekleństwach, ale oczy mnie zapiekły,

a w gardle coś ścisnęło. Przed chwilą powiedziałem, że dwa dni po moich piętnastych urodzinach zacząłem rozumieć uczucia mojej matki w sposób, który mogłem wykorzystać - i tak właśnie było. Nauczyłem się myśleć o przerażających rzeczach: na przykład, że słuszne postępowanie czasami sprawia nam zbyt wielki ból, żeby jasno myśleć; a także, że kiedy jest się tym, kim się jest, to się nim jest i trzeba za to zapłacić.

2. Pan X

O Wielcy Starzy, przeczytajcie słowa zapisane w tym oto sążnistym Dzienniku ręką Waszego Kornego Sługi i radujcie się!

Zawsze lubiłem spacerować w nocy. W tak dogodnym mieście jak Edgerton ogromny koc ciemności tłumi nawet odgłos kroków na chodniku. Idę alejami, mijam puste sklepy i kina. Przechadzam się wąskimi uliczkami i spoglądam w zasłonięte żaluzjami okna, które mógłbym minąć w sekundę, ale tego nie robię; moje szczęście polega między innymi na ważeniu i mierzeniu życia ludzi wokół mnie. I jak wszyscy, uwielbiam wychodzić z domu, uciekać z tego chlewu, w którym sam się zamknąłem. Podczas tych przechadzek omijam latarnie, choć bez względu na porę roku jestem ubrany w czarny płaszcz i kapelusz - ruchomy cień, niewidoczny w ciemności.

Albo prawie niewidoczny. Niewidoczny dla wszystkich z wyjątkiem paru nieszczęsnych pechowców, z których wielu, przyznaję to, zabiłem - nie po to, by się bronić, lecz raczej dla... może zachcianki albo kaprysu. Był też jeden wyjątek.

Usunąłem z tego świata chudą dziwkę w topornych sandałach na wysokich obcasach i spódnice rozmiaru ścierki; rzuciła się ku mnie od drzwi „Chester Street”, tak oszołomiona czymś, co dziewczynki brały w tym roku dla rozrywki, że chwyciła mnie za łokieć, żeby się

nie przewrócić. Spojrzałem na jej źrenice, kropeczki jak główki szpilek, i pozwoliłem się pociągnąć w stronę bramy. Otworzyłem ją jak puszkę sardynek i złamałem jej kark, zanim przypomniała sobie, że ma krzyknąć.

Mniej więcej tak samo potraktowałem chłopaka w czarnej bluzie i spodniach od dresu, który mnie zobaczył, bo wydawało mu się, że szuka kogoś takiego jak ja - niespodzianka, niespodzianka - i młodą kobietę z podbitym okiem i spuchniętymi wargami, która wytoczyła się z samochodu na dźwięk moich kroków i usiłowała się do niego schować, gdy mnie zobaczyła, ale było za późno, biedna mała. I nie zapominajmy o małym dziecku, które znalazłem porzucone na śmietniku i dopilnowałem, by opuściło ten niegościny świat; uprzednio wyrwałem mu jednak śliczne rączki i wylubiłem przerażone oczka.

Dziecko mnie nie widziało, to prawda. To chyba oznacza wyjątkowy stopień smutku lub nieszczęścia, straty tak niepowetowanej, że reszta życia staje się wieczną raną, a dziecko było tylko zziębnięte i głodne. Ale dawno temu przedwczesne aresztowanie i uwięzienie powstrzymały mnie przed zrobieniem tego samego innemu noworodkowi i gniew zwyciężył. Nigdy nie rościłem sobie prawa do doskonałości.

Hałaśliwy, śmierzący karzeł, którego zabiłem w obronie własnej, wylazł spomiędzy kubłów na śmieci w zaułku w pobliżu hotelu „Marchants” i rozdziawił gębę na mój widok. Bardzo niewiele jego pobratymców potrafi mnie dostrzec, kiedy patrzą wprost na mnie, i zawsze mają dość rozumu, by się cofnąć. Ten był zbyt pijany, żeby można było mówić o rozumie. Jego wzrok ściągnął krzywy promień gwiazdy.

- Trutututu, Drakula - powiedział. Zachichotał, oparł się o kubły i spojrzał na nagi cement. - Hej, gdzie jest Piney? Widziałeś go, Drakulo?

Miał na myśli bardziej zdolną do funkcjonowania wersję samego siebie, nędznego wyrzutka, którego istnienie od dawna rejestrowałem skrawkiem świadomości.

- Trutututu-srutututu - wymamrotał karzeł i pewnie zająłby się dalszym niszczeniem siebie i bez mojej pomocy, gdyby po wypowiedzeniu mantry nie spojrzął na mnie z ohydym wyrazem rozkoszy i zmieszania i nie powiedział: - Hej, stary, kopę lat. Myślałem... słyszałem... myślałem, że ty... eee...

Był to niejaki Erwin „Pipey” Leake, trzydzieści lat temu ostro pijący młody nauczyciel angielskiego na Uniwersytecie Albertus i świadek mojego cyganeryjnego okresu życia.

- Czy Star... Star Dunstan... czy...

Chwyciłem go za gardło, uderzyłem jego głową o cegły. Wpił palce w moje przeguby. Zakryłem mu twarz wolną ręką i jeszcze dwa razy grzmotnąłem jego głową o ścianę. Oczy byłego akolity uciekły do góry, a z ust buchnął smród zdechłej ryby. Puściłem go; osunął się pomiędzy kubły. Kopnąłem go w głowę, usłyszałem trzask czaszki i kopałem tak długo, aż stała się miękka.

Ci idioci powinni mieć tyle rozumu, żeby trzymać głębę na kłódkę.

O, Wielkie Istoty, wy, które przez przyszłe eony będziecie dumać nad słowami spisanyymi przez Waszego Wiernego Sługę, tylko wy pojmiecie moją pewność, że w powietrzu czuć wielką zmianę. Kulminacja powierzanej mi Świętej Misji, którą Mistrz z Providence tak kusząco naszkicował, zaczęła odciskać ślad swej obecności nad ziemską sceną. I gdy idę niedostrzeżony przez miasto, strumień informacji wyostrza się i potężnieje, niesie ze sobą obietnicę losu, na który czekałem od dzieciństwa, gdy uczyłem się od lisów i sów w Lesie Johnsona.

Tu, w pokoju pełnym kuchenek mikrofalowych i laptopów, zawodowy złodziej i podpalacz amator Anton „Żaba” La Chapelle leży bez przytomności, obejmując przez sen niejaką Cassandrę „Cassie” Little, małą zawziętą prostytutkę. Witaj, Żabo, ty rozkosznie obrzydliwy

stworze! Jeszcze tego nie wiesz, ale sądzę, że twoje bezsensowne życie jednak posłuży jakiemuś celowi.

Tu, na drugim piętrze czynszowej kamienicy Otto Bremen, który przeprowadza dzieci przez ulicę, drzemie przed telewizorem, ściskając między nogami niedopitą butelkę bourbona. Ostatni centymetr papierosa dopala się, coraz bliżej dwóch palców jego prawej ręki. Skojarzenie papierosa z drugim zajęciem Żaby nasuwa pewną ewentualność, ale wszystko jest możliwe, Otto. Spalisz się żywcem czy też nie - a sądzę, że raczej tak - ale chciałbym, z całą serdecznością, jaką lalkarz ma dla swoich niezdolnych do uczuć i posłusznych podopiecznych, żebyś mógł doznać choć ułamka tego tryumfu, który mnie przejmuje.

Bo w tajnych zakamarkach mojego miasta już widzę płomyki błękitnego ognia. Zawisają nad Żabą i jego partnerką, pełgają w dół po ręce przeprowadzacza i przez jeden elektryzujący moment gromadzą się w rynsztoku na Cherry Street, gdzie Dunstanowie, którzy przeżyli, prowadzą swoje potępione życie. Do gry weszły potężne siły. Wokół naszej zawieszanej w kosmicznym mroku maleńkiej oświetlonej platformy starożytni Bogowie, moi prawdziwi przodkowie, gromadzą się w szeleście błoniastych skrzydeł i szczękaniu brudnych pazurów, by być świadkami osiągnięć ich praprawnuka.

Wydarzyła się najbardziej zdumiewająca rzecz. Star Dunstan wróciła do domu, by umrzeć.

Słyszysz, plugawa larwo?

Posłuchaj, ty stary worku kości.

Moim najgorętszym pragnieniem jest, by twoje ciało pokryło się pęcherzami, byś zebrała o najmniejszy łyk powietrza i czuła, że rozrywają się w tobie po kolei wszystkie narządy i tak dalej, by eksplodowały ci oczy i wszystko, ale choć nie mogę tego dokonać, moja dawna bogdancko, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić ten los naszemu synowi.

3.

Od samego początku odnosiłem wrażenie, że brakuje mi czegoś wyjątkowo ważnego, bez czego nigdy nie stanę się kompletny. Kiedy miałem siedem lat, matka powiedziała, że ledwie nauczyłem się siadać, zacząłem robić pewną śmieszłą rzecz. Odwracałem się i patrzyłem za siebie. Bum, upadałem, ale ledwie dotknąłem ziemi, odwracałem głowę i patrzyłem zawsze w to samo miejsce. Star twierdziła, że ciocia Nettie powiedziała: „Ten chłopak chyba uważa, że lekarz uciął mu ogon przy narodzeniu”. A wujek Clark dodał: „Chyba mu się wydaje, że ktoś się do niego zakrada”.

- Chcieli powiedzieć, że coś jest z tobą nie tak - wyjaśniła Star - czego należało się spodziewać, skoro byłem twoją matką. Odparłam: „Mój synek jest bardzo mądry i chce zobaczyć, czy cień poszedł za nim do domu”. To ich uciszyło, bo właśnie tak wyglądałeś - jakbyś chciał znaleźć własny cień.

Nie potrafię opisać, jak wielką ulgę i niepewność poczułem po tych słowach. Star dała mi dowód na rzeczywistość mojego poczucia straty, gdyż towarzyszyło mi na długo przedtem, nim zdołałem je nazwać. Jeszcze zanim nauczyłem się chodzić, gdy moje myśli ograniczały się do rozpoznania stanów w rodzaju głodu, strachu, ulgi, ciepła, miałem świadomość, że czegoś mi brak, a kiedy się oglądałem, chciałem to odnaleźć. A skoro jako półroczne dziecko rozglądałem się za tym nieobecnym elementem, czy nie znaczyło to, że kiedyś tam był?

Parę dni później postanowiłem ją spytać, czym się różnię od innych dzieci. Kilka spraw budziło mój niepokój. Czy skoro wszyscy przyznają się do posiadania ojca, to i ja go mam? A może ktoś, na przykład wujek Clark lub wujek James, podpisali jakieś dokumenty czy co tam się robi, żeby się stać ojcem? Wujkowie Clark i James mieli tak niewiele ojcowskich uczuć, że znosili moją obecność z widocznym wysiłkiem. Od samego początku czułem się tolerowany w ich domach tylko

dzięki mojemu dobremu zachowaniu. Dziecko wyczuwa takie rzeczy. Wie się, kiedy trzeba zasłużyć na akceptację. W dodatku zawsze miałem poczucie uczuciowych zobowiązań, a moja matka była nieprzewidywalna jak pogoda.

Latem siódmego roku mojego życia Star była spokojna i odprężona. Poruszała się o połowę wolniej niż normalnie. Po raz pierwszy w życiu usłyszałem opowieści o jej i swoim dzieciństwie. Pomagała cioci Nettie w kuchni i pozwalała wujkowi Clarkowi perorować bez wytykania mu bigoterii i ignorancji. Ponieważ nie przestała być Star Dunstan, zapisała się na warsztaty poetyckie i wieczorne kursy akwareli na Uniwersytecie Albertus, który wujek Clark nazywał „Albino U.”.

Trzy razy w tygodniu pracowała w lombardzie ojczyma, Toby'ego Krafta, który pomimo powszechnej dezaprobaty Dunstanów ożenił się niegdyś z jej matką. Następnie jeszcze bardziej spotęgował nieufność rodziny, zamieszkując wraz z żoną nad lombardem, zamiast przeprowadzić się na Cherry. Street. Pomimo ogólnego chłodu do końca życia Queenie brał udział w rodzinnych uroczystościach i robił to także po jej śmierci, z okazji powrotu Star do Edgerton i mojego uwolnienia spod opieki ostatniej zastępczej rodziny. Dopiero później dotarło do mnie, że to śmierć matki sprawiła, iż Star poczuła się wolna. Pewnie zwyczajnie jej ulżyło, kiedy wreszcie zniknął wiecznie szyderczy uśmiech Queenie. Jej druga praca polegała na „modelowaniu”, jak to określiła, parę razy w tygodniu. Wtedy nie rozumiałem, że to oznacza pozowanie nago studentom na lekcji rysunku.

Nasz uporządkowany tryb życia skłonił mnie do zadania tego pytania. Oczekałem, aż zostaliśmy sami w kuchni cioci Nettie - ja wycierałem talerze, ona zmywała, Nettie plotkowała na ganku z ciocią May, a wujkowie Clark i James oglądali film o policjantach. Star podała mi talerz, przejechałem ścierką po jego lśniącej powierzchni, a ona zaczęła opisywać koncert jazzowy, na którym była w sali koncertowej uniwersytetu miesiąc po moim poczęciu.

- Najpierw nie wiedziałam, czy ten zespół mi się podoba. To był kwartet z Zachodniego Wybrzeża, a ja nigdy nie przepadałam za jazzem z zachodu. Ale potem taki saksofonista, podobny do bociana, wyszedł zza fortepianu i zaczął grać „These Foolish Things”. - Wspomnienie było nadal tak świeże, że aż westchnęła. - I, och, Neddie, było tak, jakbym się znalazła w takim miejscu, o którym nigdy nie słyszałam, ale od razu poczułam się w nim jak w domu. On tylko musnął tę melodię, a potem zaczął się wspinać coraz wyżej i wyżej, a wszystko, co grał, łączyło się ze sobą, krok za krokiem, jak historia, Neddie! Jakby cały świat się przede mną otworzył. Jakbym poszła do nieba. Gdybym potrafiła śpiewać tak, jak tamten człowiek grał, chciałabym zatrzymać czas i śpiewać do końca świata!

Usiłowała mi przekazać znaczenie muzyki w jej życiu, ale w tamtych czasach nie miałem pojęcia, jak to wpłynie na mój los. Z całą pewnością nie przyszło mi wtedy do głowy, że mógłbym być świadkiem tego wniebowzięcia, które opisywała. Wszystko to czekało na mnie, bardzo daleko, i wydawało mi się, że Star nie chce, żebym zadał jej to pytanie.

Kiedy skończyła, powiedziałam:

- Bardzo chciałbym cię o coś spytać.

Odwróciła się z uśmiechem, rozczulona wspomnieniem muzyki, spodziewając się, że właśnie o nią spytam. Potem uśmiech zgasł, a ręce znieruchomiały w wodzie. Już wiedziała, że moje pytanie nie ma nic wspólnego z solówką saksofonu w „These Foolish Things”.

- Pytaj.

Wyjęła talerz z piany nieświadomie ociążalym ruchem.

Wiedziałem, że mnie okłamie i że będę jej wierzyć, jak długo się da.

- Kto jest moim tatą? To chyba nie wujek Clark, prawda?

Obejrzała się przez ramię, pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Nie, skarbie, na pewno nie. Gdyby wujek Clark był twoim tatą, ciocia Nettie musiałyby być twoją mamą, a tego byś chyba nie chciał?

- Więc kto to jest? Co się z nim stało?

Była bardzo zajęta szorowaniem talerza. Wiem, że na koncercie, o którym mi opowiedziała, siedziała koło mojego ojca.

- Twój ojciec poszedł do wojska tuż po naszym ślubie. A ponieważ jest taki mądry i silny, wkrótce został oficerem.

- Jest wojskowym?

- Jednym z najlepszych na świecie - oznajmiła, odpędzając moją niewiarę i chęć protestu. - Wysyłali go tam, gdzie zwykli żołnierze nie mają wstępu. Nie mógł mi o tym opowiadać. Kiedy ma się tajną misję, nie można o niej mówić. - Przesunęła talerz pod strumieniem wody i podała mi. - To właśnie robił, kiedy umarł. Brał udział w tajnej misji. Powiedzieli mi tylko, że zginął jak bohater. I jest pochowany w specjalnym grobie dla bohaterów, na zboczu góry na drugim końcu świata, z widokiem na morze.

Prawie widziałem amerykańską flagę na skalnym górskim zboczu wysoko nad srebrzystą wodą i niekończącymi się falami - flagę na grobie, bez którego zawsze będę się czuć niekompletny.

- Miałam ci nie mówić, ale jesteś już na tyle duży, żeby to zachować dla siebie. O tym, co ci właśnie powiedziałam, nie wie nikt z wyjątkiem jego zwierzchników.

Zmyliśmy i wytarliśmy talerze w przyjaznej ciszy, której jednak towarzyszyło lekkie napięcie. Wiedziałem, że Star chce się już przebrać i pojechać na to modelowanie, ale w drodze do drzwi zatrzymała się i odwróciła.

- Chcę, żebyś wiedział coś jeszcze, Neddie. Możesz być dumny nie tylko z ojca. Nasza rodzina była niegdyś bardzo ważna w Edgerton. Teraz to już minęło, ale ludzie jeszcze pamiętają i dlatego różnimy się od innych. Pochodzisz z wyjątkowej rodziny.

Usiadłem na dywanie w salonie i spróbowałem dostrzec, co jest takiego wyjątkowego w moich ciotkach i wujkach. Detektywi rozwiązali

tajemnicę morderstwa jak co tydzień, ciotki wróciły do środka, żeby usiąść na zielonej kanapie i obejrzeć ulubiony program. Z mojego nisko położonego punktu widzenia Nettie i May przypominały posągi egipskie. Ich masywne ciała w workowatych kwiecistych sukniach wypiętrzały się ramię w ramię nad czterema potężnymi nieruchomymi nogami. Wujek Clark, w siatkowym podkoszulku i szelkach przypiętych do spodni z brązowej gabardyny, siedział w fotelu, wykrzywiając szyderczo szerokie usta. Wujek James, z zamkniętymi oczami i rękami założonymi na piersi, wypełniał sobą fotel na biegunach. Mężczyzna o falistych jasnych włosach i arystokratycznym profilu grał na skrzypcach.

- Pan Florian Zabach ma dar od Boga - oznajmiła ciocia Nettie. - W życiu nie słyszałam nic piękniejszego.

- A pamiętasz, jak pojechaliśmy do Chicago na Eddiego Southa? - spytał wujek Clark.

- Eddie South potrafił wydobyć ze skrzypiec piękne tony - odezwała się ciocia May. - Zastanawiałam się, czy to nie ktoś z naszej kategorii. Wielu muzyków z niej jest.

- Małe uszka - powiedziała Nettie. - Uważaj.

Wujek James parsknął, poruszył się, a tamci troje patrzyli na niego, aż broda opadła mu tak nisko, jak na to pozwalał czerwony kark.

- To właśnie ze względu na te tony nazywali Eddiego Southa „Czarnym Aniołem Skrzypiec” - powiedział wujek Clark. - Gdyby Stuff Smith się tam znalazł, pożarłby twojego Floriaska-Wygibaska jednym kłapnięciem.

- Nettie - odezwała się ciocia May. - Zdaje się, że pan Welk trochę przytył.

Powieki zaczęły mi ciążyć; wyprostowałem się, ale zaraz potem zasnąłem w salonie - tak jak wujek James.

Obudziła mnie matka, która weszła do naszego pokoju. Rozebrała się, włożyła nocną koszulę i poszła do łóżka. Słyszałem, jak podnosi kołdrę i uklepuje poduszkę. Przyniosła ze sobą odór dymu i piwa zmieszany ze świeżym powietrzem i letnim deszczem; usiłowałem rozsypać

te nitki jej wieczornej historii. Zasnęła. Jej oddech uspokoił się i zwolnił. Kiedy zaczął jej wibrować w gardle, stając się prawie chrapaniem, podszedłem cichutko i stanąłem obok niej. Star wydała mi się ogromna, jak wielkie zwierzę jeszcze uwikłane w atmosferę przygód, które przeżyła w drodze do domu. Położyłem się plecami do niej. Moje ciało natychmiast podwoiło swoją masę i zaczęło się osuwać w głąb ziemi, gdzie został pogrzebany mój bohaterski ojciec. Star wzdrygnęła się i wypowiedziała jedno słowo, którego się chwyciłem, zapadając w niebyt. *Rinehart*.

4.

Słyszac suchy trzask szwu, obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem cień uciekający słoneczną Cherry Street i ze zdziwienia klapnąłem na pupę. W czasach dzieciństwa i dorastania zdarzało mi się to co najmniej raz w tygodniu, gdy dotykałem głową poduszki. Mój cień wydłużał się na białym chodniku, zakrzywiał się, żeby sięgnąć za róg. Przerazające uczucie dojmującej straty sparaliżowało mnie na ciepłym chodniku. Wstałem, podbiegłem za róg i ujrzałem mój cień, unoszący się jak namacalny przedmiot nad chodnikiem. Popędziłem za nim, a wtedy chodnik przekrzywił się jak zjeżdżalnia, a znajome domki i cieniste ganki zaczęły się roztopiać w upale.

Edgerton znikło.

Pobiegłem ubitą ścieżką, prowadzącą ku wąskiej rzeczce z łukowatym drewnianym mostkiem. Wyprostowany cień wbiegł na niego. Na drugim brzegu szereg drzew oznaczał granice lasu. Nad wierzchołkami drzew zauważyłem spiczasty dach i wybite okna opuszczonego domu. Mój cień zatrzymał się na mostku, oparł się o wygiętą żelazną balustradę i skrzyżował nogi. Spojrzał na mnie, nie odwracając głowy.

Kpił ze mnie, cofał się z każdym moim krokiem, jak złudzenie optyczne. Kiedy wreszcie stanąłem na mostku, cień spoglądał na

mnie, oddalony o pięćdziesiąt kroków, z miejsca sporo nad moją głową.

- Zdaje mi się, że chcesz mnie złapać - odezwał się.

- Potrzebuję cię - powiedziałem.

- Więc chodź do mnie. - Cień zrobił sztuczkę ze zmianą przodu na tył i ruszył przed siebie.

Zanim dotarłem na najwyższy punkt wygiętego mostku, cień był już daleko na jego zbiegającym w dół skłonie. Żelazna balustrada stała się cienka i delikatna, a deski ugiwały się pod moim ciężarem.

Cień poklepał balustradę.

- Im dłuższa się staje, tym jest cieńsza. Jak toffi. W końcu zniknie.

- Mogę przejść na drugą stronę?

- Może, jeśli wejdiesz w taki specjalny poślizg. Wykorzystaj rozpęd.

- Potrzebujemy się - powiedziałem. - Jesteśmy jednym.

- Ty jesteś mną, ja tobą, owszem - zgodził się cień. - Ale tylko w tym sensie, że każdy z nas ma te cechy, których brak drugiemu. Na nieszczęście twoje cechy mnie nudzą.

- Nudzą?

- O jejkę, jejkę, czy dobrze postępuję? Co sobie ludzie o mnie pomyślą? Dlaczego mnie nie lubią? - Cień zamachał rękami w powietrzu, jakby rozpędzał chmarę komarów. - Mam gdzieś, co ludzie sobie o mnie myślą.

- Jesteś cieniem. Ludzie w ogóle o tobie nie myślą.

- Więc dlaczego chcesz mnie odzyskać?

Na to nie miałem odpowiedzi.

- Jeszcze przez sześć, siedem lat nie będziesz mógł wychodzić sam w nocy. Kiedy zapalimy pierwszego papierosa? Wypijemy pierwszego drinka? Kiedy się doczekamy prawdziwego seksu? - Pokręcił niechętnie głową. - Ja pragnę ciemności, pragnę nocy. Pragnę zobaczyć przed sobą wielki stek i szklankę whisky. Pragnę poczuć karty w ręku, cygaro w ustach i zabawić się w dorosłe zabawy, a z tobą, mały, za bardzo bym się musiał namęczyć, żeby to zdobyć.

- Beze mnie w ogóle tego nie dostaniesz.

- Wręcz przeciwnie. Bez ciebie mogę robić, co chcę. Jeśli mnie złapiesz, będę musiał wrócić, ale niełatwo mnie złapać, a ty w czasie tej pogoni znajdziesz się w poważnym niebezpieczeństwie.

- Jakim niebezpieczeństwie?

- Takim, na przykład. - Machnął ręką w stronę lasu. Nierealny błękitny ogień przeskakiwał z gałęzi na gałąź. Serce mi zlodowaciało, umysł skamieniał.

5.

Cztery lata przedtem, jak opisany sen zaczął mi zatruwać noce trzy, cztery razy w miesiącu, ciotki i wujkowie znaleźli rozstrzygający dowód na to, że zgodnie z ich przewidywaniami Star nie potrafiła urodzić zdrowego dziecka. Mam nadzieję, że sprawiło im to satysfakcję. Mnie nie. Czekałem na swoje trzecie urodziny.

Pamiętam balony kołyszące się na sznurkach do bielizny i wielką drabinę między domem i stołem piknikowym; wiem, w co byłem ubrany. Pomiędzy nielicznymi przedmiotami należącymi do matki zachowała się moja fotografia w pasiastym podkoszulku i nowych džinsach od Queenie. Muszę to wyznać: byłem małym aniołkiem. Gdybym zobaczył takie dziecko, wsunąłbym mu w rączkę dolara na szczęście. Dla mnie, nie dla niego. Ale kiedy patrzę na tę buzię cherubinka, muszę pomyśleć o tym, co ukrywa ten uśmiechnięty chłopczyk.

Mianowicie:

Zastanawiam się, czy już czuje to delikatne, narastające mrowienie jak prąd elektryczny, pełgający po jego rękach do piersi. Zastanawiam się, czy już mu zaschło w ustach, czy kolory pasków na jego koszulce i jaskrawe czerwienie i żółcie balonów zaczęły się jarzyć. Ten mały aniołek w odświętnym ubranku mógł już poczuć zaciskające się śruby w sercu świata, ale jeszcze nie zdaje sobie sprawy, jaki los zbliża się ku niemu szybkim krokiem. Jeszcze nie ujrzał pierwszych podstępnych jęczorków błękitnego ognia.

Ciotki i wujkowie, moja babka i matka musieli przygotowywać te dekoracje przez cały ranek. Ktoś nadmuchał balony i przywiązał je, stojąc na drabinie, do sznurków na bieliznę. Na piknikowym stole położono papierowy obrus w torty i świeczki. Ktoś ustawił papierowe talerze, plastikowe kubki i sztućce. (Teraz, gdy wiem, jak zdobyli to wszystko, współczuję tamtemu sklepikarzowi). Dzbanks świeżej lemoniady i wiśniowej coli, salaterki z jedzeniem. Ciocia Nettie zrobiła zapiekanekę z tuńczykiem, ciocia May przyniosła półmisek smażonych kurczaków, a Queenie upiekła swój legendarny placek ze słodkich ziemniaków. Stroniący od ludzi wujek Clarence i ciocia Joy zgodzili się opuścić dom po drugiej stronie ulicy, budynek tak odpychający i dziwnie pachnący, że bałem się do niego wchodzić. Clarence przyniósł banjo, Joy dorzuciła od siebie bochenek chleba z czarnymi oliwkami. Star zrobiła limonkową galaretkę i upiekła tort beżowy z czekoladowym lukrem. Pamiętam Toby'ego Krafta, tak bladego, że przypominał mi Kacperka, Przyjaznego Duszka. Truchtał wokół stołu i klepał wszystkich po plecach.

Na pewno plotkowali, z pewnością opowiadali różne historie i bez wątpienia sobie docinali, zającując smażone kurczaki. Nie pamiętam z tego prawie nic prócz samej katastrofy. Natomiast doskonale pamiętam - najbardziej hipnotyzująca pamięciowa fotografia, jaką zachowałem z trzecich urodzin - widok wprowadzający niesamowity dysonans.

Zaczyna się od tego, że nagle zdaję sobie świadomość z istnienia temperatury i barwy światła, jakbym nigdy dotąd tak naprawdę nie zauważył tej gęstej, rozwibrowanej substancji, lejącej się z nieba na świat niczym balsam. Widziałem jasność gromadzącą się na lśniącej skórze dłoni matki. Potem pod moimi stopami otworzyła się ziemia i runąłem w dół, daleko od piknikowego stołu, zbyt wstrząśnięty, żeby się bać. Zatrzymałem się w wielkim, zabałaganionym pokoju. Książki pokrywały cały stół i piętrzyły się w stertach na podłodze. W oddali

jakiś rozgoryczony głos skrzeczał o dymie i złocie. Mój wzrok przywarł do gzymsu nad kominkiem, gdzie gałązki paproci opadały obok lisa ostrożnie stąpającego ku krawędzi szklanej kopuły. Wahadło miesiężnego zegara kołysało się tik-tak po drugiej stronie lisiego więzienia. Zostałem ściągnięty; znalazłem się w muzeum przeszłości.

Wszystko to skończyło się tak szybko, że nie zdążyłem zareagować. W mgnieniu czasu pomiędzy dwoma połówkami sekundy wróciłem z ogromną prędkością na moje krzesło przy piknikowym stole, przywrócony terażniejszości. Ułamek sekundy po tym, jak ujrzałem słoneczne światło jarzące się na dłoniach matki; wujek James nadal opowiadał ten sam dowcip wujkowi Clarkowi, ciocia May wciąż uśmiechała się, słuchając pochwał za smażone kurczaki - wymyślałem te szczegóły, by zasugerować normalność sceny, lecz pamiętam jedynie to, co właśnie opisałem. Do tego czasu wrażenia, których doznawałem, spotęgowały się do niemal nieznośnego stopnia.

- Zszedłeś z piknikowej ławy - opowiadała mi Star, nie raz, lecz wiele razy przytaczając tę historię, by móc się z nią oswoić. - Spytałam, czy coś się stało, ale ty tylko zasłoniłeś oczy rękami i zacząłeś uciekać. Toby chciał cię złapać, ale mu się wymknął i wpadł na drabinę. Przewróciła się. Nie wiem, jak taki maluszek mógł mieć tyle siły. Upadła na stół, tuż koło mojej matki. Jedzenie pofrunęło w powietrze. Clarence akurat nalewał sobie coli; dzbanek wyleciał mu z ręki i wylądował w torcie.

Ledwie minąłeś stół, wywróciłeś się na ziemię i zesztynniałeś jak deska. Chwyciły cię takie spazmy, że aż cię podrywało z ziemi. Piana wystąpiła ci na usta. Usłyszałam, że wujek Clark mówi coś o wściekłości, i trzasnęłam go w łeb, nawet nie zwalniając kroku. Niektórzy byli tak zajęci wycieraniem się i doglądaniem mamy, że nawet się nie zorientowali, co się z tobą dzieje! Przysięgam, tak się wystraszyłam, że omal nie zemdlałam. Kiedy chwyciłam cię w ramiona, nie mogłam cię nawet utrzymać.

Potem się odprężyłeś. Dźwignęłam cię i zniosłam do łóżka. Po chwili Nettie i May przyszły, żeby dotknąć twojego czoła i opowiedzieć mi o wszystkich znajomych, którzy mieli jakieś ataki. Wytrzymałam to tak długo, jak mogłam, a potem je przepędziłam.

Doktor powiedział, że to może być wszystko. Zbyt wiele emocji. Odwodnienie. Wziął cię, posadził sobie na kolanach i powiedział: „Neddie, twoja mamusia mówi, że zanim zaczęły się te kłopoty, zasłoniłeś sobie oczka. Czy to dlatego, że zobaczyłeś coś strasznego?”.

Ile miałem lat, kiedy dodała ten element? Osiem?

- To mnie uderzyło, bo myślałam o tym samym. Byłeś za mały, żeby odpowiedzieć, a poza tym chyba nie pamiętałeś tego, co się stało. Ale, kochanie, rok później także zasłoniłeś oczy, i na piąte urodziny też. Czy zobaczyłeś coś, co cię zasmuciło?

Nigdy nie mówiłem Star, co się działo podczas moich „ataków”. Bardzo długo nie umiałem opisać tych wizji, a później bałem się, że mnie wezmą za wariata. Wystarczyło, że widzieli, jak się rzucam na ziemi - byłoby jeszcze gorzej, gdyby wiedzieli, co się dzieje ze mną w środku.

Nawet teraz opisywanie tego jest jak rekonstruowanie na wpół zniszczonej mozaiki. Wiele wzorów i obrazów wydaje się możliwe i nawet kiedy myślisz, że zidentyfikowałeś wzór, nie masz pewności, czy czegoś nie dodałeś. Z brzegu - mężczyźni, kobiety, którzy patrzą lub nie na to, co się dzieje w brakującej środkowej części. Niektórzy się uśmiechają, niektórzy znieruchomieli ze zdumienia lub zaskoczenia. Inni odwracają wzrok; czy postanowili zignorować tajemnicze zajście, czy też go jeszcze nie zauważyli?

6.

Wewnętrznej historii moich trzecich urodzin nie da się zrekonstruować. Ludzie zgrupowani na jej obrzeżu, moje ciotki i wujkowie,

babka, Toby Kraft, wpatrują się w pustkę. Matka trzyma mnie w ramionach, ale ma odwróconą głowę.

Ścieżka mądrości wiedzie w dół i każdy, który zdecyduje się na nią wstąpić, powinien przywdziać zbroję, ująć miecz i przywyknąć do świadomości, że kiedy wróci, wszyscy rozmówcy będą go uważać za oszusta.

7.

To mogło wyglądać tak:

Poprzez ściany błękitnego ognia podążam za stworem do zwykłego świata i stajemy przed domem z tablicą do koszykówki nad drzwiami garażu i rowerkiem spoczywającym na podpórce na skraju podjazdu. Jasne okna błyszczą świetlistie turkusowo, czarne okna lśnią granatową czernią. Na drzwiach frontowych widnieje numer i widzę nazwę ulicy, ale ponieważ mam trzy lata i nie potrafię czytać, są to symbole bez znaczenia. Stwór, kompletnie obcy i zarazem bardzo dobrze mi znany, przeraża mnie jak Czarny Lud z opowieści cioci Nettie. Rondo czarnego kapelusza rzuca cień na jego twarz. Płaszcz prawie wlecze się po ziemi.

Odwracam się ze strachu i widzę ciemne sylwety gór, wznoszące się na tle nieba jak zwierzęta. Błękitne światło gwiazd obrysowuje poszarpane krawędzie skał i lśni na płaszczyznach śniegu. W powietrzu czuć świąteczną choinkę.

Stwór rusza przed siebie i jakieś ciśnienie niczym wartki nurt pociąga mnie za nim. Odwraca się w stronę drzwi wejściowych, staje na wycieraczce. Wokół niego pełgają radosne ogniki. Jedną ręką sięga pod płaszcz, drugą przyciska guzik dzwonka. Nie musi, gdyby tylko zechciał, mógłby przesiąknąć przez drzwi, ale dzwonienie go bawi. Potem, jakby dlatego, że się domyśliłem, nagle jestem w środku stwora i patrzę jego oczami. Widzę, jak białobłękitna ręka wyjmuje nóż z czeluści czarnego płaszcza. Po ostrzu pełgają płomyki. Zamknięte drzwi

wyglądają jak błękitna bibułka.

Po drugiej stronie rozjarzonej bibułki pojawia się krępy mężczyzna w dżinsach i bluzie. Wykrzywione usta świadczą o jego irytacji. Wolną ręką chwyta gałkę i przekręcając ją, robi krok naprzód, żeby zablokować wejście. Wszystko to trwa parę sekund. Kiedy mężczyzna otwiera drzwi i zasłania wejście własnym ciałem, staram się wyrwać ze stwora. Jakaś siła przygważdża mnie w miejscu. Widzę oczy mężczyzny, które rozbłyskują i ciemnieją. Chcę krzyknąć, ale moje usta nie są moje i mnie nie słuchają. Idziemy za mężczyzną do środka, a błękitny płomień kroczy z nami. Przez sekundę to wygląda jak taniec: prawa noga mężczyzny przesuwa się do tyłu, nasza lewa noga przesuwa się do przodu i poruszamy się razem w unisono. On się pochyla, my pochylamy się razem z nim. Jego zęby lśnią mlecznym błękitem.

Nóż wślizguje się w skrawek ciała pomiędzy skrajem bluzy i paskiem dżinsów. Mężczyzna przestaje tańczyć, zatrzymuje się. Pochylamy się nad nim tak blisko, że brodą muskamy jego policzek. Wydaje jakiś dźwięk, opiera ręce na naszych ramionach, prostuje się i znowu tańczymy. Poruszamy się za nim i naciskamy nóż. Kolana mu się uginają. Na jego dżinsy chlusta kaskada krwi, czarnej w błękitnym drżącym świetle. Pojawia się srebrny sznur. Potem drugi. Czuję wokół siebie rozluźnienie i uciekam.

Stoję koło stwora i nie mogę nic zrobić; jestem świadkiem czegoś, czego nie rozumiem.

Mężczyzna sięga po sznury i trzyma je jak ofiarę. Powoli usiłuje włożyć je do swego ciała.

Stwór mówi:

- Pan Anscombe, jak mniemam?

Jego ton świadczy, że to także go bawi.

Błękitne płomienie pełzną po ścianie pokoju i czynią ją przezroczysta; widzę siedzącą na łóżku kobietę w koszuli nocnej. Na kolanach ma małą dziewczynkę, w rękach książkę, lecz przestała ją czytać i wpatruje

się w to miejsce ściany, gdzie muszą się znajdować drzwi.

Nie dostrzega, że mężczyzna usiłuje nie upaść, robi mały krok do przodu, potem do tyłu, nie widzi, że jego kolana uginają się, aż dotykają podłogi, a grube pętle wyslizgują się mu z dłoni. Stwór się pochyla, wbija mocno nóż w szyję mężczyzny i zatacza nim półkole. Czarny płyn bluzga na bluzę, a w środku strumienia jakiś gruzel podnosi się i opada, bum-bum-bum. Mężczyzna robi skłon i wciąż zadziwiająco powoli przechyla się, aż czołem dotyka dywanu. Stwór się cofa. Pod cieniem ronda czarna płaszczyzna mroku kończy się skrawkiem szczęki.

Pojmuję: to pan X.

Pan X odwraca się zamasyżycie, by spojrzeć przez błękitne welony na kobietę z dziewczynką.

Konający mężczyzna wydaje świszczący dźwięk. Kobieta głaszcze dziewczynkę po główce.

Stwór idzie naprzód, niesiony rozkoszą, a welony zmieniają się w jasny tunel. Bez ostrzeżenia wiatr porywa mnie i rzuca za nim. Łagodny, niemal nierealny opór, jakbym wszedł w pajęczynę, natychmiast ustępuje, gdy przechodzę przez niewidzialną ścianę. Wokół mnie błękitny tunel brzęczy jak linia wysokiego napięcia. Pan X kroczy naprzód i on także brzęczy, naładowany własnym napięciem, które nazywa się radością. Kroki niosą go do sypialni i choć jego ciało zasłania kobietę z dzieckiem, słyszę jej westchnienie. Dziecko zaczyna kwilić. Ujrzały mężczyznę w czarnym płaszczu i kapeluszu, który wyszedł wprost ze ściany. Kobieta wycofuje się w głąb łóżka, widzę błyskający mleczny błękit jej nagich nóg.

Kobieta przyciska dziewczynkę do piersi, śmiga z nią na drugą stronę łóżka i wpada na komodę. Obie mają lśniące, ciemnobrązowe, świeżo umyte włosy i ogromne ciemne oczy. Robię krok do tyłu; dziewczynka zerka w moją stronę, raczej jakby mnie wypatrywała, niż widziała. Kiedy usiłuję wycofać się do tunelu, ciśnienie napiera na moje plecy.

Dziewczynka chowa twarz na piersi matki; kobieta podnosi dziecko. Jest ładna jak gwiazda filmowa.

- Proszę stąd natychmiast wyjść, kimkolwiek pan jest - mówi.

Stwór kryje nóż w fałdach płaszcza i staje u stóp łóżka. Kobieta opiera się o ścianę i krzyczy:

- Mike!

- Z tej strony odsiecz nie nadejdzie, pani Anscombe - mówi stwór. - Niech pani powie, nie jest tu okropnie nudno na tym odludziu?

- Nie nazywam się Anscombe. Nie znam nikogo o takim nazwisku. Popelnia pan straszny błąd.

Stwór się zbliża.

- Ktoś na pewno popełnił błąd.

Kobieta wskakuje na łóżko. Nogi jej dygoczą. Pan X chwytają za kostkę. Kiedy przyciągają do siebie, jej koszula nocna zadziera się wysoko. Kobieta puszcza dziewczynkę i krzyczy:

- Uciekaj, skarbie! Na dwór! Schowaj się!

Stwór ściąga kobietę z łóżka i kopie ją w brzuch. Mała dziewczynka wpatruje się w niego. On macha jej ręką; mała przysuwa się na kolanach o centymetr.

- Na dworze jest za zimno dla takiej miłej dziewczynki - mówi stwór. - Niebezpiecznie. Mogłaby spotkać wielkiego złego niedźwiedzia.

Kobieta dźwiga się na nogi i staje z dłonią przyciśniętą do brzucha. Oczy ma wodniste.

- Uciekaj, Lisa - syczy. - Uciekaj.

On grozi jej nożem - zartobliwie. Zęby mu błyskają.

- Mała Lisa nie lubi niedźwiedzi - mówi. - Prawda, mała?

Mała Lisa kiwa głową.

- Zrób ze mną, co chcesz - mówi kobieta - ale nie krzywdź dziecka. Nie wiem, kim jesteś, ale ona nie ma nic wspólnego z powodem twego przyjścia. Proszę cię!

- Oooo - mówi on; chyba z prawdziwym zaciekawieniem. - A jakież to powód?

Kobieta skacze na niego; on odsuwa się i ciska ją na podłogę. Chwyta ją za włosy, podnosi i rzuca nią o ścianę.

- Czy na to pytanie istnieje odpowiedź?

Potem znowu wydarza się okropność. Ogromna ręka chwyta mnie i wydziera z mojego ciała. Staję się tylko pustym cieniem, który patrzy jego oczami. W panice i zgrozie staram się uciec, ale nie potrafię. Tak jest zawsze. Kleszcze mnie znają i trzymają z wprawą. Jego oczami widzę więcej niż własnymi - to prawda, kobieta jest niemal tak ładna jak gwiazda filmowa, ale jej twarz, poznaczona doświadczeniem, na ekranie wyglądałaby nieprzyjemnie. W jej oczach pojawia się ponure zrozumienie.

- Więc to tak było z Bookerami - mówi.

Zbieram wszystkie siły, szarpie się i więzy znikają.

Bez żadnego poczucia przejścia jestem znowu we własnym ciele, patrzę na łóżko, gdzie mała Lisa klęczy na kołdrze.

- Czy powinienem znać to nazwisko? - pyta pan X. - A tak przy okazji, czy w rodzinie Anscombe'ów nie ma małego chłopca?

- Już go nie ma.

Pan X nie odpowiada.

- Nie wiem, gdzie jest. Nie musisz krzywdzić mojego dziecka.

- Nie skrzywdziłbym niewinnego dziecka. - Kiwa ręką na dziewczynkę, która ku niemu podpełza. Bierze ją na ręce. - Ale często się zastanawiam, dlaczego ludzie, którzy powinni mieć więcej rozumu, uważają, że wszechświat jest dobrotliwy. - Unieruchamia dziecko w zgięciu łokcia, chwyta jego głowę i przekręca. Słysząc głośny trzask i dziecko zwisa bezwładnie.

Nie chcę opowiadać dalej, to wszystko nie tak było, ciągle mieszają mi się szczegóły, ponieważ prawdziwe wspomnienie jest zbyt bolesne. Tym razem nazwisko nie brzmiało „Anscombe”. Anscombe'owie byli później.

8. Pan X

Absurdalnie długo nie pojmowałem, kim i czym jestem. Wy, moi Mistrzowie, mieliście łatwiejsze zadanie niż ja, więc błagam, byście zrozumieli naturę mych wysiłków.

Kiedy doczekałem kataklizmu znanego jako dojrzewanie, moje wcielenie zwykłego dziecka można było uznać za względny sukces. To, że podczas szkolnej sprzeczki dałem się sprowokować drugoklasiście Lanny'emu Beechowi do rozbicia jego jasnowłosej głowy o cement, złożono na karb jego sugestii, jakobym był pszą kupką. To, że zostałem zobligowany do powtarzania trzeciej klasy, uzasadniono moim „marzycielstwem”, jak to nazywano, moją „niezdolnością do skupienia uwagi podczas lekcji” itp., a także zwyczajowi niekonwencjonalnego odrabiania prac domowych. Kiedy poproszono mnie o napisanie wypracowania o „Moich ulubionych świętach Bożego Narodzenia”, oddałem kartkę pełną znaków zapytania, a w ramach rozwiązania zadań z ułamków oddałem rysunek potwora pożerającego psa. Słowo „twórczy” wydawało się na miejscu, choć nie ułagodziło rodziców Maureen Orth, chudej paskudy z wystającymi przednimi zębami, którą namówiłem, żeby się rozebrała, i którą przywiązałem do brzozy w Lesie Johnsona, gdy oboje byliśmy w ósmej klasie. Maureen była mi wdzięczna za te awanse, dopóki nie przypomniałem jej, że dżicy Indianie - ja zaś występowałem w roli jednego z nich - mieli zwyczaj torturowania swoich jeńców - w której to roli występowała ona. Jej żalosne krzyki, sprowokowane widokiem scyzoryka, skłoniły mnie do jej rozwiązania. Nie chciała słu chać przysięg, jakobym nigdy nie chciał wyrządzić jej krzywdy.

W końcu mój ojciec wypisał dla pana Ortha czek na tysiąc dolarów i na tym się skończyło - pominąwszy zrządzenie.

Ojciec ograniczył mi tygodniówkę o połowę za - jak to ujął - „podsywanie nadziei tego stworzenia”, a matka otarła oczy i zabroniła mi chodzić do Lasu Johnsona.

Oczywiście nie miałem zamiaru usłuchać. Las Johnsona - trzydzieści akrów tak gęsto obsadzonych sosnami, brzoźami, klonami i orzechami, że słońce przedzierało się przez sklepienie jedynie w postaci migotliwych krążków na podobieństwo monet, a w gęstwinie kryły się - niczym szmaragd w misie pieniążków - tajemnicze ruiny, do których zaciągnąłbym Maureen Orth, gdybym miał ją wyeliminować - był dla mnie ziemią świętą.

A wszystko to zostało po posiadłości, która zmieniła się w ulice pełne domów dla ludzi przez mojego ojca nazywanych awansowanym marginesem. Las był mój nie dlatego, że należał do mojej rodziny, lecz ponieważ przemówił do mnie od pierwszego wejrzenia.

Musiałem przejeżdżać obok Lasu Johnsona chyba setki razy, zanim spojrzałem nań z tylnego okna autobusu dowożącego szóstoklasistów z Edgerton Academy do Wioski Pionierów i poczułem, że w serce wbija mi się haczyk, a w mojej głowie rozlega się grzmiący głos: chodź do mnie. Coś w tym rodzaju. Potrzebujesz mnie, jesteś mój, bądź ze mną, nieważne. Haczyk starał się wyciągnąć mnie przez okno, sam zresztą także napałem na szybę. Serce mi waliło, twarz płonęła. Kierowca wrzasnął, żebym siadał. Koledzy zachichotali w zrozumiałym oczekiwaniu na fajerwerki, ale ucichli, gdy usłuchałem. Zdumiony nauczyciel podziękował mi za współpracę. Nie współpracowałem. Nie miałem dość sił, żeby wypchnąć szybę.

Wioska Pionierów składała się z dwóch ulic, wzdłuż której stały chaty z drewnianych bali: Sala Zebrań, Miejsce Kultu, Punkt Handlowy oraz Kuźnia. Kobiety w kapturkach z falbankami gotowały coś w wielkich saganach na ogniu, mężczyźni w czapkach ze skóry szopa i skórzanych koszulach strzelali z muszkietów do królików. Ci ludzie uprawiali warzywa i wytwarzali mydło. Włosy mieli sztywne od brudu i nikt tam nie wyglądał zbyt schludnie. Sądzę, że byli wyznawcami jakiejś wiary opartej na wyrzeczeniach.

Oddając cesarzowi co cesarskie, przetrwałem jakoś ten dzień i pierwszy zameldowałem się w autobusie. Kiedy w drodze powrotnej mijaliśmy las, siedziałem jak na szpilkach, czekając na to szarpnięcie gdzieś w środku mojego najskrytszego ja i na grzmiący głos. Tymczasem poczułem tylko ciepłe, silne pulsowanie - i to wystarczyło.

Na szczęście następnego dnia przypadała sobota. Wstałem wraz ze słońcem i snułem się po domu, dopóki nie pojawiła się matka, żeby zrobić śniadanie. Ojciec wyszedł, żeby załatwić sprawy, które zwykle załatwiał w soboty. Z niezwykłą jak na swój wiek przebiegłością powiedziałem matce, że chciałbym trochę pojeździć na rowerze. Na ogół w sobotę snułem się po Manor Street, pełen czarnej, znudzonej furii, drapiąc boki samochodów sąsiadów i zaczajając się pod krzakiem, żeby strzelać do psów z wiatrówki. Chęć na coś tak konwencjonalnego jak przejażdżka rowerem sprawiła mojej matce przyjemność jedynie nieznacznie zabarwioną podejrzliwością. Obiecałem, że nie napytam sobie biedy. Ponieważ nie miałem wyboru, przyrzekłem także wrócić do domu na obiad. Widziałem, że się zastanawia, czy mnie przytulić, lecz ku obopólnej uldze odrzuciła tę myśl. Popedałowałem przed siebie, idealna imitacja dziecka, które nie planuje nic szczególnego. Ledwie zniknąłem jej z oczu, dodałem gazu, tak że stary rupiec prawie uniósł się w powietrze.

Tam gdzie poczułem to szarpnięcie i usłyszałem zadziwiający głos, schowałem rower za drzewem i stanąłem wyprostowany, świadomy, że znalazłem się we właściwym miejscu, w miejscu, w którym powinienem się znaleźć. Zrobiłem krok naprzód, dygocząc z niecierpliwości. Nic się nie wydarzyło. W pewnym sensie. Nic oprócz subtelnego spotęgowania świadomości, że znalazłem się w zakątku świata bezpośrednio połączonym z tajnymi źródłami wszystkiego tego, co sprawiało, że moje życie było tak wściekle rozpaczliwe, a zatem w zakątku najbardziej mi niezbędnym i z tego samego powodu wyjątkowo przerażającym.

W tej chwili zdałem sobie sprawę, że właśnie przedłożyłem wiedzę nad ignorancję, bez względu na konsekwencje. Moje serce się uspokoiło i zacząłem obserwować wszystko wokół.

Pnie licznych drzew zasłaniały mi widok - brązowe, szare, srebrne, niektóre prawie czarne, o najróżniejszej korze, od pomarszczonych i splekanych po lśniącą gładź. Na szarozielonym poszyciu drżały plamy światła. Powietrze było lotną, srebrzystą szarością. W dali majaczył drewniany masyw zwalonego drzewa. W górze liściaste korony spleły się razem, a gniazda wiewiórek na górnych gałęziach wyglądały jak poszarpane torebki nasienne.

Nagle jakby wszystkie zaistniały jednocześnie, właśnie w tej chwili, ujrzałem mnóstwo wiewiórek; skakały z gałęzi, lądowały na wątych odroślach, chyliły się wraz z nimi ku ziemi, by znów wyprysnąć w górę w niekończącym się pościgu. Ptaki wszelkiego rodzaju śmigały przez muślinowe powietrze. W sześcianie pustki zmaterializował się lis, zastrzygł uszami i znieruchomiał z uniesioną łapką.

W ostatnią niedzielę przed wakacjami, kiedy - zbieg okoliczności? - Canon Reed przez cały poranek na próżno usiłował usunąć mękę z wersu 12;49 ewangelii świętego Łukasza: „Ogień przyszedłem rzucić na ziemię i jakżebym pragnął, aby już płonął”, zobaczyłem pierwsze słabe ślady błękitnego ognia i zrozumiałem, że to lato będzie czasem cudów.

Pomiędzy bardziej oddalonymi drzewami pojawiały się i zlewały ze sobą migotliwe, pionowe pasma bladej zieleni. Kiedy się zbliżyłem, okazało się, że trafiłem na polankę. Dotarłem do ostatnich drzew. Przede mną rozciągał się porośnięty trawą owal, denerwująco cichy. Słońce lało się bez przeszkód na zielonożółte źdźbła.

Ledwie wyszedłem spod kopuły liści, temperatura podskoczyła. W tym oślepiającym blasku prawie nic nie widziałem. Na środku polanki usiadłem; ledwie wystawałem zza źdźbeł trawy. Otarłem czoło

i zamrugałem powiekami w prażącym świetle. Odetchnąłem i polanka odetchnęła wraz ze mną. Prąd elektryczny przemknął po moich rękach do piersi.

Wiedziałem, co to zachwyty i rozkosz. Wiedziałem, że czeka mnie jeszcze więcej. W moim ciele siedziało na polance moje ja, które musiało przywyknąć do otoczenia. Siedzieliśmy razem w naszych odrębnych otoczeniach i przystosowywaliśmy się do nowych warunków. Miało nas spotkać coś więcej, ale natury tego więcej na razie nie można było sobie nawet wyobrazić.

Z lasu wyfrunęła sójka; prześledziłem wzrokiem jej arogancki podniebny lot.

Moje nowo narodzone ja przemówiło we mnie i wysłałem myśl w stronę sójki. Niczym rażona gromem, zwinęła skrzydła i upadła, marta jak grudka ziemi.

W drodze powrotnej usiłowałem zrobić to samo z wroną wrzeszczącą na mnie ze słupa telefonicznego, ale paskudztwo nie chciało zdechnąć. Podobnie jak krowa przeżuwająca za płotem na skraju szosy i Sierżant, stary pies policyjny, na trawniku swojego pana poruszający przez sen łapami. Dostałem narzędzie bez instrukcji obsługi. Myśląc jak dziecko, spodziewałem się, że fragmenty tej instrukcji będą mi systematycznie dostarczane w rozsądnym terminie.

Nic nie wiedziałem.

9.

Ponieważ stopnie miałem zaskakująco dobre, przyjęły mnie wszystkie cztery college'e, do których złożyłem podanie. Jako że byłem pod opieką rodziców zastępczych, a moja matka zarabiała tak niewiele, że ani razu nie złożyła deklaracji podatkowej, zaoferowano mi pełne stypendium, darmowy akademik i wybór wielu zajęć, dzięki którym mogłem dorobić, więc nie musiałem liczyć na to, że Phil Grant wyłoży niewielką fortunę na moje wykształcenie. Zaciągnąłby dla mnie kredyt

i spłacałby go do emerytury, gdybym tego potrzebował. Miałem mu oszczędzić wydatków i to mnie uszczęśliwiło, ale byłem zadowolony głównie z ulgi, jaką odczułem.

W końcu zdecydowałem się na Middlemount, czym sprawiłem Philowi zawód, ponieważ spodziewał się, że skoro przyjęto mnie do Princeton, jego alma mater, będę tam studiował. Ale ja nie widziałem się w takiej wymagającej szkole i nie podobało mi się, że miałbym przebywać wśród tłumów bogatej młodzieży. I choć nigdy o tym nie wspominałem podczas naszych rozmów przy stole kuchennym, wiedziałem, że pomimo całego finansowego wsparcia Princeton kosztowałyby Phila więcej niż Middlemount. Kiedy dyskutowaliśmy o mojej - nie jego - decyzji, Laura stanęła po mojej stronie, co pomogło go przekonać. Więc pojechałem do Middlemount College w Middlemount w stanie Vermont i moje życie nabrało rozpędu.

Kiedy mój debilny kolega z pokoju dał wyraz nienawiści do wszystkiego, co sobą reprezentowałem, zapraszając do nas tłumy koleśki, którzy dzień w dzień wrzeszczeli o pedałach, czarnuchach, żydkach, katastrofach samochodowych, katastrofach morskich, złamanym kręgosłupach, złamanym karkach, przypadkach ogólnego paraliżu, żydkach, pedałach, czarnuchach, zacząłem tak głośno protestować, że dostałem jednoosobowy pokój.

Ledwie go dostałem, przestałem przychodzić na jakiegokolwiek spotkania towarzyskie, uczęszczałem tylko na zajęcia. Pomimo moich stopni wykłady z matematyki i nauk ścisłych wydawały się prowadzone w obcym języku. Musiałem ciężko harować, żeby nie zostać w tyle. Czasami spoglądałem znad zeszytu na szereg cyfr, które profesor Flagship, wykładowca rachunku różniczkowego, wypisywał na tablicy i czułem, że zapadam się w dziurę w skorupie ziemskiej. Przez całe tygodnie kursowałem pomiędzy akademikiem, salami wykładowymi, pracą i biblioteką. Potem zaczęło się robić zimno.

Zima runęła na Vermont tuż po Święcie Dziękczynienia, temperatura spadła do minus pięciu i mróz wczepił się pazurami w moje ciało.

Kiedy spadła do minus dziesięciu, wicher wiejący od gór omal nie zdarł mi skóry z twarzy. W przegrzanych salach czułem, że zimno mrozi mnie do szpiku kości. Przez dwa miesiące słońce kryło się za obrzeżoną ołowiem zasłoną koloru szarej flaneli. Wkrótce bezgwiezdne noce zaczęły zapadać o piątej po południu. Najgorsze przemarznięcie mojego życia zaowocowało notorycznym katarem, kaszlem i bólami całego ciała. Wlokłem się na zajęcia, ale uznano mnie za zagrożenie biologiczne i otrzymałem urlop zdrowotny. Wmusiwszy w siebie kleisty posiłek w stołówce, zbyt zmęczony, by ryzykować kolejną polarną wyprawę do biblioteki, zasypiałem przy biurku, usiłując wbić sobie do ogłupiałej głowy tajemnice całek. Z każdym dniem, z każdą sekundą, zmieniałem się w cień.

Nie stałem się nim do końca tylko ze względu na moją gitarę i to, co się działo, kiedy na niej grałem. Na dwunaste urodziny, jak zwykle uświetnione tradycyjnym horrorem, Grantowie podarowali mi ładnego starego gibsona wraz z - jak się okazało - wieloletnimi lekcjami u wyrozumiałego nauczyciela. Przywiozłem gitarę do Middlemount i od czasu do czasu, kiedy ściany pokoju zaczynały się wokół mnie zaciskać, siedłem w kącie świetlicy i grałem.

Przeważnie dodawałem linię melodyczną do akordów niezdarnie, z trudem, ale czasami zjawiali się inni studenci i siadali na tyle blisko, żeby coś usłyszeć. Kiedy wiedziałem, że mam słuchaczy, grałem fugę Bacha w aranżacji mojego nauczyciela, bluesa, którego nauczyłem się z nagrań Gene'a Ammonsa, i wersję „Things Ain't What They Used to Be” zerzniętą od Jima Halla. Jeśli ktoś wytrwał dłużej, dorzucałem te nieliczne piosenki, których funkcje zdołałem spamiętać. Na przykład „My Romance” albo „Easy Living”, „Moonlight in Vermont” i jazzowy standard „Whisper Not”. Myliłem się i gubiłem, lecz żaden z moich słuchaczy się nie połapał, chyba że przerywałem i wracałem w to

miejsce, w którym moje palce zmieniły się w sople. Połowa z nich nigdy w życiu nie słuchała niczego oprócz Rolling Stonesów, Erica Claptona i Tiny Turner, a druga połowa nigdy w życiu nie słuchała niczego oprócz The Carpenters, Bee Geesów i Eltona Johna. (Ci, którzy ubierali się na czarno i słuchali Boba Dylana i Leonarda Cohena, unikali świetlicy jak morowej zarazy). To, co grałem, wydawało się im na ogół klasyczne, ale i tak się podobało. A mnie się podobało, że dla nich gram, ponieważ to mi przypominało, że nie zawsze byłem pustelnikiem. Innym plusem moich występów była zmiana mojego publicznego wizerunku z Dziwnego Neda Który Nigdy Nie Wychodzi z Pokoju na Świrniętego Neda Który Fajnie Gra na Gitarze Jak Już Wyjdzie z Pokoju.

Na święta wróciłem do Naperville i zachowywałem się, jakby wszystko było w porządku, wyjąwszy niejakie problemy z rachunkiem różniczkowym. Nie kłamiąc wprost, opisałem wyczerpujący plan zajęć i okazjonalne przyjemności, a swój smutek przypisałem tęsknocie za domem. Ledwie wypowiedziałem to słowo, zdałem sobie sprawę, że tęsknię za Naperville i Grantami bardziej, niż byłem gotów to przyznać. Kiedy objawy przeziębienia ustąpiły, a ja zająłem się pisaniem wypracowania z angielskiego, kuciem do egzaminu i powrotem na dawne miejsce w domu, wymyślona przeze mnie wersja studenckiego życia zaczęła mi się wydawać bardziej realna.

W drugi dzień świąt usłyszałem warkot samochodu skręcającego na nasz podjazd i przez okno salonu ujrzałem Star, która wjeżdżała do garażu pięknym starym lincolnem. Wysiadła w butach na wysokich obcasach, wymyślnym kapeluszu i czarnym płaszczu, zbyt cienkim jak na ten mróz. W tym roku mieszkała w Cleveland, gdzie pracowała w studio litografii w zamian za lekcje rysunku u malarza, którego poznała podczas jego praktyk w Albertus. W weekendy śpiewała w klubie

nazywanym „Inside the Outside”. Laura Grant zawołała z kuchni:

- Ned, przyjechała twoja mama!

Phil zapiął blezer, wciągnął brzuch i wyłonił się z pokoiku przy salonie, gdzie oglądał telewizję.

- Wchodź, mała, bo tam zamarznie!

Star przebiegła ścieżką brukowaną kamieniami, a kiedy otworzyłem drzwi, wpłynęła do środka niczym łabędzica, kryjąc zdenerwowanie za olśniewającym uśmiechem. Wzięła mnie w ramiona, Grantowie zaczęły jednocześnie mówić, a ja poczułem, że zaczyna się uspokajać.

Reszta dnia upłynęła spokojnie i miło. Star podarowała mi kaszmirowy sweter, ja dałem jej kolekcję przebojów Billie Holiday, a to, co miała dla Grantów, zgrabnie zrównoważyło to, co od nich dostała. Laura przygotowała dwa obfite posiłki, a ja dalej lansowałem ocenzone wersję życia w Middlemount. Po kolacji Phil i Laura zostawili nas samych. Star spytała:

- Chciałbyś zostać muzykiem? Bardzo mi się podoba, że grasz przyjacielom.

Odparłem, że nigdy nie będę tak dobry, żeby mnie to zadowoliło.

- Mógłbyś być lepszy - powiedziała - i zarabiać na tym, więc gdybyś zechciał, mógłbyś przerwać studia. Jeśli nawet istnieje jakiś muzyk z wyższym wykształceniem, to tego nie rozgłasza.

Zaskoczony, spytałem, dlaczego miałbym przerwać studia.

- Wiesz, jak to brzmi, kiedy mówisz o Middlemount? Jakbyś opisywał film.

- To dobra szkoła.

- Nie musisz mi tego mówić. Zastanawiam się tylko, czy to dobra szkoła dla Neda Dunstana. Spójrz na siebie. Straciłeś pewnie z dziesięć kilo i jesteś niewyspany. Żyjesz chyba tylko dlatego, że Laura dawała ci mnóstwo dobrego jedzenia.

- Złapałem paskudne przeziębienie.

- Może nie aż tak paskudne. Może chcesz, żeby te twoje studia wyglądały na lepsze, niż są.

- Kiedy przebrnę przez egzaminy, wszystko będzie dobrze - powiedziałem. Zjawili się Phil i Laura, zaproponowali kawę i kieliszek czegoś mocniejszego i zanim poszliśmy spać, posłuchaliśmy osiemnastoletniej Billie Holiday śpiewającej „When You're Smiling” i „Ooh Ooh, What a Little Moonlight Can Do”.

Następnego ranka Laura i Star poszły na zakupy i Star wróciła z nowym płaszczem od Biegelmana, przecenionym o sześćdziesiąt procent, ponieważ pan Biegelman uznał, że ten płaszcz na nikim innym nie będzie wyglądał tak dobrze. Laura opowiadała, spoglądając na mnie z ukosa, na poły pytająco, na poły oskarżycielsko. Star w ogóle starała się na mnie nie patrzeć. Laura skończyła opowiadać, matka wyszła, żeby powiesić płaszcz. Wychodząc, rzuciła mi mroczne spojrzenie. Phil niczego nie zauważył, za co byłem wdzięczny losowi.

- Przez cały czas siedzieliście w domu, chłopcy? - spytała Laura.

- No pewnie - powiedział Phil. - Cholernie się napracowaliśmy, żeby wyrzucić stąd tancerki przed waszym powrotem.

Matka wpłynęła do salonu, uśmiechnęła się bardziej w moim kierunku niż do mnie i zerknęła na kanapę jak kot, który się zastanawia, gdzie się umościć. Phil odchrząknął i zaproponował coroczny świąteczny turniej szachowy. Uśmiechnęła się do niego - wydawało mi się, że z ulgą.

Zanim powstała ta tradycja, powiedziałbym, że przy łucie szczęścia moja matka potrafiła odróżnić pionek od wieży i była na tyle dobra, żeby zwyciężyć z Philem raz na cztery partie. Tym razem dziesięć minut po rozpoczęciu gry Phil zastygł i zaczął mruczeć: „Zaraz, nie rozumiem”. (Okazało się, że ten litograf z Cleveland był demonem szachownicy).

Poszedłem z Laurą do kuchni, myśląc, że ją też bawi konsternacja męża.

- Albo zrobiła duże postępy, albo Phil zapomniał, jak się gra - powiedziałem.

Laura oparła się o zlew. Moja uwaga rozplynęła się w powietrzu między nami. W jej spojrzeniu nie było ani cienia rozbawienia.

- Myślałam, że cię znam, ale teraz zaczynam się zastanawiać.

Założyła ręce na piersi.

- Nad czym?

- Wychodziłeś z domu pod naszą nieobecność?

Pokręciłem głową.

- Nie poszedłeś do miasta. Ani do Biegelmana.

- Co się dzieje? Odkąd wróciłyście, dziwnie się zachowujecie.

- To nie jest odpowiedź. - Wpatrywała się z napięciem w moje oczy.

- Nie. - Zaczęło mnie to denerwować. - Nie byłem u Biegelmana. Biegelman sprzedaje damskie ubrania. Nie byłem tam chyba nigdy w życiu. - Zmusiłem się do spokoju. - Co się dzieje?

- Pewnie to jakaś pomyłka.

Z drugiego pokoju dobiegł nas śmiech mojej matki i jej słowa:

- Phil, nie słyszałeś o Capablance?

- On nie żyje. Ja też.

- Star się o ciebie martwi. - Laura nadal przyglądała mi się uważnie.

- Nie ma o co.

- Dobrze się wysypiasz? Ciągle chodzisz wyczerpany?

Przeważnie chodziłem na wpół martwy.

- Czasami jestem zmęczony, ale to nic takiego.

- Jesteś szczęśliwy w Middlemount? Jeśli to dla ciebie za wielkie obciążenie, zawsze możesz opuścić semestr.

Znowu ogarnął mnie gniew.

- Najpierw wszyscy mnie zmuszają do studiów, teraz - żebym je rzucił. Zdecydujcie się wreszcie! - Wstrząsnąłem nią.

- Ned, myśmy cię zmusili? Tak to odczułeś?

Natychmiast pożałowałem swoich słów.

- Pomyśl, ile uczelni chciało cię przyjąć. To wspinała szansa. Poza tym brak wykształcenia bardzo przeszkadza w życiu. - Uniosła głowę i odwróciła wzrok. - Ojej. Może naprawdę cię zmusiliśmy. Ale wszyscy chcieliśmy dla ciebie jak najlepiej. - Znowu na mnie spojrzała. - Tylko ty możesz mi powiedzieć, co jest dla ciebie najlepsze, i lepiej bądź szczerzy. Nie martw się też o Phila. On uważa tak samo.

Chciała mi powiedzieć, że wytłumaczy mu, dlaczego wziąłem urlop, jeśli tego pragnąłem. Na myśl o rozczarowaniu Phila poczułem się jak zdrajca.

- Pewnie nie przestaniecie się martwić, dopóki nie będę miał samych piątek i nie wybiorą mnie na przewodniczącego.

- Hej, Ned! - krzyknął Phil z pokoju. - Twoja matka i Bobby Fischer, rozdzieleni tuż po urodzeniu, jak ci się to podoba?

- Dobrze - powiedziała Laura. - Zobaczymy, co postanowisz podczas przerwy semestralnej. A tymczasem błagam, pamiętaj, że Alexander Graham Bell wynalazł telefon, w porządku?

Przy obiedzie zdumiony Phil opisał makiaweliczne metody, za pomocą których znokautowała go moja matka. Star zjadła połowę porcji, spojrzała na zegarek i wstała. Miała przed sobą daleką drogę, pora uciekać, wielkie dzięki, do zobaczenia.

Kiedy zniosłem jej torbę, ścisnęła Laurę, otulona nowym zimowym płaszczem. Odprowadziłem ją do lincolna, zastanawiając się, czy wsiądzie i odjedzie, nie zamieniwszy ze mną ani słowa. Stanęliśmy przy drzwiach samochodu.

- Mamo - powiedziałem.

Wzięła mnie w objęcia.

- Jedź ze mną. Wrzuć parę rzeczy do walizki i powiedz tym miłym ludziom, że zostaniesz ze mną, dopóki nie przemyślisz wszystkiego.

- Co?

Cofnąłem się i spojrzałem na nią. Mówiła poważnie.

- Pomieścimy się. Możesz pracować jako kelner w „Inside the Outside”, dopóki nie znajdziemy czegoś lepszego.

Jeśli Phila znokautowała, to mnie usiłowała obrabować.

- Co się dzieje? Laura mnie nęka, żebym wziął urlop, ty nawet na mnie nie patrzysz, obie zachowujecie się, jakbym się zmienił w osobę, której nie lubicie... nie jestem tam, gdzie powinienem, jestem za chudy, kłamię... I nagle mam jechać do Cleveland... - Uniosłem ręce i potrząsnąłem głową. - Wy tłumacz mi to wszystko.

- Chcę cię chronić.

Nie mogłem się powstrzymać. Roześmiałem się.

- W Middlemount jest o wiele bezpieczniej niż w nocnym klubie w środku Cleveland.

Przez jej twarz przemknął cień jakiejś myśli, wyjaśnienia lub sprzeciwu. Wyraźnie widziałem, że ją od siebie odsuwa.

- Owszem, nie miałam szansy studiować, ale wiesz co? Praca w „Inside the Outside” nie jest taka zła.

Uraziłem ją. Gorzej, obraziłem.

- Mamo, przecież nie chciałem iść do Middlemount. To się samo stało.

- Więc wsiadaj.

- Nie mogę. - Wobec tego wyraźnego, milczącego wyzwania musiałem dodać: - Miałem mnóstwo problemów, ale potrafię sobie z nimi poradzić.

- Aha. Nie wiesz o tylu rzeczach, że nie zmieściłyby się na stadionie.

- Na przykład? - podchwyciłem, pamiętając o tym cieniu, który przed chwilą widziałem.

- Oboje, kochanie, nie wiemy wszystkiego. - Ciepło nowego płaszcza znowu mnie otuliło. Kiedy całowała mój policzek, poczułem drżenie jej ramion. Prawie się zdecydowałem wsiąść do starego lincolna i odjechać. Dwa, trzy razy pogłaskała mnie po głowie, odczekała chwilę i znowu mnie pogłaskała. - Wracaj do domu, zanim zamarniesz.

Przez parę następnych dni głównie się uczyłem.

W drodze do O'Hare Grantowie gawędzili wesoło, choć wydawało mi się, że Laura nadal jest smutna. Phil dziwił się postępom mojej matki

od ostatnich rozgrywek. Dawniej zawsze potrafił przewidzieć jej decyzje na trzy, cztery ruchy wcześniej.

- Znałem jej metody lepiej niż ona moje. Mogłem ją zaskoczyć, jednakże teraz to ona zaskakuje mnie.

- Jednakże? - podchwyciła Laura.

- Tak. Oczywiście, kiedy się osiąga ten poziom, sytuacja nigdy się już nie zmienia. Ale w tym roku Star rozgryzła moją strategię, zanim sam ją poznałem. Myślałem, że nie wie, co robi, aż zaczęła zdejmować moje pionki z szachownicy. Poziomem gry znacznie mnie przewyższyła, co znaczy, że ma niebywały talent.

- Twój jest ledwie ponadprzeciętny - odezwała się Laura z tylnego siedzenia.

- Czemu się mnie czepiasz? Ned, czepia się, prawda?

- Tak to zabrzmiało.

- Masz zły humor, kochanie?

- Boję się, że stracimy Neda.

Phil spojrział na nią we wsteczne lustro.

- Nie możemy się go pozbyć. Za parę tygodni wróci.

- Mam nadzieję.

Phil zerknął na mnie i znowu w lustro.

- Odkąd wróciłyście z miasta, Star była jakaś niespokojna, jakby zdenerwowana. Była zdenerwowana, Ned, kiedy się z tobą żegnała?

- Raczej zmartwiona - powiedziałem. - Chciała, żebym pojechał z nią do Cleveland.

- O, nie. - Laura jęknęła.

- Tak po prostu wsiadł i pojechał?

- Uprzednio pożegnał się z wami.

- Wiedziałaś - szepnęła Laura, a Phil dodał:

- A niech mnie. - Znowu spojrział w lustro. - Co powiedziałeś?

- Nieważne.

- No, nie wiem. Ned, nie da się zaprzeczyć, że twoja matka... a zawsze uważałem, że jest wspaniała...

- Coś podobnego - mruknęła Laura.
- Ty też, Lauro, daj spokój, nie da się zaprzeczyć, że Star potrafi człowieka zaskoczyć.

Usiłowałem się z nimi pożegnać w hali odpraw, ale zagadali strażników i przedarli się ze mną do bramki. Przyjechaliśmy pół godziny przed czasem. Phil poszedł obejrzeć sklep z upominkami. Laura oparła się o kanciastą kolumnę i uśmiechała się, a na jej twarzy malowało się pełno sprzecznych uczuć. Pamiętam, jak pomyślałem, że nigdy nie była tak piękna i rzadko zdarzało mi się w tak świadomy sposób pomyśleć, że ją bardzo kocham.

- Przynajmniej nie uciekłeś do Cleveland.
- Zastanawiałem się przez jakieś dwie sekundy. Wiedziałaś, że to powie?

Skinęła głową, a jej pełne ciepła oczy znowu spojrzały w moje.

- Jednak mamy ze sobą coś wspólnego, Star i ja. Obie chcemy, żeby nasz Ned był bezpieczny i szczęśliwy.

Obejrzałem się na Phila, oglądającego stojak z baseballowymi czapkami.

- Co się wydarzyło u Biegelmana? Kiedy wróciłyście, ty byłaś na mnie wściekła, a ona przebywała w innej rzeczywistości.

- Zapomnij o tym, proszę cię. Popełniłam błąd.
- Wydawało ci się, że mnie tam widziałaś?

Laura wbiła ręce w kieszenie puchówki i zgięła odzianą w błękitny dżins nogę, by oprzeć podeszwę ładnego czarnego botka o podstawę kolumny. Wsparła głowę na płaskiej powierzchni. Spojrzała na ludzi chodzących korytarzem i odruchowo uśmiechnęła się do małego chłopczyka, który, opatulony w małą puchówkę, dreptał koło swojego wózka.

- Było coś więcej.

Przed chłopczykiem otworzył się długi korytarz; mały puścił się chwiejnym biegiem, aż wreszcie przewrócił go sam pęd. Chłopczyk upadł na posadzkę z rozrzuconymi rączkami i nóżkami, jak rozgwiazda. Jego matka pochylila się, nie zwalniając kroku, podniosła go i posadziła w wózek.

- W końcu zdruzziło mi się chodzenie za Star. - Laura przyglądała się, jak matka chłopca maszeruje energicznie korytarzem. - Bardzo ją kocham, Ned, ale czasami strasznie się upiera, żeby dostać to, czego potrzebuje. - Odwróciła głowę i znowu się do mnie uśmiechnęła. - Poszliśmy do Biegelmana, znalazła dokładnie taki płaszcz jak trzeba, był przeceniony, przez cały ranek nie widziałyśmy nic lepszego, więc powinno pójść łatwo, ale nie. No tak, był trochę za drogi, lecz niezbyt. Kupiłabym go bez chwili wahania.

Pomyślałem: Każda historia zawsze kryje jakąś inną, sekretną, której nie powinno się znać.

- Ale Star nie chciała, żebym się dla niej zrujnowała, więc musiała odegrać całą scenę. Nie spodobał się jej kolor. Czy sprzedawca może znaleźć inny, jaśniejszy? Widać było, że mają taki tylko jeden i jedyna kobieta w Naperville, która mogłaby go kupić, już go ma na sobie. Pan Biegelman rzucił się na pomoc, a ja sobie poszłam. Kiedy wróciłam, twojej matki nie było. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam ją na chodniku, w tym płaszczu. Rozmawiała z tobą.

- Ze mną?

- Tak to wyglądało. Była taka nieszczęśliwa... Taka niespokojna... sama nie wiem jaka. A ty... człowiek, którego za ciebie wzięłam, odwrócił się od niej i odszedł. Ruszyłam do drzwi, ale Star wróciła i rzuciła mi to spojrzenie, no wiesz, więc nic nie powiedziałam. Pan Biegelman dał nam dodatkową zniżkę, wyjęłam kartę. Ale jednak ją spytałam - w drodze powrotnej.

- Co powiedziała o tym człowieku?

Laura oderwała się od kolumny.

- Najpierw, że żadnego człowieka nie było. Potem, że zapomniała, przyszedł jakiś obcy i spytał o drogę. Później się rozplakała. Nie chciała, żebym to zauważyła i prawdę mówiąc, o wiele bardziej interesowało mnie, co usłyszę od ciebie, bo Star nie zamierzała mi nic powiedzieć. Ale to nie byłś ty, więc się pomyliłam. Najwyraźniej.

- Chyba tak.

Zapowiedziano mój lot, Phil chwycił mnie w objęcia i powiedział, że jest ze mnie dumny. Laura ścisnęła mnie dłużej i mocniej. Powiedziałem, że ją kocham, ona, że też mnie kocha. Podałem bilet, wstąpiłem w gardziel korytarza i obejrzałem się. Phil się uśmiechał, Laura wpatrywała się we mnie, jakby chciała się nauczyć mojej twarzy na pamięć. Pomachałem do nich. Podnieśli prawe ręce, identycznie, jakby przysięgali na Biblię. Otoczyli mnie inni pasażerowie, wokół zaroilo się od kurtek i podręcznych toreb, tłum pociągnął mnie za sobą.

10.

Middlemount zamknęło się wokół mnie jak pięść. Na tydzień przed egzaminami wróciłem na dobre do starej rutyny, przemykałem pomiędzy salami, pracą i biblioteką i często zasypiałem nad otwartą książką z zamęt w głowie. Czasami wydawało mi się, że jedna mroźna noc ciągnie się za drugą, bez przerywnika w postaci światła dziennego; niekiedy spoglądałem na zegarek, widziałem wskazówki na czwartej i nie potrafiłem się zorientować, co przegapiłem: tak bardzo mi potrzebne godziny snu czy też wykłady albo szychtę wśród garnków i patelni.

Pierwszego dnia egzaminów zdawałem angielski i francuski, drugiego historię, potem był dzień przerwy, następnie chemia i wreszcie rachunek różniczkowy. Pamiętam, że w poniedziałek i wtorek wchodziłem do jasnych klas, zajmowałem miejsce, wyciągałem niebieskie zeszyty i arkusze egzaminacyjne i myślałem, że jestem tak opóźniony, że nie zrozumie nawet pytań. Potem słowa zaczynały wskakiwać na miejsce, ciemności się rozpraszały i wkrótce, jakby dzięki transmisji radiowej, a nie procesom myślowym, w mojej głowie pojawiały się spójne zdania. Zapisywałem je, dopóki błękitne zeszyty się nie wypełniły, a wtedy przestawałem.

W środę wieczorem zasnąłem przy biurku. Obudziło mnie głośne pukanie. Otworzyłem i z zaskoczeniem ujrzałem Simone Feigenbaum, którą znałem z francuskiego. Stała przede mną, jak zwykle ubrana na czarno. Była ze Scarsdale. Paliła gitane'y i należała do frakcji Boba Dylana i Leonarda Cohena. Podejrzenie, że prawdopodobnie chce pożyczyć podręcznik, uleciało, gdy Simone weszła do pokoju i zarzuciła mi ręce na szyję. W środku długiego pocałunku rozpięła mi rozporek i sięgnęła do środka z komiczną brawurą.

Moje ciuchy poleciały na wszystkie strony, jej pofrunęły nad głową. Padliśmy na wąskie łóżko.

Nagle Simone Feigenbaum była wszędzie, nade mną, pode mną, obok mnie, jej piersi na mojej twarzy, potem jej brzuch, potem pośladki, potem twarz i oboje miotaliśmy się jak tłoki, aż nagle tak jakby mnie wyrzuciło na lewą stronę. Jej piersi musnęły mi twarz i nagle znowu mi stanął, choć właściwie wcale nie opadł, i zaczęliśmy od nowa, tylko wolniej. I jeszcze, raz za razem, aż rozboleły mnie uda, a penis zwisał bezwładnie jak biała flaga. Miałem osiemnaście lat i byłem prawiczkiem - z technicznego punktu widzenia.

Około szóstej rano Simone ześliznęła się z łóżka i ubrała się. Spytała, czy mam dziś egzamin.

- Chemia - powiedziałem.

Wyjęła fiolkę, wytrząsnęła na rękę jedną pigułkę i zostawiła na moim biurku.

- Weź to na kwadrans przed wejściem. To czarodziejska pigułka. Zadziwisz sam siebie.

- Simone, po co tu przysłaś?

- Żeby cię przelecieć przynajmniej raz, zanim cię wyrzucą. - Otworzyła okno mojego pokoju na parterze i wyskoczyła na śnieg. Zamknąłem okno i przespałem parę godzin.

Pigułkę połknąłem w drodze na egzamin. Kolejna jasna sala, kolejna przerażająca ławka. Kiedy rozdawali nam niebieskie zeszyty i arkusze,

czułem się, jakbym nie wziął nic mocniejszego od kawy. Otworzyłem zeszyt, odczytałem pierwsze pytanie i odkryłem, że nie tylko doskonale je rozumiem, ale wręcz widzę odpowiednie strony w podręczniku, jakby ktoś mi go podsunął pod sam nos. Pod koniec godziny zapełniłem trzy zeszyty i odpowiedziałem na prawie wszystkie - z wyjątkiem jednego - pytania dodatkowe. Wyfrunąłem z klasy i wypilem litr zimnej wody z kranu.

Do egzaminu z rachunku różniczkowego zostały mi dwadzieścia dwie godziny. Poszedłem z gitarą do świetlicy i przez całe popołudnie grałem lepiej, niż się o to podejrzewałem. Zrezygnowałem z kolacji i zapomniałem o pracy. W zamian przypomniałem sobie akordy do „Skylark” i wers z „But Not for Me”. Wiedziałem, kogo moja matka spotkała na chodniku przed sklepem Biegelmana - mnie. Tego prawdziwego. Po sześciu, siedmiu godzinach powiedziałem: „Muszę wykuć na pamięć książkę z matmy” i wróciłem do pokoju w burzy oklasków.

Kiedy otworzyłem podręcznik, okazało się, że już znam na pamięć każdą jego kartkę, włącznie z przypisami. Wyciągnąłem się na łóżku i zauważyłem, że pęknięcia na suficie układają się w symbole matematyczne. Ktoś ryknął: „Dunstan, telefon!”. Podryfowałem do telefonu i usłyszałem Simone Feigenbaum, spytała, jak się czuję. Świetnie, powiedziałem. Pigułka pomogła? Chyba tak. Chcę następną? Nie, ale może mogłaby mnie dziś odwiedzić.

- Żartujesz? - Roześmiała się. - Wszystko mnie boli. Poza tym muszę kuć do ostatniego egzaminu. Potem jadę do domu, ale zobaczymy się po przerwie.

Wylewitowałem do swojego pokoju i położyłem się. Sen nadszedł dopiero o siódmej rano, kiedy nieprzenikniony mrok spelzł ze ścian i kątów i odeskortował mnie w niepamięć.

Ktoś, kto mógł, ale nie musiał być mną, miał na tyle rozumu, żeby nastawić budzik na godzinę przed egzaminem. Ten sam ktoś przeniósł budzik na biurko, co zmusiło mnie do wstania, kiedy rozległ się jazgot.

Skoro już wstałem, powlokłem się pod prysznicę i stałem pod gorącymi i lodowatymi biczami, uświadamiając sobie pomału, że przespałem śniadanie i obiad, a zanim zaspokoję głód, będę musiał przeżyć egzamin z matmy. Przetrzęsnałem szuflady biurka, znalazłem pół paczki m&msów, całą puszkę orzeszków i zielonkawę, zasolone resztki na dnie torebki chipsów. Zeżarłem to świństwo w drodze na egzamin. Profesor Flagship chodził od krzesła do krzesła, rozdając grube pliki kartek pełnych wzorów matematycznych.

- Należy wybrać jedną właściwą odpowiedź spośród kilku podanych. Przeczytajcie je, a w niebieskich zeszytach zapiszcie obliczenia. - A do mnie powiedział: - Życzę szczęścia, panie Dunstan.

Mam wrażenie, że mniej więcej rozumiem parę pierwszych zagadnień. Reszta była napisana w języku staroskandynawskim. Nieustannie zapadałem w dwu-, trzy sekundowe drzemki. Od czasu do czasu gryzmoliłem coś na stronie albo zapisywałem przypadkowe słowa, które przepęłzały mi przez mózg. Pod koniec godziny rzuciłem arkusz i zeszyty na stertę na stole i poszedłem do studenckiego baru, gdzie piłem piwo aż do powrotu nieświadomości.

Znowu miałem ten sen.

Przez cały następny dzień leżałem w łóżku, słuchając trzaskania samochodowych drzwiczek i pożegnalnych wrzasków. Ponieważ nie pamiętałem, że poszedłem do baru, nie rozumiałem, skąd ten monstrualny kac. Jak mogłem się go nabawić? Prawie nie piłem. I to do tego stopnia, że zacząłem się podejrzewać o jakąś nową efektowną odmianę grypy.

Wspomnienia wróciły jak rozbłyski, jak urywki snu. Widziałem, jak moja ręka dodaje karykaturalną twarz profesora Flagshipa do ciała lwa o krótkich, masywnych skrzydłach, wystających piersiach i sterczącym penisie. Przez sekundę zobaczyłem niewielkie bujne ciało Simone Feigenbaum i pomyślałem: hej, to się naprawdę wydarzyło. Otworzyłem

niebieski zeszyt, żeby odświeżyć wspomnienia, i schludnymi drukowanymi literami napisałem: GŁÓWNĄ PRZYCZYNĄ PROBLEMÓW SĄ ROZWIĄZANIA. Przypomniałem sobie, że rzuciłem moje arkusze na biurko profesora, a wiele godzin później patrzyłem, jak sztywny, zgorszony barman przesuwając ścierką po dziesięciu centymetrach lakierowanego mahoni i stawia na nim szklanekę z wianuszką piany. Zdałem sobie sprawę, gdzie byłem i co zrobiłem. Egzamin dobiegł końca, była sobota i w miasteczku akademickim zaroilo się od rodziców, którzy przyjechali po swoje dzieci. Inni studenci, prawdopodobnie łącznie ze mną, mieli pojechać na lotnisko autobusem.

Świat, w którym ludzie pakowali walizki i wsiadali do samochodów ojców, wydawał się bardzo odległy od mojego. Kulilem się w łóżku, dopóki okno nie pociemniało i nie odjechał ostatni samochód.

Zgodnie z tradycją nasi wykładowcy umieszczali wyniki egzaminów w oszklonej gablocie, zanim jeszcze wysłano je do domów studentów. Po przerwie wokół gabloty zgromadzi się tłum sprawdzający stopnie kolegów. Spodziewałem się, że stopnie z angielskiego i francuskiego nadejdą w poniedziałek, z historii nie później niż we wtorek, z chemii we wtorek lub środę. Co do chemii miałem wielkie nadzieje. Matematyka - ta mnie przerażała - prawdopodobnie nie powinna się objawić aż do środy.

Grantowie spodziewali się, że zjawię się u nich w niedzielę po południu. Miałem do nich zadzwonić w sobotę, żeby to potwierdzić. Bilet już czekał na mnie na lotnisku. Kiedy poczułem się zdolny do wydobywania z siebie ludzkiego głosu, zadzwoniłem na rachunek odbiorcy do Naperville i wśród przesadnych okrzyków opowiedziałem, że przyjaciel zaprosił mnie na Barbados, więc jeśli nie mają nic przeciwko... Jego siostra zrezygnowała, toteż mogę zająć jej miejsce, bilety już są opłacone, a jego rodzina nie ma nic przeciwko, bo będę mieszkać razem z nim, dzięki czemu oszczędzą na cenie pokoju...

Grantowie powiedzieli, że przykro im, że mnie nie zobaczą, ale ferie wiosenne są tuż-tuż. Phil spytał, czy za tą wycieczką kryje się jakaś

dziewczyna. Nie, powiedziałem, jadę z Clarkiem Darkmundem - był to opętany pornolami cherubinek z Minnesoty, który przeniósł się do je-dynki obok mnie po sprzeczce z byłym współlokatorem Stevenem Glucksmanem - z Great Neck na Long Island - na temat filozofii wyrażonej w „Mein Kampf”. Tak, powiedziałem, Clark to interesująca postać. I świetnie się z nim rozmawia.

- Jak poszły egzaminy? - spytał Phil.

- Zobaczymy.

- Znam mojego Neda. Zaskoczysz sam siebie.

Po kolacji w stołówce wróciłem do miasteczka akademickiego. Na ścieżce prowadzącej do mojego akademika pojawił się znikąd niemiecki student z wymiany, niejaki Horst, który wyglądał jak model z „Esquire”. Horst mógłby przypominać Clarka Darkmunda, ale nie miał w sobie nic z cherubina. Uśmiechnął się do mnie.

- I znowu razem, sami w tym opustoszałym miejscu. Skoro jesteś trzeźwy, chodźmy do mojego pokoju i bardzo, bardzo powoli się rozbierzmy.

Jego propozycja nie poprawiła mi humoru, a moja reakcja zaskoczyła mnie chyba bardziej niż Horsta.

- Mam w kieszeni nóż - powiedziałem. - Jeśli natychmiast się stąd nie zabierzesz, flaki ci zamarzną, zanim się zorientujesz, co się stało.

- Ned. - Spojrzał na mnie wstrząśnięty. - Czyżbyśmy nie zawarli porozumienia?

- Dobrze. Liczę do trzech. Proszę bardzo. Raz.

Uśmiechnął się czarująco.

- Przedmiot w twoich spodniach jest bez wątpienia okazalszy od noża.

- Dwa.

- Nie pamiętasz naszej wczorajszej rozmowy?

Włożyłem rękę do kieszeni i zacisnąłem palce na resztkach rolki dropsów.

Horst zniknął w ciemnościach z naburmuszoną miną.

Następnego ranka przejrzysty słoneczny blask lunął z czystego, twardego lazuru nieba. Wyraźne cienie bezlistnych topoli rozpostarły się na roziskrzonym śniegu.

W towarzystwie własnego wyraźnego cienia poszedłem do Middlemount i zacząłem się snuć po ulicach, popijając kawę i skubiąc szarlotkę. Kościelne dzwony ogłaszały początek lub koniec nabożeństwa, nie wiem jakiego. Oglądałem wystawy sklepowe i objąłem się. Znowu odezwały się dzwony. W lejącym się świetle wróciłem do college'u, na skrzyżowaniu ulic tytułem eksperymentu skręciłem w lewo zamiast w prawo i wkrótce znalazłem się na skraju gęstego lasu. Spłwiałe litery na drewnianej tablicy przybitej do pnia dębu głosiły: LAS JONESA.

W tamtym momencie rozumiałem tylko tyle, że jeśli wejść do lasu, poczuje się lepiej, dlatego zszedłem z ubitej drogi i zanurzyłem się między drzewa.

Natychmiast zrobiło mi się lepiej. Jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki poczułem się jak w domu, no może nie tyle w domu, ile na swoim miejscu. Przez skrzypiący śnieg, tak ubity, że ledwie odciskały się na nim ślady moich butów, wędrowałem między drzewami, aż dotarłem do kręgu klonów i usiadłem w jego środku, pogodzony ze sobą bardziej niż kiedykolwiek od przyjazdu do Vermontu. Moje łęki ustąpiły, ujrzałem przed sobą dobre perspektywy. Jeżeli rzucę studia, to też będzie dobrze. Zawsze mogłem pracować jako kelner w „Inside the Outside”, ewentualnie ożenić się z Simone Feigenbaum i przejść na jej utrzymanie. Wiewiórki o gęstej zimowej sierści zbiegały w dół po pniach i skakały przez szklisty śnieg. W końcu zaczęło się zmierzchać, a drzewa przysunęły się do siebie. Wstałem i odszedłem.

W poniedziałek rano poszedłem do miasta, kupiłem długie salami, kawałek cheddara, masło orzechowe, chleb, chipsy ziemniaczane i dwie paczuski orzechowych m&msów, litr mleka i sześciopak coca-coli. W

pokoju obłożyłem chleb plasterkami sera i salami i popiłem colą, łyżkami zajadałem masło orzechowe. Potem włożyłem płaszcz i pobiegłem do gabloty, żeby sprawdzić wyniki. Z angielskiego dostałem czwórkę z plusem z egzaminu i czwórkę z plusem na semestr, z francuskiego czwórkę i czwórkę, co było rozczarowujące, choć do przewidzenia. Historia, co do której sądziłem, że poszła mi dobrze, okazała się katastrofą. Trójka z egzaminu zaniżyła mi stopień na semestr do czwórki z minusem. Jednym z warunków, pod jakimi dostałem stypendium, było utrzymanie określonej średniej; liczyłem na czwórkę z historii, która miałaby zrównoważyć troję albo nawet i coś gorszego z dwóch pozostałych przedmiotów.

Cofnąłem się o krok i kątem oka wychwyliłem jakiś ruch po lewej. Zza kolumny u szczytu schodów przed biblioteką przyglądał mi się Horst. Wyraz jego twarzy - niemal królewska cierpliwość - sugerował, że Horst stoi tam od jakiegoś czasu. Wyjął z kieszeni dłoń w rękawiczce i pomachał mi powoli, ironicznie. Spuściłem głowę i najbliższą ścieżką ruszyłem w przeciwnym kierunku. Wracałem na swoje miejsce.

Ledwie znalazłem się na polance, troski o egzaminy i średnie uleciały w krystaliczne powietrze. Przez nieokreślony czas stałem się rejestrującym wszystko okiem. Wiewiórki powtarzały swoje komiczne wyczyny. Spomiędzy klonów wyłonił się lis, zastygł i cofnął się jak na puszczonego wstecz filmie. Kiedy zaczęło zmierzchać, niechętnie podniosłem się ze śniegu.

We wtorek rano aż do jedenastej tchórzliwie kuliliśmy się w łóżku, a kiszki grały mi marsza. W końcu wstałem, łyknąłem mleka z kartonu, pożarłem kawał chleba z serem i wróciłem do łóżka na kolejną serię ćwiczeń oddechowych. Wreszcie zdołałem się dowlec pod prysznic. Niewykluczone, że wyniki z chemii zostaną ogłoszone dziś po południu. Profesorowie wywieszali stopnie przed trzecią, więc parę minut po trzeciej popędziłem do gablotki. Wyniki mojej grupy nie zostały wywieszane. Wypchałem kieszenie niezdrowym żarciem, a w drodze

do mojego sanktuarium zajrzałem do ceglanego bunkrowatego budynku, w którym mieściła się studencka poczta, żeby sprawdzić, czy są do mnie listy.

W szklane drzwiczki mojej skrzynki pocztowej wetknięto niczym list z bombą kremową kopertę bez znaczka, zaadresowaną do „Pana Neda Dunstara”. Na odwrocie widniał adres dziekanatu do spraw studenckich.

Drogi Panie,

Z żalem powiadamiam o problemie, który naświetlił mi pan Roman Polk, kierownik personelu stołówki Middlemount College, odpowiedzialny między innymi za zarządzanie etatowymi pracownikami kuchni, jak również studentami, którzy w ramach programu stypendialnego otrzymali zatrudnienie jako personel pomocniczy.

Pan Polk poinformował mnie, iż nie zjawił się pan na siedmiu z dziesięciu dyżurów. Co więcej, poprzednio brał pan dziewięć razy zwolnienie z powodów zdrowotnych. Kwestia ta bardzo nas niepokoi.

Spotkanie w sprawie zarzutów pana Polka odbędzie się w moim gabinecie o 7.30 pierwszego dnia po przerwie, to jest 20 stycznia. Nadal pozostaje pan cenionym członkiem społeczności Middlemount, a jeśli z jakiegoś powodu praca w stołówce okazała się niekomfortowa, możemy zastanowić się nad innym przydziałem. Tymczasem życzę powodzenia na egzaminach.

Z poważaniem

Clive Macanudo,

dziekan do spraw studenckich

Wyłoniłem się z małego jak cela budynku mieszczącego nasze skrzynki pocztowe i kogóż to ujrzałem na cementowej dróżce, wspaniałego w ciemnozielonym lodenowym płaszczu, ze świeżymi śladami grzebienia na gęstych włosach? Horst równie dobrze mógłby nosić tyrolski kapelusik z piórkiem. Spojrzał na list wystający mi z kieszeni.

- Wszystko w porządku?
- Przestań za mną łązić, zboczeńcu! - Usiłowałem go obejść.
- Zapomnij, proszę, o tamtej nocy. - Stał mi na drodze. - Popelniłem błąd. Źle zrozumiałem naszą krótką rozmowę.

Najwyraźniej w tamten piątek rozmawiałem z nim w studenckim barze i całkiem o tym zapomniałem. Bardzo mnie to cieszyło. Udało mi się zapomnieć większość piątkowych wydarzeń i z całą pewnością nie miałem ochoty pamiętać niczego, co powiedziałem Horstowi.

- Świetnie - odparłem. - Ale jak nie przestaniesz za mną łązić, potnę cię.

- Ned, no naprawdę, błagam! - Cofnął się i uniósł ręce. - Nie wyglądasz za dobrze. Pytam cię jako kolega, wszystko w porządku? Czy coś się stało?

- No i znowu. Liczę do trzech, pamiętasz? Raz...

- Ned, bardzo cię proszę, nawet nie masz noża. Prawdę mówiąc, jesteś tak samo niebezpieczny jak króliczek. - Opuścił ręce z uśmiechem.
- Pozwól, postawię ci kawę. Możesz mi streścić swoje problemy, ja ci wyjaśnię, jak je rozwiązać, potem zanudzę cię swoimi, potem wypijemy po piwie i dojdziemy do wniosku, że nasze kłopoty wcale nie są takie poważne.

- A potem pójdziemy do twojego pokoju i rozwiążemy twoje nudne problemy, rozbierając się bardzo, bardzo powoli.

- Nie o tym mówię. Słowo honoru, proponuję ci jedynie pomoc.

- Więc zejdź mi z drogi.

Ruszyłem na niego i faktycznie odsunął się z drogi.

Tego samego dnia późnym popołudniem siedziałem zmarznięty u stóp wielkiego dębu i wsłuchiwałem się w głęboki, niemal niedosłyszalny dźwięk, jakby przedostający się przez zwały śniegu warkot ogromnej maszyny. Urywki piskliwej muzyki dobiegały albo z samego powietrza, albo spomiędzy gałęzi, przyniesione podmuchem wiatru. W wibrującym muzyką powietrzu pojawiły się ziarna ciemności, te ziarna

zaczęły się ze sobą zlewać i ciemność przysłoniła światło.

W środę rano zobaczyłem oparty o drzwi futerał gitary. Ten widok natychmiast natchnął mnie myślą wzbogacenia muzyki Lasu Jonesa. Wskoczyłem z łóżka.

Po śniadaniu, złożonym z chipsów ziemniaczanych ze skwaśniałym mlekiem, poszedłem do miasteczka akademickiego, czujnie wypatrując Horsta. Nie pojawił się. Podobnie jak moje wyniki z chemii, choć reszta zawisa już w gablocie. Przy wszystkich nazwiskach widniały stopnie, tylko przy moim widniał skrót „bp”, brak pracy. Powlokłem się do mojego pokoju, wypchałem kieszenie płaszczem dzienną racją żywnościową i przypomniałem sobie przy okazji o wczorajszym liście. Jeszcze raz zanurzyłem się w mrok poczty i znalazłem w skrzynce przyciśniętą do szybki następną urzędową kopertę. Clive Macanudo, rozdział drugi. Tym razem moje nazwisko było napisane poprawnie.

Drogi Panie,

Przepraszam za pomyłkę w pisowni pańskiego nazwiska w poprzednim liście.

Dziś rano profesor Arnold Medley z wydziału chemii zwrócił się do mnie w związku z pańską pracą egzaminacyjną. Profesor Medley jest niezwykle zaskoczony pańskimi osiągnięciami. Jest pan autorem jedynej doskonalej pracy w długiej historii pracy pedagogicznej Pana Profesora, a po rozwiązaniu dodatkowych zadań otrzymał pan 127 na 100 możliwych punktów, co równa się ocenie celującej.

Profesor Medley uważa, iż żaden student osiągający konsekwentnie wyniki poniżej poziomu dostatecznego lub na poziomie dostatecznym nie zdołałby tak zrozumieć przedmiotu, by bez nielegalnej pomocy zaliczyć egzamin na ocenę celującą. Opowiedziałem się po pańskiej stronie. Profesor Medley zgodził się, że nie zauważył jakiegokolwiek oszustwa z pańskiej strony i nie ma dowodu, że osiągnął pan takie wyniki nieuczciwie. Jednak sytuacja wydaje się mu tak anormalna, że obstaje przy swoich podejrzeniach.

Osiągnęliśmy następujący kompromis: ponownie złoży pan egzamin z chemii w warunkach ścisłej kontroli. Proponuję godzinę 7.45 w piątek, jeśli jest pan obecny na terenie uniwersytetu, jeśli zaś nie, 20 stycznia o godzinie 6.30, bezpośrednio przed naszym spotkaniem w związku z oskarżeniami pana Polka. Egzamin odbędzie się w moim gabinecie, w obecności profesora Medleya i mnie. Pozwalam sobie doradzić wykorzystanie najbliższych dni na naukę.

*Z poważaniem,
Clive Macanudo,
dziekan do spraw studenckich*

Zwykle w chwili, gdy wchodziłem do lasu, otaczało mnie kojące poczucie, że jestem u siebie. Szum w uszach ustępował miejsca skrzygnięciom oszronionych gałęzi, pokrzykiwaniom ptaków, trzaskom i puknięciom, którymi wiewiórki zdradzały swoją trasę. W końcu zacząłem słyszeć tremolo lśniących sopli, a jeszcze potem głęboki bas mrużący spod śniegu. Otworzyłem futerał, wyjąłem gitarę i z szacunkiem umieściłem w zagłębieniu między zgarbionymi ramionami i udami.

Następnego ranka, tuż po południu, obudziłem się, ale nie pamiętałem, w jaki sposób wróciłem. Wygrzebałem się chwiejnie z łóżka, kichnąłem głośno i wbiłem się w pierwsze lepsze ciuchy. Z przyzwyczajenia zatrzymałem się po drodze na pocztę. W skrzynce widniał przyciśnięty do prostokątnej szybki następny list.

- Clive, najdroższy - powiedziałem i z wielkim zaciekawieniem wyjąłem kopertę.

*Drogi Panie,
Dziś rano ponownie odwiedził mnie jeden z pańskich profesorów. Pańska pozycja w Middlemount jest poważnie zagrożona.*

Profesor Roger Flagship poprosił mnie o przejrzenie trzech zeszytów z pańskimi rozwiązaniami zadań z egzaminu ze wstępnego kursu rachunku różniczkowego. Profesor Flagship poinformował mnie, że w zeszytach tych miały się znaleźć obliczenia. Powiadomił mnie także, że zamierza podjąć kroki niezbędne do wydalenia pana z Middlemount College. Nie tylko nie zdał pan egzaminu, dając jedynie dwanaście poprawnych odpowiedzi na sto możliwych, lecz zakpił pan z Pana Profesora oraz jego zajęć. Profesor Flagship zwrócił moją uwagę na pewne obsceniczne karykatury w zeszytach.

Profesor Flagship twierdzi także, że wieczorem po egzaminie pojawił się pan w jego gabinecie, błagając o zwrot zeszytów i pozwolenie na powtarzanie kursu. Kiedy odmówił i usiłował ochronić zeszyty, których jeszcze nie sprawdził, popchnął go pan na krzesło i uciekł. Pan Profesor złożył pańskie zachowanie na karb hysterii i postanowił nie informować mnie o zajściu. Jednak po zapoznaniu się z zawartością zeszytów zmienił zdanie.

Po dogłębnym zastanowieniu i rozważeniu poprzednich spraw proszę Pana o stawienie się na spotkanie 20 stycznia z wszelkimi dokumentami, również aktami dotyczącymi leczenia psychiatrycznego, które mogłyby mi pomóc w obronie pańskiej pozycji w Middlemount College.

Dla udogodnienia w poszukiwaniu dokumentów wysyłam kopię tego listu do pańskich opiekunów, państwa Grant z Naperville w Illinois.

*Z poważaniem
Clive Macanudo,
dziekan do spraw studenckich*

Wysmarkałem się w jego list i wyrzuciłem go do kosza, bardziej zaniepokojony tym, że list trafi do Grantów, niż rychłym wydaleniem ze studiów. Phil i Laura rozumieją, że to, co robię, jest o wiele ważniejsze niż ta papka, którą karmią mnie na lekcjach.

W drodze do środka wszechświata zauważyłem mgnienie zielonego lodenowego płaszcza i fali jasných włosów pomiędzy drzewami na

zachodnim krańcu miasteczka uniwersyteckiego. Zakochany intruz zniknął w chwili, gdy znowu się obejrzałem. Wyrzuciłem go z myśli.

Po godzinnej medytacji zdołałem usłyszeć muzykę w powietrzu, po kolejnej godzinie muzykę dodaną przeze mnie, po czym narastające wrażenie, że nie jestem zupełnie u siebie, poderwało mnie na równe nogi i popchnęło w głąb lasu, gdzie dotarłem do ruin chatki. Otworzyłem skrzypiące drzwi i powiodłem wzrokiem po przegniłych drewnianych ścianach, jednym wybitym oknie, brudnych piórach, małych szkieletach i wyschniętych zwierzęcych odchodach na podłodze. Zrozumiałem, że to wreszcie to, że tu dopiero jestem u siebie. To miejsce także było instrumentem. Muzyka sączyła się tutaj nieprzerwanie, muzyka wiatru świszczącego w szparach w deskach, biegających po strychu wiewiórek. Przez błogą godzinę upajałem się dodawaniem własnego akompaniamentu i zanim zrobiło się ciemno, pobiegłem do swojego pokoju po koce i żywność. Wróciłem, nim zapadł zupełny zmrok.

Chatka wyłoniła się z otaczających ciemności jak wysoki cień w świętym lesie. Słabe dźwięki muzyki wzywały mnie, toteż pobiegłem przez śnieg i otworzyłem skrzypiące drzwi. Ledwie wszedłem, natychmiast runąłem w dół przez gnijącą podłogę. Spadałem; niczego nie widziałem, niczego nie czułem. Podłużny, zaniedbany, niegdyś przytulny pokój zmienił kształt na moich oczach. Poza moim polem widzenia jakiś człowiek mówił o dymie, złocie i trupach na polu bitwy. W głowie czułem pulsowanie, żołądek mi się skurczył. Na gzymsie nad kominkiem stała wędnąca paprotka, wypchany lis pod szklanym kłosem i mosiężny zegar z wahadłem obracającym się w lewo - prawo, prawo - lewo. To była przeszłość, cofnąłem się, kiedyś tu byłem. Padłem na kolana na wytarty orientalny dywan. Zanim zwymiotowałem, świat się rozprysnął i znów się scalał, a treść mojego żołądka bluznęła na zniszczoną podłogę. Dom, pomyślałem.

11.

Dopóki jeszcze mogłem się pokazać ludziom, poszedłem do miasta po konserwy i sprzęt biwakowy. Kupiłem śpiwór i lampę na baterie. Ponieważ odkryłem, że kominek nadaje się do użytku, nabyłem też węgiel w torbach, siekierę, mnóstwo podpałki, ruszt i mrożone mięso, które zakopałem w śniegu i rozmrażałem nad ogniem wyczarowanym z węgla i kawałków suchego drewna. Czasami w nocy szopy wkradały się do domu przez szpary w podłodze i zasypiały przed przygasającym ogniem jak psy. Pod koniec mojego czterdziestopięciodniowego pobytu w chatce, kiedy pojawienie się w mieście doprowadziłoby do aresztowania lub zamknięcia w szpitalu, zakradałem się w nocy do stołówki i wziąłem wszystko, czego nie zdołałem zjeść na miejscu. Resztę czasu zajęła mi muzyka lasu, muzyka natury, muzyka planety. Zaziębienie zmieniło się w zapalenie płuc, a gorączkę, poty i wyczerpanie uważałem za oznaki łaski.

Wszyscy bali się, że utrata stypendium pchnęła mnie do samobójstwa. Phil i Laura przybyli do Middlemount i wzięli udział w poszukiwaniu moich hipotetycznych szczątków. Poblady Clark Darkmund oznajmił, że nie tylko nie zaprosił mnie na wyjazd z rodziną na Barbados, ale całe ferie spędził w Hibbing w Minnesocie. Policja przeszukała tereny miasteczka akademickiego - z zerowym skutkiem. Zabójcza fotografia ze szkolnej książki skojarzyła się pewnemu właścicielowi sklepu z Main Street z niedawnym klientem, ale nie miał pojęcia, dokąd mógł się udać ów klient po opuszczeniu jego sklepu. Grantowie rozwiesili moje zdjęcia w całym mieście i na terenie uczelni, po czym wrócili do Naperville.

Horst nie raczył zauważyć listów gończych. Uznał, że się przed nim ukrywam. Kiedy wreszcie przypadkiem dostrzegł podobieństwo gościa na fotografii do mnie, zgłosił się do dziekana Macanudo. Godzinę później już prowadził oddział miejscowej policji i sanitariuszy do Lasu

Jonesa. Znaleźli mnie zgarbionego nad spaczoną gitarą, szarpiącego dwie ocalałe struny i bezceremonialnie przetoczyli mnie na nosze.

Na widok zjawy Horsta, spoglądającej na mnie znad postawionego kołnierza lodenowego płaszcza, spytałem:

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że się za mną włóczęysz?
- Powiedziałaś, żebyś się pilnowała - powiedziała zjawa.

W niepożądanym porywie zdrowych zmysłów spojrzałem w nowy sposób na łuszczące się ściany i niechlujne koce na podłodze. Wszystko to było poważnym błędem. Horst był prawdziwy, a ja się pomyliłem. To miejsce nigdy nie miało nic wspólnego z tym, za które je wziąłem.

Pierwszym moim gościem w szpitalu Middlemount był dziekan Clive Macanudo, przyziany dyplomata, którego cienki wąsik i miętowy oddech nie zdołały całkowicie zatuszować zgrozy na myśl o postępowaniu, jakie ja lub moi opiekunowie moglibyśmy wszcząć przeciwko uczelni. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym wnieść sprawę przeciwko Middlemount, podobnie jak Laurze, która zjawiała się drugiego dnia mojego pobytu w szpitalu. Phil nie dostał urlopu, przynajmniej tak powiedziała, i choć jego nieobecność oznaczała, że możemy swobodnie rozmawiać, widok jej znękaney twarzy i ciężar mojej winy były nie do zniesienia. Dwa dni później Laura wróciła do hotelu, żeby się zdrzemnąć, a ja wypisałem się ze szpitala, pojechałem do miasta, minąłem hotel, skręciłem na przystanek autobusowy i uciekłem.

Od tego czasu nigdzie nie zatrzymywałem się dłużej. Pracowałem w sklepach, barach, namawiałem ludzi, żeby kupowali rzeczy, których nie potrzebowali. Mieszkałem w Chapel Hill, Gainesville, Boulder, Madison, Beaverton, Sequim, Evanston i miasteczkach, o których nie ma się pojęcia, chyba że się jest z Winsconsin lub Ohio. Około roku spędziłem w Chicago, ale nigdy nie pojechałem do Edgerton ani Naperville. Kiedy mieszkałem w jednym miejscu dość długo, żeby znaleźć się w książce telefonicznej, Star zaskoczyła mnie parę razy, dzwoniąc do

mnie lub wysyłając kartkę. Trzy, cztery razy do roku dzwoniłem do Grantów i usiłowałem ich przekonać, że nie jestem nieudacznikiem. W 1984 roku Phil, który w życiu nie zapalił papierosa, umarł na raka płuc. Pojechałem na jego pogrzeb i przez parę dni mieszkałem w swoim dawnym pokoju. Rozmawialiśmy z Laurą do późna. Była jeszcze piękniejsza niż dotąd. Czasami trzymaliśmy się w objęciach i płakaliśmy nad wszystkim, czego nie da się cofnąć. Dwa lata później powiedziała, że znowu wychodzi za mąż i przeprowadza się na Hawaje. Jej nowy mąż, emerytowany prawnik, miał wielką posiadłość na Maui.

Od czasu do czasu zdarzało mi się, że podchodził do mnie jakiś obcy człowiek i cofał się, zażenowany lub rozdrażniony, kiedy go nie poznawałem. Coś takiego zdarza się niemal wszystkim. Przy stanowisku Greyhounda w Omaha jakaś kobieta około trzydziestki wzdrygnęła się na mój widok, chwyciła za ramię mężczyznę, który stał obok, i pociągnęła go w stronę autobusu. Dwa lata później starsza pani w futrze podeszła do mnie na lotnisku w Denver i uderzyła mnie w twarz tak mocno, że na twarzy odbił mi się ścieg jej rękawiczki. Na rogu ulicy w Chicago ktoś chwycił mnie za kołnierz i szarpnięciem zepchnął z drogi pędzącej taksówki. Kiedy się rozejrzałem, chłopiec w czapce narciarskiej powiedział:

- Kurczę, ale szybko uciekł!

Świetnie. Innym razem jakiś facet koło mnie w barze, nie pamiętam nawet gdzie, powiedział, że nazywam się George Peters i że byłem jego nauczycielem historii w Tulane.

Czasami wydaje mi się, że wszyscy znani mi ludzie czuli, że brakuje im jakiejś tajemniczej, lecz bardzo ważnej cechy, że wszyscy chcieli odszukać to niedające się odnaleźć miejsce, w którym byliby u siebie, i od czasów Adama w rajskim ogrodzie życie jest pełne tego bólu. Tuż

przed moimi dwudziestymi szóstymi urodzinami znalazłem pracę w dziale sprzedaży telefonicznej firmy komputerowej z Durham w Karolinie Północnej i szło mi tak dobrze, że dostałem posadę, która zmusiła mnie do zapisania się na kurs programowania. Nawet się nie obejrzałem, a zostałem pełnoetatowym programistą.

Podczas tych wędrówek zawsze trzymałem się z dala od Nowego Jorku. Uważałem, że Wielkie Jabłko rzuci mnie na ziemię i rozdepta. Trzy lata po tym, jak zająłem się programowaniem, moja firma przeniosła się do Nowego Brunszwiku w New Jersey. Po raz pierwszy w życiu miałem niewielką sumę na koncie, a gdy znalazłem się w Nowym Brunszwiku, Nowy Jork zaczął migotać do mnie z oddali, jakby zapraszał mnie na zabawę. Dwa, trzy razy w miesiącu jeździłem pociągiem do miasta i bywałem w restauracjach i klubach jazzowych. Poszedłem na recital fortepianowy Alfreda Brendela w Avery Fisher Hall i na „Missa solemnis” Roberta Shawa w Carnegie Hall. Byłem na B.B. Kingu, Philu Woodsie i jednym z ostatnich koncertów Elli Fitzgerald. W końcu zacząłem dzwonić do nowojorskich firm komputerowych i dwa lata po przeprowadzce do New Jersey dostałem lepszą pracę, spakowałem się i ruszyłem na zabawę.

Mieszkałem naprzeciwko kościoła Świętego Marka na East Tenth Street, miałem przyzwoitą robotę i jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy. W miejscu, którego przez cały czas się bałem, poczułem się u siebie. W dniu urodzin brałem zwolnienie z pracy i zostawałem w łóżku. I raptem, w trakcie tego uporządkowanego życia, naszło mnie to przeczucie związane z matką.

12.

Zaczęło się jako pewnego rodzaju wizja. Kilka miesięcy po przeprowadzce do Nowego Jorku zadzwoniłem do cioci Nettie, by spytać, czy Star się odzywała. Nie, powiedziała ciocia, a co u ciebie? Odparłem, że się niepokoję, i podałem jej swój numer.

- Ta dziewczyna jest z żelaza - oznajmiła Nettie. - Zamiast martwić się o matkę, lepiej dla odmiany pomartw się trochę o siebie.

Pomyślałem, że gdyby wydarzyło się coś poważnego, Nettie by do mnie zadzwoniła. Uwielbiała katastrofy i natychmiast wszczęłaby alarm. Ale jeśli Star jej nie uprzedziła? Znowu zadzwoniłem do cioci Nettie. Powiedziała, że moja matka jest w East Cicero i „rozrabia z dwoma starymi łobuzami”. Chciałem od niej wziąć numer Star, ale powiedziała, że go zgubiła, i nie mogła sobie przypomnieć nazwisk tych dwóch starych łobuzów. Byli właścicielami nocnego klubu, którego nazwa również jej umknęła.

- Wszystko jedno - powiedziała. - Star nas powiadomi, jeśli będzie czegoś potrzebowała, a jeśli coś się stanie z nami, nie trzeba będzie jej mówić, żeby tu jak najszybciej przyjechała. Po prostu będzie wiedziała. Każdy Dunstan jest trochę jasnowidzem i Star się nie wyrodziła. Ty też nie, jak mi się zdaje.

- Jasnowidz? Pierwsze słyszę.

- Bo nic nie wiesz o własnej rodzinie. Podobno z moim ojcem nikt nie chciał grać w karty, bo tatuś znał karty przeciwników.

- Chyba w to nie wierzysz.

Roześmiała się cicho, z wyższością.

- Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, w co wierzę.

Pewnego razu przyśniło mi się, że położyłem się obok matki na Cherry Street i usłyszałem, jak szepcze nazwisko lub słowo brzmiące jak „Rinehart”. A przy tym miałem świadomość, że śpię i przypominam sobie chwilę z dzieciństwa. Moje troski znowu ustąpiły, choć podskórny niepokój odzywał się, kiedy byłem sam, zwłaszcza jeśli robiłem coś, co mi ją przypominało, na przykład zmywałem talerze albo słuchałem Billie Holiday, której piosenki puszczała stacja lubiąca stare przeboje. W początkach trzeciego tygodnia maja poprosiłem o wszystkie niewykorzystane dni urlopu, gdyż muszę załatwić sprawy rodzinne. Szef powiedział, żebym się nie spieszył i tylko dawał o sobie znać. Ledwie przekroczyłem próg mieszkania, zacząłem upychać ciuchy do worka.

Nie wiem, czy wybierałem się w jakieś konkretne miejsce. Z powodu niepokoju jakoś nie przyszło mi do głowy, że wracam do dawnych samoobronnych zachowań. I, tak jak już wspomniałem, dokładnie wiedziałem, dokąd jadę i dlaczego. W chwili gdy Star wsiadała do autobusu, ja znajdowałem się w szoferce jadącej do Flagstaff ciężarówki i dyskutowałem z kierowcą, panem Bobem Mimsem, na temat sytuacji Afroamerykanów w Stanach Zjednoczonych. Wówczas moje systemy obronne przestały działać i dotarła do mnie prawda. Star wracała do domu resztkami sił, a ja jechałem, żeby być przy niej w chwili śmierci. Kiedy Bob Mims dowiedział się, dlaczego chcę się dostać do Edgerton, zawrócił z wyznaczonej trasy i zabrał mnie do motelu „Comfort” na południe od Chicago.

Po godzinie machania na wszystko, co przejeżdżało autostradą, zameldowałem się w motelu. Wszystkie agencje wynajmu samochodów były już zamknięte. Poszedłem do baru i zacząłem gadać z młodą pracownicą prokuratury z Louisville, niejaką Ashleigh Ashton, która piła pewnie już drugiego drinka. Kiedy przeliterowała mi swoje nazwisko i spytała, czy według mnie jest ono a) pretensjonalne lub b) zbyt pieszczotliwe jak dla oskarżyciela, zacząłem podejrzewać, że drinki były trzy. Jeśli drażni ją, że oskarżeni śmieją się na dźwięk jej imienia, zasugerowałem, że też powinna się roześmiać i ich zapudłować. Bardzo dobry pomysł, odparła, czy chcę poznać inny dobry pomysł?

Oho, pomyślałem, trzy jak nic, a na głos powiedziałem:

- Muszę stąd szybko wyjechać.
- Ja też. Chodźmy. Jeśli tu zostanę jeszcze chwilę, któryś z nich się na mnie rzuci.

Przy barze siedziały dwa osiłki z siwiejącymi brodami i w motocyklowych kurtkach, chłopak w podkoszulku z napisem: PIWO UKSZTAŁTOWAŁO TO PIĘKNE CIAŁO, paru facetów z łańcuchami na szyi i tatuażami wyglądającymi spod podkoszulków, a także jakiś

upiór w tanim szarym garniturku, sprawiający wrażenie seryjnego mordercy, który zrobił sobie urlop od codziennego zajęcia. Wszyscy gapili się na nią jak głodne psy.

Poszedłem z nią kilometrami pustych korytarzy. Otwierając drzwi, rzuciła mi pytające spojrzenie. Wszedłem.

- Opowiedz mi o sobie - poprosiła. - Nie chciałabym być niegrzeczna, ale twoje ubranie wygląda, jakbyś jechał autostopem.

Dałem jej zwięzłą odpowiedź, z której wynikało, że podróżowałem autostopem dla rozrywki, gdy raptem dowiedziałem się o chorobie matki.

- W dzieciństwie lubiłem tak jeździć. Powinienem mieć więcej rozumu. Gdybym miał samochód, już dziś byłbym w Edgerton.

- Edgerton? Właśnie tam jadę. - Przez chwilę w jej oczach błysnęła podejrzliwość. Potem dotarło do niej, że nie mogłem znać celu jej podróży, dopóki go nie wymieniła. - Jeśli jutro rano będziemy się jeszcze do siebie odzywać, mogę cię podwieźć.

- Dlaczego mielibyśmy się do siebie nie odzywać?

- Nie wiem. - Uniosła ręce w geście tylko częściowo komicznym. - Faceci nie lubią budzić się koło nieznannej kobiety, prawda? Albo zaczynają się wstydzić za siebie, bo myślą, że kobieta była łatwa. To dla mnie tajemnica. Nie kochałam się od roku. Ściśle mówiąc, od trzynastu miesięcy.

Ashleigh Ashton była niewielką, umięśnioną kobietą o krótkich, lśniących jasnych włosach i twarzy modelki z katalogu ubrań sportowych. Przez lata udawadniała mężczyznom, że jest zdolna, mądra i twarda.

- Dlaczego? - spytałem.

- Uroczy efekt rozwodu z moim mężem. Chyba. Dowiedziałam się, że przeleciał połowę swoich klientek. - W oczach błysnęła jej ironia. - Wyobraź sobie co za praktyka.

- Prawo rozwodowe.

Przycisnęła dłoń do czoła.

- Ashleigh, ależ ty się powtarzasz! Nieważne, spytałam cię o to, bo zastanawiam się nad powrotem do nazwiska panińskiego. Turner. Ashleigh Turner.

- Dobry pomysł - powiedziałem. Rozwódką była pewnie od tygodnia. - Łobuzy nie będą się z ciebie śmiały. Ale jeśli nie chciałaś nikogo poderwać, po co poszłaś do baru?

- Czekałam na ciebie. - Odwróciła wzrok, a kącik jej ust drgnął ku gorze. - Sal i Jimmy zaprosili mnie na obchód ulubionych barów Sina-try. Ten chłopak w koszulce z napisem, Ray, powiedział, że ma kokę w pokoju. Mnóstwo. Jedzie na Florydę. Chyba mu się pomyliło, co? Ludzie jadą na Florydę po kokainę i przywożą ją tutaj. Ci motocykliści, Ernie i Choke, chcieli... nieważne, w każdym razie było to pomysłowe.

- Jeśli Ray chce dojechać na Florydę, lepiej niech nie zaczyna z Er-niem i Chokiem.

Zachichotała złośliwie, potem posmutniała.

- Znowu jestem w tym głupim nastroju.

- Rozwiodłaś się niedawno?

Tym razem zasłoniła oczy obiema dłońmi.

- Oj, jesteś spostrzegawczy. - Opuściła ręce i obróciła się w koło. - Wiedziałam, naprawdę.

Usiadła na łóżku i zdjęła eleganckie buty, pasujące do prawniczki.

- Jestem w tym dziwnym nastroju także dlatego, że widzę, jak moja sprawa nie posuwa się ani kroku. No, skoro już jestem taka niedyskret-na... pewnie słyszałeś o facecie, o którego nam chodzi. To jeden z naj-bardziej szanowanych obywateli Edgerton.

- Chyba nie słyszałem. Wyjechałem stamtąd jako smarkacz.

- Nazywa się Stewart Hatch. Sypia na forsie. Z tego, co słyszałam, jego rodzina prawie rządzi w Edgerton.

- Nie zadawaliśmy się z takim towarzystwem.

- Ciesz się. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego facet, który ma wszystko, postanawia zostać złodziejem. - Szybko rozpięła guziki marynarki w prążki.

Za kwadrans szósta rano wyskoczyłem z łóżka, jeszcze nie całkiem dobudzony. Szósty zmysł Nettie działał pełną parą. W głowie miałem tylko jedną myśl: że to, co ma spotkać moją matkę, pędzi ku niej jak szalone, jest już blisko i muszę się jak najszybciej dostać do Edgerton. Nadal nieprzytomny, zacząłem zbierać ubranie i raptem w rozrzuconej pościeli odkryłem śpiącą nagą kobietę. Miała lekko uniesioną nogę, jakby zastygła w pół kroku. Przypomniałem sobie jej imię, położyłem jej rękę na ramieniu.

- Ashleigh, obudź się, pora jechać.

Otworzyła jedno oko.

- Hm?

- Już prawie szósta. Coś się dzieje i muszę szybko dojechać do Edgerton.

- A tak, Edgerton. - Otworzyła drugie oko. - Dzińbry.

- Wezmę superbłyskawiczny prysznic, przebiorę się i wymelduję.

Mam tu wrócić?

- Wrócisz? - Uśmiechnęła się.

- Nadal chcesz mnie podwieźć?

Przewróciła się na plecy i przeciągnęła.

- Spotkamy się na dworze. Przykro mi, że dostałeś złe wieści.

Ekspresowy prysznic i golenie; skok w czyste spodnie khaki, niebieską koszulę, lekki niebieski blezer, mokasyny. Miałem się spotkać z krewnymi i ze względu na Star - i samego siebie - chciałem wyglądać przyzwoicie.

Modląc się, żeby nie kazała mi czekać dłużej niż dwadzieścia minut, w chłodny poranek zniosłem podróżny worek i torbę i usłyszałem wołający mnie kobiecy głos. Ashleigh stała na parkingu koło wściekle czerwonego niewielkiego samochodu z otwartym bagażnikiem. Miała na sobie dopasowany granatowy kostium, który podkreślał kształt jej nóg, i wyglądała tak, jakby miała co najmniej dwa razy więcej czasu, żeby doprowadzić się do takiego wyglądu.

- Guzdrała - odezwała się.

Ruszyła autostradą w rozsądnym tempie, jedną ręką łapała stacje radiowe; przepuszczała ciężarówki. Znalazła stację grającą hard bop i chicagowskiego bluesa.

- Dzwoniłeś do szpitala?

Zaprzeczyłem.

- Ale powiedziałaś, że coś się dzieje z twoją matką. Chyba nie rozmawiałaś z mojego pokoju? Wiesz, to właściwie wszystko jedno, ale...

Ale jeśli nie powiedziałaś im, że jesteś u mnie, jak cię znaleźli?

- Chyba miałem przecucie. - Rzuciła mi spojrzenie z ukosa. - Może to tylko nerwy. Nie wiem. Żałuję, że nie potrafię tego lepiej wyjaśnić.

Znowu na mnie zerknęła.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Cieszę się, że cię spotkałem.

- Ja też. Powinieneś ciągle jeździć po kraju i przywracać nadzieję kobietom w depresji. I jesteś tak taktowny, że wydaje się, jakby nic nie było z góry ustalone.

- Słucham?

- Może nie ustalone, ale wiesz, Chicago, moja koleżanka ze studiów, Mandy...

Z oddali zbliżał się ku nam znak obwieszczający bliskość restauracji i stacji benzynowej.

- Może coś zjemy? - zaproponowałem.

Przy śniadaniu zaczęła opowiadać. W barze hotelu w Chicago Mandy, jej koleżanka ze studiów, postawiła mi drinka. Kiedy podszedłem, żeby podziękować, Mandy zaprosiła mnie, żebym się przysiadł. Rozmowa zeszała na cel naszej podróży; nadmieniałem, że wybieram się dziś w głąb stanu, na południe i prawdopodobnie spędzę noc w innym hotelu. Ku zawodowi Mandy wydawałem się być bardziej zainteresowany Ashleigh. Mandy wiedziała, że Ashleigh rusza jutro na południe. Wyciągnęła ją do łazienki i udzieliła roztropnej rady. Wkrótce potem Ashleigh wspomniała mimochodem o motelu „Comfort”, a ja wyraziłem nadzieję,

że będę się mógł zrewanżować za miły gest i zaproszę ją na drinka, jeśli się okaże, że także się zatrzymam w tym motelu.

- Powiedziałam Mandy, że na pewno nie przyjdiesz, a ona na to: idź do baru jakieś dwie godziny po przyjeździe, a on już cię odnajdzie. Nawet nie wiedziałam, czy to ty! W Chicago byłeś w garniturze, tutaj w dżinsach, ale im dłużej ci się przyglądałam, tym bardziej cię poznawałam. I byłeś tak taktowny, jakbyś po prostu tu zajrzał, nie po to, żeby się ze mną spotkać.

- Nie sądziłem, żebym musiał cię naciskać.

Najwyraźniej w lobby hotelu w Chicago pojawił się ktoś bardzo do mnie podobny, George Peters, były nauczyciel z Tulane, albo ten mężczyzna, za którego wzięła mnie kobieta z lotniska w Denver. Żadne inne wyjaśnienie nie wydawało się prawdopodobne. A jednocześnie od czystego nieprawdopodobieństwa takiego zbiegu okoliczności zjeżyły mi się włosy. Jeśli George Peters, czy jak mu tam, umówił się z Ashleigh, dlaczego się nie zjawił?

Przez resztę drogi nakręcona kofeiną Ashleigh jechała równo sto siedem na godzinę, opisując występki milionera - czarnego charakteru. Pomrukiwałem zachęcająco i udawałem, że słucham.

Na pierwszym zjeździe przed Edgerton widniał napis EDGERTON ELLENDALE.

- Tu? - spytała.

- Na następnym.

Przy następnym znaku, EDGERTON CENTRUM, skręciła. Przez jakiś czas mknęliśmy czteropasmówką wśród falistych pól i raptem, bez ostrzeżenia, znaleźliśmy się w gąszczu fast foodów, stacji benzynowych, moteli i sklepików, które strzegą granic chyba wszystkich amerykańskich miast. Kiedy minęliśmy billboard, witający nas w EDGERTON, MIEŚCIE O ŻŁOTYM SERCU, powietrze prześwietłone łagodnym blaskiem słońca zadrzało jak fatamorgana, po czym znowu się skryształizowało.

- Mam czas, żeby cię podrzucić do szpitala, jeśli chcesz - powiedziała.

Na skrzyżowaniu przy biurowcu z czerwonej cegły, pustej działce i barze zwanym „The Nowhere Longe” zapaliło się czerwone światło. Pod tabliczką z nazwą ulicy prostokątny zielony znak wskazywał drogę do szpitala Świętej Anny.

- To chyba tam - powiedziałem.

Cztery przecznice dalej zatrzymała się przed szpitalnymi drzwiami.

- Ashleigh... - zacząłem.

- Nie. Nie będziesz miał czasu, żeby się ze mną spotkać. Mam nadzieję, że twoja matka poczuje się lepiej. Jeśli chciałeś mnie spytać, gdzie się zatrzymam - w hotelu „Merchants”, gdziekolwiek to jest.

Została w samochodzie, kiedy wyjmowałem bagaże. Podszedłem, żeby pocałować ją na pożegnanie.

Recepcjonistka poinformowała mnie, że w szpitalu nie ma pacjentki Star Dunstan, za to Valerie Dunstan znajduje się na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej. Dała mi zielony plastikowy identyfikator dla gościa i powiedziała, żebym skręcił w prawo za kawiarnią, pojechał windą na trzecie piętro i szedł za znakami.

Zdrętwiały z przerażenia snułem się po odpychających korytarzach szpitalnych, aż jakaś pielęgniarka doprowadziła mnie do wahadłowych drzwi z napisem OIOM. Usłuchałem polecenia wypisanego nad umywalką, umyłem ręce, pchnąłem kolejne wahadłowe drzwi i wniosłem bagaże do długiego, mrocznego pomieszczenia pełnego zasłoniętych stanowisk wokół jaśniej oświetlonej centralnej recepcji. Pielęgniarka zza biurka obrzuciła mnie spojrzeniem, jakim detektyw sklepowy mierzy potencjalnego złodzieja. W głębi pomieszczenia przed jednym z stanowisk stały ciocie Nettie i May. Były tęższe, niż je zapamiętałem, a ich włosy przybrały kolor czystej, eterycznej bieli.

Pielęgniarka podjechała z krzesłem bliżej biurka i spytała:

- W czym mogę pomóc?

W ułamku chwili niewerbalna informacja uświadomiła mi, że nie zrobię ani kroku dalej, jeśli nie uznam jej zwierzchności. Do luźnej zielonej bluzy miała przypięty identyfikator z napisem I. Zwick, przeł. piel.

- Dunstan - powiedziałem. - Star Dunstan. Przepraszam, Valerie.

Pielęgniarka pochyliła się nad listą.

- Piętnaście.

Nettie już ku mnie sunęła.

13. Pan X

O Wielkie Istoty i Nieczłowieczy Przodkowie!

Zaledwie parę dni dzieliło mnie od chwili, gdy więzienne mury akademii miały się zamknąć wokół mnie, kiedy doszedłem do przerwy między drzewami i zdziczałego pola ciągnącego się ku drodze, której nie znałem. Po obu stronach pola rósł las. Pomiędzy polem a łukiem drzew stał zburzony w trzech czwartych budynek z cegieł i kamienia. W kamiennym gruzowisku na środku wznosił się monolit kominka. Po drugiej stronie kolejny komin i osmalona ściana podtrzymywały resztki dachu nad ocalałą częścią domu. Dalej nagie belki zwiisały nad pustką. Ledwie ujrzałem owe ruiny, haczyk tkwiący w mych wnętrznościach poderwał mnie na nogi, a głos dochodzący z wewnątrz lub zewnątrz zagrział: „Przybądź wreszcie!” lub coś podobnego. A może „Jesteś wreszcie!”. Tak czy inaczej, ów potężny głos informował mnie o rzeczy najważniejszej.

Wiedziałem, że mam obowiązek strzec swej posiadłości, by się tak wyrazić, zanim jeszcze zgłoszę do niej swe prawa. Obszedłem więc ruinę, przyglądając się chwastom przebijającym się na powierzchnię pomiędzy głazami, śladom ognia, który przypiekl cegły na kolor spalonej grzanki, rozpadlinom znaczącym miejsce, gdzie niegdyś znajdowała się piwnica. Ujrzałem dzieło zniszczenia szerzące się na przegniłych belkach i zmurszałych dachówkach. Na frontonie budynku głązy

sięgające dachu ciągnęły się na pięć metrów od ściany z kominkiem. Prostokątne framugi z szerokimi parapetami znaczyły miejsca po oknach na pierwszym i drugim piętrze. Poniżej, mniej więcej na poziomie mojej brody, smukłe, zakończone łukiem wnęki okienne zabrudzone ptasimi odchodami wychodziły na miejsce, które niegdyś było salonem. Położyłem drżące ręce na brudnym parapecie i zajrzałem do środka.

Światło lało się do zakątka o jedynie dwóch ścianach, ciągnących się w górę na dwa piętra. Pyłki opadały na cementową podłogę pełną tynku, połamanych rur i zwęglonych polan. Gdziekolwiek przez pęknięcia cementu przebijały się żdźbła trawy. W grubym kożuchu kurzu wymieszanego z piórami odbijały się ślady łap. Naprzeciw widać było las. Podskoczyłem, oburącz chwyciłem parapet po stronie pokoju, podciągnąłem się i wydzwignąłem na płaski kamień. Wówczas zeskoczyłem na podłogę i po raz pierwszy wkroczyłem w swoje dziedzictwo.

Albo: moje dziedzictwo wkroczyło we mnie.

Ty, który czytasz słowa, jakie zapisuję na stronicach księgi rachunkowej lub dziennika Boorum & Pease'a tym samym niezawodnym piórem Mont Blanc, jakim w minionych dniach uwieczniałem komunikaty dla świata, już znasz doniosłość zrujnowanego domu dla Twej Wielkiej Rasy. To w jego świętych ścianach Wielcy Starzy nasycili moje pierwsze cierpienia i upokorzenie odkupicielskim Splendorem Przygotowania. Stary Bóg przemówił, a ja nauczyłem się wszystkiego. Głos Jego był niski, mocny, budzący zaufanie, zmęczony odwieczną władzą, lecz potężny i rozkazujący. Usłyszałem w nim nutę przyjemności, gdyż mój nieziemski Ojciec, którego Prawdziwej Tożsamości nadal nie znam, dawał mi wskazówki co do Wspaniałego Zadania, dla którego zesłano mnie na tę ziemię. Moja Rola stała się jasna, moja Natura zyskała Wyjaśnienie. Pół człowiek, pół bóg, byłem Otworzystą Drogą, a moim

Zadaniem było Unicestwienie. Po mnie Apokalipsa, wejście przez rozdartą niebiosą dla moich uskrzydłych, pazurzastych, drapieżnych Przodków, Starszych Bogów, Zniszczenie rodzaju ludzkiego, długo oczekiwane odzyskanie waszego ziemskiego królestwa. Przekroczyłem gruz, dodałem odcisk mojego siedzenia do śladów zwierząt i usłyszałem głos. Z racji mej kruchości będę przeklęty wraz ze zdrazieckim cieniem, który muszę unicestwić (w zadziwiająco wszechstronnym otoczeniu Akademii Wojskowej w Owlsburgu miałem usłyszeć więcej na ten temat). O Wielcy Starzy, Ojcowie moi, polegacie na moich wysiłkach! Potężny Głos powiedział: jesteśmy dymem z armatniej gardzieli. Zachwyciło mnie to sformułowanie. Powiedziało mi o nieuniknionym zniszczeniu, znanym jako me Świąte Zadanie. Powtórzyłem to jak ochronne zaklęcie: jesteśmy dymem z armatniej gardzieli. Te słowa dodają mi siłę. Mówiono mi, że rozkosz przyniesie mi jedynie wypełnienie zadania. Jednak nie mogę zaprzeczyć istnieniu innych rozkoszy, mniej ważkich, takich, jakie mają znaczenie dla podobnych do mnie młodzieńców. W otchłani niekończącego się smutku zdarzają się chwile wielkiej uciechy.

Z całą pewnością upiekłoby mi się, gdybym zabił Maureen Orth, na co miałem ochotę, od kiedy usunąłem element seksualny. Napytałem siebie biedy tylko dlatego, że wróciła do domu. Poczucie humoru opuściło ją w chwili, gdy została związana. Nie chciałem jej zabić w lesie, chciałem ją zabić w ruinach.

Chciałem zobaczyć, jak jej zaciśnięte oczy otwierają się, kiedy spoglądam na zabłąkanego gołębia, zatrzymuję jego serce i zrzucam go, zlodowaciałego, na ziemię. Chciałem spotęgować efekt, unosząc się nieco nad ziemią i pozostając tam przez jakieś, powiedzmy, dziesięć sekund, choć wysiłek ten wydusiłby pot z każdego mego poru. Miałem nadzieję, że dziewczę powie: łzesz, nikt tego nie potrafi. I chciałem ujrzeć wyraz jej poczciwej gębusi, gdy zadam kłam jej słowom. Nie mogłem się doczekać, kiedy olśnię mą żalosną bogdanę paroma

innymi sztuczkami - zanim ją zabiję.

Tymczasem nie mogłem się powstrzymać, poddałem się impulsowi, wiem, wiele niepewnych siebie panien towarzyszyło mi w przechadzce do lasu, by zakończyć swe bezsensowne życie na podłodze mej szkolnej sali. Zadałem sobie trud pogrzebania ich ciał, lecz równie dobrze mógłbym je zostawić, by zgniły. Ekipy poszukiwawcze nigdy nie dotarłyby w pobliże ruin. Jednak w czasie, gdy wyrzucono mnie z akademii, wyrosłem już z takiego ekshibicjonizmu.

14. Pan X

W zasadzie wszystkie szkoły z internatem są takie same, zwłaszcza dla tych, którzy są dymem z armatniej gardzieli i zwykle bywają wyrzucani z jednej przemądrzałej budy po drugiej. Prawdę mówiąc, akademia wojskowa, w tym wypadku stara dobra Forteca w Owlsburgu w Pensylwanii, do której ojciec wysłał mnie w ostatnim odruchu obrzydzenia, przypadła mi do gustu o wiele bardziej od jej cywilnych imitacji. Ojciec poinformował mnie, że niepowodzenia w tej ostatniej placówce doprowadzą do wykolejenia pociągu z miłymi pieniążkami - nie będzie przelewów na konto, spadku, funduszu powierniczego, kompletnie nic - co miało mnie zmusić do tak wytężonej pracy, bym zdał egzaminy. Nawet mi się podobał ten mundurowy szyk, faszystowska pompa. Znalazłem się wśród starszych uczniów, Kawalerii, w związku z czym do moich obowiązków należało gnębienie smarkaczy z Artylerii, Kwatermistrzostwa, a zwłaszcza Piechoty, złożonej z mnóstwa czternastolatków o psim spojrzeniu, rozpaczliwie starających się zadowolić swoich zwierzchników. Spodziewano się po nas, że zrobimy z tych dzieci jęczące kłębki strachu, a one miały to przyjąć bez protestów i skarg.

W szkole tej przeżyłem najszcześniejsze lata swojej młodości. Kiedy tylko zorientowałem się w sytuacji, wypędziłem kolegę z pokoju,

takiego samego wyrzutka jak ja, nazwiskiem Squiers, który już pierwszego wspólnego dnia wyczerpał moją cierpliwość nieustannym gadaniem. W luksusowej jedyńce mogłem robić, co dusza zapragnie. Wcale nie przeszkadzała mi konieczność spędzania Świąt Dziękczynienia i Bożego Narodzenia w szkole, jako że rodzice odmówili przyjęcia mnie do domu.

Jedyna oznaka nadciągających problemów pojawiła się w początkach marca, kiedy mój wykładowca rachunku różniczkowego i komendant jednostki, kapitan Todd Squadron, wziął mnie na bok i oznajmił, że o dwudziestej pierwszej zero zero zjawi się z inspekcją mojej kwatery. Perspektywa ta wydała mi się alarmująca. Kapitan Squadron, typowy służbista, któremu od dnia przybycia okazywałem udawany podziw, ostatnio stał się bardziej obojętny, niemal zimny. Przestraszyłem się, że mnie przejrzał. Miałem nadzieję, że nie poruszył mojej „sprawy” w rozmowie ze wszystkowiedzącym majorem Audreyem Arndtem, którego ze wszystkich sił starałem się unikać. Druga możliwość była jeszcze bardziej niepokojąca.

Kiedy zjawił się w moim pokoju, przekonałem się, że chodziło mu o obie te sprawy, tę niezbyt poważną i tę bardzo groźną.

Zasalutowałem i stanąłem na baczność. Kapitan Squadron warknął „spocznij” i nakazał mi gestem, żebym usiadł na pryczy. Jego dziwnie nieufne, podejrzliwe zachowanie było zaprawione tym chłodem, który ostatnio od niego bił. Przysiadłem na skraju łóżka, a Squadron oparł się o moją szafkę i przez długą chwilę przyglądał mi się - najwyraźniej z zamiarem wytrącenia mnie z równowagi.

- Więc co w końcu z wami jest, kadecie?

Spytałem, o co mu chodzi.

- Jesteście inni, co?

- Mam nadzieję, że mogę to uznać za komplement, panie kapitanie.

- Dam wam przykład, żebyście zrozumieli. Poza Piechotą wszyscy

przeniesieni uczniowie to kukułcze jaja. - Odruchowo obciągnął kurtkę.
- Wyrzucali ich z tyłu szkół, że rodzice chcą ich już tylko nauczyć dyscypliny. I choć na ogół żadni z nich geniusze, wszyscy uważają się za lepszych od pozostałych. Każdy ma wielki, wielki problem z dyscypliną.

- Nie ja - oznajmiłem. - Ja szanuję dyscyplinę.

Łypnął na mnie spode łba.

- Z serca radzę wam przestać mnie kiwać, kadecie. Wszyscy byliśmy kadetami, bez względu na klasę.

Korciło mnie, żeby powiedzieć: „Panie kapitanie, kadet prosi o wyjaśnienie terminu «kiwać»”, ale ugryzłem się w język.

- Na nas spada zadanie jak najlepszego postawienia do pionu tych żalosnych buntowników. Z zasady mamy około sześćdziesięciu procent szans, jeśli dostaniemy ich w drugiej klasie. Jeśli przyjdą do Artylerii, szanse na wbicie im rozumu do głowy maleją do pięćdziesięciu procent. W Kawalerii sprawa jest przegrana. Skupiamy się tylko na nauczaniu ich prawidłowej postawy i odróżnianiu lewej nogi od prawej, żeby poradzili sobie z musztrą. Poza tym patrzymy na wszystko przez palce, żeby zdali egzaminy i zabrali się w cholerę. - Zrobił gwałtowny skłon jak marionetka, dociągnął sznurowadła i znowu się wyprostował.
- Gdyby to zależało ode mnie, nie przyjmowałbym uczniów do Kawalerii. Osiemnaście lat to za dużo, żeby przystosować się do naszego stylu życia.

Spojrzał w lustro nad komodą i znowu zaatakował kurtkę serią precyzyjnych szarpnięć. Uniósł głowę i ocenił efekt.

- Te małe błazny przychodzą tu, pokładając się ze śmiechu, a ja muszę marnować piekielnie dużo czasu, żeby za pomocą wszystkich dostępnych mi środków - dość licznych - przekonać ich, że nie należy z nas szydzić. - Napotkał moje spojrzenie w lustrze. - W tej dziedzinie mogę sobie przyznać stuprocentową skuteczność. Być może, kiedy te oferty po raz ostatni przekraczały naszą bramę, daleko im było do

prawdziwych żołnierzy, ale gwarantuję, że obudziłem w nich wiarę. Nadal nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Ja wierzę od pierwszego dnia tutaj - powiedziałem.

Odrzucił się i oparł o komodę, wyprostowany jak struna. Jego szeroką, płaską twarz szpecił złamany nos, który pewnie nadałby mu wygląd boksera, gdyby nie miał rozmiarów nosa lalki.

- Muszę przyznać, że mnie nabrałeś.

- Panie kapitanie...?

- Zacząłem myśleć: ten kadet sprawi, że zmienisz zdanie na temat polityki przyjmowania uczniów. W parę dni nauczył się salutować jak stary wyga. Utrzymuje mundur w porządku jak kadet West Point. W tydzień nauczył się regulaminu. Okazuje szacunek przełożonym i jest dobrze przygotowany do zajęć. Owszem, miał mały problem ze współlokatorem, ale to się zdarza. To fakt, kadet Squiers jest niemiłosiernym gadułą, który powinien zamieszkać z głuchoniemym. Ten nowy kadet doskonale pasuje do naszej szkoły i jest chlubą swojej klasy. Patrzenie tylko, jak uczy dyscypliny smarkaczy z Piechoty! Wrodzony talent! Kim jest ten młody człowiek? - Oderwał się od komody, rozłożył ręce i spojrzał w górę. - Ten młody człowiek jest materiałem na oficera!

- Staram się - powiedziałem.

Kapitan Squadron znowu oparł się o komodę i włożył ręce w kieszenie. Precyzyjna linia niedawno obciętych włosów zataczała łuk nad wykrochmalonym kołnierzykiem brązowej koszuli. Ciemny język na głowie i ten mały, zapadnięty nosek nadawały mu wygląd pracownika stacji benzynowej.

- Jesteś dobry, no nie? - Uśmiechnął się dokładnie tak, jakby postanowił kogoś grzmotnąć w twarz.

- Nie rozumiem, panie kapitanie.

- Ilu masz tu kolegów? Z kim się kumplujesz?

Wymieniłem trzech lub czterech nudziarzy z mojej klasy.

- Kiedy ostatnio byliście razem w mieście, obejrzeliście film, skoczyliście na parę hamburgerów i tak dalej?

To pytanie oznaczało, że kapitan zna już odpowiedź. Akademię mogliśmy opuszczać tylko w grupach. Raz pojechałem autobusem do Owlsburga, spojrzałem na ponure uliczki i natychmiast wróciłem.

- Mam w zwyczaju poświęcać weekendy na naukę, panie kapitanie. Zakołysał się i znowu się uśmiechnął.

- Mam podstawy sądzić, że nie masz tu kolegów ani ochoty, żeby ich poznać. Nie pojechałeś do domu na Święto Dziękczynienia, co? Ani na Boże Narodzenie.

- Wie pan, że nie. - Zaczęły mnie irytować te kpiny.

- Boże Narodzenie to bardzo ważne święto. Rzadko się zdarza, żeby jakiś kadet został w tym czasie w szkole.

- Już to wyjaśniłem. Moi rodzice chcieli, żebym pojechał z nimi na Barbados, ale wolałem poświęcić ten czas na przygotowania do egzaminów.

Wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

- Może zadzwonimy do twoich rodziców i zapytamy ich o parę spraw?

Więc już wiedział. Sprawdził mnie.

- Dobrze - rzekłem, przeklinając się za ucieczkę w to barwne kłamstwo. - Przecież by mnie tu nie było, gdybym dogadywał się z rodzicami. Niełatwo przyznać, że tak mnie nienawidzą, iż nawet nie chcieli mnie widzieć na święta.

- Dlaczego mieliby nienawidzić własnego syna?

- Było między nami parę konfliktów.

Spojrzał w sufit.

- Twoje zachowanie zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, że zacząłem się zastanawiać, dlaczego kogoś takiego poproszono o opuszczenie tak wielu uczelni. Pięciu, dokładnie mówiąc. To mi nie pasowało do tego, co widziałem. Więc zajrzałem w twoje akta. - Uśmiechnął się i spojrzał na mnie wyzywająco, z zadowoleniem. - I, do diabła, znalazłem sam dym.

- Dym, panie kapitanie?

- Ogólniki. Zły wpływ na szkołę. Antagonistyczne nastawienie. Uznany za zagrożenie. Żaden pajac nie wymienił konkretów. Wiesz, co z tego rozumiałem?

- Przykro mi to przyznać, ale chyba zachowywałem się jak chuligan.

Udał, że nie usłyszał.

- Dwie rzeczy. Gdyby zamieścić twoje wyczyny w aktach, nie przyjęliby cię nigdzie z wyjątkiem poprawczaka. Ale nie mieli nic na ciebie, poszli więc na łatwiznę i cię wykopali.

- Nie sądzę...

Uniósł rękę jak policjant na skrzyżowaniu.

- W tym roku sześciu kadetów z Piechoty wypisało się na własne życzenie. Normalnie bywa ich najwyżej dwóch. Co w szpitalu? Mnóstwo złamań. Normalnie zdarza się jedno, dwa na rok. Teraz kadeci co tydzień przylatują z połamanymi palcami, nadgarstkami, ramionami. Wstrząsy mózgu. Jeden chłopiec miał, jak się okazało, wewnętrzny krwotok z pękniętej śledziony. Jak do tego doszło? „Skręciłem nogę i spadłem ze schodów”. No i jeszcze sprawa Artylerzysty, kadeta Fletchera. Znałeś go, co?

- W pewnym sensie - oznajmiłem. Chciałem przez to powiedzieć, że znałem kadeta Fletchera w bardzo specyficzny sposób. To była ta poważna sprawa, o której kapitan Squadron nie powinien się dowiedzieć. Fletcher, kujon w okrągłych okularach z szylkretu i z rumianą buzią, wzbogacił moje życie dzięki pewnej uprzejmości, która źle się skończyła.

W czwartek w tygodniu egzaminów przed bożonarodzeniowymi feriami zobaczyłem go zatopionego w lekturze przy długim stole w bibliotece. Kadeci po jego obu stronach także wertowali książki ułożone przed nimi w stertach i dopiero po chwili zauważyłem, że z Fletcherem jest inaczej. Inni robili notatki, tymczasem on przeglądał, wyraźnie dla rozrywki, powieść w jaskrawej okładce. Pchnięty ku nim nakazem

instynktu, którego na razie nie rozumiałem, poszedłem do niego i przekonałem się, że tytuł powieści brzmi „Koszmar w Dunwich”. Ten tytuł w połączeniu z makabrycznymi ilustracjami na okładce natychmiast wstrząsnęły mną w ten sam, choć nieco słabszy sposób co siła, która przyciągnęła mnie do Lasu Johnsona. Musiałem zdobyć tę książkę. Była moja. Przez godzinę kręciłem się na krześle, od niechcienia robiłem notatki i nie spuszczałem Fletchera z oka.

Kiedy wstał, zebrałem swoje rzeczy i pobiegłem za nim. Tak, powiedział, chętnie pożycz mi tę książkę, kiedy ją skończy. Pozwolił mi ją przejrzeć, komentując, że jest „cholernie straszna”. Nie miał pojęcia, jak bardzo trafne jest to określenie. W dłoniach poczułem słabe drżenie. Jakbym trzymał w nich kolibra.

Następnego dnia mniej więcej połowa kadetów, którzy już zdali, opuściła szkołę w dziesiątkach prywatnych samochodów. Ostatni egzamin Fletchera, chemia, był wyznaczony na sobotę o tej samej godzinie co mój, z wojskowości. Jednakże Fletcher uznał, że już wyjechałem, i o wpół do szóstej w piątek po południu wstąpił do mnie w drodze do stołówki, ale nie pofatygował się zapukać. I zastał mnie - w pewnym sensie.

Aż do przyjazdu do akademii moje wysiłki, by uzupełnić prawdziwą edukację, przeważnie kończyły się fiaskiem. Potrzebowałem spokoju, a nawet jeśli zdołałem wygospodarować dwie godziny, udawało mi się osiągnąć bardzo niewiele ponad to, co już osiągnąłem. Teraz uważam ten stan uśpienia za kwestię związaną z fizycznym dojrzwaniem. Przed wkroczeniem w świat drylu i dyscypliny przybyło mi pięć centymetrów i dziesięć kilo, a gdy kadet Fletcher wtargnął do mego pokoju ze świętą księgą, robiłem właśnie pierwsze małe kroczki ku Ruchowi Bez Ruchu, czy jak się to nazywa. Znikałem z jednego miejsca i pojawiałem się w innym.

Jak zwykle w grę wchodził pewien paradoks, mianowicie ten, iż doświadczenie to nie stanie się drugą naturą, fizyczne zdolności,

których wymaga, przeszkadzają. W tym roku udało mi się do świąt opanować sztukę przenoszenia się o dwa metry od pryczy do biurka - co wymagało znacznego wysiłku - kiedy to nie było mnie ani w jednym, ani w drugim miejscu, lecz w obu naraz, choć nie całkiem. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to wyglądało, ale to właśnie ukazało się oczom Fletchera. Wnętrznosci mi się skrzyły, a ktoś wbił mi w głowę metalowe ostrze. To, co zdołałem dostrzec w środku zamieszania, zwiększyło tylko mój niepokój. Dwóch kadetów wmaszerowało do pokoju przez dwoje różnych drzwi. Rój migoczących światełek i mój znaczny fizyczny dyskomfort sprawiały, że intruz - lub intruzi - był widoczny tylko w ogólnych zarysach, jako kształt, który raptownie znieruchomiał.

Z pryczy widziałem jednego kadeta w otwartych drzwiach. Z nieco wyraźniejszej, bliższej perspektywy krzesła widziałem tors w mundurze na tle ciemnozielonych drzwi. Z obu miejsc dostrzegałem jaskrawą okładkę książki w dłoniach mego gościa i zarówno ja na pryczy, jak i ja na krześle poczuliśmy przyływ pożądania. Nasze wysiłki, by nakazać kadetowi bezruch, zaowocowały sykiem igły przesuwającej się po rowkach czarnej płyty. Kadet nie mógłby drgnąć, nawet gdyby chciał - wmurowało go w podłogę.

Nieskończenie długą sekundę potem znalazłem się koło sparalizowanego kadeta Fletchera, a lśniące iskry opadły i zgasły w powietrzu, zwłaszcza u stóp pryczy. Byłem goły jak święty turecki i pomimo rozpalonego bólu w głowie i tumultu w jelitach, miałem pewien typ niewzruszonej erekcji, znanej w szkole jako „niebieska stal”. Kadet Fletcher otworzył usta, a oczy mu się zaszklily. Zagapił się na mnie, potem na miejsce, w którym do niedawna się znajdowałem. W pokoju czuć było zapach spalonej instalacji elektrycznej. Pochyliłem się i czubkami palców zamknąłem drzwi.

Kadet Artylerii Fletcher spojrzał pustym wzrokiem na mnie, pryczę, znowu na mnie.

- Eeee...

Przypomniał sobie, po co w ogóle tu przyszedł. Drżącą ręką podsunął mi książkę.

- Myślałem... chciałem... - Jego spojrzenie spoczęło na moim sterującym penisie.

Wyjąłem mu książkę z palców. Moje genitalia powiększyły się do rozmiarów, które z punktu widzenia zazdrosnej osoby w wieku podeślým muszę nazwać znacznymi.

Fletcher nie spuszczał z nich oczu.

- Nie chciałem... to znaczy, nie wiedziałem... - Zerknął mi w oczy. - Eee, przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje. Chyba zakreśliło mi się w głowie. Gorąco tu. - Znowu spojrzał w dół. - No, to weź tę książkę. Muszę iść do stołówki.

- Nie tak szybko - powiedziałem.

Cofnął się ku drzwiom. Położyłem książkę na biurku, wstałem, chwyciłem go za ramiona i przysunąłem do siebie.

- O Jezu - mruknął. - Słuchaj, dostanę minusa za spóźnienie, ale jak chcesz, to ci zwalę konia.

Usiłował się wymigać od tego, co mogłem mieć na myśli w związku z nim. Sam nie wiedziałem, co mam na myśli, z wyjątkiem tego, że nie może wyjść stąd żywy. Mój penis musnął szorstki materiał jego kurtki, zostawiając przejrzysty lśniący ślad jak ślimak.

- Tylko nie na mundur. - Cofnął się na bok, ujął mojego penisa w połowie i nie bez czułości zaczął go masować, jakby doił krowę. Lewą ręką objąłem go w pasie, prawą zacisnąłem na ramieniu.

- Co to były za iskry?

- Później ci wyjaśnię.

- Mam gdzieś stołówkę. Potem ty zrobisz mnie.

- Co tylko zechcesz - powiedziałem. O, kłamstwa napalonych chłopców! O, głupiutkie młode stworzenia, które w nie wierzą!

Kolana usztywniły mi się, plecy wygięły. Kremowe kleksy przeleciały jakieś trzy metry i zachlapały szybko. Kadet Fletcher wrzasnął tryumfalnie, wycelował dla żartu w sufit i zaczął pompować. Wstążka

roztopionych lodów wyprysnęła w górę i rozbryznięła się na tynku. Z niemal naukowym zaciekawieniem przyjrzał się kleistej struzce ściekającej mu po palcach na podłogę.

- Zdziwiałe.

Puściłem go, on mnie. Twarz mu pociemniała od rumieńca. Rozpiął niezdarnie rozporek i sięgnął do środka.

- Dzięki za książkę - rzekłem, po raz pierwszy od rozpoczęcia eksperymentów w zrujnowanym domu czując, że potrafię zamrozić ludzkie serce - co też uczyniłem.

Fletcher padł martwy na podłogę, z ręką w rozporku.

Decyzja, co zrobię z jego ciałem, musiała poczekać do ciszy nocnej. Wepchnąłem go pod prycę, włożyłem mundur i rękami wytarłem okno i podłogę. Wszedłem na krzesło i zająłem się sufitem. Potem zacząłem czytać.

Mógłbym właściwie powiedzieć: doznawać ekstazy bardziej przejmującej niż seksualne rozładowanie. Poznawać najtajniejsze aspekty znanych mi prawd o świecie i mnie samym, wyłożone czarno na białym w pierwszych liniijkach druku. Co więcej, dowiadywać się, że ten mędrzec, prorok (z irytująco zwięzłej notki na skrzydełku okładki wynikało, iż był mieszkańcem Providence na Rhode Island) przeniknął Tajemnicę o wiele głębiej ode mnie. Pewne zmiany wynikały z faktu, iż mędrzec postanowił przekazać swą wiedzę w postaci fikcyjnej fabuły, lecz potwierdził źródła mojej misji i naturę mych Przodków. Wymienił ich dostojne imiona: Nyarlathotep, Yog-Sothoth, Shub-Niggurath, wielki Cthulhu.

„Koszmar w Dunwich” stał się moją Księgą Rodzaju, moimi psalmami, moją biblią. W zdumieniu i uniesieniu przeczytałem go dwa razy, przerywając tylko na chwilę, gdy współlokatorzy kadeta Fletchera, przyszli rotarianie nazwiskiem Woodlett i Bartland, wpadli, nie pukając, i jakieś dziesięć sekund później wypadli z wrzaskiem na dziedziniec. Zanim zacząłem pochłaniać książkę po raz trzeci, podniosłem głowę i ujrzałem ciemności za oknem. Była trzecia w nocy. Niechętnie

zamknąłem książkę, wywlokłem zwłoki spod pryczy, zaciągnąłem je na krużganek nad dziedzińcem i wypchnąłem przez balustradę. Upadek z trzeciego piętra na beton wydał mi się dość niezły. W pośpiechu zapomniałem wyjąć rękę Fletchera z jego rozporoka.

O tej właśnie sprawie wolałem nie rozmawiać z kapitanem.

- W pewnym sensie - powiedział Squadron. - Nie był twoim przyjacielem.

- Ja nie mam przyjaciół, prawda?

- Nigdy razem nie gadaliście, nic wspólnie nie robiliście.

- Nie przypominam sobie.

- Kadet Artylerii Fletcher zapewnił nam spory, acz niepożądany rozgłos.

Ewidentne samobójstwo kadeta Fortecy zwróciło uwagę całego kraju i choć aspekt autoerotyczny nie został oficjalnie potwierdzony, wiadomość, iż w chwili śmierci Fletcher obejmował swego penisa, rozeszła się błyskawicznie w szkole i jej otoczeniu, budząc zgrozę, niesmak i wywołując żarty. Zabił się, robiąc coś takiego?

Po sekcji zwłok sprawy jeszcze bardziej się zagmatwały. Fletcher zmarł w wyniku rozległego zawału serca, nie z powodu upadku. Nie tylko zleciał na dziedzińiec już martwy, lecz jego śmierć nastąpiła sześć do dwunastu godzin przedtem, jak nieznanymi sprawca lub sprawcy wyrzucili go z krużganek. I znowu do szkoły wtargnęła policja i dziennikarze. Wszyscy obecni w piątek wieczorem przed świętami, w tym również ja, zostali przesłuchani raz i drugi, by określić, gdzie Fletcher znajdował się w chwili śmierci, gdzie ukryto jego ciało i kto zrzucił je na dziedzińiec. Ślad spermy odkryty na jego mundurze doprowadził do powstania teorii o śmierci kadeta podczas seksu grupowego i ukrywaniu jego ciała przez pełnych poczucia winy kadetów.

Zarząd Fortecy grzmiał, że kodeks honorowy szkoły w wyjątkowo surowy sposób zakazuje takich wybryków. W ostatnim wysiłku, by

ograniczyć skandal, ogłoszono, że kadet Fletcher spotkał jakiegoś zdeprawowanego nieznanego, który zmusił go do przejścia w odludny zakątek szkoły i tam niemoralnymi propozycjami doprowadził swą ofiarę do zawału, po czym zaczął się, potwór, i zaczął na odpowiednią chwilę, by pozbyć się zwłok i skierować podejrzenie na Bogu ducha winnych uczniów. Kadet Fletcher wołał śmierć niż hańbę, w związku z czym szkoła ustanowi puchar jego imienia, przyznawany co roku kadetowi Artylerii, który najlepiej wciela w życie zasady kodeksu honorowego. Nie mogę powiedzieć, że bym się zmartwił, kiedy ta idiotyczna historia zniknęła z gazet. W końcu przestano o niej pisać i od miesiąca nie widzieliśmy żadnego policjanta ani dziennikarza. Jedynym namacalnym rezultatem dochodzenia było wydalenie notorycznego, nieodżałowanego puszczańskiego z Kawalerii, który gdy wymieniano przy nim nazwisko jakiegoś kadeta, miał zwyczaj rozkładać ręce tak, jak to robią wędkarze pokazujący, jaką rybę złowili.

- Ciekawe, że mogłeś być ostatnią osobą, która widziała kadeta Fletchera żywego - powiedział Squadron.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

- Kadet mówi kolegom, że idzie do stołówki, ale jeszcze po drodze podrzuci ci do pokoju książkę, którą chciałeś pożyczyć, w przeciwnym razie zapomni. Umawia się z nimi za chwilę w stołówce, idzie do twojego pokoju, przekonuje się, że jeszcze jesteś, i daje ci książkę. Tak?

- Był bardzo uprzejmy - oznajmiłem. - Chciał, żebym ją znalazł po powrocie.

Wyglądziłem dłonią koc.

- Nie mogłeś jej pożyczyć z biblioteki?

Podczas przesłuchań nikomu nie przyszło do głowy, żeby spytać mnie o książkę. Sama myśl, że muszę ją pokazać kapitanowi, wydawała mi się niebezpieczna.

- Nie mamy jej w bibliotece. To zbiór historii.

- Czyli opowiadań?

Wyglądziłem kolejną nieistniejącą fałdkę.

- Jakich opowiadań?
- Nie wiem, jak je określić.
- Mogę spojrzeć?

Podszedłem do biurka i otworzyłem pierwszą szufladę. Przed oczami stanęła mi ohydna wizja palców Squadrona, kalających święty tekst. Wziąłem ją i pokazałem mu okładkę. Zmrużył oczy.

- Nie znam gościa.

- Ja też nie. - Odłożyłem książkę na blat. Z ulgą po ucieczce przed czymś, co wydawało się jednocześnie skalaniem i niebezpieczeństwem, załomotało mi serce. Kiedy spojrzałem na Squadrona, zobaczyłem, że marszczy brwi i wyciąga ku mnie rękę.

- Myślałem, że chce pan...

Poruszył palcami.

Złożyłem mój skarb w jego łapy.

- Wy, chłopcy, myślicie, że kogoś zrobicie w bambuko, ale już my znamy te numery. - Otworzył książkę i przekartkował. Nie znalazł zdjęć nagich kobiet, więc znowu przerzucił kartki. Odgiął okładkę i zajrzał pod obwolutę. - Za bardzo się denerwujesz. Tu jest coś nie tak. - Chwycił książkę za okładkę i potrząsnął nią. Nic nie wypadło.

Squadron rzucił ją na szafkę i znowu się oparł.

- Nie poszedłeś wtedy do stołówki.

- Nie byłem głodny.

- Chłopcy w twoim wieku są głodni o każdej porze, ale zostawmy to na chwilę. Jak sądzisz, co spotkało kadeta Fletchera?

- Myślę, że dowódca ma rację. Jakiś obcy napadł go w drodze do stołówki i wystraszył na śmierć. Żałuję, że nie poszedłem z kadetem Fletcherem. Dwóch by nie zaatakował. - Popeliłem błąd i zerknąłem na mój skarb. Squadron dostrzegł to spojrzenie. Wyszczrzył zęby i przysunął książkę na krawędź szafki.

- Jeszcze nigdy, ale to naprawdę nigdy, żaden obcy nie zdołał się tu wkraść niepostrzeżenie. Jest prawie zupełnie niemożliwe, by wejść na

teren szkoły lub wyjść z niego, nie mijając wartownika. Żeby się włamać do kwater sypialnych, trzeba by się do tego przygotować, zgodzisz się? Kolega musiałby zostawić uchylone okno albo czekać przy wyjściu awaryjnym.

Kilka razy w miesiącu zbuntowani kadeci, którzy uciekli do miasta, wracali do kwater właśnie w taki sposób.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Założył ręce na piersi i przechylił głowę na bok, wciąż się przy tym drwiąco uśmiechając.

- Ale skoro rozmawiamy prywatnie, obaj możemy przyznać, że ta wersja to kit.

Zrobiłem wszystko, żeby wyglądać na zaskoczonego.

- Nie rozumiem.

- Ja pewnie też nie. Ale wiemy tyle. - Rozplótł ramiona i zaczął wyciągać na palcach, tak jak na zajęciach. - Raz: tylko dwóch kadetów z kwater na trzecim piętrze znajdowało się tamtej nocy na terenie szkoły. Kadeci Kawalerii Holbrook i Joys zjawili się w stołówce o godzinie osiemnastej zero zero i wrócili do kwater przed dziewiętnastą zero zero, żeby uczyć się do egzaminu z wojskowości. Światło zgasili zgodnie z regulaminem o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści.

Dwa: współlokatorzy kadeta Fletchera, kadeci Woodlett i Bartland, potwierdzają, iż zamierzał on wpaść do twojej kwatery i dać ci książkę, po czym zdążyć na wieczorny posiłek, a następnie uczyć się do egzaminu z chemii aż do ciszy nocnej.

Trzy: kiedy kolega nie zjawił się w stołówce, kadeci Woodlett i Bartland założyli, iż zrezygnował z posiłku na rzecz nauki w bibliotece. Tuż przed ciszą nocną zeszlizli na dziedziniec, by spotkać się z kadetem wracającym z samotnej wyprawy. Jednak nie wrócił - zgadnij dlaczego - gdyż biedak był już martwy. Kadeci Woodlett i Bartland pozostali na dworze do godziny dwudziestej trzeciej trzydzieści, kiedy to w skrzydle północnym na trzecim piętrze zapaliło się światło w jednym jedynym oknie. Było to okno waszego pokoju, kadecie.

- Bardzo przepraszam za niesubordynację, panie kapitanie.

Skupił wzrok na ścianie nad moją pryczą.

- Poszli tam, sądząc, że kadet przez cały czas przebywał w owym pokoju. Podczas krótkiej rozmowy dowiedzieli się, że kadet Fletcher zostawił książkę i ruszył wesoło w swoją stronę. Udali się do swojej kwatery w nadziei, że kadet wróci przed świtem. Niestety, tak się nie stało. Zamiast tego zwały się na nas kłopoty, a imię naszej wspaniałej uczelni zostało zbrukane.

Wbił we mnie ciężkie spojrzenie.

- Wówczas, a sądząc, że doszliśmy do punktu czwartego, zacząłem się nad tobą zastanawiać. Przypuszczam, że myślałem o tobie od samego początku. Zacząłem się zastanawiać, czy to przez ciebie ci wszyscy kadeci trafili do szpitala.

- Panie kapitanie - odezwałem się - wypadki chodzą po ludziach. Czy ktoś mnie oskarżył?

- Racja. Pięć: wypadki chodzą po ludziach. Po dogłębnym zastanowieniu zaskoczyłem sam siebie konkluzją, że to ty jesteś takim wypadkiem. - Patrzył mi prosto w oczy. - Z kimś takim jeszcze się nie spotkałem. Nie wiem nawet, jak to określić. Przeraziłeś tych chłopców tak, że boją się pisać słowo. Wiesz, co sądzą? Sądzą, że szukałeś właśnie takiej szkoły jak nasza.

- Panie kapitanie, proszę o wybaczenie, ale to niewiarygodne. Paru chłopaków połamało sobie kości, a pan wini o to mnie.

- Sześć. - Kapitan Squadron wciąż patrzył mi w oczy. - Wróćmy do tego światła w twoim oknie. Kadeci Woodlett i Bartland zdziwili się, gdy je zobaczyli. Istniało wiele powodów, dla których mogło się palić. Mogłeś zapomnieć je wyłączyć przed wyjazdem. Mógł go nie zgasić kadet Fletcher. Albo, na co liczyli, nie wyłączył go, ponieważ nadal przebywał w twoim pokoju. Więc poszli tam i, proszę, proszę, jednak cię zastali.

Rzucił mi dziwny, krzywy uśmiech i oparł głowę na pięści, robiąc

irytującą, naładowaną napięciem pauzę. Ze zdziwieniem poczułem dreszcz strachu i znenawidziłem kapitana za to, że go we mnie obudził.

- Czy zapukali przed wejściem?

- Tak sądzę - powiedziałem. Był już zbyt blisko. - Każdy tak robi. Część trzecia, paragraf szósty rozdziału trzeciego regulaminu szkoły.

Wyglądał, jakby się zastanawiał, jak wywabić brzydką plamę ze ściany.

- Ale nie puka się do drzwi pustych pokoiów. Kadeci, którym pamięć dopisuje lepiej niż tobie, twierdzą, że po prostu wbiegli do środka.

- To możliwe.

Squadron utrzymał tę samą pozę jeszcze przez chwilę. Opuścił rękę i uśmiechnął się lodowato.

- Podobnie jak kadet Fletcher, prawda?

W trzewiach zagnieździł się upokarzający strach.

- Sądzę, że postąpił zgodnie z regulaminem i zapukał.

- A ja sądzę, że nie. - Przez chwilę wodził wzrokiem po pokoju, po czym rzucił mi zamyślane spojrzenie. - Na czym stanęliśmy? Punkt ósmy.

- Siódmy, panie kapitanie.

- Dobrze, siódmy. Siedem: po bardzo wnikliwym zastanowieniu doszedłem do przekonania, że kadet Fletcher zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć. Zaskoczył cię. Niespodziewanie stał się zagrożeniem. Ach, jakbym chciał wiedzieć, na czym cię przyłapał! I ciekawe, jak zdołałeś go wystraszyć tak, że mu pękło serce, ale nie sądzę, żebyś mi powiedział. Wiem, że to ty. I że zrobiłeś to świadomie.

- To szaleństwo - odparłem. Czuję się, jakby potrafiła mnie ciężarówka. - Nie może pan na serio uważać, że zabiłem Fletchera.

- Nie twierdzę, że to zaplanowałeś, nie mówię nawet, że zrobiłeś to bezpośrednio. Jednak uważam, iż kadet Fletcher zaskoczył cię w sytuacji, w której musiałeś się go pozbyć i jakoś tego dokonałeś. Do diabła, ja nie sądzę, że go zabiłeś, ja to wiem. Ten chłopak tu wszedł i już stąd nie wyszedł.

Wpatrywałem się w niego w - mam nadzieję - osłupieniu. Od agresji przeszedł do zmęczonej pewności siebie przemieszanej z odrobiną smutku. Świadomość, że tak nieskomplikowany wojak osiągnął ten poziom subtelności, spotęgowała mój strach.

- Podejrzewam, że ukrywałeś zwłoki pod pryczą, dopóki nie trafiła ci się okazja, żeby się ich dyskretnie pozbyć.

- Jak pan kapitan może tak mówić? Bo jestem nowy? Bo mnie pan nie lubi? - Mój gniew podpłynął niepokojąco blisko powierzchni. - Powiniennem iść na mecz. Wtedy nadal byłbym pańskim ulubieńcem i nie winiłby mnie pan za każdą złamaną kość pańskich cymbałów. - Opanowałem się, nim zdołałem powiedzieć coś nierozsądnego. - Proszę o wybaczenie, panie kapitanie, ta uwaga była nie na miejscu. Bardzo przepraszam. Ale powtarzam, przysięgam na honor kadeta...

- Stop. Ani słowa więcej.

- Ale, panie kapitanie...

- Stop, mówię. - Oczy pociemniały mu z odrazy. - Mam ci do powiedzenia jeszcze tylko jedno i nie zanieczyszczaj powietrza, dopóki nie skończę. - Szarpnął kurtkę, chwycił się za klapy kieszeni i szarpnął znowu, dziko, jakby chciał je wyrwać. - Nie chcę słyszeć ani słowa o twoim honorze, bo choć tobie musi się to wydawać idiotyczne, tak się składa, że traktuję nasz kodeks bardzo, bardzo poważnie. Nowi uczniowie nie od razu orientują się, że to nie tylko puste słowa, ale w końcu dociera to do większości. Do ciebie - nigdy. Ty jesteś jak z innego gatunku. Jak zaraza.

Przestałem udawać zgrozę i usiadłem na krawędzi pryczy, patrząc i słuchając. W środku wszystko od krtani po pas zmieniło mi się w bryłę lodu.

- Czy pan już skończył, panie kapitanie?

- Tak jest. Ta rozmowa jest skończona. - Spojrzał mi w oczy. - Będę was obserwował, kadecie. Jeśli przyłapię was na jednym drobiazgu, spadnę na was jak młot i straciecie mundur, zanim się zorientujecie, co zaszło. Czy to jasne?

- Tak jest, panie kapitanie.

- Boże, dlaczego twoi rodzice nie wysłali cię do innej szkoły. - Rzucił mi spojrzenie pełne złości. - Zabieram książkę kadeta Fletchera. Chcę się przekonać, co jest tak strasznie ważnego w tych opowiadaniach.

Serce prawie mi stanęło, jak Fletcherowi.

- Proszę nie zabierać, jeszcze jej nie skończyłem.

Wziął ją pod pachę.

- Za tydzień zgłoś się po nią do mego gabinetu. Oddam ci ją, chyba że państwo Fletcherowie zażądadzą zwrotu. To wszystko.

Ruszył do drzwi, a ja za nim patrzyłem.

To, co zdarzyło się potem, można tłumaczyć tylko kombinacją nienawiści, przerażenia i desperacji, jakie mną szarpały. Jeśli cokolwiek myślałem, musiało to dotyczyć konieczności odzyskania świętej księgi, ale przypuszczam, że wcale nie myślałem. Nie wykonując nawet jednego ruchu, stanąłem koło kapitana Squadrona, który zaczął zdradzać pierwsze oznaki zaniepokojenia. Wydawałem się dwa razy większy, choć sądzę, że była to iluzja wytworzona przez uczucie pomagające matce podnieść samochód, który przygniata jej dziecko.

Nie miałem pojęcia, co zrobić. Z całą pewnością nie wiedziałem, co zrobić z kapitanem Squadronem. Prawdę mówiąc, do tej pory nie całkiem rozumiem, jak tego dokonałem, ponieważ już nigdy nie udało mi się powtórzyć tej sztuki. Przypuszczam, że ta matka także nie zdołałaby podnieść samochodu po raz drugi. Dotknąłem księgi i - jakbym robił to już tysiąc razy - poczułem, że wpływam do jego umysłu i bezgłośnie rozkazuję mu ją oddać. Gdy księga była już bezpieczna w moich rękach, za pomocą tej samej instynktownej władzy nakazałem mu przejść na środek pokoju. Umysł Squadrona donosił o doznaniu podobnym do bycia pchanym przez silny wiatr.

Gdy wycofałem się z jego głowy, kapitan Squadron nie mógł wydobyć z siebie głosu. Jakaś ogromna bateria obudziła się we mnie do życia. W tamtej chwili przyszło do mnie pewne wyjątkowo ważne

objawienie, które miało nadać kształt całemu mojemu życiu. Mówię „przyszło do mnie”, mając na myśli, iż wpłynęło we mnie niczym czysty, przejrzysty strumień i w ułamku sekundy nadało chaosowi kształt. Jeszcze raz usłyszałem głos z Lasu Johnsona.

Kapitan Squadron stał na środku mojego pokoju, może dwa metry ode mnie. Przysunąłem się ku niemu, jakbym się ślizgał na łyżwach po powierzchni zamrażonego jeziora. Nie sędzę, żebym go dotknął. Przypominam sobie niemal bezosobowe wrażenie opróżnienia. W stawach czułem przeszywający ból nasuwający skojarzenie z artretyzmem. Głowę miałem jak rozłupaną siekierą. Może matka, która podniosła samochód przygniatający jej dziecko, też się tak czuje, nie wiem. Wiem natomiast, że kapitan Squadron zniknął. Na podłodze pojawiła się zielonkawa kałuża średnicy może dziesięciu centymetrów, a w powietrzu rozszedł się wilgotny, trupi smród.

Opanowałem cierpienie na tyle, by wytrzeć resztki kapitana, wypłukać ręcznik pod kranem i paść na łóżko, gdzie zacząłem się zastanawiać się nad nowym odkryciem.

Oto co mi powiedziano na ułamek sekundy przedtem, jak zmieniłem kapitana Todda Squadrona w pół litra żółci: pewnego dnia, który nie nadejdzie szybko, w ziemskim świecie pojawi się wróg poważniejszy, bardziej znaczący od kapitana Squadrona. Mój wróg będzie jak cień lub druga tożsamość, gdyż kiedy osiągnie wiek męski, odziedziczy moc powstrzymania nadejścia Ostatnich Dni, jak niektórzy protagoniści w historiach Mistrza z Providence, którzy udaremniali zamierzenia moich prawdziwych przodków. Ten Antychryst będzie najbardziej bezbronny jako dziecko, lecz siły ciemności zawiążą spisek, by go uchronić przed zagładą z mojej ręki. Gdy wróg osiągnie wiek męski, przejmie część moich zdolności, tym samym utrudni mi zadanie, a ta przekłeta komplikacja będzie ze wszech miar uzasadniona. Mój wróg także będzie dymem z armatniej gardzieli - będzie członkiem rodziny. Prawdę mówiąc, będzie moim synem.

15. Pan X

Jeszcze tylko parę drobiazgów, zanim odłożę dzisiaj pióro. Zniknięcie kapitana Squadrona z akademii sprowokowało przelotne zainteresowanie prasy w związku z możliwym związkiem między ucieczką kapitana i śmiercią kadeta Fletchera. Kiedy rygorystyczne badanie jego historii ujawniło, iż kapitan wycofał się z czynnej służby w związku z podejrzeniem o molestowanie chłopca w Lawton w Oklahomie, przypuszczenie zmieniło się w pewność. Dalsze polowanie trwało zapewne jeszcze kilka lat i nie przyniosło innych skutków niż czasowe zatrzymanie zaskakującej liczby podejrzanych. Przyglądałem się temu zrobawieniem przez resztę mojej kariery kadeta i w nagrodę za dobre zachowanie otrzymałem wakacje za granicą.

Zbijałem baki w Cannes, Nicei i Monte Carlo. Moi rodzice nie chcieli, bym wrócił do domu, lecz ojciec, który zawsze dotrzymywał słowa, za pomocą potężnego datku zapewnił mi wstęp na swoją alma mater, Uniwersytet Yale. Wkrótce aresztowanie pod zarzutem włamania położyło kres dobrej passie i po wyjściu z więzienia zacząłem wieść wędrowne życie. Znalazłem wiarygodny sposób przekonania rodziny o moim zgonie, co niewątpliwie przyjęto z wielką ulgą. Za źródło dochodów instynktownie obrałem sobie wymuszanie. Przystępstwo jest dyscypliną naukową, podobnie jak rachunek różniczkowy czy wojskowość i podobnie jak one ustępuje przed intelektem. Wkrótce moje zrozumienie metod postępowania, w tym chronienie, utrzymywanie i zastraszenie pracowników, wyniosło mnie na pozycję lidera. Starannie obliczone na efekt użycie moich talentów zawsze się sprawdzało, zwłaszcza gdy chodziło o zastraszenie. Pod maską przeciętnego, pozornie wyluzowanego gangstera kryje się otchłań przesądów. Jeszcze przed trzydziestką stałem się Księciem Zbrodni - i osiągnąłem to, pragnę zaznaczyć, bez żadnych układów.

Jednak zmęczyły mnie ciągłe obowiązki Księcia Zbrodni i jak zwykli

śmiertelnicy poczułem zew domu. Nazwijmy to kryzysem wieku średniego. Mało mnie to obchodzi, lecz prawda wygląda tak, iż uważałem się nie tylko za zbrodniarza, lecz i artystę. (Gdybym tylko mógł wiedzieć to, co wiem teraz!). Jedyne garstka pisarzy, z których żaden nie zasługiwał na uwagę, podjęła wyzwanie rzucone przez autora „Koszmaru w Dunwich”, Mistrza z Providence. Chciałem udowodnić, że tylko ja jestem jego prawdziwym dziedzicem.

Tak więc w wieku dojrzałym odrzuciłem owoce mego sukcesu i wróciłem do Edgerton, gdzie ćwiczyłem mój kunszt pisarski na wszystkim, co zdało mi się interesujące. Miejscowy światek przestępczy powitał mnie tak, jak sobie tego życzyłem, co znaczyło, że wkrótce kontrolowałem wszystko, czym chciałem kierować incognito. Mniejsze szczęście dopisywało mi w twórczości - moje opowiadania były doskonałe, co budziło zazdrość i sprzeciw, tak dobrze znane wszystkim, którzy nie zgadzają się na produkowanie komercyjnej papki. Zrobiłem, co do mnie należało. Dałem ludzkości szansę odkrycia prawdy, a ludzkość tę szansę zmarnowała. Każdy, kto ma choć gram empatii, zrozumie moje rozgoryczenie.

W tym czasie poznałem półświatek niedoszłych artystów i ich satelitów, którzy kręcą się w pobliżu każdego college'u lub uniwersytetu. Jakże często mój dom stawał się sceną ożywionej dyskusji, niemal zagłuszonej muzyką z magnetofonu, w oparach wina i papierosów legalnych i zakazanych. O, to napięcie seksualne między brodatymi chłopcami w golfach i wspianymi młodymi kobietami w strojach, które czasem zdawały się namalowane na ich ciałach. Wiele z nich posiadałem w spazmach rozkoszy pod koniec każdej z tych nocy. W końcu, jeśli zadaniem mego życia miało być uśmiercenie syna, najpierw musiałem stworzyć maleństwo.

I gdyby wszystkie moje jałówki się ociełiły, byłem gotów zamordować wszystko, co wyszłoby z ich łon, choć założyłem, że rozpoznam Antychrysta, kiedy go zobaczę. Przyjąłem za pewnik, że kiedy pan Milusiński o Podłych Zamiarach wyśliźnie się z łona Heather, Moongirl,

Sarah, Rachel, Nanette, Mei-Liu, Skunk, Avis, Subindry, Pang, Low Rider, Arquetty, Sujit, Tammy, Georgy-Porgy, Akiko, Conchity, Suki, Sammie, Dużej Indianki czy Zeldy, będą mu towarzyszyć znaki na ziemi i niebie. Mimo mych wysiłków żadna z owych chętnych dziewczyn nie okazała się brzemienna. Ze wszystkich zafascynowanych sztuką idiotek, które przeleciałem w owym czarownym okresie mego życia, jedynie Star Dunstan zdołała zająć w ciążę.

Głos objawienia miał rację, informując mnie, iż mój przeciwnik będzie trudny do uchwycenia. Jakże byłem nierozsądny, sądząc, że zdołam nad wszystkim zapanować. Gdy Star odkryła, iż jest w ciąży, sprzeciwiłem się tradycyjnym naleganiom na małżeństwo, którym nie mogła się oprzeć nawet tak uduchowiona istota. Wydawało się jej, że powinna się do mnie wprowadzić. Była mi jednak tak wdzięczna, że nie wysłałem jej na zabieg, iż zdołałem ją uszczęśliwić byle czym. Nie mogła się dowiedzieć, że przespałem się z nią tylko po to, by ją zapłodnić. Chciałem zdrowego, porządnego porodu. Parę dni po powrocie mamusi z cherubinkiem ze szpitala zamierzałem przykryć twarz cherubinka poduszką i nie cofać jej, dopóki małe ciało nie znieruchomieje. Plan był bez zarzutu, lecz zgodnie z przepowiednią spalił na panewce, choć nie z mojej winy.

Zmuszałem się do obrzydliwych wyrazów czułości, jakich oczekuje kobieta z rozdętym brzuchem. Przez kilka miesięcy stroiłem idiotyczne miny i snułem kłamliwe opowieści o różowej przyszłości. Pewnej nocy wybrałem się jednak na przechadzkę, a gdy wróciłem, moje mieszkanie było już puste. Zabrakło w nim mojej wzdętej towarzyszk i jej dobytku. Uciekła mi, prysnęła. Podejrzywałem, że znalazła sobie nowego chłopaka. Nadal uważam, że tak było, lecz ponieważ nie zdołałem jej znaleźć, choć w promieniu stu kilometrów zajrzałem pod każdy kamień i każde źdźbło trawy, nie mam na to dowodu. W desperacji udałem się po pomoc do Lasu Johnsona i tam dowiedziałem się, że Głos, który do mnie przemówił, zamilkł na wieki. Miesiąc później usłyszałem od Erwina Leake'a, pseudo „Pipey”, który w tamtych czasach jeszcze dbał

o swą posadę w Albertus, że moja ukochana wróciła do Edgerton i urodziła. Zamieszkała w domu swej ciotki na Cherry Street i podobno nosiła tanią obrączkę.

Świetnie, pomyślałem. Parę nieśmiałych wizyt z bukietem i bombonierką, obietnica bezwarunkowego wybaczenia, pokaz uwielbienia dla noworodka i będzie moja w mgnieniu oka, wraz z moim małym skarbem przyssanym do jej sutka. Parę godzin później do moich drzwi zapukało dwóch funkcjonariuszy, którzy powiadomili mnie, jakoby ktoś szepnął słówko o moim udziale w licznych nielegalnych przedsięwzięciach. Pospieszny proces zakończył się drugim wyrokiem, tym razem w stanowym więzieniu Greenhaven.

Wkroczyłem w jego mury w aurze reputacji, która zagwarantowała mi szacunek, posłuszeństwo, władzę i znaczny poziom wygody, jaki można osiągnąć w takich warunkach. Każde moje życzenie - z wyjątkiem szansy uwolnienia świata od bękarta Star - spełniano z nawiązką.

Uwięzienie przyjmowałem z lekkim sercem, gdyż zapewniono mi przyzwoitą celę z prywatną łazienką i linią telefoniczną, smaczne posiłki, erotyczne spotkania z kobietami, najrozmaitsze książki i gazety istotne dla moich badań, w tym prace na temat życia i dzieł Mistrza z Providence (mające wówczas chwilę nowej popularności), i pouczające rozmowy z rozrywkowymi towarzyszami, których miałem na kopy. Kochane maleństwo na razie pokonywało drogę od pieluch do nocniczka, od gaworzenia po pierwsze sepleniące wprawki w mówieniu i jeszcze przez wiele lat nie mogło zagrozić memu przeznaczeniu Herolda Apokalipsy. Powiedziano mi, że zadanie będzie trudne, co umocniło mą wiarę w mądrość mych nieczłowieczych przodków. Miałem czas, by zabić małe paskudztwo po wyjściu z więzienia i już się nie mogłem tego doczekać. Tymczasem moje przygotowania dotyczyły w znacznej części postaci i kierunku mych przyszłych poszukiwań.

Gdym już się znużył pobylem w złotej klatce, więzienny bunt pomógł mi opuścić Greenhaven anonimowo, nieważne, w jaki sposób.

Powiedzmy, że dzięki moim zdolnościom zdołałem ukryć się w najbezpieczniejszym z magazynów, a następnie spokojnie opuścić więzienie. Wróciłem do mego rodzinnego miasta, gdzie zamieszkałem z dala od innych, i rozpocząłem poszukiwania, które ciągnęły się aż po dzień dzisiejszy.

Lata te były ciężkie i frustrujące. Przeciwnik okazał się tak nieuchwytny, jak zapowiedziano; czasami umykał w chwili, gdym już miał go złapać za ten żalosny kark. Jednakże w roku, w którym uciekłem z więzienia, dowiedziałem się, że moi przodkowie ofiarowali mi ostatni, odnawiany co roku dar - i ten dar, którego oczekuję z dziką, drapiezną i czułą niecierpliwością, nadal zdolną przyspieszyć rytm moich kroków i serca, podtrzymywał mnie i pokrzepiał w jałowych latach. Dzięki łaskawości Starych Bogów cień cienia, którym był syn Star Dunstan, objawiał mi się co roku w swoje urodziny.

Zostały mu jeszcze jedne, ostatnie. I gdziekolwiek teraz jest, czy snuje się po szpitalnych korytarzach, starych domach na Cherry Street, czy też tawernach, czy się ukrywa, czy też parady, nieświadom niczego, ulicami Edgerton, ta chwila miała nadejść dokładnie za tydzień.

II

Jak się
dowiedziałem
o dnie rzeki

16.

Tenisówki Nettie klapały o twarde płytki, a torba wielkości walizki podskakiwała na jej biodrze. Prawie wszystkie pielęgniarki i sanitariusze podnieśli głowy. Byli ubrani w piżamopodobne zielone uniformy, a w stanie umysłu, w którym się znalazłem, wydawało mi się, że wszyscy mają popielatoblond włosy i nordyckie oczy. Kombinacja science fiction i historii o porwaniu przez Obcych, a efekt potęgował jeszcze bijący od ich włosów blask kosmicznej stacji.

W głębi pomieszczenia ciocia May zwróciła się do najbliższej pielęgniarki i oznajmiła:

- To syn mojej siostrzenicy, Ned. Ma ataki.

Nettie chwyciła mnie w objęcia. Przez materiał jej torby czułem twarde kształty buteleczek i słoików.

- Dziś rano, kiedy do ciebie dzwoniłam, dzwoniłam i dzwoniłam, powiedziałam do May: „Nasz chłopiec już jedzie”, prawda, May? - Obejrzała się przez ramię, nie wypuszczając mnie z objęć; jej torba uderzyła mnie w biodro.

- Żeby tak jutra nie doczekała - zaświadczyła May.

- Bardzo państwa proszę - odezwała się siostra Zwick. - Chyba takim jak wy nie muszę przypominać, że to oddział intensywnej opieki.

Nettie puściła mnie i cofnęła się o krok.

- Co ma znaczyć to „takim jak wy”, Zwick?

Przez chwilę siostra Zwick upajała się ewentualną rozkoszą przybliżenia nam znaczenia terminu „tacy jak wy”. Potem przysunęła się z krzesłem do biurka.

- Prosiłam jedynie o ściszenie głosu.

Pielęgniarki i sanitariusze wrócili na swoje miejsca, do prywatnych rozmów. Jeden mężczyzna był Hindusem lub Pakistańczykiem, jedna kobieta była czarna, ale w moich oczach wszyscy wyglądali identycznie.- Nettie, co się stało? - spytałem. - Czy jest źle?

Na jej szerokiej twarzy nie odcisnęły się prawie żadne zmarszczki, lecz pozorny spokój, biorący się z gładkich policzków i młodzieńczego czoła, był przyćmiony troską.

- Jest źle - powiedziała.

Ciocia May zbliżyła się do nas, podpierając się lśniącą metalową laską.

- Jak to dobrze, że nasz chłopiec wrócił do Edgerton. - Obie siostry były ubrane w luźne kwieciste sukienki, które zawsze lubiły, ale podczas gdy Nettie wypełniała swój strój ciałem nabitym i masywnym, ciało cioci May było jak pusty worek. Przez pofałdowaną skórę szyi rysowały się ścięgna. Gdy znalazła się na tyle blisko, by paść mi w ramiona, uniosła laskę, a ja dźwignąłem ją z ziemi.

- Uf! - sapnęła. Trzymałem ją tak długo, aż oparła laskę na ziemi. - Nie czuję się tak źle, jak wyglądam, więc się nade mną nie lituj. - Jej szept było słychać na drugim końcu pomieszczenia. - Od tej choroby w zeszłym roku nie mogę chodzić tak, jak kiedyś. Gdybym tylko zdołała trochę przytyć, wszystko byłoby dobrze, ale ostatnio jakoś nie mam apetytu.

Zbliżyliśmy się do stanowiska numer 15.

- Doktor ją widział?

- Czekaliśmy na niego, kiedy się pojawiłeś - wyjaśniła Nettie. - Z serca spadł mi ogromny ciężar.

Spojrzałem na zasłonięte stanowisko.

- Co jej jest?

May pochyliła się ku mnie.

- Wszystko wydarzyło się dzisiaj! Upadła na podłogę! Clark zerwał się i zadzwonił na pogotowie.

- Choć jest młoda, miała wylew - dodała Nettie.

Ciocia May musnęła mój sweter czubkami palców.- Zakładam się, że to z jakiegoś wspaniałego nowojorskiego sklepu, jak Saks na Fifth Avenue. - Podniosła na mnie oczy, a jej głos nabrał ostrzejszych tonów.

- Kiedy wróciłeś?

- Przed chwilą. Jechałem autostopem. Tam mam bagaże. - Wskazałem torbę i worek na podłodze przy wejściu.

Ciocia Nettie przyglądała mi się ze zmarszczonymi brwiami. Właściwie mogłaby być w czerni.

- Może powinienes sobie oszczędzić kosztów podróży i dalej tracić pieniądze na Fifth Avenue. Miałeś szczęście, że tak szybko się tu dostałeś.

Niski szczupły człowieczek w białym fartuchu wyszedł szybkim krokiem zza zasłony. Jasne włosy były wyraźnie przerzedzone na pękatej głowie, co podkreślały zbyt duże okulary w czarnych oprawkach. Rzucił mi obojętne spojrzenie, a ciotki uzbroidły się w odwagę i czekały, co im powie.

- Pan jest... - Zerknął w dokumenty. - Ned, syn Valerie Dunstan?

- Tak - powiedziałem.

- Doktor Barnhill - oznajmił i wyduł wargi. Jego głowa wydawała się pękata, ponieważ była nieproporcjonalna w stosunku do reszty ciała, a cofająca się linia włosów obnażała zbyt wiele skóry. Niscy, łysi mężczyźni są bardziej łysi niż ci wysocy. Uścisnął mi rękę pospiesznie, sucho.

- Dziś rano pańska matka miała rozległy udar. Jej stan jest poważny. Żałuję, że nie mogę przekazać lepszych wiadomości. - Przytulił dokumenty do piersi, jakby się bał, że będziemy chcieli wykraść mu jakieś tajemnice. - Czy wie pan, na czym polega udar?

- Nie do końca.

- W jej mózgu znalazł się skrzep, który odciął dopływ tlenu. Jeśli tlen nie dociera do pewnych rejonów mózgu, występują w nich uszkodzenia tkanek. U pańskiej matki tym rejonem jest część lewej półkuli. - Dotknął lewej skroni. - Wkrótce po przewiezieniu jej na oddział

intensywnej opieki pojawiły się objawy arytmii i ogólnego wstrząsu. Podałem jej stosowne lekarstwa, lecz obserwujemy znaczne osłabienie czynności serca. Czy pańska matka dużo pali?

- Wcale.

- Star pracowała w bardzo zadymionych klubach - odezwała się May. - Przepięknie śpiewa.

- Wiadomo państwu, czy brała jakieś narkotyki?

- Marihuanę - powiedziała May. - Spotykała się z różnymi, co tym śmierdzieli.

- Bierne palenie i zażywanie marihuany mogło być czynnikiem sprzyjającym - oznajmił doktor. - Pańska matka ma... - Zerknął w dokumenty i niemal niezauważalnie drgnął. - Pięćdziesiąt trzy lata. Zwykle prognozy byłyby dobre. Mam nadzieję, że leki rozpuszczą skrzep. Jeśli pańska matka przeżyje dwanaście godzin, czeka ją długa rekonwalescencja połączona z intensywnym leczeniem. To najlepsza wiadomość, jaką dla pana mam.

- Dwanaście godzin.

Twarz wygładziła się mu jak maska.

- Wszystko zależy od stanu pacjenta.

- Czy mnie rozpozna?

- Niech pan nie liczy na wiele więcej. - Znowu spojrzął w dokumenty. - Czy ma pan rodzeństwo?

- Nie - odparłem, a ciocia Nettie dodała natychmiast:

- Przecież mówiłam. Star urodziła tylko jednego syna, tego tutaj.

Doktor Barnhill skinął głową i odszedł. May zniknęła gdzieś za moimi plecami.

- Rodzeństwo?

- Zwick zapisała wszystko, co twoja matka mamrotała, kiedy tu dotarliśmy, no a wiesz, jak się coś znajdzie na papierze, ktoś może w to uwierzyć.

Obejrzałem się przez ramię. Ciocia May, wsparta na lasce, rozmawiała z młodym osiłkiem z krótką jasną brodą i gęstą czupryną ściągniętą w kucyk. Cofnął się i powiedział:

- Mnie tam wszystko jedno.

Wszedłem za zasłonę. Postać podpięta do mrugających aparatów narychmiast stała się podobna do wychudzonej, lecz nadal rozpoznawalnej wersji Star Dunstan. Policzki miała jakby nadęte i woskowe. Przezrzysty płyn z przezroczystych woreczków płynął przewodami niknącymi pod bandażami na jej przedramionach. Na prawym palcu wskazującym miała płonące czerwone światełko. Wziąłem ją za rękę, pocałowałem w czoło.

Otworzyła szeroko oczy.

- Nnnnnd.

Prawy kącik jej ust przesunął się w dół i znieruchomiał, jakby wosk na chwilę się rozpuścił i znów zastygł. Zrobiła wysiłek, żeby podnieść głowę, zacisnęła rękę na moich palcach.

- Yyy... hmmm heee.

- Ja też cię kocham - powiedziałem. Skinęła głową i osunęła się na poduszkę.

Ciche dźwięki i sygnały dawały o sobie znać z dyskretną przenikliwością, brzmiały tak, jakby za chwilę miały stać się melodią. Światełka, wznoszący się i opadający wykres, biegnące w dół rurki wydawały mi się bardziej realne od moich własnych uczuć. Tak jakbym i ja znalazł się w jakimś odrętwieniu, jakbym chodził i działał na autopilocie.

Moja ręka uniosła się z balustrady łóżka i dotknęła policzka matki. Był miękki i chłodny. Star otworzyła oczy i uśmiechnęła się funkcjonującą połową twarzy.

- Wiesz, gdzie jesteś?

- Hyyy... au.

- Tak. Zostanę z tobą, dopóki nie wyzdrowiejesz.

Prawa powieka jej opadła, lewy kącik ust otworzył się i zamknął. Zrobiła kolejny wysiłek.

- Skyyyyd... heee... uuu... zieeeheeś?

- Pomyślałem, że masz kłopoty.

Spod jej prawej powieki wymknęła się łza. Potoczyła się po policzku.

- Hyyydny Nddd.

- Nie martw się o mnie - powiedziałem, ale już spała.

17.

Siwowłosy irlandzki polityk, występujący jako doktor Muldoon, kardiolog przydzielony mojej matce, opisał stan Star jako niestabilny. Przez ten jego konfidencjonalny przepity baryton odniosłem wrażenie, że zaprasza mnie na rejs jachtem. Tuż po jego wyborczym wystąpieniu zjawił się osiłek, z którym rozmawiała May, a ja poszedłem za nim.

Zapisywał odczyty aparatury, która wyglądałaby całkiem na miejscu w kokpicie boeinga. Na mój widok wyprostował się, niemal całkowicie wypełniając sobą przestrzeń między aparaturą i łóżkiem. Z plakietki na jego piersi wynikało, że nazywa się Vincent Hardtke; wyglądał jak były piłkarz, który za bardzo sobie folgował z piwem.

Spytałem, jak długo tu pracuje.

- Sześć lat. Świetny personel, jeśli o to chodzi. Wielcy państwo leczą się w Lawndale, ale gdybym ja zachorował, przyszedłbym tutaj. Piorunem. Gdyby to była moja mama, chciałbym wiedzieć, że się nią dobrze opiekują.

- Widział pan pacjentów, którzy mieli to samo co moja matka. Co się z nimi stało?

- Oglądałem ludzi w gorszym stanie, a wyszli stąd jak nowi. Stan pańskiej mamy jest już stabilny. - Cofnął się o krok. - Ta starsza pani z laską to niezły numer. - Odsunął zasłonę i uśmiechnął się do cioci May. Minęła go dumnie jak księżniczka.

Przed południem goście zgromadzili się w korytarzykach między stanowiskiem pielęgniarek i dwoma szeregami zasłoniętych łóżek. Obszedłem stanowisko parę razy, żeby rozprostować nogi, i dopiero za którymś okrażeniem przypomniałem sobie coś, co powiedziała Nettie.

Siostra Zwick udawała, że mnie nie widzi, dopóki nie zatrzymałem

się bezpośrednio przed nią.

- Siostró - odezwałem się, wskazując mój worek i torbę pod ścianą.
- Jeśli moje bagaże przeszkadzają, chętnie je przeniosę we wskazane miejsce.

Całkiem o nich zapomniała.

- Cóż, to nie magazyn. - Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy kazać mi je zanieść do piwnicy lub w jakieś inne odległe miejsce. - Pańskie rzeczy nikomu nie zawadzają. Mogą tu zostać przez jakiś czas.

- Dziękuję. - Zrobiłem parę kroków, ale znowu do niej wróciłem.

- Tak?

- Doktor Barnhill wspomniał, że dziś rano rozmawiała pani z moją matką.

Spojrzała ostro, a policzki zabarwiły się jej różem.

- Pańska matka zjawiała się, gdy robiliśmy obchód.

Skinałem głową.

- Była oszołomiona, co jest normalne u osoby z wylewem, ale kiedy zobaczyła mój fartuch, chwyciła mnie za rękę i usiłowała coś powiedzieć.

- Pomogła jej pani?

Gniew mocniej zaróżowił jej policzki.

- Nie pomagałam jej mówić, sama tego chciała. Potem wróciłam na swoje stanowisko i zrobiłam notatkę. Jeśli mój raport nie spodobał się pańskim ciotkom, bardzo mi przykro, ale takie są moje obowiązki. Osoby po wylewie często mają zaburzenia postrzegania.

- Moja matka na pewno jest pani wdzięczna za pomoc.

Gniew schował się na pewien czas w jakiejś kryjówce.

- Miło jest rozmawiać z dżentelmenem.

- Moja matka mawiała, że nie ma sensu być niegrzecznym. - Nie zdradzałem całej prawdy. Moja matka od czasu do czasu mawiała: trzeba coś dać, żeby coś dostać. - Czy może mi pani powiedzieć, co zamieściła pani w raporcie?

Wpatrzona w dokumenty Zwick zmarszczyła brwi.

- Z początku nie mogłam zrozumieć. Potem przenieśliśmy ją na

łóżko, a ona przyciągnęła mnie do siebie i powiedziała: „Ukradli moje dzieci”.

18.

Nettie i May, dostojne jak para dam w ręce pokerzysty, obserwowały swoje włości z krzesel, beczelnie zabranych ze stanowiska pielęgniarek. Jakimś cudem zdołały poznać nazwiska, zawody i problemy zdrowotne niemal wszystkich pacjentów.

Numer trzy z postrzałem i zawałem serca nazywał się Clyde Prentiss i był wyrzutkiem, który złamał serce swojej matce. Numer pięć, pan Temple, był przystojny jak gwiazdor filmowy - dopóki nie przydarzył mu się wypadek w fabryce. Pani Helen Loome, sprzątaczką z dziewiątki, przeszła operację w związku z rakiem odbytnicy. Z pana Bargerona z ósemki, akordeonisty z zespołu grającego polki, wyjęto półtora metra jelit. Pan Bargeron pił tak ostro, że widział latające wokół łóżka upiory.

- To alkohol opuszcza jego ciało - wyjaśniła Nettie.

- Te upiory nazywają się jim beam i Johnnie walker.

Ich prawdziwy obiekt zainteresowania, moja matka, unosił się pod powierzchnią plotek. Jej niefrasobliwość lub to, co za nią brały, sprawiały im ból i rozczarowanie. Kochały ją, ale mimo wszystko musiały uznać, że Star ma więcej wspólnego z akordeonistą pijakiem i Clyde'em Prentissem niż panem Temple'em.

Zasadniczo Nettie i May przestały być Dunstanównami, kiedy wyszły za mąż, ale ich mężowie wrosli w świat Cherry Street, jakby się w nim urodzili. Małżeństwo Queenie z Tobym Kraftem i jej ucieczka do lombardu przydarzyła się w późnych latach jej życia i jedynie w minimalnym stopniu odseparowała ją od sióstr.

- Toby Kraft ciągle przychodzi? - spytałem.

- A czy psy mają pchły? - odparowała Nettie.

Ciocia May podniosła się z krzesła jak zardzewiały dźwig. Oczy jej zaślniły.

- Pearl Gates przyszła w swojej drugiej najlepszej sukience. Chodziła z Helen Loome do tej kongregacji „Góra Hebronu”, przeszła tam

z „Kany Galilejskiej”.

Nettie wyciągnęła szyję.

- To ta sukienka, którą ufarbowała na groszkową zieleń? Ta, w której wygląda jak żółw?

Ciocia May pokuśtykała do zgarbionej kobiety przed stanowiskiem dziewiątym. Odwróciłem się do Nettie.

- Pearl Gates?*

* *Pearl gates* (ang.) - perłowe wrota.

- Zanim wyszła za pana Gatesa, nazywała się Hooper. W takich wypadkach to mężczyzna powinien przyjmować nazwisko kobiety, zamiast robić z niej idiotkę. Wujek Clark jest tak dumny z naszej rodziny, że aż dziw, że nie nazywa się Clark Dunstan. Dlaczego to ja musiałam się stać Annette Rutledge?

- Mam nadzieję, że u niego wszystko dobrze?

- Jak zwykle. Wszystko wie najlepiej. Która godzina?

- Dochodzi wpół do pierwszej.

- Teraz jeździ wokół parkingu, żeby znaleźć dobre miejsce. Musi mieć pusto po obu stronach, bo się boi, żeby mu ktoś nie zadrapał samochodu. - Spojrzała na mnie. - James zmarł w zeszłym roku. Zasnął przed telewizorem i już się nie obudził. Nie mówiłam ci?

- Niestety.

- Pewnie mi się pomieszało, czy do ciebie dzwoniłam, czy nie.

Po raz pierwszy ujrzałem moich krewnych z punktu widzenia człowieka dorosłego. Nettie przez chwilę zastanawiała się, czy opowiedzieć mi o śmierci Jamesa.

- A otóż i wujek Clark, zgodnie z planem.

Starszy pan w luźnej żółtej koszuli przypominał znanego mi człowieka tylko w najogólniejszych zarysach. Od czaszki jak laskowy orzeszek uszy odstawały mu pod kątem prostym. Nad mocno zaróżowionymi workami pod oczami białka lśniły kolorem kości słoniowej.

Wujek Clark zatrzymał się przed swoją żoną jak staroświecki samochód przed miejskim pomnikiem.

- Jak leci?

- Tak samo - powiedziała Nettie.

Podniósł głowę, żeby mi się przyjrzeć.

- Jeśli to ty jesteś mały Ned, to ja jestem tym gościem, który uratował życie twojej matce.

- Cześć, wujku. Dziękuję, że wezwałeś karetkę.

Machnął ręką i wszedł za zasłonę. Podążyłem za nim.

Zbliżył się do łóżka.

- Jest tu twój syn. To ci powinno pomóc. - Przyjrzał się światelkom i monitorom. - Gdyby nie ja, nadal byś leżała w kuchni. - Wskazał palcem jakiś ekran. - To jej serce, wiesz? Widać, jak bije.

Przytaknąłem.

- W górę, w dół, w górę i bach! Widzisz? Mocne serce.

Wziąłem matkę za rękę. Jej oddech się zmienił, powieki zatrzepotały.

Clark spojrzał na mnie znanym wzrokiem - z powierzchowną akceptacją i niezmienną podejrzliwością.

- Pora na obiad, nie?

Nagle otwarte oczy mojej matki skupiły się na mnie. Wujek poklepał ją po ramieniu.

- Zdrowiej szybko, mała.

Zasłona zakołysała się za nim.

Star ścisnęła moją rękę, uniosła głowę znad poduszki i bardzo wyraźnie wypowiedziała moje imię.

- Mszszsz... z tbą... hrozmaać... Maszynieria zapiszczała alarmująco.

- Musisz wypocząć, mamo.

Dźwignęła się do pozycji siedzącej. Jej palce zacisnęły się na moim bicepsie jak kajdanki. Nabrała ogromny haust powietrza, a wypuszczając go, tchnęła:

- Twój ojciec.

Jakaś pielęgniarka zjawiała się obok, położyła jej rękę na klatce piersiowej, a drugą na czole.

- Valerie, uspokój się. To rozkaz.

Przykryła ją, przedstawiła się jako June Cook, przełożona pielęgniarek na OIOM-ie i chwyciła moją matkę za rękę.

- Teraz stąd wyjdziemy, Valerie, a ty odpoczniesz.

- Ona ma na imię Star - powiedziałem.

Moja matka oblizwała wargi.

- Rob. Ert - odezwała się. Oczy się jej zamknęły i w ułamku sekundy zasnęła.

Wujek Clark dreptał wzdłuż rzędu zasłon.

- A on dokąd? - spytałem.

- Spóźni się na obiad - wyjaśniła Nettie. - Raczej obiad spóźni się na niego.

Wychodząc, zdjąłem sweter, schowałem go do torby i zapiąłem ją.

19.

Nettie postawiła torbę na stole w świetlicy dla gości i wyjęła z niej kanapki owinięte celofanem i plastikowy pojemnik z sałatką ziemniaczaną.

- Nie ma sensu wydawać pieniędzy na szpitalne jedzenie.

Clark wytrząsnął sałatkę na talerz, nabrał na widelec maleńką grudkę i podniósł ją do ust.

- To kiedy przyjechałeś, Neddie, parę dni temu?

- Dziś rano.

Przechylił głowę.

- Naprawdę? Słyszałem coś o pokerze na wysoką stawkę.

May spojrzała na mnie z aprobatą.

- Nie umiem grać w pokera.

Zabrałem się do kanapki z pieczenia wołową.

- Kiedy to usłyszałeś? - zwróciła się Nettie do Clarka.

- Jak zaglądałem do moich ulubionych zakątków.

- Mhm. - Przewróciła oczami. - Ten stary błazen ledwie może wejść na piętro o własnych siłach, za to jakoś nic mu nie dolega, kiedy łązi po barach. Gdyby się pewnego dnia nie pojawił, pomyśleliby, że umarł.

- Dużo wygrałeś, Neddie? - spytała ciocia May.
- Nic nie wygrałem - odparłem.
- A gdzie to było?

Clark ugryzł małeńki kęsek kanapki.

- W „Speedway Lounge”, na piętrze. Moi przyjaciele przyjmują mnie tam jak księcia. Jak króla.

- Przyjaciele, czyli ten wykolejeniec Piney Woods?

Clark wtoczył na widelec kolejną drobinę sałatki.

- Piney nikomu nie wadzi. Synu, mam nadzieję, że pewnego dnia będę miał przyjemność cię z nim poznać. Uważam, że jest człowiekiem światowym. - Włożył do ust odrobinę sałatki. - To właśnie Piney powiedział, że wygrałeś.

- Ile? - dopytywała się May. - Strasznie dużo, na przykład tysiąc, czy średnio dużo, na przykład sto?

- Wcale nie wygrałem - powtórzyłem. - Do miasta przyjechałem dziś rano i przyszedłem prosto do szpitala.

- Ale Joy mówiła... - zaprotestowała May.

- Słyszałaś, co powiedział - przerwał Clark. - Joy ostatnio ma kłopoty ze wzrokiem.

- Co słysząc u cioci Joy i wujka Clarence'a? - spytałem.

- Ostatnio nieczęsto wychodzą - odparła May.

Clark skubnął kanapkę.

- Można tak powiedzieć. Radzę ci, umrzyj młodo, dopóki jeszcze masz z życia jakąś radochę. - Przyjrzał się zawartości swojego talerza. - Przecież ten chłopak mógłby zjeść konia z kopytami!

- Chętnie pomogę w zakupach i gotowaniu.

- Tym się teraz zajmujesz, synu? Jesteś kucharzem?

- Jestem programistą w firmie komputerowej w Nowym Jorku - powiedziałem. Jego mina zdradziła, że pierwszy raz w życiu słyszy słowo „programista”. - Wytwarzamy to, dzięki czemu komputery pracują.

- Praca wychodzi na zdrowie, ot co. - Ugryzł małeńki kęsek kanapki i odłożył ją na talerz. - Problem dzisiejszych czasów polega na tym, że

młodzież tylko się włóczy po ulicach. To вина rodziców. Są zbyt samolubni, żeby narzucić dzieciom niezbędną dyscyplinę. A nasi są najgorsi ze wszystkich, przyznają to ze smutkiem. Mógł tak gadać godzinami.

- Opowiedz mi, jak to było z mamą. Ciągłe nie wiem, co się wydarzyło.

Rozparł się wygodnie i spojrzał na mnie z najbardziej szyderczym uśmiechem ze swojej kolekcji.

- Carl Lewis by mnie nie prześcignął, tak szybko dobiegłem do telefonu. Uratowałem życie tej dziewczynie.

- Dzwonek rozległ się koło szóstej - powiedziała Nettie. - O tej porze jestem już na nogach, bo mam kłopoty ze snem. To Star, powiedziałam sobie, i potrzebuje troskliwej opieki krewnych, biedne dziecko. Czułam, że w środku wszystko mi płacze.

- Krew Dunstanów - wyjaśnił mi Clark, kiwając głową.

- I ledwie otworzyłam drzwi, Neddzie, twoja matka padła mi w ramiona. Nigdy bym nie pomyślała, że zobaczę ją w takim stanie. Zawsze była śliczną, prześliczną kobietą i nadal by nią była, choć się tak zaniedbała.

- Trochę ciała nie zaszkodzi - wtrącił Clark.

- Nie chodzi o to, że przytyła i posiwiała. Była przerażona. „Martwisz się o coś, to jasne jak słońce”, powiedziałam. Biedactwo odparło, że musi się trochę wyspać, zanim porozmawiamy. „Dobrze, skarbie - ja na to - połóż się na wersalce, a ja przygotuję twoje dawne łóżko i śniadanie, kiedy zechcesz”. Powiedziała, żebym wyjęła z jej torby notes i zadzwoniła do ciebie do Nowego Jorku. Oczywiście miałam twój numer w kuchni.

Czułam, że już jedziesz, Neddzie, ale nie miałam pojęcia, że jesteś tak blisko! Potem zrobiłam jej kawy i poszłam zmienić pościel. Kiedy wróciłam, nie znalazłam jej na wersalce. Poszłam do kuchni. Nic. Nagle usłyszałam, że drzwi frontowe się otwierają, więc wybiegłam na zewnątrz. I znalazłam ją, wracała na wersalkę. Powiedziała, że zakręciło się jej w głowie, dlatego wyszła, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Pokręciła powoli głową w przesadnym geście niedowierzania.

- Wtedy mnie nie przekonała i teraz też jej nie wierzę, choć przykro mi to mówić jej rodzonemu synowi.

Czekała na kogoś. Albo zobaczyła kogoś znajomego.

- Joy powiedziała... - zaczęła May.

Nettie zerknęła na nią.

- Spytałam: „Co się dzieje, kochanie? Możesz mi powiedzieć”, a ona na to: „Ciociu, boję się, że stanie się coś złego”. Potem spytała, czy do ciebie zadzwoniłam.

„Twój syn już jedzie”, odparłam, zamknęła więc oczy i zasnęła. Przez jakiś czas przy niej siedziałam, potem wróciłam do kuchni.

Clark wyczuł okazję do wtrącenia się.

- Zszedłem na dół i widzę, że na mojej wersalce leży kobieta! Kto to może być, do jasnej ciasnej, myślę sobie, podchodzę wolniutko i pochylam się, żeby się przyjrzeć. A ona mówi „Cześć, Clark” i zaraz potem patrzę, a ona znowu śpi!

- Przyszła May i zrobiła nam smaczne śniadanko. Po jakimś czasie wchodzi Star, uśmiecha się ładnie i mówi do Clarka: „Wydawało mi się, wujku, że widziałam twoją przystojną twarz, ale pomyślałam, że to sen”. Usiadła przy stole, ale nie wzięła nic do ust.

- Za to te dwie wzięły - wtrącił Clark. - Rąbią jak drwale.

- Wyglądała lepiej, ale i tak niedobrze. Poszarzała na twarzy, a jej oczy nie błyszczały. Najgorsze było to, że ciągle się tak strasznie bała.

- Ta dziewczyna nigdy się niczego nie bała - oznajmił Clark. - Wiedziała, że jest chora, to wszystko.

- Wiedziała, ale bała się o Neddiego.

- O mnie? - spytałam.

- Właśnie - oznajmiła May.

- Clark też ją słyszał, ale nie zwracał uwagi, bo nie chodziło o jego przystojną twarz.

- Co powiedziała?

Pomyślałem, że matka dała mi jakąś wskazówkę.

- Mojemu synowi może się przydarzyć coś strasznego i muszę temu zapobiec. Tak powiedziała.

- Głuchy nie jestem - obruszył się Clark.

20.

Parę minut później udało mi się wstrzelić w nietypową chwilę milczenia z pytaniem, czy matka powiedziała coś więcej o tym czymś strasznym, przed czym chciała mnie chronić.

- Niewiele - rzekła Nettie. - Nie sądzę, żeby potrafiła to wyjaśnić.

- Spytała, jak mi się żyje bez Jamesa. Przyjechała na jego pogrzeb, wiesz? - oznajmiła May. Mroczne spojrzenie przypomniało mi, że się nie zjawilem. - Nie była ożywiona i radosna jak zwykle. Przypominam sobie, że spytała Nettie, czy mogłaby ją skontaktować z jej dawnymi przyjaciółkami. Potem ruszyła w stronę stołu i wydała ten dziwny, zaskoczony odgłos. Runęła na podłogę jak rażona gromem. Przysięgam, myślałam, że to już koniec. Clark w ułamku sekundy skoczył do telefonu.

- Superman by nie był szybszy - pochwalił się Clark.

Odetchnąłem głęboko.

- To zabrzmiało dziwnie, ale czy nie wspominała o moim ojcu?

May i Nettie wytrzeszczyły na mnie oczy, Clark otworzył usta, w ułamku sekundy zmieniając się w półgłówka.

- Wydaje mi się, że mama chce, żebym się dowiedział, kim był. - Przez głowę przemknął mi doskonały pomysł. Przysunąłem się ku nim wraz z krzesłem. - Chciała, żebym tu przyjechał, zanim będzie za późno. Nie życzy sobie, żebym do końca życia gubił się w domysłach.

Clark gapił się na mnie zdumiony.

- Skąd ci to przyszło do głowy, na miłość boską?

- Od dnia twoich narodzin Star nie napomknęła o twoim ojcu ani słowem - oświadczyła Nettie.

- Pewnie z tym zwlekała, aż zdała sobie sprawę, że czas ucieka.

Ciotki wymieniły spojrzenie, którego nie potrafiłem zinterpretować.

- Chyba uważałyście, że matka zhańbiła naszą rodzinę. Przyjęłyście ją pod swój dach. Jestem wam wdzięczny za wszystko, co zrobiłyście, ale nie wstydzę się, że Star nie była mężatką, kiedy mnie urodziła.

- Co to ma znaczyć, do wszystkich diabłów? - spytał Clark.

- Star wcale nas nie zhańbiła - oznajmiła Nettie.

- W tamtych czasach musiałyście uważać, że trzeba ukryć... - Głos mi zamarł. Widziałem, że zupełnie nic nie rozumieją.

May spróbowała mnie naprowadzić na właściwe tory.

- Neddie, Star urodziła cię jako mężatka.

- Nieprawda - powiedziałem. - Właśnie o tym mówię.

- Ależ była mężatką, z całą pewnością - uparła się Nettie. - Wyjechała, jak to ona, a kiedy wróciła, była mężatką na tydzień przed rozwiązaniem. Mąż ją zostawił, ale widziałam dokumenty.

Wszyscy troje przyglądali mi się z różnym stopniem dezaprobaty, nawet rozdrażnienia.

- To dlaczego mi nie powiedziała?

- Kobiety nie muszą udowadniać swoim dzieciom, że są z prawego łóża.

W piersi poczułem milion dziwnych doznań, jak iskierki małych fajerków.

- Dlaczego dała mi swoje nazwisko, a nie jego?

- Byłeś bardziej Dunstanem niż tym, kim był on. Jego nazwisko nic nie znaczy.

- Macie jeszcze te dokumenty?

- Od dawna ich nie ma.

Musiałem im uwierzyć. Z wyjątkiem prawa jazdy moja matka traktowała wszystkie dokumenty z beztrudną przekraczającą granicę lekomyślności.

- Tak dla jasności - powiedziałem. - Opuściła dom z mężczyzną, którego nie znacie, wyszła za niego i zaszła w ciążę. Mąż porzucił ją na krótko przed moim urodzeniem.

- Coś w tym stylu - zgodziła się Nettie.
- Gdzie się pomyliłem?

Nettie wyduła wargi i złożyła ręce na podolku. Albo usiłowała sobie przypomnieć, albo dokonywała pospiesznych cięć w historii.

- Pamiętam, że powiedziała, iż ten człowiek odszedł parę miesięcy po tym, jak odkryła, że jest w ciąży. Mogła tu wrócić, ale kupiła już bilet w jakieś miejsce... nie pamiętam nazwy, miała tam koleżankę ze szkoły. A gdy wyjechała z miasta, nie mieszkała ze mną. Była wśród tych z Albertus i robiła Bóg jeden wie co.

Obie panie wstały. Ja też.

- Czy Star chce, żebyśmy zadzwonili do jej przyjaciół?

Nettie wrzuciła słoik z piklami do torby.

- Oni przeważnie nie umieliby się zachować w przyzwoitym domu. Poza tym pewnie już dawno się wyprowadzili.

- Musiała mieć kogoś na myśli.

- Jeśli chcesz tracić czas, masz tu jej notes. - Przetrzęsła torbę i wygrzebała z niej sfatygowaną książeczkę w skórzanej oprawie, przypominającą kieszonkowy pamiętnik.

Clark przyglądał się z irytacją May, która niezdarnie usiłowała zdjąć rękę z krzesła. Nettie odeszła z godnością. Ukląknęłam, by uwolnić rękę, i wsunąłem ją w wyciągniętą rękę May.

- Ciociu, co powiedziała ci Joy? - spytałem.

- A... Już to ustaliliśmy. Joy się pomyliła.

- Co do czego?

- Powiedziałam jej: „Joy, nigdy nie zgadniesz, co się stało, Star przyjechała do Nettie”. „Wiem - odrzekła - widziałam na własne oczy, jak stała na ganku i rozmawiała ze swoim synem. Ależ wyprzystojniał!”.

- Więc to dowód, że to nie byłem ja.

- Nieprawda. Ale wiem, co jest dowodem. Gdyby Star spotkała cię na ganku, nie prosiłaby Nettie, żeby do ciebie zadzwoniła.

21.

Notes Star był palimpsestem adresów jej oraz przyjaciół, spisywanych przez wiele, wiele lat. Stałem przed szeregiem telefonów na parterze i przeglądałem ten bigos, szukając numeru kierunkowego do Edgerton. Znalazłem trzy nazwiska, w tym jedno należące do osoby, którą Nettie i May darzyły głęboką niechęcią.

Jego numer wybrałem najpierw. Zdarty głos powiedział:

- Lombard.

A gdy spytałem o jego nazwisko, dodał:

- A kto ma być, Harry Truman?

Wrażenie, że Nettie i May słusznie nie znosiły męża ich zmarłej siostry, znikło, kiedy wyjaśniłem, o co chodzi.

- Ned, to straszne. Co z nią?

Powiedziałem mu, ile wiedziałem.

- Słuchaj - rzekł Toby Kraft - mam tu gości spoza miasta w związku z dużą transakcją nieruchomości, bo chcę rozszerzyć działalność, rozumiesz? Postaram się streścić. Poza tym muszę cię zobaczyć, mały, minęło sporo czasu.

Zanim odłożył słuchawkę, zdążyłem powiedzieć:

- Toby, Star chciała, żebyśmy zadzwonili do jej dawnych przyjaciół, więc chciałbym cię spytać, czy znasz dwa nazwiska, które znalazłem w jej notesie.

- Ale szybko.

Przeczytałem pierwsze nazwisko z Edgerton.

- Rachel Milton.

- Zapomnij. Dawno temu nazywała się Rachel Newborn. Chodziła do Albertus. Ładne cycki. Była w porządku, dopóki nie wyszła za tego palanta Grenniego Milтона i nie wyprowadziła się do Ellendale. - Zasłonił mikrofon dłonią i powiedział coś, czego nie zrozumiałem. - Muszę kończyć, mały.

- Jeszcze tylko jedno. Suki Teeter.

- Aha, zadzwoń do niej. Skoro mowa o cyckach, ta była rekordzistką. Lubiły się z twoją mamą. Cześć.

Telefon byłej rekordzistki zadzwonił sześć razy, i jeszcze dwa bez interwencji automatycznej sekretarki. Już miałem odłożyć słuchawkę, ale po dziesiątym sygnale odebrała. Do wyrazów szacunku miała mniej więcej taki sam stosunek jak Toby Kraft.

- Kochanie, jeśli chodzi o pieniądze, to się pomyliłeś. - Ironia, jaką podszyty był jej głos, nadawała ton śmieszności jej zwlekaniu z podniesieniem słuchawki, nieznanemu rozmówcy, kondycji jej finansów i każdemu, kto by był na tyle zasadniczy, żeby się obrazić.

Przedstawiłem się.

- Ned Dunstan? Nie wierzę. Gdzie jesteś, w mieście? Star dała ci mój numer?

- W pewnym sensie. Dzwonię ze szpitala Świętej Anny. - Star jest w szpitalu.

Opisałem wypadki tego poranka.

- Zanim miała wylew, kazała rodzinie zadzwonić do jej przyjaciół i powiadomić ich, jeśli zaistnieje jakiś stan wyjątkowy. Może zechciałaby pani przyjść. To by jej mogło dobrze zrobić. - Bez ostrzeżenia smutek roztrzaskał moje systemy obronne i chwycił mnie za pierś. - Przepraszam - wyjąkałem. - Nie chciałem.

- Płacz mi nie przeszkadza. Czy jest przytomna?

To pytanie pomogło mi odzyskać panowanie nad sobą.

- Kiedy nie śpi.

- Przyjadę, jak tylko się pozbieram. Do kogo jeszcze zadzwoniłeś?

- Do Toby'ego Krafta. Mam jeszcze jedno nazwisko: Rachel Milton.

- Naprawdę? Dziwne. Może nie zerwały ze sobą, kto wie. Rachel na pewno odcięła się od wszystkich. Ned? Mam nadzieję, że trochę porozmawiamy.

Kobieta, która odebrała telefon Miltonów, poinformowała mnie głosem będącym mieszaniną melasy i miodu, że zawiadomi panią Rachel,

iż dzwonił... kto? Podałem jej nazwisko i dodałem, że jestem synem dawnej przyjaciółki. W słuchawce na parę minut zapadła głucha cisza. Rachel Milton odebrała zdenerwowana, zniecierpliwiona i znudzona.

- Baaardzo przepraszam za zwłokę. Lulu wędrowała po całym domu, szukając mnie, podczas gdy wystarczyło skorzystać z interkomu.

Byłem niemal zupełnie pewien, że przez te dwie minuty usiłowała zdecydować, czy ze mną porozmawiać.

- Czy powinnam o czymś wiedzieć?

Kiedy wyjaśniłem co i jak, Rachel Milton cmoknęła cicho. Prawie widziałem, jak w jej głowie obracają się trybiki.

- Proszę nie myśleć o mnie źle, ale dziś nie dam rady. Za pięć minut mam spotkanie z komitetem rocznicowym, ale proszę przekazać matce wyrazy współczucia. Proszę jej powiedzieć, że jutro przyjadę, kiedy tylko obowiązki mi na to pozwolą. - I żeby nie wydać się nadmiernie opryskliwa, dodała: - Dziękuję za wiadomość i mam nadzieję, że Star szybko wróci do zdrowia. Przy tym trybie życia ja też pewnie trafię do szpitala!

- Zarezerwuję pani pokój w Świętej Annie - powiedziałem.

- Grenville, mój mąż, zabiłby mnie. Jest w zarządzie Lawndale. Warto posłuchać, jak się pieni na datki płynące na szpital Świętej Anny. Zdołałyby ożywić króla Midasa - to jego słowa.

Po rozmowie z Rachel Milton wsadziłem ręce w kieszenie i przeszedłem się korytarzem koło wystawy sklepu z upominkami. Mężczyźni i kobiety w szlafrokach siedzieli na wyściełanych ławeczkach pod ścianami ogromnego szarego holu, a przed recepcją stała kolejka.

Mały jasnowłosy chłopczyk o niebieskich oczach przyglądał mi się z wózcem. Na koszulce miał obrazek z różowym dinozaurem. Niemowlęta i małe dzieci po prostu mnie rozmiękczają. Jestem bezradny, uwielbiam ten moment, kiedy spoglądają na mnie i dostrzegają bratnią duszę. Pokiwałem palcami i zrobiłem idiotyczną minę, która u innych maluchów zawsze wywoływała zachwyty. Mały wrzasnął ze szczęścia.

Wysoka, mocno zbudowana kobieta zerknęła na chłopca, potem na mnie, potem na małego, który krzyczał „Bill! Bill!” i usiłował się wyrwać z wózecka.

- Kochanie, to nie Bill - powiedziała.

Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że wygląda jak spikerka - i to pierwsze wrażenie ulotniło się, zanim jeszcze dostrzegłem inteligencję bijącą z jej uderzająco pięknej twarzy. Jej uroda i inteligencja były nierozłączne i po drugim rzucie oka, gdy ona mierzyła mnie spojrzeniem płowych oczu, a ja uśmiechałem się na widok wysiłków jej syna, który chciał uciec z wózecka i rzucić się na mnie, uznałem, że jeśli mam ją do czegoś porównywać, to do płowej, wyjątkowo czujnej pantery. W jej oczach mignął błysk zrozumienia i odniosłem wrażenie, że zobaczyła wszystko, co przebiegło mi przez głowę.

Pewnie bym się zarumienił - mój zachwyty był aż tak jawny - gdyby niemal ostentacyjnie nie uwolniła mnie, zajmując się synem. Dzięki temu zyskałem odpowiednią przestrzeń psychiczną, by zarejestrować perfekcję jej ciemnoblonde fryzury, zakomponowanej tak, że włosy opadały na twarz niczym welon, oraz kosztowną prostotę jej niebieskiej jedwabnej bluzki i białej lnianej spódnicy. W kolejce pomiędzy tuzinem bezkształtnych mieszkańców Edgerton w podkoszulkach i spodniach wydawała się absurdalnie egzotyczna. Uśmiechnęła się do mnie i znowu przekonałem się, że co najmniej połowa jej gładkiej, opancerzonej urody polegała na przenikającej ją inteligencji.

- Piękny chłopiec - odezwałem się. Nie mogłem się powstrzymać.

Piękny chłopiec szarpał się w zapięciu wózecka, niebieskim trampkiem usiłując podważyć klamrę.

- Dziękuję - odparła. - Ten pan jest bardzo miły, Cobbie, ale to nie Bill.

Pochyliłem się, opierając dłonie na kolanach, a chłopiec spojrzał mi w twarz. Oczy pociemniały mu w rozterce, potem znowu się rozjaśniły. Zaszczębiotał.

- Dobrze, wreszcie się ruszyło - dodała.

Wyprostowałem się i pomachałem im na do widzenia. Cobbie ekstatycznie odmachął, a ona spojrzała mi w oczy w taki sposób, od którego zrobiło mi się ciepło, zanim jeszcze wyszedłem na słońce. Pod niskim kamiennym murkiem na parkingu teren zbiegał stromo ku brzegowi ospałej, burej Missisipi. Uderzyło mnie, że rzeka czepia się zachodniego brzegu miasta jak brzydki sekret. Ciekawe, czy ciotki znały historie z czasów, gdy Edgerton było portem nadrzecznym. A potem jak idiota zacząłem się zastanawiać, czy jeszcze spotkam się z kobietą ze szpitala. A nawet jeśli, to co? Miała dziecko, a zatem i męża, a dla mnie była jedynie kojącym wychnieniem od lęku o matkę. Wystarczy, że sobie przypominałem, iż tacy ludzie w ogóle istnieją.

22.

Z myślą o czekających mnie nocach zająrzałem do sklepu z pamiątkami i wybrałem parę tanich kryminałów i cukierki. Siwowłosa wolontariuszka w kasie powoli sprawdziła cenę książek i zastygła z palcem nad klawiszami.

Za moimi plecami dziecięcy głos powiedział:

- To-nie-Bill - i zaczął chichotać. Odwróciłem się i ujrzałem znajome lśniące oczy. Chłopczyk trzymał w jednej ręczce trampek, w drugiej - nowego misia.

- Nie? - Uśmiechnąłem się do jego matki. Jej uroda bardziej niż dotąd wydała mi się pancierzem, za którym chowała swoje odczucia.

- Znowu się spotykamy - powiedziała.

- Ten szpital jest tak zaprojektowany, że wcześniej czy później ludzie na siebie wpadają.

- Wie pan, jak trafić na oddział intensywnej opieki? Nigdy tu nie byłam.

- Drugie piętro. Proszę za mną.

Kasjerka przeliczyła pieniądze i zapakowała do torby książki i cukierki. Odsunąłem się, a matka chłopca zajęła moje miejsce.

- Ile kosztuje ten miś?

Kobieta spojrzała na dziecko. Dziecko, rozbawione w najwyższym stopniu, spojrzało na nią.

- Pacjenci na oddziale intensywnej opieki nie mogą przyjmować prezentów ani kwiatów.

- To dla niego. - Zajrzała do torby. - Nagroda za grzeczność. Albo łapówka, nie wiem. Nasza na ogół zachwycająca niania opuściła nas dziś po południu.

Chłopczyk wskazał na mnie i powiedział:

- To nie-nie-nie-nie Bill!

- A właśnie, że tak - odparłem.

Chłopiec przytulił do piersi trampek i misia i zaniósł się śmiechem. Ach, sukces. Usiłowałem sobie przypomnieć jego imię, na próżno. Spojrzał mi w oczy i wyznał:

- Bill ma kosiarkę!

- A nie, bo ty masz kosiarkę! - oznajmiłem. Zaprzeczenie to pierwszy fundament poczucia humoru czterolatka. Wyszliśmy ze sklepu i ruszyliśmy w stronę wind.

- Pański nowy kolega to mój syn Cobbie, a ja jestem Laurie Hatch - powiedziała kobieta. - Moja sprzątaczką miała wczoraj operację i chciałam ją odwiedzić. Pan też kogoś odwiedza?

- Matkę. - Podeszliśmy do zamkniętych drzwi, wcisnąłem guzik. - Ned Dunstan, miło mi.

- Miło mi, Nedzie Dunstan - odrzekła z cieniem ironii, a potem spojrzała na mnie z zastanowieniem, niemal chłodno. - Znam to nazwisko. Mieszkasz tutaj?

- Nie, jestem z Nowego Jorku. - Spojrzałem na podświetlone cyfry nad drzwiami.

- Mam nadzieję, że twoja matka szybko wyzdrowieje.

Cobbie wodził wzrokiem między nami.

- Miała wylew. - Przez chwilę oboje wpatrywaliśmy się w podświetlony na żółto przycisk. - Twoja sprzątaczką to chyba pani Looome.

Uśmiechnęła się z zaskoczeniem.

- Znasz ją?

- Nie, w przeciwieństwie do moich ciotek.

W trakcie naszej rozmowy w holu pojawili się inni ludzie. Wszyscy wpatrywali się w cyfry nad windą; z dwójki zrobiła się jedyńska, a kiedy stała się zerem, tłum przesunął się w lewo. Drzwi otworzyły się i odsłoniły zbity tłum, który wylał się na zewnątrz, a tłum oczekujących runął do środka. Laurie Hatch cofnęła się wraz z wózkiem.

- A ty jak się nazywasz? - spytał Cobbie.

- Ned. - Patrzyłem na cyfry nad windą po prawej. Zmieniły się z jedyńki w zero.

Drzwi wyładowanej windy się zamknęły. Jakies dwie sekundy później druga winda otworzyła się i wyszedł z niej robotnik, pchający wózek. Spojrzał na Laurie, zerknął na Cobbiego i rzucił mi znaczący uśmiezek, kiedy za nimi wszedłem.

- Tylko bez pośpiesznych wniosków - powiedziałem.

- Nigdzie się nie spieszę i nic nie wnioskuję - odparł.

Obaj się roześmialiśmy.

Cobbie tulił do siebie misia.

- Nazywa się Ned. To miś i nazywa się Ned.

- Och, Cobbie. - Laurie przyklękała, by wsadzić mu stopę w bucik.

Cobbie wyprostował się w wózek i najgłębszym basem zaintonował:

- Się nie spieszę i nie wnioskuję!

Winda się zatrzymała, drzwi się rozsunęły. Zażenowana Laurie zerknęła na mnie z ukosa.

- Nie wiem, jak on to podchwytuje. - Wypchnęła wózek na korytarz i skręciła w niewłaściwym kierunku.

Wskazałem OIOM. - Po prostu powtarza wszystko.

Spojrzałem na Cobbiego. Przeszył mnie komicznie poważnym wzrokiem i zagrzmiał:

- Się nie spieszę i nie wnioskuję!

- Chyba ma wmontowany magnetofon - mruknęła Laurie.

- Raczej wspaniały słuch. Jeśli nie uda mu się zostać komikiem, będzie z niego muzyk.

- Jego ojciec dostałby zawału. - Zaskoczyła mnie spojrzeniem tak naładowanym niechęcią, że wydawało się ciężkie jak z żelaza. - Jesteśmy w separacji.

Oboje spuściliśmy wzrok. Cobbie przysunął do ust ucho misia i szeptał, że się nie spieszy i nie wnioskuje.

- Nie spodobałoby mu się nawet, że przyprowadziłam Cobbiego do szpitala.

- Ma coś przeciwko Świętej Annie?

- Stewart jest w zarządzie Lawndale. Uważa, że można się zarazić wirusem od samego spojrzenia na szpital.

- Pewnie zna Grenville'a Milтона.

Znieruchomiała i spojrzała na mnie z zaskoczeniem, podejrzliwie.

- Tylko mi nie mów, że znasz Grenniego Milтона! - Poczucie winy natychmiast złagodziło jej rysy. - Oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś go znał, z wyjątkiem tego, że on nigdzie nie chodzi z wyjątkiem Klubu Uniwersyteckiego i „Le Madrigal”.

- W porządku - rzekłem. - Jego żona była przyjaciółką mojej matki. Jakies pięć minut temu zadzwoniłem do niej, żeby powiedzieć, co się dzieje. Wspomniała, że jej mąż jest w zarządzie Lawndale.

- Rachel Milton przyjaźniła się z twoją matką? Czy za pięć minut się na nią natknę?

- Nie, jesteś bezpieczna.

- Dobrze. A, jest i OIOM.

Otworzyłem masywne drzwi. Zwick łypnęła znad swego posterunku i przygotowała się do starcia. Tabliczka pod oknem, której wcześniej nie zauważyłem, zdradziła mi, co jest grane.

- Oho - mruknąłem. - Mała zmiana planów.

Wskazałem na tabliczkę. **DZIECIOM WSTĘP WZBRONIONY.**

- Och, nie - rzekła Laurie. - A niech to. Cobbie, dzieci tu nie mogą wchodzić. Musisz na mnie poczekać. To tylko parę minutek, obiecuję.

Spojrzał na nią z rodzającym się niepokojem.

- Staniesz przed szybą i przez cały czas będziesz mnie widział.
- Zostanę z nim - odezwałem się. - Nie ma sprawy.
- Nie mogę na to pozwolić.
- Chcę zostać z Nedem i Nedem - oświadczył Cobbie. - Z tym Nedem i z tym Nedem.

- Najpierw jesteś moim przewodnikiem, potem powiernikiem, wreszcie niańką.

Ciocia Nettie stanęła w drzwiach i znieruchomiała z ręką na klamce.

- Czyżbym wybrała złą porę, żeby pójść do toalety?

- Ciociu, przestań. To pani Hatch. Przyszła w odwiedziny do pani Loome. Spotkaliśmy się na parterze, a ja pobędę z jej synem, żeby mogła wejść do środka. Laurie, to moja ciotka, pani Rutledge. - Nie mogłem powstrzymać uśmiechu wobec absurdu konieczności tłumaczenia się przed ciotką.

- Witam panią. - Laurie lepiej panowała nad poczuciem absurdu. - Gdyby pani siostrzeniec mnie tu nie przyprowadził, jeszcze bym się błąkała po szpitalu.

Cobbie wybrał sobie akurat ten moment, żeby wystąpić z „Się spieszę i nie wnioskuję!”. Laurie Hatch jęknęła coś w rodzaju „Och, Cobbie”. Nettie przeniosła rozdrażnienie na chłopca i niemal natychmiast się rozpozgodziła.

- Co te dzieci mówią. Jak się nazywasz, skarbie?

- COBDEN CARPENTER HATCH! – ryknął Cobbie. Opadł ze śmiechem na wózek.

- Bardzo imponujące nazwisko. - Ciotka odwróciła się dostojnie do Laurie. - Pani Loome na pewno się ucieszy.

Laurie z uśmiechem zareagowała na aluzję, pogłaskała syna po głowie i zostawiła nas samych.

- Pani Hatch musi mieć dobre serce. - W ten sposób ciocia wyraziła swoją skruchę. Uśmiechnęła się do Cobbiego i odpłynęła.

Przez szybę widziałem, jak Laurie Hatch podchodzi do stanowiska pani Loome, a ciocia May kuśtyka ku stanowisku pielęgniarek.

Przykucnąłem przy wózek. Cobbie najbardziej ze wszystkich zwierząt lubił dinozaury, a jego ulubieńcem był tyranozaur. Ciocia Nettie wróciła na oddział. Ciocia May przyjrzała się bystro stanowisku pielęgniarek, przechylała się przez blat i porwała z biurka zszywacz. Schołała go do torebki.

- O, Boże - mruknąłem, zdając sobie sprawę, czego świadkiem stał się Vince Hardtke.

- Oboże! - zaszczębiotał Cobbie. - Oboże, mamusia idzie!

Ciocia May zrobiła parę kroków i zabrała notes i ołówek z drugiego biurka.

Laurie pojawiła się w drzwiach.

- Dobrze się beze mnie bawiliście?

- Jak się czuje pani Loome?

- Szybko dochodzi do siebie, ale jest bardzo oszołomiona. Przyjdę, kiedy przeniosą ją na salę ogólną.

W oczach zamigotały jej iskierki. Roześmiała się cicho.

- Czy ty też się czujesz przy swojej ciotce jak nastolatek?

To, co zamierzałem powiedzieć, zginęło w nagłym zawirowaniu fizycznych doznań. Poczulem na sobie kobiece ciało. Włosy prześliznęły mi się po twarzy, zęby skubnęły mój kark. W nozdrza uderzył mi zapach potu i perfum. Uśmiech Laurie zbladł. Ręce, które trzymałem opuszczone, ugniały pośladki leżącej na mnie kobiety. Sutek wsunął mi się do ust. Połaskotałem go językiem. Kobieta uniosła biodra i zacząłem się w nią wsuwać i wysuwać.

- Ned, wszystko w porządku?

Usiłowałem wydobyć z siebie głos.

- Nie mo... - Uderzyłem się w policzki; kobieta rozwiąła się jak dym. Opuściłem ręce.

- Przepraszam. - Odchrząknąłem. - Tak, wszystko w porządku. - Otarłem czoło chusteczką i spojrzałem na Laurie w sposób, który miał ją uspokoić. - Jestem niewyspany.

- Nie zostawię cię, jeśli źle się czujesz.

Ze wszystkich sił pragnąłem zostać sam.

- Już mi lepiej. Słowo. - Otworzyłem przed nią drzwi. Laurie, wciąż zdeorientowana, pchnęła wózek. Pamiętam, że wydała mi się podobna do płowej lśniącej pantery.

- Miałaś taką dziwną minę... jakbyś jadł najpyszniejsze lody świata, od których bolą cię zęby. Przyjemność i ból.

- Nic dziwnego, że wydałem ci się chory.

23.

Spokojnie, jestem przemęczony, powiedziałem sobie. W tamtym momencie zajmowanie się czymś, co nie dotyczyło Star, budziło we mnie wyrzuty sumienia. Atrakcyjna nieznajoma, niejaka Laurie Hatch, nieświadomie uruchomiła we mnie jakiś mechanizm i spowodowała chwilowe rozmrożenie. Ale może czeka mnie kolejne dziwaczne załamanie. Zwięzłe doniesienia doktora Barnhilla pojawiały się i znikwały. Nad jego głową Marsjanina zauważyłem, że na OIOM wchodzi kobieta, która na rogu Tenth Street i Second Avenue byłaby idealnie na swoim miejscu. Na widok jej rudawobrazowych włosów, wzburzonych wokół zycziwej, łobuzerskiej, pełnej jak księżyc twarzy, oraz perłowej tuniki i luźnych czarnych spodni od razu poczułem się lepiej, zanim jeszcze zdałem sobie sprawę, kto to taki. Suki Teeter wyglądała jak żona maharadży odwiedzająca szpital. Doktor Barnhill podreptał w swoją stronę, a maharani ruszyła ku nam w szeleście jedwabi; poruszała się tak, że dałbym głowę, iż towarzyszy jej dzwonienie licznych dzwoneczków.

Nettie i May obróciły się statecznie jak dwa transatlantyki i popłynęły w stronę zasłoniętego stanowiska.

- Pani na pewno jest Suki Teeter. - Wyciągnąłem rękę.

- Kochanie, tylko nie pani. - Wzięła mnie w objęcia. Jej włosy pachniały słabo i przyjemnie miętą i drewnem sandałowym. - Przyjechałabym prędzej, ale musiałam zaklinać mechaników na wszystkie świętości, żeby wydrzeć im samochód! - Cofnęła się o krok. - Jak się

cieszę, że do mnie zadzwoniłeś! Aleś ty... aleś ty niewiarygodnie...
Boże! Jesteś cudowny, ot co.

- Ty też.

Lśnienie jej dobrotliwej twarzy przybrało na sile. Jej szeroko rozstawione, dosłownie roziskrzzone oczy były różnokolorowe, prawe - barwy przezrystej akwamaryny, lewe - zielone jak jadeit.

- Opowiedz mi wszystko.

Właśnie kończyłem, gdy Nettie odciągnęła zasłonę i wyłoniła się, May krok za nią.

- Ciociu - powiedziałem - znasz przyjaciółkę Star, Suki Teeter?

- Poznałyśmy się. Strzepywałeś papierosy na mój ganek.

- Bardzo mi przykro, że Star zachorowała, ciociu - odparła Suki i weszła za zasłonę.

Parę minut później Nettie zmrużyła oczy i jakby skamieniała.

- No, koniec świata.

- Co?

Przeszyła mnie spojrzeniem na ogół nazywanym „złowróbnym”.

- Zadzwoniłeś do Toby'ego Krafta.

- Myślałem, że powinien wiedzieć.

W naszą stronę szedł mężczyzna w brzydkiej flauszowej marynarce, zbyt ciężkiej jak na tę porę roku. Miał szarą, dziobatą twarz, okulary grube jak denka butelek i ciało jak niedopałek papierosa. Siwe włosy sięgały mu prawie do ramion, à la Jerzy Waszyngton. Pod przepocnym, morderczo ciasnym węzłem zmiętego krawata widniał pofałdowany kołnierzyk koszuli noszonej chyba przez cały tydzień bez przerwy.

- Kto następny? - spytała Nettie. - Hitler?

- Ależ to Toby Kraft! - zawołała May. - Pewnie rozmawia z samym szatanem.

Suki Teeter rozchyliła zasłonę i ciotki zgodnie rozstały się na boki. Smutek przygasił promienny blask Suki. Objęła mnie.

- Zadzwoń do mnie wieczorem, dobrze? Albo wcześniej, jeśli coś się zmieni. - Otarła oczy, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Ich szczególna barwa nasuwała mi myśl, że patrzę na dwie osoby w jednym ciele.

Suki odeszła korytarzem. Oczy Toby'ego, za grubymi szklami wielkie jak jajka, znieruchomiały wlepione we front jej tuniki.

- Zaraz oczy sobie wypatrzy - zauważyła May.

Twarz Toby'ego wyglądała z bliska jak twaróg.

- Dobra z niej dziewczyna. Lojalna jak mało kto. Cześć, mały. Strasznie się cieszę, że cię widzę. Dzięki, że zadzwoniłeś.

Wyciągnął białą pulchną łapę porośniętą gęstym srebrzystym futrem.

- Świetnie, że mały wrócił, no nie?

Ciotki nie odpowiedziały. Puścił moją obolałą dłoń.

- Szkoda, że nie mogę wyglądać jak on przez dwadzieścia cztery godziny. Tylko o tyle proszę - dwadzieścia cztery godziny. Cholera, przynajmniej nie wyłysiałem. Jak Star?

Zdałem mu krótki raport.

- Paskudnie. - Przejechał ręką po włosach. - Przywitam się z nią.

- Pójdę z tobą - oznajmiła May. Wzięła go pod ramię i oboje zniknęli za zasłoną.

- Ciociu - szepnąłem do Nettie. - Musisz wiedzieć, że twoja siostra zabiera różne rzeczy z biurek pielęgniarek. Co się dzieje?

Spojrzała na mnie bardziej z troską niż gniewem i pociągnęła mnie w głąb pokoju.

- Wyjaśnię ci parę spraw. Nie twój interes, co robi ciocia May. Jest jak sroka, ale nikomu nie szkodzi. Co zabrała?

- Zszywacz. Parę ołówków i papier. Ale to nie znaczy...

- Jak ci tutaj potrzebują czegoś do pisania, idą do magazynu i biorą za darmo, a nas by to kosztowało dziesięć dolarów. May przywraca równowagę. A ty jesteś Dunstanem. Musisz trzymać ze swoimi.

Nie znalazłem odpowiedzi.

Nettie straciła siłę rażenia.

- Teraz pozwól, że cię uspokoję. Moja siostra ma problemy z nogami, lecz nie z rękami. Jest najlepszą sroczką na świecie. Od czasu gdy Queenie zeszła z tego świata.

- Queenie?

- Królowa wszystkich sroczek. Potrafiła wyjść ze sklepu z kolorowym telewizorem pod pachą, pchając na wózku zmywarke, a kierownik jeszcze otwierał przed nią drzwi i życzył miłego dnia.

Wróciliśmy przed stanowisko piętnaste w stanie mogącym przypominać harmonię. Nettie promieniała satysfakcją osoby, która wywiązała się z trudnego zadania, a ja usiłowałem trzymać się prosto.

Toby wyszedł, trąc dziobaty policzek z miną, która u niego oznaczała melancholię.

- Dzwon do mnie, dobrze? Chcę wiedzieć o wszystkim. Twoja mama pracowała u mnie, kiedy byłeś małym smarkiem, wiesz?

- Pamiętam. Jak poszła transakcja? - Jego spojrzenie stwardniało. - Ta, o której mi wspomniałeś.

- A, ta. Robimy zdecydowane postępy. - Rzucił mi spojrzenie z ukosa i podszedł do lady stanowiska pielęgniarek. - Zatrzymasz się u Nettie?

Kiwnąłem głową.

- Jak się wam zrobi za ciasno, mogę ci znaleźć pokój w przyzwoitym czystym domu. A jeśli potrzebujesz zarobić, możesz mi pomóc w lombardzie. Bo przypominasz mi swoją mamę.

- Zapamiętam.

Kiwnął głową, ja też, jakbyśmy doszli do porozumienia handlowego. Toby położył mi rękę na ramieniu i wciągnął w wyziewy dymu i żelu do włosów.

- Tak między nami, jak zauważysz, że May robi coś, co nie pasuje do starszej pani, przymknij na to oczy. Dobrze ci radzę.

- Już rąbnęła wszystko, co nie było przybite - odparłem.

Toby palnął mnie w głowę i zachichotał.
- Nettie twierdzi, że to cecha rodzinna.
- Queenie była wirtuozem. - Podniósł włochatą łapę do ust i ucałował czubki palców.

24.

Na kolację złożyły się te same kanapki, pikle i sałatka ziemniaczana. Clark wturlał na widelec białą grudkę i powiedział:

- Słyszałem o tobie, chłopcze.

Milczałem.

- Pamiętasz, jak wspominałem Pineya Woodsa? Wpadłem na niego dziś po południu. Powiedział: sześćset dolarów.

- Naprawdę?

- Niejaki Joe Stagers i trzech jego kumple bardzo chcą je odzyskać.
- Rzucił mi kolejne spojrzenie. - To chłopaki z Mountry. Z nimi lepiej nie zaczynać.

- Wujku, kiedy następny raz spotkasz Pineya Woodsa, zrób mi przysługę. Powiedz mu, że nie zabrałem sześciuset dolarów żadnemu Joe Stagersowi. Nie gram w karty i mam już tego dość.

Clark opuścił widelec z sałatką.

- Właśnie to mu powiedziałem. A on na to, że na twoim miejscu sprzedawałby ten sam kit.

Przed nocną zmianą przeszedłem koło stanowiska pielęgniarek i zauważyłem, że worek jest rozchylony. Ciocia May podczas swoich łupieżczych wypadów otworzyła moją torbę i zabrała wszystko, co jej wpadło w pożądlive srocze oko. Nie wiedziała, że torba jest moja. Ukląkłem i wyjąłem blezer, wepchnięty na miejsce przez kogoś, kto jeszcze mniej ode mnie dbał o zagniecenia, przejrzałem resztę ciuchów. Nic nie zginęło, nawet discman i płyty CD. Wróciłem do lady.

- Siostro - spytałem - czy ktoś dotykał mojej torby? Albo ją otwierał?

- Tylko pan.

Po siódmej wieczorem pielęgniarka powiedziała, że pani Milton przysłała bukiet, ale ponieważ na OIOM nie wolno wносить kwiatów, bukiet zostawiono na parterze.

Poprosiłem, żeby zanieśli go na oddział dziecięcy.

Clark opadł na krzesło i w mgnieniu oka twardo zasnął.

Star nieustannie traciła i odzyskiwała przytomność. Ciotki nalegały, żeby się wyspała. Ja uważałem, że moja matka chce ze mną porozmawiać i dlatego ciągle trzyma mnie za rękę.

Koło dziewiątej wieczorem Nettie wsunęła głowę przez zasłonę i szepnęła:

- May, do Clyde'a Prentissa przyszli dwaj goście. Musisz ich zobaczyć, bo nie uwierzysz.

- Może to jego gang - ucieszyła się May i wykuśtykała na korytarz.

Przybycie dwóch mundurowych policjantów i jednego policyjnego detektywa do pacjenta ze stanowiska trzeciego przyprawiło moje ciotki o gorączkę śledczą. Kryminalny repertuar Prentissa rozciągał się od drobnych kradzieży - przez moje ciotki uważanych za zwykłą technikę ekonomicznej redystrybucji - poprzez napady z bronią w rękę i dystrybucję nielegalnych substancji po potężne przestępstwa typu wymuszenia rozbójnicze, napaść z zamiarem pozbawienia życia i podejrzenie o gwałt. Niczego mu nie udowodniono, co nie znaczy, że był niewinny. Czy nie dostał postrzału, usiłując uciec przez okno magazynu? Czy jego współlnicy nie uciekli w furgonetce pełnej mikrofalówek? Do tych wszystkich występków dochodziła jeszcze prawdziwa zbrodnia - złamanie serca swojej matce. Nettie i May były gotowe w ułamku chwili nabić go na pal i nie zamierzały przegapić okazji, by przyjrzeć się jego zbrodniczym kompanom.

Star ścisnęła moją rękę.

- Chcesz mi opowiedzieć o moim ojcu? - spytałem.

Wpija się we mnie wzrokiem. Otworzyła usta i wyartykułowała szereg samogłosek. Jęknęła z niecierpliwością.

- Miał na imię Robert?

- Nnnnn!

- Myślałem, że tak powiedziałaś.

Zebrała wszystkie siły.

- Nie Rrr. Bert. - Przez parę chwil koncentrowała się na oddychaniu. - Ehwar. Edward.

- A nazwisko?

Wzięła oddech i spojrzała na mnie tak, że omal nie podniosło mnie z podłogi.

- Rnnn. T!

- Rinnt?

Poderwała się z poduszki.

- Rhine. - Maszyna zajazgotała. - Hrrrt.

Z dalekich rubieży dzieciństwa przyplęnęło do mnie nazwisko.

- Rinehart?

Siostra z nocnej zmiany wpadła do środka i wyrzuciła mnie. Ale zdażyłem zobaczyć, że matka kiwa głową.

Ciotki sterczały przy ladzie jak sępy.

Clark wydał z siebie grzmiące chrapnięcie, które brutalnie wytrąciło go ze snu. Zachwiał się, opanował i dołączył do nas.

- Na co się tak gapiacie?

- Przyszedł gang Clyde'a Prentissa. To ci, którzy uciekli, kiedy on omal nie spotkał się ze Stwórcą.

Chudy szczurek z kocią bródką i w czarnej skórzanej kurtce wymknął się zza zasłony. Za nim ukazała się krępa blondyna z rzęsami kapiącymi od tuszu, w czarnej minispódniczce i dżinsowej kurtce, w której rozpięciu widać było biustonosz. Clark zachichotał.

Blondyna spojrzała na niego.

- Cześć, Clark - powiedziała.

- Fantastycznie wyglądasz, Cassie. Przykro mi z powodu twojego przyjaciela.

Szczurek łypnął na niego i pociągnął blondynę za sobą.

Ciotki odwróciły się do Clarka ze zdumieniem.

- Skąd ty znasz takie elementy?

- Cassie Little nie jest elementem. To barmanka ze „Speedway”. Z tamtym małym, Żabą, tylko się witamy, nic więcej. Cassie powinna znaleźć sobie lepszego chłopca.

Wszedłem powiedzieć Star dobranoc. Ręce trzymała po obu stronach ciała, jej pierś podnosiła się i opadała. Powiedziałem, że przyjdę rano, i pocałowałem ją w policzek.

Siedząc obok May na tylnym siedzeniu buicka, oświadczyłem, że zanim wszyscy pójną spać, chcę o czymś porozmawiać.

Nettie usiadła na starej wersalce, torbę rzuciła na podłogę, zajrzała do niej i znowu ją zamknęła. Clark posłał mi z fotela nieufne spojrzenie. May usiadła z ciężkim westchnieniem koło Nettie. Ja zostawiłem torby koło schodów i usiadłem w fotelu na biegunach. Splotłem palce i pochyliłem się do przodu. Fotel zaskrzypiał. Niezliczone wątpliwości, piętrowe wątpliwości, wirowały mi w głowie i nie pozwalały mówić.

- Widziałam, że machasz do Joy - odezwała się Nettie. - Jeśli nie wstąpisz do niej, kiedy odprowadzisz May do domu, zranisz jej uczucia. No to już powiedz, co ci tam leży na wątrobie.

- Usiłuję się zorientować, jak zacząć. Kiedy wy czyhałyście na gości Clyde'a Prentissa, matka nie chciała puścić mojej ręki. Chciała mi przekazać pewne nazwisko.

Nettie, zawsze o mgnienie szybsza od pozostałych, przeszyła mnie ostrzegawczym spojrzeniem.

- Ja nic nie wiem - oświadczyła May. - Podzielmy to, co jest w torbie Nettie, żebym mogła już pójść do domu.

- Czy Edward Rinehart coś wam mówi?

Ciotki wymieniły spojrzenie, tak błyskawiczne, że niemal niedostrzegalne.

- Znasz to nazwisko, Nettie? - spytała May.

- Ależ skąd - oznajmiła Nettie.

- Star wyprowadziła się do tego mężczyzny. Odwiedzała cię z przyjaciółmi, strzepywali popiół na twój ganek. Może Edward Rinehart był z nimi.

- Przychodziła z Suki i innymi zwariowanymi dziewczynami i plotkowały tylko o jakiejś Bercie Kamu.

- Jeśli zapamiętałaś Alberta Camusa, nie mogłaś zapomnieć nazwiska mężczyzny, który zabrał moją matkę z Cherry Street.

- Zdziwiłbyś się, ile się zapomina w moim wieku.

- Co masz w tej torbie? - zainteresował się Clark.

Pomiędzy moimi ciotkami wyrosła kupka długopisów, ołówków, notesów, nożyczek, spinaczy, tubek balsamu do ust i kremów nawilżających, zapalniczek, przycisków do papieru, kopert, kalendarzy na biurko, kubków do kawy, zapieczętowanych paczuszek z plastikowymi rurkami, żarówek, próbek leków antyhistaminowych i sterydów do nosa, wacików, bandaży, taśmy klejącej, znaczków i papieru toaletowego. Po pewnym czasie moja zgroza przeszła w podziw i musiałem się bardzo pilnować, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Zupełnie jakbym był w cyrku i patrzył, jak klauni wysiadają z malutkiego samochodu.

Siostry zaczęły dzielić łup na dwie równe górki, od czasu do czasu dorzucając coś na trzecią, mniejszą. Nie mogłem dłużej panować nad rozbawieniem.

- A gdzie buty z aligatora dla wujka Clarka? Mnie by się przydały nowe slipy i skarpetki.

- Służba zdrowia rzadko chodzi w butach z gada - wyjaśniła May. - A co do tego drugiego, będziesz musiał poczekać, aż się wybiorę na zakupy.

Nettie podryfowała do kuchni i wróciła z dwiema torbami, jedną łupy May, drugą na tę mniejszą stertę.

- Jak odprowadzisz May do domu, podrzuć to Joy. Zostawię ci światło.

Pomogłem May zejść po schodach. Ciemna sylwetka Joy rysowała się na tle zasłon w domu po drugiej stronie ulicy. Latarnie rzucały na chodnik kręgi gęstego żółtego blasku, zmieniały drzewa w sztywne reliefy. Wilgotne nocne powietrze osiadało na twarzy jak mgła. Zeszliśmy z chodnika na ulicę.

- Nie boisz się, że cię złapią? - spytałem.

May pokręciła głową.

- Neddie, za dobra jestem, żeby mnie złapali. I bądź już cicho, bo gadanie sprowadza pecha.

Doprowadziłem ją na chodnik po drugiej stronie ulicy, weszliśmy w światło latarni. Nasze cienie zasłoniły cement.

- Nie mów też o innych rzeczach, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

- Nie pojmuję. Rozmawiamy o człowieku, który zniknął trzydzieści pięć lat temu.

- Więc ja muszę milczeć za nas oboje.

Nie odezwała się do mnie aż do swojego domu, kiedy podziękowała mi za odprowadzenie.

W sąsiednim domu przygięta do ziemi osteoporożą Joy przyjęła swoją część łupu i zaprosiła mnie do środka głosem tak łamiącym się ze starości lub nieszczęścia, że moja odmowa sprawiła ulgę nam obojgu. Najbardziej krucha z trzech pozostałych przy życiu sióstr zdawała się roztaczać wokół siebie taką samą spleśniałą atmosferę lekkiego zepsucia co widoczne za jej plecami surowe mieszkanie. Obiecałem, że jutro po południu wpadnę z wizytą. Wróciłem do domu Nettie i zaniósłem bagaże na górę.

Przy łóżku z metalową ramą paliła się lampka na nocnym stoliku, naprzeciwko znajdował się zlew z lustrem i apteczka. Przez otwarte okno zobaczyłem, że w domu Joy gasną światła. Postawiłem bagaże na linoleum, rozpiąłem worek i wyjąłem blezer, discmana i płyty. Ubranie na jutro położyłem na siedzeniu trzcinowego krzesła, blezer na jego oparciu.

Sprężyny łóżka wrzasnęły pod moim ciężarem. Przykryłem się prześcieradłem i cienkim kocem. Płyta Emmy Kirkby śpiewającej Monteverdiego powędrowała do discmana, słuchawki na moje uszy. Zanim przycisnąłem klawisz, zauważyłem, że sweter wisi krzywo, wstałem więc, żeby go powiesić w szafie. Podniosłem go i przekonałem się, że w prawej kieszeni jest coś, co go przeważa na jedną stronę.

Wyjąłem gruby zwitek banknotów. Rozłożyłem je na łóżku. Trzy pięćdziesiątki, mnóstwo dziesiątek i dwudziestek, o wiele więcej pięcio- i jednodolarówek - razem pięćset siedemdziesiąt sześć dolarów. Rozdzieliłem dwie sklezione piwem piątki i przeliczyłem jeszcze raz. Pięćset osiemdziesiąt jeden dolarów. Gapiłem się na nie, rozmyślając, czy powinienem zamknąć drzwi. Następnie rozważyłem możliwość podarcia banknotów na drobne kawałeczki i spuszczenia ich w klozecie. W końcu wepchnąłem pieniądze do torby. Podeszedłem do lustra i przyjrzałem się sobie. Nie dostrzegłem nic specjalnie znajomego ani szczególnie nowego. Wepchnąłem torbę pod łóżko, zgasilem światło i wtuliłem głowę w poduszkę.

25.

Po raz pierwszy od lat powrócił do mnie znajomy koszmar. Mimo długiej nieobecności każdy jego szczegół wydawał się wyrazisty jak na filmie.

Najpierw zaczynał się od cienia zrywającego łączące nas szwy, a kończył na jego geście w stronę lasu. Później szedłem za cieniem w stronę drzew. Potężne stwory zeskakiwały ze skalnych nawisów, wbijały mi szpony w ramiona i zaciskały szczęki na mojej szyi. Wiele lat później, gdy uciekłem z Vermontu, niespodziewana umiejętność nie pozwoliła mi się wyrwać z koszmaru. Aż do tego momentu mój strach, a przede wszystkim poczucie, że znam te potwory, sprawiały, że sen się rozwiewał. Niespodziewana umiejętność, o której wspomniałem, okazała się zdolnością pokonania tych potworów. Kiedy moje wyśnione ja wreszcie nauczyło się ufać swoim siłom, sen zniknął.

Ale setki razy wcześniej, kiedy wydało mi się, że uwolniłem się od koszmaru, przede mną pojawiał się cień, oparty o drzewo lub siedzący na niskiej gałęzi. Czasami leżał, zawieszony w powietrzu, podpierając głowę ręką.

- Ciągłe tu przychodzisz - mówił. - Nie zastanawiałeś się, gdzie to się skończy?

- Złapię cię - odpowiadałem.
- Spytałem: gdzie to się skończy. Albo jak?
- Skończy się tutaj. - Ale kiedy wskazałem las, zwątpiłem we własne słowa.

- Tylko na tyle cię stać?
- Nie obchodzi mnie, gdzie to się stanie.
- Ding-dong - powiedział cię. - Nie obchodzi cię, czy nasze spotkanie odbędzie się w Lesie Jonesa, tuż pod Middlemount w Vermontcie?

- Nie. - Poczułem chłód w żołądku.
- Ding-dong. Zastanowilibyśmy się dwa razy, zanimbyśmy wrócili do Lasu Jonesa, prawda?

- To nie jest Las Jonesa.
- Ding. Połowiczne kłamstwo. Nie zapominaj, co się dzieje. Śnisz. Równie dobrze możemy być w samym środku tego samego lasu, w którym ledwie się wyratowałeś ze śmiertelnej pułapki. - Niewidzialny uśmiech zamajaczył na niewidzialnej twarzy; niemożliwe, wydawałoby się, a jednak.

- Las Jonesa wcale tak nie wygląda. - Lodowata nic z żołądka przeszła mi płuca.

- Ding. - Westchnął. - Nie masz wrażenia, że sny zmieniają jedno w drugie i cholernie przesadzają? Że mają skłonności do surrealizmu?

- O co ci chodzi?

- Zbliżamy się do czegoś, co kiedyś potrafiłeś dostrzec.

- Nie wiem, co...

- Ding-dong. Właśnie, że wiesz.

Przypomniałem sobie czubek dachu wystający zza drzew.

- Nie bardzo lubimy stare domy w lesie, co?

- Nie przestraszysz mnie.

- Ding-dong, ding-dong! Ostatnim razem szukałeś nie tam, gdzie trzeba. Jeśli kiedyś znajdziesz właściwe miejsce, grozi ci, że się do

wiesz, kim jesteś.

Chwyciłem się strategii negacji.

- Takie miejsce nie istnieje.

- Istnieje, tam gdzie pod żadnym pozorem nie chciałbyś trafić. A kiedy tam trafisz, nie będziesz chciał tam być. Jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie, ja odpowiem na jedno twoje.

- Dobrze.

- Przez całe życie czułeś, że straciłeś coś niezwykle ważnego. Czy gdybyś to znalazł, zdołałbyś się pogodzić z konsekwencjami?

Nikt przy względnie zdrowych zmysłach nie odpowiedziałby na takie pytanie. Z daleka czuć je było szwindlem. A jednak z moich ust padło „tak” i nie było już czasu na „zadaj mi inne pytanie”.

- Teraz moja kolej - powiedziałem.

- Rozmyśliłem się - oświadczył cię. - Nie odpowiem, wybacz.

I poszybował przede mną.

Poszedłem za nim przez gęsty las, jakbym znowu miał dwadzieścia lat. Cięć unosił się nad ziemią. Było coś o ding-dongach, potem o surrealizmie, aluzje do domów w lesie, właściwych miejsc, pytanie, lot cienia. Pomyślałem jak idiota: i to wszystko? Nie będzie nic więcej?

Zrobiłem dwa, trzy kroki w las i zamarłem w pół ruchu, porażony przejmująco prawdziwym doznaniem rzeczywistości.

Słońce przesiewało się przez sklepienie liści szeleszczących na lekkim wietrze, padało złotymi monetami na sprężyste podłoże. W wonnym, ciepłym powietrzu unosiły się leśne zapachy. To nie był sen, ponieważ nie spałem. Światło zrobiło się srebrnoszare. Pomiędzy czubkami drzew ujrzałem sunące chmury koloru błota.

O liście nad moją głową zabębnił rzadki deszcz; skryłem się pod wielkim klonem. Jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów dalej las kończył się szeregiem potężnych dębów na skraju polany. Huknął grzmot, potem drugi, w powietrzu rozległ się łopot skrzydeł. W połowie drogi

do skraju lasu znajdował się ogromny dąb. Z nieba lunęły zasłony deszczu. Pędem dopadłem dębu. Podmuchał wiatr, precyzyjny jak z atomizera, opryskał mnie drobnymi kroplami wilgoci.

Niebo rozdarła zębata błyskawica, oświetliła krajobraz. W drugiej sekundzie rozbłysku dostrzegłem, że znalazłem się bliżej skraju lasu, niż się spodziewałem. Od sporego pola, za którym majaczyła droga, dzieliło mnie jakieś dwadzieścia kroków i dziesięć drzew. Kątem oka dostrzegłem w lesie coś, co zaraz znikło w ciemnościach. Droga za polem prowadziła do Edgerton, ale martwiłem się o Star, a przez tę burzę mogłem się spóźnić do szpitala. Zastanowiłem się, czy to coś w lesie nie było przypadkiem domem. Właśnie tego potrzebowałem. Jeśli właściciele mnie wpuszczą, zatelefonuję do Clarka i poproszę, żeby mnie stąd zabrał, zanim pojedzie z Nettie i May do szpitala.

Kolejny piorun przeszył niebo z sykiem i podzielił je na rozpalone do białości części. Pochyliłem się i dostrzegłem wysoki portyk i kamienną fasadę z oknami zasłoniętymi okiennicami. Rozjarzona elektryczna strzała uderzyła jakieś trzy metry ode mnie. Rozległa się seria głośnych trzasków, jakby łamały się kości olbrzyma.

Potem kolejny syk i kolejny ogłuszający trzask. Elektryczne odnogi przemknęły przez niebo, rozgałęziając się od centralnej błyskawicy, która wykonała w lewo zwrot, wyprostowała się i strzeliła w las. Zapachniało ozonem, zanim jeszcze ostrze ścięło ukośnie koronę dębu i wbiło się w klon, mojego starego przyjaciela.

Pionowa kolumna blasku wymazała ciemności. Runęła w stronę domu, wykonała w prawo zwrot i zajęła się moją częścią lasu. Jak na błyskawicę poruszała się wcale nie błyskawicznie, niemal z wahaniem; świetlisty widelec trwał w miejscu, a jego rozcapierzone końcówki pomknęły zygzakiem w dół. Odskoczyłem od dębu i runąłem w stronę domu. Pocisk wielkości pociągu towarowego minął mnie tak blisko, że poczułem gorąco na plecach. Cały tlen zniknął z powietrza. Wpadłem

na otwartą przestrzeń; ściana wody zbiła mnie z nóg. Pocisk trafił w dąb. Biegłem, aż dotarłem do kamiennego podestu pod portykiem.

Deszczówka lała się ze mnie strumieniami i zbierała się w kałuży na kamiennej posadzce. Chwyciłem metalową kołatkę i zastukałem. Odczekałem jakiś czas, po czym ująłem kołatkę, by znowu zastukać.

Kliknął zamek, szurnęła zasuwka. Na podest padło światło.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - powiedziałem do niewidocznej osoby za drzwiami. - Zaskoczyła mnie burza i chciałbym...

Za postacią, która stała z ręką na drzwiach, ujrzałem galerię porcelanowych waz na delikatnych stolikach. Żyrandol podobny do wielkiego okrętu rzucał roziskrzony błyski, zmieniające stojącego przede mną mężczyznę w czarną sylwetę. Z rękawa szarej marynarki wystawał biały mankiet ze złotą spinką. Paznokcie mężczyzny lśniły.

- ...skorzystać z telefonu.

Cofnął się w mrok, a ja przekroczyłem próg domu. Ledwie to zrobiłem, znowu naszło mnie wrażenie, że wiem, co teraz będzie - to wrażenie, które zawsze przerywało moje koszmary. Trzasnęły zamykające się drzwi. Głośno szczęknął zamek.

Doskonale znane mi oczy mojego gospodarza natychmiast zalśniły tryumfem; doskonale znane mi usta otworzyły się w uśmiechu. Skłonił się ironicznie. Choć nad wyraz uderzająca uroda mężczyzny, który przede mną stał, pod żadnym względem nie mogła przypominać mojej, każdy jego rys z osobna, analizowany jeden po drugim, w tajemniczy sposób wydawał się podobny do mojego. Gdy sieje łączyły, podobieństwo zanikało. Jego czoło, brwi, oczy, nos i usta stapiały się z zarysem szczęki i kości policzkowych, tworząc dzieło wyjątkowej piękności. Tak mógłbym wyglądać ja sam, gdybym trafił w odpowiednią kombinację genów. Ale bardziej niż wygląd dzieliło nas doświadczenie. To on zaszedł dalej, przeżył, zaryzykował i wygrał więcej - zwyczajnie,

niezaprzeczalnie miał z życia więcej i wziął to sobie z instynktowną, zmysłową furią, której nie dane mi było poznać.

W otoczeniu wulgarnego splendoru jego domostwa, odstręczając do szpiku kości, cień stał przede mną i śmiał się z mojej bezradności. Krzyknąłem i obudziłem się z dygotem.

26. Pan X

Wysłuchajcie mnie, Zrzucone z Gwiazd Istoty, to niełatwe. Nigdy nie było łatwe, jeśli chcecie znać prawdę.

Nikt będący w mojej sytuacji - zatem nikt na świecie - z wyjątkiem Jego, o którym, jak teraz rozumiem, nigdy nie słyszaliście, nie może pojąć cierpień niepewności, jakich doznawałem. O Wielcy, jeśli w ogóle istniejecie, błagam o łaskę Poznania równą mym Zasługom. Jeśli nie żyłem na próżno, zasługuję na zaszczyt Nieśmiertelności. Lista mych Prac powinna zostać zamieszczona w Wielkim Muzeum Starszych Bogów. Nazwijmy je Muzeum Patriotów lub Tryumfu. Powinienem mieć, jeśli wolno mi zasugerować, wystawę rekonstruującą te skromne pokoje. Na replice mego biurka powinien się znaleźć obecny Dziennik. Widzę także model samego siebie, w miarę możliwości ruchomy, to zatopiony w rozmyślaniach nad stronicą, to zadumany nad zlewem. A obok tabliczka z informacją bądź oprawiony w ramki tekst, liczący co najmniej osiemset słów. Nie pragnę wiele. Pamiętajcie, jeśli łaska, że Nazarejczyk jest sławiony na całym świecie, a jego Wizerunek wisi w każdym chrześcijańskim miejscu modlitw.

Czy w swej Odmienności zdajecie sobie sprawę z istnienia Tamtego Drugiego? Zakładając, że naprawdę istniejecie, czy możliwe, że wybraлиście Go przede mną i ujrzełiście, iż wszystko idzie na marne?

Nawet bezmyślnie usentymentalizowany Jezus ze szkółki niedzielnej miał swoje chwile zwątpienia, załamania i rozpacz. W końcu

i on był na pół człowiekiem! Wpadał w ślepią furię o wiele częściej, niż donosi o tym Pismo. Chcę się dowiedzieć, czy Jezus czasami zastanawiał się, czy jego posłannictwo nie jest iluzją? I jeszcze jedno: czy miał sny?

Istota obdarzona nadnaturalną mocą i misją zmieniania świata częstokroć bywa w rozpacz przez długie tygodnie. Częściej niż śmiertelnicy przeżywa okresy psychicznego rozpadu, kiedy emocjonalny krajobraz przypomina rozmiękle wybrzeże leniwej rzeki w pochmurny dzień. Stare opony, kawałki drewna i zagrzebane w błocie butelki po piwie. Wszystkie wiarygodne źródła zgadzają się, że te czarne okresy są niezbędne do duchowej ewolucji. To nie depresja, to Czarna Noc Duszy. Zakładam się sto do jednego, że ten, kto wymyślił owo dogodne określenie, sam usiłował nadać sens swemu zwątpieniu.

A jeśli Jezus się pomylił, to co ze mną? Wiem, lecz skąd pewność, że wiem naprawdę?

Dopóki nie zbliżyłem się do trzydziestki, egotyzm i arogancja właściwe rodzajowi ludzkiemu nie pozwalały mi się zająć drugoplanowymi aspektami prac Mistrza. Na Boga, było ich dość, by mnie uszczęśliwić. Zwątpienie wkradło się, gdym musiał przyznać, że niektóre opowieści Mistrza nie są udane. Niektóre kompletnie chybiały celu.

Powiedziałem sobie, że widać czasem zdarzało Mu się odbierać zniekształcone sygnały, że starał się coś zrozumieć nawet wówczas, gdy nie znał właściwej częstotliwości. Wmawiałem sobie, że mógł zatracić rozeznanie między prawdą i fikcją.

Ach, i otóż przed moimi oczami staje możliwość, iż to, co brałem za Pismo Święte, jest tandetną literaturą. Noc za nocą podczas tej Czarnej Nocy szeptałem do siebie: „Twoje życie jest groteskowym błędem, a ty jesteś o wiele, wiele mniejszy, niż sądziłeś”.

Moje noce skaziły żalose sny. Wchodzę do nędznego pokoju, gdzie przy biurku trzusi się mężczyzna. Po wystającej szczęce i tanim garniturze, znanym z licznych zdjęć, poznaję Mistrza z Providence i robię

krok naprzód. Staję tuż przed Nim i pytam: „Kim jestem?”. On zaś uśmiecha się do siebie, a Jego pióro sunie po stronie. Nie widzi mnie ani nie słyszy - nie ma mnie tam - nie istnieję.

Zaledwie parę dni temu krążyłem nocą po ulicach, pełen butnej energii, upojony rozkoszą. Wielki Plan zmierzał do finału, ohydny bachor Star zmierzał na spotkanie z okrutną śmiercią. A teraz... teraz ledwie mogę się dźwignąć z łóżka. Myślę, że popełniłem błąd. Myślę, że się pomyliłem.

Jeśli nie istniejecie - jeśli Starzy Bogowie nie zesłali mnie na Ziemię, bym doprowadził do zniszczenia tego świata - co tu robię? Kto jest moim prawdziwym ojcem?

27.

Mdle sinawe światło wpadało przez okno i sprawiało, że krzesło i toaletka wyglądały dwuwymiarowo. Ręce na prześcieradle także były dwuwymiarowe. Zamazana tarcza dwuwymiarowego zegarka pokazała, że jest parę minut po wpół do szóstej.

Nie robiłem sobie nadziei, że znowu zasnę, więc umyłem zęby, wykąpałem się, ogoliłem i doszedłem do wniosku, że pieniądze w kieszeni swetra też mi się przyśniły. Dokładnie tak jak reszta koszmaru, wydawały się prawdziwe w nierealny sposób. Poza tym wiedziałem, że ich nie wygrałem, dlatego musiało mi się przyśnić, że je znalazłem. Wytarłem twarz i zajrzałem do szafy.

Sweter wisiał równo, nie zdradzając obecności wyśnionego zwitka. Wsunąłem rękę do kieszeni i znalazłem tylko wizytówkę Ashleigh Ashton. Męska próżność podsunęła mi, że Ashleigh wsunęła mi ją, kiedy nie patrzyłem. Dla porządku sprawdziłem nawet kieszenie wewnętrzne.

Widzisz, powiedziałem sobie, dobrze ci się zdawało.

Wyciągając dzinsy z worka, zauważyłem torbę pod łóżkiem. Wszystko we mnie złodowaciało. Włożyłem skarpety, nie spuszczać

z niej oczu. Złowrogie wrażenie nierealności zaczęło mi ciągle towarzyszyć. Włożyłem szorty, wciągnąłem przez głowę koszulkę polo, wbiłem się w dzinsy i rzuciłem torbę na łóżko. Senne wspomnienie kazało mi zajrzeć do jednej z zapinanych na sprzączkę kieszeni. Rozpiąłem ją, uniosłem klapę, odciągnąłem suwak. Sięgnąłem do środka i namacałem coś jakby pieniądze. Wyciągnąłem na zewnątrz garść pełną banknotów.

Pięćset osiemdziesiąt jeden dolarów. Dwie piątki zlepione piwem.

Wcisnąłem pieniądze do kieszeni, zapiąłem ją i wkopałem torbę z powrotem pod łóżko.

28.

Fioletowa koszula zwisała z barków wujka Clarka, bransoleta z turkusem migotała na jego przegubie. Wujek wyglądał jak perkusista z egzotycznego trio, który czeka, aż go wezwą na scenę. Tak naprawdę czekał na śniadanie. Nastawiłem kawę i zacząłem zaglądać do szafek.

- Płatki na dole, miseczki przed tobą. Ja chcę z otrębami i rodzynkami, pół na pół, łyżkę miodu i mleko. Ty chyba jesteś za młody na otręby.

Nadzorował nasypywanie płatków i kiwnął głową, gdy miseczka napelniła się do połowy.

- I dużo tego miodu, i mleka też, żeby dało się dobrze zamieszać. I uważaj na kawę.

Nalałem mleka, postawiłem miseczkę na stole. Wsypał do niej cztery łyżki cukru. Usiadłem przy nim; zwrócił na mnie oczy koloru kości słoniowej.

- Z tego wrzasku, co go narobiłeś w nocy, wnioskuję, że miałeś koszmar pierwszej klasy. Ktoś by mógł powiedzieć, że to oznaka nieczystego sumienia.

- Obudziłem cię? Przepraszam.

Zjadł wszystko i zaczął wyszukiwać zabłąkane grudki w miseczce.

- O czym był ten koszmar?
- O burzy.
- Podobno sny o deszczu zwiastują niespodziewane pieniądze.
- A o uderzeniu pioruna?
- O piorunie - zmianę losu. Możliwe, że idzie do ciebie niesamowita masa pieniędzy. Lepiej nadstaw ręce i trzymaj się z daleka od Toby'ego Krafta. Pieniądze mają zwyczaj do niego uciekać.

Przed oczami stanęła mi niepokojąca wizja zwitka banknotów w mojej torbie.

- No a burza... Kiedyś to były burze! Rzeka zalewała miasto. Porywała wszystko po drodze. Samochody. Bydło. Dorosłych mężczyzn. W wodzie zwłoki robią się sine. Wzdymają się od gazu i dryfują z prądem. Ręce wyglądają jak rękawice baseballowe. Przez całe życie mieszkam nad Missisipi. Ludzie uważają, że rzeki są ładne, ale jeśli masz za grosz rozumu, nie zaufasz żadnej na tyle szerokiej, żeby nie dała się przeskoczyć.

Powiedziałem, że do wczoraj, kiedy z okna szpitala zobaczyłem wodę, całkiem zapomniałem, że Edgerton leży nad Missisipi. Zmarszczył brwi, prychnął, ale się rozpogodził.

- Nie pamiętałeś o rzece?
- Aż do wczoraj.
- To jest najlepsze, co z nią można zrobić: zapomnieć. Dawno temu potrzebowaliśmy jej i - jak uczy historia - właśnie po to buduje się miasto nad rzeką. A nadrzeczne miasto jest zupełnie wyjątkowe.
- Jak to?
- Jest nieregularne. Najpierw się widzi szulerów i oszustów, potem kaznodziejów, i może minąć sporo czasu, zanim do któregoś z nich nabierzesz szacunku. Tu ludzie mają inną mentalność, rozumiesz, co mówię?

Bardziej to pasowało do jakiegoś gangsterskiego miasta, ale kiwnąłem głową.

- Powodzi może nie być przez dwadzieścia lat, ale jak się pojawi,

to się buduje miasto od fundamentów. Rzeka potrzebuje miasta, a miasto - rzeki. Dwa miesiące później nie ma śladu nawet po smrodzie.

- Po smrodzie?

Clark uśmiechnął się przeciągle i złośliwie.

- Długo się zastanawiałem, dlaczego rzeka pachnie czysto i świeżo, kiedy płynie swoim korytem, a zostawia po sobie taki smród, kiedy wystąpi z brzegów. Może dlatego, że powódź wywraca miasto do góry nogami i to, co było na dole, znajduje się na górze. Jak się cofa, jak okiem sięgnąć - widzisz dno rzeki. Nie błoto - błoto to tylko mokry piasek. Dna nie powinno się widzieć. Dno rzeki to brzydka strona natury, gdzie wszystko umiera i zmienia się w coś innego. Śmierć to cholernie ożywiony interes, jak się człowiek nad tym zastanowi.

- Pewnie trudno potem posprzątać.

- To draństwo przywiera. Od 1870 roku do początku nowego wieku Edgerton odbudowywało się może ze trzy razy. Za każdym razem budują coraz wyżej. Ależ tu się działo, po dwa saloony i dwie szulernie na każdej ulicy. Ta sama stara mentalność, rozumiesz, co mówię?

- Bardzo dobrze rozumiem.

- Ale były też banki, biznesy i kobitki, ach kobitki. - Wyszczrzył zęby, wydawało mi się, że z dumą. - Wtedy właśnie twoi przybyli do Edgerton. Słynni bracia Dunstanowie, Omar i Sylvan. W 1874 roku.

- Omar i Sylvan? Pierwsze słyszę.

- Bracia Dunstanowie wjechali do miasta na wozie z sianem i zeskoczyli z niego z paroma walizami i dwustoma dolarami w złocie. Tylko żebyś się nie zasugerował tym wozem. Dunstanowie to byli wielcy panowie z miasta. Elegancy, przystojni dżentelmeni, mówili z wytwornym akcentem, mieli najlepsze maniery i ubierali się w najmodniejsze ciuchy. Jak tylko znaleźli czasowe lokum, weszli do szulerni i w jedno popołudnie potroili swój majątek.

- Byli szulerami?

- Zajmowali się handlem i finansami. Nikt nie wiedział i nigdy się

nie dowiedział, co robili, zanim przyjechali do Edgerton, choć lubili sobie pogadać. Niektórzy uważali ich za poszukiwaczy zbiegów. Podobno jeden z nich, albo nawet obaj, siedział w więzieniu.

- Co zrobili, kiedy tu zamieszkali?

- Wszystko, czego się tylko tknęli, zaczynało prosperować. Na powodziach Omar i Sylvan zarobili więcej niż na czymkolwiek innym. Kupili tanio działki od tych, którzy postanowili wyjechać z miasta. Kupowali ziemię, bo się połapali, że miasto zacznie się rozrastać. Piętnaście, dwadzieścia lat później wiele ważnych budynków częściowo do nich należało. I oczywiście kobitki za nimi szalały.

Clark uwielbiał opowiadać o braciach Dunstanach. Skok z wozu z sianem wprost na stertę pieniędzy pobudzał jego wyobraźnię. Omar i Sylvan stali się dla niego niemal najbliższymi krewnymi, których osiągnięcia dodawały mu znaczenia.

- No myślę - zgodziłem się.

- Przystojni byli jak dwa diabły, tak mówią. - Uśmiezek zadowolenia zdradził, że pomimo niedoskonałości podeszłego wieku Clark Rutledge uważa się za nie mniej przystojnego. - Nie można ich było rozdzielić. Powiadają, że od czasu do czasu dla żartu udawali przed swoimi paniami, że są z kimś innym, niż myślały, rozumiesz, co mówię? Jedno wiadomo na pewno, wpuszczano ich do wielu domów, kiedy pana nie było. - Zawahał się przez chwilę. - Z tego, co mi wiadomo, Howard był do nich dość podobny. Tak jak paru innych, ale albo wcześniej zmarli, albo uciekli.

- Pewnie nie budzili sympatii.

Znowu się zawahał.

- Wiesz, jak to jest. Jak się wybijesz, to cię ściągają, żebyś się nie wyróżniał. Omar poślubił niejaką Ethel Bridges z Orleanu i nieco się ustatkował. Ale i tak pewnego ranka opuścił ten dom, w którym teraz jesteśmy, i kiedy szedł do powozu, ktoś go zastrzelił. Sylvan usłyszał strzał i wybiegł w samą porę, by ujrzeć oddalającego się galopem mężczyznę. Sprawcy nigdy nie postawiono przed sądem. Nie sądzisz, że

można go było zidentyfikować? Gdyby komuś na tym zależało?

Kiwnąłem głową.

- Sylvan poślubił wdowę po bracie, wybudował dom za miastem i przeprowadził się do niego. Urodziły im się dzieci, troje lub czworo, nikt tego nie wie na pewno.

- Muszą istnieć jakieś dokumenty.

- Zapominasz, kiedy i gdzie się to działo. Te wszystkie dzieci przyszły na świat w domu, a Dunstanowie nie dbali o akuszerki czy medyków.

- Dlaczego?

Clark błyskawicznie przestał się szyderczo uśmiechać, ale wrodzona gadatliwość zwyciężyła dyskrecję.

- Dawno temu jeden staruszek powiedział mi, że bracia Dunstanowie nigdy nie wiedzieli, czy ich dzieci urodzą się zdrowe, czy zdeformowane w sposób nieznanym medycynie. Na przykład z ogromniastą głową i ciałkiem jak szpilka. Albo ze skrzelami za uszami i bez kończyn. Albo jeszcze gorzej. Niemal wszystkie te dzieci zmarły, a te, które przeżyły, trzymano na strychu.

Zerknął na mnie.

- Moim zdaniem możliwe, że parę dzieci urodziło się nieco odmiennych, a Howard, najstarsze dziecko w rodzinie, podsłuchał za dużo, żeby mu to wyszło na zdrowie. To by tłumaczyło, dlaczego stał się taki nieokiełznany i rozrzutny. Koniec końców, narobił dużych kłopotów. Wreszcie chyba sfiksował. Znalazł się w jakimś nierealnym świecie.

Pomyślałem, że wszystko to jeden nierealny świat, taki, jaki powstaje w umysłach małomiasteczkowych plotkarzy.

- Który z braci był moim prapradziadkiem? Jeśli Howard był najstarszym dzieckiem nowego pokolenia, to pewnie Omar?

- Słyszałem, że bracia dzielili się wszystkim. Nie sądzę, żeby wiedzieli, który jest ojcem Howarda.

Coś powiedziałem, ale nie mogę wyjawić co. Clark zaprezentował uśmiech człowieka znającego ten świat.

- Ja bym stawiał na Sylvana. Omar był spokojniejszy. Sylvan romansował z damami, jeszcze kiedy żył z Ethel i miał dzieci. Kiedy Howard dorósł, sam też się tak zachowywał, i jeszcze gorzej. A to się na nim zemściło, bo wtedy Edgerton nie było takie jak teraz.

- Było porządne.

- W każdym razie Howard potrzebował własnego Omara, a ponieważ go nie miał, zszedł na psy. Hache'owie i Miltonowie wykorzystali jego słabość.

Zaskrzypiały schody, Clark się wyprostował.

- Lepiej nie rozmawiać o tym przy Nettie.

29.

Nettie zareagowała podejrzliwie na zmianę codziennej rutyny. Łypnęła na Clarka spode łba.

- Dziwię ci się, że wstałeś tak wcześnie - zwróciła się do mnie. - Jak się spało?

- Dobrze.

- Z tego, co słyszałam, gonił cię sam diabeł. Wszyscy tak się martwiliśmy, aż dziw, że w ogóle zasnęliśmy. - Podpłynęła do kuchenki, włączyła gaz pod żelaznym rondlem. Wyjęła z lodówki karton jajek i paczkę bekonu, rzuciła bekon do rondla i sprawnie jak zawodowy kucharz rozbiła pięć jajek jedną ręką. - Coś czuję, że dziś twojej matce się polepszy.

- Mam nadzieję.

Rozmieszała jajka, przewróciła bekon na drugą stronę, wyjęła z lodówki przezroczystą torbę z fasolką szparagową. Wytrząsnęła jedną trzecią do drugiego rondla. Kiedy bekon stał się brązowy i chrupiący, ułożyła go równo na grubym papierowym ręczniku. Wylała jajka do rondla, zamieszała jeszcze raz. Posmarowała tost grubo masłem, przekroiła po przekątnej i położyła na talerzach. Wsypała do rondla pieprz i suszoną pietruszkę, jeszcze raz zamieszała jajka i podzieliła fasolkę.

- Zawsze jecie takie śniadania?

- Czasami dodajemy jeszcze smażone ziemniaki albo wątróbki drobiowe, ale dziś nie chcę marnować czasu. Kawa jeszcze gorąca?

- Podgrzeję.

Wstałem i włączyłem gaz pod maszynką. Rozległ się dzwonek przy drzwiach.

- To May - powiedziała Nettie. - Otworzysz, synku?

Na progu stał facet z poczty kurierskiej. Trzymał przed sobą pudełko zapakowane w szary papier.

- Przesyłka dla... - zerknął na nazwisko w dokumentach - ...pani Star Dunstan.

W lewym górnym rogu pudełka widniał adres zwrotny w East Cicero. Podpisałem i zaniosłem paczkę do kuchni.

- Poczta - powiedziałem. - Star chyba wysłała do was swoje rzeczy, zanim tu przyjechała.

Nettie machnęła ręką.

- Postaw to na podłodze.

Podzieliła szpatułką jajecznicę i zsunęła ją na talerze. Znowu zadzwonił dzwonek.

Wróciłem przez salon i otworzyłem drzwi. Ciocia May, wspiana na przystrojonym kwiatami kapeluszu, wyciągnęła do mnie rosochate szpony.

- Pomóż mi wejść na schody, Neddie. Troszkę się spóźniłam, ale chciałam się przywitać z Joy. Są dziś wątróbki?

- Ciocia Nettie uznała, że zmarnuje za dużo czasu.

- Ojej, na wątróbki wcale nie potrzeba tyle czasu.

May wczepiła się we mnie jak pijawka. Podtrzymałem ją, kiedy siadała na krześle. Z wielkim podziwem obejrzała kopiastrą porcję.

- Rzeczywiście, wątróbki to by już było za dużo.

Podąła mi laskę.

Usiadłem między May i Nettie, Clark obrzucił mnie ciężkim spojrzeniem. Siostry zabrały się do śniadania. Zadzwonił telefon. May otarła usta chusteczką i powiedziała:

- Może Joy miała kolejną wizję.

Nettie wstała, kręcąc głową, i podniosła słuchawkę.

- Dobrze - odezwała się. Zasłoniła mikrofon ręką. - To ten lekarz z wielką głową i czerwonymi usteczkami.

W głowie nagle zrobiło mi się bardzo lekko, jakby przestało w niej obowiązywać prawo grawitacji. Oparłem się o stół i powiedziałem:

- Doktor Barnhill? Tu Ned Dunstan.

Doktor Barnhill poinformował mnie, że pół godziny temu moja matka miała kolejny wylew i że akcja reanimacyjna nie przyniosła rezultatu. Powiedział też wiele innych rzeczy. Jakby czytał z kartki.

Odłożyłem słuchawkę i zobaczyłem wpatrzone we mnie twarze, malowała się na nich nadzieja i to, co już przeczuwali.

III

Jak omal nie zginąłem

30.

Ani Nettie, ani Clark nie wpadli w rozpacz, kiedy uprzedziłem, że mogą się mnie nie spodziewać na kolacji. Clark przez całe popołudnie dąsał się, bo nie mógł zrobić przeglądu swoich spelunek, a Nettie jeszcze mi nie przebaczyła zbrodni wydania zbyt wielkiej sumy na trumnę. Zaciągnęła mnie w kąt domu pogrzebowego pana Spauldinga „Wieczne odpoczywanie” i łupnęła mi kazanie na temat rozsądku. Ja, nadal łudzając się, że decyzja musiała być rozsądna, ponieważ ją podjąłem, przypominałem Nettie, że to ja finansuję pogrzeb matki. Tego nie mogła zakwestionować, prawda? Powinienem ją znać lepiej.

Dostojna postać pana Spauldinga pojawiała się i znikła, Clark wzruszał ramionami w koszuli zdartej z perkusisty z tria egzotycznego i popatrywał z szyderczym uśmieszkiem na aksamitny dywan. Kiedy usiadłem na skórzanym krześle przed biurkiem pana Spauldinga i wypisałem czek, Nettie wymamrotała coś buntowniczo. Okazało się, że wybór dość drogiej trumny pogwałcił zasadę o bezsensie wydawania pieniędzy na martwych, skoro można dać je żywym. Wszelkie złudzenia, że Nettie nie robi zakusów na moją książeczkę czekową, przysły, gdy Clark wyprowadził pieczołowicie buicka spomiędzy ceglanych słupków na podjeździe pana Spauldinga, skręcił w stronę budynku zarządu cmentarza Little Ridge i powiedział:

- Czasem, chłopcze, trzeba pomyśleć o innych, nie tylko o sobie.

Półtoragodzinną wizytę u cioci Joy i wujka Clarence'a była jeszcze gorsza. Poszedłem tam w przekonaniu, że wyświadczam uprzejmość parze staruszków. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś o interesującej osobie Howarda Dunstana, chciałem też sprawdzić, co się stanie, kiedy wspomnę o Edwardzie Rineharcie. Clarence, którego zapamiętałem jako wesołego rześkiego staruszka, może być jeszcze na tyle zważy, żeby umilić mi tę wizytę, myślałem.

Clarence, bezmyślny jak noworodek i jak noworodek obojętny na smród własnych ekskrementów, zwiślał ze skórzanej upręży, niepozwalającej mu spaść z wózka inwalidzkiego. Na koscziuli miał plamy zaschniętej i schnącej papki dla dzieci. Joy powiedziała, że co wieczór o siódmej wiezie go pod prysznic i tam go myje, choć nie wie, skąd bierze na to siłę. Clarence ma się bardzo dobrze, niestety Joy nie może powiedzieć tego samego o sobie.

Usiedliśmy w dwóch fotelach, które stanowiły całe wyposażenie salonu. W miarę jak Joy prowadziła mnie coraz głębiej w swój prywatny labirynt, a moja litość ustąpiła miejsca oszołomieniu i zgrozie, przez zapaszek Clarence'a przebił się starszy fetor, który poczułem już poprzedniej nocy. Fetor zadomowiony, wrośnięty w ten dom, będący jego częścią na równi z podłogami i belkami stropowymi. Przenikał wszystko, także Joy, która prawie w nim pływała.

Najmłodsza i najbardziej niepozorna córka Howarda Dunstana przycupnęła na brzeżku fotela i mówiła tak, jakby zbierały się w niej te słowa od lat. Nie było sensu jej przerywać; jej gorycz przerwała wszystkie tamy. Bezbarwny głos chwycił za wiosła i pruć w równym tempie ku horyzontowi znanego nam świata. A jak już do niego dopłynęła, wiosłowała dalej. Mówiła o sobie, rodzinie i Howardzie Dunstanie. Wiosłowała co sił, a suchy, nieludzki smród domu jej ojca pchał ją do przodu. To dno rzeki, o którym mówił Clark, wdarło się do domu Joy i wszędzie zostawiło „brzydką stronę natury”. Jeśli to była natura, to jej sobie nie życzyłem.

Migająca karmazynowa ręka zatrzymała mnie na skrzyżowaniu. Kiedy moje stopy przestały się ruszać, umysł wypełnił się obrazem Joy przycupniętej na wyszmelcowanej poduszce fotela, z kościstą ręką wyciągniętą w stronę męża. Widziałem, co się wydarzyło potem. Na oślep skręciłem w lewo i szedłem dalej. Dwie przecznice dalej na Pine Street zielone światło pozwoliło mi przejść przez ulicę, którą brzeżkiem świadomości zarejestrowałem jako Cordwainer Avenue.

Prułem przez Pine Street, nie widząc przed sobą kompletnie nic, dopóki jakiś siwowłosy olbrzym o twarzy wojownika nie zwolnił, wpatrzony we mnie z gniewem i smutkiem jednocześnie. Kiedy znalazłem się tuż koło niego, olbrzym odwrócił głowę, ale nie odezwał się ani słowem. Napięcie między nami pękło z niemal dosłyszalnym trzaskiem.

Zrobiłem jeszcze dwa, trzy kroki, zatrzymałem się i obejrzałem przez ramię. Olbrzym natychmiast się odwrócił.

- Synu, wyglądasz jak zmora i dyszysz jak parowóz. Powiedz mi, że nie dostaniesz za chwilę zawału.

- Dziś rano umarła moja matka.

- Jeśli nie zaczniesz uważać, co się wokół ciebie dzieje, zobaczysz mamę szybciej, niż myślisz. Uważaj na siebie, chłopcze.

- Dobrze - powiedziałem, a on sobie poszedł.

Osuszyłem twarz chusteczką, oparłem się o zakaz parkowania i zamknąłem oczy. Rozpacz płynęła w górę mojego ciała od żołądka jak realny płyn. Przycisnąłem chusteczkę do oczu. Rozpacz to uczucie, które rozlewa się po ciele na skalę przemysłową, tyle tylko mogę powiedzieć. Przejmuje wszystko, rządzi.

Kiedy atak ustąpił, rozejrzałem się po otoczeniu. Parkingi i ogrodzenia z drucianej siatki graniczyły ze sklepami z częściami samochodowymi, warsztatami, magazynami i innymi, mniej charakterystycznymi przedsiębiorstwami. Na Pine Street stały głównie parterowe, najwyższej jednopiętrowe budynki. Brudne ceglane fasady i szyby

z matowego szkła nadawały im wygląd szczątków większych, bardziej reprezentacyjnych budowli.

Trzy przecznice dalej siatka i puste działki znikły, a ceglane budynki ścieśniły się i urosły. Na każdym rogu błyskały światła. Skręciłem w lewo i minąłem wystawę z kasetami wideo i alkoholem. Koszula mi schła. Tabliczka na murze obwieściła, że znajduję się na Cobden Avenue. Zaczęło mnie ssać w żołądku.

Mijały mnie samochody z młodymi ludźmi i grupki nastolatków. Po dwóch kolejnych światłach Cobden zmieniała się w czteropasmowy bulwar i niewielki trójkątny park. Dotarłem do Commercial Avenue, głównej ulicy miasta. Skręciłem w prawo i ruszyłem prosto w stronę jakiegoś zamieszania. Dwie pary, emanujące prostą, czystą, nienaruszalną pewnością siebie zrodzoną z dostatku, wyprysnęły z obrotowych drzwi pod spojrzeniem niewzruszonego portiera z epoletami i mosiężnymi guzikami. Zarumieniony mężczyzna koło pięćdziesiątki powiedział:

- Czy on wie, co się dzieje? Uwierzysz?

Jego wyższy i szczuplejszy towarzysz położył mu rękę na ramieniu. W okularach ze złotymi oprawkami błysnęło zachodzące słońce. Siwe włosy miał obcięte najeża.

- No myślę. - Jego twarz przecięły pionowe zmarszczki, żółte zęby błysnęły w drapieżnym uśmiechu. - Za jakieś pięć minut on też uwierzy.

Idąca z nimi ciemnowłosa kobieta spytała:

- Kochanie, zamierzasz mu powiedzieć?

Była pewnie ze dwadzieścia lat młodsza od mężczyzny, którego nazywała „kochanie”, i miała wysportowane ciało ze śladami liftingów - druga żona ostro walcząca o prawo udziału w dalszej grze. Posłała mi zirytowane spojrzenie, które natychmiast zmieniło się w inne, choć nie potrafiłem go dokładnie określić. Coś pomiędzy zaskoczeniem, zgrozą i zażenowaniem.

Dudniące „ho, ho, ho” jej męża wyśmiało sam pomysł, żeby cokolwiek „powiedzieć”.

- Nie muszę, bo jak wszystkim wiadomo, nasz przyjaciel...

Zauważył wyraz twarzy swojej żony, zerknął na mnie i natychmiast się wyprostował. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt, kolejny olbrzym w zielonej jak trawa lnianej marynarce i bardzo pomiętych różowych spodniach. Na jego muszce krzyżowało się mnóstwo jaskrawych kolorów. Miał jakieś siedemdziesiąt lat i był niepoprawnym tyranem, który sam siebie uważał za zwycięzcę.

- Czy chce pan prosić o jakąś formę pomocy?

Spodobało mi się to „prosić”. Miało wredne brzmienie, którego próżno by szukać w „potrzebuję”. Zresztą ta „forma” też była niezła.

- Szukam dobrej restauracji. Co by pan polecił?

Opanował zaskoczenie lepiej, niż się spodziewałem.

Wskazał budynek za nami. Mosiężna tabliczka koło obrotowych drzwi obwieszczała: Hotel Merchants.

- „Le Madrigal”. Na prawo z lobby. Właśnie zjedliśmy tam kolację.

- Zauważył we mnie coś, co starło mu uśmiech z twarzy. - Ale tam jest drogo - tak, drogo. Proszę wybrać „Lorettę”, trzy przecznice na północ. Mają dobre steki, żeberka, czego dusza zapagnie.

- „Madrygał” brzmi doskonale.

- „Le Madrigal”, nie „Madrygał”. W tych stronach to miejsce, w którym spotykają się dobrzy ludzie.

- Uwielbiam, jak mówisz świństwa, G-Man - odezwał się drugi mężczyzna.

- Dam ci dobrą radę, kolego. - G-Man klepnął mnie wielką łapą po ramieniu. Jedwabiste skrzydełko muszki musnęło mi skroń. - Możesz się stawiać, rozrzucać pieniądze na prawo i lewo, proszę bardzo, ale najpierw wstąp do łazienki i doprowadź się do porządku. Taki mały grzeczny chłopczyk nie chciałby się wyróżniać w towarzystwie, prawda?

Zbliżyłem usta do pomarszczonego ucha.

- Nie potrzebuję twojej rady, ty zrozumiąły prowincjonalny palancie.

Cofnął się jak oparzony, chwycił żonę za ramię i pociągnął ją za sobą. Druga para zamknęła się i popędziła za nimi. Mój przyjaciel zmusił się, by otworzyć drzwi przed swoją żoną, podczas gdy para sadowiła się z tyłu.

Przez jakąś sekundę portier pozwolił sobie uśmiechnąć się do mnie.

Podstarzały boy wskazał mi drogę do męskiej toalety. Umyłem twarz i ręce pod nadzorem pracownika w czarnym garniturze. Skierowałem strumień ciepłego powietrza z suszarki na koszulę, na nowo zawiązałem krawat i przygładziłem włosy. Wypłukałem usta płynem, spryskałem się markową wodą kolońską. Pracownik skomentował pozytywną zmianę w moim wyglądzie, a ja wrzuciłem dwa dolary do porcelanowej miseczki.

Ruszyłem mniejszymi, wyłożonymi chodnikiem schodami po drugiej stronie lobby. Na oświetlonym podium kierownik sali, noszący na identyfikatorze imię Vincent, bronił dostępu do stolików ze świecami i białymi obrusami. Vincent musnął palcem wargę, by zademonstrować zamyślenie, i skierował mnie do stolika w pobliżu baru. Przyniósł menu na pergaminie i oprawną w skórę kartę win. Mój kelner nosił imię Julian. Dziewczyna, wyglądająca na norweską licealistkę, nalała mi do szklanki wody z lodem, a naburmuszona Malezyjka zjawiała się z biskoptami i paluszkami chlebowymi. Otworzyłem menu i usłyszałem, że ktoś wymawia moje imię.

Do mojego stolika zbliżała się Ashleigh Ashton. Siedząca przy oknie Laurie Hatch uniosła brwi i rzuciła mi spojrzenie, od którego ugięły mi się kolana.

31.

Zamówiłem sałatę, stek i kieliszek caberneta. Co do caberneta Julian, mały łobuziak, miał małe co nieco i bardzo mu zależało, żebym go spróbował. Jeśli Laurie Hatch dostrzegła coś podejrzanego w historii o

tym, jak to Ashleigh podwiozła mnie do Edgerton, zachowała wątpliwości dla siebie. Ashleigh zaprosiła Laurie na kolację ze względu na jej związek ze sprawą sądową, choć związek ten pozostał niewyjaśniony. Julian przyniósł to swoje małe co nieco i czekał na werdykt. Wyraziłem swój podziw dla małego co nieco. Julian spytał, czy panie zechcą teraz zamówić kawę, czy też wolałyby co innego. Teraz, powiedziała Ashleigh, muszę iść na górę, żeby zadzwonić w parę miejsc. Laurie poprosiła kieliszek małego co nieco.

- Jak się czuje twoja matka?

- O, Boże - odezwała się Ashleigh. - Daję słowo, myślałam o twojej matce, odkąd wysiadłeś z samochodu. Więc co to było?

- Wylew - powiedziała Laurie. - Co mówi lekarz?

- Lekarz mówi, że umarła dziś rano. Mam nadzieję, że się nie myli, bo właśnie kupiłem trumnę i działkę na cmentarzu. - Otworzyły szeroko oczy. - Przepraszam, nie powinienem tego mówić. To był dziwny dzień.

- Przynajmniej zdążyłeś z nią pobyc - rzekła Ashleigh. - Mogła mówić?

- Parę zdań. - Przez jakiś czas sam nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Naburmuszona Malezyjka zabrała ich talerze, a Norweżka napłynęła nam szklanki. Julian przytruchtał z kawą i winem.

- Zostaniesz tu jeszcze po pogrzebie? - spytała Laurie.

- Być może. Chciałbym lepiej poznać miasto.

- Pozwól, że będę twoim przewodnikiem. W końcu jestem ci coś winna.

- Bardzo dobry pomysł - orzekłem i z wysiłkiem oderwałem od niej wzrok. - Ashleigh, co słyhać z twoim projektem?

Kompletnie zapomniałem, po co przyjechała do Edgerton.

- Jeśli nic nie zdziałam przez parę dni, rzucę ręcznik. Facet żyje jak w schronie.

- Stewart - dodała Laurie, wyjaśniając wszystko. - Szkoda, że nie mogłam bardziej pomóc.

Ashleigh uśmiechnęła się do mnie ponuro.

- Przez całą kolację opowiadałyśmy sobie o strasznych mężach.

Miała przepyttać opuszczoną żonę swojego przeciwnika, a opuszczona żona aż się paliła, żeby mówić. Następna wymiana zdań przyniosła więcej informacji.

- Laurie, nie będziesz miała przeze mnie kłopotów, prawda?

Laurie wzruszyła ramionami.

- Nie obchodzi mnie, czy Stewart się dowie o naszej rozmowie. Grennie nie może mi zaszkodzić.

- Grenville Milton?

- Ten sam stary potwór. I jego żona, dawna przyjaciółka twojej matki. Plus jeszcze dwoje innych, którzy uważają mnie za straszną kobietę. Wyszli jakieś pięć minut przed tobą.

- Czy ten potwór to wielki, łysy wredny staruch w muszce i zielonej lnianej marynarce? Myśli, że jest królem świata?

- O, poznałeś naszego Grenniego. Mam nadzieję, że się do ciebie nie odezwał?

- Powiedział, że według niego strugam ważniaka i będę dawać kelnerom studolarowe napiwki. Potem poradził mi, żebym wstąpił do toalety i ogarnął się.

Laurie jęknęła.

- I sprawiło mu to przyjemność. Ciągłe mu się pogarsza.

- Pogorszyło się jeszcze bardziej, kiedy powiedziałem, że jest zarozumiałym prowincjonalnym palantem. - Laurie parsknęła śmiechem, Ashleigh otworzyła usta w niedowierzającym półuśmiechu. Julian, którego nadejścia nie zauważyłem, postawił przede mną sałatę w bardzo oziębły sposób. Wycofał się.

- Idę za ciosem - mruknąłem.

- Julian ma mocne zasady moralne - wyjaśniła Laurie. - Wszyscy tutaj mają mocne zasady, z wyjątkiem mnie. Gdybym usłyszała, jak nazywasz Grenniego palantem, natychmiast bym się rozpogodziła. Rozumiem, że jest gotów zostawić żonę. Rachel zostawia mi smutne

wiadomości na sekretarce.

Rzuciła mi przepaszające spojrzenie.

- Kiedy wyszłam za Stewarta, Rachel wzięła mnie pod swoje skrzydła i pomogła w tym, co ma dla niej znaczenie, na przykład znalazła mi dobrego fryzjera i firmę cateringową. Widziała we mnie samą siebie.

- Siebie? Rozumiem, młoda kobieta, obca w mieście...

Oszałamiająca twarz Laurie Hatch przybrała cudownie ironiczny wyraz.

- Za bardzo się zajęła identyfikowaniem ze mną, żeby dostrzec, że nie poślubiłam Stewarta z powodów ambicjonalnych.

- Ned, zapłacę za twój obiad, dobrze? - odezwała się Ashleigh. - Stawia stan Kentucky. Laurie, dziękuję za miły wieczór. Wkrótce się odezwę.

Podpisała czek. Julian spytał, czy zechciałbym drugi kieliszek wina. Laurie Hatch także je zamówiła. Ashleigh odsunęła krzesło od stołu.

- Odprowadzę cię do windy - powiedziałem.

Goście patrzyli za nami, kiedy mijaliśmy stoliki.

- Szkoda, że Laurie nie zaproponowała innej restauracji.

- Nie dostałaś tego, czego chciałaś?

Uśmiechnęła się.

- Zadzwońłam do Laurie, żeby sprawdzić, czy mogłaby potwierdzić kilka szczegółów. Myślałam, że da się to załatwić przez telefon, ale powiedziała, że ma wolny wieczór. Właściwie przez cały czas narzekałyśmy na naszych mężów.

- To i tak lepsze niż samotność.

Krótko skinęła głową i nacisnęła guzik windy.

- To musi być miłe, kiedy taka kobieta na ciebie czeka.

- Nie sądzę, żeby Laurie miała wobec mnie jakieś plany.

- Nie bądź taki pewny.

- Ashleigh, kiedy ta kolacja się skończy, pójdę na spacer. To wszystko.

- Mógłbyś tu wrócić. Mieszkam w pokoju 554.

Objąłem ją.

- Muszę pobyć sam.

Lekko uderzyła czołem w moją pierś i cofnęła się.

- Przykro mi z powodu twojej matki.

Winda ukazała wnętrze z mahoniem i przyciemnianych lusterek. Przez szparę zamykających się drzwi zobaczyłem, jak przygarbiona Ashleigh opiera się o ścianę.

32.

Vinnie skinął dłonią w głąb sali. Nie zdołałem go nabrać, ale musiał przyznać, że dobrze się ruszam.

Laurie Hatch patrzyła na mnie ze spokojnym, pewnym siebie rozbrawieniem, które promieniowało z niej wraz z wrodzoną czujnością. Julian zdjął przykrywkę z mego talerza i zrobił w tył zwrot.

- Pamiętasz jeszcze tego dawnego Juliana? Tego chochlika?

Spojrzenie Laurie poinformowało mnie, że czegoś nie zrozumiałem.

- Julian musi obsługiwać Grenniego i Rachel co najmniej raz w tygodniu. Znosi więcej docinków na temat jego męskości, niż ty byś usłyszał przez tysiąc lat.

Jakby umyło mi okna, jakbym włożył nowe okulary.

- A. Mhm - powiedziałem i zabrałem się do jedzenia steku.

Jej uśmiech się zmienił.

- Chciałabym pomóc Ashleigh. Jest taka inteligentna i oddana swojej pracy. Dobrze się razem dogadujecie. - *Jak na autostopowicza i kobietę, która go podwiozła.*

- Ashleigh jest kontaktowa. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o mojej matce.

- Wiem, jak to jest, kiedy się ją traci. Jak się czuje twój ojciec?

- Nie mam pojęcia. - Uśmiechnąłem się na widok jej smutku. - Wcale go nie znam.

- Wiesz, gdzie jest?

- Do wczoraj nawet nie znałem jego nazwiska. Matka mi je zdradziła. Pomyślałem, że może coś znajdę na jego temat. Rodzina nie bardzo się z tego ucieszyła.

- Nie rozumieją? Czy boją się tego, czego mógłbyś się dowiedzieć? Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

- Zachowują się, jakbym wyprawiał nie wiadomo co. Nie chcą mówić o sprawach, które na pewno pamiętają.

- Czego mogliby się bać?

- Bóg jeden wie. Moja rodzina jest... powiedzmy, ekscentryczna.

Przed oczami stanęło mi sekundowe wspomnienie cioci Joy, pochylonej do przodu, z kościstym palcem wycelowanym w stronę wózka inwalidzkiego po drugiej stronie pokoju, by go przesunąć metr do przodu, metr do tyłu. Zmrużyła oczy. Wózek poszybował półtora metra nad podłogę i zakotłosał się; Clarence pokazał język, rozbawiony jak dziecko.

Tyle tylko mogę, tyle siły mi zostało. Przynajmniej potrafię go wsadzić i wyjąć z wanny, bo jak taka starowinka jak ja mogłaby dźwignąć dorosłego mężczyznę? To się nie miało tak skończyć, Neddie. Byliśmy w tym mieście jak rodzina królewska.

- Spodobała mi się ciocia Nettie - odezwała się Laurie, wrywając mnie z dna rzeki i przenosząc do „Le Madrigal”.

- Możesz ją sobie wziąć. Ciocię May też. Kiedy ciocia May znajdzie się w twojej rodzinie, już nigdy nie będziesz musiała za nic płacić. May po prostu zabiera to, co jest potrzebne. Jak cyrkowy magik.

- Jak to? Jest kleptomanką?

- To coś więcej. To jak zen, jak mistyczna kleptomania.

Laurie zadumała się nad istnieniem mistycznej kleptomanii.

- Ale i tak chcesz to zrobić, prawda? Nie boisz się. Po plecach przesunął mi się dreszcz strachu.

- Chcę się dowiedzieć, ile zdołam.

Usłyszałem głos Joy: „Sylvan wyprowadził się z rodziną z miasta i Ethel urodziła gromadkę dzieci, ale niektóre z nich, jak mówił tatuś, wcale nie wyglądały na ludzi. Po francusku to się nazywa *épouvante*. We francuskim zawsze byłam lepsza od sióstr”.

- Jak się nazywa twój ojciec?

Wypowiedzenie jego nazwiska w miejscu publicznym wydawało mi się pogwałceniem mojej prywatności albo jakiegoś starożytnego zakazu.

- Edward Rinehart.

Wraz z tym nazwiskiem pojawiło się imię, jakie wypowiedziała moja matka. Robert. Jaki Robert?

- Jakie wspaniałe nazwisko. Jęzory mgły. Dwór na skalistym wyściepie nad morzem. Niesamowicie przystojny mężczyzna w trenczu i stroju wieczorowym. Nigdy nie wspomina o swojej przeszłości. Panie i panowie, przed wami... pan Edward Rinehart.

- Nie sądzę, żeby był podobny do Maximilliana de Winter.

- Słucham?

- Męża z „Rebeki”. Wielki dom, skaliste wybrzeże, niedobre tajemnice.

- Och, przepraszam! „Rebeka” to mój ulubiony film. Oczywiście. Laurence Olivier.

Miałem na myśli powieść Daphne du Maurier, nie film Hitchcocka, ale to bez znaczenia.

Położyła dłoń na mojej ręce.

- I tak miałam zamiar zaprezentować ci uroki Edgerton, więc może ci pomogę? Razem osiągniemy więcej. - Jej spojrzenie prosto w oczy mogło być niemal prośbą. - Ty też mi pomogłeś. Muszę się skupić na czymś więcej niż moja głupia sytuacja. - Zamilkła, uciekła wzrokiem, znowu na mnie zerknęła. - Słuchaj, jeśli ci się narzucam, jestem wścibska czy coś w tym stylu... albo zachowuję się jak wariatka...

A Sylvan powiedział mojemu tatusiowi: „Howardzie, nie ufaj nikomu z wyjątkiem tych z naszej krwi, a i im za bardzo nie ufaj, bo będziesz

miał szczęście, jeśli nie zjawię się pewnego dnia i nie rozplatom ci głowę siekierą". Zawsze uważałam, że mój tatuś mógł zastrzelić Sylvana z tego rewolweru, co to go Sylvan podobno czyścił w chwili śmierci.

Zapewniłem, że w porównaniu z niektórymi moimi krewnymi nie kwalifikuje się nawet jako ekscentryczka.

- Chcę tylko powiedzieć, że pomagając ci, mogłabym...

Mogłaby zrobić coś innego, niż rozmyślać o Stewarcie Hatchu.

- Dobrze. Pomóżmy sobie nawzajem.

- Jutro mam cały dzień wolny. Stewart zabiera Cobbiego w soboty. A to znaczy, że jakiś służący chodzi z nim na huśtawki w Merchants Park, dopóki Stewart nie wyjdzie z biura, żeby nafaszerować naszego syna hamburgerami i cukierkami. O ósmej przywozi go do mnie.

Spróbowaliśmy ustalić miejsce spotkania. Park po drugiej stronie ulicy okazał się miejscem, do którego służący chodzi z Cobbiem na huśtawki. Laurie zaproponowała główne wejście biblioteki, cztery przecznice od hotelu i dwie na południe, na rogu Grace i Grenville.

- Grenville?

- W Edgerton połowa ulic jest nazwana na cześć przodków ludzi, którzy tu nadal żyją. Na przykład Cobden Avenue. Ojciec Stewarta nazywał się Cobden Hatch i Cobbie ma imię po nim, oczywiście. Kiedy się spotkamy? Wpół do dziesiątej? Mój przyjaciel, Hugh Coventry, który pracuje w bibliotece, w weekendy jest wolontariuszem w ratuszu. Wszystko jest zamknięte, ale on ma dostęp do gabinetów. Przyjdzie koło dziesiątej.

Spytałem, po co chce iść do ratusza.

- Edward Rinehart powinien figurować w jakichś dokumentach. A ty mógłbyś spojrzeć na kopie swojej metryki i aktu ślubu matki. Nie ma to jak suche fakty.

- Nie ma to jak olśniewająca towarzyszka - odparłem.

Kiedy ruszyliśmy w stronę podium, spojrzeli za nami chyba wszyscy w sali. W uśmiechu Vincenta wyczuwało się lubieźność.

Na dole w lobby wszedłem do budki telefonicznej i zadzwoniłem w dwa miejsca. Laurie Hatch za palmą w donicy robiła, co mogła, żeby nie rzucać się w oczy; wyszedłem szybkim krokiem i razem wstąpiliśmy w obrotowe drzwi. Portier wręczył żółty bilet Laurie gorliwemu chłopakowi w czarnej kamizelce i chłopak popędził do garażu.

- Przygoda wzywa. - Laurie uniosła brew w komicznym konspiracyjnym grymasie.

Chłopak w czarnej kamizelce wyskoczył z granatowego mercury'-ego mountaineera i przytrzymał drzwi. Laurie mrugnęła do mnie i odjechała, a ja poszedłem przez Commercial Avenue ku Lanyard Street i lombardowi Toby'ego Krafta. Toby twierdził, że dawno temu ulica była nazywana Zaułkiem Kurew, ale obecnie wszystkie najlepsze dziwki wyszły bogato za mąż i mieszkają w Ellendale.

33.

Ruszyłem przez Ferryman's Road u wierzchołka trójkątnego parku. Czteropiętrowe ceglane budynki z trawnikami jak z obrazka ciągnęły się szeregiem wzdłuż obu ulic biegnących od rogu parku. Przed schodami pierwszego budynku tęgi mężczyzna w brązowym uniformie przeglądał pęk kluczy. Zastanawiając się, jaka firma potrzebuje usług ochroniarza w piątek wieczorem w Edgerton, rozejrzałem się w poszukiwaniu tabliczki, której nie znalazłem. Potem dostrzegłem napis wryty na kamiennej tablicy nad drzwiami: COBDEN BUILDING. Roześmiałem się głośno - oto miejsce, w którym Stewart Hatch obraca pieniędzmi swego ojca.

Oczy ochroniarza, osadzone głęboko w zniszczonej twarzy koloru i tekstury owsianki z syropem klonowym, skupiły się na mnie. Wydał mi się za stary do takiej pracy.

- Dużo kluczy - zagadnąłem.

- Dużo drzwi. - Nadal się we mnie wpatrywał, bez podejrzliwości, która na Manhattanie byłaby nieunikniona, lecz z dziwnym, pełnym oczekiwania szacunkiem.

- Tyle razy sobie mówiłem, żeby zaznaczyć taśmą ten pierwszy, zawsze zapominam. A, jest, mały drań. - Podniósł klucz, a jego brzuch napiął materiał koszuli.

- Pracuje pan dla pana Hatcha?

- Od piętnastu lat. - Jego uśmiech stał się szerszy, ale nie cieplejszy.

- Pan przyjezdny?

Powiedziałem, że jestem tu od paru dni.

- Powinien pan się przejść przez Hatchtown, zobaczyć prawdziwe Edgerton.

Ferryman's Road przypominała mi pewne miejsca, które odwiedziłem na Południu, dzielnice Charlestonu i Savannah. Poczucie, że mam cel w życiu - co mogło się łączyć z dochodzeniem w sprawie Edwarda Rineharta - dodało mi otuchy. Z czasem straszliwa opowieść Joy się zatrze.

Mój tatuś miał w sobie tyle Inności, że nie obchodziło go, jak się zachowuje. Powinien się nazywać Okrutnik. To tylko klątwa, nic innego. Nettie ma własne zdanie i według niej Dunstanowie nie mogą być źli. Ale ona nie wie. To, co było w naszym tatusiu, przeważnie spadało na mnie i wszystko psuło.

W pobliżu szerokiego boku parku skręciłem w Chester Street i zagłębiłem się w osiedle domów czynszowych i apartamentów. Z otwartych okien dobiegała głośna muzyka. Matki i babki wyległy na ganki. Przed knajpą na rogu mężczyźni i kobiety w jaskrawych strojach tańczyli przy dźwiękach muzyki Raya Charlesa płynącej z szaf grających. Ray opłakiwał Georgię, a miejscowi świętowali nadejście weekendu. Skręciłem w zaułek, gdzie dwaj goście wynosili skrzynki z ciężarówki.

Na Lanyard Street stare domy ustąpiły miejsca zakładowi szewskiemu, sklepowi z akcesoriami żelaznymi, małemu spożywczemu. Nad pustym chodnikiem wisiały trzy mosiężne kule, symbol lombardu.

Zajrzałem przez metalową kratę w oknie, na którym złotymi literami napisano KRAFT - POŻYCZKI POD ZASTAW. Na tyłach sklepu paliły się dwie żarówki. Nacisnąłem guzik dzwonka i usłyszałem coś w rodzaju wiertarki elektrycznej. Tylne drzwi otworzyły się, buchnęło

światło i pojawił się Toby Kraft.

Otworzył kratę, która odchyliła się na zewnątrz.

- Właż! Paskudna sprawa, człowiek zaczyna myśleć, że nie ma już sprawiedliwości na tym świecie, jeśli w ogóle kiedyś była. - Zamknął drzwi i założył zasuwę. Zacisnął palce na mojej ręce. - Mały, twoja matka była najlepsza.

Chwycił mnie w objęcia.

- Dziś rano, tak? Byłeś przy tym?

- Jeszcze siedzieliśmy u cioci Nettie.

Przygładził włosy i wytarł ręce o spodnie.

- Jak się czujesz?

- Nie mam pojęcia.

- Może po jednym?

- Nie, właśnie... Tak, czemu nie.

- Jeszcze pracuję, ale to nie potrwa długo. - Spojrzałem na ladę. - Twoja mama sprawiała, że robiło się tu jasno. Kto się tym zajął, Spaulding?

Dopiero po chwili zrozumiałem, o co mu chodzi.

- Nettie uważa, że wydałem za dużo pieniędzy.

Toby zaprosił mnie gestem do małego, rozgrzanego pomieszczenia z jarzeniowym oświetleniem. Na metalowym biurku piętrzyły się dokumenty, a niska biblioteczka pełna ksiąg z zielonymi grzbietami oraz metalowy sejf stały pod ścianką oddzielającą biuro od ciemniejszego pomieszczenia z metalowymi półkami magazynowymi. Ściany wytapetowano starymi kalendarzami z nagimi babkami o bujnych kształtach. Goście, których spotkałem w zaułku, wnosili skrzynie do pomieszczenia za przepierzeniem.

- Kraft? - spytał jeden z nich.

- To tylko mój wnuk. - Toby odwrócił się do mnie. - Nie dawaj się im sztorcować. Mają za co żyć, spokojna głowa. Kiedy pogrzeb?

- W środę rano. - Usiadłem na składanym krześle.

Westchnął.

- Sekundę. - Podeszedł do przepierzenia i powiedział coś do tamtych.

Usłyszałem warkot odjeżdżającej furgonetki.

- To dobrze, że Nettie i May mają za co żyć.

Potał dwa palce i mrugnął do mnie.

- Obiecałem ci drinka. - Z szuflady biurka wyjął czarnego johnniego walkera i dwie usmarowane szklanki. - Wybacz, nie ma lodu, ale jakoś nie udało się tu wstawić lodówki. - Z kieszeni koszuli wydobył paczkę cameli bez filtra i złotą zapalniczkę. Nalał do szklanek whisky na pół palca. - Żałuję, że to z takiej okazji. Za Star.

Stuknęliśmy się szklankami.

- Radzisz sobie?

- Nieźle. Dziś odwiedziłem Joy.

- Dawno się nie widzieliśmy. - Wypiliśmy. Podsunął mi butelkę. Pokręciłem głową. - Dobrze sobie radzą z Clarence'em czy nie powinienem pytać?

- Clarence ma alzheimera. Siedzi przypięty do wózka i jada papki dla dzieci.

- To już nie jest takim gawędziarzem jak kiedyś?

- Za to Joy była dość rozmowna.

Przechylił się i uśmiechnął.

- Mądry z ciebie chłopak. Nie muszę ci chyba mówić, jak jest naprawdę. Joy jest bardzo nieszczęśliwa.

Upiłem łyk, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Nie sądzę, żeby u Dunstanów rodziło się wiele dzieci ze skrzydłami i szponami, ale chyba parę braci i siostr Howarda było nietypowych, bo Clark też o tym wspomniał.

Toby odchylił głowę na oparcie krzesła i zapatrzył się w świetlówkę. Struga dymu popłynęła ku sufitowi.

- Przede wszystkim... - Chwycił butelkę i pochylił się ku mnie. - No napij się, cholera. Wszystko zwalasz na mnie. - Podsunąłem szklankę, zaskoczony, że jest prawie pusta. Dolał trochę sobie, postawił butelkę i przez chwilę mi się przyglądał. Czułem, że coś szykuje.

- Przede wszystkim pomyśl o mężu Nettie. Mówię tak, bo byciem mężem Nettie to zajęcie na pełny etat. Clark Rutledge jest wiceprezesem

rodzinnej spółki Dunstanów i jedno trzeba mu przyznać, uwielbia to.
Co jest najlepsze w pracy?

- Pensja?

- Nie. Praca daje ci miejsce na świecie. Clark jest Kimś, ponieważ jest Dunstanem i będzie doił tę krowę, aż padnie. Poza tym Clark nie nadaje na normalnych falach. Raz mówi ci, że żydzi, czyli między innymi ja, sami sprowokowali Hitlera, gromadząc całe złoto w Niemczech. Zaraz potem żydzi są świetni, bo to ludzie Księgi.

Uśmiechnąłem się.

- No dobra, to Clark. No a Joy, Joy zawsze czuła się opuszczona. Zauważyłeś, że przez cały czas mówi o ojcu?

Kiwnąłem głową.

- Howard był dziwny, ale zawsze potrafił się dogadać z Queenie. Joy miała im to za złe. Była takim dzieckiem, wiesz, co zawsze się naprzykrza. Daj mi to, daj mi tamto, nigdy jej nie było dość. Takie kobiety zawsze chcą więcej, niż dostają, bo to, co mają, nigdy im się nie podoba. Nie może się podobać, bo należy do nich.

Ten opis wydał mi się zaskakująco trafny.

- Queenie umiała się obchodzić ze starym, za to Joy potrafiła tylko cierpieć. Wszystko, co mówi, trzeba podzielić przez dwa.

- Joy waży jakieś czterdzieści pięć kilo. Clarence osiemdziesiąt. Joy codziennie go kąpie.

- Nieźle.

- Joy twierdzi, że odziedziczyła po ojcu siły nadprzyrodzone i że to, co jej zostało, wystarcza, żeby podnieść Clarence'a z wózka, posadzić go w wannie, umyć, wytrzeć i znowu przenieść na wózek.

- To jej trzeba przyznać, coraz lepiej bajeruje.

- Przesunęła wózek, wskazując go palcem. Potem podniosła palec, a wózek uniósł się w powietrze i obrócił parę razy. Clarence był tak szczęśliwy, że zaczął się ślinić.

Powieki Toby'ego za grubymi szklami mrugnęły dwa razy, jak żaluzje. Sięgnąłem po butelkę.

- Głupia dziwka. - Wstał ociężale i zajął za przepierzenie. Usłyszałem, że sprawdza zamki w drzwiach wychodzących na zaułek. Camele wypadły mu z kieszeni. Wyjął papierosa i przyjrzał mu się krytycznie. Wreszcie zapalił go, wyciągnął się na krześle i znowu na mnie spojrzął.

34.

- O tym chciałeś pogadać?

- Między innymi.

Przesunął po twarzy pulchną dłoń.

- Wcale tak dużo nie wiem.

- Wiesz więcej ode mnie. A reszta w ogóle nie chce ze mną gadać.

- Star nie chciała, żebyś się dowiedział o tych numerach.

- Jakich numerach?

- O tym, co przechodzi z pokolenia na pokolenie, poczynając od Omara i Sylvana. Słyszałeś o nich?

- O, tak. Zwłaszcza od Joy.

Słaby głos Joy powiedział: „Moi dziadkowie byli potomkami pogańskich bogów i mogli rządzić ziemskim Dominium, lecz nie obchodziło ich nic prócz pieniędzy i rozkoszy. Aby zbudować dom przy New Providence Road, Sylvan kazał rozebrać dom swoich przodków w Anglii i przewiózł go, kamień po kamieniu, cegłę po cegle, przez morze, by złożyć go dokładnie tak, jak dawniej. Równie dobrze mógłby spuścić te pieniądze w klozecie. Mój tatuś był taki sam. *C'est dommage*”.

- Powinna mieć tyle rozumu, żeby trzymać buzię na kłódkę.

- Dlatego że moja matka nie chciała mnie dopuścić do rodzinnej tajemnicy?

Toby pociągnął kolejny łyk whisky i przycisnął szklanekę do srebrnego futra, jakie wychylało się z rozpięcia jego koszuli.

- Matka chciała cię bronić. Uważam, że się jej udało.

Patrzyłem na niego bez słowa.

Toby unióś lewą rękę i poruszył dłonią tak, że dym owinął się mu wokół palców. Ten gest mówił: nic wielkiego.

- Byłeś normalny. Lepiej, żebyś nie wiedział o pewnych rzeczach.

- Byłem normalny.

- Podejrzewam, że kiedy Joy była niemowlęciem, jak się jej nie nakarmiło w porę, robiła się jatka, pękały szyby... Ty miewałeś tylko te ataki. Co nie jest takie strasznie nietypowe. Hej, nadal je masz?

Przed oczami zaczęły mi stawać wspomnienia.

- Miałem nadzieję, że z tego wyrośniesz.

- Toby, powiedziałeś: „Miewałeś tylko te ataki”.

- No bo tak. Zaczęły się od twoich trzecich urodzin.

- Ale wszyscy uważali, że powinno mnie spotkać coś jeszcze. Czekaliście, aż w pokoju zaczną fruwać przedmioty?

Twarz mu pociemniała.

- Mówimy o cechach przekazywanych wśród Dunstanów z pokolenia na pokolenie. W moim przypadku wszystko wyglądało zwyczajnie - dodałem.

- Nie powinieneś iść na te studia. Za dużo rozumiesz.

- Ile Howard przekazał Queenie?

- Moja żona miała w sobie sporo krwi Dunstanów, tyle ci powiem. - Pociągnął whisky i uśmiechnął się pod nosem. - Czasami unosiła się parę metrów nad łóżkiem i tak wisała. Twardo śpiąc. Przykryta kołdrą. W życiu czegoś takiego nie widziałeś. I dużo wiedziała. - Roześmiał się na samo wspomnienie. - W pierwszym roku naszego małżeństwa do lombardu weszły dwie różne pary idiotów spragnionych łatwych pieniędzy. Myśleli, że jak się pokaże starowince pistolet, to się ją wystraszy. To się nazywa zasadniczy błąd w ocenie sytuacji.

Zachichotał.

- Ledwie się zjawili, Queenie wyjęła broń spod lady.

Wystraszyła skórkowańców na śmierć. „Proszę pani, powiedzieli, pani się pomyliła, niech pani to odłoży, zanim komuś stanie się krzywda”.

A Queenie na to: „Jak stąd nie znikniecie, zanim doliczę do trzech, to ja myślę, że się stanie krzywda, ale nie dożyjecie, żeby się o tym przekonać”. I więcej nie mieliśmy problemów.

- Niezła była.

- Queenie miała talent. Przecież nie została królową sroczek tylko dlatego, że była szybka w rękach.

- Ach.

Pokazał przebarwione zęby.

- Powiedzmy, że jesteś w kuchni, gadasz o głupotach, a Queenie siedzi przy stole. Idziesz do lodówki, wyjmujesz lód. Jak się oglądasz, to już nie ma Queenie.

Wychodzisz z kuchni, drzesz się; „Queenie! Queenie!”

Drzwi sypialni się otwierają, a ona wychodzi z miotełką z piór w ręku. „No czego? - pyta. - Nad kuchennym oknem zobaczyłam pajęczynę, a jeśli chcesz wiedzieć, miotełkę trzymamy w szafie w sypialni”. Jeśli ma się ochotę na nowy telewizor i wie się, że można go mieć za darmo, to jest ci cholernie przyjemnie.

- Dziewczęta odziedziczyły zdolności po ojcu.

Toby napelnił szklanki.

- Przede wszystkim Queenie, potem Joy i Nettie. Ale May też coś dostała. - Jego spojrzenie uciekło do kolażu z nagich kobiet. - Kiedy miała jakieś trzynaście lat, jechała przez Wagon Road - teraz się nazywa Cordwainer Avenue - samochodem Howarda. Queenie powiedziała, że dwie dziewczynki w innym samochodzie wytykały May palcami. No wiesz, śmiały się z niej. Zawsze miałem wrażenie, że chodziło o coś więcej, bo wszyscy z rodziny Howarda zwracali na siebie uwagę. Raz spytałem May wprost, ale zrobiła unik, jak to ona. W każdym razie pokazała dużą klasę. Rozbiła szyby we wszystkich samochodach na drodze, przebiła opony. Zerwała linię telefoniczną. Wszystko powariowało.

Papierowy głos Joy zaszeleścił mi w głowie:

„A moja siostra May narobiła zamieszania na Wagon Road, choć mój tatuś twierdził, że wcale nie jest Dunstanówną, co było wstrętą,

kłamliwą obelgą. Bo kiedy byliśmy młode, przychodził do nas kawaler, któremu May się podobała. Niestety, ten kawaler nie lubił jej tak, jak wypada i usiłował ją pojąć siłą. Chodziło mu o gwałt. May zajęła się tym jegomościem mocą tego, co po francusku nazywa się *force majeure*. Wróciła do domu bardzo pobudzona i powiedziała: «Joy, mój kawaler chciał mnie zniewolić. Tak się przeraziłam, że znalazłam w sobie dość mocy, by powstać i zniszczyć mego kawalera. A kiedy go zniszczyłam, została z niego tylko cuchnąca zielona kałuża, której nie śmiem zatrzymać w pamięci». Nie wiem, czy można być bardziej Dunstanem”.

- Była jakaś sprawa z tym chłopcem, który chciał ją zgwałcić - powiedziałem.

- Dobra stara Joy. Jak już zacznie, to leci po całości.

Spytałem, czy wie coś o ojcu Star.

- Queenie twierdziła, że był perkusistą jazzowym, ale nie zdradziła mi jego nazwiska. To po nim miała zdolności. Tak twierdziła. Wydawało mi się, że sam mógł być podobny do Dunstanów. Prawdę mówiąc, zawsze mi się wydawało, że Ethel Bridges, ta panna z Nowego Orleanu, która poślubiła Sylvana po śmierci Omara, również była taka. - Wyszczrzył zęby. - Sam też nieźle grałeś na gitarze, co?

Star mu się pochwaliła.

- Próbowałem.

- Parę razy przychodzili tu klienci z tymi wielkimi plakatami, na przykład z Dukiem Ellingtonem lub Benny Goodmanem, gdzie muzycy się podpisali. Przyglądałem się perkusistom z tych zdjęć i myślałem: Jeśli to ty, to masz córkę, o której nic nie wiesz, ale powinienes być z niej dumny.

- To urocze - powiedziałem, poruszony jego czułością. - Ludzie mają mylne wyobrażenie o lichwiarzach.

- Wiesz, kim jesteśmy? Obrońcami ludzi, którzy potrzebują obrony. Albo byliśmy, zanim banki zaczęły rozdawać na prawo i lewo karty kredytowe.

Doznałem olśnienia, które powinno się zjawić o wiele wcześniej.

- O, kurczę. - Skóra mnie zamrowiła. - Właśnie zrozumiałem. Matka oddała mnie do rodziny zastępczej, żeby mnie bronić przed rodziną.

- No, zgadza się - rzekł Toby takim tonem, jakbym oznajmił, że spanie na pieniądzach i mieszkanie w pałacu jest lepsze niż życie na kredyt w wynajętej norze.

- Kiedy wróciłem do domu, musiała kazać wszystkim, żeby trzymali język za zębami. Nie chciała, żebym się dowiedział o Dunstanach.

- Chciała, byś żył normalnie.

- Ale ciotki nie były zadowolone. Nie rozumiały, o co jej chodzi.

Toby oparł się o zagracone biurko. Jego wylupiaсте oczy były zupełnie przejrzyste.

- Kiedy byłeś mały, moja żona i jej siostry miały nadzieję, że ujawni się w tobie krew Dunstanów. Kiedy podrosłeś i Star się zbuntowała, zabrała cię od nich.

- To dlatego nie wróciłem do Edgerton, odkąd skończyłem dwanaście lat. Nie ufała Nettie i May.

Toby rozlał resztki johnniego walkera, głównie sobie.

- Kończymy w samą porę. Weź parę aspiryn przed snem. - Uśmiechnął się. - Chcesz pogadać o czymś jeszcze?

- Tylko o jednym.

- Strzelaj.

- Zanim pojechaliśmy do szpitala, Star zdołała wypowiedzieć parę słów. Dotyczyły mojego ojca.

Głowa Toby'ego powoli się uniosła.

- Powiedziała, że nazywał się Edward Rinehart.

Za grubymi szklami żaluzje zamknęły się i otworzyły.

- Ciotki chcą, żebym o wszystkim zapomniał. Coś wiedzą, ale nie chcą mówić.

- Skąd ta pewność?

- Star mieszkała z tym facetem, zanim za niego wyszła. Nettie zna jego nazwisko.

- Można tak założyć.

- Ty też je znasz.

Uśmiechnął się.

- Dzień w dzień użeram się z setkami ludzi. Nie mam pamięci do nazwisk.

- Nie kupuję tego.

Wstał, obszedł biurko i stanął przed zdjęciem czarnowłosej kobiety, trzymającej w obu rękach piersi przypominające sflaczałe piłki plażowe.

- Nie całe życie stałem za ladą. W 1946, kiedy wyszedłem z wojska, miałem białego cadillaca ze składanym dachem i siedem tysięcy dolarów w banku. Różni ważni ludzie zapraszali mnie do siebie, traktowali jak kogoś z rodziny. Raz, kiedy nie miałem wyboru, zabiłem człowieka i odsiedziałem pół roku w Greenhaven za nie swoje winy. Toby Kraft to nie Clark Rutledge.

- I gdzieś po drodze poznałeś Edwarda Rineharta.

Zerknął na mnie zza grubych szkieł.

- Star ci podała to nazwisko?

- Absolutnie. - Spróbowałem jeszcze raz. - Aszlutnie.

Odkryłem, że w szklance została mi tylko kropla whisky.

- Może i coś pamiętam. - Przez chwilę siedzieliśmy, znacząco milcząc. - Po pogrzebie może przepracujesz tu parę tygodni. Sto dolicz dziennie, gotówką.

- Co to jest, handel wymienny?

- Propozycja.

- Handel wymienny, ale się zgadzam.

Toby udał, że wysiła pamięć.

- Nigdy nie zostałem przedstawiony temu Rinehartowi, ale jakoś go się tu nie widywało. Ledwie sobie przypominam, że przeniósł się gdzie indziej. Jest jeden facet, który ci może pomóc. - Pomaszerował do biurka, usiadł i przetrząsnął bałagan na blacie w poszukiwaniu długopisu i notatnika. Wycelował we mnie palec wskazujący. - To nie ja ci powiedziałem.

- Jasne.

Nagryzmołił coś, wydarł kartkę, złożył ją na pół i podał mi.

- Schowaj do kieszeni. Jutro przeczytaj i zdecyduj, co zrobisz. Jak

uznasz, że lepiej to zostawić, też dobrze.

Lombard zakołysał się jak statek.

- *Hasta la vista* - powiedział Toby, wstając.

35.

Wszystko było dobrze, dopóki nie usłyszałem ryku szafy grającej. Im dłużej szedłem, tym lepiej się czułem. Później skręciłem, wcale nie aż tak chwiejnie, w stronę Whitney Houston wyjącej o wiecznej miłości i alkohol z nocnym powietrzem do spółki zaatakowały mój układ nerwowy. Gdy sunąłem przez chodnik, latarnia pochyliła się ku mnie, więc złapałem ją oburącz, zanim zdążyła się wyprostować.

Przytrzymałem się, dopóki chodnik nie przestał się kołysać, a potem przepchnąłem się przez tłum przed barem dzięki pomocy jakiegoś dżentelmena, który chwycił mnie pod rękę i skierował na południe. Kobiety, młode i stare, przyglądały mi się poważnie ze swoich ganków. Wreszcie dopełzłem do parku i runąłem na ławkę. Wtuliłem się w jej objęcia i zasnąłem.

Obudził mnie pulsujący ból głowy i żołądka. Blask latarni oświetlał słowa wyryte na kamiennej tablicy nad wejściem do pierwszego budynku po drugiej stronie ulicy. CORDWAINER BUILDING. Postawiłem stopy na ziemi, a ból brzucha przybrał postać stałą i wyskoczył na zewnątrz. Wyrzuciłem z siebie kwartę wodnistego, czerwono-brązowego gulaszu.

Była 23.35. Przespałem na ławce co najmniej półtorej godziny. Netie i Clark jeszcze nie śpią tak mocno, żebym zdołał się przedostać do swego pokoju, nie budząc zainteresowania, a nie wyglądałem przyzwyczajenie. Musiałem wypłukać usta i wypić mnóstwo wody. Po drugiej stronie parku zauważyłem fontannę z wodą do picia.

Granitowy zbiornik znajdował się na wysokim, ośmiokątnym podestwie. Znalazłem mosiężny guzik z boku, przepłukałem usta, napiłem się, ochlapałem twarz i znowu się napiłem. Spojrzałem w dół; na podstavie podestu widniał napis:

DAR STEWARTA HATCHA.
„NAD WODAMI BABILONU
POŁOŻYSZ SIĘ I ODPOCZNIESZ”.

1990

Miałem przed sobą wolną godzinę. Musiałem ją czymś wypełnić. Poprawiłem krawat, zapiąłem guziki najlepszego granatowego garnituru i ruszyłem, wcale nie aż tak chwiejnie, na nocny podbój Edgerton.

36.

Na wschód od Chester ciągnęły się dwie ulice rozjarzone neonami i świetlnymi plakatami kin. Wielka szkarłatna strzała migąła jak neonowy paluch. Nad drzwiami z przyciemnionego szkła znajdował się pionowy pas w kolorze ciemniejszej czerwieni z napisem „Hote Paris”. Trzy-, czteroosobowe grupki, głównie mężczyźni, wałęsały się po ulicach.

Po lewej miałem Low Street, po prawej - Word Street. Zdecydowałem się na Word, ponieważ była bliżej, i zanim się rozpędziłem, ujrzałem brązową tabliczkę w kształcie zwoju pergaminu. W nagłówku zwoju widniały słowa STARE MIASTO. Podszedłem, żeby odczytać tekst.

Oryginalne stare miasto Edgerton w stanie Illinois, ważne centrum handlowo-rekreacyjne dla wszystkich podróżujących rzeką Missisipi. Trwające prace restauracyjne są sponzorowane przez p. Stewarta Hatcha.

Jedyną oznaką prac restauracyjnych na Word Street były latarnie, dwie na ulicę, z kloszami z białego mlecznego szkła jak w secesyjnych lampach gazowych. Budynki, bary, kina, sklepy monopolowe, hotele i kamienice czynszowe wyglądały podejrzanie, jakby należał się im pobyt w areszcie. Mężczyźni w znoszonych ciuchach wchodzili do barów

i wychodzili z nich. Gdzieniedzie pojawiało się lepsze towarzystwo. Stali mieszkańcy siedzieli na zewnątrz na ogrodowych krzeselkach i rozkoszowali się nocnym powietrzem.

Kilka kroków dalej jakaś para prosto z reklamy ekologicznego mydła bez mydła ominęła pijaka opartego o ścianę baru. Obok nich przemknął znany mi gryzoń z kozią bródką i w czarnej skórzanej kurtce.

Obejrzałem się za nim; zniknął za migoczącym neonem. Zdałem sobie sprawę, że wkroczyłem w granice pozostałości dzielnicy, o której opowiadał wujek Clark. To tutaj załogi i pasażerowie statków schodzili na ląd, żeby grać, odwiedzać burdele, gapić się na tańczące niedźwiedzie i dwugłowe kozy w cyrku, słuchać Cyganek wróżących z ręki i kradnących portfele. Właściwie niewiele się zmieniło, przynajmniej w piątkową noc.

Ruszyłem przez ulicę w ślad za gryzoniem w skórzanej kurtce.

37.

Ledwie skręciłem w Dove Lane, dowiedziałem się, że są dwa Stare Miasta, jedno składające się z ulic Word i Low, drugie, całkiem oddzielne, ukryte za nimi. Labirynt pokręconych uliczek, z których wyrastały jeszcze inne, węższe i ciemniejsze, oplątujące placyki wielkości znaczka pocztowego i kończące się ślepym zaułkiem lub wracające na szerszą ulicę. Hojność Stewarta Hacha nie rozciągała się na to drugie Stare Miasto, a latarnie były żelaznymi słupami z żarówką na szczycie, liczącymi sobie co najmniej siedemdziesiąt lat. Co trzecia lub czwarta żarówka była zbita, ale neony i okna oświetlały wąskie zaułki.

Za rogiem ujrzałem ciemne wystawy sklepowe i opuszczone budynki. Skręciłem w prawo, w Leather Street, której rzęsiste oświetlenie sugerowało obecność klubów ze striptizem lub salonów masażu. Światło paliło się w pralni automatycznej, gdzie przed warczącymi pralkami siedziało z pół tuzina wykończonych kobiet.

Z Leather skręciłem w Fish, potem Lavender, Raspberry, Button, Treacle i Wax. Mniej więcej na poziomie Button zdałem sobie sprawę, że słyszę kroki. Te pospieszne kroki towarzyszyły mi na Treacle i Wax, choć kiedy się oglądałem, nie dostrzegałem nikogo. Wax prowadziła do Veal Yard, gdzie światło z okien hotelu „Brazen Head” padało na wyschniętą fontannę. Zakolem doszedłem do Turnip, minąłem bar zwany „The Nowhere Near” i znowu usłyszałem kroki za plecami. Obejrzałem się przez ramię i dostrzegłem ciemny, ruchomy cień. Serce przestało mi bić; cień się rozpląnął.

Przyspieszyłem kroku na śliskim bruku i znowu wyszedłem na ruchliwą Word Street. Spojrzałem uważniej i już wiedziałem, gdzie jestem.

Przed szklanymi drzwiami piętrowego baru ruchliwy osobnik, za którym zapuściłem się w zaułki Starego Miasta, wyjaśniał coś tęgiej jasnowłosej kobiecie w rozpiętej do połowy dżinsowej kurteczce. To Cassie Little, ukochana Clarka Rutledge'a, a gryzoń nazywał się Żaba La Chapelle. Widziałem ich oboje w szpitalu. Nad drzwiami migotał różowy neon „Speedway Lounge”.

Czyjaś ręka zamknęła się wokół mego lewego łokcia i ochryply głos szepnął:

- Stary, nie wiem jak rozum, ale jaja to ty masz.

Starszy niechlujny facet uśmiechnął się na widok mojego zaskoczenia. Brudne siwe kędziorki wymykały się mu spod kaszkietu; na zapadniętych policzkach lśniła siwa szczecina; warstwy brudnych ubrań; wyraźny, uderzający zapach alkoholu.

- Piney Woods - odezwał się. - Pamiętasz mnie?

38.

- Nie było mnie tu w czwartek wieczorem - powiedziałem - ale słyszałem o tobie od wujka Clarka.

- A teraz lepiej uciekaj na Turnip, chyba że dzisiaj też cię nie ma. - Wskazał czterech mężczyzn o niskich czółkach, w rozchełstanych

koszulach. Gromadzili się przed „Speedway”. Wyglądali na małowia-
steczkowych osiłków, którzy odkąd skończyli szesnaście lat, wcale się
nie zmieniają. Cassie Little znikła w barze, gryzoń wykorzystał swój
talent do rozplywania się w powietrzu. Trójka osiłków dzierżyła kije
baseballowe. Dałem się pociągnąć w zaułek.

- To pewnie moi kumple od pokera?

- Staggers i reszta. - Piney stanął przede mną, żeby nie było mnie
widać.

Wyrzałem nad jego ramieniem.

- Który to Staggers?

- Ten w bojówkach.

Ten w bojówkach miał pobrużdżoną, pełną szram twarz człowieka,
który nigdy nie doszedł do siebie po rozczarowującym odkryciu, że to
nie on rządzi światem. Wymachiwał rękami, wywarkiwał rozkazy i
pomimo sporego brzucha wyglądał, jakby przez cały dzień rozwałił
młotem kamienie na pył.

- Już im się nudzi, zaraz sobie pójda.

- Słyszałem, że ktoś za mną idzie - powiedziałem.

- Mówiłem, że masz szczęście. Jak chcesz, żeby tak zostało, to się
szybcuutko wyłoś z Hatchtown.

Wycofałem się pospiesznie na Veal Yard. Po jego drugiej stronie, na
lewo od Wax, Pitch Lane prowadziła w głąb Hatchtown. Pobiegłem nią
w nadziei, że doprowadzi mnie do Lanyard Street i lombardu Toby'ego
Krafta.

Pitch złączyła się z Treacle wzdłuż ruiny cuchnącej amoniakiem i
gnijącymi jabłkami. Znowu usłyszałem zbliżające się kroki. Za ruiną
zapuściłem się w dalszą część Pitch i potruchałem przez mroczne za-
ułki i zakamarki. Kroki za moim plecami rozbrzmiewały ze spokojną
miarowością, bardziej przerażającą niż pośpiech. Midden przecięła
Pitch, ale... co tam Midden. Trochę wyobraźni. Kiedy dotarłem do
Lavender, obejrzałem się w lewo. Dwaj obdarci chłopcy, jakby prosto z
fotografii nowojorskich uliczników z 1890 roku, przyglądali mi się
uważnie z drzwi opuszczonego budynku. Po prawej stronie z okna

jakiejs knajpy rozległ się piskliwy kobiecy śmiech. A ciężkie kroki się zbliżały. To musiał być przyjaciel Joe Stagersa.

Dwaj niedoszli napastnicy podeszli bliżej, jeden ustawił się za moimi plecami, drugi po prawej. Jeden wskazał kciukiem za swoje ramię i odstąpił na bok, a ja skoczyłem w ciemność ulicy.

Przez dziury w murze wpadały krzywe promienie światła. Pod ścianą na rozgrzebanych kocach spało palu chłopców. Na ugiętych nogach przekradłem się wzdłuż ściany, szukając szczeliny na tyle szerokiej, żeby przez nią wyrzeć. Mój wybawca siedł za mną.

- Gonił cię?
- Dzięki, że mi pomogłeś.
- To gdzie kasa?

Wyjąłem z kieszeni banknot, przysunąłem go do strużki światła sączącego się przez szparę w murze, ujrzałem surową twarz Jerzego Waszyngtona i podałem go chłopcu.

- Chciał cię skasować?
- Przykucnąłem i przyłożyłem oko do szpary.
- Coś jeszcze byś dał.
- Dałem mu drugi banknot.

Aleja była jeszcze pusta, ale słyszałem zbliżające się ciężkie kroki. Nieco dalej rozległo się lżejsze „tup tup tup”. Chłopak przyłożył oko do innej szczeliny.

W polu mojego widzenia pojawił się okrągły brzuch i kij basebalowy. Mężczyzna zatrzymał się i obejrzał na budynek po przeciwnej stronie, potem na stary magazyn. Stuknął kijem o bruk.

- Widzieliście tu faceta?
- Chłopak stojący w drzwiach odpowiedział:
- Paru się widziało.
 - Turystę.
 - A biegł tu jeden. Strasznie sapał.
 - Przed chwilą.

Mężczyzna z kijem odszedł, a wkrótce potem wraz z moim wybawicielem wysliznąłem się z budynku. Spytałem, czy tu mieszkają.

- Się tu śpi, jak jest gorąco.
- Czasami dostajemy kasę za zlecenia, no nie, Nolly? - powiedział mniejszy chłopiec.

- Na przykład - wyjaśnił Nolly - jakbyś czegoś potrzebował, to moglibyśmy to znaleźć.

- A pomożecie mi znaleźć drogę powrotną?

Wymienili spojrzenie.

- Za dolara - dodałem.

Nolly wyciągnął brudną rękę, na której złożyłem kolejnego dolara. Ruszył przez Lavender tak szybko, że ledwie za nim nadążyłem. Biegłem za nim przez uliczki zwane Shoelace, Musk i Pineapple.

- Gdzie wyjdziemy?

Dowiem się na miejscu.

Skęciliśmy z Pineapple w Honey, króciutką uliczkę z lampą palącą się u jej wylotu. Z uliczki obok dobiegł nas tupot ciężkich nóg. Nolly znieruchomiał. Chwilę potem rozległ się stukot skórzanych podeszew o bruk. Nolly śmignął przez Honey. Pobiegłem za nim z nieprzyjemną świadomością, że tamci słyszą mnie tak samo dobrze jak ja ich. Wyszliśmy na malutki placik zwany White Mouse Yard, a Nolly wskazał mroczną szczelinę między domami.

- Przez Silk - poradził. - Silk, Glass, Bear i już.

Śmignął w uliczkę nieopodal.

Kroki się zbliżały.

Wbiegłem w Silk. Ciężkie kroki słyszałem tuż obok; zatrzymałem się i obejrzałem. Dźwięk odbijał się od ścian wąskiej uliczki i kroki zdawały się dochodzić z naprzeciwka. Ruszyłem przed siebie i dobiegło mnie lżejsze stąpanie kogoś z drugiej strony. Na końcu uliczki skręciłem na oślep w pierwszą przecnicę, miałem nadzieję, że Glass, potruchtałem ku latarni na następnym skrzyżowaniu i zdałem sobie sprawę, że teraz słyszę już tylko własne tupanie. Zakląłem i ściągnąłem mokasyny.

Przede mną zza rogu wyłoniła się masywna postać; wypełniła sobą całą przestrzeń między domami. Podniosła kij baseballowy i ruszyła na mnie.

W tej samej chwili ktoś złapał mnie za kołnierz, szarpnął w bok i pchnął na bruk. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że skacze jak tygrys na człowieka z naprzeciwka. Namacałem na oślepie swoje buty. Kij szurnał o mur, wzniósł się i opadł. Usłyszałem wilgotny trzask, jakby pękającego arbuza. Kij lądował to mocniej, to słabiej. Odczołgałem się, a po chwili kij potoczył się ku mnie przez bruk.

Nad moją głową z oświetlonego okna wychylił się mężczyzna. Ogromne ciało rozkrzyżowane na bruku. Wątła figurka w granatowym garniturku odczołgała się na kraniec Glass i znieruchomiała. Obudziło się we mnie przerażenie jak ze snu.

Mężczyzna ze skrzyżowania podszedł niespiesznie do światła i odwrócił się do mnie. To, co zamierzał powiedzieć, rozbawiło go. Strach, już nie jak ze snu, choć w każdym szczególe przeniesiony z moich koszmarów, przymurował mnie do bruku. Na samą myśl o tym, co usłyszę, przejmowała mnie groza.

- Ned, nigdy nie odrzucaj zaproszenia damy. - Jego głos był mój i nie mój.

Mój sobowtór zerknął na mnie z czułą, kpiącą pogardą. Przez ułamek sekundy dostrzegłem na jego twarzy cień tego samego zrozumienia, które zawsze wyrzucało mnie z koszmarów. W chwili gdy zniknął w głębi mglistej ulicy, zrozumiałem, że Star podała mi jego imię.

Czułem, że mdleję, że spadam i płaczę z rozpaczony w białej w sam środek mojego serca, jakbym uniósł się nieco nad ziemię i rozerwał na krwawe strzępy. Robert mi się objawił. Bezradnie, jakbym chciał z nim iść, zrobiłem krok naprzód, odwróciłem się i uciekłem.

39. Pan X

Co mnie nachodzi? Jaki demon dręczy mnie wizytami nad brzegiem rzeki?

Pochylam głowę ze skrucą, gdyż podałem w wątpliwość Mistrza i jego Dzieła. Kimże jestem? Kim był mój prawdziwy ojciec?

Ci Whateleyowie chcieli je wpuścić i najgorsze ze wszystkiego odeszło!

(Zapisując te piękne słowa, poddałem się atakowi śmiechu, z którego dopiero teraz się otrząsałem. Ocieram łzy radości i kontynuuję).

Uwieczniam tu moje Przełomy w kolejności, w jakiej ich doświadczałem.

Depresja, dostrzegalna w poprzednich zapiskach, odebrała mi upodobanie do nocnych wypraw. W rezultacie osunąłem się na łóżko przed północą i powstałem o wstrętnym świcie. Siedząc przy stole w miejscu najmniej zabrudzonym, przetrząsałem bałagan w poszukiwaniu niedojedzonego pączka, złożonego tu niespełna tydzień temu, a gdy moja dłoń dotknęła skamieniałego ciasta, jasne światło padło na mnie z ciemnych, jakże ciemnych niebios, a niewidzialna orkiestra wraz z kotłami zagrała potężny akord. Nadejście tej promienistej, świetlnej (mrocznej) harmonii mogło świadczyć tylko o jednym. W tej chwili Star Dunstan odeszła z tego świata i oddała ducha, żegnaj mi na wieki, i tak dalej, pa pa, amen.

Oprócz poczucia spełnionej zemsty, jakie dało mi zejście Star, natychmiastowa świadomość tego, co zaszło, rozproszyła ponure chmury z przedwiecznego nieba. Tu, właśnie tu miałem dowód, całkiem niewyimaginowany, że moja Misja przetrwała. Moi drapieżni ojcowie uśmiechnęli się do mnie - na tyle, na ile takie Istoty mogą się uśmiechać. Rzuciłem skamieniałym pączkiem w stronę kosza na śmieci lub też w stronę lśniącego kopczyka w miejscu, gdzie niegdyś znajdował się kosz, i zacząłem krążyć po niezagraconych fragmentach podłogi, dopóki ciało nie zostało znalezione. Mniej więcej dziesięć minut potem zadzwoniłem do drugiego najlepszego szpitala w Edgerton i doświadczyłem chwili niepokoju, kiedy łączono mnie z Oddziałem Intensywnej Opieki Medycznej. I jeszcze jednej, gorszej, gdy niejaka siostra Zwick oświadczyła, iż aczkolwiek pacjenci OIOM-u nie mogą osobiście odbierać telefonów, moja wiadomość zostanie przekazana żądanej osobie.

Podałem personalia owej osoby. Godna podziwu Zwick wahała się ledwie pół sekundy, zanim oficjalnym tonem poinformowała mnie, iż pani Valerie Dunstan zmarła przed chwilą.

Nawet kiedy takie wydarzenie nie zjawia się niespodziewanie, potrafi rozwiać pajęczyny.

Przywrócony życiu spędziłem cały dzień, dumając - nad Świętymi Pismami Mistrza z Providence, odnajdując w nich setki wymownych aluzji w historiach, które niegdyś odrzuciłem. Na przykład, by posłużyć się tylko tym jednym opowiadaniem, choć przeczytałem „Model Pickmana” mnóstwo razy, aż po dziś dzień nie pojąłem istoty tych słów:

Gwarantuję w ciemno, że zaprowadzę cię do trzydziestu lub czterdziestu zaułków i sieci zaułków... których istnienia nie podejrzewają rojące się na nich tłumy cudzoziemców... Te prastare miejsca... pełne są cudów, strachów i ucieczek od przyziemności...

Mistrz z Providence opisywał Hatchtown!

Jeszcze raz proponuję - przywołuję wizję - podobne do Walhalli Muzeum Starych Bogów. Spis mych przygód, otwarty na tej właśnie stronie dziennika Boorum & Pease, leży na replice mego biurka wraz z repliką mego pióra Mont Blanc (ze średnią stalówką) na wystawie, parę kroków za repliką biurka Mistrza i jego przyborów pisarskich. Ożywiona replika mojej skromnej osoby podnosi się znad biurka i kroczy w stronę zlewu, gdzie staje w pozie mówcy, być może nawet wypowiada parę ważkich zdań z owych Zapisków. To by całkiem zgrabnie wyglądało...

Współczujący czytelnik zrozumie me łyzy.

Mędrzec zwrócił na mnie swe płaskie, migdałowe oko i mrugnął. Moje łyzy popłynęły za sprawą długo oczekiwanego, uzdrawiającego rozwiązania. Słowo „ekstaza” nie będzie tu nie na miejscu.

Zatem później wykorzystałem półgodzinną „przerwę” lub też pauzę w tym skromnym zajęciu, dzięki któremu mogę płacić czynsz i utrzymać się przy życiu, by wymknąć się i odetchnąć nocnym powietrzem. Byłem gotów na wszystko, a słysząc wewnętrznym słuchem dźwięczne zapewnienia mego Mistrza, ruszyłem na spotkanie zaułków i ukrytych dziedziców Hatchtown.

40. Pan X

Przemknąłem przez hordy turystów, z przyzwyczajenia trzymając się cienia, choć ci idioci nie zobaczyliby mnie nawet wówczas, gdybym stał pod latarnią i grał tango na akordeonie.

Idąc przez Word Street, ujrzałem czterech prostaków wyłaniających się z Purse Lane. Trzej z nich mieli kije baseballowe, a ich baczne spojrzenie, ich czujny wzrok sięgający w głąb otwartych drzwi tawern zwiastował polowanie. Wiejska atmosfera Mountry otaczała ich jak mgła. Mountry, całe w pagórkach, dolinach i błotnistych drogach z chałupami, na których zachwaszczonych trawnikach sterczały stare samochody, zepsute maszyny i od czasu do czasu parę świń, w dawnych czasach sztuki i zbrodni stanowiło wylęgarnię tępych osiłków. Nie przypuszczałem, żeby się zmieniło. Ruszyłem niepostrzeżenie ku zabijakom i wówczas na moją niespodziewającą się niczego głowę spadła najdorodniejsza ze sliwek.

Jej upadek rozpoczął się od chwili, gdy ujrzał Żabę La Chapelle'a, podrygującego niespokojnie ze wzrokiem utkwionym w bandzie osiłków. Znał ich. Denerwowali go. Choć i Żaba, i chłopcy z Mountry równie chętnie łamali prawo przy każdej nadarżającej się sposobności, pochodzili z różnych gatunków i byli naturalnymi wrogami, jak kobra i mangusta. Wrodzoną wrogość potęgowały jeszcze krańcowo odmienne typy fizyczne. Żaba przywodził na myśl zwinnego gryzonia, a wieśniacy z Mountry mieli brzuchy jak wory kartofli i gęby jak befsztyki.

Niedostrzeżony zakradłem się w pobliże osiłek. Ich przywódca wymamrotał:

- Dunstan tu gdzieś jest. Sprawdzić w zaułkach. Spotkamy się w „Speedway”.

Moje serce, ten stary bojowy rumak, zagryzło zbrzyzgane pianą wędzidło.

Przemknąłem na drugą stronę ulicy i zmaterializowałem się koło Żaby. W minionych latach od czasu do czasu posługiwałem się nim, nieodmiennie ukazując mu się raczej na skraju widzialności niż doskonale widzialny. W oczach Żaby pojawiaam się i znikam w ułamku chwili i ten proces przeraża go bardziej, niż chciałby to przyznać.

Kiedy zdał sobie sprawę z mojej obecności, wzdrygnął się, poruszył wąskimi ramionami i udał, że tylko je rozluźnia. Ludzie jego pokroju nigdy się nie rozluźniają, a ich jedynym ćwiczeniem fizycznym jest ucieczka przed policją.

- Jak to możliwe, że nigdy nie widzę, jak do mnie podchodzisz?

- Nie patrzysz tam, gdzie trzeba.

Roześmiał się, jakby piłka wpadła do kosza: rat-tat!, podskoczył w miejscu i obejrzał się na Word Street.

- Znasz tych prostaków?

Łypnął na mnie nieufnie, wsadził ręce w kieszenie skórzanej kurtki.

- Ze „Speedway”.

Uniosłem głowę, by spod ronda kapelusza ukazało się me lewe oko.

- Jeden nazywa się Joe Stagers - dodał. - Muszę lecieć, jestem zajęty.

- Nieprawda - odrzekłem. - Zajęty byłeś dwa dni temu za Lanyard Street z Clyde'em Prentissem. Dziś nie masz nic do roboty z wyjątkiem rozmowy ze mną.

Żaba rozpaczliwie przywołał pozory spokoju.

- Clyde to mój kumpel, w porządku?

- Stary magazyn Gruebera. Kuchenki mikrofalowe. Ile zdobyłeś przed wypadkiem Clyde'a, dziesięć?

Żaba złapał powietrze ustami, podziwiając oświetlone okna kamienicy po drugiej stronie ulicy.

- Około dziesięciu. Wyrzuciłem je do rzeki.

Powinien to zrobić. Tymczasem dwanaście mikrofalówek stało rzędem pod ścianą jego maleńkiego mieszkania.

- Clyde Prentiss zagraża twojej wolności - powiedziałem. - Jeśli przypadkiem wyzdrowieje, wsypie cię w zamian za zmniejszenie kary. Niektórzy powiedzieliby, że Clyde wyświadczyłby przysługę swoim przyjaciołom, gdyby umarł.

Żaba usiłował wyglądać beztrusko.

- Biedaczek może zejść w każdej chwili. Słabe serce. Pięćdziesiąt procent szans.

- Zamierzam poprawić te szanse, Żabo - oświadczyłem. Przesłał podrygiwać. - Po dzisiejszej nocy nie będziesz się musiał przejmować Prentissem. W zamian wykonasz dla mnie kilka zleceń. Otrzymasz wynagrodzenie. Oto pierwsza rata. - Pięćdziesiąt dolarów trafiło do bladej rączki Żaby, a z niej do kieszeni na suwak.

Żaba zaryzykował spojrzenie z ukosa.

- Eee, czyli właściwie co...

- Doskonale wiesz co. Kogo ścigają te buraki?

Chciałem się dowiedzieć, jak wiele mu wiadomo.

- Jakiś Dunstan ograł ich w karty. Źle to znieśli.

- Poznałbyś tego Dunstana?

- Jasne.

- Przejdź przez uliczki. Jeśli go zobaczysz, powiedz, że ktoś chce się z nim spotkać na Veal Yard. Zaprowadź go. Jeśli wpadniesz na Staggera lub jego kumpli, poślij ich w przeciwnym kierunku.

Ruszył, a ja rzuciłem za nim:

- Wyładuj te mikrofały w Chicago.

Żaba ruszył, jakby miał napęd odrzutowy. Przemknąłem przez Word Street i skręciłem w najbliższą boczną uliczkę. Moje długo odwlekane spotkanie z Paniczem Dunstanem nie mogło dojść do skutku aż do

urodzin bachora, lecz w tym czasie mogłem, jakąż ironia, chronić go przed wypadkami. Pomknąłem Horsehair, już czując zapach krwi osiłków z Mountry.

Horsehair Street, rozszerzająca się i zwężająca, odnoga odnogi, wije się zygzakami przez Hatchtown, a stojący na niej doświadczony słuchacz potrafi dosłyszeć wszystko, co się dzieje wokół niego. W jak najlepszym humorze oczekiwałem na wieści z Mountry.

Mieszkańcy Hatchtown wlekli się do domu, kuśtykali do tawern, wszczynali awantury, kopulowali. Dzieci ryczały, spały, znowu ryczały. Niemal z całkowitą pewnością usłyszałem Pineya Woodsa, podśpiewującego pod nosem na Leather prowadzącej do Word Street, lecz mógł to być także jakiś inny zgrzybiały starzec, pamiętający jeszcze „Chattanooga Choo-Choo”. Uskoczyłem w Veal Yard, a muzyka, której szukałem, napłynęła do mnie od strony Pitch i Treacle.

Ową muzyką było postukiwanie: klik-stuk, klik-stuk, rodzące się z zetknięcia bruku z metalowymi podkówkami u botków ze ściętymi obcasami, najbardziej szykownymi wśród elity Mountry. Ruszyłem na Wax. Wieśniak ułatwiał mi zadanie, stukając kijem baseballowym w cegły, co owocowało ostrym, dźwięcznym puk!, wyraźnym jak flara. Nadal nie potrafiłem rozróżnić, czy znajduje się on na Pitch, czy też Treacle, lecz przy zwiększonej prędkości zdołałem na chwilę przed moją zwierzyną przenieść się w miejsce, gdzie dwie te uliczki zlewały się w Lavender. Skoncentrowany na klik-stuk, klik-stuk i rzadszym radarowym sygnale puk!, zignorowałem inne odgłosy dobiegające z pobliskich uliczek. Raptem ze skupienia wyrwały mnie dwa różne rodzaje kroków.

Dla tych, którzy potrafią słuchać, kroki są niczym odciski palców. Dwóch mężczyzn mniej więcej tej samej postury, idących przez mokrą ziemię w identycznych butach, zostawia takie same ślady, lecz odgłos ich kroków różni się w tysiącach szczegółów. Odgłos kroków dochodzący z Pitch lub Treacle przyciągał mnie swoim nedorzecznym

podobieństwem. (Nie były identyczne. Nawet identyczne bliźnięta nie powielają wszystkich swoich cech, to niemożliwe). Ten pierwszy mężczyzna poruszał się z lękiem, nieregularnym krokiem, który zdradzał nadużycie alkoholu. Mężczyzna idący za nim sunął pełen pewności siebie, nie tylko się nie bał, sama koncepcja strachu lub przeszkód była mu nieznaną - był to krok istoty nie z tego świata.

Muszę zrobić obecnie aluzję do okoliczności, których śmiertelny czytelnik nie zdoła pojąć. W kroku istoty nie z tego świata nie wyczuwa się ani odrobiny moralności. W krokach zbliżających się ku złączeniu Pitch i Treacle, na bardziej przestronną Lavender, rozbrzmiewało transcendentne okrucieństwo.

A jednak! Choć kroki pierwszej osoby nie miały w sobie nic - by tak powiedzieć - z anielskiego lub nieziemskiego brzmienia, w niezwykle sposób przypominały kroki drugiej osoby.

~~Tak jakby~~

~~Poczułem jakby~~

~~Mogłem się znaleźć w obliczu~~

O Potężni, Wasz Sługa w swej euforii nie potrafi znaleźć lepszego słowa na opisanie swego emocjonalnego stanu niż najukochańszy przymiotnik Mistrza z Providence - nieludzki. Usłyszałem kroki mego syna. Świadom, iż ściga go ów prostak, syn mój posiadał zdolność oszukiwania go fałszywymi sygnałami, nie wiem, jak to nazwać, omamami słuchowymi. Potrafię wiele, lecz ta sztuczka pozostaje poza moim zasięgiem na równi z podróżami w czasie. Pojawszy, iż mój przeciwnik jest lepiej wyposażony, niż sądziłem, jeszcze raz pomknąłem przez kręte zwoje Horsehair, by przybyć na Lavender już po wszystkim.

Ujrzałem w drzwiach opuszczonego magazynu łobuziaka, jednego z wielu, którzy tu nocują. Osilek odchodził. Po chwili pełnego trwogi niezdecydowania doszedłem do wniosku, że przeklęty syn jednak

rozmawiał z Żabą. Przemknąłem przez Horsehair na Veal Yard.

Przeklinając pod nosem, mknąłem zaułkiem i raptem, o dziwo, usłyszałem kroki-iluzję oraz kroki dziecka zmierzającego w stronę Laverder. Wreszcie zbliżyłem się na tyle, by rozpoznać w dziecku Nolly'ego Wheadle'a, któremu czasem zlecam nieszkodliwe zadania. Gdym zdał sobie sprawę, że zmierzamy w stronę - południowego krańca Hachtown, raptem wszystko stało się jasne: choć mój jedynak miał, być może, moc wzbronioną jego ojcu, nie znał się na geografii. Wynajął Nolly'ego jako przewodnika!

Jednakże nie ogarnąłem całej istoty sprawy, dopóki para idąca przede mną nie dotarła do brukowanego placu zwanego White Mouse Yard, gdzie zarówno oni, jak i ja, trzymający się za nimi w bezpiecznej odległości, usłyszeliśmy klik-stuk, klik-stuk, dochodzące z pobliskiej uliczki. To, co usłyszeliśmy potem, odgłos kroków nie z tego świata, starło na pył wszystkie moje domysły. Nolly umknął, wykrzykując do turysty nazwy ulic. Mój syn i przeciwnik zbliżali się do nas, lecz w obliczu rozpadu wszystkiego, com uważał za pewne, ukryłem się w Horsehair. Turysta wbiegł w Silk, pospieszyłem za nim. Na skraju Glass wtuliłem się w ścianę, wyrząłem na oświetlony zaułek i dane mi zostało trzecie i największe objawienie tego dnia.

Mężczyzna w ciemnym garniturze ruszył biegiem, zdjął buty i skierował się dokładnie na mnie. Zanim jednak tak się zbliżył, by światło ukazało jego twarz, zza zakrętu uliczki wyszedł osiłek. Podniósł kij i ruszył do ataku. Wyłoniłem się, by położyć kres bijatyce. Wówczas, o dziwo, przez ulicę przemknęła druga postać, pod każdym względem podobna do pierwszej. Jeden z nich był moim synem, lecz który?

Cofnąłem się. Pełna nadziei muzyka wypełniła me uszy.

Nowy przybysz odepchnął turystę na bok i skoczył na osiłka. To on był mym synem, bez wątplenia.

W ułamku sekundy przejął kij i uderzył nim w czaszkę osiłka.

Chłonałem beztroską urodę jego twarzy, mrok jego lśniących oczu, ostry zarys kości policzkowych. Patrzyłem, jak ma latorośl zbliża się do latarni. Brutalne morderstwo nie wstrząsnęło nim bardziej niż jego staruszkim. Promienna potworność Przeciwnika w jaskrawy sposób przeciwstawiała się zgrozie i strachowi jego cienia. Podejrzewałem, że ten gówniarz nabierze pewności siebie do czasu, gdy zetnę go z powierzchni ziemi, jak mi Rozkazano, by ostatni z Dunstanów nie mieszkał już w Edgerton.

Lecz co zamierzał i kim lub czym była ta identyczna istota, której życie uratował? Przywarłem do ściany i obserwowałem krwawą scenę.

Mój wróg wszedł w płamę światła. Z pewnością siebie prawdziwego aktora odegrał scenę wahania. Ten diabeł dokładnie wiedział, co zrobi. Pozował! Z wolna, od niechcienia odwrócił się do mnie plecami i spojrział na mężczyznę w pierwszym rzędzie. Po wspaniale odmierzonej pauzie przemówił.

Niestety, stać go było jedynie na błahe twierdzenie o hipotetycznej męskiej powinności uszanowania seksualnej zachęty ze strony kobiety. Najwyraźniej posiadał tę, którą ten drugi odrzucił. Moje wewnętrzne receptory szumiały, oczekując bardziej konkretnych informacji. Mój wspaniały syn i przeciwnik zniknął w przecinającej zaułek uliczce. Ten drugi, jakby połączony z nim nicią, podniósł się chwiejnie i wszedł w krąg światła latarni.

Dotarło do mnie, jak bliski byłem zrozumienia i jak zupełnie nic nie pojmowałem. Wybuchnąłem śmiechem. Patrzyłem na tę samą twarz, mniej więcej tę samą, zdecydowanie więcej niż mniej. Byli braćmi.

Star urodziła dwóch chłopców i choć na próżno szukałem tego pierwszego, to w dniu ich wspólnych urodzin towarzyszył mi właśnie cień drugiego syna, najwyraźniej noszącego imię Ned. Śmierć Star ściągnęła do Edgerton ich obu i aż do tej chwili ten idiota, który

obecnie stał w świetle latarni, nie podejrzewał nawet istnienia swojego brata. Star nie chciała, żeby wiedział. Star go broniła. Oszołomiony chłopak zrobił krok za swoim bratem, odwrócił się i chwiejnie odszedł w przeciwną stronę.

Otrzymałem wszystko, czego potrzebowałem.

IV

Jak wreszcie
znalazłem
swój cień
i co się wydarzyło

41.

- Pod łóżkiem. Stary pomysł - powiedział porucznik Rowley. - Aleś daleko wepchnął! Bałeś się, że ktoś ci ukradnie wygraną?

Podniósł rdzawe brwi wysoko, aż po linię rudych najeżonych włosów. Zmarszczki na czole pogłębiły się, usta zmieniły się w cienką kreskę. Na ogorzałych policzkach pojawiły się szramy jak po ciosach siekiery. Uśmiechał się. Była 4.56, a Rowley bawił się jak król już od 3.30, kiedy to wraz z funkcjonariuszem Treuhaftem, żywym totemem obleczonego w niebieskie ciuchy, wyrwał ze snu Nettie i Clarka, wpadł do pokoju i odczytał mi moje prawa, po czym aresztował mnie w związku z zamordowaniem niejakiego Keyesa młodszego. I dopiero się rozkręcał.

- Nie wygrałem tych pieniędzy. Przywiozłem je ze sobą z Nowego Jorku.

- Zawsze zabierasz ze sobą pięć do sześciu setek?

Po raz czwarty lub piąty powtórzyłem:

- Nie wiedziałem, czy moja karta będzie tu akceptowana. Nie wyjąłem wszystkiego naraz, zebrało się przez ostatni tydzień.

- Zabawne, że podobno akurat taką kwotę zabrałeś Staggersowi i pozostałym. Gorzej, oni cię zidentyfikowali. - Trochę zmiękł. - Nie jest dobrze, Ned, ale i nie tak źle, jak myślisz.

Młody policjant uchylił drzwi, podszedł do Rowleya i coś mu szepnął na ucho. Rowley położył mu palec na ramieniu i odepchnął go.

- Czyste? Bez linii? Zmiataj stąd w cholere, dobra?

Rowley miał koło czterdziestu pięciu lat, mniej więcej mtyle samo co Stewart Hatch, ale skórę pożyczyl chyba od kogos starszego o dziesięć lat i niedawno zmarłego.

- Mówię poważnie. - Wysilkiem woli ożywil nieco twarz. - Wiesz co? W tej chwili jestem twoim najlepszym przyjacielem.

Przysunął się z krzesłem bliżej stołu.

- Daj już spokój. Joe Staggers i reszta wiedzą, że zabrales im pieniadze w „Speedway”, a także, że byles poprzedniej nocy w Hachtown. Jak bedziesz powtarzac, że nic nie wiesz, czeka cię zycie za kratkami.

- W dniu, w którym grali, nawet nie bylo mnie w mieście.

Rowley przesył mnie spojrzeniem.

- Jestem po twojej stronie, Ned. Wiem, jak to bylo. - Uderzył dłonią w stół. - Ni z tego, ni z owego jakis osilek ruszył na ciebie z kijem baseballowym. Wszystko rozegrało się w ciągu paru sekund. Według mnie zachowales się jak komandos. Pewnie nawet nie wiesz, że zmarł, co?

Rozłożył ręce.

- W ciągu dwudziestu dwóch lat, bo tyle jestem policjantem, jeszcze nie słyszałem o lepszej linii obrony. Prawdę mówiąc, całkiem możliwe, że wyjdiesz z tego bez szwanku. Może od razu spisujemy twoje zeznania, żebyś mógł wrócić do domu?

- Nie wygrałem żadnych pieniędzy w karty w „Speedway” - oświadczyłem. - W srode wieczorem kierowca ciężarówki, niejaki Bob Mims, zabrał mnie w Ohio i wysadził przy motelu „Comfort”. W barze poznałem asystentkę prokuratora generalnego z Louisville, która obiecała, że następnego dnia mnie podwiezie. Nazywa się Ashleigh Ashton i mieszka w hotelu „Merchants”. W czwartek rano podwiozła mnie pod szpital Świętej Anny. Wczoraj wieczorem spotkałem panią Ashton i

panią Hatch w „Le Madrigal”. Zaprosiły mnie do swojego stolika. Następnie poszedłem do Toby'ego Krafta. Za dużo wypilem. W drodze powrotnej dotarłem do Merchants Park i straciłem przytomność na ławce. W domu mojej ciotki znalazłem się między piętnaście po dwunastej a wpół do pierwszej.

- A może dwadzieścia minut później? Świadek określił czas na dwunastą dwadzieścia sześć.

- Może zadzwonicie do pani Ashton i spytacie, gdzie byłem w środę wieczorem?

- Zadzwonimy. Porozmawiamy z panią Ashton i usłyszymy, co ma do powiedzenia. Nie będzie to mieć wpływu na to, co wydarzyło się o dwunastej dwadzieścia sześć wczoraj w nocy, ale i tak wszystko sprawdzimy. Tymczasem zastanów się nad tym, co powiedziałem.

- Nie mogę się przyznać do morderstwa, którego nie popełniłem.

Rowley zaprowadził mnie do celi. Wyciągnąłem się na pryczy i zaskoczyłem sam siebie, ponieważ zasnąłem.

Obudził mnie metaliczny szcęk drzwí. Do celi wmaszerował siwowłósy mężczyzna o różowej, zmęczonej twarzy. Biała koszula opinała się mu na brzuchu, rękawy były podwinięte, kołnierzyk rozpięty. Rowley za jego plecami wyglądał jak krwiożerczy posąg.

- Proszę wstać - powiedział siwowłósy. - Wypuszczamy pana.

Potarłem twarz.

- Jestem kapitan Mullan. Na razie nie postawimy panu żadnych zarzutów. Może pan zabrać swoje rzeczy i wracać do domu ciotki. Chciałbym prosić, by pozostał pan w Edgerton przez następne czterdzieści osiem godzin i informował nas o wszelkich zmianach miejsca zamieszkania. Zanim uznam, że ma pan czyste konto, chcę porozmawiać z tym kierowcą, Bobem Mimsem.

- W środę jest pogrzeb mojej matki - odparłem. - Do środy na pewno nie wyjadę.

Mullan włożył ręce w kieszenie.

- Musi być pan dżentelmenem starej daty. - Znad jego ramienia Rowley przeszywał mnie nienawistnym spojrzeniem. Zrozumiałem, że już nie jest moim najlepszym przyjacielem.

- Dlaczego?

- Pani Ashton potwierdziła, że spotkała pana w motelu „Comfort” w środę wieczorem i że podwoziła pana następnego dnia. Twierdzi także, że nie mógł być pan zamieszany w zajście z panem Keyesem o dwunastej dwadzieścia sześć, ponieważ przybył pan do jej pokoju mniej więcej o jedenastej i wyszedł dokładnie o dwunastej dwadzieścia pięć. Odźwierny i recepcjonista potwierdzają jej słowa. - Uśmiechnął się do mnie. Wyglądał jak barman z irlandzkiego pubu, rozlewający guinnessa na Fifth Avenue.

Rowley powiedział, że przedmioty osobiste mogą odebrać, gdy będę wychodził.

- Pieniądze zatrzymamy do czasu rozmowy z Mimsem.

Twarz miał jak kamień nagrobny.

Przed drzwiami w wielkiej kamiennej fasadzie budynku koło posterunku policji znajdowała się arkada smukłych kamiennych kolumn. Doszedłem do wniosku, że to zapewne ratusz. U stóp wysokich schodów policjanci w cywilu palili papierosy i rozmawiali przed zaparkowanymi radiowozami. Po drugiej stronie ulicy fontanna na środku kwadratowego trawnika wystrzeliwała z siebie roziskrzony pióropusz.

Policjanci pochyliłi się ku sobie. Jeden rzucił niedopałek na schody. Ruszyłem chodnikiem i przekonałem się, że jestem na Grace Street. Dwie przecznice dalej spomiędzy rzędu wystaw i biurowców wychyliły się kolumny przy drzwiach, prowadzących ani chybi do biblioteki. Policjanci cofnęli się na boki, ale się nie rozeszli.

42.

Clark otworzył drzwi i zawołał w głąb domu:

- Chłopcy wcale go tak bardzo nie zmięchali!

- Nikt mnie nie mięchał - powiedziałem.

Nettie poderwała się z sofy, chwyciła mnie za biceps i zajrzała w oczy.

- Nie wiem, kiedy ostatnio dostałam takich palpacji.

- Przykro mi. Nie ma się o co martwić, ale ze względu na was powinienem się gdzieś przenieść.

Nettie zmieniła się w grom, tylko czekający, żeby uderzyć.

- Joe Stagers tu pewnie po mnie przyjdzie. Nie chcę narażać ciebie ani Clarka.

- Niech się tu tylko pojawi jakiś burak z Mountry, gorzko tego pożałuje. Zadzwoń do May i przygotujemy śniadanie.

Nettie i May wysłuchały ocenzonej wersji nocnych wypadków, zmiatając wszystko, co miały na talerzach. Clark pałaszował swój jedyny prawdziwy posiłek dnia i przyznał, że powinienem skorzystać z oferty Toby'ego Krafta.

- Chłopcy z Mountry są durni jak spróchniałe pnie, ale potrafią się zawzięć. Najlepiej od razu się spakuj i zadzwoń do Toby'ego. Kiedy się tu zjawią, powiemy, że wyjechałeś nie wiadomo dokąd.

Moje spojrzenie padło na paczkę, którą przywiózł kurier. Nettie poszła za moim spojrzeniem.

- Pora, żebyś przejrzał te nieliczne rzeczy swojej matki.

Postawiłem pudło na łóżku, ale zanim do niego zajrzałem, najpierw spakowałem ubrania do worka. Spiczaste pismo Star krzyczało do mnie z nalepki i smutek, nie, coś więcej, ból złamanego serca, zaczął się przesączać przez zaklejony papier. Kiedy przestałem wykonywać czynności zastępcze, wziąłem pudło na kolana i rozdarłem papier.

Wyjąłem z niego parę starych książek w broszurowym wydaniu, jedną w twardej okładce, przejrzałem jakieś trzydzieści do czterdziestu płyt CD, które Star wysłała do domu - Billie, Ella, Louis, Nat, Sinatra i mnóstwo nagrań Duke'a Ellingtona, Lestera Younga, Paula Desmonda

i innych jej ulubionych muzyków. Wszystko włożyłem do torby. Dla moich ciotek odłożyłem broszki, bransoletki, parę złotych naszyjników i trzy jedwabne apaszki.

Na dnie pudła leżała niewielka fotografia i koperta, na której Star napisała „Dla Neda”. Wziąłem fotografię, najpierw zobaczyłem małego chłopca w pasiastej koszulce, potem zdałem sobie sprawę, że ten chłopiec to ja, a zdjęcie zostało zrobione w dniu moich trzecich urodzin. Wzdrygnąłem się mimowolnie, włożyłem zdjęcie do portfela i otworzyłem kopertę. Zawierała klucz, jakby od skrytki depozytowej, przyklejony taśmą do kartki nad napisem „Bank Oszczędnościowy Stanu Illinois, Grace Street”.

Myśl, że Star chciała mi zostawić coś, co ukryła w skrzynce depozytowej, przejęła mnie dreszczem niepokoju, ale schowałem klucz do kieszeni koszuli i zająłem się niewielkim zbiorkiem książek. Te w miękkich okładkach - „Anna Karenina”, „Pani Bovary”, „Niewidzialny człowiek”, „Ich oczy widziały Boga”, „Syn tej ziemi” - odstawiłem na pustą półkę. Otworzyłem tę w twardej oprawie.

Ciemnozielony papier okładki wydawał się surowszy, niż to zwykle bywa. Tytuł, „Z otchłani”, widniał złotymi literami na grzbiecie i okładce. Otworzyłem książkę na stronie tytułowej.

EDWARD RINEHART

Z OTCHŁANI

OPOWIEŚCI O NIEZNANYM

Podniosłem wzrok, spojrzałem na szafę, wcale jej nie widząc. Usłyszałem własny głos mówiący: „Edward Rinehart?”. Kiedy znowu spojrzałem w dół, to nazwisko nadal tam było. Odwróciłem stronę i ujrzałem:

© 1957 Edward Rinehart

Na stronie obok widniała dedykacja:

Dla Mistrza z Providence i Moich Wielkich Ojców

W spisie treści figurowało jakieś dziesięć, dwanaście opowiadań. W oczy rzuciły mi się słowa „opuszczony”, „krypta” i „ohydny”, oderwane od tego, co było przed lub za nimi. Oslupiały zarejestrowałem słowo „błękitny”; zdołałem się skupić na tyle, że dostrzegłem, iż jest to pierwsza połowa tytułu „Błękitny ogień”. Powiedziałem coś w rodzaju „O nie”. Książka zamknęła się z trzaskiem i przez jakiś czas wpatrywałem się tępo w jej grzbiet. W nadziei, że znajdę słowo o autorze, otworzyłem ją znowu, ale Edward Rinehart postanowił przemilczeć swoją przeszłość. Wcisnąłem książkę do worka i poszedłem pod prysznic, gdzie stanąłem pod kaskadami wrzącej wody.

Świeżo ogolony, w białej koszuli, niebieskim blezerze i dżinsach zszedłem na dół. Clark perorował na temat różnic pomiędzy morderstwem z premedytacją i zabójstwem w afekcie. Postawiłem bagaże przy drzwiach, biżuterię i apaszki położyłem na stoliku obok.

- Drogie panie - przemówiłem. - Star chciałaby, żebyście podzieliły się tymi rzeczami, ale musicie tu po nie przyjść.

Gdy Nettie i May wydawały okrzyki zachwytu na widok skarbu, wymknąłem się do kuchni i zadzwoniłem do Toby'ego Krafta. Powiedział, żebym udał się do pensjonatu na Chester Street.

- Właścicielka to moja stara znajoma, niejaka Helen Janette. Zaraz to załatwię, nie zedrze z ciebie skóry.

43.

Taksówka wyrzuciła mnie przed budynkiem wyglądającym jak pudełko, na którym postawiono spiczasty kapelusz. Fasada, pierwotnie brunatna, spłowiła do piaskowego beżu. Nad poziom ulicy wystawały wysokie fundamenty z cementowych bloków z przebitymi oknami, do nieefektywnych drzwi wejściowych prowadziła wyboista ścieżka. Wszedłem po trzech schodkach i odczytałem nazwiska przy przyciskach domofonu: Janette, Tite, Carpenter & Burgess, Feldman, puste

miejsce, być może czekające na moje nazwisko, Bremen, Redman & Challis oraz Bowles & McKenna. Przycisnąłem guzik koło Janette i z okna po lewej stronie dobiegło mnie metaliczne brzęczenie. Otworzyły się wewnętrzne drzwi; rozległy się szybkie kroki. Drobną siwowłosa kobieta w bluzie safari z krótkimi rękawami wbiła we mnie świdrujące spojrzenie. Porucznik Rowley wyglądałby przy niej jak zniewieściały piękniś.

To ty jesteś ten od Toby'ego Krafta.

- Tak.

Helen Janette cofnęła się i pozwoliła mi wejść. To, co ujrzała, nie poprawiło jej humoru.

- Daję ci ładny, wygodny pokój na pierwszym piętrze. Razem z panem Bremenem macie na wyłączność łazienkę na końcu korytarza, ale dziewczęta też tam chodzą.

Za moim plecami skrzypnęły drzwi. Obejrzałem się przez ramię. O framugę opierał się wynędzniały staruszek z neandertalską szczęką, w siatkowym podkoszulku i brązowej, fedorze. Za jego plecami widać było mroczny pokój z zaciągniętymi roletami. Na ekranie telewizora migotała kreskówka.

- To pan Tite - oznajmiła Helen Janette.

Odwrociłem się i wyciągnąłem do niego rękę. Zlekceważył mnie.

- Pokój kosztuje trzydzieści dolarów za noc, sto osiemdziesiąt za tydzień. Jeśli masz własny telewizor, możesz odbierać podstawowy pakiet kablówki. Za dodatkowe dziesięć dolarów tygodniowo pranie bielizny co drugi dzień i odkurzanie w czwartki. Nie wolno gotować w pokoju ani hałasować. Jak się nie umiesz zachować, wynocha. Nie potrzeba mi kłopotów.

Powiedziałem, że z radością zapłacę za tydzień z góry plus sprzątnięcie, jeśli akceptuje karty kredytowe. Helen Janette wyciągnęła rękę i poruszyła palcami. Wygrzebałem kartę Visa, dałem jej i poszedłem za nią. Pan Tite stał przy framudze, mierząc mnie spojrzeniem spod ronda kapelusza. Podpisałem rachunek.

- Pokażę temu panu jego pokój - rzekła Helen Janette do pana Tite'a. Wyprostował się, rzucił mi surowe spojrzenie i zamknął drzwi.

- W głębi domu są jeszcze dwa pokoje - powiedziała. - Panny Carpenter i Burgess zajmują większy, pani Feldman ten drugi. Panny Carpenter i Burgess mieszkają u mnie od piętnastu lat. A pani Feldman nigdy nie przysporzyła mi najmniejszego kłopotu.

Ruszyliśmy po schodach.

- Twój pokój jest od frontu, nad mieszkaniem pana Tite'a. - Odwróciła się lekko i zniżyła głos. - Naprzeciwko ciebie mieszka pan Bremen. Przeprowadza dzieci przez ulicę, a wiesz, jaki to typ. - Przyłożyła palec do ust, a potem wskazała nim w górę. - Pijak.

Na piętrze podeszła do białych drzwi na końcu korytarza. Siedzący przed telewizorem starszy gość z okrągłym brzuszkiem i zawadiackim białym wąsem wyjrzał przez drzwi i podniósł rękę wielkości znaku drogowego. W głębi jego pokoju dostrzegłem szeroki żółty transparent.

- Siemanko - powiedział. - To ten nowy?

- Jestem zajęta. - Helen Janette wbiła klucz w zamek.

Wszedłem za nią do środka.

- Łóżko. Szafa. Biurko. Komoda. Zlew. Co drugi dzień zmieniam ręczniki. Jeśli chcesz przenieść telefon na stół, z tyłu jest gniazdko. Płacisz za świadczenia. Nie życzę tu sobie żadnych kuchenek elektrycznych, ale ekspres do kawy może być. Pani Frahm zostawiła radio z budzikiem, więc jest za darmo.

Spojrzałem na cyferki na czarnej skrzynce koło telefonu. Była 8.31.

- Na końcu korytarza od tej strony mieszkają panny Redman i Chalis. Śliczne maleństwa, ale jeśli jesteś dżentelmenem, będziesz się trzymać na dystans. Panowie Rowles i McKenna mieszkają naprzeciwko nich. Są pianistami i przeważnie przebywają poza miastem. Zamierzasz tu mieszkać tydzień czy dłużej?

Rozwiąłem jej obawy co do moich nieprzyzwoitych kontaktów z pannami Redman i Challis. Położyła klucz na komodzie.

- Staraj się nie wracać zbyt późno. Budzę się, kiedy ktoś przychodzi po północy.

Powiesiłem ubrania, wepchnąłem resztę rzeczy do komody i zadzwoniłem do Suki Teeter. Po dwóch sygnałach odezwała się sekretarka i głos Suki poinformował mnie, bym zostawił nazwisko i numer telefonu, a ona prawdopodobnie oddzwoni, chyba że chodzi mi o pieniądze. Nadal spała. Zadzwoniłem do hotelu „Merchants” i poprosiłem o połączenie z panią Ashton.

- Mój Boże, wszystko dobrze? - spytała Ashleigh.

- Dzięki tobie.

- Niewiarygodni faceci! Zwłaszcza ten obleśny Rowley. Ty też jesteś niewiarygodny. Dlaczego im nie powiedziałeś, że byłeś ze mną? - Zachichotała. - Porucznik Rowley ma kosmate myśli. Powiedziałam, że gadaliśmy sobie jak para kumpli, dopóki nie wytrzeźwiałeś na tyle, żeby wrócić do ciotki, ale widziałam, że nic a nic mi nie wierzy. Wiesz co? Byłeś taki, jak wtedy w Chicago, trochę niebezpieczny. Nie tak jak pijak, to by było ohydne, ale w taki nieprzewidywalny sposób.

Wnętrznosci złożyły mi się w origami.

- Czasami zaskakuję sam siebie.

- Więc cię wypuścili?

- Dziś rano, o wpół do siódmej. - Dodałem, że wyprowadziłem się z domu ciotki, i zostawiłem jej numer mojego telefonu.

- Zobaczymy się dzisiaj?

- Nie wiem. Ktoś chce mi pomóc w znalezieniu pewnych informacji. Zadzwonię, jeśli będę wolny.

- Właśnie na to zasługuję. Wiem, w porządku, trudno.

- Słucham?

- Czy te informacje pomaga ci zbierać Laurie Hatch?

- Zna faceta z ratusza, który może mi bardzo pomóc. To długa historia, ale usiłuję odnaleźć mojego ojca, a ona zgłosiła się na ochotnika.

- Co ty powiesz. - Zamilkła na chwilę. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. I chcę się jeszcze z tobą spotkać. W porządku?

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, zadzwoniłem na policję i poprosiłem, żeby przekazano kapitanowi Mullanowi mój nowy adres i numer telefonu.

Wyszedłem na korytarz. Pan Bremen zauważył mnie i uśmiechnął się tak szeroko, że jego piękne wąsy niemal dotknęły uszu. Wskazał grubym paluchem swoją pierś i z rozwlekłym zachodnim akcentem, przywodzącym na myśl niekończące się równiny i ogniska pod gołym niebem, powiedział:

- Otto Bremen.

Widocznie moje życie stało się filmem, w którym musiałem sobie wymyślać kwestie. Wskazałem swoją pierś i powiedziałem:

- Ned Dunstan.

- Zagląдай, kiedy chcesz. Drzwi są zawsze otwarte.

Dwie ulice na zachód od hotelu „Merchants” skręciłem w Grace Street i ruszyłem na południe w stronę biblioteki. Sejmik przycupniętych na chodniku wróbli pofrunął z trzepotem skrzydełek i stworzył ukośną rzeźbę w przejrzystym porannym powietrzu. Wystawy sklepowe odbijały pochyłe promienie słońca. Byłem obecny i nieobecny, nadal w filmie. Chłopak o pozłacanych oczach i gładkich włosach do ramion spojrzął na mnie z okna salonu fryzjerskiego na pierwszym piętrze. Naprzeciwko biblioteki na Grenville Street znajdowała się czteroboczna ceglana budowla banku stanu Illinois.

Urzędnik bankowy, na oko osiemnastolatek, potwierdził, że wraz ze Star Dunstan mam prawo wglądu do skrytki. Zaprowadził mnie na dół i poprosił o wpisanie się do rejestru. Wpuścił mnie do pomieszczenia pełnego ponumerowanych skrytek, wskazał tę, do której pasował mój klucz. Otworzyłem ją, wyjąłem szeroką metalową kasetę, położyłem na politurowanym stole i zająłem się otwieraniem. W kasecie tkwił wciśnięty pakunek w szarym papierze. Sądząc po jego rozmiarach i

ciężarze, doszedłem do wniosku, że to album z fotografiami. Zajrzałem do niego od razu, gdybym nie był umówiony z Laurie Hatch. Podpisałem formularz i poszedłem z paczką na górę.

Laurie stała przed kolumnami po drugiej stronie Grenville Street. Była w ciemnozielonej jedwabnej bluzce i płowych spodniach, a jej doskonała uroda zmieniała słoneczną ulicę i łuk kolumn w tło dla niej. Przez ułamek sekundy ta scena zdała mi się zamrożona w bezruchu, jak reklama w jakimś piśmie. Laurie uśmiechnęła się świetliście i przestałem być postacią z filmu.

44.

- Cieszę się, że przyszedłeś wcześniej - powiedziała.

- Stewart wykonał swój zwykły numer i pokrzyżował mi plany. Ma przyprowadzić Cobbiego koło trzeciej. Co masz w tej paczce? Obrabowałeś bank?

Powiedziałem jej o kluczu z koperty i skrytce depozytowej.

- To tak jak matrioszka. W pudełku jest koperta. W kopercie klucz, który otwiera pudełko, a tam jest inne pudełko, a w tym pudełku jest paczka. Być może pełna studolarówek. - Wzięła ją i zważyła w dłoniach. - Ale wydaje się, że jest tam coś więcej niż album.

- Jeśli okaże się, że to majątek w studolarówkach, podzielę się z tobą.

- Zgodzę się na dobry obiad. Schowajmy majątek w moim samochodzie. Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy.

Wsunęła paczkę pod tylne siedzenie jeepa.

- Ładny wozik - zauważyłem. - Powinnaś przewozić myśliwych na safari.

- Mój ojciec robił takie rzeczy, ja nie. Stewart uznał, że to odpowiedni pojazd dla kobiety z przedmieścia, więc mi go kupił. - Wzięła mnie pod rękę. - Chodźmy do Hugh. Będzie zachwycony.

- Co to za postać, ten Hugh Coventry?

- Hmm... Związła biografia. - Przechyliła głowę. - Hugh Coventry wyjechał ze swej rodzinnej Nowej Anglii po ukończeniu Yale. Kiedy odkrył, że wielu magistrów historii zarabia obecnie jako taksówkarze, zajął się bibliotekoznawstwem.

- Dziwna decyzja.

- Tak sądzisz? - Ruszyliśmy przed siebie. - Hugh jest zakochany w książkach. Jego praca magisterska powstała po wakacjach spędzonych na myszkowaniu w rejestrach probostwa w Marblehead w stanie Massachusetts. To geniusz komputerowy, lubi pracować nocami i w weekendy, i nigdy się na nikogo nie złości. Odkąd się tu przeniósł, biblioteka Edgerton funkcjonuje jak szwajcarski zegarek. Hugh Coventry jest praktycznie święty!

Pewnego dnia wyszedł z biblioteki i ruszył do ratusza, gdzie zgłosił chęć pomocy. Archiwum rozłożyło swe urzędnicze ramiona i powiedziało: ależ proszę! Nie minął rok, a kierownicy każdego wydziału w tym budynku dopraszali się o pomoc pana Coventry'ego. W drugim roku wolontariatu konsultacje ze współpracownikami burmistrza doprowadziły do tego, że Hugh otrzymał bezpośredni dostęp do wyników wyborczych, listy aresztowanych i skazanych z wyszczególnionymi zarzutami, statystyk ubezpieczeniowych i innych spraw niezbędnych do zarządzania miastem. Tym samym otrzymał prawo panowania nad całym budynkiem.

Dwa lata wcześniej, podczas obchodów sto pięćdziesiątej rocznicy powstania Edgerton, nowi prezesi Komitetu Stupięćdziesięciolecia, zwanego komitetem rocznicowym, Stewart Hatch i Grenville Milton, poprosili Coventry'ego o pomoc w zgromadzeniu materiałów na temat historii miasta. Zadanie pasowało do jego zainteresowania lokalną historią, wymagało talentu organizacyjnego i dało mu kolejną szansę na głębsze wrońnięcie w miasto. Laurie poznała go, gdy Rachel Milton wprowadziła ją do komitetu, któremu poświęcała trzy popołudnia tygodniowo. Ten stan rzeczy trwał aż do rozpadu małżeństwa Laurie.

- I tak nie mogłabym zostać. Rachel latała za mną z krucyfiksem i

warkoczami czosnku. Widziałeś już plac miejski? Dość ładny, jak mi się wydaje.

Przeszliśmy przez ulicę koło posterunku policji. Plac z fontanną znajdował się po lewej. Włóczęga o długich złotorudych włosach leżał na jednej z ławek koło futerału od gitary, owinięty wyświechtanym płaszczem. Jakieś pół tuzina policjantów stało na chodniku, paląc i rozmawiając.

- Widziałem to już rano - odezwałem się - kiedy schodziłem po tych schodach.

Policjanci przerwali rozmowy i spojrzeli na nas tak, jak to potrafią tylko gliniarze.

- Byłeś na posterunku? - spytała Laurie. - Dlaczego?

Opisałem aresztowanie pod zarzutem morderstwa w taki sposób, jakby to była szkolna wycieczka na temat „Jak pracują panowie policjanci”.

- Długo cię trzymali?

- Kilka godzin.

Kiedy zbliżyliśmy się do policjantów, Laurie przyjrzała się ich kamiennym twarzom, obrzuciła nieustępliwym spojrzeniem; policjanci rozstąpili się i odwrócili wzrok. Dwa metry dalej mruknęła:

- Palanty.

- Nie lubią, kiedy ktoś taki jak ja idzie z kimś takim jak ty.

- Chrzanić ich. Nawet cię nie znają. - Potrząsnęła głową. - Więc chodziło o pomylenie tożsamości?

- Właśnie.

- Tamci to wiedzą czy nadal chcą cię dopaść?

Powiedziałem, że bez trudu umknę Stagersowi i jego kumplom, że wprowadziłem się od Nettie; podałem jej mój nowy adres.

- Masz życie pełne przygód. - Puściła moje ramię i wpłynęła na schody jak baletnica.

Ruszyliśmy podcieniami wśród kolumn. Laurie otworzyła ogromne okute żelazem szklane drzwi i wprowadziła mnie do mrocznego lobby

z marmurową podłogą wielkości lodowiska. W połowie lobby znajdowała się pusta recepcja. Za oknami z napisem ADMINISTRACJA OKRĘGOWA i INSPEKTOR BUDOWLANY nie paliło się światło. W głębi widniały dwa ciągi marmurowych schodów biegnących łagodnym łukiem w górę.

- Dziwię się, że nie było zamknięte - powiedziałem.

- W soboty zostawiają ratusz otwarty dla sprzątaczek. Pytanie brzmi: gdzie znajduje się wszechwładny pan Coventry? Chodźmy na górę.

Moje buty stukały jak podkute. Nawiedziło mnie nagle wspomnienie ucieczki przez wąskie uliczki Hatchtown. Znaleźliśmy się na piętrze; szyba w jednych drzwiach jaśniała żółtym blaskiem.

- Bingo! - powiedziała Laurie.

Światło zgasło. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Wysoki jasnowłosej mężczyzna w białej koszuli z podwiniętymi rękawami wycofał się tyłem na korytarz z naręczem teczek w objęciach.

- Ciągłe tylko praca, praca, praca - odezwała się Laurie.

Podsłoczył, przytrzymał przekrzywiającą się stertę i wytrzeszczył oczy na Laurie. To, co w nich zobaczyłem, było prawie żenujące. Czysta radość niemal uniosła go w powietrze.

- Co ty tu robisz?

- Miałam nadzieję, że pomożesz mojemu przyjacielowi znaleźć informacje o jego ojcu. Chciałby zobaczyć akt ślubu swojej matki, swoją metrykę i tak dalej. Ned, to jest legendarny Hugh Coventry. Hugh, to mój przyjaciel Ned Dunstan.

Coventry świecił własnym blaskiem.

- Pozwól, że... - Złożył stertę na podłodze i uściśnął mi rękę. - Hugh Coventry, do usług.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy - powiedziałem.

Machnął ręką w stronę sterty.

- To nic ważnego. Jest pan przyjacielem Laurie?

- Poznałem panią Hatch przed paroma dniami. Wyświadcza mi przysługę.

- Nazywa się pan Dunstan? Z Dunstanów z Edgerton?

- Proszę mi tego nie mieć za złe.

Oczy mu rozbłysły, cofnął się z zachwytem naukowca.

- Żartuje pan? Jest pan potomkiem jednej z najbardziej fascynujących rodzin tego miasta.

Wydało mi się, że go rozgryzłem. Hugh Coventry był poczciwiną, który zawsze będzie żyć samotnie w pokojach zastawionych pod sufit książkami. Jego reakcje były szczerze, choć nie serdeczne.

- Pańscy przodkowie, bracia Omar i Sylvan Dunstanowie, założyli Bank Powierniczy miasta Edgerton oraz Bank Oszczędnościowy Stanu Illinois. W tamtych czasach byli właścicielami prawie całego centrum Edgerton. Howard Dunstan zbudował hotel „Merchants”. Żałuję, że nie znam całej ich historii.

- Ja też.

- Pan musi być krewnym Annette Rutledge. Pani Rutledge przysłała mi wspaniałą kolekcję rodzinną fotografii Dunstanów. Przykro mi to powiedzieć, ale od jakiegoś czasu nie możemy ich znaleźć. Na pewno wkrótce na nie trafię.

Powiedziałem, że pani Rutledge to ciotka mojej matki i z radością ujrzy swoje zdjęcia na wystawie. Wyraziłem nadzieję, że Hugh zechce mi pomóc.

- Oczywiście. - Obejrzał się na stertę akt. - Czy mógłby pan... hm...

Wziąłem połowę sterty i poszedłem za nim do ciemnego biura. Na długim biurku dwa komputery stały naprzeciwko siebie jak gracze.

- Znajdziesz tu akt ślubu? - spytała Laurie.

- I metrykę też. Miesiącami starałem się tu zaprowadzić porządek, ale i tak jeszcze nie skończyłem. - Włączył górne światło. - Potem zajmę się gabinetem administratora. To będzie koszmar.

- To będzie raj i dobrze o tym wiesz - odparła Laurie. - Więc co z Nedom?

Coventry spojrział na mnie, jakbym spadł z nieba. Zapomniał o moim istnieniu.

- Interesuje pana akt ślubu matki? Czy powstało jakieś nieporozumienie? - Zamrugał. - Nie chcę być nachalny, pan rozumie.

- Nieporozumienie to właściwe słowo. Moja matka nazywała się Valerie Dunstan. Dała mi swoje nazwisko, choć była mężatką. Tuż przed śmiercią powiedziała, że mój ojciec nazywał się Edward Rinehart. Będę wdzięczny za każdą informację.

Coventry podszedł do komputera i wcisnął guzik. Zapatrzył się w ekran jak chłopiec zafascynowany kolejką elektryczną. Laurie stanęła za jego ramieniem.

- Jak się tu wejdziesz, można zdobyć informacje ze wszystkich okręgów.

- Nic dziwnego, że wszyscy cię kochają. Zarumieniony Coventry przeniósł na mnie wzrok.

- Kiedy pańska matka wzięła ślub?

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym. Przesunął myszką i dwa razy kliknął klawiszem.

- V-A-L-E-R-I-E?

Przytaknąłem. Laurie przysunęła się o krok i położyła mu rękę na ramieniu. Coventry kliknął myszką i pochylił się.

Laurie zmarszczyła brwi.

- To niemożliwe. Coventry obejrzał się na mnie.

- Zna pan człowieka nazwiskiem Donald Messmer?

- Bo co?

- Zgodnie z tym dokumentem Donald Messmer poślubił Valerie Dunstan dwudziestego piątego listopada 1957 roku. Ceremonię prowadził sędzia pokoju Peter Bontly, świadkowie: Lorelei Bontly i Kenneth Schermerhorn.

- Coś się nie zgadza - powiedziała Laurie. - Jego ojciec nazywał się Edward Rinehart.

Coventry wykonał myszką mnóstwo manewrów.

- Metryka powinna zdradzić coś więcej. Kiedy się pan urodził?
- Dwudziestego piątego czerwca 1958 roku.
- Niedługo ma pan urodziny. - Uśmiechnął się. - Wszystkiego najlepszego, na wypadek gdybyśmy się do tego czasu nie spotkali.

Podziękowałem.

- Pełne imię i nazwisko?
- Ned Dunstan.

Coventry zamrugał powiekami.

- Czy Ned nie jest na ogół skrótem od Edward? Nie ma pan drugiego imienia?

- Tylko Ned Dunstan.

- Bardzo rozsądnie. Ale jeśli czuje pan niedosyt, proszę sobie wybrać któreś z moich, dobrze? Ma pan do wyboru: Jellicoe, York i St. George. Polecam Jellicoe. Ma sympatyczne dziewiętnastowieczne brzmienie.

Laurie cofnęła rękę z jego ramienia.

- Naprawdę nazywasz się Hugh Jellicoe York St. George Coventry?

- To był jedyny sposób, żeby pozostać w dobrych stosunkach z krewnymi.

- Mój ojciec też tak miał. Jego imiona ciągnęły się jak książka, telefoniczna, ale sam nazywał się zawsze tylko Yves D'Lency.

Hugh Jellicoe York St. George Coventry złożył ręce na sprzączce paska i uśmiechnął się, wznosząc ku niej twarz.

- Nie szukałeś metryki Neda?

- Och, faktycznie! Przepraszam, Ned.

- Wybieram St. George - oświadczyłem. - Ma sympatyczne dwudziestowieczne brzmienie.

Hugh nacisnął klawisz i znowu odchylił się na krzesło.

- Nie powinno potrwać dłużej niż parę sekund. - Czekaliśmy przez chwilę. - No i już. - Poprawił się na krzesło, pochylił ku ekranowi i oparł brodę na dłoni.

- Nie rozumiem - odezwała się Laurie.

- Nie trzymajcie mnie w niepewności - powiedziałem.

Coventry odkasznął.

- Nazwisko dziecka: Ned Dunstan. Data urodzin: dwudziesty piąty czerwca 1958 roku. Czas: trzecia dwadzieścia. Miejsce: szpital Świętej Anny. Waga: trzy kilogramy dwadzieścia gramów. Wzrost: dwadzieścia pięć centymetrów. Nazwisko matki: Valerie Dunstan. Nazwisko ojca: Donald Messmer. Nazwisko lekarza: brak. Nazwisko akuszerki: Hazel Jansky. - Obejrzał się na mnie. - W latach pięćdziesiątych akuszerki odbierały ponad połowę porodów w szpitalu Świętej Anny. Osoba Hazel Jansky ciągle się powtarza.

- Kto spisuje te metryki? - spytała Laurie.

- Pracownicy szpitala, ale nazwisko ojca uzyskali od matki.

Zawahał się z wrodzonej delikatności.

- Nie zranisz moich uczuć - powiedziałem.

- Małżeństwo zawiera się na podstawie dowodu tożsamości. Nawet sędzia pokoju nie udzieli ślubu, dopóki nie zobaczy prawa jazdy i metryki. Jednak... nie wiem, co o tym pomyślisz, ale kobieta w ciąży może poślubić innego mężczyznę. Po porodzie ma prawo przypisać ojcostwo swemu mężowi. Rozumiesz?

- Może i tak.

- Czuję się nieswojo, że to mówię, ale jeśli podała ci nazwisko ojca, a w dokumentach pojawia się inne nazwisko...

- To ma sens - przyznałem. - Teraz musimy już iść, ale czy moglibyśmy się znowu spotkać? Chciałbym sprawdzić jeszcze kilka innych rzeczy.

- Może jutro rano? Drzwi będą zamknięte, ale jak się będziesz dobi-
jać, usłyszę.

Laurie pocałowała go w czubek głowy.

- Jesteś skarbem.

- Laurie?

- Tak?

- Może kolacja? Albo kino? Albo kolacja i kino?

- Nie dziś. Ale kochany jesteś.

45.

- Absurd. Twoim ojcem nie mógł być jakiś Donald Messmer.
- Hugh dobrze pomyślał. Była w ciąży. I nigdy nie przejmowała się dokumentami.

- Musimy się skontaktować z tym Messmerem. - Obróciła kluczyk w stacyjce. - Posy Fairbrother, niania Cobbiego, ma płytę CD z adresami i telefonami w tysiącach miast. To dokąd jedziemy?

Pokazałem jej skrawek papieru. Wyboiste pismo Toby'ego układało się w słowa Max Edison i Dom Weterana, Mount Vernon.

- To daleko, co?

- Trochę, ale możemy pojechać autostradą. Mamy mnóstwo czasu, jeśli nie zostaniemy dłużej. Po drugiej stronie Marion jest miła knajpka.

Włączyliśmy się do ruchu i skierowaliśmy się na autostradę.

- Skąd masz to nazwisko? Czy Max Edison zna twojego ojca?

Powiedziałem, czego dowiedziałem się o nim od Toby'ego Krafta, właściciela lombardu na Lanyard Street, drugiego męża mojej babki Queenie Dunstan.

- Kiedy wyszliśmy z „Le Madrigal”, poszedłem do Toby'ego.

- Aha.

- Woli pozostać w cieniu. Dał mi to nazwisko pod warunkiem, że zapomnę o naszej rozmowie.

Laurie skręciła na wjazd na autostradę.

- Twój ojciec nazywał się Yves D'Lency i polował na lwy?

- Nie całkiem. To długa historia, nie chcesz jej znać.

- Sprawdźmy.

Yves D'Lency był uwodzicielskim zabijaką z arystokratycznej rodziny posiadającej majątek w Gaskonii i wspaniałą kolekcję dzieł sztuki. Jako osiemnastolatek uciekł do powojennego Paryża, gdzie rzucił się w świat literatury i sztuki. Utrzymywał się z dziennikarstwa i

handlu dziełami sztuki. Nauczył się pilotować samoloty, prowadził samochody wyścigowe. Pod koniec lat pięćdziesiątych wyjechał do Los Angeles, gdzie już miał kilku klientów, którzy ufali jego artystycznemu gustowi. Poślubił matkę Laurie i kupił dom w Beverly Hills. Urodziła się Laurie i przez siedem lat wszystko było dobrze. Potem umarł. Laurie nadal miała dwa obrazy z jego prywatnej kolekcji.

- Jak umarł?

Jej spojrzenie stało się niemal drapieżne.

- Leciał z lotniska w San Fernando Valley na spotkanie z przyjacielem w Carmel. Małą cessäną. Silnik zepsuł się na północ od Santa Barbara. Spadł, a wraz z nim wszystkie króla konie i żołnierze.

Jej prawa ręka uniosła się z kierownicy i opadła.

- Miałaś siedem lat.

- Od tego czasu na widok cessäny zawsze chce mi się wymiotować. - W oku znowu jej błysnęło. Wyprostowała się i zsunęła w głąb siedzenia.

- Opowiedz, jak poznałaś Stewarta Hatcha.

Pięć lat temu pewien dość atrakcyjny mężczyzna koło czterdziestki stanął koło Laurie D'Lency w trakcie imprezy w domu i w ogrodzie pewnego dyrektora filii NBC w San Francisco. Stewart Hatch był znajomym dyrektora stojącego o parę szczebli wyżej od właściciela domu; nie był pozbawiony wdzięku ani zbyt stary, ale jej nie zainteresował, zwłaszcza kiedy się przyznał, że jest biznesmenem z jakiejś zapadłej miejsciny w Illinois. Laurie, która od trzech lat zajmowała się drugorzędnymi tematami w dzienniku, wreszcie poczuła, że ma szansę pobicia konkurencji, dwóch innych młodych kobiet szalejących na imprezie jak sympatyczne huragany. Bogacz z Illinois mógł być równie dobrze czarną dziurą gdzieś w odległej galaktyce.

Stewart Hatch ponownie zmaterializował się pod koniec przyjęcia i zaproponował, że odwiezie ją do domu swoją limuzyną. Przyjaciele, z którymi przybyła na imprezę, gdzieś zniknęli, a alternatywą dla

limuzyny była taksówka. Toteż Laurie się zgodziła.

Od tego dnia Hatch rozpoczął oblężenie. Wysyłał kwiaty, dzwonił dwa, trzy razy dziennie z limuzyny, między zebraniem, z apartamentu. Nosił swetry i bluzy od Neimana Marcusa, a podczas ostatniego wieczoru w San Francisco zabrał Laurie do „Il Postrio”. Podczas kolacji zaskoczył ją oświadczeniami. - Kurczę, ależ bajerował.

- Przecież nie zgodziłaś się za niego wyjść przy kolacji w „Il Postrio”? No, chyba że jeszcze nigdy w życiu nie jadłaś takich fantastycznych dań, a Stewart zamówił parę butelek świetnego szampana.

- Roederer Cristal. Wyjaśnił mi z wielkim naciskiem, że jest to coś w rodzaju świętego Graala. Dzieci z krajów Trzeciego Świata rzuciłyby się w przepaść za jedno spojrzenie na taką butelkę. My mieliśmy dwie. A jedzenie było doskonałe. Ale odmówiłam. Czy to go zniechęciło? Stewart nie zna takiego słowa.

46.

W restauracji po drugiej stronie Marion starszy kelner podał nam karty dań dłuższe niż te w „Le Madrigal” i spytał, czego się napijemy.

- Kieliszek tego dobrego bordeaux - powiedziała Laurie, a ja dodałem, że chcę to samo.

- Zwykle nie piję przy obiedzie - wyznałem po jego odejściu. - Robię się śpiący.

- Jeden kieliszek to żadne picie. Więc powiedz, dlaczego Toby Kraft był taki tajemniczy z tym Maxem Edisonem? Coś razem zmalowali? Chodzili z karabinami w futerałach na skrzypce?

- Toby sugerował, że dawno temu w coś tam się wmieszał.

- Ostatnio, gdzie tylko spojrzę, widzę samych przestępców. - Rzuciła mi krótki, smutny uśmiech.

- Więc jak Stewart cię namówił?

- Staroświeckimi sposobami. Tak długo mnie prześladował, padalec, aż się w nim zakochałam. - Opisała natarczywą strategię uwodzicielską opartą na rozmowach międzymiastowych, storczykach i kosztownych strojach oraz częstych wizytach. Hatch obiecał jej bujne, ciekawe życie - wycieczki do Nowego Jorku i Europy, bogate życie towarzyskie w domu.

- Pomyślałam, że zdołam wejść do tych rad, zarządów i komitetów, o których tyle mówił. Wydawało mi się, że to fajne życie, pełne zajęć i dobrych uczynków.

- Co poszło nie tak?

- Nic takiego się nie wydarzyło. Stewart wyjeżdżał z miasta beze mnie. Nie mogłam brać udziału w obradach komitetów, bo nie wiedziałam dostatecznie dużo o Edgerton. Poza tym Stewart chciał natychmiast syna. Nie dziecko, syna. Jego dziadek, Carpenter, ustanowił taki skomplikowany fundusz powierniczy, z którego pieniądze przekazuje się pierworodnemu synowi, jak w średniowieczu. W końcu połapałam się, że ożenił się ze mną, żeby mieć potomka i zrobić wrażenie na przyjaciółach. Tylko tyle.

Szczegóły tego wyjątkowego funduszu były tak skomplikowane, że zapomniałem o nich prawie natychmiast. Natomiast zrozumiałem, że ojciec Stewarta, Cobden Hatch, zmodyfikował warunki funduszu w taki sposób, że dowody przestępczej przeszłości spadkobiercy uniemożliwiały mu dziedziczenie. Najwyraźniej jego brat - czarna owca wprawił rodzinę w zakłopotanie.

Kelner postawił przed nami talerze.

- Innymi słowy - powiedziała Laurie - jeśli Stewart zostanie skazany za defraudację, oszustwo podatkowe czy coś w tym guście, Cobbie dostanie wszystko. A jakby to było dla mojego drogiego męża niedostatecznym powodem, żeby odmówić mi rozwodu albo zażądać opieki nad dzieckiem, jeśli jednak ten rozwód dostanę - od nowego roku jego dziadek przekaze kontrolę nad funduszem aktualnemu spadkobiercy.

- Nie masz wątpliwości, że Stewart jest winny?

- Żadnych.
- Nie rozumiem. Przecież ryzykowałby wszystko.
- Nie znasz Stewarta. Cokolwiek zrobił, załatwił to poza granicami stanu, przez nieistniejące firmy z kontami w Indiach Zachodnich. Jestem pewna na sto procent, że wyjdzie z tego cało.
- Ale dlaczego w ogóle to zrobił?
- Bo jest chciwy, niecierpliwy i chce wszystko od razu^ I na pewno z rozkoszą zagra na nosie dziadkowi. Stewart jest smakoszem zemsty.
- Laurie zajęła się drugą stroną ryby; uniosła cały filec z małym białym szkielecikiem.
- Żałuję, że nie jestem taka, jak twoja przyjaciółka Ashleigh. Za dziesięć lat będzie prowadzić własną kancelarię. Moja kariera jest już skończona. Teraz moim jedynym prawdziwym celem w życiu jest wychowanie Cobbiego, a Stewart robi wszystko, żeby mi go odebrać.
- Prawdę mówiąc, Ashleigh chciałaby być taka jak ty. Kiedy mężczyźni na nią patrzą, chcą ją zawlec do swojej jaskini. Kiedy patrzą na ciebie, chcą ci paść do stóp.
- To musi być cudowne. - Uśmiechnęła się do mnie. - Opowiedz mi o Cherry Street. Opowiedz mi o matce.

Podczas dalszej podróży Laurie spełniła moją prośbę i opowiedziała mi o smutnych kolejach swego losu po śmierci ojca. Jej matka wyszła za producenta filmowego z Bel Air, znajomego D'Lencych. To, co miało być bezpieczną przystanią, stało się więzieniem. Patologicznie zazdrosny producent nie wypuszczał jej z domu bez przyzwoitki. Nie ufał swoim pracownikom, wyrzucał ich, zatrudniał nowych i także ich wyrzucał, aż została mu tylko gospodyni, tak stara i zgorzkniała, że nadała się jedynie do pełnienia funkcji jego psa obronnego. Matka Laurie zaczęła pić. Producent wysłał pasierbicę do szkoły katolickiej znanej z surowej dyscypliny. Pewnego dnia, gdy przeszukiwał jej komodę, znalazł w puszcze na film marihuanę.

Wysłał Laurie do prywatnej instytucji dla trudnej młodzieży. Przez pół roku mieszkała z szesnastoletnią aktorką i widywała się tylko z nauczycielami, doradcami, psychiatrami i dilerami narkotyków, którzy przychodzili do aktorki. Po powrocie do domu zastała matkę wpychającą ubrania do walizek. Producent wniósł sprawę o rozwód i wynajął im mały domek koło Hancock Park.

Alimenty od producenta z trudem wystarczały na życie. Laurie poszła do liceum i usiłowała się zaopiekować matką, która ukrywała litrowe butelki wódki za muszlą klozetową, pod poduszkami krzeseł i w każdym innym miejscu, które wydało się jej dobrą kryjówką. Zmarła w lecie, po maturze Laurie. Laurie skończyła studia dzięki stypendium i dodatkowej pracy.

- I tu moja historia się kończy, ponieważ po lewej widzimy Dom Weterana.

47.

Podjazd zmierzał łukiem w stronę wzgórza w oddali, gdzie nad szczytami dębów i buków widniał budynek. W połowie drogi mężczyźni w lekkich ubraniach lub szlafrokach siedzieli przy piknikowych stołach lub przechadzali się po trawnikach, niektórzy prowadzeni przez pielęgniarki. Kamiennoszare buki rzucały długie cienie na parking.

Wewnątrz budynku wąski korytarzyk prowadził do holu z kontuarem, kilkoma drzwiami i paroma windami. Wszystko było pomalowane na zielono, jak zwykle w budynkach rządowych, a w powietrzu wisiał zapach środka dezynfekcyjnego.

- Gdzie jest obsługa, kiedy się jej potrzebuje? - mruknęła Laurie.

Nad blatem kontuaru pojawił się urzędnik, zbyt stary na swoją kozią bródkę i kucyk.

- W czym pomóc?

Powiedziałem, w czym może pomóc.

Zastanowił się.

- Edison, jak ten od żarówki?
- Max, jak ten od „na maksa”.

Na trzecim piętrze chudy sanitariusz w zielonych spodniach i bluzie oparł krzesło o ścianę, założył ręce za głowę i zamknął oczy. Siedział przed pokojem, w którym zaciągnięto zasłony i gdzie z tuzin mężczyzn oglądało telewizję. Kiedy Laurie Hatch i ja podeszliśmy do niego, opuścił ręce i poderwał się z krzesła. Miał co najmniej dwa metry wzrostu i był chudy, niemal kościsty, jak wielu bardzo wysokich mężczyzn.

- Szuka pani czegoś - spytał z prowincjonalnym akcentem - czy chodzi o coś innego?

Laurie powiedziała, że chciałaby porozmawiać z panem Edisonem.

- Z Maxem? Ogląda telewizję. zara mu powiem, że goście przyszli.

Zniknął w migoczącej ciemności.

- Goście przyszli - szepnęła Laurie.

Parę sekund później z pokoju wyłonił się niski, szczupły pan koło siedemdziesiątki z krótko przystrzyżonymi siwymi włosami, schludną białą bródką i okularami w stalowej oprawie, otaczała go aura idealnego spokoju. Przyjrzał się nam z żywą ciekawością; kiedy spojrzał na mnie, w jego oczach mignęło zaskoczenie. Miał tę doskonałą skórę koloru ciemnej czekolady, która aż do dziewięćdziesiątki opiera się zmarszczkom, nie licząc niewielkich kurzych łapek i paru linii na czole. Max Edison mógł być emerytowanym doktorem albo muzykiem jazzowym. Mógł być także kimś innym. Człowiek-patyczak wyszedł za nim.

- Pan Edison? - spytałem.

Podszedł do nas, przyglądając się nam z tą samą żywą ciekawością, po czym odwrócił się energicznie i spojrzał na patyczaka.

- Jervis, odprowadzę moich gości na dół.

Zaprowadził nas do małego pomieszczenia z jednym biurkiem i półkami pełnymi akt.

- Znacie mnie, ale chyba nie byliśmy sobie przedstawieni.

Przedstawiłem Laurie i siebie, a on uściśnął nam dłonie, nie okazując, czy nasze nazwiska coś mu mówią. Dżinsy miał zaprasowane w kant, koszulę świeżą, buty błyszczące. Zaciekawilo mnie, jak się utrzymuje taki fason w Domu Weterana.

- Mam nadzieję, że przyszlście mi powiedziec o glównej wygranej na loterii.

- Nic z tych rzeczy - odparłem. - Chcę pana spytać o kogoś, kogo mógł pan kiedyś znać.

- Dlaczego?

- Powiedzmy, że ze względu na sprawy rodzinne.

Odprężyl się i jakby uśmiechnął, choć się wcale nie uśmiechał; potwierdziłem jego domysły.

- Czy nazwisko Dunstan coś panu mówi?

Założył ręce na piersi, nadal uśmiechnięty bez uśmiechu.

- Skąd się dowiedzieliście, gdzie mnie szukać?

- Od kogoś, kto chce pozostać anonimowy. Kiedy spytałem go o osobę, którą może pan znać, podał mi pańskie nazwisko.

- Robi się coraz ciekawiej. Kiedyś znałem mężczyznę, który poślubił kobietę o nazwisku Dunstan.

- To możliwe.

- Przystaniecie się podpuszczać? - wtrąciła Laurie. - Przecież on wie, że to Toby Kraft.

Edison i ja spojrzeliśmy na nią, potem na siebie. Wybuchnęliśmy śmiechem.

- Co?

- No, to by było tyle - powiedziałem.

- Ale wiedziałeś, że to on?

- Chciał pozostać anonimowy - dodał Edison.

- Zepsułam wam zabawę. Ale pan Edison mógłby nam już powiedzieć o osobie, o którą chcesz go zapytać, a ja mam tylko godzinę, a potem muszę wracać.

- Mógłby pan? - zwróciłem się do Edisona. - Czy już pan wie?

- Powiedz mi, żebym nie musiał zgadywać.
- Edward Rinehart.

Edison obejrzał się na drzwi i z nieco mniejszą pewnością siebie spojrzął na mnie.

- Odetchnijmy świeżym powietrzem. Pod tamtymi drzewami jest tak ładnie, że prawie człowiek zapomina, gdzie się znajduje.

- Toby Kraft. Nazywałem go pan Na Lewo, bo taki był.

Max Edison odwrócił się w stronę wysokich buków i podłużnego zielonego trawnika, który ciągnął się ku drzewom od naszego stołu. Zasłonił oczy ciemnymi okularami, a nogi w dżinsach o kantach ostrych jak brzytwa wyciągnął przed siebie, skrzyżowane w kostkach. Jeden łokieć oparł na blacie stołu. Wyglądał, jakby przysiadł się tylko na chwilę.

- Wróciłem z wojny ranny w nogę, przez co nie mogłem wykonywać ciężkiej pracy. Dlatego zamiast jednej dużej roboty miałem sporo małych. Zamiatanie, mycie okien, prowadzenie taksówki. Po jakimś czasie pewne osoby uznały, że jestem godny zaufania.

Odwrócił się do mnie.

- Wiesz, co mam na myśli?
- Że zrobisz, co masz zrobić, i będziesz trzymać buzię na kłódkę.
- Toby Kraft poprosił mnie, żebym mu pomagał w lombardzie

przez trzy dni w tygodniu. Wiedziałem, że na zapleczu robi więcej interesów niż od frontu. Nie oskarżam go o nic, sam rozumiesz, ale kiedy dał ci moje nazwisko, wiedział, że trochę będę ci musiał powiedzieć. Skoro mam mówić o panu Edwardzie Rineharcie...

Skinąłem głową.

Edison zwrócił czarne szkła na Laurie.

- Nie musi pani słuchać, jeśli to pani nie interesuje.
- W takiej chwili? Musiałbyś mnie przegonić batem.

Uśmiechnął się, rozkrzyżował nogi i odwrócił się twarzą do nas. Oparł ręce o stół. Splótł dłonie.

- W każdym mieście wielkości Edgerton jest pan Na Lewo. Wie, do kogo uderzyć, jeśli ci czegoś potrzeba, zna nazwisko faceta, który ci może pomóc.

- Cenna znajomość.

- Pan Na Lewo jest jak centrala telefoniczna. Ma pełno kabli. A z tych kabli ma mnóstwo informacji. Jak się raz zacznie, trzeba ciągle smarować, bo się daleko nie zajedzie. A inni zaczynają zwracać na ciebie uwagę.

- Policja?

Pokręcił głową.

- Gliny są ustawione od samego początku. Nie chcą, żebyś trafił do paki, chcą cię widzieć na ulicy, gdzie się na coś przydasz.

- To jacy inni? - spytała Laurie.

Edison położył płasko ręce na stole i przechylił głowę, by spojrzeć w korony wielkich buków.

- Jakiś rok po tym, jak zacząłem pracować na część etatu dla Toby'ego, zjawiał się u niego pewien debil - Clothard Spelvin. Nazywali go Kloc, bo głupi był taki, że kloc by go przechytrył. Czarny, choć z jasną skórą, i paskudny sukinsyn. Proszę mi wybaczyć, droga pani.

- Nie szkodzi.

- Dziękuję. I powiada tak: „Max, nie musisz tu już pracować. Pewien pan chce się z tobą widzieć”. Poszedłem na zaplecze i pytam Toby'ego: „Dla kogo pracuje ten palant? Mam iść razem z nim?”. Toby na to: „Nic ci nie będzie, wszystko załatwione”. Wpuścił nas do magazynu i otworzył tylne drzwi. Na ulicy stał wielki cadillac. Granatowy. Taki nawoskowany, że świeciłby się nawet o północy podczas zaćmienia księżycy. Kloc dał mi klucze i mówi: „Jedź na północ starą autostradą numer 4”. Za granicami miasta wskazał gospodę. Całkiem pusta, tylko przy barze siedział jakiś bandzior, a na sali jeden mężczyzna. Ten mężczyzna to był mój nowy szef, pan Edward Rinehart. Przez siedem lat, dniem i nocą, woziłem go, gdzie zechciał.

- Słowo daję - powiedziałem. Laurie siedziała z rękami na podolku i wodziła wzrokiem między nami jak na meczu tenisa. Kiedy znowu

mogłem mówić, udało mi się wybełkotać nie mniej idiotycznie: - No proszę.

Edison nie potrafił całkowicie ukryć zadowolenia.

- A myślałeś, że po co Toby podał ci moje nazwisko?

- No to jaki był? - wybuchnęła Laurie, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

Max Edison zaczekał, aż oprzytomnieję.

- Był gangsterem? - spytałem wreszcie.

- Może nie ma organizacji gangsterskich. Może dziennikarze to wszystko wymyślają. Ale jeśli są, to czy można do nich wstąpić, jeśli nie jest się Włochem? Albo lepiej, Sycylińczykiem? Pan Rinehart pracował sam.

- Więc co robił?

- Kiedy się odszuka pana Na Lewo, w końcu okazuje się, że jest także pan Na Prawo. Jest ważniejszy od pana Na Lewo, ale niewielu o nim wie. Jeśli przypadkiem jesteś zawodowym kryminalistą, pewnego wieczora otrzymujesz zaproszenie do hotelowego pokoju. Krewetki, pieczeń, kurczaki, cokolwiek zamarzysz, wszystko dla ciebie. Gorzały do wyboru, do koloru i mnóstwo lodu. Światła przygaszone. I jest już trzech, czterech podobnych do ciebie gości. Daleko od was, tak że nie widzicie jego twarzy, w wielkim wygodnym fotelu siedzi pan Na Prawo. Przynajmniej ze dwóch facetów w pokoju robi taką minę, jakby go znali.

Kiedy wszyscy się już odprężą, pan Na Prawo wyjaśnia, że teraz nie zrobisz już nic bez jego wiedzy. Jedna trzecia twoich zarobków idzie prosto do niego. Chcesz wyjść, ale on zaczyna wyjaśniać, dlaczego ci się to opłaca. Pokryje wszystkie koszty. Dostarczy tyle roboty, że nadrobisz tę jedną trzecią z górką. Robota będzie miła i opłacalna, a jedyny problem możesz mieć z sercem, jak zobaczysz taką kasę. I będzie jeszcze więcej. Poza tym nigdy nie spotka cię ta nieprzyjemność, że się włamiesz do mieszkania, które już jest obrobione do czysta. I co powiesz?

- Gdzie się mam podpisać?

- Edward Rinehart był panem Na Prawo? - spytała Laurie.

Edison zdjął okulary i pochylił się ku nam. Oczy miał zadziwiająco jasne, niezwyklej odcień płowego beżu z zielonymi plamkami. Białka miały nieskazitelną biel świeżo upranych prześcieradeł.

- Słyszałeś, żebym to powiedział? - Spojrzał na mnie tymi nieprzeniknionymi oczami. - Słyszałeś?

- Tak sugerowałeś.

Zasłonił oczy okularami.

- Pan Rinehart nie sprawia wrażenia człowieka, który mógłby napisać książkę - dodałem.

Edison opuścił głowę i spojrzał na mnie. Pomyślałem, że znowu zrobi numer z okularami.

- Jaką książkę? - podchwyciła Laurie. - O książce nic nie mówiłeś.

- Matka przysłała ją do domu, z kopertą i kluczem.

- Czytałeś ją? - spytał Edison.

- Jeszcze nie. A pan?

- Pan Rinehart dał mi egzemplarz, ale gdzieś mi się zgubił. Masz rację, nie wyglądał na człowieka, który będzie siedział i pisał. Ale pan Rinehart nigdy nie robił nic zwyczajnego. Przede wszystkim w chwili wydania tej książki wycofał się z interesu. Od czasu do czasu kazał się gdzieś wozić, ale w zasadzie dał sobie spokój. Powiedział, że ma misję. Mawiał, że swymi opowiadaniem chce pokazać ludziom niekłamana prawdę o świecie.

- Rozmawiał z tobą w samochodzie? - chciała wiedzieć Laurie.

Wyszczrzył zęby.

- Przez siedem lat woziłem go po nocy, a on siedział i nadawał. Gdyby był kaznodzieją, jego nabożeństwa trwałyby dniami i nocami.

W jego śmiechu nadal pobrzmiwała niewiara w to, co usłyszał z tylnego siedzenia cadillaca.

- O czym mówił?

- O prawdziwej naturze wszechświata. I o swojej książce. Jeśli każdy pisarz przechodzi przez takie męki jak on, to się cieszę, że byłem zsoferem.

Po odmowie znanego nowojorskiego wydawnictwa Rinehart postanowił wydać książkę za własne pieniądze. Chicagowska drukarnia „Druk i Oprawa”, specjalizująca się w oprawianiu książek bibliotecznych, wysłała dwieście egzemplarzy do Edgerton. Rinehart przechował je w magazynie w Hatchtown. Przez sześć tygodni Max Edison ładował kartony do bagażnika cadillaca i woził swego pracodawcę od księgarni do księgarni aż po Springfield. Przeważnie przyjmowały po dwa, trzy egzemplarze. Rinehart nie zapłacił za nie podatku, nie interesował się także zyskami. Nie chodziło mu o zarobek; chciał, żeby książka była dostępna, kiedy zaczną się pojawiać entuzjastyczne recenzje, których był całkowicie pewny. A gdy książka zyska rozgłos, jeszcze raz mógł ją zaproponować nowojorskiemu wydawnictwu.

Książka została rozesłana. Pierwszym dwudziestu egzemplarzom, przesłanym do gazet i magazynów, które Rinehart uznał za najbardziej się liczące, towarzyszył trzystronicowy list. Pięćdziesiąt tytułów uznanych za pośledniejsze otrzymało jednostronicowe oświadczenie. Do brukowców wysłano zaledwie notatkę.

Minęły trzy miesiące bez reakcji ważnych i średnio ważnych periodyków. Milczały szmatławce, z których strony Rinehart spodziewał się okrzyków zachwytu. Dwa miesiące później zirytowany autor rozesłał listy, w których przypominał siedemdziesięciu wydawcom o ich powinnościach względem literatury. Żaden nie odpowiedział.

Dziewięć miesięcy później „Weird Tales” ustawił „Z otchłani” pod ścianą i dokonał na niej publicznej egzekucji. Osiem kolumn na czterech stronach potępiło książkę Rineharta za wtórność, operowanie schematami i autoparodię. W całej recenzji rozbrzmiewał zabójczy śmiech.

Rinehart dostał szału.

- Bez przerwy nosił przy sobie tę recenzję. W samochodzie, kiedy byliśmy sami, odczytywał ją na głos. Słyszałem ją chyba ze sto razy. Pan Rinehart myślał, że ludzie z tego pisma będą zachwyceni. Przez

całe tygodnie usiłował sobie wmówić, że tak naprawdę są zachwyceni, a recenzja robi złe wrażenie tylko na tych, którzy nie rozumieją. Potem się poddał i zaczął mi mówić, że autor tej recenzji jest idiotą, że każdy normalny człowiek dostrzegłby wspaniałość jego książki. Wydaje mi się, że nigdy o tym nie zapomniał. A zaraz potem wycofał się z branży.

- Spotykałeś go od tego czasu?

- To nie jest człowiek, co by pozostawał w kontakcie. Zresztą zaliczyłem krótką odsiadkę w Greenhaven.

Zdjął okulary i położył je złożone na stole.

- A potem, patrzcie państwo, ten Kloc Spelvin, co to o nim mówiłem, dał się przyłapać na jakiejś dupereli, pani wybaczy, co wcześniej byłoby nie do pomyślenia. Jak tylko znalazł się za kratkami, zaczął spać i pan Rinehart został aresztowany.

- Edward Rinehart poszedł do więzienia? - spytała Laurie.

- Dostał dziesięć lat. Byłem tam, kiedy go przyprowadzili. Zachowywał się, jakby był na pierwszorzędnej wycieczce do Paryża. Wiedział, że jego jedynym problemem w więzieniu będzie to, że musi w nim siedzieć, co przy jego znajomościach oznaczało, że mieszkał tak jak na wolności, tylko że w więzieniu. W Greenhaven robił wszystko, czego zapragnął, tylko że nie mógł wyjść na wolność. Załatwił mi dobrą pracę w bibliotece i niemal co tydzień przysyłał mi smaczną włoską kolację. Odkąd zamieszkał w pudle, papierosów i whisky mogłem mieć pod dostatkiem, choć nie wykorzystywałem tego przywileju.

- Whisky i włoskie jedzenie w więzieniu? - zdziwiła się Laurie.

- Ale to i tak było więzienie. Wyszedłem w listopadzie 1958. A niespełna dwa lata później wybuchł tam wielki bunt. Kiedy weszli żołnierze, na podwórzu leżało dwanaście trupów, a między nimi pan Rinehart. Leży tam, na cmentarzu w Greenhaven. To dobre miejsce dla niego.

- Co? - spytała Laurie. - Ach, ty się go bałeś.

Edison uśmiechnął się z wolna.

- Czasami mi się wydaje, że dalej się go boję.

Nic nie powiedzieliśmy.

W piaskowych oczach Edisona zaśniło odległe rozbawienie.

- Wierście lub nie, mnie tam wszystko jedno. Parę razy, kiedy jechałem całkiem sam w miejsce, gdzie miał na mnie czekać pan Rinehart, zdarzyło się, że z tyłu rozlegał się trzask zapalniczki, a w lusterku błyskał ognek.

To pan Rinehart zapalał papierosa. „Przepraszam - mówił. - Nie słyszałeś, jak wsiałem?”. Ale ja wiem, że drzwi się nie otworzyły. Jak mógłbym tego nie słyszeć?

Pewnego razu, tak jakoś o trzeciej albo czwartej nad ranem, zawiozłem go do Mountry na spotkanie z jakimś Tedem Brightem w budynku na tyłach warsztatu samochodowego. Zatrzymaliśmy się, a on powiada: „Schowaj się i nie wstawaj, dopóki nie wrócę”. Obejrzałem się przez ramię i albo oślepiłem, albo siedzenie nauczyło się mówić, bo pana Rineharta tam nie było. Schyliłem się nisko pod kierownicę, tak że trzeba by zajrzeć przez okno, żeby mnie zobaczyć. Od strony maski rozległy się kroki - dwaj mężczyźni szli powoli i ostrożnie. Jeden powiedział: „To jego samochód”. A drugi: „No, to do roboty”. Nie dam głowy, że to, co usłyszałem, to były odbezpieczone karabiny, ale postawiłbym na to sto dolarów. Powiedziałem sobie: „Max, lepiej leć ubezpieczać pana Rineharta”. Już sięgałem do klamki, kiedy zrozumiałem, że kazał mi się schować, bo wiedział o tych dwóch.

- A ty miałaś broń? - spytała Laurie.

Kiwnął głową.

- Kiedy byłem szoferem pana Rineharta - miałem. Ani razu z niej nie strzeliłem. Nawet nie wyjąłem z kabury, choć tamtej nocy niewiele brakowało. Przy panu Rineharcie najmądrzej było zamknąć gębę i wypełniać rozkazy, ale nie miałem pewności, czy wie, co się kroi.

Czekałem może minutę. Nic nie słyszałem. Postanowiłem uchylić drzwi, wysliznąć się na zewnątrz i na wszelki wypadek przycząić.

I raptem rozpętało się takie piekło, że umarłego by obudziło. Jedną ręką chwyciłem klamkę, drugą złapałem gnata. Tuż przede mną na maske poleciał Ted Bright, od szyi do pasa we krwi. Zsunął się i upadł. Spojrzałem na budynek. W otwartych drzwiach twarzą do ziemi leżał jakiś trup. Drugi obok, do połowy schowany w budynku. Jeszcze jeden na podłodze w głębi. Istna rzeźnia. A za moimi plecami ktoś odchrząknął. Omal nie wyskoczyłem z kapci, a to pan Rinehart siedzi z tyłu. „Wracajmy do cywilizacji”, mówi.

- Spytał go pan, co się stało? - chciała wiedzieć Laurie.

- Proszę pani... - Edison włożył okulary. - Nawet gdyby zechciał powiedzieć, ja nie chciałem tego słyszeć. Jak wróciłem do domu, wychląłem butelkę bourbona bez lodu i wody. Następnego dnia w radiu mówią, że pewien biznesmen, znaczy się Theodore Bright, został zamordowany, gdy usiłował zbiec porywaczom. Historia dobra jak każda inna. Pan Theodore Bright sam był sobie winien.

- To prawda? - spytałem.

- Ja tam byłem i też nie wiem, czy to prawda. Mówię wam, że pan Edward Rinehart to jednoosobowe żywe Halloween.

- Możliwe. Więc cmentarz to rzeczywiście dobre miejsce dla niego.

- Mówiliśmy o Klocu Spelvinie. Był w tym więzieniu, kiedy aresztowano pana Rineharta. Zamknięto go dwie cele dalej i tej samej nocy ktoś pociął Kłoca na kawałki. Nikt nie widział, żeby ktoś wchodził do jego celi lub z niej wychodził.

Edison wyjął spod stołu najpierw jedną, potem drugą nogę. Kosztowało go to trochę wysiłku.

- Dobra, kochani, przykro mi psuć zabawę, ale chcę wrócić do pokoju. - Wstał chwiejnie. - Może Toby wam nie wspominał: mam raka trzustki. Dają mi dwa miesiące, ale mam nadzieję utargować do pół roku.

Kiedy ruszył przez parking, prawie nie było widać, że cierpi.

48.

- Jakie niebezpieczeństwo?

Na każdym wzgórzu widziałem zarys miasta, w którym się urodziłem. W takich miastach nie powinno się spotykać ludzi w rodzaju Edwarda Rineharta. Rodziny takie jak moja - zakładając, że istnieją rodziny podobne do Dunstanów - także tam nie pasują.

-- Ani ty, ani Cobbie nie powinniście mieć nic wspólnego z tym Rinehartem. Zbyt ryzykowne. Wolałbym być synem Donalda Messmera.

- Cobbiemu i mnie nic nie może grozić ze strony zmarłego. A Donalda Messmera znajdziemy dziś wieczorem.

- Myślałem, że Stewart miał przywieźć Cobbiego.

- Potem. Posy wróci po piątej, a ja przyjadę po ciebie około szóstej. Mój syn ucieszy się na twój widok. Ciągłe pyta, czy Ned do nas przyjdzie w gości. Więc przyjdź do nas w gości, co? Posy i ja poczęstujemy cię kolacją, a ty mi pokażesz książkę Edwarda Rineharta.

Perspektywa była bardziej zachęcająca niż kolacja w Hatchtown i powrót do wynajętego pokoju. Lęk o bezpieczeństwo Laurie i jej syna wydał mi się nieracjonalny. Max Edison zamieszał mi w głowie.

- Ostrzegam cię, Cobbie każe ci słuchać swojej ulubionej muzyki, dlatego się przygotuj.

- Jaka to muzyka?

- Jak by to powiedzieć... Ma jakąś fiksację na punkcie ostatniej części „Estampes” Debussy'ego na fortepian, madrygału Monteverdiego „Confitebor Tibi” w wykonaniu angielskiej sopranistki i „Something's Gotta Give” Franka Sinatry. On po prostu nie może mieć czterech lat. Podejrzewam, że to trzydziestopięcioletni liliput.

- Czy ta angielska sopranistka to Emma Kirkby?

- Znasz ją?

Roześmiałem się z niedowierzaniem.

- Przywiozłem tę płytę ze sobą.

- W takim razie sprawa przesądzona. Przyjadę po ciebie o szóstej.

Dwadzieścia metrów przed nami pojawił się przydrożny znak oznaczający granice Edgerton, miasta o złotym sercu. Zjechał niżej, stopniowo coraz większy. Był już o pół metra, o dziesięć centymetrów, o milimetry. Śmignął nad maską samochodu i stał się płaskim, dwuwymiarowym pionowym paskiem równoległym do mojej głowy. Powietrze zadrżało, zgęstniało i zafalowało jak fatamorgana.

49.

Helen Janette wypadła na korytarz, ledwie zdążyłem postawić stopę na schodku. Jeśli koperta, którą trzymała, miała coś wspólnego z wyrazem jej twarzy, nie byłem ciekaw, co się w niej znajduje.

Pan Tite wyłonił się ze swoich drzwi jak figurka ze szwajcarskiego zegara. Kapelusz osłaniał mu nos, a gruzlasta szczeka robiła wrażenie twardej jak granit.

- Dziś rano przyniósł to dla ciebie jakiś policjant. - Helen Janette założyła ręce na piersi. - Nie podoba mi się, że na stoliku z korespondencją walają się jakieś koperty z policyjnym nadrukiem.

- Przedstawił się?

Pan Tite odchrząknął.

- Gość miał na nazwisko Rowley.

- Porucznik Rowley chciał to panu zwrócić. - Podała mi kopertę.

Otto Bremen huknął na mnie, zanim zdążyłem wsadzić klucz w drzwi. Machał do mnie z fotela przed telewizorem i wyglądał o wiele sympatyczniej niż moja gospodyni i jej wierny pies. Wszedłem do jego pokoju.

Bremen wyciągnął wielką, rozcapierzoną łapę.

- Ned Dunstan, tak? Otto Bremen, jakbyś zapomniał. - Piękny wąs najeżył się nad rozciągniętymi w uśmiechu ustami. - Siadaj.

W pokoju Bremena tłoczyły się krzesła, komody, stoliki i inne rzeczy z mieszkań sprzed przeprowadzki do pani Janette. Ściany

zajmowała radośnie chaotyczna kolekcja zdjęć, dokumentów w ramach i dziecięcych rysunków. Na żółtym transparencie, który dostrzegłem poprzednim razem, widniał wielki jaskrawoniebieski napis: KOCHAMY CIĘ, OTTO, powtórzony trzy razy na całej długości.

- Naprawdę cię kochają.

- Słodkie, cholera, no nie? - Obejrzał się przez ramię: - Kochamy cię, Otto, kochamy cię, Otto, kochamy cię, Otto. Od szóstej podstawowej w 1989. - Zapalił papierosa. - Dyrektorka, pani Rice, wezwała mnie wtedy na scenę. Większość dzieciaków znałem od małego, kiedy trzeba było je brać za rękę i śpiewać im „Jadą, jadą misie”, żeby zgodziły się przejść przez jezdnię. Byłem taki dumny, że omal mi szelki nie pękły.

To był ten melodyjny, trochę szorstki zachodni akcent, który przypomniałem sobie dziś rano. Gdyby Otto Bremen zaśpiewał mi „Jadą, jadą misie”, też bym przeszedł z nim przez ulicę.

Splótl ręce na brzuchu i westchnął.

- To pierwszy raz, kiedy klasa uhonorowała w ten sposób gościa, co ich przeprowadza przez ulicę. Przez dziewięć miesięcy w roku waruję na pasach przed szkołą imienia Carla Sandburga. - Strzepnął papierosa, popiół spadł na podłogę. - Gdybym mógł zacząć od nowa, słowo daję, zrobiłbym dyplom i zaczął uczyć w pierwszej albo drugiej klasie. Cholera, gdyby mi nie stuknęła siedemdziesiątka, zrobiłbym to i tak. Hej, napijesz się? Ja już dojrzałem.

Pięć minut później udało mi się wejść do swojego pokoju.

WYDZIAŁ POLICJI W EDGERTON widniało na odwrocie koperty, którą porucznik Rowley powierzył Helen Janette. W środku znajdowała się torebka foliowa, zapieczętowana czterema białymi banderolami. Na dwóch górnych nagryzmołono numer sprawy oraz moje nazwisko. Na dwóch dolnych podpisali się porucznik George Rowley i ktoś z wydziału depozytowego. W torebce spoczywał zwitek banknotów. Wytrząsnąłem je i przeliczyłem. Czterysta osiemdziesiąt jeden

dolarów. Roześmiałem się w głos i zadzwoniłem do Suki Teeter.

50.

Wysiadłem z autobusu przy College Park, dwie przecznice na południe od miasteczka akademickiego. Ruszyłem Archer Street i szedłem tak długo, aż nad gankiem dwupiętrowego drewnianego domu Suki Teeter ujrzałem zszarzałą od deszczu deskę z napisem „Galeria sztuki”.

Pokój na prawo od wejścia otaczały stojaki z plakatami i kartkami pocztowymi oraz obrazy, grafiki, kilimy i półki z ceramiką i szkłem; mniejsze pomieszczenie na lewo służyło jako biuro i zakład oprawiania płócien. Choć w galerii wystawione były prace miejscowych artystów, Suki utrzymywała się głównie ze sprzedaży plakatów i oprawiania obrazów.

- To jedyna przyzwoita galeria w promieniu stu kilometrów, ale nie stać mnie na to, co powinnam mieć.

Wszystko takie drogie! Dach prosi się o remont. Przydałby mi się nowy piecyk olejowy. Dwadzieścia tysięcy rozwiązałoby wszystkie moje problemy, ale mnie ledwie stać na pensje dla dwóch asystentów na część etatu. Zostali ze mną tylko dlatego, że mają u mnie kolację i opiekę jak u mamy.

W salonie obok półek z glinianymi garnkami i przedmiotami z dmuchanego szkła wisiały abstrakcyjne obrazy.

- Wszystko to dzieła malarzy, których wystawiam w galerii, z wyjątkiem tego po lewej.

Czwartą ścianę zajęła cmentarna kompozycja burych, zbryzganych czerwienią brązów.

- I co o tym sądzisz?

- Musiałbym się zastanowić.

- Beznadziejne. Rachel Milton dała mi to malowidło przed laty, ale nie miałam go serca wyrzucić. Zrobić herbatki?

Wróciła z dwiema filiżankami herbaty ziołowej i usiadła obok mnie na miękkich poduchach.

- Nie powinnam obgadywać Rachel. Przynajmniej utrzymywała kontakty ze Star - albo vice versa. Może nawet pojawi się na pogrzebie.

Świetlista aureola Suki przysunęła się ku mnie i raptem znalazłem się w jej objęciach. Owionął mnie zapach mięty i drewna sandałowego. Pocałowała mnie w policzek. Złocista mgielka jej twarzy unosiła się jakieś pięć, sześć centymetrów od mojej. Jej oczy migotały, wskutek czego ciemnojadeitowa zieleń i lśniący turkus stały się jeszcze wyraźniejsze.

- Powiedz to. Wiesz, o co mi chodzi, powiedz.

Przełknąłem herbatkę o zapachu żeń-szenia i opisałem ostatni dzień i noc mojej matki. Na wspomnienie nazwiska Rinehart Suki rzuciła mi spojrzenie pełne jawnego zrozumienia. Nie tłumacząc niczego, opowiedziałem jej o pojawieniu się Donalda Messmera w akcie ślubu matki i na mojej metryce.

- Błądzą jak we mgle. Ciotki i wujkowie zachowują się, jakby strzegli tajnej broni. - Przeszył mnie nagły impuls, wzruszenie, i wszystko inne się skurczyło. - Muszę wyjść z tej mgły. Chcę wiedzieć, kim był Rinehart i skąd się tu wziął ten Messmer.

Pogłaskała mnie po ręce i puściła ją.

- To on jest moim ojcem, prawda?

- Jesteś do niego tak podobny, że to aż niesamowite.

Przypomniałem sobie nieznaczną ulgę Maxa Edisona, kiedy powiedziałem, że przychodzę w sprawie rodzinnej. Od razu wiedział, czym jestem synem.

- Powiedz to - powtórzyłem jej słowa. - Proszę cię, powiedz.

Suki Teeter oparła się o poduchy.

51.

Jesienią 1957 roku co bardziej niespokojne duchy spomiędzy

studentów sztuk pięknych i literatury zauważyły, że przy stoliku w głębi w „Blue Onion Coffeeshouse” często pojawia się późnym wieczorem mężczyzna o uderzającej twarzy, bladej i mrocznej zarazem, obramowanej ciemnymi włosami. Pochylał się w zamyśleniu - w jednej ręce trzymając gitane'a, w drugiej długopis - nad czymś w rodzaju rękopisu. Był to Edward Rinehart. Skupiał wokół siebie podziw, zachwyt i fascynację.

Z wolna przestał się izolować. Tak, był pisarzem; znalazł się w College Park z powodu dobrych księgarń i towarzystwa bratnich dusz. Jeśli miałby sobie życzyć czegoś więcej, to tylko dostępu do biblioteki uniwersyteckiej, w oczywisty sposób lepiej zaopatrzonej od tych miejskich. Erwin Leake, młody nauczyciel angielskiego, który jeden z pierwszych zbliżył się do Rineharta, wkrótce znalazł sposób - jedynie w minimalnym stopniu nielegalny - zapewnienia mu dostępu do uczelnianych zbiorów. Od tej pory często można było zastać Rineharta mozolącego się nad pracą przy jednym z biurków w czytelni. Miał może trzydzieści pięć lat, może odrobinę więcej; jego fizyczną atrakcyjność potęgował - choć tego nie potrzebował - pewien rodzaj nieokiełznania. Rozpoczęła się era Rineharta.

Stał się intelektualnym i towarzyskim wyzwaniem dla pewnej grupy studentek, do konsultacji gotów był o każdej porze. Na końcu Buxton Place, odludnego zaułka, własności uczelni, wynajął dwa przylegające do siebie domki na gabinet i mieszkanie. Grupka wybranych, najbardziej obiecujący spośród studentów, zbierała się w jego mieszkaniu. Gabinet był miejscem świętym, zamkniętym dla wszystkich. W domu Rineharta zawsze ktoś mówił, przeważnie Rinehart. Zawsze obecna muzyka, przeważnie jazz, sączyła się z głośników. Niekończące się zapasy wina, piwa i innych napojów zdawały się uzupełniać w magiczny sposób. Rinehart zapewniał także marihuanę i w ogóle wszystkie narkotyki tamtych czasów. Jego imprezy ciągnęły się przez dwa lub trzy dni, kiedy to jego faworyty wchodziły, wychodziły, rozmawiały

i piły tak długo, że nie mogły już rozmawiać i pić, słuchały czytanych głośno tekstów, głównie gospodarza, i często uprawiały seks, głównie z gospodarzem.

Suki, Star, Rachel Newborn i inne młode kobiety dały się oczarować. Rinehart miał charyzmę i był nieprzewidywalny; podsycał ich aspiracje, sam będąc ich ucieleśnieniem. W przeciwieństwie do chłopców podających się za pisarzy Rinehart wydał prawdziwą książkę, którą bez trudu uznali za zbyt wyrafinowaną i śmiałą dla kretyńców ze światka wydawniczego. Oczywiście ta książka była także niebezpieczna - Rinehart emanował niebezpieczeństwem. Jego przeszłość i teraźniejszość ginęły w mroku, a czasami zdarzało się, że bez słowa wyjaśnienia zniknął z domu na Buxton Place na wiele dni. Czasami któraś z jego haremovych dam dostrzegła, jak Rinehart wsiada do cadillaca w Hatchtown bądź z niego wysiada. Pewna nadpobudliwa studentka sztuk pięknych i filozofii, niejaka Polly Heffer, znalazła w szufladzie nocnego stolika naładowany rewolwer i wrzasnęła tak głośno, że Suki przybiegła z salonu w chwili, gdy nagi i zde gustowany Rinehart wyłonił się z łazienki. Warknął na Polly, żeby się zamknęła, i wyjaśnił, że rewolwer trzyma dla samoobrony, a następnie zaprosił Suki do trójkącika.

Czy się zgodziła?

- Myślisz, że mogłabym mu odmówić?

Od czasu do czasu wielbicielki Rineharta zastawały go na rozmowie z mężczyznami, którzy wyraźnie nie mieli nic wspólnego z uczelnią. Zawsze ciągnęli go w jakiś kąt i tam coś szeptali, a Rinehart czasem kładł im dłoń na barczystym ramieniu. Ci młodszy, bardziej efektywni, czasami pojawiali się w trakcie długotrwałych imprez, a studentki wpuszczaly ich do swojego grona. Jednym z tych mężczyzn był Donald Messmer, zamieszkały w hotelu „Paris” na Word Street i imający się różnych zajęć.

- Don Messmer nie był przestępcą - powiedziała Suki. - W zasadzie po prostu się nie przejmował i lubił się zabawić. Według nas był jak Dean Moriarty z „W drodze”, ale bardziej wyluzowany. I oszalał na punkcie twojej matki. Pewnie w życiu nie przeczytał jednej książki, aż tu raptem zaczął się pokazywać z książkami w kieszeniach - żeby zrobić wrażenie na Star Dunstan. Słyszałam, jak rozmawiała z nim o, no wiesz, Cezannie i Kerouacu, Jacksonie Pollocku, Charliem Parkerze - z Donem Messmerem! - ale nigdy nie miał u niej szans, bo była zakochana w Edwardzie Rineharcie, jak my wszystkie.

- Skąd jego nazwisko na jej akcie ślubu?
- Cierpliwości. Powiem ci, co wiem.

Pod koniec semestru Suki przeniosła się do Wheeler College w Wheeler w Ohio, rzekomo, by kontynuować naukę u litografa, który spędził poprzedni rok w Albertus. Straciła wiarę w Edwarda Rineharta i chciała uciec spod jego wpływu. Erwin Leake, niegdyś wartościowy nauczyciel angielskiego, stał się pijakiem, cieniem samego siebie; niektórzy chłopcy, uznani przez Rineharta za obiecujących artystów, zmienili się w narkomanów, zainteresowanych tylko kolejną garścią pigułek; jej koleżanki myślały jedynie o Rineharcie i jego satysfakcji. Suki chciała się z tego wyrwać.

Następnego roku, pod koniec zimy Star Dunstan przyjechała do Wheeler - ciężarna, wymęczona i bardzo potrzebująca bezpiecznego schronienia. Suki odstąpiła jej połowę łóżka. Przez parę następnych dni Star mówiła tylko o tym, że musi się gdzieś ukryć, zniknąć. Suki dała się jej wypać i przynosiła jedzenie z knajpy, gdzie była kelnerką. Star powiedziała, że wyszła za mąż, ale to małżeństwo było pomyłką. Dygotała na każdy dzwonek telefonu. Kiedy ktoś pukał do drzwi, uciekała do łazienki. Po dwóch tygodniach doszła do siebie na tyle, że mogła się zatrudnić w knajpie Suki. Minął kolejny miesiąc, a zaczęła uczestniczyć w wykładach na temat sztuki. W końcu wyznała Suki, że mąż

porzucił ją, kiedy lekarz orzekł, że być może urodzą się im bliźniaki. Podczas następnego spotkania doktor powiedział, że może jednak będzie tylko jedno dziecko, ale męża już nie było i nie mogła mu przekazać tej wiadomości.

Lekarz położnik z Wheeler oznajmił, że Star jest zdrowa, w dobrej formie i może urodzić bliźniaki, choć oznaki nie były tak rozstrzygające, jak by można sobie życzyć. Star spakowała się i pojechała na Cherry Street.

Pod koniec semestru Suki przyjechała do Edgerton, znalazła nowe mieszkanie i wprowadziła się na kilka godzin przed potężną burzą. Zadzwoiła do Nettie, ale nikt nie podniósł słuchawki. Może linia telefoniczna była zerwana. Zadzwoiła do Toby'ego Krafta i tym razem jej się udało. Toby powiedział, że Star leży w szpitalu Świętej Anny i lada chwila będzie rodzić. Nie mógł sobie znaleźć miejsca z niepokoju. Rzeka wystąpiła z brzegów, wszystkie linie były zerwane. Suki otuliła się płaszczem przeciwdeszczowym, chwyciła parasolkę i wyszła na dwór. W jednej chwili wiatr wyrzucił parasolkę na lewą stronę i wyrwał jej z rąk.

52.

Deszczówka chlupocząca wokół niskiej barykady z worków z piaskiem sięgała nad kostki. Jej ubranie pod płaszczem było przemoczone. Przeszła nad barykadą i dotarła do wejścia szpitala. W holu wyglądała jak w Kalkucie. W panującym wokół rozgardiaszu Suki zdołała zdybać pielęgniarkę, która skupiła się na tyle, by powiedzieć, że na wydziale położniczym na trzecim piętrze znajdują się tylko dwie oczekujące na poród kobiety - pani Landon i pani Dunstan. Poradziła, żeby Suki skorzystała raczej ze schodów niż z windy.

Suki weszła w kakofonię oddziału położniczego. Dzieci darły się wniebogłosy. Pielęgniarka spojrzała z dezaprobatą na zablocone buty Suki i powiedziała, że jej przyjaciółka jest na porodówce B pod opieką akuszerki Hazel Jansky. Suki złapała ją za ramię i zażądała szczegółów.

Pani Dunstan rodziła od pięciu godzin, bez komplikacji. Ponieważ był to jej pierwszy poród, spodziewano się, że potrwa jeszcze parę godzin. Akuszerka Jansky asystowała przy obu nocnych porodach. Pielęgniarka zdjęła z ramienia dłoń Suki i ruszyła w swoją stronę.

Suki wycofała się do poczekalni. Za zamazanym odbiciem jej bladej twarzy, nad jaskrawożółtym płaszczem w podłużnych oknach widać było tylko pionową czarną ścianę nabijaną światełkami latarni na parkingu. Suki przycisnęła twarz do szyby, osłoniła oczy i wpatrywała się w czarną ścianę tak długo, aż wyłonił się krajobraz i migotliwe pionowe strugi. Czarny kształt, być może drzewo, kołysał się na straży samochodu.

Nieco później młoda pielęgniarka pochyliła się nad nią i oświadczyła, że pani Dunstan czyni postępy, ale jeśli jej dziecko ma odrobinę rozsądku, wdepnie hamulec i zostanie tam, gdzie jest, przez następne dwanaście godzin. Kiedy Suki znowu wyjrzała przez okno, osłaniając oczy dłońmi, latarnie na parkingu już zgasty, a na dole płynęły jakieś przedmioty, zbyt małe, żeby je rozpoznać. Położyła się na sofie i zasnęła.

Obudziła ją dobiegająca z oddali eksplozja, a po niej kobiece krzyki. Światła przygasły, krzyki zwały się w jeden przeraźliwy dźwięk. Suki pobiegła na oślep korytarzem i w oddali ujrzała w ciemności krzyżujące się promienie latarek. Ruszyła na poszukiwanie Star.

Rękami dotknęła szerokiego szwu na ścianie. Obmacała go, otworzyła drzwi i wpadła do sali, w której panowały nieprzeniknione ciemności, a jakaś kobieta płakała i jęczała.

- Star?

Ktoś zaklął.

Suki się cofnęła. Nieco dalej natrafiła na drzwi drugiej porodówki, które otworzyły się gwałtownie, uderzając w nią. Jakaś postać położyła jej rękę na ramieniu i ją odepchnęła. Suki sięgnęła przed siebie, złapała kołyszące się drzwi wahadłowe i wpadła do środka. Ktoś zakwilił. Suki wpadła na metalową poręcz, wyciągnęła rękę. Dotknęła mokrej, nagiej nogi.

Star jęknęła i chwyciła ją w objęcia.

- Suki, zabrali moje dzieci!

Światło zapaliło się równie gwałtownie, jak zgasło. Star osłoniła oczy. Na udach miała szerokie smugi i rozbryzgi krwi. Suki przytuliła jej głowę i pogłaskała.

- Wpadła akuszerka i podała Star ciasno owinięte w niebieski koczek dziecko wielkości lalki. Star zaprotestowała - urodziła dwoje dzieci, jedno wielkie jak arbuz i drugie, już spakowane i gotowe do drogi. Akuszerka powiedziała, że to, co wzięła za drugie dziecko, było łożyskiem.

Nieco później pojawił się wymęczony lekarz i zapewnił Star, że urodziła jedno zdrowe dziecko. Spytany o panią Landon, drugą pacjentkę akuszerki Jansky, powiedział, że dziecko pani Landon urodziło się martwe.

Suki została ze Star aż do wieczora następnego dnia, kiedy to strażacy wypompowali deszczówkę z piwnic i parteru. Sprzątacze usiłowali w pocie czoła usunąć kleistą, cuchnącą warstwę szlamu z Missisipi. Nettie, Clark i May wpadli, gdy Star kończyła biały jak śnieg obiad - kurczaka, ziemniaki i kalafiora. Ciotki zarzuciły ją pytaniami. Czy dziecko jest normalne? Czy na pewno lekarze nic przed nią nie ukrywają?

Nettie złapała za kołnierz nieszczęsnej pielęgniarki i zażądała natychmiastowego przyniesienia dziecka pani Dunstan. Dziecko pani Dunstan, błogo śpiące w swoim łóżeczku, zostało przywiezione, błyskawicznie przytłone, rozwinięte i poddane szybkiej inspekcji. Nettie podała płaczące dziecko matce. Niektóre anomalie nie ujawniają się natychmiast, czy Star jest tego świadoma?

Suki nie wytrzymała: jakie znowu anomalie?

Nettie odwróciła się z uśmiechem. Na przykład oczy różnego koloru, powiedziała.

Suki uciekła, jakby ścigały ją Gorgony.

Od tej pory Star przestała mówić na temat swojej ciąży i małżeństwa. Dziecko rosło na oczach Suki, było już cztero-, pięcio-, sześciolatkiem i stopniowo Suki zaczęła się domyślać, kto był ojcem, ale nigdy nie wspominała o swoich przypuszczeniach. Twarz chłopca stanowiła najlepszy dowód. Mniej więcej w czasie, gdy Star zaczęła oddawać syna pod opiekę rodziców zastępczych, Suki eksperymentalnie poślubiła klawesynistę z wydziału muzycznego uczelni i przeprowadziła się do Popham w Ohio, gdzie jej mąż został wykładowcą w niewielkim college'u artystycznym.

Krąg studentek rozpadł się na pojedyncze ogniwa. Niektóre dziewczyny zaczęły uczyć, inne trafiły do urzędów, domów wariatów, Europy, komun, do Wietnamu na pewną śmierć, kancelarii adwokackich, więzień i jeszcze gdzie indziej. Edward Rinehart zginął w więziennym buncie. Rachel Newborn znalazła swój nowy image, który wykluczał znajomość z Suki Teeter. Ze wszystkich przyjaciółek Suki tylko Star Dunstan nadawała się do spotkań, ale ona bardzo rzadko pojawiała się w Edgerton.

Suki objęła mnie złocistą mgiełką swych ramion i przeprosiła, że tyle mi powiedziała.

- Bardzo się z tego cieszę - odparłem.

Pogłaskała mnie po policzku i powiedziała, że moglibyśmy zjeść razem obiad po pogrzebie mojej matki.

- Chętnie - odrzekłem. Przyszło mi do głowy nowe pytanie. - Suki, dla ciebie było jasne, że moim ojcem jest Rinehart, ale co z moimi ciotkami? Czy Nettie albo May go poznały?

- Ha. Przynajmniej nie w mojej obecności.

53.

Otto Bremen odwrócił się z krzesłem w moją stronę. W jednej ręce trzymał szklankę bourbona, w drugiej palącego się papierosa i szczyrzył zęby jak halloweenowa dynia.

- Chodź, zobacz, jak Braves dostają w tyłek. Piękny widok.

Może nawet wstąpiłbym do niego i przez półtorej godziny pomagał Otto pognać Atlanta Braves, upijając ich do nieprzytomności, ale książka Edwarda Rineharta miała większy urok. Wyjąłem z torby „Z otchłani”, padłem na łóżko i czytałem aż do przyjazdu Laurie Hatch.

Rozdarty między chęcią natychmiastowego przeczytania „Błękitnego ognia” i zupełnego ominięcia go, poszedłem na ławiznę i zacząłem od początku.

W „Spadku profesora Pendanta” emerytowany profesor orientalistyki przenosi się do osiemnastowiecznej wioski rybackiej, gdzie były kolega niespodziewanie zostawił mu w spadku stary dom wraz z ogromną, legendarną biblioteką. Emerytowany profesor postanawia uzupełnić badania arabskiego folkloru dzięki nowym bogatym materiałom. Schroniwszy się w pubie przed ulewą, profesor podsłuchuje plotkę dziwnie podobną do opowieści z jednego z najrzadszych tomów zmarłego dobroczyńcy; wkrótce potem odkrywa dwunastowieczny manuskrypt ze złowrogimi zaklęciami... Pod koniec profesora Pendanta pożera wezwany zaklęciem starożytny bóg, w jednej trzeciej ośmiornica, w jednej trzeciej wąż, w jednej trzeciej nie do opisania, w każdym razie paskudztwo.

„Niedawne wypadki w spokojnych okolicach Massachusetts” opisują przyjazd młodego naukowca do zabitej dechami wioski. Naukowiec pada ofiarą rasy potomków prymitywnych małopłodów z drapieżnymi bóstwami spoza rubieży naszego wszechświata.

„Ciemność nad Ephraim's Landing” kończy się zdaniem „Przy biciu dzwonów świętego Arnulfa wpadłem do uświęconej komnaty i w migotliwym świetle mojej świeczki ujrzałem, jak spieniona potworność, która niegdyś była Fultonem Chambersem, pełźnie z ohydną gorliwością do ścieku!”.

Wszystko to, z wykrzyknikiem włącznie, przypomniało mi coś, co czytałem jako trzynasto- lub czternastolatek, ale nie potrafiłem sobie tego przypomnieć.

Przygotowany na wszystko zacząłem czytać „Błękitny ogień”. Pół godziny później podszedłem z książką do okna i czytałem dalej. „Błękitny ogień” był nowelą o życiu niejakiego Godfreya Demmimana, którego doświadczenia czasami przypominały makabryczną wersję moich własnych i mimo całej fascynacji musiałem walczyć z chęcią wrzucenia książki do ognia albo zlewu.

Jako dziecko Demmiman słyszy wezwania ze „starożytnego lasu” na skraju miasta. Kiedy wchodzi do lasu, nieludzki głos informuje go, że jest on synem Starego Boga, nowym Jezusem, który przyzwie Apokalipsę, otwierając drogę swym nieludzkim ojcom. Poprzez święty błękitny ogień otrzymuje nadnaturalne moce. Popisuje się nimi przed miejscowymi dziewczynkami, które zabija. Wygnany do szkoły wojkowej, pogrąża się w szaleństwie pod wpływem świętego tekstu.

Jako trzydziestolatek Demmiman wprowadza się do ukochanego miasta autora świętego tekstu. Przyciąga go pewien dom. Demmiman sądzi, że prześladują go ulotne istoty, związane zarówno z nim, jak i z domem. Włamuje się do niego i odkrywa kryptę żyjących w osiemnastym wieku Demmimanów - to dom jego przodków. Wraca tam noc w noc i czuje obecność Innego, który go szuka, lecz ucieka, gdy jest blisko. Raz, idąc ze świeczką przez zakurzoną salę balową, spogląda w lustro i dostrzega mrocznej postaci za swoimi plecami, obraca się, ale postać znika. Dwie noce później gęstniejąca atmosfera sugeruje, że Inny wreszcie pozwoli się zobaczyć. Dźwięk kroków rozbrzmiewających w odległych pokojach zwabia Demmimana do biblioteki.

Słyszac warkot samochodu zatrzymującego się przed domem, podniosłem głowę. Jeep wjeżdżał tyłem na miejsce na parkingu. Wcisnąłem książkę do kieszeni, otworzyłem drzwi i zrobiłem pół kroku. Nie mogłem się ruszyć. Ostry ból, jak promień rentgenowski, przeszył moją głowę od potylicy do czoła.

Zamiast korytarza i Otto Bremena, kiwającego do mnie ręką ze swojego fotela, ujrzałem przed sobą pokój, który widywałem jako dziecko

i w czasie mojego załamania nerwowego w Middlemount. Schnąca paprotka, wypchany lis pod szklanym kloszem, mosiężny zegar na kominku. Gdzieś obok niewidoczny mężczyzna mamrotał niewyraźne słowa. Wszystko to działo się na długo przed moim pojawieniem się na ziemi. Skoczyłem naprzód i scena się rozwiła.

Stary człowiek z naprzeciwka bacznie mnie obserwował.

- W porządku, chłopcze?

- Zakręciło mi się w głowie.

Zbiegłem po schodach do Laurie Hatch.

54. Pan X

O Wielcy, Okrutni Mistrzowie, wasz umęczony, lecz wierny Sługa raz jeszcze pochyla się nad stronicami swego Dziennika. Pragnę uczynić wyznanie.

Ostatnio moje opowieści często do mnie powracały, zwłaszcza jedno. Moje najdłuższe, najlepsze i najbardziej opłakiwane. Pisząc je, czułem się do bogów podobny i pełen trwogi. Moje pióro ślizgało się po stronicy i po raz pierwszy i jedyny w życiu pisałem coś, czego znaczenie objawiało mi się dopiero wówczas, gdy ujrzałem gotowy tekst - zapukałem do drzwi Świątyni i wpuszczono mnie - moje życie stało się mrocznym lasem, labiryntem, tajemnicą, gdy po raz pierwszy znalazłem się w stanie nadrzecznym...

Gdyby ta opowieść nigdy nie położyła mi dłoni na piersi i nie wyszeptała: weź mnie...

Muszę się opanować.

Natchnienie nawiedziło mnie podczas opieszalego powrotu późno w nocy z Mountry w lecie mojego ostatniego roku, gdy byłem Panem Występku. Idiota Theodore Bright usiłował pozbawić mnie pozycji w hierarchii przestępczej. Wymuszona reakcja była pozbawiona przyjemności. Chciałem się stamtąd wydostać. Moje myśli szukały pociechy w

sztuce i raptem nawiedził mnie rozkoszny pomysł, by opisać los Godfrey'a Demmimana, półczłowieka, któremu została dana boska wolność. Moje alter ego miało powtórzyć mą trudną drogę ku Świętemu Celowi. Ale gdy pisałem, moje intencje poddały się temu, co się we mnie zrodziło.

PROTESTUJĘ!

Inne opowiadania układały się jak należy. Dlaczego tylko to nosiło piętno sztuki? Chcę to powiedzieć, chcę to wyrazić jasno i wyraźnie:

NIENAWIDZĘ SZTUKI. SZTUKA NIGDY NIKOMU NIE WYSZŁA NA ZDROWIE. NIGDY NIE WYGRAŁA ŻADNEJ WOJNY, NIE POSTAWIŁA JEDZENIA NA STOLE, NIE ZAMIOTŁA PODŁOGI, NIE WYNIOSŁA ŚMIECI I NIE POŻYCZYŁA DWUDZIESTAKA W CHWILI BANKRUCTWA. SZTUKA TEGO NIE POTRAFI.

Początek był taki, jak się spodziewałem. Za pośrednictwem medium dzieciństwa i młodości Godfrey'a Demmimana odwiedziłem własną przeszłość. Doświadczyliśmy mistycznych przeżyć w lesie i ulewy bożych darów. W oczach stanęły mi łzy, gdy odkrywaliśmy Świętą Księgę. Potem podstępna Imaginacja odepchnęła intencję i zburzyła mój spokój. W miejsce przekonania - zwątpienie; w miejsce jasności - pomieszanie; zamiaru - chaos; tryumfu - kto wie, lecz z pewnością nie tryumf.

Demmiman przenosi się do Markham, ukochanej przez jego Mistrza wioski w Nowej Anglii, i wyobraża sobie, że przez jej zawile uliczki i zaułki nieszczęsne stworzenia prowadzą go do od dawna opuszczonego domu o złej reputacji. Włamuje się do niego i przekonuje się, iż jest to rezydencja jego przodków. Tam ściga go Istota - a on ją - dochodzi do konfrontacji - straszliwej - i następuje katastrofalne zakończenie, o którym nie zgadzam się wspominać. Dla dobra Następných Pokoleń dodałem jedynie to:

Niniejszym usuwam następne akapity historii „Błękitny ogień” zaczynające się od słów „powoli, z ociąganiem, z cienia wyłoniła się

niewyraźna postać” i zastrzegam, by usunięto je także w następnych wydaniach. Powinny zostać skreślone z listy lektur obowiązkowych dla Liceów i Wyższych Uczelni. W miarę możliwości dostęp do nich powinien przysługiwać jedynie Historykom i innym Naukowcom, a Słowa te mają być wydrukowane bez skrótów na stronie tytułowej.

Teraz przystąpię do opisu niedawnych wypadków w związku ze Zdumiewającą Sprawą.

Prawie zapomniałem, że obiecałem chronić Żabę La Chapelle'a przed tchórzostwem jego współnika w zbrodni, lecz gdy o tym przypomniał, udałem się na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej w szpitalu Świętej Anny.

Znany mi z dawnych czasów szczurek z Hatchtown leżał w środku pajęczyny kabli i rurek, a maszyna tłoczyła w niego tlen. Podobnie jak wszystkie szczury z Hatchtown, w tym Żaba La Chapelle, Clyde Prentiss ośmielał się odzywać do mnie jedynie szeptem (nikt z nich nie znał mego nazwiska - żadnego - i przez wiele lat zwracali się do mnie za pomocą rozkosznie złowieszczonego przydomku). W pewien rześki wieczór dwadzieścia pięć lat temu zdarzyło mi się przyłapać małego Clyde'a Prentissa, jak bawił kompanów pokazem braku szacunku. Wpadłem do ich klubu, złapałem małego łobuza za kostki, zaniósłem, wrzeszczącego, ulicami do prawie zapomnianej budowli i wywiesiłem go głową w dół nad Rzeźnikiem.

W czasach gdy opinia publiczna potępia każdy rodzaj zła, niezniszczalne źródło tutejszych koszmarów nie tylko popadło w zapomnienie, lecz wręcz samo jego istnienie zostało zanegowane. Przypadkiem lub nie, położenie Rzeźnika zatarło się w pamięci ogółu, szczęśliwie przechodząc do legendy.

Trzymałem wijącego się chłopaka nad przepaścią, dopóki jego spodni nie splamiła wonna wydzielina. Dopiąwszy swego, postawiłem go na podłodze. Od tego dnia on i jego kompani okazywali mi tylko

szacunek. Dziś leżała przede mną pogrążona w śpiączce skorupa dawnego dziecka.

Wyjąłem nóż, by rozciąć harmonijkę tuby respiratora. Wątła pierś Clyde'a Prentissa wznosiła się i opadała. Odrzuciłem koc, wbiłem nóż w jego pępek i przeciągnąłem aż po gardło, które rozplatałem jednym pociągnięciem. Strzegące go maszyny zaświergotały, a Prentiss rzucił się z gwałtowną konsternacją. Wytarłem ostrze o kołdrę i wymknąłem się, niedostrzeżony przez pielęgniarkę, która pojawiła się w alkowie.

Jeszcze raz przejąłem Żabę La Chapelle'a świętą zgrozą, materializując się na rogu Word Street.

- Dzień dobry - powiedziałem. Uniósł się parę centymetrów nad chodnik. - Pora do roboty.

Żaba jęknął, czego się spodziewałem.

- Usiłowałem znaleźć Dunstana, ale go tu nie ma, to nie moja wina.

- Chcę wiedzieć, gdzie się zatrzymał.

- Niby skąd mam wiedzieć? - zajączał Żaba.

- Rozejrzyj się. Gdy go zobaczysz, idź za nim do domu. Następnie wróć na ten róg i czekaj na mnie.

- Mam czekać?

- Wyobraź sobie, że to stacja, a ja jestem pociągiem.

Jego usta wykrzywiły się w żabim uśmiechu.

- Mnóstwo gości chce znaleźć Dunstana.

Odważył się zerknąć pod rondo mego kapelusza.

- Gliny go wzięły, jak ten kumpel Joe Staggersa go skatował, ale już puściły. Staggers i jego kolesie nie byli zadowoleni.

- Lepiej go znajdź przed nimi.

Zakołysał się, usiłując znaleźć w sobie odwagę.

- Coś mówiłeś o przysłudze?

- Zawsze możesz zadzwonić do szpitala.

Żaba przestał podskakiwać, a na skronie wystąpiły mu żyłki.

- Chodź na Horsehair. Wyjaśnię ci, co masz zrobić w poniedziałkową noc.

Wstrzymał oddech, gdy wszedłem za nim i zasłoniłem sobą drogę ucieczki. Żaba był jednym z chłopców, którzy widzieli, jak mały Clyde ociera się o Rzeźnika.

55.

Laurie, która słuchała mnie jednym uchem, kiedy streszczałem książkę Rineharta i moją rozmowę z Suki Teeter, ożywiła się w pobliżu autostrady.

- Rozwiązałeś wszystko w jeden dzień! Wczoraj nie wiedziałeś nic, teraz wiesz więcej, niż chciałeś! Załatwione! Musimy to uczcić.

Spytałem, czy Cobbie wrócił do domu cały i zdrowy.

- Tak. - Mówiła sucho, z ironią. - Stewart przywiózł go do domu i przez kilka godzin zaszczycał nas swoją obecnością. Dlatego się spóźniłam. - Skręciła na wjazd na autostradę. - Pił szkocką litrami i w kółko powtarzał to samo. - Obejrzała się przez lewe ramię, przydepnęła pedał gazu. Jeszcze zanim dotarliśmy na autostradę, przekroczyliśmy setkę; na autostradzie, na pasie szybkiego ruchu, strzałka szybkościomierza wychyliła się poza sto dwadzieścia. - Głównie na twój temat.

- Mój temat? - wybełkotałem.

Grenville Milton zadzwonił do „Le Madrigal”, żeby poskarżyć się na mężczyznę odpowiadającego mojemu rysopisowi, który obraził go przed restauracją, a potem do niej wszedł - korzystając z rekomendacji Milтона! Vincent, kierownik sali, zidentyfikował mnie i poinformował Milтона, że przysiadłem się do pani Hatch i Ashton. Milton doniósł o tym Stewartowi, który i tak już o wszystkim wiedział, ponieważ powiedział mu o tym prywatny detektyw.

- Dziś rano - mówiła Laurie - jakiś typ pojechał za mną do miasta i przyglądał się, jak wchodzimy do ratusza, oraz śledził nas w drodze do Domu Weterana. Kiedy wróciłam do domu, poleciał naskarżyć Stewartowi, który, oczywiście, wpakował Cobbiego do samochodu i ruszył z piskiem opon na spotkanie ze mną.

Wyjrzałem przez wielką tylną szybę jeepa.

- Jeśli Stewart uważa, że pracuję dla Ashleigh, musi dostawać świra od domysłów, co robiliśmy w Domu Weterana.

- Stewart od wszystkiego dostaje świra. Zwłaszcza jeśli chodzi o ciebie. - Obrzuciła mnie spojrzeniem. - Pokazywać się z Dunstanem to mniej więcej to samo, co przyjaźnić się z Charlesem Mansonem. Po zniszczeniu wiszących ogrodów i sprowadzeniu morowej zarazy do Europy twoja rodzina zrobiła się naprawdę niesympatyczna. Osiedliła się w Edgerton, gdzie jej członkowie praktykowali wudu i oszukiwali w karty. I przez nich rodzina Kennedych wygląda jak Reaganowie!

Jej oczy, lśniąca kpina, zerknęły w moje.

- Naprawdę tak powiedział. Przez nich rodzina Kennedych wygląda jak Reaganowie. Byłam pod wrażeniem.

- Zawsze byliśmy dość szczegółni.

Dachówki wielkiego domu przy Blueberry Lane były z powleczonego gumą plastiku, a sam dom przypominał krzyżówkę zamku Tudorów z miejskim domem z epoki georgiańskiej. Stewart Hatch musiał się w nim zakochać od pierwszego wejrzenia.

- Kto go zbudował? - spytałem.

Laurie się skrzywiła.

- To jedno z arcydzieł Grenniego Milтона. Żeby się czuć w nim jak w domu, trzeba by nosić różowy blezer i zielone spodnie.

Weszliśmy do przestronnego pomieszczenia, w którym wyspy mebli zdawały się unosić parę centymetrów nad jasnym dywanem. Na schodach zadudniły kroki. Cobbie wypadł zza rogu, popędził ku nam i obiema rączkami objął nogę matki. Tuż za nim pojawiła się ciemnowłosa młoda kobieta w niebieskich dżinsach i luźnym bawełnianym swetrze.

- Ned, to Posy Fairbrother, moja wybawicielka.

Posy obdarzyła mnie mocnym uściskiem dłoni i uśmiechem, który ożywiłby nawet trupa.

- Słynny Ned Dunstan. - Z gęstwiny założonych za uszy włosów wymykały się pasemka i kędziorki. Miała jakieś dwadzieścia cztery lub dwadzieścia pięć lat i należała do kobiet, które malują się tylko wtedy, gdy naprawdę muszą.

- Cobbie mówił o tobie przez całe popołudnie. - Odwróciła się do Laurie. - Nakarmisz go za pół godziny?

Cobbie wypuścił matkę z objęć i spróbował mnie odciągnąć.

- Pomożesz mi w kuchni, jak go położymy?

Posy spojrzała na Cobbiego, ciągnącego moją rękę ze wszystkich sił, i uśmiechnęła się do mnie.

- Cena uwielbienia. - Uklękła przed nim. - Pozwól Nedowi porozmawiać trochę z twoją mamą, zanim go zaprosisz do słuchania muzyki.

- Razem możemy posłuchać. - Laura pochyliła się do swego syna. - Cobbie, Ned lubi ten sam utwór Monteverdiego co ty.

- „Confitebor tibi” - powiedziałem. - Emma Kirkby. Uwielbiam.

Otworzył buzię. Równie dobrze mógłbym oświadczyć, że mieszkam między Świętym Mikołajem i zajączkiem wielkanocnym. Odwrócił się na pięcie i pogalopował ku jednej z dryfujących w powietrzu wysp.

Laurie i ja usiedliśmy na perłowszarej sofie, a Cobbie w tym czasie wcisnął płytę w sprzęt audio stojący pod wielkim, nastrojowym autoportretem Fridy Kahlo. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Rozejrzałem się w poszukiwaniu innych obrazów, które Laurie odziedziczyła po ojcu, i nad kominkiem po lewej zobaczyłem nieco mniejszy obraz Tarmy Łempickiej, przedstawiający blondynkę za kierownicą sportowego samochodu.

- Zdumiewające płótna - odezwałem się.

Cobbie podskakiwał z niecierpliwości.

- Wybacz - powiedziała. - Jesteśmy gotowi.

Wcisnął guzik.

Z niewidzialnych głośników poszybował w górę świetlisty głos Emmy Kirkby, przekształcając płynne, regularne metrum w czysty srebrzysty urok. Cobbie siedział na dywanie po turecku, z uniesioną głową, chłonąc muzykę i nie odrywając ode mnie spojrzenia. Cały zniechęcony. Tempo zwolniło, po czym skoczyło naprzód w „Sanctum et terrible nomen eius”. Cobbie spał się jak do skoku. Zaczęło się „Gloria patri”, gdzie Emma Kirkby rozpoczyna szereg pełnych emocji, ponadczasowych wariacji, które zawsze przypominały mi jazzowe solo. Po ostatniej nucie Cobbie powiedział:

- Naprawdę to lubisz.

- Ty też - odparłem.

Podniósł się z dywanu.

- Teraz fortepian.

- Zniknę na jakiś czas w kuchni - oznajmiła Laurie i wyszła. Cobbie włożył kolejną płytę i tak długo manewrował przyciskami, aż znalazł Zoltana Kocsisa wykonującego „Jardins sous la pluie”, ostatnią część „Estampes” Debussy'ego.

Zamknął oczy i przechylił głowę w nieświadomym naśladownictwie niemal każdego znanego mi muzyka - nawet ja tak robię, kiedy wyęzam słuch. Niemal widziałem akordy drżące w jego układzie nerwowym. Utwór kończy się dramatycznym małym obiegnikiem i wysokim e. Kiedy dźwięk wybrzmiał, Cobbie otworzył oczy i powiedział:

- To jest w naszym fortepianie.

Wskazał biały półkoncertowy fortepian pod przeciwległą ścianą, popędził ku niemu, podniósł przykrywą i uderzył E. Nie wiem, na co miałem większą ochotę: żeby się roześmiać z zachwytu czy zacząć bić brawo, ale chyba zrobiłem obie te rzeczy.

- Widzisz? - Znowu uderzył klawisz i szybko podniósł palec, żeby przerwać dźwięk.

- A pamiętasz, jaka nuta była przedtem?

Pobiegł znowu do klawiatury i uderzył b.

- Pięć do dołu i pięć do góry, śmieszne!

B schodziło kwintę w dół do e, co po poprzednich funkcjach było prawie komicznym rozwiązaniem. Nic dziwnego, że Cobbie potrafił doskonale naśladować głosy. Miał słuch absolutny - umiejętność słyszenia dokładnych odległości między dźwiękami.

- Skąd wiedziałeś, gdzie leżą?

Podszedł do mnie, położył mi ramiona na kolanach i spojrzał mi w oczy, wyraźnie zastanawiając się, czy naprawdę jestem taki głupi, czy tylko udaję.

- Bo jeden - wyjaśnił - jest bardzo, bardzo, bardzo czerwony. A ten drugi jest bardzo, bardzo, bardzo niebieski.

- Naturalnie.

- Bardzo, bardzo niebieski. Posłuchamy śmiesznej piosenki Franka Sinatry?

- Tego mi potrzeba.

Popędził do odtwarzacza, włożył płytę „Come Dance with Me” i wyczarował mocny rytm perkusji oraz muzykę Billy Maya. Cobbie usiadł na podłodze po turecku, wsłuchany w idealnie odmierzone wejście Sinatry w „Somethin's Gotta Give” z takim samym napięciem, z jakim chłonał Monteverdiego i Debussy'ego. Mrugnął do mnie na początku instrumentalnego wstępu i uśmiechnął się, gdy Sinatra zwolnił tempo. Ponieważ słuchałem częściowo jego uszami, muzyka lśniła niedbałą, pewną siebie siłą. Ale z jakiegoś powodu coś się we mnie wzdrygało - nie miałem ochoty słuchać „Somethin's Gotta Give” Sinatry. Piosenka skończyła się spadającą frazą i pełnymi uniesienia „Chodź, zniszczmy to”, od czego Cobbie zaniósł się śmiechem.

Spojrzał mi w oczy.

- Jeszcze raz?

- Ring-a-ding-ding - powiedziałem.

Jazzowe wezwanie do boju perkusisty; gwałtowne krzyki trąbek i puzonów; saksofony gładko prowadzą; i w samym środku samego środka pierwszej nuty pierwszego taktu jasny baryton ruszył jak z

kopyta. Po plecach przebiegł mi dreszcz strachu, na ramiona wystąpiła gęsia skórka.

Pod koniec piosenki w drzwiach pokoju stanęła Posy Fairbrother.

- Zniszczmy trochę dzikiego, szalonego spaghetti, co ty na to?

Cobbie rzucił się pędem ku niej. W drodze do kuchni obejrzał się na mnie.

- Ned! Jemy dzikie spaghetti!

- Ty i ja jemy spaghetti, Frank - poprawiła go Posy. - Później możesz powiedzieć Nedowi dobranoc, a on zje kolację z twoją mamusią.

Laurie minęła ich, niosąc w każdej ręce kieliszek wina.

- Idźcie do kuchni. Zaraz tam przyjdę.

Cobbie włożył rączkę w dłoń Posy. Zniknęli za rogiem. Przez absurdalnie długą chwilę Laurie i ja szliśmy ku sobie. Kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, pochyliła się, żeby mnie pocałować. Ten pocałunek trwał niespodziewanie długo.

- Co sobie pomyślałeś? Co sądzisz?

- Jest niewiarygodny, oto co sądzę. Myślę, że powinien sobie darować podstawówkę i od razu iść do Julliard.

Oparła czoło na moim ramieniu.

- A co ja mam zrobić?

- Ty powinnaś mu zafundować lekcje fortepianu u naprawdę dobrego nauczyciela. A pięć lat później znaleźć mu nauczyciela wirtuoza i prawnika o przezwisku „Rekin”.

Wyprostowała się i spojrzała na mnie niemal tak jak Cobbie, kiedy mi wyjaśniał, że e i b są czerwone i niebieskie.

- Najbardziej niesamowite jest to, że to takie dobre dziecko. Chyba trzeba będzie go tak samo chronić, jak zachęcać. Poza tym pozostaje ci tylko usiąść i podziwiać. Ale, do diabła, sama nie wiem, co mówię. Coś zmyślam.

Znowu stanęła naprzeciw mnie, objęła mnie za szyję, potem cofnęła się i podała mi skrawek papieru.

- Posy znalazła numer Donalda Messmera w Mountry. Może z nim pogadasz, a ja spędzę trochę czasu z Cobbiem.

Wziąłem od niej kartkę.

Kominek wychodził na coś w rodzaju bawialni albo gabinetu z podświetlanymi, na wpół pustymi półkami. Usiadłem na sofie i wziąłem telefon, ale najpierw zadzwoniłem do Nettie.

- Ten twój margines z Mountry przyszedł dziś rano - oznajmiła. - Powiedziałam tej nędznej imitacji mężczyzny, że aby mnie przestraszyć, trzeba czegoś więcej niż wielkiej mordy i kija baseballowego. Uciekli z podkulonymi ogonami. Nie masz przypadkiem gnata?

Roześmiałem się.

- Nie, nie mam.

- To kup. Jak się takim bandytom pokaże kopyto, uciekają jak króliki.

Książka Rineharta uwierała mnie w biodro; wyjąłem ją z kieszeni przed wybraniem drugiego numeru.

Posy znalazła właściwego Donalda Messmera, ale trochę potrwało, zanim nakłoniłem go do mówienia.

- Zobaczyłeś moje nazwisko na akcie ślubu i zacząłeś się zastanawiać, co? Trudno się dziwić.

Podziękowałem, mówiąc mu na pan.

- Mam nadzieję, że Star ci powiedziała, że nie jestem twoim ojcem? Pogadaliśmy jeszcze trochę.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy. Nie obraż się, ale kiedyś wariowałem na jej punkcie. Dla Star Dunstan zrobiłbym wszystko.

Właśnie dlatego się z nią ożenił. Dwa miesiące po zajściu w ciążę i przeprowadzeniu się do Rineharta Star wyzbyła się fascynacji i zaczęła się bać. Wyznała, że według niej Rinehart zamierza zrobić krzywdę jej, dziecku lub obojgu, w związku z czym Messmer pomógł jej uciec z Buxton Place. Wzięli ślub cywilny i uciekli przez Ohio do Kentucky, gdzie Messmer miał rodzinę. Gdy krewni nie przyjęli Star przyjaźnie, nowożeńcy pojechali do Cleveland. Pracowali w restauracji i żyli we względnym szczęściu. Miesiąc później Star poszła na badanie kontrolne

i wszystko się zmieniło.

- Byłem durnym smarkaczem. Jeśli coś miało trwać dłużej niż pięć minut, nie mogłem o tym myśleć. Dziecko to było więcej, niż potrafiłem znieść, usiłowałem więc o nim zapomnieć w nadziei, że to się jakoś samo załatwi. Kiedy wróciła od lekarza i powiedziała, że będą bliźnięta, to jakbym usłyszał: „Kiepska sprawa, Don, ale przez następne dwadzieścia lat będziesz niewolnikiem”.

- A te bliźnięta nie były pańskie.

- Cieszę się, że to rozumiesz. Tydzień później goliłem się przed lustrem i zobaczyłem w nim trupa. Szybciutko się spakowałem i uciekłem. Nie powinienem się tak zachować, ale zrobiłem, co zrobiłem. Rozumiesz coś z tego?

- Zabrał ją pan od Rineharta, więc jej pan pomógł.

- Miło, że tak mówisz. Prawda jest taka, że i tak razem byśmy nie wytrzymali.

Po przyjeździe do Mountry Messmer stał za barem, aż zaoszczędził pieniądze na własną knajpę, którą nadal prowadził. Przed trzema laty zmarła mu żona, miał dwie córki i sześcioro wnucząt. Kiedy patrzył na młodzieńca, który uciekł z Edgerton ze Star Dunstan, widział kogoś, kogo prawie nie poznawał.

- Zna pan niejakiego Joe Staggersa?

- Wszyscy w Mountry znają Joe Staggersa, choć większość wołałaby nie znać. A co, wpadłeś na niego?

- Wszystko to nieporozumienie, ale wydaje mu się, że żywi do mnie urazę.

- Życie tego palanta to jedno wielkie nieporozumienie. - W jego głosie wyczułem, że zastanawia się, jak wiele powiedzieć. - Czy ta uraza ma coś wspólnego z Keyesem młodszym?

- Tak mi mówiono.

- Jeśli chcesz tu pobyc jeszcze parę dni, może lepiej skombinuj jakąś broń. Staggers to podły sukinsyn.

Cobbie pałaszował spaghetti przy stole w niszy z oknem koło kuchennych drzwi.

- I jak poszło? - spytała Laurie.

- Miły facet. Byłaś kiedyś w Mountry?

Pokręciła głową.

- Bo co?

- Obiecuj, że nigdy tam nie pojedziesz.

- Ktoś, gdzieś, kiedyś zarobi całusa - zaśpiewał Cobbie.

Posy poderwała się z krzesła.

- Pora spać, łobuziaku. - Wytarła mu buzię, usmarowaną na czerwono. - No, biegiem na górę.

- Muszę?

Wzięła się pod boki.

- Czy ja bym cię okłamała?

- Muszęmuszęmuszę?

Spojrzała na mnie.

- Cobbie pytał, czy zrobisz mu listę płyt, które mu się spodobają.

- Spróbuję się ograniczyć do stu najlepszych.

- Może namówimy Neda, żeby powiedział ci dobranoc, jak już będziesz w łóżeczku.

Cobbie spojrzał na mnie z nagłym rozbłyskiem radosnej nadziei. Dałbym głowę, że Stewart nigdy nie mówił mu dobranoc ani nie czytał do snu.

- I przeczytam ci książkę - obiecałem. - Ale musi być krótka.

- „Księżyc na dobranoc” - powiedział.

Poczułem niewytłumaczalny dreszcz oporu.

- „Księżyc na dobranoc”? - zdziwiła się Posy.

- To nie za dziecinne dla ciebie? - spytała Laurie.

Pokręcił głową.

- „Księżyc na dobranoc”.

- Dobrze - zgodziłem się. - Idealny sposób na zaśnięcie. - To samo coś, co wzdragało się przed „Somethin's Gotta Give”, mówiło teraz „nie, nie, nie!” na myśl o książce. Wiedziałem, że to uczucie pochodzi z tego samego miejsca, czymkolwiek by ono było.

- Masz szczęście, mały - oznajmiła Posy.

Laurie uśmiechnęła się do mnie, a do Cobbiego powiedziała:

- Tylko ten jeden raz.

Pocałował ją i uciekł z kuchni, Posy za nim. Laura wypła resztę wina, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Ale chyba nie masz czwórki dzieci, z którymi się codziennie bawisz i czytasz im do snu, jednemu po drugim?

- Szóstkę - odparłem. - Plus bliźnięta w Boulder.

W ustach mi wyszło. Chciałem powiedzieć „San Diego”, ale to Boulder wyszło z moich ust tak, jakby jakiś czarownik rzucił urok na mój język. Po raz trzeci potężny i irracjonalny niepokój rozłożył skrzydła. Boulder? Laurie wstała, żeby przynieść butelkę.

- Wiesz, Stewart nigdy nie czytał Cobbiemu na dobranoc, ani razu. Co się stało z twoim kieliszkiem?

- Zostawiłem w pokoju. Poczekaj, zaraz przyjdę.

Wróciłem, usiadłem koło niej i położyłem na stole

„Z otchłani”.

Laurie przerzuciła parę stron. Zachichotała.

- Co? - spytałem.

- „Panie Waterstone, zaskrzypiał stary bibliotekarz ze spleśniałej ciemności swej ohydnej nory, nie interesuje mnie sposób, w jaki znalazł się pan w posiadaniu tego starożytnego tekstu”. W książkach ludzie nie powinni skrzypieć ani nic w tym guście. Powinni po prostu mówić.

- Edward Rinehart może do ciebie nie przemawiać.

Zamknęła książkę.

- Opowiedz mi o Donaldzie Messmerze.

Streściłem opowieść Messmera i usunąłem to, co powiedział o Joe Stagersie.

- Śmieszne, myślałem, że będzie coś więcej. Jestem prawie rozczarowany, że nie ma.

- Zdziwiające, ile dokonałeś przez jeden dzień. Teraz możesz pomyśleć o swoim dalszym życiu.

Posy Fairbrother weszła do kuchni; zatrzymała się koło stołu na środku.

- Twój wielbiciel cię oczekuje. Nie czytał „Księżycy na dobranoc” od tak dawna, że nie mogłam go odszukać, ale obiecał, że zaśnie po jednym razie. Laurie, co mogę zrobić, kiedy Ned jest taki kochany?

- Pomóż mi przy sosie do karczochów, a jeśli zrobisz sałatkę, ja zajmę się resztą.

- Nie chcesz, żebym pozmywała?

- Któraś z nas to zrobi. - Odsunęła krzesło i wstała jednym płynnym ruchem. Jaśniejąca tarcza jej twarzy zwróciła się do mnie.

- Gotów, żeby znowu być taki kochany?

56.

Rozdzielone połączeń ochrowej ściany drzwi koloru drewna różanego sunęły rzędem ku sięgającemu od podłogi do sufitu oknu z łukowatym zwieńczeniem. Drugie na prawo były uchylone.

Na krześle obok łóżka Cobbiego leżała książka, emitująca fale, na które licznik Geigera zareagowałby jak wściekły. Cobbie już ziewał, tuląc do siebie misia. U stóp łóżka pełniły wartę pluszowy czarny kot i pluszowy biały królik, a u wezglowia stał półmetrowy tyranozaur.

Hymn na cześć snu autorstwa Margaret Wise Brown wydał mi się niemal jadowity. Żeby się zająć czymś innym, spytałem Cobbiego, jak się miewa mój imiennik. Miś Ned i tyranozaur stali się najlepszymi kumplami. Czy Cobbie jest gotów na czytanie? Tak, po trzykroć. W nadziei, że i ja jestem gotów, otworzyłem książkę, przechyliłem tak, żeby Cobbie widział obrazki, i zacząłem czytać.

W jednej chwili fobia ustąpiła i zniknęło wszelkie poczucie zagrożenia. Powieki Cobbiego opadły, kiedy do zakończenia książki zostało pięć stron. Zamknąłem książkę i, zgodnie z jej duchem, szeptem życzyłem dobrej nocy wszystkim razem i z osobna. Fobia powróciła, gdy odłożyłem książkę. Zgasilem światło świadomy, że dowiedziałem się czegoś równie dziwnego jak sama fobia: że bałem się okładki, nie książki.

W mojej głowie Frank Sinatra zanucił fragment „Something's Gotta Give”: „Walcz... walcz... walcz... ze wszystkich siiiiit”.

Na schodach minąłem wchodzącą Posy Fairbrother. Spieszyła się; tego wieczora czekały ją jeszcze cztery godziny pracy. Przejęta czekającym ją zadaniem i jeszcze ładniejsza, wyglądała niemal figlarnie, gdy życzyła mi cudownego wieczoru.

57.

Laurie Hatch i ja pogrążyliśmy się w wartkiej rozmowie, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej intymna dzięki obopólnemu zrozumieniu. Taki wieczór nie trafił mi się co najmniej od dziesięciu lat, a żadna z moich młodzieńczych uduchowionych dyskusji nie wydawała się tak bardzo prawdziwa i szczerą.

Przekonanie, że doświadczenia jednego są lustrzanym odbiciem doświadczeń drugiego, że cokolwiek powiemy, zostanie zrozumiane, wkrótce zaczęło tracić rozpęd i, oczywiście, nie ośmieliłem się powiedzieć tyle, ile chciałem. Laurie też nie. O moich „atakach”, panu X, osobliwości Dunstanów i moim sobowtórce - cieniu, który uratował mi życie, nie wspomniałem ani słowem. Nigdy nie zamierzałem być całkowicie szczerzy z Laurie Hatch. Przestraszyłbym ją, spłoszył - nie chciałem, żeby wzięła mnie za wariata.

Gdyby rozmowy tego rodzaju nie zawierały ziarna fałszu, nie byłyby tak istotne.

Udało nam się wypić półtorej butelki wina, a stół był zastawiony pustymi naczyniami.

- Może sprzątniemy? - spytałem.
- Zostaw. - Laurie przechyliła się do tyłu i przeczesowała włosy palcami. - Posy się tym zajmie.
- Ma jeszcze parę godzin pracy. Dajmy jej odetchnąć.

Zaniosłem talerze do zlewu i zeszkrobałem resztki karczocha do kosza na śmieci.

Laurie pomogła mi ułożyć naczynia w zmywarce i dolać płynu.

- Czuję się jak dobry duszek. Pamiętasz, co mamy teraz zrobić?
- Chciałaś usłyszeć zakończenie tego opowiadania Rineharta.
- Idealne pożegnanie z panem Rinehartem. - Rozlała resztę wina do kieliszków i zaprowadziła mnie na sofę.

- To opowiadanie czytałeś, kiedy przyjechałam? - spytała, skulona obok mnie, z głową na wyciągniętym ramieniu.

- Prawie skończyłem.

Pociągnęła łyk wina.

- Profesor Arbuthnot odkrył niezwykle starą i rzadką książkę. Trzej starszankowie zamordowani w palarni opium mieli na lewym pośladku wytatuowaną prastarą arabską klątwę. Nasz bohater, zmierzający na spotkanie ze złowrogim karłem, dostrzega dziecko o żółtych oczach i rozdwojonym języku.

- To brzmi trochę inaczej - powiedziałem. - Pierwsza połowa robiła wrażenie niemal autobiografii. - Streściłem młode lata Godfreya Demmimana w paru zdaniach i zwięźle opisałem jego przygody w wiosce Markham, obsesyjne zainteresowanie domem przodków, jednoczesną ucieczkę i pogoń za Innym, w której wyniku znalazł się w bibliotece na najwyższym piętrze.

- Czytaj dalej - poprosiła.

Przekonany, iż tej nocy spotka postać tak długo kryjącą się przed jego wzrokiem, Demmiman wszedł do starej biblioteki i zamknął za sobą drzwi. Natychmiast zrozumiał, iż jego przekonanie nie było jedynie wytworem fantazji. Obecność Innego odcisnęła się w zakończeniach jego nerwów, a on przyjął ją do wiadomości, tak jak przyjął stan, w którym mógł ujrzeć swego przeciwnika.

Po przygotowaniach - nie mniej trwoźnych, nie mniej niepewnych niż jego, Inny oczekiwał go z przerażeniem, które mroziło krew w żyłach Demmimana. Mimo to Godfrey znalazł w sobie dość odwagi,

by ruszyć naprzód i spojrzeć w spleśniałą pustkę.

- Kim jesteś, potępione stworzenie? - przemówił.

Nastąpiła chwila niepewnego milczenia.

- Zbliź się. Zaklinam cię na wszystko, muszę cię zobaczyć.

Ciśnienie tego milczenia niemal skłoniło go do panicznej ucieczki. W chwili gdy jego wytrzymałość niemal się wyczerpała, z odległej części biblioteki dobiegł go odgłos kroków.

- Nie chciałabym, żeby ten drugi okazał się następnym potworem - powiedziała Laurie.

- Zobaczymy.

Powoli, z ociąganiem z cienia wyłoniła się niewyraźna postać. Demmiman poczuł, że nie może oddychać. Oto wreszcie czekała go konfrontacja, po której przyjdzie mu zatryumfować lub poddać się. Moc jego ciekawości przydała kształtu mrocznej postaci człowieka starszego od niego o wiele dziesiątek lat i ukształtowanego przez doświadczenia znacznie przewyższające jego własne, doświadczenia, wobec których wyobrażenia Demmimana składała broń.

Starzec był odziany w ciemny, oficjalny strój małomiasteczkowego człowieka interesów, z którego sukces uczynił tyrana. Zaledwie Demmiman zdążył przyjrzeć się białej pianie brody starca, gdy po następnym jego kroku zrozumiał, dlaczego jego twarz wydaje się niewyraźna - mężczyzna krył ją za dłońmi, wzniesionymi - jak się zdawało Demmimanowi - w geście wstydu.

Starzec stanął na rozstawionych nogach.

Podniósł głowę i rozpostarł palce, zdając się wyczuwać zmianę w Demmimanie. Potem, jakby pod wpływem nagłej decyzji, opuścił dłonie i odsłonił twarz z gniewem, do którego Demmiman nie byłby zdolny. Demmiman trwał w bezruchu, sparaliżowany zgrozą. Na tej

twarzą odcisnęło się tysiące grzechów, tysiące wybryków. Było to świadectwo sekretnego życia, ohydneho i niezaprzeczalnego, a jednak, choć zgrubiałe i rozpalone, rysy Innego w ohydny, niezaprzeczalny sposób przypominały rysy Demmimana.

- Wszystko w porządku?
- Bo co?
- Głos ci się załamał. Napij się wina, to ci pomoże.

Czyżby wszystkie jego wysiłki miały go doprowadzić jedynie do spotkania z tą potworną wersją samego siebie? Upokorzenie Demmimana brało się również ze świadomości, że to ohydne stworzenie dalece przewyższa go mocą. Inny zrobił krok ku niemu w aureoli swej potęgi. Godfrey Demmiman odwrócił się i uciekł ile sił w nogach.

Wydawało mu się, że słyszy za plecami śmiech, lecz śmiech ten był jedynie echem jego hańby; wydawało mu się, że człapiące kroki ścigają go po schodach, lecz słyszał jedynie bicie własnego serca. Zdawało mu się, że z uchylonych drzwi i mrocznych kątów patrzą na niego piwniczne, bezkształtne stwory, czekające na jego ostateczną kapitulację.

Nie mógł się ugiąć. Został stworzony do wielkiej misji, a spotkanie w pustym pokoju było jedynie kluczem otwierającym drzwi do niej. Jego przeznaczenie miało w sobie dostojeństwo, które dopiero teraz zaczynał pojmować.

Zbliżył się do drzwi galerii, otworzył ją i znalazł w kieszeni pudełko zapalek, którymi zapalił świece w krypcie. Jasny płomyk zadygotał, gdy Demmiman ukląkł przed pierwszą długą zasłoną. Nie wielki, dygoczący ogienek rozbłysnął i popęzł ku górze. Demmiman podszedł do następnej zasłony i zapalił kolejną zapalną. Gdy i ta rozniecila ogień, pobiegł ku pleśniejącym draperiom po drugiej stronie galerii. Tam przy płasającym, migotliwym świetle ocenił swe dzieło.

Ogień z rzędów płonących kolumn rozprzestrzenił się na podłogę i sufit. Awangarda płomieni podbijała coraz większe połacie spróchniałych desek, czerwone języki pełzły po ścianie. Ściany otwierały się przed nimi jakby w powitaniu; podłoga płonęła już w dziesiątkach miejsc. Demmiman wycofał się na zadymiony korytarz i wybiegł w noc.

Brudne ceglane mury i ciemne okna po obu stronach wąskiej uliczki trwały obojętnie wobec pożaru swego sąsiada. Alarm wszczęto dużo później, gdy płomienie wzniosły się ku mrocznemu niebu. Demmiman schronił się w zaciszu bramy.

Okna na parterze brzęknęły i wyzwoliły kłęby dymu tak czarnego, że ukrył buzujący w środku płomień. Ogień z wielkim pośpiechem dotarł na pierwsze piętro. Płomienie wyskoczyły na zewnątrz i znikły w potężnej kolumnie dymu.

Przyszła kolej na drugie i trzecie piętro. Demmimanowi wydało się, że przez ryk pożaru słyszy piskliwe wrzaski stworzeń uwięzionych w domu, i myśl o ich przerażeniu napęliła go dziką radością.

Czarne kłęby przed frontem budynku zasłaniały najwyższe okna; Demmiman popędził brukowaną ulicą do bramy sąsiedniego budynku, skąd mógł obserwować ostatnie dokonania płomieni. Ledwie skierował wzrok na okna czwartego piętra, za szybami zalśniły pierwsze języki ognia, pogłębiające barwę ze złota do czerwieni.

W najbliższym oknie pojawiła się czarna sylwetka; postać wyjrzała na ulicę z nadzwyczajnym spokojem. Budynek wydał jęk zwiastujący rychły upadek. Postać w oknie zwróciła na Demmimana swe niewidzialne oczy. Z oddali przez huk pożaru przebił się ryk syreny, potem drugiej. Niewidoczne oczy czarnej sylwetki nie odrywały się od Demmimana.

Framuga okna zapłonęła; ogień oświetlił zniszczone szczątki tego, który był tak bardzo do niego podobny, a jednocześnie niepodobny. Inny trwał nieruchomo, pełen dziwnego spokoju. Jego

włosy zajęły się ogniem. Za jego plecami ogień zmienił barwę z czerwonej na ciemnoniebieską, jaką Demmiman niegdyś ujrzał w sercu prastarego lasu. Demmiman wyłonił się z bramy i wyszedł na brukowaną ulicę. W żądaniu Innego, które nadeszło w całym swym majestatycznym paradoksie, krył się nieprzewidziany los, na który raptownie zachwycony Demmiman zareagował pełną aprobatą.

Ruszył biegiem i skoczył w płonący budynek. Ułamek chwili później resztki fasady poddały się i z westchnieniem kapitulacji wielki budynek zapadł się i runął na trwającego w ekstatycznym spełnieniu Godfreya Demmimana.

- Musiał uwolnić świat od siebie? Nie wspominając już o rodzinnym domu i tych małych pełzających paskudztwach?

- Biedny stary Godfrey.

- Moglibyśmy wymyślić weselsze zakończenie. Wchodzisz w to? Aha. Tutaj widzimy zdecydowaną oznakę zainteresowania. Co ten Edward Rinehart mógł wiedzieć o ekstatycznym spełnieniu?

58.

Widok tej pięknej twarzy tak blisko mojej nappełnił mnie błogością. Znałem kobiety bardziej namiętne od Laurie, ale żadna nie potrafiła z takim wdziękiem wyczuć, kiedy nadchodzi odpowiednia chwila, by rozpostrzeć skrzydła i pomknąć ku następnej. Miała także dar, który jedni nazwaliby sprośnością, a inni pomysłowością. Im bardziej rozpoznawaliśmy nasze ciała i ich możliwości, tym bardziej się jednoczyliśmy, aż w końcu jakby stopiliśmy się ze sobą w jedną istotę. Kiedy się rozdzieliliśmy, by leć obok siebie, miałem wrażenie, że wracają do mnie zwiewne fragmenty mojego ja.

- Potrafisz sobie w ogóle wyobrazić, jak dobrze się dzięki tobie czuję? - spytała.

- Chyba ci zbuduję świątynię - odparłem.

Parę godzin później przebudziłem się z tym starym przeczuciem, że muszę ruszać w drogę, zanim dopadną mnie kłopoty. Poza tym o wiele za szybko zakochałem się w Laurie Hatch. W ogóle nie powinienem się w niej zakochać. Za parę dni zamierzałem wrócić do Nowego Jorku, a potem prawdopodobnie nigdy jej już nie zobaczę. Natomiast ja byłem dla niej głównie zagrożeniem i przed tym musiałem ją chronić. Zdjąłem ze swojego ramienia jej rękę i wysliznąłem się z łóżka.

Szukając skarpetek, wpadłem na lampę i obudziłem Laurie. Spytała niewyraźnie, co robię. Powiedziałem, że wracam do siebie.

- Która godzina?

Spojrzałem na zielone cyferki zegara.

- Kwadrans po pierwszej.

Włączyła lampkę przy łóżku i usiadła, trąc twarz.

- Odwiozłabym cię, ale jestem tak zmęczona, że chyba wjechałabym w drzewo.

- Wezwę taksówkę.

- Nie bądź niemądry. Weź samochód Stewarta - ten drugi, ten, który zostawił w garażu. Jakoś znajdziemy sposób, żeby go odebrać. Poza tym ty tu wrócisz, Ned, nie ma co do tego dwóch zdań.

Podszedłem do łóżka i pocałowałem ją. Zmięty koc przykrywał ją do pasa; w tym świetle jej piersi wydawały się złote.

- Zadzwoń jutro. - Wyłączyła światło, ledwie skończyłem się ubierać.

Drugim samochodem Stewarta okazał się kremowy dwuosobowy mercedes 500SL, co by mnie zdumiało, gdybym był jeszcze zdolny się dziwić. Uruchomiłem go, spojrzałem na kontrolki, wrzuciłem wsteczny i wycofałem się z garażu. Przez chwilę rozwiązywałem problem przełączania świateł z długich na krótkie, a kiedy mi się to udało, zostawiłem samochód na jałowym biegu i przyniosłem paczkę mojej matki z tylnego siedzenia samochodu Laurie.

Do centrum wróciłem w wielkim stylu, śpiewając przy wtórce jazzu nadawanego przez stację radiową. Minąłem parking przed moim domem i zatrzymałem samochód za rogiem na Harry Street.

59.

Wchodziłem po schodach i słyszałem odgłosy imprezy na moim piętrze. Grupka młodych ludzi wyległa na korytarz na tyłach domu. Dziewczyny pokazywały piękne nogi, chłopcy byli ostrzyżeni na jeża i ubrani w koszulki polo, wszyscy trzymali plastikowe kubki, papierosy i gadali. Czarnowłosa dziewczyna z wpadającą w oczy grzywką machnęła ku mnie papierosem.

- Hej, nowy sąsiedzie! Chodź na imprezę.
- Dzięki, może innym razem. Chwilowo jestem przeimprezowany.

Pomachałem jej i zajrzałem w otwarte drzwi po drugiej stronie korytarza. Otto zgasił prawie wszystkie lampy, a jedynym źródłem światła był ekran telewizora. Migotliwy blask padał na postać rozwaloną w fotelu. Spomiędzy nóg postaci wystawała butelka jacka danielsa, w szklance na podłodze zostało trochę ciemnobrazowego płynu. Pomyślałem, że mógłbym zgasić telewizor i pomóc mu dojść do łóżka. Zrobiłem krok w jego stronę i poczułem swąd palącego się materiału.

Tuż za bezwładną ręką Otta unosiła się smuzka dymu. Z czubka na wpół wypalonego papierosa na oparciu fotela spadła strużka iskieł, które zajaśniały i zmieniły się w płomyki.

Wbiegłem do pokoju i zacząłem dusić płomienie rękami. Otto podewiał głowę. Para przekrwionych oczu spojrzała na mnie nieprzytomnie.

- Otto... - zacząłem.
- Wynocha! - ryknął. - Przeklęty oszust!

Zobaczyłem zbliżającą się wielką pięść. Walnęła mnie w ramię; przewróciłem się na podłogę. Na rękawie jego swetra wyrósł płomień mniej więcej kształtu i koloru jesiennego liścia.

- Przechłęty zodiej!

Otto rąbnął lewą ręką w środek płomieni i poderwał się z rykiem z fotela. Butelka jacka danielsa spadła na podłogę. Otto zatoczył się do przodu i zauważył, że jego sweter się pali.

- Zlew! - wrzasnąłem i chwyciłem leżącą na łóżku bluzę. Tymczasem Otto niczym karabin maszynowy wyrzucił z siebie serię przekleństw.

W drzwiach tłoczyli się młodzi z korytarza. Gasili papierosy na podłodze i popijali z plastikowych kubków. Otto i ja byliśmy lepsi od telewizora.

Przykryłem bluzą oparcie fotela i zdusiłem ogień.

Czarnowłosa dziewczyna z grzywką zrobiła krok naprzód.

- Proszę pana, to nie złodziej, to ten nowy, który wprowadził się do pokoju pani Frahm.

- Wiem, skarbie.

Uśmiechnęła się.

- Cześć, jestem Roxy Redman, a to jest Charlie, Zip i moja koleżanka z pokoju, Luna Challis.

Ładna blondynka w czymś w rodzaju halki odsłaniającej ramiączka stanika uśmiechnęła się i dodała:

- Naprawdę nazywam się Audrey, ale wszyscy mówią do mnie Luna.

- Naturalnie - odparłem. - Ja nazywam się Ned, ale wszyscy mówią do mnie Ned.

Luna zachichotała, Charlie albo Zip rzucił mi spojrzenie, od którego powinienem się zsikać w spodnie.

Otto stanął obok mnie ze szklanką wody. Na schodach rozległy się kroki.

- Zatrzymajcie ją.

Zdjąłem bluzę, a Otto oblał wodą czarne zwęglone oparcie.

Helen Janette, niewidoczna za tłumem, oznajmiła, że zabawa się skończyła. W polu mojego widzenia pojawiła się fedora pana Tite'a.

- Słyszeliście, co powiedziała pani. Idźcie do domu.
 - Wybacz, mały - odezwał się Otto. - Głupi staruszek się trochę załął.
- Podniósł butelkę i wyrzucił ją do kosza.

Roxy, Luna i ich przyjaciele znikli wśród stłumionych chichotów, dzięki czemu mogłem ujrzeć przelotnie pana Tite'a. Zrozumiałem, skąd ta radość. Oprócz fedory Tite miał na sobie siatkowy podkoszulek, który widziałem dziś rano, i bokserki w prążki z żółtą plamą kołu roz-porka.

Helen Janette, wbita w różowy szlafrok, włożony na koszulę nocną, wmaszerowała na teren wroga i zajęła ustalone pozycje.

- Żądam wyjaśnienia.

Otto zrobił, co było w jego mocy. Zasnął, paląc papierosa, przestraszyłem go, bardzo przeprasza za to zamieszanie. Do tej pory nie zdarzyło mu się nic podobnego i na pewno się już nie zdarzy.

Pani Janette wzmocniła aurę władzy wokół siebie.

- Jestem zgorszona. - Pan Tite zajął pozycję u jej boku. - W tym pokoju cuchnie alkoholem. Stracił pan przytomność, gdy palił papierosa, i o mało co nie spowodował pan pożaru. Nie możemy tego tolerować.

- Właśnie - dodał jej wierny pies.

- To się już nie powtórzy. W przyszłości będę uważniejszy. - Otto wyprostował się; wydał mi się podobny do Johna Wayne'a. - Czy chce pani powiedzieć coś jeszcze?

- Niech pan otworzy okna i przewietrzy ten smród. To porządny dom.

- Okna są już otwarte. Jeśli chce pani prowadzić porządny dom, niech się pani pozbędzie Franka Tite'a. To taka skromna rada.

Tite skoczył ku niemu, Helen Janette powstrzymała go ruchem ręki. Spojrzała na mnie groźnie.

- Z pańskiej strony nie chcę żadnych kolejnych nieprzyjemności.
- Wyświadczyłem pani przysługę - powiedziałem.

Wymaszerowała z pokoju.

Bremen spojrział na mnie i wzruszył ramionami. Słyszeliśmy, jak schodzą po schodach i zamykają za sobą drzwi, każde swoje.

- O co chodzi z tym Tite'em? - spytałem.

- Frank Tite to śmieć, którego wyrzucili z policji, o to chodzi. - Zdjął sweter i rzucił go w kierunku kosza na śmieci. - Mam tu gdzieś drugą butelczynę. Napijemy się na dobranoc?

Wyszedłem, obiecawszy, że wkrótce złożę mu wizytę. Książka Rineharta oraz paczka z depozytu leżały w kącie obok okna. Zaniósłem paczkę na stół, zdjąłem warstwy szarego papieru, spod których wyłonił się wielki, staroświecki album w ciemnozielonej okładce. Na albumie widniała przyklejona kartka, na której ręka mojej matki napisała: Dla Neda.

60.

Przerzucałem strony matrioski Laurie, mojego ostatniego, sekretnego daru od matki i coraz mniej rozumiałem. Do ponad połowy grubych stron przyklejono... wycinki z gazet na temat zbrodni? Parę pochodziło z „Edgerton Echo”, ale większość wycięto z gazet spoza miasta. Niemal wszystkie dotyczyły nierozwiązanych zagadek morderstw, z których żadne nie miało związku ze Star czy mną. Zaniepokojony zacząłem przeglądać album bardziej metodycznie. W jednym z pierwszych artykułów w oczy rzuciło mi się nazwisko, które usłyszałem z ust Hugh Coventry'ego i Suki Teeter.

Nagłówek pierwszego wycinka głosił: **AKUSZERKA OSKARŻONA O KRADZIEŻ DZIECI PRZYZNAJE SIĘ DO WINY.** Hazel Jansky, miejscowa akuszerka, została postawiona w stan oskarżenia, kiedy administrator szpitala Świętej Anny odkrył, że w ciągu ostatniej dekady w jej obecności przyszło na świat dziewięćdziesiąt martwych dzieci. Jansky przedstawiła wiarygodne wyjaśnienia, ale władze szpitala poleciły pielęgniarkom nadzorować jej pracę. Dwa tygodnie później jedna z pielęgniarek dowiedziała się, że pacjentka akuszerki przed

chwila urodzila martwe dziecko. Pracownik ekipy sprzatajacej widzial akuszerke zbiegajaca schodami sluzbowymi. Zaniepokojona pielęgniarka zjechała windą służbową do piwnicy, gdzie zastała Hazel Jansky, która biegła do tylnych drzwi. Złapała ją już na zewnątrz i zobaczyła szybko odjeżdżający samochód. Pielęgniarka przekazała akuszerkę w ręce władz szpitala; pod jej płaszczem znaleziono dziecko, wykąpane, przewinięte i bez wątplenia żywe. Na policji Jansky przyznała się do współuczestnictwa w czterech transakcjach sprzedaży noworodków parom niemogącym lub niechącym przechodzić przez normalny proces adopcyjny. Zaprzeczyła, jakoby miała współnika lub współników.

Historię opatrzone datą 3 marca 1965 roku. Na cztery miesiące przed moimi siódmymi urodzinami matka otworzyła poranną gazetę i znalazła dowód na to, że urodziła bliźnięta, a niejedno dziecko.

Następnego dnia „Echo” ogłosiło: **AKUSZERKA PORYWACZKA SKŁADA ZEZNANIA**. Hazel Jansky zidentyfikowała czworo „czarnorynkowych” dzieci i powiedziała, że działała w ich interesie, ratując je przed nieodpowiednimi matkami. Wymieniła także nazwiska nabywców, ale wysiłki odnalezienia nowych rodziców spełzyły na niczym, co jak donosiło „Echo”, „pozwała przypuszczać, że transakcje były zawierane pod fałszywymi nazwiskami”.

Proces rozpoczął się w maju i trwał trzy tygodnie. Z czterech matek, których dzieci zostały porwane, jedna zginęła podczas bójki w knajpie, druga, gdy prowadziła po pijanemu - przy okazji zabiła dwie osoby - trzecia zniknęła bez śladu, czwarta, kiedy usłyszała, że jej syn żyje, oznajmiła, iż podsądna nie powinna zatrzymać całej sumy dla siebie, lecz podzielić się z nią po połowie.

Przysięgli uznali winę Jansky, lecz prosili o łagodny wymiar kary. Tydzień później przemawiał sędzia. Choć nie należy bagatelizować sprzecznych z prawem czynów podsądnej, nie można zapominać, że akuszerka Jansky wybierała dzieci narażone na niebezpieczeństwo ze strony matek. Sędzia pragnął także podkreślić zasługi podsądnej dla

społeczeństwa. Dlatego też uwzględnił wniosek przysięgłych i skazał podsądną na trzy lata w zakładzie karnym Greenhaven z możliwością zwolnienia warunkowego po półtora roku.

Hazel Jansky ukradła czworo dzieci, a ich matkom powiedziała, że nie żyją. Sędzia i przysięgli uznali, że działała w interesie skradzionych dzieci, w związku z czym spędziła w więzieniu tylko półtora roku. Jej zdjęcia nie ukazywały osoby budzącej zaufanie. Krępa blondynka po trzydziestce patrzyła spode łba ze stronic „Echo” ze zgryźliwością osoby, która nauczyła się, że na wrednym charakterze wyjdzie o niebo lepiej niż na pogodnym usposobieniu.

Pomyślałem, że sąd podzielał jej pogardę dla ofiar. Gdyby ukradła te dzieci kobietom z klasy średniej, do tej pory gniłaby w więzieniu. I zastanowiło mnie, czy życie tej kobiety zamordowanej w bójce oraz tej drugiej, która zginęła w wypadku, nie potoczyłoby się inaczej, gdyby im nie powiedziano, że ich dzieci urodziły się martwe.

Następny wycinek z „Milwaukee Journal”, zatytułowany **PODWÓJNE MORDERSTWO NA PRZEDMIEŚCIACH** otwierał dział nierozwiązanych zagadek. Patolog okręgu Milwaukee odkrył, że państwo McClure, pierwotnie uznani za ofiary pożaru, który strawił ich dom na Salisbury Road na przedmieściach Elm Grove, zmarli od licznych ran kłutych. Przyczyną śmierci ich trzyletniej córeczki Lisy McClure nie było, jak przypuszczano, niedotlenienie, lecz śmiertelny uraz karku. Małżeństwo, mieszkające w Elm Grove zaledwie pół roku, nie zawarło wielu znajomości wśród sąsiadów, z których jeden twierdził w rozmowie z dziennikarzem „Journal”, że pan McClure podobno przeprowadził się tu z St. Louis z powodów zawodowych. Na miejscu wypadku nie było ośmioletniego Roberta McClure'a, siostrzeńca pana McClure'a, który chodził do trzeciej klasy szkoły podstawowej w Elm Grove. Nie wykluczając możliwości, że napastnicy porwali chłopca, policjanci chwyli się nadziei, że mały uciekł, zanim został zauważony. Poszukiwania rodziców chłopca nie zakończyły się sukcesem, ale

naczelnik policji w Elm Grove, Thorston Lund, wyraził przekonanie, że wkrótce nawiązą z nim kontakt. Następny wycinek nosił tytuł TA-JEMNICA ZAMORDOWANEGO MAŁŻEŃSTWA.

Dochodzenie w sprawie brutalnego potrójnego morderstwa oraz podpalenia, do jakiego doszło w środę w Elm Grove, przybrało niespodziewany bieg po odkryciu, iż William i Sally McClure mogli się posługiwać przybranym nazwiskiem. Według anonimowego informatora z wydziału policji w Elm Grove rutynowa kontrola ujawniła, że państwo McClure podali fikcyjny adres co najmniej dwukrotnie.

Nabywając dom przy Salisbury Road oraz zapisując do szkoły ośmioletniego Roberta McClure'a, zaginionego siostrzeńca, państwo McClure podali jako poprzednie miejsce zamieszkania ulicę Miraflores 1650 w San Juan w Portoryko - fikcyjny adres. Na formularzu zgłoszeniowym Roberta McClure'a jako poprzednią szkołę wymieniono szkołę podstawową w St. Louis, gdzie nie odnotowano ucznia o takim nazwisku.

Wysoko postawiony funkcjonariusz wydziału policji w Elm Grove donosi, że państwo McClure nabyli dom przy Salisbury Road za pośrednictwem Agencji Handlu Nieruchomości Statlera i zapłacili gotówką. Thomas Statler, prezes agencji, twierdzi, iż taki rodzaj zapłaty jest niezwykle, lecz nie bezprecedensowy.

Pewien mieszkaniec ulicy określił pana McClure'a jako „smagłego”, lecz bez śladu portorykańskiego akcentu. Sally McClure podobno mówiła z nowojorskim akcentem. „Pan McClure nie był taki jak my. Usiłował być uprzejmy, ale nie można by go nazwać przyjacielskim”.

W wydanym dziś oświadczeniu naczelnik policji w Elm Grove, Thorston Lund, wyraził przypuszczenie, iż morderstwo to mogło mieć związek z przeszłością pana McClure'a.

Dziecko, rzekomo siostrzeniec, ośmioletni Robert McClure, na razie nie zostało odnalezione.

Na następnej stronie „Journal” obwieszczał: **KRYMINALNA PRZESZŁOŚĆ ZAMORDOWANEJ PARY Z ELM GROVE.**

Na zorganizowanej wczoraj wieczorem konferencji prasowej wydział policji w Milwaukee i Elm Grove oznajmił, że FBI zidentyfikowało Williama i Sally McClure'ów, zamordowanych w zeszłą środę w swej ekskluzywnej rezydencji przy Salisbury Road, jako Sylvana Bookera oraz jego konkubinę Marilyn Felt, uciekających przed wymiarem sprawiedliwości. Ich dwuletnia córka, Lisa Booker, została zidentyfikowana jako trzecia ofiara.

Agent Charles Twomey z miejscowego wydziału FBI oznajmił, iż w sprawie Bookera i Felt prowadzono w Filadelfii intensywne dochodzenie. „Spodziewano się rychłego aresztowania - mówi agent Twomey. - Podejrzewamy, że ich ostrzeżono. Usiłowali zbiec, ale dogonili ich źli ludzie”. Agent Twomey nie potrafił wyjaśnić obecności ośmioletniego „Roberta McClure'a” w rodzinie i dodał: „Uważamy tego chłopca za cenne źródło informacji”.

W następnym artykule „Minneapolis Star-Tribune” donosiła o zamordowaniu Philipa i Leonidy Dunbar, starszej pary uważanej przez sąsiadów za „skrytą”. Policja wyraziła przekonanie, że sprawca zostanie niezwłocznie zatrzymany.

Artykuł **TAJEMNICA POSTERUNKU POLICJI z Ottumwa** w stanie Iowa opisywał kolejną zagadkę. Funkcjonariusz policji, niejaki Boyd Burns, zauważył włóczącego się w pobliżu jedenasto-, dwunastoletniego chłopca. Gdy funkcjonariusz do niego podszedł, mały odmówił podania nazwiska czy adresu. „Nie zachowywał się jak normalny zbieg

- powiedział Burns. - Był wręcz zadziorny. Zabrałem go na posterunek, posadziłem i powiedziałem, że jego rodzice pewnie się zamartwiają”.

Poproszony o opróżnienie kieszeni chłopiec wyjął ponad czterysta dolarów. Pełen podejrzeń Burns zdjął mu odciski palców, jednak okazało się, że chłopiec nie ma linii papilarnych. Zapytany o tę anomalię, odparł, że nie potrzebuje linii papilarnych.

„Miałem wrażenie, że się ze mnie naśmiewa - powiedział Burns. - Poprosiłem, żeby powiedział, jak się nazywa, a on na to, że mogę do niego mówić «Czerwony Ottumwa». Rozbawił mnie, muszę to przyznać. Spytałem, czy jest głodny, a on na to, że nie miałby nic przeciwko hamburgerowi. Więc posadziłem go w gabinecie oficera dyżurnego i powiedziałem sześciu funkcjonariuszom, żeby go pilnowali, dopóki nie wróce”. Burns skoczył do fast foodu na sąsiedniej ulicy. „Zanim wszedłem, usłyszałem jakiś głośny szum. Odwróciłem się i zobaczyłem, że w całym posterunku na parę sekund zgasło światło”. Pobiegł z powrotem.

Recepcjonista i funkcjonariusze z okolicznych gabinetów leżeli na podłodze, jęcząc. Więźniowie jęczeli w celach. „Moi przyjaciele z gabinetu oficera dyżurnego zniknęli bez śladu - gabinet wyglądał jak statek-widmo. Chłopak zniknął”.

Spytany o opinię Burns oznajmił, że według niego chłopiec był stworzeniem nie z tego świata. „Na przykład z innej galaktyki. Ludzie z Ziemi mają linie papilarne, to po pierwsze. W każdym razie cieszę się, że nie ma go już w Ottumwa”.

W Lansing w stanie Michigan zawałił się budynek, w którym zginęło trzynaście osób. Trzy inne pary zostały zamordowane w swoich domach. Na następnej stronie znajdował się artykuł o dwóch zamordowanych młodych autostopowiczkach z Vermontu. Zgasilem światło i padłem na łóżko, nie zwracając sobie głowy rozbieraniem.

61.

Senne sznury i kotwice nie pozwalały mi się podnieść z łóżka. Uwięziony w głowie pana X ujrzałem, jak drzwi rozplywają się we mgle, ujrzałem nóż, śniadego mężczyznę, który wstał z krzesła. Gdy otworzył drzwi, pan X wpłynął do środka i powiedział:

- Pan Booker? Ma pan coś, co należy do mnie.

Czy tym czymś byłem ja? Nie, to coś już zniknęło, zdążyło uciec.

Booker padł na kolana, pan X prześliznął się za jego plecy i poderżnął mu gardło.

Nie, pomyślałem, to był Anscombe...

Nie, to Frank Sinatra śpiewał „Walcz... walcz... walcz ze wszystkich siiiiil...”.

To nie widok pana X masakrującego Sylvana Bookera wyrwał mnie stamtąd; to się stało, gdy śpiewał Frank Sinatra, pachniało sosnowymi igłami, a ci ludzie nazywali się...

Pluszowy czarny kot i biały królik leżały na podłodze. W lustrze przede mną unosiła się bezkształtna postać, która zanosila się złośliwym śmiechem. Przerażony zerwałem sznury, odrzuciłem kotwice i poderwałem się z łóżka, zasłaniając oczy dłońmi.

62.

Matrioszka wyjaśniła wszystko, co byłem gotowy zrozumieć. Niemal wszystkie artykuły zostały opublikowane dzień lub dwa po dwudziestym piątym czerwca. Zjawiałem się u zamordowanych wraz z panem X - widziałem, jak umierają. Star zbierała te artykuły, ponieważ bała się, że... sprawcą jest Robert? Czy Rinehart? Sądziła, że to Robert zgładził połowę policjantów z Ottumwa w stanie Iowa i zamordował dwie autostopowiczki z Vermontu. Gazety mówiły jej, że gdzieś na świecie grasuje jej drugi syn, sunący od tragedii do tragedii jak ogarnięty furią duch.

Robert wysłał Ashleigh Ashton do motelu „Comfort”, ponieważ wiedział, że tam będę. Następnego dnia uratował mnie przed więzieniem, idąc z nią do łóżka.

Sam czułem się trochę jak matryoszka, kryjąca tajemnice w tajemnicach, które prowadzą do niepojętej zagadki. Robert; Edward Rinehart. Tego było dla mnie za dużo. Nie potrafiłem tego zrozumieć. Nie chciałem też narażać na niebezpieczeństwo Laurie Hatch. Postanowiłem wyjść i pochodzić po ulicach, aż zmęczenie zapędzi mnie z powrotem do łóżka.

Gdy byłem na dworze, dostrzegłem bladą twarz mojej gospodyni, znikającą za zasłoną. Zamknąłem drzwi z głośnym, satysfakcjonującym trzaskiem. Potrzebowałem drinka. Może nawet trzech.

W miarę jak szedłem przez Chester Street, hałas narastał. Żaden zabijaka z Hatchtown nie chciał jeszcze spać. A ja nie chciałem być zabawką Roberta. Byłem wściekły na myśl, że mną manipulował, kierował, że kształtował moje życie. No bo dlaczego? Znieruchomiałem, gdy dotarła do mnie najoczywistsza z możliwości.

Odpowiedź przyszła, gdy przypomniałem sobie: „Pan Booker? Ma pan coś, co należy do mnie”.

Raz w roku pan X ruszał na poszukiwanie Roberta, mojego cienia. Więź, o której nie miałem pojęcia, wciągała mnie, cień cienia, do poszukiwań. Star i Robert spotkali się co najmniej dwa razy, przed sklepem Biegelmana i przed domem Nettie; pewnie były też inne spotkania. Może miała coś, co trzymało pana X na dystans. Nasze urodziny przypadły na dzień po jej pogrzebie, a Robert nie mógł samotnie stawić czoła corocznemu zagrożeniu. Ocalił mi życie, ponieważ mnie potrzebował.

Ja go nie potrzebowałem. Mógł iść do diabła. Jeśli pan X go zlikwiduje - tym lepiej.

Zrobiłem krok naprzód, kipiąc z wściekłości, i uświadomiłem sobie, że istota, którą właśnie skazałem na unicestwienie, jest tym, czego brak odczuwałem przez całe życie. Napływ uczucia, które potrafię opisać tylko jako tęsknota, omal nie rzucił mnie na kolana. Każda komórka

mego ciała krzyczała, że chce się połączyć ze swym drugim, oderwanym od niej ja. Jeszcze raz, teraz boleśniej, gdyż doroślej, poczułem się jak amputowana połowa ciała, krwawiąca z tęsknoty za tym, co uczyniłoby ją kompletną. To szaleństwo, powiedziałem do siebie. Zachowujesz się jak wtedy, kiedy miałeś trzy lata.

Dotkliwa tęsknota zabiłżniła się i Chester Street znów stała się jasna, spokojna i pusta. Minęła trzecia w nocy, był niedzielny przedświt. Jeśli Robert potrzebował mnie do walki z panem X, mogłem mu pomóc - albo nie, zależnie od kaprysu. Ale znalazłem się tutaj dlatego, że i on tu był; to on postawił mnie na ścieżce biegnącej od Ashleigh Ashton do Laurie Hatch.

Dotarłem do Merchant Park, nadal martwiłem się o Laurie. Postanowiłem napić się wody z fontanny, którą mąż Laurie wystawił na cześć samego siebie, i wreszcie zauważyłem, że przed Cobden Building migają koguty radiowozów i karettek. Hałas, który słyszałem od dawna, był dziełem tłumu przed parkiem i mniejszych grupek rozproszonych wśród drzew.

63.

Mały facet z aureolą loczków wymykających się spod czapki pomachał do mnie z ławki papierową torbą. Usiadłem obok niego.

- Cześć, Piney. Co się dzieje?

- Nie wiem, cholera. Jakies kłopoty w Cobden Building.

Na Ferryman Road wjechały z piskiem opon dwa kolejne radiowozy. Sanitariusze rozmawiali na schodach z siwowłosym mężczyzną, którego zmęczona twarz w świetle migających kogutów stawała się na przemian różowa i czerwona.

- Kapitan Mullan - odezwałem się.

To, co było w butelce, smakowało jak dym z cygara.

- To tylko prościutki burgund domowego wyrobu, lecz pomyślałem, że zabawią cię jego wysiłki. - Piney zarechotał i podniósł butelkę.

- To powiedzonko mojego starego przyjaciela Erwina Pipeya Leake'a. Pipey był kiedyś profesorem w Albertus i często wyjeżdżał z takimi tekstami. - Zesztywniał z emocji. - „Ścigasz cień, co umyka; zaprzestań pogoni lub udaj, że zaprzestałeś, a sam cię dogoni”. Wiesz, kto to napisał? Pokręciłem głową.

- Ben Jonson. „W ciemnościach nasłuchuję; ilem razy- dotąd na poły Śmierć pokochał, co jest mym wytchnieniem; ileż razy wzywałem misternymi rymy jego imię, by zechciał unieść moje tchnienie”. John Keats.

Skóra na głowie zaczęła mnie mrowić.

- Ludzie uważali Pipeya za męta. Nikt się nie przejął, kiedy zjawił się Czarny Anioł Śmierci i zabrał go ze sobą. - Piney otarł oczy i pode-rwał się z ławki.

Pokuśtykał przed siebie, podążyłem za nim przez tłum zebrany w zwężającym się końcu parku. Mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce zerknął na mnie i odwrócił wzrok. Żaba La Chapelle dał się wywabić z nory.

Po drugiej stronie ulicy przed Cobden Building roilo się od światel. Kapitan Mullan stał przed uchylonymi drzwiami, pogrążony w rozmowie z mężczyzną w granatowym garniturze i z taką miną, jakby liczył, że zaraz się obudzi z tego koszmaru.

- Kto stoi z Mullanem?

Osilek z przylizanymi czarnymi włosami powiedział, że to szef ochrony Hacha, Frank Holland.

- To mój chłopak, Bruce McMicken - oznajmił Piney.

- Nie jestem twoim chłopakiem - powiedział Bruce.

- Ktoś się włamał?

Bruce McMicken rzucił mi spojrzenie z ukosa. Nieruchoma twarz nadawała mu wygląd barmana albo policjanta.

- Gliny mówią, że ten ktoś nieźle narozrabiał. Zniszczył komputery. I przetrzepał strażnika. Stąd ten ambulans.

- Tego starszego pana? Wczoraj go widziałem.

- Tak, Earla.

- Żadnego pożytku z tego Earla Sawyera - odezwał się Piney. - Zadziera nosa.

- Jest tylko niesympatyczny - odparł Bruce. - Przynajmniej nie sy-
pia na ulicy jak ty.

Piney zachichotał ochryple, jakby usłyszał komplement.

- Jest i szef.

Masywny mężczyzna w niebieskiej koszuli, szortach khaki i moka-
synach na bosych stopach wypadł na zewnątrz i zaczął się rządzić. Miał
szeroką, władczą twarz i fryzurę jak przekupny senator.

- Stewart Hatch?

- Z Hatchów z Hatchtown - potwierdził Piney.

Z budynku wyszli sanitariusze z noszami; trzech mężczyźni na scho-
dach zeszli na trawę. Spod koca wyglądała zmasakrowana twarz Earla
Sawyera. Miał zamknięte oczy, a krwawa krecha przecinała mu poli-
czek jak transparent. Porucznik Rowley stanął koło kapitana Mullana
na niewielkim trawniku. Stewart Hatch wsiadł do ambulansu wraz z
sanitariuszami.

Bruce, Piney i ja stanęliśmy na chodniku. Sanitariusze przenosili
nieprzytomnego strażnika na wózek. Frank Holland zniknął w głębi
ambulansu.

- Sra w gacie - odezwał się Bruce. - Mają tam superczujny system
alarmowy. Sygnał powinien się włączyć nawet wtedy, gdy mucha usią-
dzie na lampie.

Holland wysiadł z ambulansu, za nim Hatch i jeden z sanitariuszy.
Sanitariusz zamknął drzwi i pobiegł do szoferki.

- Tak na marginesie - szepnęła Piney - to chyba nie ty, co?

- Ja? - Myślałem, że chodzi mu o Earla Sawyera i Cobden Building.

- Dopiero przyszedłem.

- To w piątek.

- Nie. To nie ja.

Poklepał mnie po ramieniu. Ambulans skręcił w Commercial Ave-
nue. Stewart Hatch zaczął dziobać palcem wskazującym w pierś Franka
Hollanda.

- *Adios, amigos* - odezwał się Bruce McKicken i zniknął w rozpraszającym się tłumie.

Porucznik Rowley zauważył mnie. Pochylił się do Mullana. Ten, niezbyt zadowolony, spojrział w moją stronę. Skinąłem głową.

Stewart Hatch obrzucił zebranych wyniosłym spojrzeniem.

- Wracajcie do domów! - krzyknął. - Koniec przedstawienia.

Jego wzrok spoczął na mnie i znieruchomiał.

Właściwie nie znieruchomiał. Kiedy oczy Stewarta Hatcha spojrzały w moje, rozszerzyły się w szoku, który natychmiast przeszedł w nienawiść.

Śledził nas, pomyślałem. Widział zdjęcia Laurie i mnie.

- Nie spodziewaj się kartki na święta - mruknął Piney.

Hatch wbił pięści w kieszenie - wyglądał, jakby chciał się rzucić przed siebie - i pochylił się do ucha Rowleya.

Ten zwrócił w moją stronę kamienną twarz o pozbawionych wyrazu oczach. Hatch pognął do budynku; szef ochrony potruczał za nim.

Rowley wyglądał na tak szczęśliwego, jak to tylko u niego możliwe. Nie musiał już udawać mojego najlepszego przyjaciela. Piney zniknął. Parę osób wokół mnie również. Rowley stanął przede mną i wydmuchnął kłęb papierosowego dymu.

- Miło pana znowu widzieć, poruczniku - powiedziałem.

Rowley rozejrzał się na boki. Jego trupia twarz zbliżyła się ku mnie, zmarszczki żłobiące policzki wypełniły się cieniem.

- Jesteś jeszcze głupszy, niż myślałem. Co z tobą, Dunstan?

- Nie mogłem spać. Wyszedłem na spacer i zobaczyłem, że coś się dzieje.

Zrobił krok naprzód, zmuszając mnie do cofnięcia się.

- Przystanek autobusowy jest na Grace Street, trzy przecznice od Town Square. To jedna możliwość. Druga: zostaniesz, a my do ciebie wpadniemy rano.

- Hatch kazał to panu powiedzieć?

Uderzył mnie mocno w żołądek. Uszło ze mnie całe powietrze, zatoczyłem się do tyłu. Poprawił ciosem w skroń, który cisnął mnie na trawnik. Przeturlałem się na bok, walcząc o oddech. Rowley podskooczył i kopnął mnie pod żebra. Przykucnął i uderzył mnie pięścią w głowę.

- Co proszę? Coś mówiłeś?

Udało mi się wciągnąć nieco powietrza.

- Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz.

Gliniarze po drugiej stronie ulicy odwrócili się plecami. Rowley wstał i cofnął się o krok.

- Jeszcze jedno - powiedziałem.

Oparł ręce na kolanach i pochylił się ku mnie. Jego twarz była czarna, gładką płaszczyzną. Wziąłem jeszcze jeden wdech.

- Kiedy otwierałem tę paczkę, sądziłem, że zawarliśmy umowę.

- Umowę.

- Myślałem, że za te sto dolców nikt mnie nie będzie kopać.

Poderwał się i odszedł.

Kiedy wkładałem klucz w zamek, skóra na karku zaczęła mnie mrowić. Obejrzałem się, sądząc, że ujrzę Rowleya, wzywającego mnie do zajęcia miejsca w radiowozie. Zobaczyłem tylko Żabę La Chappelle'a, przemykającego przez Chester Street. Żaba spojrział na numer budynku, potem na mnie. Wsadził ręce w kieszenie skórzanej kurtki, podszedł do krawężnika i spojrział w głąb ulicy, jakby czekał na samochód. Zerknął na mnie jeszcze raz, ruszył przed siebie i zniknął za rogiem.

64.

O dziesiątej rano w niedzielę ktoś zapukał ostro do moich drzwi akurat w chwili, gdy usiłowałem przekonać Laurie Hatch, żeby przyjechała po mercedesa z Posy Fairbrother.

- Mam gościa - powiedziałem.
- Pozbądź się go i przyjedź do mnie. Dam ci niesamowite drugie śniadanie.

Pukanie rozległo się znowu, potrójne.

- To chyba jeden gliniarz, co nie bardzo mnie lubi.
- Odlóż słuchawkę i wpuść go, żebym słyszała, co się dzieje. I powiedz mu, że rozmawiasz ze mną.

Zza drzwi dobiegł głos Helen Janette:

- Jeśli pan nie otworzy, ja to zrobię.

Za plecami mojej gospodyni tłoczyli się kapitan Mullan, porucznik Rowley, funkcjonariusz Treuhaft, żywy totem, który towarzyszył Rowleyowi w domu Nettie, oraz, tak blisko Rowleya, że mogliby się trzymać za ręce, Stewart Hatch. Stewart był ubrany w białe spodnie i niebieski dwurzędowy blezer oraz koszulkę polo z postawionym kołnierzem. Brakowało mu tylko czapki kapitańskiej.

- To była ostatnia kropla - oświadczyła godnie Helen Janette i zniknęła.

- Możemy wejść? - spytał kapitan Mullan.

- Bardzo proszę. Rozmawiam przez telefon.

Minęli mnie. Hatch od razu zaczął chodzić po pokoju, z szyderczym uśmiechem oglądając moje mieszkanie, trzej pozostali patrzyli, jak siadam na łóżku i biorę słuchawkę.

- Muszę kończyć. Przyszedł kapitan Mullan, porucznik Rowley, funkcjonariusz Treuhaft i pewien pan, podobno Stewart Hatch.

- Stewart tam jest?

Hatch odwrócił się na dźwięk swojego nazwiska.

- Z kim pan rozmawia?

- Z moim adwokatem.

Spojrzał na Mullana.

- Uznaję to za przyznanie się do winy.

- Wielki Roy Cohn - dodałem. - Odrobinę strupieszwały, troszkę spleśniały, ale jeszcze trochę jadu mu zostało.

Mullan uśmiechnął się pod nosem, Hatch odwrócił się na pięcie i

otworzył moją szafę.

- Proszę się cofnąć - powiedział do niego Mullan.
- Mam z nim porozmawiać? - spytała Laurie.
- To chyba niedobry pomysł - odparłem i rozłączyłem się.
- Aresztuj tego człowieka za kradzież samochodu, Mullan - rozkazał Hatch. - Tym razem zatrzymaj go w celi, dopóki nie znajdziemy innych zarzutów.

- Proszę usiąść - powiedział Mullan, rzucając Rowleyowi zdeglustowane spojrzenie. - Jest pan stroną zainteresowaną, nie funkcjonariuszem policji.

- Pan Hatch jest ofiarą, kapitanie - wtrącił Rowley.

Mullan tak długo wpatrywał się w Hacha, aż ten usiadł na krześle koło okna.

- Czy pozwala nam pan na przeszukanie tego pokoju? - zwrócił się do mnie kapitan.

- Bardzo proszę. Ale jeśli chodzi o mercedesa pani Hatch, to marnujecie czas. Tu go nie ma.

Treuhaft rozpiął moją torbę i wytrząsnął ją nad łóżkiem. Rowley otworzył szuflady i zaczął grzebać w moich skarpetach i bieliźnie.

- Czy wczoraj w nocy zabrał pan mercedesa 500SL z garażu rezydencji na 4825 Blueberry Lane w Ellendale pomiędzy północą i drugą rano i zatrzymał go na Harry Street, za rogiem tego budynku?

- Jasne, że tak - warknął Hatch.
- Jasne, że tak - powiedziałem. - Na prośbę pani Hatch.
- Spytajcie go, co tam robił.

Mullan spojrzał na mnie.

- Pani Hatch zaprosiła mnie na kolację. Nie mam samochodu, więc przyjechała po mnie. Podczas kolacji wypiliśmy parę kieliszków wina. Spytała, czy mogę wrócić sam pojazdem, który jej mąż zostawił w garażu.

Spojrzałem na Hacha.

- Piękna maszyna.

Jego spojrzenie stwardniało.

- Dziś rano zaproponowałem pani Hatch, żeby razem z Posy, nianią,

przyjechała po samochód. Posy mogłaby odprowadzić mercedesa do Ellendale.

- Posy - wycedził Hatch takim tonem, jakby mówił o jadowitym owadzie.

- Ten facet zawsze dostaje alibi od kobiet, zauważyliście? - Rowley zbliżył się do łóżka. - Dlaczego ukryłeś samochód?

- Nie ukryłem. Zaparkowałem go za rogiem, żeby gospodyni nie widziała, że wysiadam z mercedesa.

Rowley wziął album i rzucił go na stół. - Masz kluczyki?

Wyjąłem je z kieszeni i podałem Mullanowi, który spojrzał na Stewarta Hatcha.

- Czy mamy zadzwonić do pańskiej żony? Szczerze mówiąc, nie widzę powodu.

- Dobra - rzekł Hatch. - Przestańcie się opieprzać i do roboty.

Wstał i podszedł z wyciągniętą ręką. Podałem mu kluczyki. Zbliżył się bardziej, niż się spodziewałem, i chwycił mnie za przegub. Wyrwał mi kluczyki prawą ręką, wcisnął je do kieszeni i pochylił się, żeby się przyjrzeć opuszkom moich palców.

- Proszę go puścić! - rozkazał Mullan. - Natychmiast.

Hatch puścił mój przegub i wytarł ręce o białe spodnie.

- Pobraliśmy już odciski palców pana Dunstana - oznajmił kapitan Mullan. - Jeśli jeszcze raz wykaże się pan podobną inicjatywą, funkcjonariusz Treuhaft pana wyprowadzi.

Przypomniałem sobie, co funkcjonariusz Boyd Burns powiedział dziennikarzowi o „Czerwonym Ottumwa” i jak Rowley spytał młodego policjanta: „Czyste? Bez linii?”.

Świadomość, kto włamał się do Cobden Building i pobił starszuka strażnika, walnęła mnie prosto w żołądek. Stewart Hatch wskazał mnie palcem.

- Ten człowiek jest w zмовie z moją żoną, to chyba jasne! Kto go przywiózł do miasta? Z kim go widziano, na Boga?

- Ależ pan zdesperowany - zauważyłem.

- Ile ci płacą? - spytał. - A może robisz to nie dla pieniędzy?
- Proszę o ciszę - przerwał Mullan i zwrócił się do mnie: - Czy ma pan jakiś związek z sądowymi sprawami pana Hatcha?

- Nie.

- Pańska znajomość z asystentką prokuratora generalnego oraz panią Hatch jest czysto towarzyska i została nawiązana w wyniku przypadkowego spotkania?

- Właśnie.

- Sam pan zrozumie, że z naszego punktu widzenia jest to dość trudne do zaakceptowania. Jeśli nie ma pan żadnej urazy do pana Hatcha, dlaczego w piątek wieczorem obraził pan jego przyjaciela i współpracownika pana Milтона?

- Pan Milton obraził mnie pierwszy. Proszę spytać portiera.

- I nie ma pan nic wspólnego z dzisiejszym włamaniem do Cobden Building?

- Wie pan, co mnie ciekawi? Dlaczego pan Hatch kazał porucznikowi Rowleyowi wygonić mnie z miasta i pobić, gdyby się okazało, że nie jestem gotów posłuchać.

- Nie wydaję Rowleyowi rozkazów, ponieważ Rowley ich ode mnie nie przyjmuje.

Głos Hatcha brzmiał spokojnie.

- Porucznik ma zasady, kiedy chodzi o rozkazy - zauważył Mullan, bardziej niż kiedykolwiek podobny do irlandzkiego barmana. - Zamienił pan słówko z panem Dunstanem, poruczniku?

Pozbawione wyrazu oczy Rowleya spojrzały na mnie.

- Upewniłem się, czy pamięta, żeby nie wyjeżdżać.

- Czy musimy wysłuchiwać tych bzdur? - spytał Hatch.

Mullan przyglądał się z namysłem Rowleyowi, czego Rowley zdawał się nie dostrzegać.

- Czy zechce nam pan towarzyszyć do szpitala Świętej Anny? Pan Sawyer, strażnik ranny podczas włamania, leży na OIOM-ie. Jeśli pan odmówi, zabierzemy pana na posterunek, od nowa poddamy standardowej procedurze i odeskortujemy do szpitala. Jeśli pójdzie pan od

razu, pan Sawyer albo pana zidentyfikuje, albo oczyści z zarzutów.

- Pójdę - powiedziałem, modląc się, żeby strażnik nie przyjrzał się Robertowi zbyt dokładnie. - Ale powinien pan wiedzieć, że w piątek wieczorem, kiedy pan Sawyer wchodził do budynku, odbyłem z nim krótką rozmowę.

Rowley i Hatch eksplodowali. I jeszcze raz, kiedy wyjaśniłem, jak to się stało, że zamieniłem parę słów z Earlem Sawyerem. Obserwowałem Cobden Building! Przygotowywałem napad.

- Przekonamy się, co ma do powiedzenia ofiara. - Mullan otworzył drzwi.

- Ja tu jestem ofiarą - warknął Hatch. Wymaszerował niczym generał na czele wojsk.

65.

Treuhaft otworzył tylne drzwi radiowozu, Mullan zaprosił innie do środka. Stewart Hatch stał za jego plecami.

- Powinien pan zabrać stąd mercedesa - zauważył Mullan.

Hatch burknął coś i obrócił się na pięcie. Mullan usiadł obok mnie, Rowley koło Treuhafta. Odwrócił się i wyszczerzył do mnie zęby.

- Co chciałeś znaleźć? Ta twoja koleżanka z prokuratury dała ci listę akt?

- To nie byłem ja, poruczniku - powiedziałem.

- Robisz w komputerach, tak?

- Umieję pisać programy. Nie wiem, jak bym mógł obciążyć Stewarta Hatcha, a chyba nie jest taki głupi, żeby cokolwiek zostawiać na twardym dysku.

- Miałem nadzieję, że się uda to załatwić po dobroci - mruknął Mullan. - Postarajmy się wszyscy, co?

Rowley wcisnął guzik przy windzie; w znajomym korytarzu czekało już parę osób. Czuję się, jakbym się cofnął w przeszłość - wszystko, nawet goście w szortach i podkoszulkach, wyglądało identycznie.

Ludzie rozpoznali Stewarta Hacha. Ale on był do tego przyzwyczajony, jak gwiazda filmowa. Idąc za jego arystokratycznym przykładem, wpłynęliśmy do środka. Siostra Zwick wybałuszyła oczy na widok Hacha i zamrugała, kiedy dostrzegła mnie, ale zamiast pogonić nas do mycia rąk, wyskoczyła zza biurka i zaprowadziła w głąb pomieszczenia. Alkowa, w której spoczywał niesławny Clyde Prentiss, była zapieczetowana żółtą taśmą. Pod zasłoną widać było zakrwawioną podłogę. Spytałem, co się stało.

- To było straszne - oznajmiła siostra Zwick. - Bardzo mi przykro z powodu pańskiej matki.

June Cook podeszła do nas.

- Chcecie się widzieć z panem Sawyerem? Czy mogę spytać, w jakiej sprawie?

- Chcemy, żeby się przyjrzał panu Dunstanowi - odrzekł Mullan.

Pokiwała głową z powątpiewaniem.

- Jego stan jest stabilny, lecz pan Sawyer nadal widzi podwójnie w wyniku wstrząśnienia mózgu. Radzę, żeby zaczekali panowie jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

- Mój lekarz twierdzi, że jego stan pozwala na identyfikację - odezwał się Hatch. - Przypuszczam, że wie pani, kim jestem. I z całą pewnością reputacja doktora Dearborna jest pani znana.

June Cook okazała męstwo, dzięki któremu ją zapamiętałem.

- Przypuszczam, że każdy na tym piętrze wie, kim pan jest. I mam najgłębszy szacunek dla doktora Dearborna, ale jego diagnoza została podjęta na podstawie rozmowy telefonicznej.

- Która upewniła go, że Sawyer jest wystarczająco sprawny, żeby dokonać identyfikacji.

Spojrzenie June Cook pomknęło ku mnie i wróciło do Hacha.

- Możecie spędzić z moim pacjentem dziesięć minut. Ale jeśli dokona identyfikacji w obecnym stanie, będę musiała o tym powiedzieć przed sądem.

Hatch się uśmiechnął.

Spytałem, co się stało z Clyde'em Prentissem.

- Pan Prentiss zmarł w wyniku ran kłutych. Nikt niczego nie widział. Panowie policjanci, przyjaciele pana Hacha, są równie zbici z tropu jak my.

- Żeby coś takiego mogło się wydarzyć w przyzwoitym szpitalu... - mruknął Hatch.

June Cook odchyliła zasłonę. Treuhaft zareagował na bezgłośny rozkaz Mullana i został na zewnątrz.

Staruszek łypnął na nas oczami lśniącymi wśród krzyżujących się sianików. Do nosa miał przyklejony jakiś stożek, usta były wykrzywione w podkówkę. Spojrzał na Mullana i mnie po jednej, Hacha i Rowleya po drugiej stronie łóżka. Byłem ciekaw, ile widzi osób.

- Miło, że pan wpadł - zwrócił się do Hacha.

Hatch chciał go poklepać po ręce.

Sawyer ją cofnął.

- Kilka godzin temu rozmawiałem z pańskim lekarzem. Chce mnieprzenieść do Lawndale, ale ja wracam do domu. Wie pan, ile kosztuje miejsce na OIOM-ie?

- Earl, zajęliśmy się kosztami - odparł Hatch. - Niczym się nie przejmuj. Jakoś się to ułoży.

- Nie mam ubezpieczenia ani emerytury. Jak pan chce, żeby jakoś się ułożyło, to niech się ułoży teraz, w obecności świadków. Skąd mogę wiedzieć, czy jeszcze kiedyś pana zobaczę?

- Earl, nie pora rozmawiać o interesach. - Hatch wyszczerzył zęby do policjantów. - Chcielibyśmy, żebyś spojrział na tego pana w niebieskiej koszuli i powiedział, czy go poznajesz.

- Użył pan słowa „interesy”. Właściwie o co chodzi, skoro odniosłem obrażenia podczas pełnienia obowiązków służbowych? Zgodził się pan pokryć koszty leczenia. Wolałbym ubezpieczenie, ale nie narzekam. Nawet jestem wdzięczny.

- Dziękuję. Czy możemy się zająć najważniejszym?

- Właśnie o tym mówię. Dałem panu piętnaście lat mojego życia, aż tu przyszedł jakiś łobuz i stłukł mnie na kwaśne jabłko. Mam sześćdziesiąt pięć lat. Wie pan, co by było w porządku? Dożywotnia

emerytura w wysokości siedemdziesięciu pięciu procent moich zarobków.

- Earl, nie możemy...

- Albo inna opcja. Jednorazowe odszkodowanie, powiedzmy dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. To się panu nawet bardziej opłaca.

Hatch uniósł oczy ku mrocznemu sufitowi OIOM-u.

- Cóż, nie spodziewałem się, że czekają mnie negocjacje. - Westchnął. Przyglądali się mu Mullan i Rowley.

- Jeśli uważasz, że takie odszkodowanie by cię zadowoliło, to je dostaniesz. Chciałbym ci wyrazić wdzięczność za lata pracy.

Sawyer kiwnął głową.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Pan pokrywa koszty leczenia, a czek na dwadzieścia pięć patoli będzie na mnie czekać w pańskiej recepcji w... co dzisiaj jest? Niedziela? W środę rano.

Hatch podniósł bezradnie ręce.

- Earl, przydałbyś się w moim zespole. Dobrze, w środę rano.

- Byłem w pańskim zespole. Za to mi pan płaci. Kogo mam zidentyfikować? Jego?

Hatch odsunął się od łóżka, kręcąc głową.

- Już miałeś okazję się mu przyjrzeć, Earl, ale chcę, żebyś spojrział jeszcze raz i powiedział nam, czy ten człowiek przypomina napastnika z Cobden Building.

Earl Sawyer zmrużył oczy.

- Podejść bliżej.

Oczy wśród roju siniaków lśniły złośliwością.

- Pochyl się.

Zrobiłem to.

- Czy to nie z tobą rozmawiałem parę dni temu? Kiedy wchodziłem?

- W piątek wieczorem - powiedziałem.

- Słyszałeś, jak pan Hatch się zgodził na odszkodowanie?

- Tak.

- Złapaliście nie tego, co trzeba - oznajmił Earl. - Pamiętajcie, że ledwie zdążyłem rzucić na niego okiem, ale to nie ten.

- Dwoi ci się w oczach? - spytał Rowley.

- Nawet jeśli, to widzę dwóch niewłaściwych facetów. Ciebie też widzę podwójnie, ale i tak wiem, że jesteś sukinsynem Rowleyem.

- To kpiny - odezwał się Hatch. - Earl nic nie widzi. Wezwał nas, żeby się upomnieć o odszkodowanie.

- Widzi na tyle dobrze, że oczyścił pana Dunstana z zarzutów - sprzeciwił się Mullan.

- Wezwijcie tu pielęgniarkę, dobrze? Chciałbym, żeby pan Hatch podpisał zobowiązanie.

June Cook rzuciła mi słaby, tryumfalny uśmiech.

- Słyszałam prośbę pacjenta.

Przechyliła się przez kontuar, sięgnęła po kartkę papieru i wyjęła pióro z kieszeni zielonej tuniki.

Podczas gdy Hatch podpisywał zobowiązanie wypłaty 25 000 dolarów, nasza czwórka przemieściła się ku wyjściu. Znowu spojrzałem na zakrwawioną podłogę w alkowie Prentissa. Przypomniała mi coś, o czym słyszałem, ale czego nie potrafiłem sobie przypomnieć. Mullan także patrzył na plamy. Spytałem, kiedy jego ludzie uporają się z robotą.

- Tutaj? Rowley, już skończyliśmy, nie?

- Przyślę jakiegoś człowieka - burknął Rowley.

- Kłoc Spelvin - powiedziałem. - Wiedziałem, że to mi się z czymś kojarzy.

Kapitan Mullan z wolna odwrócił głowę i przyjrzał mi się ze źle skrywanym zdziwieniem.

- Co to miało znaczyć? - zainteresował się Rowley.

- Stare, ale jare - rzucił Mullan, nadal wpatrzony we mnie. - Bardzo interesujące. Może powie pan coś więcej?

- Spelvin został zasztyletowany w swojej celi, tak? Morderca niepostrzeżenie ominął strażników i innych więźniów.

- Niezła sztuczka - zgodził się Mullan.

- Śmieszne, nikt nigdy nic nie widzi, kiedy dochodzi do zbrodni. Nazwano to samobójstwem, zgadza się?

- Tak to nazwano - przyznał Mullan, wciąż patrząc na mnie.

Stewart Hatch szarpnął zasłonę i wypadł na zewnątrz. Twarz miał wykrzywioną gniewem. Kiedy czekaliśmy na windę, nikt się nie odezwał; lodowate milczenie trwało także, gdy zjeżdżaliśmy na parter ramie w ramie z obcymi.

Zamiast rozepchnąć tłum i wysiąść, Hatch przepuścił wszystkich i skinął na mnie głową, żebym wyszedł pierwszy. Myślałem, że postanowił wrócić na OIOM i podrzeć zobowiązanie, ale jednak wysiadł. Zasłonił twarz rękami, jakby kryjąc gniew albo go przywołując.

Opuścił ręce. Wziął głęboki wdech.

- Nie wiedziałem, że ten stary drań ma taki charakter. - Zaczął się uśmiechać, zachichotał. Chichot zmienił się w prawdziwy śmiech. Mniej bym się zdziwił, gdyby zaczął rozdawać studolarówki. Nagle wszyscy parsknęliśmy śmiechem. Treuhaf ryczał basem, Rowley wydawał hałaśliwe dźwięki brzmiące jak pierwsza dziecięca próba gry na skrzypcach.

- Stary Earl - wykrztusił Hatch między atakami śmiechu. - Ale mnie zrobił! Na szaro! - Odchylił głowę i ryknął.

Przyznaję, rozbroił mnie. Pomimo wszystkiego, co o nim wiedziałem - lub myślałem, że wiem - w tamtej chwili nie mogłem go nie lubić. Dzięki temu, że potrafił się śmiać sam z siebie, zaliczyłem go do zupełnie innej kategorii niż tego nadętego ropucha Grenville'a Milтона.

Otarł oczy wierzchem dłoni, nadal chichocząc.

- No, dobra. Człowiek się uczy całe życie. Mogę odwiedzić pana Dunstana do domu. Wy macie robotę, a mnie jest po drodze.

W drzwiach obrotowych Mullan rzucił mi pytające spojrzenie.

- Jasne, czemu nie? - powiedziałem.

Stewart Hatch otworzył drzwi mercedesa i dwornie zaprosił mnie do środka.

66.

Wyjechaliśmy z terenu szpitala jak starzy kumple. Hatch się uśmiechał, a w oczach miał miły blask rozbawienia. Samochód płynął ulicą ze swobodą i mocą, którą pamiętałem.

- Spodobało ci się maleństwo? - spytał Hatch. - Ciągle zapominam, jak dobrze mi się nim jeździ.

- Jeśli jedziesz na Ferryman's Road, to tam wysiądę. Nie ma powodu, żebyś odwoził mnie do domu.

- Pokręcmy się trochę po mieście. Poznamy się lepiej. Nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać?

- Skoro tak mówisz. - Przygotowałem się.

- O tak, zdecydowanie. - Znowu się do mnie uśmiechnął. - Chciałbym ci coś pokazać. Dojedziemy za dwadzieścia minut.

- Co?

- Nie chcę zepsuć niespodzianki. Masz czas?

- Jeśli nie zamierzasz mnie zawieźć na odludzie i wyjąć rewolwera...

Przed nami pojawiło się pięć zielonych świateł i niemal pusta jezdnia. Hatch mrugnął na mnie.

- Patrz.

Dotknął pedału gazu; samochód spinał się przez ułamek sekundy, po czym wystrzelił naprzód. Patrzyłem, jak strzałka szybkościomierza mija setkę, zanim przejechaliśmy pierwsze światła. Szła w górę, gdy pędziliśmy w stronę drugich. Wiatr świszczący nam nad głowami przegiął fryzurę Hacha do tyłu o jakiś centymetr. Na wysokości czwartych świateł prędkość ustabilizowała się na stu trzydziestu i gładko zjechała do pięćdziesięciu, zanim minęliśmy piąte i skręciliśmy w Commercial Avenue. Włosy Hacha wróciły sprężyste na przepisowe miejsce.

- Można rozpędzić tę kruszynę do stu dziewięćdziesięciu i nawet tego nie czuć.

- Skoro już się tak kolegujemy, Stewart - powiedziałem - czy mogę cię o coś spytać?

- O co chcesz.

- Tak między nami, Rowley to twój człowiek?

- Porucznik Rowley pracuje dla miasta Edgerton. Jest pełnym poświęcenia pracownikiem. Czasami namiętne umiłowanie sprawiedliwości bierze w nim górę, ale to już taka praca.

- I nie kazałeś mu wygonić mnie z miasta?

- Ależ skąd.

- I zdajesz sobie sprawę, że nie mam nic wspólnego z tym, co się wydarzyło w twoim budynku?

- Szczerze mówiąc, bardzo mi ulżyło. Nie muszę się już zastanawiać, jak się włamałeś. Mamy najbardziej wyrafinowany system alarmowy, jaki sobie można wyobrazić. Nikt z zewnątrz nie mógłby ominąć czujników i fotokomórek ani unieszkodliwić styczników, więc złodziej musiał być pracownikiem agencji ochrony. Dopadniemy go, ale pozostaje jeszcze problem zniszczonych komputerów. - Zerknął na mnie pytająco. - Nie jesteś czasem ekspertem w tej dziedzinie?

- No, bez przesady.

- Nie chciałbyś zarobić dziesięciu tysięcy dolarów w tydzień? Wydaje mi się, że z naszych twardych dysków znikła tak z połowa dokumentów, a muszę je odzyskać. Chciałbym tylko, żebyś podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy służbowej. Praca może nawet nie potrwać tygodnia. Jeśli załatwisz wszystko w ciągu dwóch dni, pieniądze będą nazajutrz. Brzmi interesująco?

- Fantastycznie. Ale odpowiedź brzmi: nie.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Nie chciałbym cię urazić, ale wolę nie figurować na liście płac Hacha.

- Żałuję. Właściwie się nie dziwię, ale żałuję.

Przecięliśmy południowy kraniec centrum biznesowego, skręciliśmy na zachód i znaleźliśmy się w dzielnicy, którą widziałem pierwszy

raz w życiu. Chylące się ku upadkowi bloki obok oblażących z farby jednorodzinnych domków ustąpiły miejsca zachwaszczonemu basebalowemu boisku z gnijącymi drewnianymi ławkami pod gołym niebem. Zza następnego wzgórza wyłoniło się osiedle przyczep mieszkalnych. Po pylistych ścieżkach snuło się parę kobiet. Gołe do pasa dziecko mierzyło do nas z broni spod oklapłej flagi konfederatów.

- Spodobał ci się mój samochód, co?

- Pięknie się prowadzi.

- A moja żona? - Uśmiechnął się. Tym razem światełko w jego oczach nadal było zabarwione poczuciem humoru, lecz straciło pogodę.

- Powiedziałbyś, że się dobrze prowadzi? Szybko przyspiesza? Ładne ma zawieszenie?

- Przestań, Stewart - powiedziałem. - Nie mam nic do twojego małżeństwa.

- Ale przyznasz chyba, że moja żona jest wyjątkowo atrakcyjna? Nawet piękna? Atrakcyjny kawałek ciała?

- Tak, jest atrakcyjna, ale jeśli każesz komuś łązić za nią z aparatem fotograficznym, to mi cię żal.

- Trochę cierpliwości. Na pewno dziwiłeś się, dlaczego taka kobieta za mnie wyszła. Owszem, jestem bogaty, ale nie aż tak, dwanaście lat od niej starszy i mieszkam w jakiejś zapadłej dziurze. Mam rację?

- Zastanawiałem się nad tym.

- No myślę. Gdybyś się nie zastanawiał, nie zrobiłaby tego dla ciebie. A tak między nami, w łóżku nie jest taka wspaniała, prawda? Kiedy chodzi o konkrety, ten samochód daje o wiele więcej satysfakcji. Moja żona jest zbyt samolubna, żeby się nadawała do łóżka.

- Przestań. Ośmieszasz się.

- Powinieneś wiedzieć, z kim się zadajesz. Laurie nie jest taka, za jaką ją uważasz. Dla niej jesteś tylko wygodną okazją do narobienia mi dalszych kłopotów. To bezdusznna suka.

- Skoro tak, to się z nią rozwiedź.

- Jezus, mam gdzieś jej charakter. - Roześmiał się. - Nie jestem jakimś skautem. Ale ma robić, co mówię.

- Powinieneś chodzić z maczugą.
- Dobry Boże. Feminista. Czy moja kochana żona wspomniała ci o funduszu?

- Jakim funduszu?
- Sprawdźmy, co ci naopowiadała. Wspomniała coś o swoim pochodzeniu, rodzinie i tak dalej?

- Trochę.
- Piękna historia, co? Jestem jej fanem.

Nagie, bure wzgórze opadło ku prawemu poboczu szosy. Daleko po lewej na niewielkich działkach stały małe domki. Co drugi wydawał się pusty. Stewart zahamował i wyłączył silnik. Uniósł jedno kolano i usiadł twarzą do mnie.

- Zakładam, że słyszałeś o Yvie D'Lencym, poecie i marszandzie, który uciekł z arystokratycznej rodziny i zbratał się z artystami i innymi takimi, po czym wyjechał do Ameryki. Samolot biedaka rozbił się nad Santa Barbara, zgadza się?

- Do czego zmierzasz?

- Tak naprawdę ojciec Laurie nazywał się Evan Delancy i był dzieckiem Trenton w New Jersey. Dorywczo zajmował się murarstwem, na stałe - piciem. Kiedy nie mógł już dostać pracy w Trenton, zabrał rodzinę i wyjechał z nią do Los Angeles, gdzie parał się drobnymi kradzieżami. Pewnego razu skasowała go jedna dziarska staruszka, właścicielka sklepu monopolowego. Żegnaj, tатku. Mama swoim narzeczonym płaciła w naturze za różne usługi, aż wreszcie wyszła za operatora z Warner Brothers. Tego gościa moja żona określa jako producenta filmowego.

- Mam w to uwierzyć?

- Uwierzyć, nie uwierzyć, te informacje kosztowały mnie więcej niż Earl Sawyer. Mamuśka wyszła za operatora. I wiesz co? On też pił. Kiedy go wylali, wyładowywał frustrację, bijąc żonę i przybraną córkę. Laurie wyleciała z liceum i tak ćpała, że trafiła do wariatkowa. Kiedy oprzytomniała na tyle, żeby obmyślić dalszą strategię, poznała miłego starszego lekarza nazwiskiem Deering. Ten Deering uważał ją za biedną,

zagubioną sierotkę, która zasługuje na odmianę losu. Zaopiekował się nią wraz z żoną. Kupili jej ładne ubrania, posłali do prywatnej szkoły i tam nauczyła się dobrych manier i wymowy. Po ukończeniu szkoły uciekła do San Francisco. Wkrótce żyła już z Teddym Wainwrightem. Pamiętasz go?

Wiedziałem, że Teddy Wainwright był obsadzany w roli najlepszego przyjaciela głównego bohatera w większości komedii romantycznych z lat pięćdziesiątych. Później był gwiazdą dwóch seriali telewizyjnych.

Natomiast nie wiedziałem, że pod koniec lat siedemdziesiątych, nie mogąc już dostać roli w Hollywood, lecz wzbogaciwszy się na inwestycjach w nieruchomości, Wainwright wystroił się w paciorki i kurtki Nehru i wyprowadził się do San Francisco, gdzie zaczął przeżywać drugą młodość. Laurie Delancy, dwudziestojednolatka, wprowadziła się do niego, gdy miał siedemdziesiąt jeden lat. Pomimo jej licznych zdrad i innych burz, w tym odmowy wyjścia za niego, zostali ze sobą przez cztery lata, aż do jego śmierci. Wainwright zmienił testament. Zapisał jej dwa obrazy ze swojej rozległej kolekcji sztuki, Fridę Kahlo i Tamarę Łempicką plus 250 000 dolarów i prawo do korzystania z jego apartamentu, dopóki nie wyjdzie za mąż. Wówczas apartament przechodził na własność jego jedyne dziecko, córki. Odziedziczyła po nim lwią część majątku, w tym resztę kolekcji, w tamtym czasie szacowaną na pięć milionów.

Potem się okazało, że gdzieś w latach dwudziestych stary Teddy kupił dwa obrazki Picassa, jednego Cézanne'a i jednego Miró, a w latach pięćdziesiątych schował je w piwnicy. Jego kolekcję oszacowano ostatecznie na siedemdziesiąt, osiemdziesiąt milionów. Wyobrażam sobie, że Laurie do tej pory pluje sobie w brodę, że nie wyszła za starego. Dostała posadę w telewizji, gdzie chciała pracować w ekipie dziennika, ale, kurczę, nie miała doświadczenia. Żadnych studiów, praktyki, nic. Została asystentką producenta - popychadłem do wszystkiego. Rok później, kiedy ją poznałem, zajmowała się PR. Udawała, że się we

mnie zakochała. Naprawdę dobrze udawała. I może by nam się udało, ale to wszystko było na niby.

- A ile dni po ślubie wynająłeś detektywa?

- Od razu, jak się nią zainteresowałem. Powiedziałem jej dopiero podczas miesiąca miodowego. Bungalow we wspaniałej miejscowości na Karaibach. Szampan na balkonie. Światło księżyca na wodzie. „Posłuchaj, co ci powiem - rzekłem. - Nie uwierzysz”. Rozpląkała się. Prawdziwymi łzami. Zdziwiała kobieta.

- Dała ci syna i spadkobiercę.

Uśmiechnął się.

- Cobbie wyrośnie na wspaniałego młodzieńca, jak już mu wybije z głowy tę muzykę i zainteresuje go sportem.

- I ze względu na niego nie możesz się rozwieść z Laurie.

Jego uśmiech zbladł.

- Zdaje się, że jednak coś wspomniała o moich rodzinnych układach. Jak je zinterpretowała?

Powtórzyłem, ile pamiętałem.

- Na razie nieźle. Po skończeniu trzydziestu pięciu lat Cobbie dostanie masę pieniędzy. Chcę, żeby umiał się z nimi obchodzić. - Oczy zaiskrzyły mu się z rozbawienia. - Wiesz, dlaczego mój ojciec dopisał klauzulę o niekaralności?

- Laurie wspomniała coś o jego bracie.

- Tamto nie miało z tym nic wspólnego. - Oczy znowu miał rozbawione. Chce mnie oczarować, zdałem sobie sprawę, i całkiem nieźle mu idzie. - Kiedy się urodziłeś?

- W 1958.

- Za młody jesteś, żeby pamiętać lata sześćdziesiąte. W 1968 roku skończyłem osiemnaście lat. - Roześmiał się. - Na ostatnim roku w akademii w Edgerton miałem włosy do ramion. Zamykałem się w pokoju i podkręcałem stereo, aż przestawałem słyszeć, jak stary się wścieka. Stonesi, Doorsi, Iron Butterfly, Cream, Paul Butterfield. Grałem na gitarze rytmicznej w takiej kapeli, Delta Mud. Wyobrazasz

sobie, jacy byliśmy straszni?

- Biali chłopcy grają bluesa.

- Biali studenci. Biali studenci ze Środkowego Zachodu. - Palnął mnie żartobliwie w ramię, jak kumpel. - Rany, byliśmy walnięci. Jaraliśmy marihuanę w drodze do szkoły. Piliśmy od czwartkowego wieczoru do poniedziałku rano. Mieliśmy w zespole jedynego prawdziwego muzyka, ależ on dawał! Zadziwiający, naprawdę, zadziwiający. Graliśmy dla chłopaków z Albertus, którym było wszystko jedno, byle tylko utrzymać stały rytm i... to było tak, jakby Bóg grał na gitarze. Pewnie o nim słyszałeś. Goat Gridwell.

W latach siedemdziesiątych i później płyty z bluesowymi koncertami Gridwella sprzedawały się w milionach egzemplarzy. Kiedy ktoś mi puszczał jego nagranie, zawsze mnie uderzało, że był o wiele lepszy od większości gitarzystów grających taką muzykę. Pamiętam, jak zobaczyłem złociste włosy i zielone oczy na okładce „Rolling Stone” i pomyślałem, że jeszcze nigdy nie widziałem twarzy, która wyglądałaby tak anielsko i zarazem rozwiązłe.

- Na ostatnim roku wywalili go z akademii. Pojechał do San Francisco. Spytałem Laurie, czy go słyszała, ale nie wiedziała. Dla niej wszystkie utwory są takie same. No, ale Goat stał się zbyt sławny i bogaty. Stara historia. Usmażył sobie mózg, biedny idiota. Wrócił do Edgerton. Nic z niego nie zostało. Od czasu do czasu daję mu ukradkiem parę dolców, ale udaje, że mnie nie widzi.

Gdybym był Goatem Gridwellem, też bym cię ignorował, pomyślałem.

- Więc pewnego dnia po kolacji zapomniałem zamknąć drzwi. Siedzę na podłodze, z głośników grzmi „Jum-pin' Jack Flash”, a ja palę trawę. Bach! Wpada mój ojciec. Dostał białej gorączki. Pozwolił mi zostać w szkole, ale musiałem obciąć włosy, i zapowiedział, że jeśli kiedykolwiek wejdę w konflikt z prawem, nie dostanę z funduszu ani grosza.

- Martwi cię ta sprawa w Kentucky?

- To pył na wietrze. Za tydzień się rozwieje. Ale to może cię zainteresować: wczoraj po południu moja żona zadzwoniła do prawnika zarządzającego funduszem, Parkera Gillespiego. To syn Charlesa Gillespiego, który przygotował pierwotne dokumenty. Siedemdziesiąt trzy lata, lojalny jak pitbull. Laurie nigdy dotąd nie okazała mu zainteresowania, aż tu nagle szuka porady. Jak myślisz, o co go zapytała?

- Nie mam pojęcia.

- Interesowała ją klauzula, jaką mój ojciec dodał do dokumentów. Jeśli zostanę skazany za te przestępstwa, których oczywiście nie popełniłem, czy naprawdę zostanę wydziedziczony? Niestety, powiedział Gillespie, tak właśnie mogłoby się stać. Wtedy spytała: a jak wygląda sytuacja mojego syna? Cóż, wobec nieobecności spadkobiercy cały fundusz odziedziczy dziecko. Kto będzie zarządzał funduszem? To rola administratora. A gdyby zdarzyło się najgorsze, czy nadal będzie pan zarządzał pieniędzmi? Gillespie powiedział, że z przyjemnością udzieli jej wszelkiej pomocy. Zaczynasz coś kojarzyć? Ona chce tych pieniędzy.

- Żeby je zabezpieczyć dla Cobbiego.

Roześmiał się tak szyderczo, że prawie przebił wujka Clarka.

- Cobbie nie zobaczy ich przed ukończeniem trzydziestego piątego roku życia. Tymczasem to ona będzie nimi zarządzać. Ogłosi się administratorem i położy łapę na kasie. I o to jej tylko chodzi.

- Dzięki za wyjaśnienie. Odwieź mnie do miasta.

- Chciałem ci coś pokazać, pamiętasz? Będziesz zdumiony. Historia powstanie i przemówi. - Uśmiechnął się z fałszywą serdecznością. - Nie darowałbym sobie, gdybyś tego nie zobaczył. - Przekręcił kluczyk i wrzucił bieg,

67.

Sześćdziesiąt lat temu to zachwaszczone pole było łąką, ruiny na skraju lasu - wysokim kamiennym domem z mansardowymi oknami i

portykiem. Usiłowałem opanować niepokój zrodzony z przekonania, że gdybym zagłębił się w las jakieś dziesięć metrów na prawo od ruiny, znalazłbym dąb rozłupany uderzeniem pioruna.

- Czy ktoś ci opowiadał o starym domu Dunstanów?

- Po śmierci brata Sylvan przywiózł kamienie z Anglii i zbudował dom od nowa.

Hatch uniósł brwi.

- Z Anglii? Z Providence na Rhode Island. To dlatego ta droga nazywa się New Providence Road. Wiem o twojej rodzinie więcej od ciebie.

- To nic trudnego - powiedziałem, myśląc, że pewnych rzeczy na temat Dunstanów Hatch nawet nie zdołałby sobie wyobrazić.

- Wiesz, kto był pierwotnym budowniczym tego domu?

- Frank Lloyd Wright? - odparłem. - O, przepraszam, nacisnąłem guzik przypadkowo.

W uszach mi zaczęło dzwonić, żołądek się burzył.

- Niejaki Omar Dunstan. Pojawił się w Providence z garstką służących z Indii Zachodnich i masą pieniędzy. Twierdził, że jest importerelem i właścicielem statków, ale żaden z jego statków nigdy nie zawinął do Providence. Często jeździł do Karoliny Południowej, Wirginii i Nowego Orleanu. Jak myślisz, co importował?

- Zachodzę w głowę.

- Ludzi. Jego pracownicy kupowali lub chwyтали niewolników w zachodniej Afryce i na Karaibach, by potem sprzedać ich w południowych koloniach. Dunstan nie był żonaty, ale spłodził troje czy czworo dzieci, które niemal nie wychodziły z domu. Sąsiedzi słyszeli dziwne odgłosy i widzieli w oknach niezwykle światło. Zaczęto plotkować o czarach i czarnej magii. Wreszcie grupa obywateli zaatakowała dom z zamiarem wypędzenia rodziny z miasta. Spóźnili się. Dom był pusty.

Musiałem usiąść, a jako siedzenie wykorzystałem maskę mercedesa.

- Dom stał pusty przez wiele lat. Miał tak złą reputację, że władze miasta nie mogły znaleźć chętnych do rozbiórki. Ludzie nazywali go

Przeklętym Domem. W końcu ogrodzili go płotem i zostawili, by niszczał przez następne sto lat.

Przeklęty Dom? Skojarzenie było zbyt odległe, żebym je rozpoznał. Głos Hacha trzeszczał jak stare radio, zagłuszany promieniowaniem ruin.

- W czasie wojny domowej dwaj bracia Dunstanowie uciekli z więzienia, do którego trafili za okradanie trupów. W 1874 Omar i Sylvan Dunstanowie pojawili się w Edgerton i ruszyli do „Brazen Head”. Wkrótce mieli dość pieniędzy, by zacząć interesy. Omar otworzył lombard, Sylvan był lichwiarzem. Pamiętaj, że były to czasy po wojnie secesyjnej. Dziesięć lat później przeszli bank i zamieszkali z dala od wszystkich na Cherry Street. Kiedy powódź zrujnowała wiele osób, Sylvan odkupił ich ziemię za grosze. Zawsze mnie dziwiło, dlaczego to Omar zginął, skoro ludzie nienawidzili Sylvana. Chcesz posłuchać teorii mojego ojca?

- Nie mógłbym bez niej żyć.

- Nikt oprócz Sylvana nie widział tego tak zwanego strzelca, który zabił jego brata i odjechał. Mój ojciec uważał, że Sylvan go zmyślił, ponieważ to on zabił Omara. W tamtych latach Omar zaczął się stawać przyzwoitym obywatelem. Był właścicielem połowy budynków na Commercial Avenue. Mój ojciec twierdził, że Sylvan miał gdzieś przyzwoitość. I znudziło mu się dzielenie z bratem jego żoną.

- Słyszałem o ich układzie.

- Sylvan przewiózł te kamienie z Rhode Island i sprowadził ekipę portugalskich murarzy, którzy zamieszkali w tamtych budach. Powiedział, że życzy sobie, żeby dom odzyskał pierwotny wygląd, a miejscowi robotnicy nie znają się na robocie. Miejscowi uważali, że nie chciał, by ktoś się dowiedział, jak wygląda jego dom.

- Ale pojawiły się plotki.

- Łańcuchy przykute do łóżek na strychu. Tajemne schowki. Dziwne rzeczy. Wiesz, jak to jest w małych miastach. Sylvan mógł zaprosić

ludzi do siebie, pokazać im dom, ale wolał się ukryć i odstraszać wszystkich. Do miasta przyjeżdżał z bronią. Jego dzieci dorastały jak zwierzęta. Niektóre uciekły, nikt nie wie dokąd. Parę zginęło, pływając w rzece i wdając się w bijatyki w knajpach. Howard, twój dziadek, został na plantacji, choć nienawidził ojca. Sylvan rzekomo zastrzelił się, czyszcząc broń, ale niektórzy powiadają, że wyręczył go twój dziadek. Według mnie to kosmiczna sprawiedliwość. - Jego głos dobiegał z oddali.

- Ludzie, którzy mówią o kosmicznej sprawiedliwości, nie mają pojęcia o kosmosie.

- Słodkie. Muszę zapamiętać. W każdym razie Howard pochował ojca za domem. Potem przeniósł trumnę Omara z Little Ridge i złożył ją obok grobu ojca. Następnie poszedł w ślady Sylvana i zaliczał każdą kobietę, jaką dopadł. Gdyby żona od niego nie uciekła, też by ją zabił. Zrujnował bank, rozrzucił pieniądze. Wiesz, co się o nim mówiło, kiedy byłem mały?

- Ze potrafił być w dwóch miejscach jednocześnie. Przechodzić przez zamknięte drzwi. Czytać w myślach i przewidywać przyszłość. Unosić się w powietrzu.

Hatch chrząknął z niezadowoleniem - nie powinienem aż tyle wiedzieć o Howardzie Dunstanie.

- Dobrze, że jego córki przeprowadziły się na Cherry Street, bo pewnej nocy jego dom zaczął się palić.

- Jak to się stało?

- To szczególnie interesujące - rzekł. Ledwie go słyszałem przez hałas dobiegający z miejsca, którego pod żadnym pozorem nie chciałem widzieć. - Ojciec powiedział, że tej nocy jego ojciec, Carpenter Hatch, zamknął się w bibliotece z Sylwestrem Miltonem, ojcem Grenniego, oraz małym facecikiem zwanym Konus La Chapelle, który wyświadczał im różne przysługi. Widział, jak wychodzą, a późną nocą usłyszał, że wrócili. Jak myślisz, czy to oni podłożyli ogień?

- Wiesz co, Stewart? Mało mnie to obchodzi.

- Znalaziono kości. Nie ludzkie, ale też nie całkiem zwierzęce.

Mówimy o roku 1935, to właściwie średniowiecze. Kto wie, do kogo należały te kości? Córki Howarda dostały jego ubezpieczenie i na tym się skończyło.

Ledwie poczułem jego rękę na ramieniu.

- Bez względu na to, co mówi moja żona, Stewart Hatch nie jest taki zły. - Poklepał mnie po policzku. - Przedstawiłem ci te fakty z dobroci serca.

- Jesteś strasznie dobry.

- Odrzuciłeś moją ofertę. Trudno. Pora, żebyś wrócił, gdzie twoje miejsce.

- Trudno uwierzyć, że grałeś z Goatem Gridwellem.

Roześmiał się. Jego zęby były arcydziełem sztuki stomatologicznej, oczy lśniły przyjacielsko, blezer przylegał do karku jak przyklejony.

- Stewart, potrafisz być absolutnie uroczy, ale twoje miejsce jest w więzieniu. Byłoby tragedią, gdybyś dostał prawo opieki nad synem.

Wyszarpnął ręce z kieszeni.

- Jeśli nie chcesz zasuwać do miasta na piechotę, radzę skorzystać z telefonu. Jest tam, przy drodze.

Odwrociłem się, zszedłem z zakurzonej drogi i jak lunatyk zanurzyłem się w wysokie chwasty na polu. Silnik warknął, żwir posypał się spod piszczących opon jak grad.

68.

Z ruin domu i otaczających go drzew ciemność i zgroza rozchodziły się jak grzmot. Mój cień ze snu powiedział: „Przez całe życie czuleś, że straciłeś coś niezwykle ważnego. Czy gdybyś to znalazł, zdołałbyś się pogodzić z konsekwencjami?”. Odpowiedziałem, że tak i teraz, pomimo strachu i mdłości, pomimo pragnienia, by się nigdy nie dowiedzieć, moja odpowiedź brzmiała tak samo.

Coś musnęło mój umysł i natychmiast się rozplynęło. Prawie się wycofałem. Nie chciałem znać tego, co mnie dotknęło.

Dwie ocalałe kamienne ściany podtrzymywały resztki dachu. Dwa poczerniałe kominy godziły w niebo. Prawa połowa domu zapadła się

w miękki grunt. Dawne wejście ziało pustką pod płataniną pnączy. Wszedłem i spojrzałem na brudną cementową podłogę, stopniowo znikającą pod zielonym dywanem, który nadpełzał z głębi domu.

Ruszyłem przed siebie. Jakbym widział zdjęcie ze zbombardowanego miasta - osmalone ściany i pustka. Cofnąłem się o krok, a moje stopy dotknęły płaskiej kamiennej powierzchni. Kiedy się pochylałem i rozgarnąłem trawę, ujrzałem szarą marmurową płytę z napisem OMAR DUNSTAN, ZM. 1887. Serce podskoczyło mi do gardła. Jego towarzysz leżał trzy kroki dalej. SYLVAN DUNSTAN, ZM. 1900.

- A ty, Howardzie? - spytałem.

Dwa metry od nagrobka Sylvana ujrzałem napis: HOWARD DUNSTAN, NASZ UKOCHANY OJCIEC 1882-1935.

- To więcej, niż zasługiwałaś - powiedziałem i zauważyłem, że w pewnym miejscu trawy kładą się na ziemi. Tuż przed pierwszym drzewem w zielonoszarej, rozmięklej ziemi leżała płaska granitowa płyta. Odczytałem zatarte, lecz czytelne słowa:

ANIOŁY NIE Z TEJ ZIEMI.

W sumie w trawie kryło się jeszcze osiem kamieni. Niektóre słowa się zatarły, ale żadne nie przypominało imion, jakie rodzice nadają swoim dzieciom. Zapamiętałem kilka: RYBKA, WRZASKUN, MGIELKA, GŁOWACZ, BLASK i ŁUPEK. Koty i psy, powiedziałem do siebie i wzdrygnąłem się, jakby pod wpływem straszego olśnienia. Stopa uwięzła mi w płataninie chwastów. Odwróciłem się, usiłując zachować równowagę, zobaczyłem, że zielony dywan wpływa do ciemnego pokoju o dwóch ścianach. Chwasty puściły moją nogę. Wszedłem na miękkie runo dywanu.

W nagrzanym słońcem powietrzu wirował gołębi puch. Znany ból przeszył mi czoło i jak kamień runąłem w czarną czeluść.

69.

To nie moje czasy, pomyślałem. A potem: ach, znowu tutaj.

Scena wyostrzyła się. Omdlała paproć i wypchany lis pod szklanym

kloszem stały po obu stronach zegara na kominku. Powietrze zatruwał tytoniowy dym. W głębi pokoju przed oknem stał siwowłosy mężczyzna w ciemnoniebieskim, niegdyś eleganckim atlasowym smokingu. W jednej ręce trzymał cygaro, w drugiej - kieliszek wypełniony do połowy bursztynowym płynem. Było ciemno. Zdałem sobie sprawę, że znam jego nazwisko. Wskazówki mosiężnego zegara wskazywały 11.40

Człowiek wyglądający przez okno czekał na mnie; zamierzał przemówić. Widziałem to w jego znużonej postawie i teatralnym, wręcz przesadnym zgarbieniu pleców. Mdłości i ból ustąpiły miejsca irytacji: jestem, czego ode mnie chcesz? Mężczyzna przy oknie uniósł kieliszek. Pociągnął łyk. Zgarbił się. W końcu przemówił.

Znowu tu jesteś, lecz nie dbam o to, co się z tobą dzieje. Wszystko się rozpada. Środek nie trzyma. Wiesz, kto to powiedział?

- William Butler Yeats - odparłem. - Też mam cię gdzieś, Howardzie.

Złota czara jest zbita, nosi niewidoczną rysę. Słyszę zewsząd ryk dział.

- Co mi chcesz powiedzieć?

Kiedy twój ojciec stał się ciałem i krwią, postanowiłem się zabawić, doprowadzając go do obłędu. Ma być narzędziem naszego zniszczenia. Ale skoro ciągle znajdujesz drogę do mnie, być może to jednak ty zniszczysz jego. Wynik tej gry już nie ma dla mnie znaczenia.

Nazwałem go podłym, złośliwym staruchem - tyle zrozumiałem. Zachichotał.

Uciekliśmy przez rysę w złotej czarze. Ukradziono nasze zwłoki z bitewnego pola. Jesteśmy dymem z armatniej gardzieli. Doprowadzam mego syna do szaleństwa, by przyspieszył nasz koniec. Ich wiara w nas umarła. Wszystko się powtarza, ciągle od nowa i za każdym razem znaczy coraz mniej.

- Wypowiadasz słowa, które nie mają sensu. Czyja wiara? Po co się tu znalazłem?

Wczasach mojego pradziada bożek Pan był kompozytorem nadzwyczajnych utworów. Wczasach mego dziadka był pianistą, który doprowadzał damy na widowni do niepojętej ekstazy. W moich jest poeta pijakiem, który pisze jedynie o upadku do piekła i podobnym upodleniu. W twoich zostanie bezmyślnym niewolnikiem alkoholu i opium. Jeśli go zobaczysz, powiedz sobie: oto co zostało z Pana, i pojmij, dlaczego powinniśmy zniknąć z powierzchni ziemi.

- Pan nie istniał. Nie w rzeczywistości.

To, co nazywasz rzeczywistością, także nigdy nie istniało. Tworzy się wciąż odnowa mocą wiary. Wiara jest przedmiotem zmiany. Istoty ludzkie potrzebują opowieści, które nadadzą sens ich przypadkowemu życiu, a te historie nie pozwalają nam odejść. Mam tego dość. Zawsze opowiadają jakiś malutki fragmencik tej samej wielkiej całości i nawet tego nie potrafią dokładnie powtórzyć.

W oknie pojawiły się zmierzające ku nam pochodnie. Nad głową usłyszałem chrobot szponów i łopot skrzydeł.

Miałeś tu przyjść z tym drugim. Być może jesteś tutaj, ale gdzie indziej. Zobaczymy, ty i ja. Moja zabawa, moja gra dobiega końca. Błąd za błędem. To podle życie, które nam dano.

W oczach mi pociemniało. Stawy jęczały mi z bólu, ktoś bił mnie po głowie młotkiem. Kiedy odzyskałem wzrok, klęczałem, a wymiociny lały mi się z ust w wysoką trawę koło ruiny.

70.

Helen Janette trzymała straż przed domem.

- Mam nadzieję, że jest pan przygotowany na to, co mam do powiedzenia.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się ze skrzypnięciem. Pan Tite dołączył do imprezy.

- Dziś rano do moich drzwi zapukali dwaj wywiadowcy i umundurowany policjant.

- Jak również Stewart Hatch - dodałem. - Nie poczuła się pani zaszczycona?

- Stewart Hatch może się powiesić na najbliższym drzewie. - Założyła ręce na piersi. - Ma pan pół godziny na spakowanie rzeczy. Nie zwracam pieniędzy.

Popędziłem na górę. Zza drzwi Otta dobiegało dźwięczne chrapanie. Kiedy zszedłem, tamci dwoje stali po obu stronach drzwi jak wartownicy.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak się pani boi policjantów.

Helen Janette wyciągnęła rękę.

- Proszę klucz.

Gorzka satysfakcja, którą ujrzałem w jej oczach, gdy oddawałem klucz, podsunęła mi właściwą odpowiedź.

- Przepraszam panią...

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Czy nie nazywała się pani Hazel Jansky?

Pan Tite sapnął.

- Była pani w więzieniu - dodałem. - To dlatego nie lubi pani policji.

- Idź pan stąd. - Pan Tite dziabnął mnie w ramię palcem twardym jak łożysko.

Odsunąłem się poza jego zasięg i spojrzałem jej w oczy.

- Nazywam się Helen Janette.

- Była pani przy moich narodzinach - dwudziestego piątego czerwca 1958 roku. W szpital uderzył piorun. Zgasły światła.

Patrzyła na mnie z posępnym zadowoleniem.

- Proszę odprowadzić tego pana na zewnątrz.

Pan Tite chwycił mnie za ramiona. Owionął mnie jego cuchnący oddech. Przechyliłem się i uderzyłem go workiem. Cofnął się o pół kroku i nastawił pięść. Uniosłem rękę.

- Wychodzę. Koniec.

Przyglądali się, jak wywlekam worek przez drzwi.

Skreśliłem w Word Street i znalazłem drogę na Veal Yard i do hotelu „Brazen Head”. Recepcjonista z sinymi workami pod oczami poinformował mnie, że pokój na pierwszym piętrze z łazienką mogę dostać za sześćdziesiąt pięć dolarów za noc, a pokój z łazienką na trzecim piętrze - za pięćdziesiąt. Zdecydowałem się na pierwsze piętro. Wskazał schody.

- Winda bywa powolna - wyjaśnił. - I lubi się zacinać.

Pokój numer 215, dokładnie naprzeciwko schodów, był dwukrotnie większy od kwatery u Helen Janette. Łóżko stało stopami w stronę środka pokoju, naprzeciwko biurka i dwóch drewnianych krzeseł, przed zakurzonym oknem wychodzącym na Veal Yard. Na przyklejonej do lustra kartce widniała porada, by pić wodę w butelkach z barku zamiast z kranu. Woda w butelkach była za darmo.

Przez jakiś czas piłem wodę Poland Spring i usiłowałem pojąć, co mnie spotkało. Czyżbym się cofnął do roku 1935 i złożył wizytę Howardowi Dunstanowi?

Aż tak mi nie odbiło. Z drugiej strony nie sądziłem także, żeby to była halucynacja. Dunstanowie nie są przeciętną amerykańską rodziną, choć szaleństwem możemy się równać z najlepszymi z nich. Może zdolności przyszły do mnie późno i dzięki nim odbyłem podróż do domu handlarza niewolnikami na Rhode Island. A może miałem kolejne załamanie i parę następných tygodni spędzę w pokoju bez klamek. Ale nie sądziłem, żeby to było to. A jeśli pozostawałem przy zdrowych zmysłach, to cofnąłem się do roku 1935 i spotkałem mojego pradziadka.

Bożek Pan mieszka w Edgerton jako degenerat? Byliśmy historią, której czas się skończył? Wyrzuciłem to z pamięci i zastanowiłem się nad Helen Janette - Hazel Jansky. Miałem niemal pewność, że to ta sama osoba, ale wątpilem, żebym mógł ją skłonić do wyznania, że porwała małego Roberta, jeśli naprawdę to zrobiła. Potem zacząłem się

zastanawiać nad zbiegiem okoliczności, dzięki któremu wynająłem pokój akurat u Hazel Jansky. Przypomniałem sobie, że to Toby Kraft mnie do niej przysłał. Toby i Helen-Hazel się znali. Ale jak dobrze? Zamiłowanie Toby'ego do kobiet o ładnych buziach i wielkich pierśiach przekreślało odpowiedź, która wydawała się oczywista. Znowu dotarłem do ściany. Łyknąłem poland spring i zastanowiłem się, dlaczego władze hotelu nie ufały wodzie Hatchtown. Zamknąłem butelkę i wybrałem się do ratusza.

71.

W przestronnym lobby było zupełnie ciemno; zapukałem do wielkich drzwi z poczuciem komicznej beznadziei. Coventry mógł być przecież w innym budynku. Znowu załomotałem w szybę, czując się jeszcze bardziej idiotycznie. Ruszyłem pomiędzy kolumnami. Kiedy byłem już przy schodach, szczerknęły drzwi, a Coventry zawołał:

- Ned, poczekaj!

Przytrzymał drzwi z uśmiechem i machnął na mnie ręką.

- Musiałem zbiec po tych wszystkich schodach! - Z podwiniętymi rękawami, w muszce i spodniach khaki wyglądał jak podstarzały uczeń.

- Cieszę się, że cię widzę!

Spojrzał za moje plecy, potem na boki.

- Nie ma jej - powiedziałem. - Ja też się cieszę.

Wszedłem i czekałem, aż zamknie drzwi.

- Jak mnie usłyszałeś?

- Trochę na ciebie czekałem. Jak poszukiwania?

- Są postępy. Masz czas, żeby przejrzeć parę aktów własności?

- Bez problemu. - Znowu się uśmiechnął, niemal przeproszająco. - Szkoda, że Laurie nie mogła przyjść. Potrafi poprawić humor na cały dzień, nie sądzisz?

- Lubisz ją.

- Kiedy spotykam Laurie, wszystko wydaje mi się lepsze. Ona ma taki dar.

- Podejrzewam, że ma wiele darów.

- Dziwne, że to powiedziałaś. Odnoszę takie samo wrażenie. Nadzwyczajne, muszę przyznać - przechylił głowę i uśmiechnął się w stronę sufitu, odległego i prawie ginącego w ciemnościach - że ty też to wyczułaś. Jesteś wrażliwy. - Raptem spuścił głowę. - Przepraszam. Wymądrzam się?

- Może troszkę.

- Ojej. Chciałem powiedzieć, że jesteś bardziej spostrzegawczy niż większość mężczyzn. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Oczywiście. - Przycisnął palce do czoła. - Czy to, co mówię, jest w miarę sensowne?

- Odrobinę.

Parsknął i schylił głowę. Miły, kochany człowiek.

- Kiedy mężczyźni patrzą na Laurie, widzą głównie... no, wiadomo. Ty i ja widzimy kogoś z olśniewającym umysłem; wspaniałą duszą i całą gamą talentów, które dopiero zaczynają się ujawniać.

- Laurie musi sobie cenić twoją przyjaźń. Zerknął na mnie szybko.

- Od razu przypadliście sobie do serca?

- Lubię jej towarzystwo, ale nie zostanę długo w Edgerton.

Popędził po schodach. Poprawił mu humor. Na podeście odwrócił się i oparł rękę na marmurowej balustradzie. Oczy mu lśniły.

- Opowiadała ci o swoim pochodzeniu?

- Mówiła dużo o ojcu.

Zwolnił kroku, żeby móc go dogonić, ale wyraźnie chciał przeskakiwać po trzy schodki naraz.

- Miał na nią kolosalny wpływ, kolosalny.

Na piętrze włączył światłówki nad ladą przed dwoma zawalonymi biurkami i rzędami katalogów.

- Wyznaję, ciągle nie znalazłem zdjęć pani Rutledge'a, ale obiecuję, że się znajda. - Wszedł za ladę. - Jakie akta cię interesują?

- Przede wszystkim te dotyczące domu pod lasem na New Providence Road.

Coventry zniknął między rzędami szafek i wrócił z grubą teczką.

W roku 1883 Sylvan Dunstan zakupił od Josepha Johnsona tysiąc akrów, w tym Las Johnsona. Teren ten odziedziczył Howard Dunstan, a w roku 1936 Carpenter Hatch kupił go od córek Dunstana za zadziwiająco sumę. Pomyślałem, że moje ciotki zainwestowały te pieniądze i od tego czasu żyją z odsetek.

- Co jeszcze?

- Znasz określenie Przeklęty Dom? Ktoś to dzisiaj wspomniał i nie potrafię sobie przypomnieć, a brzmi znajomo.

- A to nie z H.P. Lovecrafta? Kiedy byłem mały, często go czytałem. Wydaje mi się, że ten Przeklęty Dom wzorował na pewnym budynku z Providence. Spędził tam większą część życia.

Lovecraft był pisarzem, którego przypomniały mi opowiadania Edwarda Rineharta.

- Nie interesowały cię jeszcze inne budynki?

- Tak. Jeden na małej uliczce w College Park. Nie potrafię sobie przypomnieć nazwy, cholera.

- Zaraz sobie przypomnisz. Fascynujące miejsce ten College Park. Wiesz, że tam się kiedyś znajdował plac targowy braci Hatch?

- Hatchowie mieli plac targowy?

W uśmiechu Coventry'ego dało się dostrzec uciechę.

- Kto by pomyślał, nie? Pan Hatch woli o tym nie pamiętać. Bardzo wyraźnie zaznaczył, że mamy nie nagłaśniać historii jego rodziny, ale ten plac przez wiele lat przynosił niezły dochód. Dzięki niemu mogli kupić okolicę znaną teraz jako Hatchtown.

- Co było dalej? Sprzedali go uczelni?

- Niewiarygodne szczęście. Hatchowie porośli w piórka i koło 1890 roku już tylko wynajmowali innym ten teren. Dość podła okolica. Pokazy striptizu, gabinety okropności, spelunki i prostytutki. Rudery, w których mieszkali handlarze. Było tam też paru podejrzanych doktorów.

Niejaki doktor Hightower sprzedawał narkotyki pacjentom, a inny, doktor Drears, był, jak się obawiam, typowym pokątnym producentem aniołków. Okaleczył lub zabił połowę pacjentek.

- A Hatch chciałby zapomnieć o tym fragmencie rodzinnych dziejów?

- Trudno się dziwić. Tylko wynajmowali ten plac. W- połowie lat dwudziestych był to jedynie pusty teren i wyludnione domy. Ale potem przyszli ludzie z uczelni i kupili cały interes. Wkrótce pojawili się studenci i kupcy i biznes znowu zaczął się kręcić. Jaką ulicę chciałeś sprawdzić?

- Buxton Place - odparłem, jakbym od samego początku pamiętał dawny adres Edwarda Rineharta.

Coventry znowu zniknął wśród półek i wrócił z dziennikiem mającym jakieś siedemdziesiąt centymetrów długości i metr szerokości.

- To kuriozum.

Łupnął dziennikiem o biurko, odwrócił go tak, żebyśmy obaj widzieli strony, i otworzył. Prawą stronę zajmowała nakreślona ręcznie mapa czterech czy pięciu ulic podzielonych zgodnie z prawem własności. Strona lewa zawierała spis transakcji sprzedaży budynków i działek z numerami zamieszczonymi na mapie.

- Wspaniałe dzieło - powiedział Coventry. - Aż boli, kiedy pomyśle, że coś takiego trzeba umieścić w bazie danych.

Spytałem, jak na tym wspaniałym dziele odnaleźć Buxton Place.

- Przy odrobinie szczęścia znajdziemy indeks. - Otworzył księgę na ostatnich stronach. - Och, byli wspaniali. Więc Buxton Place... - Przesunął palcem wzdłuż wypisanej ręcznie kolumny i przerzucił parę stron w tył.

- I proszę. - Puknął palcem w małą uliczkę. - To zaułek. Co się na nim znajdowało? Przeważnie stajnie. I dwa domy, prawdopodobnie dla stajennych i parobków. Sprawdźmy akta własności numeru 60448 i 60449.

Przebiegliśmy listę numerów na następnej stronie.

- Proszę, 60448 - odezwał się Coventry. - Pierwotnie przynależał do

placu targowego braci Hatch, przynajmniej w 1882 roku. Kto by pomyślał. - Roześmiał się. - W 1902 sprzedany doktorowi Prosperowi Hightowerowi.

Spojrzałem na niego.

- Hightower. Ten od narkotyków, pamiętasz? A potem co? W 1922 przeszedł na własność miasta Edgerton. W 1950 sprzedany Charlesowi Dexterowi Wardowi. A co na temat jego sąsiada? Posiadłość numer 60449. Plac targowy braci Hatch. W 1903 zakupiony przez doktora Colemana Drearsa. Niewiarygodne! Jest nasz doktor Skrobanka. Mieszkali obok siebie! W dodatku wiem dlaczego - Buxton Place to bardziej zaułek niż uliczka. Nie ma sąsiadów, którzy podglądają, jacy pacjenci przychodzą do panów doktorów. Co się wydarzyło po odejściu Drearsa? Działka przeszła na własność miasta w 1924, w 1950 została sprzedana Wilburowi Whately'emu. - Gwałtownie podniósł głowę. - Mówiliśmy o H.P. Lovecraftcie?

Przytaknąłem.

Zachichotał i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Co?

- Lovecraft napisał „Przypadek Charlesa Dextera Warda”, a Wilbur Whately to postać z „Koszmaru w Dunwich”. Jestem szczęśliwy. Muszę zaznaczyć ten dzień w kalendarzu. Jeszcze nigdy dotąd nie natknąłem się w ratuszu na aluzję literacką.

- Zechcesz znaleźć coś jeszcze?

- Po czymś takim? Oczywiście.

Podąłem mu adres pensjonatu na Chester Street. Wrócił w niespełną minutę.

- Jak daleko w przeszłość chcesz się zapuścić?

- Kto jest obecnym właścicielem?

Wyjął z akt ostatnią stronę i przysunął ją do mnie. Budynek Helen Janette został zakupiony w sierpniu 1967 roku przez firmę z Lanyard Street.

- Firma holdingowa T.K. Mówi ci to coś?

- Mówi mi coś, co powinienem wiedzieć już wcześniej.

Toby kupił pensjonat na miesiąc przed wyjściem Hazel Jansky z więzienia. Na ówczesne ceny 27 000 dolarów to niedużo, ale po dwudziestu sześciu latach prezent nadal robił wrażenie.

Wielkie drzwi zatrzasnęły się za mną. Zszedłem po długich schodach i spojrzałem na plac przy Grace Street. Stara kobieta sypała okruszki hordzie kotłujących się gołębi. Złotowłosy wykolejeniec, którego już widziałem, kołysał się nad gitarą. O pień klonu za fontanną opierała się pełna gracji męska postać. Ręka, tworząca linię prostą między pniem i wygięciem ciała, kończyła się prostokątem aktówki.

Oddech zamarł mi w krtani. Mężczyzną na placu był Robert. Choć cień klonu krył jego twarz, wiedziałem, że się do mnie uśmiecha. Odsunął się od drzewa i wyszedł na słońce, lekko kołysząc aktówką u boku.

72.

Zbiegłem po schodach na chodnik i ulicę, ledwie przyjmując do wiadomości, że coś po niej jeździ. Ryczały klaksony, piszczały hamulce. Dotarłem bez szwanku na wyspę pomiędzy pasami i przemknąłem pomiędzy samochodami pędzącymi w przeciwnym kierunku. Skoczyłem na chodnik i przebiegłem długą drogę do fontanny. Spod moich stóp podrywały się gołębie. Złotowłosy wykolejeniec po drugiej stronie chodnika garbił się nad gitarą. Minąłem parę staruszków idących w przeciwnym kierunku i dostrzegłem głowę i ramiona Roberta w grupie czekającej na zielone światło.

Gdy grupa ruszyła, Robert został parę kroków za innymi. Blezer i dzinsy miał identyczne z moimi. Wykolejeniec grał fragment melodii, która przypomniała mi jej tytuł. „Klucze do autostrady”, sztandarowy utwór Goata Gridwella. Zmieniał nuty, rozciągał frazy, a kiedy zbliżyłem się do niego na wyciągnięcie ręki, oderwałem oczy od Roberta i zerknąłem w dół. Jasnozielone oczy w zniszczonej twarzy zajrzały

prosto w moje. Jakby mnie poraził prąd. Potknąłem się. Zielone oczy pełne żartobliwej mądrości.

Goat Gridwell nie spuszczał ze mnie oczu, dopóki go nie minąłem. Pewnie nawet patrzył, jak dodaję gazu i uciekam z placu.

Zanim obiegłem fontannę i ruszyłem na wschód, Robert był już w połowie przecznicy. Poruszał się niedbałymi krokami, które pożerały wielkie odległości. Zniknął za rogiem. Przyspieszyłem. Robert zapraszał mnie do podążania jego śladem, ale nie miałem specjalnego zaufania do jego cierpliwości.

Przebiegłem dwie ulice i skręciłem w prawo. Rąbek niebieskiego swetra i mgnienie teczki w kolorze karmelu znikły za budynkiem.

Robert zmierzał w stronę Commercial Avenue. Mogłem go prześcignąć, skręcając w prawo, ale niewykluczone, że chodziło mu o jakiś inny adres po drodze. Parę razy odetchnąłem głęboko i znowu ruszyłem biegiem, przemknąłem przez następne skrzyżowanie i wpadłem w Grenville Street. Blezer i elegancka teczka skręcały na lewo w Commercial Avenue.

- A żeby cię - mruknąłem i popędziłem dalej. Przez okno pizzerii zauważyłem pochyloną nad stołem Helen Janette. Groziła palcem Toby'emu Kraftowi. Dodałem gazu i wpadłem na Commercial Avenue.

Trzydzieści metrów dalej, tuż koło wejścia do hotelu „Merchants”, stał Robert. Kołysał aktówką i patrzył prosto na mnie. I zniknął. Ruszyłem przed siebie. Kiedy dotarłem do miejsca, w którym przed chwilą stał Robert, obrotowe drzwi hotelu wyrzuciły pobladłego staruszka pod opieką portiera, który był świadkiem mojego spotkania z Grenville'em Miltonem. Portier odprowadził swojego podopiecznego do czekającego samochodu, skinął mi głową i zrobił gest w stronę drzwi. Po tym wyraźnym znaku pozostało mi tylko wejść. Ładna recepcjonistka uśmiechnęła się do mnie ze swego miejsca. Ja też się do niej uśmiechnąłem. Dzięki Robertowi byłem tu znanym gościem. Na szczycie schodów po prawej stronie puste podium Vincenta broniło dostępu do

mrocznych komnat „Le Madrigal”. Skręciłem w stronę marmurowych schodów po drugiej stronie holu. Robert spojrział na mnie z półpiętra i znowu zniknął.

Wspiąłem się po schodach i wszedłem do męskiej toalety. Robert opierał się o zlew, obiema rękami trzymając skórzaną teczkę. W lustrze za jego plecami odbijał się tylko rząd pisuarów i wykładana kafelkami ściana.

Robert się uśmiechał.

- No i jesteśmy. Wreszcie.

V

Jak się nauczyłem
zjadać czas

73.

Potem prawie przy każdym spotkaniu z Robertem zmieniałem zdanie co do podobieństw między nami, ale wtedy uderzyło mnie tylko, jak wielkie dzielą nas różnice. Nie rozumiałem, jak ktokolwiek mógł mnie brać za niego; pomimo podobieństwa sylwetki na twarzy Roberta odciskała się bezwzględność, która wykluczała jakiekolwiek porównania między nami. Wydawało mi się całkowicie słuszne, że nie widać go w lustrze. Potem zerknąłem w nie i ujrzałem odbicie jego potylicy. Znowu spojrzałem na niego. Jego twarz przypominała moją we wszystkich szczegółach.

- Kim ty jesteś, do diabła? - spytałem.

- Dobrze wiesz. - Podał mi teczkę. - Idź do pokoju 554 i daj to Ashleigh. Będzie ci tak wdzięczna, że zaraz zedrze z ciebie ciuchy.

- Co tam jest? - Ledwie zamknąłem usta, zrozumiałem, że wiem.

- Nie bądź głupi. - Wepchnął mi teczkę w objęcia. - Dziś rano ktoś, kto chce pozostać anonimowy, zadzwonił do „Brazen Head” i powiedział, że słyszał o twoim piątkowym spotkaniu z Ashleigh i Laurie Hatch. Pomyślał, że zechcesz pomóc w sprawie przeciwko Stewartowi Hatchowi. Te dokumenty dadzą Ashleigh wszystko, czego trzeba, żeby z powodzeniem wystąpić przeciwko Hatchowi. A on nie ma pojęcia, że zniknęły.

- Więc jednak się włamałeś. - Wzruszył ramionami. - Hatch pewnie już sprawdził, czy wszystko jest na miejscu. Na pewno zauważył, że coś zniknęło.

- Ale wtedy jeszcze nie zniknęło. Wróciłem do Cobden Building wczoraj w nocy. Zanim Stewart znowu sprawdzi, wszystko będzie na miejscu. Powiedz Ashleigh, żeby zrobiła kopie, a oryginały zwróciła.

- Skąd wziął je ten anonimowy informator?

- No, włamał się do budynku, a co myślałeś? Miał zadawnioną urazę do Hacha. Demolując mu biuro, natknął się na te dokumenty. Kazał ci podejść do pewnej ławki na rynku, podszedłeś, znalazłeś teczkę i przynosisz ją jej. Koniec, kropka. - Odsunął się od zlewu i ruszył do drzwi. - Dobrze, że cię wywalili z tego pensjonatu.

Przeszedł przez drzwi. W dosłownym sensie. Nie otworzył ich, przeniknął przez nie, uśmiechając się do mnie, gdy jego ciało wtapiało się w bielone drewno. Zniknął mi z oczu niczym kot z Cheshire.

74.

Zamknąłem się w kabinie i rozpiąłem teczkę. Była pełna akt: wyciągów bankowych z Wysp Dziewiczych; dokumentów legalizacyjnych firm o nazwach Glitterman Sp, z co., Agencja Nieruchomości Eagle oraz Delta Mud Holdings; akt własności budynków w Louisville i Cincinnati; listów z kancelarii prawniczych. Przejrzałem dokumenty spółki Hacha i Grenville'a Milona. W bocznych kieszonkach tkwiły dwa stosiki dyskietek.

Ashleigh chwyciła mnie w objęcia i głośno pocałowała.

- Nieprzewidywalny Ned Dunstan! Co masz w tej pięknej torbie?

Postawiłem teczkę na stole i usiadłem naprzeciwko Ashleigh.

- Ty mi powiedz.

Przygryzła dolną wargę.

- Interesująca odpowiedź.

Minęło kilka sekund.

- Jesteś zainteresowany obiadem?

- Ciekawe pytanie.

- Zamówię parę kanapek. Co powiesz na *pinot grigio*!

- Dobre stare *pinot grigio*.

Zamówiła posiłek, siadła, otworzyła teczkę i zajrzała do środka. Spojrzała na mnie. Wzruszyłem ramionami. Wyjęła jedną teczkę i przejrzała dokumenty. Wyraz skupienia na jej twarzy zmienił się w czyste zdumienie. Przejrzała kolejną teczkę.

- Skąd to masz?

Opowiedziałem jej smętną bajeczkę o człowieku, który zostawił torbę na rynku.

- Chce, żebyś zrobiła kopie. Podejrzewam, że zamierza zwrócić oryginały.

- Widziałeś go?

- Nie. Jeśli potrafił się włamać do Cobden Building, to twardy z niego zawodnik.

- To nie jest zwykłe włamanie. - Przekartkowała inne dokumenty. - Znalazł największe tajemnice Stewarta. Wyobrażasz sobie, jak były ukryte?

- Przydadzą ci się?

- Czy się przydadzą? To tak, jakbym trafiła na żyłę złota. Założył poza stanem nieistniejące firmy, przejął parę nocnych klubów i wycisnął z nich każdy grosz. Pieniądze wysyłał do banków na Wyspach Dziewiczych i prał je poprzez fikcyjne firmy za pomocą pożyczek. - Sięgnęła po dyskietki. - Tu są pewnie wszystkie transakcje. Każdy przestępca ma jakąś słabość, a Stewart ma hyzja na punkcie porządku. Wiesz, co to znaczy?

- Powiedz.

- Nie ma szansy, żebym przegrała tę sprawę. Byłoby miło, gdybym mogła tego użyć w sądzie, ale nie muszę. Kiedy wystraszymy na śmierć jego pomocników, powiesimy Stewarta za jaja. Miliona też. - Jej spojrzenie się zmieniło. - Masz to od Laurie Hatch?

- Nie.

Odetchnęła.

- Miałam wrócić do domu z pustymi rękami. Mój szef potraktowałby mnie z góry i z litością. Koledzy by ukrywali radość z tego, że tak

spieprzyłam sprawę. A ja przez następne dwa lata dostawałabym same zgniłe jaja. Teraz szef da mi złoty medal, a inni asystenci będą musieli udawać, że się cholernie z tego cieszą.

- Zdołasz wyjaśnić...

- Jak zdobyłam dowody? O to się zatroszczy nasz stały przyjaciel, anonimowy informator.

Mówiła o sprawie, dopóki nie pojawił się kelner; gdy otworzył butelkę i wyszedł, rzuciła się na kanapkę jak głodomór.

- Boże, wszystko to się wydarzyło tak, jakby to ktoś zaplanował.

- Trudno się z tym nie zgodzić.

- I muszę powiedzieć, że kiedy jesteś taki jak w piątek wieczorem, stanowisz dla kobiet dar od Boga.

Skuliłem się, a ona poczerwieniała.

- Chodźmy do miasta, skopiujemy dokumenty.

75.

Po powrocie do jej pokoju spojrzeliśmy na siebie i bez słowa zaczęliśmy się rozbierać. Później Ashleigh opowiedziała mi o swoim dzieciństwie w Lexington w stanie Kentucky i małżeństwie z Michaeliem Ashtonem, który w czasie podróży poślubnej uwiódł kelnerkę z ich hotelu. Ja opowiedziałem jej co nieco o Star, Philu i Laurze Grant, a także co porabiałem od wyjazdu z Naperville.

- Dlaczego rzuciłeś Middlemount?

- Nie radziłem sobie z matematyką i naukami ścisłymi.

- Czyżby programowanie nie było trudniejsze od rachunku różniczkowego czy tym podobnych?

- No, gdyby się tak zastanowić...

- Lubisz swoją pracę?

- Lepszej nie miałem. Za każdym razem, kiedy dostaję wypłatę, nie mogę wyjść ze zdumienia.

- Pieniądze są dla ciebie ważne?

- Nie. Właśnie dlatego mnie zdumiewają.

- Masz przyjaciół?

- Półprzyjaciół. Także półkumpli, ćwierćkumpli, niedokumpli i niekumpli, jak również niekoleżeńskich kolegów. Faceci tak mają.

- A dziewczyny?
- Przychodzą i odchodzą.
- A Laurie Hatch?
- Co Laurie Hatch?
- Niesamowicie cię pociąga. I vice versa.
- Jest w tym trochę prawdy.
- Co chcesz z tym zrobić?
- A jak sądzisz?

Chwyciła mnie za ramię i potrząsnęła.

- Dlaczego mnie pytasz? Gdybym miała przesłuchiwać Laurie, czułabym się jak podczas rozmowy ze sfinksem. Ale skoro czujesz do niej to, co czujesz, powinieneś dać sobie luzu. Nie wierzę, że to powiedziałam.

- Nie lubisz jej. Albo nie ufasz. Kąciki jej ust uniosły się lekko.
- Już z nią spałeś?

Zastanowiłem się, czyby nie odmówić dalszych zeznań. Nie chciałem jej okłamywać, a gdybym usiłował uniknąć odpowiedzi, mogłaby odgadnąć prawdę. Zanim zdołałem się zdecydować, sprawa stała się oczywista.

- Tak - powiedziałem.
- Wiedziała!
- To po co spytałaś?

- Wiedziała, że do tego dojdzie, nie wiedziała tylko kiedy. Jak myślisz, dlaczego ci na to pozwoliła? Nie jest panienką do poderwania, tylko... Nie, zapomnijmy o Laurie Hatch. Na razie chciałabym się skoncentrować na Nedzie Dunstanie.

76.

Obudziłem się o wpół do drugiej w nocy, za późno, żeby iść do Toby'ego Krafta czy przyrzec się domom na Buxton Place. Obszedłem

po omacku wózek zjedzeniem i wziąłem prysznic. Ubrałem się, usiadłem koło Ashleigh i głaskałem ją po plecach, aż się obudziła.

- Tajemniczy незнаjomy - powiedziała. - Zadzwoń do mnie jutro rano, dobrze?

Zostawiłem teczkę w jej pokoju. Była tam bezpieczniejsza niż w „Brazen Head”, a dowody grzeszków Stewarta Hacha musiały gdzieś przeczekać do chwili, kiedy Robert je zabierze. Idealna kryjówka przyszła mi do głowy w chwili, gdy patrzyłem na cyfry zmieniające się na tabliczce nad windą.

Przed Merchants Park przemknął samotny samochód. Ruszyłem pustą aleją; w oddali, koło Ferryman's Road dostrzegłem czerwoną poświatę. Zbliżyłem się bardziej, dobiegł mnie śwąd.

Na Chester Street spójrzałem na północ. Na płonący budynek padały wodne łuki, zmieniając barwę ze srebrzystej na czerwoną. Koło rzędu samochodów strażackich zebrał się tłum. Dotarło do mnie, że pożar wybuchł w sąsiedztwie pensjonatu Helen Janette. Ruszyłem sprintem.

Płomienie buchały z okien na obu piętrach pensjonatu. Nad dachem unosiła się kolumna smolistego dymu. Helen Janette otulała się różowym szlafrokiem, tuż koło niej przystrojona w fedorę głowa pana Tite'a wylaniała się niczym kamienny posąg z Wysp Wielkanocnych. Jego stopy jaśniały nieprzyjemną bielą.

Panny Redman i Challis znalazły się w ramionach zauroczonego młodego strażaka. Roxy i Luna były w lśniących atłasowych koszulkach, takich, w jakich wystąpiły na imprezie. Podobnie jak Frank Tite były boso, ale bawiły się chyba lepiej. Z radiowozów i samochodów strażackich wysiadali policjanci i strażacy. Na środku ulicy stała garstka gapiów, wielu w szlafrokach.

Przez okno strzelił strumień ognia. Zabarwił dym krwawą czerwinią. Dach zapadł się z ledwie dosłyszalnym trzaskiem. Jeszcze nigdy nie widziałem prawdziwego pożaru; nie wiedziałem, że ogień obwieszcza zniszczenie potężnym, nieludzkim głosem.

- To on! - wrzasnęła Helen Janette. - Podpalił mój dom!

Skrzywiony Frank Tite poczłapał w moją stronę. Roxy i Luna pobiegły za nim. Po obu moich stronach wyrosli mężczyźni w szlafrokach. Jeden wykręcił mi rękę.

- Puszczaj, bo ci urwę łeb.

- To on! - darła się Helen Janette.

Mężczyzna, który wykręcał mi rękę, miał jakieś mdwadzieścia kilo nadwagi. Jego twarz przecinały wielkie blizny, a z każdego poru lały się mu kaskady potu.

- Przepraszam - rzekłem do niego. - Zdenerwowałem się i powiedziałem coś głupiego. Dobrze się panu układa z panią Janette?

Puścił mnie.

- Pani Janette prędzej zliże ślinę z chodnika, niż powie mi, która godzina.

Tite doczłapał do nas.

- Łap go pan!

- Sam go łap. Nie mam powodu wierzyć twojej dziewczynie. Tobie też nie, Frank.

Helen Janette dopadła nas, wlokąc za sobą niedźwiedziowatego mężczyznę z napisem „kapitan” na płaszczu nieprzemakalnym. Mężczyźni wokół mnie zniknęli.

- Co ma pan do powiedzenia?

- Wracalem do siebie z hotelu „Merchants”. Na widok płomieni przybiegłem. Miałem nadzieję, że to nie dom pani Janette.

- Kłamie - warknęła Helen Janette.

- Naprawdę pani uważa, że podpaliłem ten dom, bo mnie pani wyrzuciła?

- Nie! - wrzasnęła. - Już ty wiesz dlaczego!

- Helen - spytałem - czy Otto zdążył uciec?

Zamknęła usta.

Kapitan strażaków spytał mnie o nazwisko i powiedział:

- Nie zdążyliśmy uratować lokatora, który nie wyszedł z pozostałymi. - Spojrzał mi w oczy. - Czy to pański przyjaciel?

- Otto był miłym człowiekiem - odparłem. - Czasami zasypiał z zapalonym papierosem.

- Co tak stoicie? - zaskrzeczała Helen Janette.

Zza rogu Ferryman's Road wypadł policyjny radiowóz.

- Teraz proszę pana Dunstana, żeby wsiadł do radiowozu i wyjaśnił wszystko funkcjonariuszowi - oznajmił strażak. - Pani Janette będzie mogła powiedzieć coś od siebie i uczyni to w cywilizowany sposób. A ten pan wróci na chodnik, gdzie jego miejsce.

Helen Janette skinęła głową na Tite'a. Odszedł, a ona otuliła się mocniej szlafrokiem, gotowa do walki. Z samochodu wysiedli Treuhart i kapitan Mullan.

- Proszę aresztować tego człowieka pod zarzutem podpalenia i morderstwa - rozkazała Helen Janette.

Mullan popatrzył za jej wyciągniętym palcem.

- Znowu pan?

- Też nie wierzę - odparłem.

- Gdziekolwiek pan pójdzie, wnosi ze sobą radość.

- Byłem w hotelu „Merchants” do około wpół do drugiej nad ranem. Recepcjonista widział, jak wychodzę. Potwierdzi to także asystentka prokuratora generalnego Ashton.

- Stare piosenki, jak ja je lubię. - Mullan odwrócił się do Helen Janette. - Oskarża pani tego człowieka o podpalenie?

Zacisnęła wokół siebie szlafrok tak mocno, że omal nie pękł.

- Może pamięta pan, w jakie wpadłam kłopoty, kiedy nazywałam się Hazel Jansky. Ukarano mnie za to, że chciałam pomóc bezbronnym kruszynom.

Mullan nie dał się zbić z pantafelku.

- Pamiętam to nazwisko.

- Pod moim adresem padło brzydkie pomówienie z ust Toby'ego Krafta. Nazywam to pomówieniem, ponieważ to odpowiednie słowo, a

Toby Kraft o tym wie.- Zadrzała. - Ludzie mówili o mnie takie rzeczy... można by pomyśleć, że jestem kryminalistką, a nie porządnym człowiekiem, który znajdował dobre rodziny dla dzieci.

Mullan spojrział na mnie ze zmęczeniem.

- Może mi pan pomóc?

- Moja matka sądziła, że Hazel Jansky porwała jej dziecko. Uważam, że miała rację, ale nie ja podłożyłem ogień.

Mullan zamknął oczy, otworzył tylne drzwi i skinął na mnie. Razem z Treuhaftem usiedli z przodu.

- Hotel „Merchants” - powiedział Mullan. - Słuchaj, Dunstan, czemu nie zaoszczędzisz sobie czasu i tam się nie przeprowadzisz?

- Podoba mi się w „Brazen Head”.

- Powinien pan coś wiedzieć o recepcjoniście z nocnej zmiany - mruknął Mullan. Treuhaft zachichotał złowieszczo.

Zatrzymaliśmy się przed hotelem. Mullan kazał Treuhaftowi spytać recepcjonistę, czy widział mnie opuszczającego hotel po pierwszej w nocy, a jeśli tak, to mniej więcej o której.

- Mam już dość budzenia pani Ashton po nocy, żeby ją pytać o pana Dunstana. Choć jeśli recepcjonista go nie widział, trzeba to będzie zrobić.

Mullan oparł głowę o zagłówek.

- Pewnie jednak nie podłożył pan tego ognia, co?

- Pożar się zaczął, zanim wyszedłem od Ashleigh. Mężczyzna, który mieszkał naprzeciwko mnie, miał zwyczaj zasypiać w fotelu z zapalonym papierosem w ręku. Wczoraj w nocy omal się nie podpalił.

- Ten pożar to nie przypadek - odparł Mullan. - Jak wiemy, w piwnicy na tyłach domu jest wybite okno. Ktoś wśliznął się do środka i oblał łatwo palnym środkiem wszystko wokół. Potem się wysliznął i podpalił dom. Musimy poczekać na wyniki dochodzenia, ale tak właśnie było.

- Joe Staggers?

- Sprawdzę go, ale Stagers chce się z panem policzyć osobiście. Widział pan inne osoby kręcące się koło budynku?

- Hm... Po włamaniu do Cobden Building widziałem Żabę La Chapelle'a. Chyba mnie śledził.

Treuhaft usiadł za kierownicą; samochód zakołysał się pod jego ciężarem.

- Recepcjonista twierdzi, że pan Dunstan wyszedł z hotelu mniej więcej za kwadrans drugą.

Mullan pokiwał głową.

- Jak to możliwe, że ktoś od niedawna przebywający w naszym mieście już zna Żabę La Chapelle'a?

Treuhaft spojrzął na kapitana Mullana.

- Wujek Clark pokazał mi go, kiedy Żaba wraz z Cassie Little przyszedł do Clyde'a Prentissa w szpitalu Świętej Anny. I powiedziałem tylko, że szedł za mną z Chester Street do pensjonatu.

- Żaba śledził pana w drodze z Merchants Park?

- Tak to wyglądało.

- Czy mniej więcej domyśla się pan, dlaczego jeden z naszych ulubionych bandytów tak się panem zainteresował?

- Absolutnie nie.

Mullan ziewnął rozzdzierająco.

- Pan Dunstan i ja wyjdziemy teraz, żeby zamienić parę słów na osobności.

Minął drzwi hotelu i skinął głową w stronę ściany. Oparłem się o wypolerowaną kamienną fasadę. Mocny swąd połaskotał nas w nos. Mullan westchnął i zapiął kurtkę. Wbił ręce w kieszenie i spojrzął na buty. Znowu westchnął.

- Coś pana dręczy? - spytałem.

Odrzucił się lekko i spojrzął na Commercial Avenue. Nad Chester Street wisiała gruba kolumna dymu.

- Byłem dla pana bardzo miły. Ciągle mi się pan płcze na miejscu zbrodni, ciągle pana o coś oskarżają, a ja wciąż nie pozwalam, żeby policyjna machina się po panu przejechała.

- Wiem. I jestem wdzięczny.
- Czy współpracuje pan zawodowo z asystentką prokuratora generalnego Ashton?

- Nie.

- Jest pan pracownikiem jakiejś agencji rządowej?

- Nie.

- Czy ma pan powiązania zawodowe z jakąkolwiek agencją wymiaru sprawiedliwości?

- Skąd.

- Pracuje pan jako prywatny detektyw?

- Piszę programy komputerowe dla firmy Vision Sp. z o.o. Nie pracuję w CIA, FBI, Wydziale Skarbowym czy jakiegokolwiek innej organizacji, która mogłaby się zainteresować Stewartem Hatchem.

- Zakładam, że się pan nie pogniewa, jeśli sprawdzę, czy nie ma pan podsłuchu.

Powiedziałem, żeby się nie krępował. Obmacał moją pierś i plecy, ukląkł i przejechał rękami po moich nogach.

- Proszę rozpiąć marynarkę.

Uniosłem jej poły, a Mullan przesunął rękami pod moimi pachami i kołnierzem.

- W porządku - powiedział. - Może jest pan zwykłym obywatelem, który przypadkiem poznał asystentkę prokuratora w drodze do Edgerton. I może przypadkiem pan się zaprzyjaźnił z żoną Hacha. To prawie możliwe. Mam gdzieś, kim pan jest, chcę panu coś powiedzieć, a pan mnie wysłucha. Nie lubię porucznika Rowleya. Przez takich jak on mamy złą reputację. Co zrobił, pobił pana?

- Uderzył mnie w brzuch. Potem przewrócił na ziemię i skopał. Kazał mi wyjechać z miasta, ale nie posłuchałem. W końcu ukradł mi sto dolarów z pieniędzy, które oddałem do depozytu.

- Nie wniósł pan skargi.

- Pomyślałem, że to mi nie wyjdzie na zdrowie.

- Mógł pan przyjść do mnie. No, dobrze. Dziś rano zasugerował pan, że porucznik Rowley zawarł pewien układ ze Stewartem Hatchem.

Najprawdopodobniej miał pan rację. Kiedy byłem szeregowym funkcjonariuszem, kapitan wydziału dochodzeniowego i naczelnik policji mieszkali w domach, które kupił im Cobden Hatch. Ja zapłaciłem za swój dom z własnych pieniędzy. Moim chlebodawcą jest wyłącznie miasto Edgerton, ale mieszkam tutaj i jeśli nie jest pan tym, za kogo się podaje, miną długie lata, zanim dostanie pan następne zlecenie.

- Pogrzeb mojej matki odbędzie się w środę. Następnego dnia są moje urodziny. W piątek wracam do Nowego Jorku. Nigdy więcej mnie nie zobaczycie.

Mullan odwrócił się na pięcie i wrócił do radiowozu.

77.

Pozostali strażacy polewali wodą dymiący kopiec pod rzędem betonowych bloków. Samotny słup sterczał jak spalona zapalka. Gdzieś pod tym wszystkim Otto Bremen czekał na ekshumację. Bezduszne rozbitki flesza obnażały resztki ściany, ramkę obrazka, powyginaną metalową lampę. Helen Janette i pan Tite stali obok siebie przed wozem strażackim i w odrętwieniu przyglądali się płomieniom liżącym ruiny.

Na mój widok Helen Janette zadrżała i cofnęła się o krok. Pan Tite stanął między nami.

- Co mamy teraz robić? Wiesz?

- Ktoś znajdzie wam nocleg - powiedziałem. - Nie wam pierwszym spalił się dom.

Wściekła Helen Janette stanęła koło pana Tite'a.

- Ty psychopato, powinieneś siedzieć w więzieniu! Spaliłeś mój dom!

- To nie ja. - Wymamrotała coś niewyraźnie. - Może mi pani powiedzieć, co się wydarzyło?

- Skoro uważasz, że powinieneś wiedzieć... Obudziłam się i poczułam dym. Wyszłam z pokoju. Podłoga się paliła, schody też. Ledwie było coś widać od tego dymu. Zaczęłam się dobijać do pana Tite'a i razem pobiegliśmy do panien Carpenter i Burgess oraz pani Feldman.

Omali nie zginęłam, bo pani Feldman kazała mi szukać swojego futra. Ostatni raz coś zrobiłam dla tej kobiety. Dziewczęta wyskoczyły przez okno, a potem wszyscy usiłowaliśmy obudzić pana Bremena. Ktoś z sąsiedztwa musiał wezwać straż, bo samochody przyjechały jakieś dwie minuty później. Do tego czasu cały dom stał już w płomieniach.

- Ogień podłożono w piwnicy - powiedziałem.

- Już ty dobrze wiesz gdzie. A ja chcę wiedzieć, gdzie zamieszkać. W tych zgliszczach są wszystkie moje pieniądze, razem z kartami kredytowymi i książeczką czekową.

- Niedawno wszedłem w posiadanie pewnej sumy. Czterysta osiemdziesiąt dolarów. Podzielę się z panią. Może pani wynająć sobie jakiś nocleg, a rano kupić ubranie.

- To jakieś żarty.

Sięgnąłem po portfel i odliczyłem dwieście czterdzieści dolarów.

- Nie przyjmujemy pieniędzy splamionych krwią - oświadczył pan Tite.

- Mów za siebie. - Wyciągnęła rękę. Położyłem na niej banknoty. - Nie jestem zbyt dumna, żeby nie skorzystać z cudzej łaski.

- Cieszę się, że mogę pomóc. I byłbym wdzięczny za informacje o tej nocy, kiedy się urodziłem.

Zastanawiała się parę sekund.

- Za równe trzy setki. Ubrania kosztują.

Odliczyłem kolejne trzy dwudziestki.

- Miała pani dostarczyć tej nocy dziecko. Ale podczas burzy wszystko oszalało i dziecko umarło.

- Urodziło się martwe.

- Wiem. Ale potem moja matka niespodziewanie urodziła bliźnięta, a drugie dziecko przyszło na świat tak gładko, że można je było pomylić z łożyskiem.

- Wyszło razem z łożyskiem. Było bardzo ciemno, nie wiedziałam, co się rodzi, dopóki tego nie poczułam. I powiedziałam sobie: dam ci dobry dom.

- Dzięki Tob'emu Kranowi. Który załatwił pani ten pensjonat, kiedy już pani wyszła.

- O czym wy mówicie, do diabła? - odezwał się pan Tite. - Tamtej nocy nie urodziło się żadne drugie dziecko.

- Co ty tam wiesz - mruknęła Helen Janette. - Nie mówiłam ci, ale teraz mogę powiedzieć, co mi się podoba. Odsiedziałam swoje. - Spojrzała na mnie oczami pociemniałymi z gniewu. - Mieliśmy pewien system. Ten system ratował niewinne dzieci z okropnych rodzin. Sędzia też to przyznał.

- To dla dobra dzieci - oświadczył pan Tite.

Omiał się nie roześmiać.

- Zabrała pani drugie dziecko z porodówki w środku burzy. Gdzie je pani zaniósła?

- Tam gdzie ciebie. Na oddział dziecięcy.

- Ale to się nie wydarzyło - dodał Tite.

Helen Janette odwróciła się z furją.

- Gdzie siedziałeś, Frank? Ciągłe zapominam. - Znowu spojrzała na mnie. - Umyłam go w ciemnościach, tak jak ciebie. Na oddziale dziecięcym było łóżeczko z napisem „Dunstan”, odnalazłam je przy świetle latarki, wzięłam ciebie, a jego położyłam. Potem przyniosłam cię matce. Powiedziała: „Urodziłam bliźnięta, gdzie drugie?”. Wyjaśniłam, że to było łożysko, a potem światła się zapaliły. Złożyłam raport lekarzowi. Powtórzyłam mu słowa twojej matki, żeby się potem nie zdziwił. I wróciłam na oddział dziecięcy. Omiał nie dostać zawału. Łóżeczko było puste. Myślałam, że się pomyliłam i położyłam dziecko gdzie indziej, ale sąsiednie także były puste.

- Ktoś je zabrał? - spytał pan Tite.

- Przecież samo nie wyszło. Myślę, że to pani Landon, ta, co urodziła martwe dziecko. Pewnie się zakradła na oddział, wzięła noworodka i ukryła pod kołdrą. Wypisała się ze szpitala tuż po ustaniu burzy. Dopiero następnego dnia przyszło mi do głowy, że to mogła być ona. W dokumentach podała, że mieszka w hotelu „Paris”, ale wymeldowała się tego samego ranka, gdy wyszła ze szpitala.

- Próbowała ją pani znaleźć?
- Niepokoiliam się o dziecko.

Niepokoiliam się o swoje finanse. A potem pomyślałem: może Robert jednak rzeczywiście wyszedł sam.

- Jeśli spaliłeś mi dom, żeby się odegrać, to cały wysiłek na nic.

Pociągnęła pana Tite'a za rękaw szlafroka i zawlokła go do policjanta siedzącego za kierownicą radiowozu. Po paru słowach policjant wpuścił ich do środka, zapalił światła i ruszył ulicą w moją stronę. Helen Janette patrzyła przed siebie. Szedłem za ich tylnymi światłami aż do Word Street.

Kilka minut po wejściu w pierwszą uliczkę doznałem tego samego niepokojącego uczucia co wtedy, gdy Żaba La Chapelle udawał zwyczajnego przechodnia. Obejrzałem się przez ramię na pustą ulicę i budynki z zasłoniętymi oknami. Ruszyłem szybciej, skręciłem w Leather. Albo zainteresował się mną któryś z ulubionych bandytów kapitana Mullana, albo po ostatnich wypadkach stałem się nadwrażliwy. To drugie wydawało mi się bliższe rzeczywistości.

Ale jednak Żaba poszedł za mną do pensjonatu. Może to on podłożył ogień i przekonał się, że zabił nie tego, co trzeba. Na skrzyżowaniu Fish z Mutton zatrzymałem się koło zbitej latarni i obejrzałem się na czarną, jednowymiarową studnię, w której mogło się kryć i dwudziestu prześladowców. Przez Word Street przemknęło parę samochodów. W zaułku nieopodal jakiś facet wycharkiwał flegmę. Poza tym nic nie słyszałem, ale włosy na karku ciągle mi się jeżyły.

Fish Lane przecięła Raspberry i Button, po czym przeszła w piętnastometrową Wax, prowadzącą do Veal Yard. W zwykłą noc byłby to zwykły, dość interesujący spacer, ale wizja czającego się za mną Żaby La Chapelle'a powodowała, że ulica wydała mi się dzikim pustkowiem. Przypieszyłem kroku i wszedłem w wąską alejkę.

Za plecami usłyszałem niemal niedosłyszalny dźwięk, jakby kroki. Gdybym szedł przez Commercial Avenue za dnia, pewnie by nie zwrócił mojej uwagi. W zaciszu Fish Lane ten cichy odgłos sprawił, że

gwałtownie się odwróciłem. Zobaczyłem tylko puste budynki i mgliste światło gwiazd na kocich łbach. Przypomniało mi się, że Joe Stagers wcale nie przestał mnie szukać.

Resztę drogi do Raspberry przebyłem biegiem, przemknąłem przez krzyżujące się uliczki i rzuciłem się ku szarej mgle otaczającej skrzyżowanie Fish i Button. Nie słyszałem już ścigających mnie kroków, ale czułem, że pogoń się zbliża. Popędziłem przez Button, znowu usłyszałem ciche kroki. Serce niemal mi pękło. Wpadłem w uliczkę, obejrzałem się za siebie i skręciłem w Wax.

Nie wiem, co zobaczyłem. Wizja znikła zbyt szybko, żebym się upewnił, co właściwie zarejestrował mój wzrok. Wydawało mi się, że była to poła znikającego w niewidocznym zaułku ciemnego płaszcza. W tamtym momencie przyszło mi do głowy tylko to, że stary przeciwnik, którego nazwałem panem X, właśnie zniknął z zasięgu mojego wzroku. Krew mi się ścięła. Kiedy odzyskałem zdolność ruchu, popędziłem przez Wax Lane, wpadłem na Veal Yard i rzuciłem się w drzwi „Brazen Head”. Łysy recepcjonista z siekierą wytatuowaną nad prawym uchem podniósł głowę znad gazety.

Przeszedłem koło niego, usiłując zachowywać się normalnie. Recepcjonista nie odrywał ode mnie wzroku, dopóki nie zacząłem wchodzić po schodach. Dotarłem na piętro, wyjąłem klucz i otworzyłem drzwi pokoju 215. Lampa, której nie zapaliłem, rzuciła żółty krąg na nogi łóżka i wytarty zielony dywan. Przy okrągłym stole, z nogami skrzyżowanymi w kostkach siedział Robert. Zamknął „Z otchłani” i uśmiechnął się do mnie.

78.

- Tatko cholernie kiepsko pisał, nie? Nie masz wrażenia, że wierzył w te historie?

- Mam nadzieję, że to nie ty podłożyłeś ogień.

- Po co? Jakież ofiary?

- Jedna. Starszy pan, Otto Bremen.
- Nie sądzę, żeby ktoś za nim bardzo tęsknił.
- To ja miałem zginąć w tym pożarze i dobrze o tym wiesz.

Robert oparł kostkę na kolanie drugiej nogi, podparł brodę ręką i spojrzał na mnie wzrokiem pełnym czystej niewinności.

- Wiedziałeś, że ten budynek spłonie. Powiedziałeś, że dobrze, że się wyprowadziłem.

- A niedobrze?

- Nie mogłeś mi powiedzieć, co się stanie? Pozwoliłeś, żeby zginął człowiek.

- Chciałbym mieć sto procent trafień, ale tak dobrze nie jest. Wiedziałem, że lepiej będzie, żebyś się stamtąd wyniósł, i to wszystko.

Usiadłem przy stole. Robert przesunął się z krzesłem i znowu przyjął poprzednią pozycję - ręka podpierała brodę, łokieć spoczywał na stole.

- Zaażonowałeś moje spotkanie z Ashleigh.

- Mała pewnie oszalała na widok dokumentów.

- Tak. Kiedy zechcesz odnieść papiery, znajdziesz je w sejfie Toby'ego Krafta.

- Nie chcesz, żebym złożył wizytę naszemu małemu przyjacielowi?

- Uśmiechał się. - Hatch nie zajrzy do skrytki jeszcze przez parę dni. Jest zbyt pewny siebie, żeby się niepokoić.

- Co cię to obchodzi, czy Stewart Hatch pójdzie do więzienia?

- Drogi bracie, czyżbyś podejrzewał mnie o manipulację?

Ponieważ patrzył na mnie, jego twarz wydawała mi się i obca, i znajoma zarazem, i ta obcość zawierała pewną szorstkość, którą ludzie chyba we mnie dostrzegali.

- Tak, podejrzewam cię o manipulację. I nie podoba mi się to. Wyjątkowo.

Robert przestał podpierać brodę i wykonał gest sugerujący, że nie trafiłem. Oparł ręce na stole, splótł palce i posiał mi pełne ironii spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że możemy sobie darować te gierki.

- Dasz mi słowo honoru, że Laurie Hatch nie podoba ci się zupełnie wyjątkowo? Nie marzysz o tym, żeby ją poślubić?

- Niedobrze mi się robi.

- Nawet ktoś taki jak ja docenia chwilowy dostęp do fortuny.

- Laurie nie dostanie pieniędzy, jeśli jej mąż pójdzie do więzienia. Powinieneś się lepiej przygotować. Robert wyprostował się i zdjął ręce ze stołu.

- Sprawdźmy, co się stanie, jeśli Stewart zostanie skazany. Około dwudziestu milionów dolarów trafi do rąk małego Cobdena Carpentera Hatcha. Jego matka będzie zarządzać całą sumą. Wiem, że to wbrew twoim purytańskim zasadom, ale jeśli pójdziesz za żądzą i poślubisz Laurie, twoje życie stanie się wprost nadzwyczajne.

- Niestety, już jest.

- Czy zupełna wolność nie ma dla ciebie uroku?

- Ślub dla pieniędzy nie kojarzy mi się z wolnością. Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie.

- Więc daj spokój pieniądzom i ożeń się z miłości. Lubisz nawet jej syna. Właściwie go kochasz. Wszystko gra.

- A twoje miejsce w tym układzie?

- Zgodzisz się na jeden warunek.

- Mianowicie?

Robert odchylił się do tyłu i rozłożył ręce.

- Żeby się dzielić tym ze mną. Raz na parę miesięcy wybierzesz się na wycieczkę, a ja zajmę twoje miejsce. Osiem, dwanaście godzin później znowu się zamienimy. Nikt się nie domyśli, a już na pewno nie Laurie i Cobbie.

- Dziękuję, nie.

- Dam ci czas. Twoja żona nie będzie miała pojęcia, że sypia z dwoma mężczyznami. Przyjdzie wreszcie taki czas, jak w każdym małżeństwie, kiedy chętnie niepostrzeżenie wymkniesz się z domu. I będziemy podtrzymywać rodzinną tradycję. Nasi pradziadkowie robili tak bez przerwy.

- Aż do dnia, kiedy Sylvan zabił Omara.

- Żartujesz. Nic o tym nie wiem.

- Więc tradycja wymaga, żebyś mnie zabił i wszystko zagarnął dla siebie.

- Nie chcę! Ned, pamiętaj, kim jestem. Nie nadaję się do domowego życia. Myśl o życiu z jedną kobietą, przestrzeganie zasad... Tak naprawdę nie jestem człowiekiem. Jestem pełnokrwistym Dunstanem. Nie mieliśmy być tacy, mieliśmy być jedną osobą, ale rozdzieliliśmy się w łonie albo tej nocy, gdy przyszliliśmy na świat, nie wiem, w każdym razie tak się stało i nie mogę cię skrzywdzić, bo to niemożliwe. Potrzebuję cię. Poza tym od normalnego ludzkiego życia chce mi się rzygać. Niby po co miałbym żyć z Laurie Hatch?

- Do tej pory mnie nie potrzebowałaś - odparłem, choć jego słowa mnie poruszyły.

- A jak myślisz, dlaczego zjawiłem się u Star w Naperville i powiedziałem jej, że powinieneś rzucić studia? A kiedy się uparłeś wracać, dlaczego dopilnowałem, żeby ktoś miał na ciebie oko? Po co spotkałem się ze Star przed domem Nettie i wyjawiałem, że grozi ci niebezpieczeństwo?

- Może mnie naprawdę potrzebujesz. Ja ciebie też. Ale nie ożenię się z Laurie Hatch, żebyś mógł sobie kupować garnitury od Armaniego i złote roleksy. Nawet gdyby zgodziła się za mnie wyjść, nie wiem, kim jest.

- Pozwolisz, żeby taki małomiasteczkowy tyran ci mącił w głowie? Pluj na jej pochodzenie. Spójrz na nasze! Masz z nią więcej wspólnego, niż myślałeś.

Już mi to przyszło do głowy.

Robert znowu się ku mnie nachylił.

- Ned, ty już prawie ją kochasz. To karma.

- Nie wiem, co myśleć o Laurie, ale ty jesteś dla mnie prawdziwą zagadką.

- Wyobraź sobie, ile dla mnie znaczysz. A jednak w pewnym sensie jesteśmy tą samą osobą. I mógłbyś przez chwilę wziąć pod uwagę, że

moje życie było trudniejsze od twojego.

- Co ty wiesz o moich problemach?

- Dobre pytanie, ale ty jesteś mniej więcej człowiekiem. Ja - wcale. Myślisz, że było mi łatwo?

- Nie wiem.

- A nie jesteś mi wdzięczny za to, czego się dowiedziałeś przez ostatnie dwa dni? I że się tak zbliżyliśmy?

Chciałem powiedzieć: „Nie, to obrzydliwe”, ale prawda zwyciężyła.

- Tak. Uśmiechnął się.

- Zawsze mówisz „tak” we właściwej chwili.

Ta niespodziewana aluzja do mojego powracającego snu natchnęła mnie nową myślą.

- Pewnie złożyłeś wizytę na New Providence Road?

Zaskoczyłem go.

- Gdzie?

- W starym domu Howarda Dunstana. Tym, który Sylvan zbudował z oryginalnych kamieni z Providence.

- Ten dom przynosi pecha. Jest jak przeklęty, zjada żywcem.

- Zawsze chciałeś, żebym tam poszedł.

Przez chwilę zbierał siły, zanim znowu spojrzął na mnie z absolutną szczerością.

- Mówisz o swoich snach. To sny. Nie ja nimi rządziłem, tylko ty. Tak to już jest ze snami - mówisz coś sam do siebie.

- Skąd wiesz, o czym były?

- Mieliśmy być jedną osobą. Nic dziwnego, że od czasu do czasu miewamy takie same sny.

Zastanowiłem się, co by się stało, gdybyśmy urodzili się w jednym ciele, i doznałem dezorientującego przyływu emocji, jakby zawrotu głowy, a jednocześnie zachwytu i wstrętu. Usłyszałem głos Howarda Dunstana: „Uciekliśmy przez rysę w złotej czarze. Jesteśmy dymem z armatniej gardzieli”. Wyfrunęliśmy z pęknięcia w czarze, wyrwano nas z kieszeni poległych żołnierzy - wytłumaczenie równie dobre jak każde inne.

- Kimkolwiek byś był, jesteś moim bratem - powiedziałem. - Więcej. Jesteś połową mnie.

- Walczyłem z tym. - Zadrzał. - Nawet nie wiesz jak. - Odwrócił głowę, po czym spojrział na mnie z uczuciem podobnym do mojego - Gardziłem tobą. Nie wyobrażasz sobie mojej nienawiści. Nawet nie znałem naszej matki. Ty mogłeś z nią mieszkać, przynajmniej od czasu do czasu, a kiedy nie mogłeś, odwiedzała cię. Wysyłała ci kartki na urodziny. Mnie nie. Robert utknął w cieniu. Star musiała bronić swojego małego Neda. Spotkaliśmy się tylko raz.

Olśnienie uderzyło we mnie jak lokomotywa.

- Tak? - spytał Robert.

- Na nasze dziewiąte urodziny. Coś się wydarzyło. Rozchorowałem się w przeddzień.

- Co ty powiesz.

- Nie zdążyłem na czas.

- Omal przez ciebie nie zginąłem.

- Miałem gorączkę i nie mogłem się podnieść z łóżka. Star weszła do pokoju. Myślałem, że nic mi nie grozi, bo ataki przychodziły przeważnie po południu. Stała koło mojego łóżka... Gdzie byłeś? Dokąd poszedłem?

- W tamtym roku to byli Anscombe'owie. Przynajmniej tak się kazali nazywać. Wzięli mnie, bo ich dziecko zmarło.

- O, Boże. Mieszkałeś w Boulder.

- Aż do wtedy zawsze potrafiłem wyczuć, że mnie szuka, i w porę uciekałem. Tamtego roku wybrałeś sobie kiepski dzień na chorobę i nic nie poczułem.

Usłyszałem Franka Sinatrę. Zaśpiewał „walcz”, ostro atakując dźwięk, i odczekał długą, przeciągającą się chwilę, zanim wszedł z:

walcz,

walcz ze wszystkich siiiiitł...

A wraz z opadającą frazą wróciło do mnie wszystko, o czym postanowiłem zapomnieć.

- Byłem tobą - powiedziałem.

79.

O dziesiątej wieczorem w dniu wspólnych urodzin w roku 1967 Ned Dunstan oraz chłopiec znany jako Bobby Anscombe sądzili, że tym razem ominęła ich doroczna próba. Ned cały poprzedni dzień oraz dużą część tego przeleżał z gorączką, która doprowadziła go do wyczerpania będącego skutkiem odwodnienia oraz majaków. Przed zachodem słońca gorączka podskoczyła; Ned leżał złany potem i spragniony, ale przytomności zostało mu na tyle, by zaświtało mu przekonanie, iż wymigał się od corocznego ataku. Bobby Anscombe nie otrzymał żadnego sygnału - wrażenia, że w powietrzu trzaska napięcie elektryczne, mrowienia pełzającego po obu ramionach, nagłych rozbłysków jaskrawoniebieskich kropek na skraju pola widzenia - wszystko to przydarzało mu się dwa, trzy dni przed urodzinami i zwiastowało porę następnego ustąpienia w bezkształtną próżnię, w której spędził większą część swego drapieżnego dzieciństwa, aż do chwili ponownego powrotu do ludzkiego świata, pod skrzydła pary, która przyjęła go, ponieważ uważała go za swojego syna. Bobby klęczał na strychu, zastanawiając się, jaką kwotę może niepostrzeżenie zabrać ze skórzanej kasetki, którą znalazł za niedokończoną ścianą. Inny stosik pieniędzy znajdował się w skrytce w kuchni, ale „Michael Anscombe” miał na niego oko. Ned Dunstan leżał na łóżku Star, odrzuciwszy przeпоconą koldrę, a matka głaskała go po głowie.

Ned, leżący w sypialni na Cherry Street, poczuł napierające na niego wielkie ciśnienie, jakby powietrze podwoiło ciężar. Drzenie, które znał zbyt dobrze, zagnieżdżyło się w jego piersi i zaczęło rozchodzić wzdłuż nerwów. Kiedy matka pochyliła się nad nim, nasyczona zieleń jej bluzki i czerń jej źrenic rozbłysły i załśniły.

Coś działo się w domu, Robert nie wiedział co. Niespodziewany hałas, zmiana prądów powietrznych, otwarte drzwi, kroki na schodach na

strychu? Jeśli „Mike Anscombe” zajrzał do jego sypialni, trzeba będzie szybko wymyślić usprawiedliwienie. „Mike Anscombe” nie tolerował nieposłuszeństwa. Robert wymknął się ze strychu i wtedy właśnie przez spary w deskach buchnęły błękitne płomienie.

Ned zeszytniał, poderwał się i znowu opadł na materac. Zanim stracił przytomność, ujrzał zbliżającą się twarz Star.

Pomknął przez ścianę błękitnego ognia ku panu X, stojącemu na asfaltowym podjeździe podmiejskiego domku z niewielką dobudówką po lewej stronie. Obok stał rower na podpórcę. Płaski księżyc gapił się na nich znad górskich szczytów, nierealnych jak teatralne tło. Zapach świerków przesycił chłodne nocne powietrze.

Pan X nacisnął efektownym gestem guzik dzwonka. Kiedy drzwi się otworzyły, wbił nóż w brzuch stojącego przed nim mężczyzny i zmusił go do cofnięcia się. Niewidzialne ciśnienie wepchnęło Neda do domu. Z głośników po obu stronach kominka płynął głos Franka Sinatry, który wyśpiewywał długą frazę o niewzruszonym przedmiocie i dawnej, nieodpartej mocy.

Robert nasłuchiwał przy drzwiach strychu.

- Pan Anscombe, jak sądzę - powiedział pan X.

Mężczyzna wpatrywał się w wyślizgujące się z jego ciała sine sznury. Dzięki niespodziewanej zmianie atmosfery, która przywróciła mu dawne wspomnienie wypchanego lisa z uniesioną łapką, Ned zdołał wykorzystać fakt, że pan X rozkoszuje się swoim zadaniem, i wycofał się aż do drzwi. Welon błękitnego ognia pełzył po ścianach, Frank Sinatra powtarzał z naciskiem, że ktoś dostanie buziaka.

Rozradowany pan X rozplątał gardło „Michaela Anscombe'a”.

Ned zerknął w lewo i przez ścianę ujrzał jakby zamrożoną wizję tęgiej kobiety ze zmierzwionymi jasnymi włosami. Leżała w łóżku,

czytając „Księżyc na dobranoc”. Wraz z wizją nadeszła niemiła informacja: ta kobieta urodziła martwe dziecko - odrażająco, straszliwie inne. Ned pobiegł krótkim korytarzem, zakończonym zamkniętymi drzwiami. Schody naprzeciwko prowadziły do innych, węższych drzwi.

Robert przycisnął dłonie do drewna i skupił się na tym, co działo się pod nim. Przezroczyste błękitne płomienie liznęły podłogę koło jego stóp i rozeszły się jasnymi, śmiałymi liniami po całym strychu. Ledwie słyszalne odgłosy z dołu powiedziały Robertowi, że „Michael Anscombe” został zarżnięty jak zwierzę przez rozradowaną istotę, która wreszcie dopadła swój łup. Życie Roberta zależało teraz od tego, czy jak co roku zdoła umknąć drapieżnej istocie, przechodząc w stan dziwnej, zawieszanej egzystencji.

Z dołu zbliżało się do niego nieziemsko lekkie stąpanie, lżejsze niż kroki jakiegokolwiek dziecka i zupełnie niewytłumaczalne.

Ned znieruchomiał w połowie schodów. Przez zamknięte drzwi z lekkością postaci ze snu przenikał bliźniaczo do niego podobny chłopiec.

Robert spojrział z pełnym ulgi zdumieniem na wytrzeszczającego na niego oczy brata - brata, który cieszył się nadmiernymi przywilejami - i zrozumiał, że oto ma przed sobą szansę przetrwania. Przyłożył palec do ust i wskazał w dół. Brat zniknął, a Robert sfrunął bezszelestnie na parter.

Ned wycofał się z dala od schodów. Jego zdumiewający sobowtór wskazał koniec korytarza. Ned podszedł do drzwi i usiłował je otworzyć. Jego ręka przeniknęła przez klamkę i zacisnęła się w próżni.

Obejrzał się przez ramię i za wściekłym sobowtorem ujrzał przezroczystą ścianę, za którą pan X oddalał się od trójkątnego zarysu ciała

„Michaela Anscombe'a” i szedł w stronę pokoju pełnego kartonowych pudeł. Kobieta z potarganymi włosami zrobiła parę kroków do przodu, przyciskając do piersi „Księżyc na dobranoc” jak talizman.

Robert ujrzał, jak palce sobowtóra przenikają przez klamkę jego pokoju, i zrozumiał, że chłopiec nie jest prawdziwy. Prawdziwy Ned Dunstan spał w Edgerton, a w Boulder znalazła się jego iluzoryczna replika. Po raz pierwszy w swym wyjątkowym życiu Robert poczuł, że potrafi odsunąć gniew na tyle, żeby pojąć, że choć ukochany syn jego matki nie jest tu fizycznie, przyniósł ze sobą pewne aspekty własnej osobowości i że ten skrawek, ten duplikat pomoże mu uciec z domu.

Odwrócił się i ujrzał dokładnie to, co jego brat zauważył przed chwilą.

Kiedy Robert ruszył korytarzem, Ned pobiegł za nim, spodziewając się, że jego sobowtór wpadnie do salonu i przeniknie przez drzwi. Robert dotarł do końca korytarza i zniknął. Zbity z tropu Ned zrobił jeszcze parę kroków i przekonał się, że kobieta nadal drepcze przez sypialnię. Pan X ruszył w stronę dobudówki. Zwłoki „Michaela Anscombe'a” pochylały się powoli ku coraz większej kałuży krwi. Frank Sinatra wyrażał zamiar pocałowania tych ust, które uwielbia. Ned spojrzął na salon i po drugiej stronie ścianki dzielącej go od kuchni dostrzegł wpatrującego się w niego groźnie Roberta. Wybiegł z korytarza.

Robert nie wierzył własnym oczom. Jego brat - jego replika - gapił się jak turysta na Wielki Kanion. W chwili gdy Robert zaczął się obawiać, że będzie musiał rzucić w smarkacza tosterem, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, Ned spojrzął na kuchnię i wreszcie go dostrzegł. Chodź, ponaglił go Robert. Jego brat ożył. Robert podszedł do zlewu, kucnął, odsunął środki czyszczące i otworzył schowek, w którym poprzedni lokator trzymał biżuterię żony. Jego ręka zamknęła się na

kanciastym metalowym pudełku.

Ned nie wierzył własnym oczom. Jego sobowtór klęczał przed zlewem, odwrócony tyłem do ściany, i gmerał wśród środków czyszczących. Lada chwila do salonu mógł wejść pan X, kobieta albo oboje.

- Przestań się guzdrać - szepnął.

- Ćśśś - uciszył go sobowtór.

Ned wśliznął się do pomieszczenia z pralką i suszarką tuż przy tylnym wyjściu. Robert wyłonił się spod zlewu z płaskim metalowym pudełkiem. Otworzył je i wyjął dwie kupki banknotów. Znowu sięgnął do pudełka i znieruchomiał. Odwrócił głowę.

Zgina. To koniec. Chciwość sobowtóra ściągnęła na nich śmierć.

Robert zobaczył „Alice Anscombe”. Weszła ociężale w pole jego widzenia i odwróciła głowę w stronę kuchni. Oczy zmatowiały jej od wstrząsu.

- Oż ty w dupę - powiedziała.

Jak we śnie odwróciła się w stronę korytarza i spytała z uśmiechem:

- A ty kto, Bob Hope?

Robert i Ned poczuli, że atmosfera wokół nich robi się napięta i jakby tajemniczo rozjaśniona. Jedyna pozostała żywa istota w domu usłyszała głos „Alice Anscombe”.

Głos w głowie Neda powiedział: Nie można mnie zabić, mnie tu nie ma, ale jego można. Ned wyłonił się z pomieszczenia. W tej samej chwili wreszcie pojawił, że jego zadziwiający sobowtór jest dokładnie tym, czego brak odczuwał przez całe życie. Patrzył na swojego brata.

Robert skoczył na równe nogi, upychając banknoty w kieszeniach. „Alice” przyczłapała do krwawego jeziora, stanęła w zamyśleniu i spojrzała w dół. Robertowi wydało się, że kąciki jej ust uniosły się na

widok trupa męża, ale uśmiech, jeśli to był uśmiech, zbladł. Książka wypadła jej z rąk, krew prysnęła na czubki jej pantofli. Alice spojrzała na pusty korytarz.

Frank Sinatra śpiewał:

walcz...

walcz...

walcz ze wszystkich siiiiil...

a Ned poczuł, że ulatnia się z domu niczym kropla deszczu z rozpalonego chodnika. Wyciągnął przed siebie ręce i przez ich mglistą, lekko zabarwioną tkanę zobaczył płytki kuchennej podłogi.

Wariatka z salonu krzyknęła:

- Dlaczego to robisz? Nie rozumiesz, że już jestem w piekle?

Suchy męski głos odparł:

- Proszę się nie martwić, droga pani. Wkrótce przyjdzie kolej i na panią.

Robert i Ned wpatrywali się w swoje identyczne twarze i jakby się do siebie zbliżali, choć nie wykonywali żadnego świadomego ruchu. Całe jestestwo Neda zadygotało, gdy zdał sobie sprawę, że życie brata, w pewnym sensie i jego własne, zależy od tego nadzwyczajnego aktu kapitulacji.

Usłyszeli krzyk kobiety: „Cholera, naprawdę jestem w piekle, ale ten sukinsyn nie jest CZERWONY, jest NIEBIESKI!”.

Ned sunął ku Robertowi z przerażeniem zrodzonym ze świadomości, że znalazł się na krawędzi zmiany, nad którą nie panuje i której nie potrafi przewidzieć. Przerażenie spotęgowało się, kiedy poczuł, że część jego jestestwa już wyciąga stęsknione ramiona.

Rozsądna strona charakteru Roberta - ta wyposażona w instynkt samozachowawczy - także radośnie witała nadchodzącą tajemnicę, ponieważ widziała w niej szansę przeżycia. Strona chaotyczna i nieracjonalna opierała się z przerażeniem większym niż lęk Neda. Ten destrukcyjny układ budził w Robercie rozpacz i wstręt.

Robert i Ned płynęli ku sobie, spotkali się i stopili w jedno, każdy z własnym lękiem, zwątpieniem i urazą. W chwili gdy ich osobowości splotły się i zaczęły burzyć, jedna przerażona głębią wściekłości i okrucieństwa drugiej, ta druga przejęta wstrętem wobec nieznośnej ciasnoty i ograniczeń swego więzienia, a zatem bliska buntu, chęci wyzwolenia...

Niespodziewanie ten rozdźwięk zmienił się w harmonię i współbrzmienie, przesycone świadomością zyskania jeszcze większej, przestronniejszej całości, równającej się jakiejś dostojności, która nie była im całkowicie dostępna tylko dlatego, że Neda tak naprawdę tu nie było. Temu poczuciu wszechwładności towarzyszyło oddanie o takiej głębi, że obaj natychmiast się cofnęli i wciąż zjednoczeni ciałem i umysłem przeniknęli przez kuchenną ścianę. Część należąca do Neda czuła płynącą od swojej nierozzerwalnej nowej części słodycz i satysfakcję równie wielkie jak jego.

Razem pofrunęli w pachnącą świerkami noc; część należąca do Roberta przejęła kontrolę i wyznaczyła kierunek. Ned miał wrażenie, że pedałuje pod górkę na ołowianym rowerze, potem że płynie pod prąd w wartkim strumieniu. Mięśnie go bolały, płuca domagały się tlenu. Mijały rozmyte kilometry. Bez żadnego momentu przejściowego znaleźli się na pustej działce z dygoczącą wokół pierzastą trawą. Robert zdarł z siebie Neda jak brudną koszulę. Miliony gwiazd mrugały z nocnego nieba. To za dużo, pomyślał Ned. O wiele za dużo.

- Gdzie jesteśmy?
- Ja gdzieś w Winsconsin - powiedział Robert. - Ty w Edgerton, z mamą.

Ned przyciągnął kolana do piersi i w tej samej chwili w jego głowę wbiła się szpila.

80.

- A ja byłem tobą - oznajmił Robert. - Przynajmniej na tyle, żeby się wynieść z Boulder.

- Nie do wiary, że o tym zapomniałem. Uratowałem ci życie.

- Ja tobie uratowałem kilka razy. Zdołasz się utrzymać przy życiu do naszych urodzin? Nie mogę cię bronić dniem i nocą.

- Musimy porozmawiać - odparłem, ale zniknął.

81. Pan X

O wy, Podniebni, o wy, Dymie z Armatniej Gardzieli, wasz Syn chciałby wiedzieć, czy w Waszym Tryumfalnym Milenium nadal istnieje problem zwany „kwestią służby”. Czy w swych Wywyższonych Włościach zatrudniacie podlejsze istoty, bez wątplenia niewolne, bez wątplenia z Podbitych Terytoriów? Jeśli tak, wiecie, o czym mówię. Niewolnik nie różni się od służącego niczym, tyle że spoczywa na nim większa odpowiedzialność. Świętym patronem służących jest Judasz. Moi ziemscy rodzice cierpieli na niedogodności związane z nielojalnością pokojówek i gospodyń; ja także miałem własnych Judaszów, pierwszy był Kloc Spelvin, któremu zapłaciłem za zdradę nocną wizytą w jego celi. A teraz zawiódł mnie ten roztrzęsiony śmieć, Żaba La Chapelle.

Dziś rano porwałem z kiosku, nie płacąc, egzemplarz „Edgerton Echo” i ruszyłem spacerkiem przez Chester Street, przeglądając tytuły z pierwszej strony. Wydawca zdążył jedynie zamieścić niewielki artykuł o pożarze w „skromnym pensjonacie”. Dopuszczano możliwość,

że jedna osoba poniosła śmierć. Jutrzejse wydanie tego szmatławca zamieści zdjęcia i więcej szczegółów.

Wybrałem się na miejsce tego szczęsnego wypadku w przebraniu zwykłego śmiertelnika. Moja widzialna, dzienna osobowość emanuje godnością emerytowanego męża stanu lub dyplomaty, być może z odrobiną generalskiej władzy. Jeśli mogę to ocenić, nadal jestem przystojny na pewien surowy sposób. (Dla dopełnienia szczegółów mojej przyziemnej egzystencji posługuję się fałszywym nazwiskiem, które kryje żartobliwą aluzję, niezrozumiałą dla nikogo prócz mnie).

Gdym zbliżał się do wiadomego miejsca, naszła mnie pewna wątpliwość. Powiniennem się dowiedzieć o śmierci mojego syna, tak jak dowiedziałem się o zgonie jego matki. Lecz przecież dziecko to było słabe i wątłe, nie wrodziło się więc we mnie wystarczająco, bym mógł liczyć na telepatyczną łączność.

Ze „skromnego pensjonatu” została sterta zgliszczy. W płataninie czerwonych taśm z napisem UWAGA NIEBEZPIECZEŃSTWO WSTĘP WZBRONIONY UWAGA NIEBEZPIECZEŃSTWO WSTĘP WZBRONIONY w gruzach myszkowali ludzie w pomarańczowych kombinezonach kosmicznych. Na ulicy zebrała się grupka idiotów i hien.

Krążyłem wśród nich, podsłuchując. Kilka osób podejrzewało, że pożar spowodowała awaria instalacji. Wielu brało pod uwagę Helen Janette, właścicielkę domu, jędzę o bardzo złym charakterze. Omal nie oszalałem z niecierpliwości. Co z tą ofiarą?

Wreszcie zdybałem jakiegoś rżężącego lumpa. *Czy któryś z lokatorów postradał życie?*

- Jak?

Ktoś umarł?

- A, tak. Otto. Cholerna szkoda. Znał go pan?

Nie osobiście.

Lump pokiwał głową.

- To człowiekiem bardziej wstrząsa, niż się chce przyznać.

O tak, mną to wstrząsnęło.

Pospieszyłem do mego chlewu i rzuciłem się na dziennik. W zgliszczach znaleziono niezidentyfikowane zwłoki. Godzinę później doniesiono o możliwej, choć nie potwierdzonej tożsamości. Dopiero koło południa ujawniono nazwisko ofiary: Otto Bremen, siedemdziesięcioletni pracownik Szkoły Podstawowej imienia Carla Sandburga.

Do wieczora dziennikarze ćwiczyli swe dobrze nagłośnione głosy, powtarzając, że policja i specjaliści na usługach miejscowej straży pożarnej doszli do wniosku, iż przyczyny pożaru są podejrzane.

Rozumiecie więc moje skargi na sługi.

Prawdę mówiąc, nie co dzień można spotkać swojego Żabę. Dlatego postanowiłem dać temu padalcowi drugą szansę. Żaba nie jest tak głupi, żeby chwalić się swoimi przestępstwami (chyba że Cassie Little).

Mogłem oszczędzić jego życie pod warunkiem, że zdoła naprawić szkody i znajdzie dawnych znajomych, którzy mogli się zachować nieroztropnie. Star nigdy by nie wspomniała o „Edwardzie Rineharcie” - potrafiła dochować tajemnicy. Najwyraźniej nie zdradziła temu mięczakowi, że ma brata. Niech go diabli. I jego brata. Myślałem, że jest tylko jeden...

Wiele lat temu niemal go dopadłem - w powietrzu napięcie elektryczne - we mnie gigantyczne podniecenie - wyczuwałem jego obecność - a jednak drżący cień mi się wymknął - wyjątkowość tej sytuacji dręczyła, intrygowała - teraz rozumiem.

Uważam, że ci dwaj się połączyli - stopili. Niebezpieczny Syn był tuż obok - Rozstrzygająca Noc. Moje pomyłki brały się z jednego błędu - Ignorancji. Myślałem, że jest tylko Jeden - nie Dwóch - wierzyłem, że Cień jest wizerunkiem mojej Ofiary - nie bezbronnym Cieniem swego brata.

Protestuję! Nie tak miało być!

Ale koniec skarg. Ta krowa widać roztaczała za swego życia ochronny wpływ. Zrozumienie dodaje mi sił, jak również błogosławione

Olśnienie - sukces w wieku dojrzałym - zwanym przez niektórych starością - jest słodszy niż w czasach młodości.

82. Pan X

Sześć godzin później. Potrzebuję snu. Nieprzyjemne majaki zmałyły mój krótki wypoczynek; rzucałem się na posłaniu przez godzinę. Cóż...

Poranne wydanie „Edgerton Echo” informuje wszystkich razem i każdego z osobna, że pożar na Chester Street został wzniecony z premedytacją. Poniżej dwie żalobne kolumny obok wizerunku Bremena, który przeprowadzał dzieci przez ulicę. PLUS! - aż się w głowie mąci - z racji przywiązania do pana Moje Wąsy Są Większe Niż Twoje Szkoła Podstawowa imienia Carla Sandburga wyznaczyła dziesięć tysięcy dolarów nagrody za informację, która pomoże w aresztowaniu i skazaniu podpalacza.

Jestem bliski palpitacji. Gdybym spłonął w pożarze, czy ktoś wyskoczyłby z dziesięcioma tysiącami dla znalezienia podpalacza? Poza tym Cassie Little jest zdolna poderznąć gardło własnej matce za garść drobnych, cóż dopiero dziesięć tysięcy dolarów.

Zanim słońce przemierzy kolejną piędź nieba, Żaba otrzyma rozkaz wymarszu.

83.

Ashleigh miała rano samolot. Poszedłem do hotelu „Merchants”, żeby odebrać teczkę i opowiedzieć przy śniadaniu o pożarze i kapitanie Mullanie.

- Niedawno dzwoniła Laurie. Powiedziałam, że zdołałam zdobyć pewne użyteczne informacje. Nie wyjaśniłam jak, a ona nie pytała.

- Dobrze.

Dziobnęła łyżką w owsiankę.

- Mullan sprawdził, czy masz podsłuch? Może ktoś prowadzi śledztwo w jego sprawie. Albo może zacząć prowadzić. Na pewno Mullan

martwi się, co wyjdzie na jaw, jeśli Hatch zostanie postawiony w stan oskarżenia. Za jakieś dwa dni ci faceci będą się pocić jak myszy.

- Nie Mullan.

- Jesteś tu tak długo jak ja, a już wiesz takie rzeczy. Interesujący z ciebie człowiek.

- Nawet nie wiesz jak bardzo.

- Ned? - Odłożyła łyżkę. - Dlaczego się śmiejesz?

Toby Kraft wyszedł zza lady i chwycił mnie w objęcia.

- Dowiedziałem się dziś rano, nie wierzyłem własnym uszom! Jesteś cały? Co się stało?

Powiedziałem, że przeprowadziłem się do „Brazen Head”, ponieważ jego przyjaciółka mnie wyrzuciła.

- Pewnie wiesz, że nazywała się Hazel Jansky.

- Robiliśmy razem interesy jakiś milion lat temu. Miała kłopoty, więc jej pomogłem. Lubię pomagać przyjaciołom. - Nie okazał nawet cienia zakłopotania. - Co zrobiła, opowiedziała ci historię swego życia?

- Część. Mam nadzieję, że budynek był ubezpieczony.

- Tak sądzę. Czy ciotki wiedzą, że nic ci się nie stało?

- Nie powiedziałem im, gdzie zamieszkałem, ale i tak powinienem do nich zadzwonić.

Toby spojrzął na teczkę. Spytałem, czy zechce przechować ją przez jakiś czas w sejfie. Musnął pieszczotliwie miękką skórę.

- Jak człowiek dotyka takiego przedmiotu, od razu się czuje jak król świata.

Wepchnął teczkę między foldery i dokumenty luzem, wyprostował się ze stęknieniem.

- Helen zmieszała mnie z błotem za to, że zdradziłem ci jej dawne nazwisko. Ale nie dowiedziałeś się go ode mnie.

- Przeczytałem parę starych artykułów w „Echo”. Toby, czy to za to posadzili cię w Greenhaven?

- Usiądź.

Te same sterty papierzysek przywalały jego biurko, te same kobiety w tych samych smutnych, dosadnych pozach ozdabiały ściany. Toby założył ręce na brzuchu.

- Chcesz wiedzieć, jak to naprawdę było? Niektórzy ludzie mają problemy z adopcją. Inni nie chcą dzieci, które dał im Bóg. Nie twierdę, że to, co robiłem, było zgodne z prawem, ale upieram się, że było moralne.

- Moralne? Sprzedawanie dzieci?

- Czy agencje adopcyjne nie pobierają honorariów?

- Nie porywają dzieci i nie okłamują ich matek.

- Dziecko zasługuje na dobry dom. - Toby rozłożył ręce. - Taki ze mnie człowiek, że troszczę się o innych. Zatoszczyłem się o twoją babkę, zatoszczyłem się o matkę i zatoszczę się o ciebie. W dniu, gdy zejdziesz z tego świata - wrzeszcząc i wierzgając - a mam nadzieję, że będę wtedy w łóżku z piękną panią - odezwie się do ciebie najlepszy prawnik na świecie, pan C. Clayton Creech, a twoim obowiązkiem będzie przywlec tyłek do Edgerton. Bez kwękania. - Wytrzeszczył oczy, jakby sprawdzał, czy informacja do niego dotarła. - Jasne?

- Jasne.

- Powiniennem ci dać namiary. - Wyszarpnęła z portfela wizytówkę.

Mec. C. Clayton Creech

Paddlewheel Road 7

Edgerton, Illinois

W lewym dolnym rogu widniał numer telefonu, w prawym dolnym - „dzwonić o każdej porze”.

- Jak wpadniesz w tarapaty, też do niego dzwoń. Obiecujesz?

- Najlepszy prawnik na świecie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

- Czy w dniu twojej śmierci przeczyta mi twój testament? Po co ten pośpiech?

- Jak zaniedbujesz swoje sprawy, mogą się wydarzyć różne śmieszne rzeczy. Znasz podstawową zasadę?

Pokręciłem głową.

- Brać z zaskoczenia. - Roześmiałem się. - Słuchaj, może byś dla mnie popracował? Nie masz nic innego do roboty, a ja ci wszystko wyjaśnię w piętnaście minut. Pracuje się od ósmej rano do wpół do szóstej wieczorem. Mała przerwa na obiad. Gotów?

- Brać z zaskoczenia - mruknąłem. - Chyba tak, ale tylko przez parę dni. Pozwól, że najpierw zadzwonię do Nettie.

- Ależ proszę.

Nettie nie marnowała czasu na powitania.

- Myślałam, że nas odwiedzisz, a ty tylko dzwonisz.

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Usłyszałam, że dzwonisz. Przyjdź koło szóstej na kolację. A jeśli nadal nie masz gnata, najlepiej pożycz od starego Toby'ego Krafta. I żeby był bez numerów. Jak przyjdzie pora, wytrzesz go, wyrzucisz i pójdiesz w swoją stronę. Będziesz czystszy niż dziesięcioro przykazań. May też przyjdzie, więc się nie spóźnij.

Toby przechylił się na krzesło, założywszy dłonie za głowę.

- Stara cholera coś ci poradziła?

- Wiesz, jaka jest. Naucz mnie czegoś o lombardzie.

- Będziesz świetny. Masz to we krwi. - Poderwał się z krzesła.

Wyjaśnił mi procedurę spisywania kwitów i przechowywania przedmiotów. Kamery szły na jedne półki, zegarki na drugie, instrumenty muzyczne do gabloty, ułożone zgodnie z numerami. Sztuce w szufladach, srebra i porcelana w szafkach, obrazy pod ścianami, dywany i meble po jednej stronie zaplecza. Pieniądze pożyczał na trzy procent tygodniowo. Spytałem, jak jest z wypłacalnością klientów.

- W zasadzie można poznać to po oczach. Sam zobaczysz. Kiedy widzisz, na co mają nadzieję, zaproponuj im połowę, a odejdą zadowoleni. Jak zobaczysz coś podejrzanego, na przykład gościa z wózkiem pełnym monitorów komputerowych, łap słuchawkę i powiedz, że

dzwoniisz po gliny. To śliska sprawa.

- A broń?

- Dokumenty są w kasetce. Broń w zamykanej na klucz szafie po drugiej stronie półek. Jak ktoś powie, że chce broń, podejdź do szafy, wyjmij szufladę i połóż przed nim. Wszystkie ceny są na metkach. Jak się zdecyduje, ma podpisać formularze. Wysyłamy kopie do wydziału policji stanowej, przychodzą po pięciu dniach. Strzelby, karabinki, proszę bardzo. Ale nie sprzedajemy broni krótkiej, bo tu nie arsenał.

- Nettie uważa, że powinienem skombinować sobie niezarejestrowaną broń.

- Chce, żebyś się zajął wymuszaniem?

Wyjaśniłem historię moich kontaktów z Joe Staggersem oraz jego kolegami. Przyjrzał mi się długo, z namysłem.

- Mam tu parę gnatów na specjalne okazje. Nie pokazuj tego nikomu, dopóki nie będziesz musiał, i nigdy nie mów, skąd to masz.

Zniknął na zapleczu i wrócił z małym czarnym pistoletem oraz kaburą, która wyglądała jak rękawiczka.

- To automatyczna beretta kalibru dwadzieścia pięć. Już ci włożyłem magazynek. Żeby móc strzelać, musisz odsunąć to tutaj. To bezpiecznik - widzisz czerwoną kropkę? To znaczy, że pistolet jest zabezpieczony i nie możesz pociągnąć za spust. Odciągnij to kciukiem i możesz strzelać. - Włożył pistolet do kabury. - Przypnij do paska z tyłu, to nikt nic nie zauważy. Jak będziesz odchodził, oddaj.

- Pewnie do tego nie dojdzie, ale co zrobić, jeśli będę musiał strzelić?

- Wyrzuć do rzeki. Broni, na którą nie ma się papierów, używa się tylko raz. - Przyglądał mi się, kiedy przypinałem kaburę do paska. Kazał mi się odwrócić. - Teraz zapomnij, że coś tam masz. Nie sięgaj ciągle za siebie, żeby się tym bawić.

Wróciliśmy do sklepu.

- Masz stać za ladą i tyle. Jeśli jestem tu sam, co kilka godzin przynoszę kwity i odnotowuję transakcje w tej księdze. Zobaczysz jak - trzeba wstawić numer, nazwisko klienta, opis i kwota. Jak dojdiesz do kwoty, wpisz połowę. Potem wyjmij drugą księgę z dolnej lewej szuflady i zapisz wszystko od nowa, ale tym razem jak należy. A pod koniec dnia schowaj ją do sejfu.

Roześmiałem się.

- Chcesz się utrzymać na powierzchni, musisz walczyć. To dla ciebie coś nowego?

- Toby - powiedziałem. - Jestem Dunstanem.

Wyciągnął do mnie włochatą łapę; w nagłym olśnieniu podałem mu rękę. Lojalności Toby'ego Krafta wobec moich ciotek, a przez nie i wobec mnie, nie mogły zniweczyć ich drobne złośliwości, ponieważ Nettie i May były jedynym ogniwem łączącym go z żoną, której niezwykle talenty sprawiały mu niezwykłą radość.

84.

Resztę tego dnia spędziłem w lombardzie, gdzie panowała senna atmosfera. Przyjąłem dwóch klientów, którzy wyglądali, jakby nigdy w życiu niczego nie zastawili. W drodze na obiad Toby przedstawił mnie drugiemu z nich. „Pan Profit” wyciągnął do mnie wymanikiowaną rękę i powiedział jednym tchem:

- Miłomipoznaćniezawieźgodobra?

- Rozumiem - odparłem.

Toby wrócił sam i dał mi papierową torbę z kanapką z tuńczykiem, paczką chipsów ziemniaczanych i coca-colą. Przeprosił, że nie będę miał dzisiaj przerwy obiadowej, i pochwalił. Ku memu zaskoczeniu spełniła się jego zapowiedź, że będę wiedzieć, jaką sumę zaoferować klientom: spodziewaną kwotę sygnalizowali każdym zerknięciem, odruchowym gestem, tonem pełnym wahania. Kiedy proponowałem połowę sumy, zgadzali się od razu.

O piątej Toby poklepał mnie po plecach i powiedział, żebym się „wyszykował” przed wizytą u ciotek. Dał mi komplet kluczy.

- Przyjdź jutro pół godziny przed czasem, dobra? Zrobimy przemeblowanie w magazynie. Jak wyjdiesz, zamknij drzwi frontowe i powieś tabliczkę ZAMKNIĘTE. Nie chcę dziś więcej klientów.

Zamknąłem podwoje i poszedłem na Commercial Avenue, gdzie zorientowałem się, jakie ubezpieczenie mogę otrzymać, i wynająłem forda taurusa w kolorze hiszpańskiej zielonej oliwki.

85.

Na mapie w starej księdze Hugh Coventry'ego wejście na Buxton Place, gdzie Edward Rinehart zamieszkał w domach zakupionych pod nazwiskami postaci z H.P. Lovecrafta, znajdowało się tuż koło Fairground Road, niedaleko miasteczka akademickiego. Zatrzymałem samochód na parkingu przed knajpką. Dwie przecznice dalej Fairground Road kończyła się ścianą zieleni, przeciętą ścieżkami prowadzącymi do neogeorgiańskich budynków z czerwonej cegły. Obejrzałem się i zobaczyłem przystanek autobusowy, na którym wysiadłem, kiedy przyjechałem z wizytą do Suki Teeter. Buxton Place ujrzałem przed sobą, naprzeciwko Fairground Road. Minąłem zdobne w złocenia okno irlandzkiego baru „Brennan's”, wszedłem między zaparkowane samochody i truchtem przebiegłem ulicę.

Aż do skrzyżowania ciągnęły się wystawy sklepowe. Buxton Place musiała się znajdować w pobliżu ostatniej przecznicy przed uniwersytetem. Minąłem nieprzerwany ciąg sklepów z komiksami, końcówkami nakładów książek, cukierkami, a także studenckich knajpek. Pamięć mnie zawiodła; okazało się, że zaułek wychodzi na Fairground Road nieco bardziej na południe, przecznicę od domu Suki.

Minąłem te same wystawy, które przed chwilą widziałem. Wszedłem w uliczkę równoległą do irlandzkiego baru, zerknąłem przez okno

i ujrzałem barmana w fartuchu, mierzącego z pilota do niewidocznego telewizora. Zerknąłem na prawo i pomiędzy kanadyjską naleśnikarnią a restauracją ujrzałem brukowany zaułek mniej więcej szerokości mojego wynajętego samochodu. Jeśli miał nazwę, władze miasta Edgerton nie uznały za stosowne umieścić jej na tabliczce. Stałem na bruku i spojrzełem w mrok. Za zapleczeniami sklepów zaułek się rozszerzał. Zauważyłem podwójne drzwi starej stajni, a na samym końcu - dwie małe chatki.

Na drzwiach stajni wisiały masywne kłódki. Pod zakurzonymi oknami ktoś napisał MAGAZYN UNIWERSYTETU ALBERTUS. Domy Edwarda Rineharta sąsiadowały ze sobą. Każdy miał po dwa okna na piętrze oraz półkolisty świetlik nad drzwiami. Wąskie kominy sterczały nad spiczastymi dachami, wzdłuż rynien biegle metalowe ozdobne okucia. Budynki wyglądały na przekrzywione, zgniecione, jakby skurczyły się do obecnych rozmiarów. W oknach odbiły się moje dłonie i ciemny, niewyraźny owal twarzy. Pospiesznie wróciłem w słońce.

Po ośmiu minutach skręciłem w nieprzepisowym miejscu i pomknąłem na południe przez Fairground Road. Światła zmieniły się na żółte; wdepnąłem gaz i przemknąłem przez skrzyżowanie w chwili, gdy zrobiło się czerwone. Robert, który niespodziewanie pojawił się obok mnie, zaczął bić brawo.

- Co za pęd! Jaka werwa!

Omal nie wjechałem w stojący samochód.

- Przestraszyłem cię? Przyjmij wyrazy ubolewania. Ufam, że nasze dokumenty spoczywają w sejfie Toby'ego Krafta.

- Idź do diabła. Tak, są u Toby'ego.

- Mamy jakieś plany na ten wieczór?

- Nettie i May zaprosiły mnie na kolację.

- Wiesz, że nigdy nie miałem przyjemności spożycia posiłku w towarzystwie naszych kuzynek?

- Nie spodobałoby ci się. Lubią się powtarzać.
- Więc wyzwolę cię od tej nudy. Zajmę twoje miejsce.
- Nie.
- Czy po nudnej kolacji zamierzasz się przejechać do Ellendale?
- Trzymaj się z daleka od Laurie Hatch.
- Skoro nalegasz... Przynajmniej przez jakiś czas.
- Słuchaj no - zacząłem, ale mówiłem już do pustego siedzenia.

86.

Ciocia Joy, stojąca na posterunku przy oknie, wskazała dom Nettie i siebie, dając mi w ten sposób znak, że po kolacji mam przyjść do niej. Skinąłem głową. Mieliśmy sporo do obgadania.

Wszedłem do salonu; ciotki uśmiechnęły się do mnie z sofy. Clark zaprezentował mi pobłażliwy grymas kogoś, kto niedawno wrócił ze „Speedway Lounge”. Był przystrojony w perłowszare spodnie, fioletową marynarkę i szeroki krawat w żółte grochy na czerwonym tle.

- Widzę, że masz już samochód.
- Wynajęty - powiedziałem.

Pocałowałem ciotki, a May wręczyła mi papierową torbę.

- Mam nadzieję, że utrafiłam z rozmiarem.

W torbie znajdowało się potrójne opakowanie bokserek Calvina Kleina, rozmiar 34 i sześć par czarnych wełnianych podkolanówek, rozmiar 10-12. Kiedy ciotki podzieliły między siebie łupy z OIOM-u, żartobliwie poprosiłem May, żeby zdobyła dla mnie majtki i skarpetki. Potraktowała to serio.

- Rozmiar doskonały - powiedziałem. - Nie pochwalam tego, ale dziękuję, ciociu. Przydadzą mi się.

- Ten blezer to twoje jedyne wierzchnie okrycie? Mogę ci przynieść nowy od Lyalla. W dziale męskim mają piękne marynarki.

- Nie, nie - rzuciłem pospiesznie. - Mam wszystko, czego mi trzeba.

- A masz jakiś w tym kolorze? - spytał Clark niemal pobłaźliwie.
- Nie, ale jest bardzo ładny.
- Jak byś go określił?
- Fioletowy?
- Nie cierpię, kiedy młody człowiek robi z siebie idiotę.
- Ciemnofioletowy?
- Oberżynowy. Nie pozwolę ci się błąkać w nieświadomości.
- To dobrze. Błąkam się w nieświadomości przez całe życie.
- Chodźmy do kuchni - przerwała Nettie. - Nadal lubisz smażone kurczaki, Ned?
- Jak zawsze.

Na stole stały salaterki z tłuczonymi ziemniakami i fasolką szparagową oraz dzbanek mrożonej herbaty. Nettie zdjęła folię z półmiska pieczonych kurczaków. May przykuśtykała, żeby podzielić kurczaki. Wujek Clark powolutku osunął się na krzesło. Nalałem mu mrożonej herbaty.

- Co u twojej przyjaciółki Cassie?

Upił kropelkę.

- Nie przyszła dziś do pracy. Bruce McMicken był cholernie wściekły.

May usadowiła się na krześle naprzeciwko mnie. Nettie przyniosła sos i biskwity. Nalałem herbaty do pozostałych trzech szklanek. Nettie mi podziękowała, bardzo uroczyście. W milczeniu nałożyliśmy sobie ziemniaków i fasolki.

- Wspaniały obiad, ciociu - zwróciłem się do Nettie.
- W dzieciństwie uwielbiałeś smażone kurczaki.
- Nikt nie robi ich lepiej od ciebie.

Znowu milczenie. Moja uwaga o życiu w nieświadomości zepsuła nastrój.

Nettie, dla której nawet karcące milczenie było nieznośnie męczące, nie wytrzymała.

- Co porabiałeś przez ten czas? Rozbijałeś się po mieście nowym samochodem?

- Albo grałeś w karty? - dorzuciła May. - Te męty z Mountry cię szukają. A jeden nie żyje. Co nie jest wielką stratą dla świata.

Nettie przygniotła mnie swoim słynnym stutonowym spojrzeniem.

- Podejrzewam, że policja cię nie dręczy. - Zrobiła pauzę. - Chyba że coś ukrywasz.

- Zaraz mnie puścili. Dziwne, ale w mieście jest mężczyzna bardzo podobny do mnie.

- Ach, więc takiej wersji się trzymasz - mruknął Clark, maczając w sosie małeńki kawałek ziemniaków.

- To nie żadna wersja. Wczoraj, kiedy wychodziłem z ratusza, ten człowiek stał na placu. Chciałem go dogonić, ale uciekł.

Clark przeszył mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

- W soboty ratusz jest zamknięty. I w ogóle czego tam szukałeś?

- Przyjaciel Laurie Hatch pracuje tam w weekendy. Udzielił mi pomocy.

- Pani Hatch przedstawia cię swoim przyjaciołom? - spytała Nettie.

Wyjaśniłem, w jaki sposób spotkałem się z Laurie w „Le Madrigal”.

- Chciałem zdobyć jakieś informacje o Edwardzie Rineharcie, a ona poznała mnie z Hugh Coventrym, który pomaga w ratuszu.

- Hugh Coventry? - podchwyciła Nettie. - To on zgubił nasze zdjęcia. Jeśli pani Hatch jest taką twoją przyjaciółką, niech ci pomoże je znaleźć.

- Nie ma potrzeby niepokoić pani Hatch naszymi sprawami.

- Już ją wtajemniczyłeś w nasze prywatne sprawy - wytknęła Nettie.

- Tak, w moje. I jeśli was to pocieszy, nie dowiedziałem się wiele o Rineharcie. Kupił dwa domki w zaułku College Park. I był przestępcą. Prawdopodobnie zmarł w więzieniu.

- Więc przestań grzebać w przeszłości.

Grzebać... Zobaczyłem samego siebie, klęczącego w trawie za zrujnowanym domem Howarda Dunstana - przypomniałem sobie, jak wpadłem w zapadnię i usłyszałem głos zjawy: *Kiedy twój ojciec stał się ciałem i krwią, postanowiłem się zabawić, doprowadzając go do obłędu... Być może to jednak ty zniszczysz jego. Wynik tej gry już nie ma dla mnie znaczenia.*

Nagle, wstrząsające olśnienie pozbawiło mnie tchu.

Tamci troje wpatrywali się we mnie, jakby moje olśnienie przybrało materialną postać. Howard powiedział mi tyle, ile powinienem wiedzieć. Zrobił to dla własnej rozrywki.

- Ale Edward Rinehart nie zginął w Greenhaven - odezwałem się. - Mieszka w Edgerton. Z tego, co słyszałem, jest chyba bardzo podobny do Dunstanów.

Nettie wciągnęła głowę w ramiona, May poczuła potrzebę przyjrzenia się kuchence. Clark grzebał w fasolce szparagowej.

- No, coś podobnego - powiedziała wreszcie Nettie.

- Ukrywaliście przede mną wiele spraw.

Nettie spiorunowała mnie wzrokiem.

- Nasłuchałeś się plotek.

- Jeśli chcieliście, żebym uważał Dunstanów za normalną rodzinę, powinniście mnie trzymać z daleka od cioci Joy.

- Joy żyje we własnym świecie - odezwała się Nettie. - Zapomnij o niej.

- Mam zapomnieć, że pokiwała palcem na wujka Clarence'a, który uniósł się w powietrze?

- Joy nigdy nie była szczęśliwa jak ty, ja czy Nettie - odezwała się May. - Miała pretensję do taty za swoje kłopoty.

- Nie mówimy teraz o jej kłopotach - warknęła Nettie - tylko o tym, co zrobiła.

- Mówimy o Dunstanach - powiedziałem. - Ciociu Nettie, nie różnisz się od Joy, prawda?

Rzuciła mi kolejne piorunujące spojrzenie.

- Jestem z Dunstanów, jeśli o to ci chodzi. Chciałbyś zobaczyć do-wód?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, Nettie wsadziła dłonie pod pachy i spojrzała ze zmarszczonymi brwiami na stół. DzbANEK herbaty uniósł się w powietrze i poszybował do mojej szklanki, którą napelnił. Potem zbliżył się do May, która powiedziała: - Nie, dziękuję, mam dość.

DzbANEK wylądował na stole z brzękiem kostek lodu.

Nettie odwróciła się do Clarka. Przez jego twarz przemknął cień niepokoju.

- Nie! Nie chcę...

Uniósł się pół metra nad krzesłem i poszybował w stronę piecyka jak na latającym dywanie.

- Postaw mnie!

Obróciła nim w powietrzu i sprowadziła na krzesło. Clark chwycił się za pierś i odetchnął rżężaco.

- Wiesz, że tego nie lubię.

- Ożeniłeś się ze mną.

- A ja lubię! - zaszczębiotała May. - Zawsze lubiłam!

Nettie otarła czoło i popatrzyła na siostrę. May wystrzeliła z chichotem z krzesła, zrobiła rundę wokół stołu i wróciła na krzesło.

Nettie spojrzała na mnie ze złością.

- Ty też chcesz?

Usłyszałem, jak z moich ust pada:

- Tak.

Ściągnęła brwi, wpatrując się nie tyle we mnie, ile w moje miejsce w pokoju. Spomiędzy włosów na czoło spłynęła jej kropla potu. W piersi poczułem mrowienie, które zwykle zapowiadało nadejście ataków. Poczułem, że coś mnie chwyta i trzyma w mocnym uścisku, dokładnie tak, jak podczas spotkania z panem X. Uniosłem się z krzesła z takim samym wrażeniem bezbronności wobec tego nieodpartego naci-sku. Potężna ściana wichru wniosła mnie do salonu. Wiatr obrócił się

wokół własnej osi, wwiął mnie do kuchni i na chwilę przed zderzeniem ze ścianą sprawił, że wywinąłem koziołka. Z gardła wyrwał mi się krzyk radości. Poszybowałem do stołu i zobaczyłem Nettie, wpatrzoną w pustkę, ze ściągniętymi brwiami i twarzą zlaną potem. Nadpłynąłem nad krzesło, okręciłem się z prawa na lewo, potem z lewa na prawo i wirując jak helikopter, spłynąłem w dół.

- Tobie to się podoba bardziej niż mnie - mruknął Clark.

- Ned jest Dunstanem. - Nettie wytarła twarz serwetką. - Jak się człowiek starzeje, baterie się wyczerpują.

- Nettie - odezwałem się. - Wczoraj pojechałem do naszego starego domu. Coś się tam ze mną stało. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale mogę ci powiedzieć, jak to było. Zakręciło mi się w głowie i nagle znalazłem się w pokoju z kominkiem, na którym stał wypchany lis i mosiężny zegar.

Wpatrzony w Nettie kątem oka widziałem, że May pochyła się naprzód i splata ręce na piersi. Nettie dotknęła serwetką skroni.

- W tym pokoju był wasz ojciec - ciągnąłem. - W aksamitnym smokingu, z cygarem w ręce.

- Jak wyglądał? - spytała May.

- Zmęczony. Ale władczy.

- Nie poznaję go. Mój ojciec był aż za energiczny.

- Ja poznaję - odezwała się Nettie. - Joy też by poznała.

- Rozmawiał ze mną - dodałem.

- Joy twierdziła, że tatuś z nią rozmawia... w naszym starym domu.

- May spojrzała na mnie ciepło. - Zdaje się, że twoje dziedzictwo nadeszło późno, ale z mocą, żeby ci wynagrodzić stracony czas.

- Co ci powiedział? - chciała wiedzieć Nettie.

- Że stworzył mojego ojca. Zdaje się, że kiedy jego syn przyjechał do Edgerton, kazał się nazywać Edwardem Rinehartem. Ciekawi mnie, kim była jego matka.

- Szukasz kobiety, która się zadała z Howardem? - odezwał się Clark. - Kandydatek nie brakuje.

- Nasza matka mawiała, że niektóre z tych pięknych pań nie są tymi, kogo udają - powiedziała May. - Tatuś odpowiadał: żadna nie jest.

- Piękne panie?

- Ci ludzie wysłali swoich synów do szkoły z internatem - dodała Nettie. - Żeby nawiązać odpowiednie kontakty. A wiesz, May, że kiedy byliśmy małe, rzadko jeździliśmy do miasta. Guwernerzy przyjeżdżali do nas.

- Tatuś nie chciał, żebyśmy poznały wiele rzeczy.

- Nie uchronił cię przed tym, przez co zbiłaś szyby w samochodach i zerwałaś linie wysokiego napięcia na Wagon Road.

May zeszytniała.

- Zdenerwowałam się. To wszystko. Tatuś bardzo się złościł, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Bo dwie dziewczynki się z ciebie śmiały?

- Pamiętam głównie, że tatuś na mnie krzyczał, bardzo, bardzo głośno. Płakałam przez całą drogę do domu.

- Porozmawiamy dla odmiany o czymś przyjemnym - powiedziała Nettie. - Urodziny Neda będą następnego dnia po pogrzebie naszej siostrzenicy. Chciałbyś, żebyśmy ci wyprawili przyjęcie? Mogę zrobić placek ze słodkimi ziemniakami.

- To bardzo miłe, ale wiecie, co się dzieje w moje urodziny. Nie chciałbym zepsuć nastroju.

- Te twoje napady? - spytała May. - Już je widzieliśmy.

- Wyprawimy przyjęcie wcześniej - postanowiła Nettie. - Kiedy poczujesz, że nadchodzą kłopoty, przeczekasz je w dawnym pokoju swojej matki. Wiesz już, jak sobie z nimi radzić, prawda?

- Chyba tak. Jasne, świętujemy, póki można.

Sprowadziłam May po schodach.

- Czy to twój samochód, Neddie? Kosztował masę pieniędzy?

- Jest wynajęty.

- Taką drobnostkę na pewno nietrudno sobie przywłaszczyć. - Zatrzymała się, olśniona. Odwróciła się do mnie z promiennym

uśmiechem. - Chciałbyś dostać na urodziny nowy samochód?

- Nie, dziękuję, ciociu. Zbyt trudno znaleźć w Nowym Jorku miejsce do zaparkowania.

- Miejsca do zaparkowania nie da się ukraść. Wymyślę coś innego. Ale na widok tego samochodu... - Pokręciła głową. - Wspomniałeś Wagon Road. Tatuś się na mnie strasznie zdenerwował! I wiem dlaczego. Bo ja się zdenerwowałam. Na niego!

Czarna sylwetka Joy podniosła rękę. Pomachałem do niej. May widziała już tylko Wagon Road.

- Wspomniałeś o tych dziewczynkach - wiesz, ja je pamiętam! Śmiały się z nas. Chciałam umrzeć. Więc odwróciłam głowę i udawałam, że jestem zbyt dumna, żeby na nie zwrócić uwagę i... - Pokręciła głową. - I nagle coś zrobiłam, ale ja nie wiedziałam, że tak potrafię! Byłam tak samo Dunstanówną jak moje siostry, choć one uważały, że jest inaczej. Jeszcze nigdy nie widziałeś takiej awantury! Wszędzie pękały szyby, spadały druty, biedne konie tak strasznie się bały! I to wszystko ja zrobiłam! To mnie bardziej przestraszyło niż krzyki tatusia.

Dotarliśmy na drugą stronę ulicy, do jej domu.

- Dziewczynki się z ciebie śmiały, a ty się odwróciłaś. I wtedy się rozzłościłaś. Nie na tamte dziewczynki, prawda? Zobaczyłaś coś innego.

- Małe dziewczynki też mają oczy, tylko tyle mogę powiedzieć. - Mocniej chwyciła moje ramię. Weszliśmy po schodach na jej ganek.

- Co to było? Co zobaczyłaś? Puściła mnie i otworzyła drzwi.

- Och, Neddie, jak ty zupełnie nic nie wiesz.

87.

Zgarbiona postać Joy przekuśtykała ciemnym tunelem prowadzącym do groty. Gdy salon przybrał konkretne kształty, smród się spotęgował. Clarence został teleportowany gdzie indziej.

- Chciałam z tobą porozmawiać. Kieliszeczek sherry?
- Dziękuję, Gdzie Clarence?
- Śpi w garderobie. - Cofnęła się i przyjrzała mi się błyszczącymi oczami. - Widziałeś tatusia, prawda? Powiedział mi, że tak będzie. Zakładałam się, że moje siostry wściekają się z zazdrości. One nigdy go nie widują. Myślą, że pozjadały wszystkie rozумы, ale tak nie jest, o nie! - Przyłożyła palce do ust, rozdygotana z radości. Machnęła ręką, żebym usiadł. - Za sekundę wracam.

Z dalszej części domu dobiegły słabe szelesty, a potem łomot. Clarence się obudził i zgłaszał sprzeciw wobec przeniesienia go do garderoby. Joy wróciła z dwoma kieliszkami wielkości naparstków. Wziąłem jeden.

- Może Clarence chce wyjść? - podsunąłem.

- Śpi jak suseł. Ten hałas robi wiatr na strychu. - Przycupnęła na drugim krześle i przyłożyła naparstek do warg. Zrobiłem to samo. Sherry, która nie była sherry, sparzyła mi gardło jak nafta.

- Domowej roboty - wyjaśniła Joy. - Według przepisu mojego złego, szalonego tatusia. Została mi tylko odrobina, ale chciałam cię poczęstować.

- Ambrozja Dunstanów. Pewnie ty też go widzisz?

- A co mówią moje siostry? Że wszystko zmyśliłam? To nieprawda. Mój tatuś, Howard Dunstan, staje przede mną tak, jak przed tobą. Czy nie był zabawny? Nie był wspaniały i nieszczęśliwy?

- Uważał, że nasze życie nie ma sensu.

- Tatuś twierdził, że już dawno się skończyliśmy. Pojawia mi się, ponieważ jestem naprawdę z Dunstanów, tak jak on, ale ten stan rzeczy mu się nie podoba. Chce, żebyśmy wszyscy przepadli.

- Powiedział ci, że ze mną także się spotka?

- Bo jesteś *vrai* Dunstan, jak ja. Ale cię nie lubi. Tatuś nikogo nie lubił, zwłaszcza Dunstanów. Nie lubił nawet swoich córek, bo przypominały mu o jego słabości. Do takiego wniosku doszłam.

- Ciociu, jak mogliśmy rozmawiać z twoim ojcem? Nie wyglądał jak duch.

- Mój tatuś nie mógł być duchem - powiedziała Joy z rozbawieniem. - Ktoś taki jak on nie może być zwykłym starym *fantôme*. To przez czas.

- Czas?

- Jest wokół nas, wszędzie. Możesz go wykorzystać, jeśli potrafisz. Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki *stupide*. Mój tatuś twierdzi, że ciągle mu się narzucasz. Tak powiedział.

- Nie rozumiem. Jak to „wykorzystać”?

- Widziałeś mojego tatusia, tak? Byłeś w jego gabinecie, a on był żywy, musiał być, skoro z tobą rozmawiał.

Zrozumiałem, o co jej chodzi.

- Och...

- Wszedłeś w jego czasy, to wszystko. *C'est simple*.

Przez chwilę gapiłem się na nią, usiłując pogodzić wspomnienia moich przeżyć ze sprzeciwem wobec pojęcia Joy o rzeczach prostych.

- Miałem takie wrażenie...

- No, jakie?

W jej głosie brzmiało zniecierpliwienie.

- Że spadam.

- No, naturalnie. *C'est normal*. Nie wiem, dlaczego muszę ci to tłumaczyć. Kiedy się cofasz, masz wrażenie, że spadasz. A jak masz się czuć? Chyba rozumiesz, że masz wielkie szczęście. Tego prawie nikt nie potrafi. Niektórzy zrobili to raz, ale nie mogli powtórzyć. Queenie tego nie umiała, Nettie też nie, a May to już na pewno nie. Umiał tatuś i ja, kiedy byłam silna, a teraz ty. Wiesz, co mawiał tatuś?

Pokręciłem głową.

- Mawiał, że zjada czas. Nie lubił tego, ale go zjadał, bo za taką umiejętnością musi stać jakaś przyczyna, a jeśli ma się umiejętność, trzeba znaleźć i przyczynę. Powiedział, że raz widział Omara i Sylvana Dunstanów, jak okradają trupy na polu bitwy, i wtedy pomyślał, że być może to właśnie jest ta przyczyna.

- A ty dlaczego masz tę umiejętność?

- Może po to, żeby Howard Dunstan mógł mnie unieszczęśliwić. Może, żebym mogła rozmawiać z tobą. Mam nadzieję, że twój powód jest lepszy od mojego.

- Howard unieszczęśliwił twoją matkę.

- Tak. - Pokiwała głową. - Na liczne sposoby.

- Miewał inne kobiety.

- I to ile! Zawsze i wszędzie, i proszę, jest samochód, wyjeżdżam, nie czekaj.

- Miał dzieci z tymi innymi kobietami? Spojrzała na mnie z nowym zainteresowaniem.

- Chcesz posłuchać wesołej historyjki?

Skinąłem głową.

- Pewnego dnia skończyłam lekcję z naszym nauczycielem francuskiego. Uczyłam się sama, ponieważ miałam talent do francuskiego, a Queenie i Nettie, które nie miały talentu, przyszły na swoją lekcję. May leżała chora. Nic nie jadła, wiesz, przez całe dzieciństwo ledwie coś tam dziobała. Byłam całkiem sama i nie miałam nic do roboty. Więc zebrałam się na odwagę i zakradłam się do gabinetu ojca. Bardzo mi się podobał ten pokój, ale nie było nam wolno do niego wchodzić *sans permission*. Wiesz, co mnie szczególnie fascynowało?

- Lis.

Klasnęła w ręce.

- Uwielbiałam go! Myślałam, że jeśli będę się w niego długo wpatrywać, stary Reynard zapomni o mnie i wreszcie dokończy ten krok. Chciałam zobaczyć, jak robi *une fois seulement*. Uklękłam przed kominkiem i wtedy zadzwonił telefon. Och! Omal nie zemdlałam.

Tatuz zbliżał się do drzwi, bum, bum, bum. Schowałam się za jego kanapą. A on wszedł do środka, bum, bum, bum. Zatrzasnął drzwi. Zobaczyłam jego nogi, podchodził do biurka. Podniósł słuchawkę i przez długą chwilę się nie odzywał. A potem powiedział: „Uspokój się, Ellie”. Zrozumiałam, że rozmawia z *une autre femme*! Powiedział: „Wszystko się ułoży. On pomyśli, że to jego”. A odkładając słuchawkę, powiedział: „Nadmiar dymu”. Potem wyszedł, już wcale nie tupiąc.

- Nie wiesz, kim była ta Ellie?
 - Nie spotykaliśmy się z takimi Ellie. Nie spotykaliśmy się z nikim. Spojrzała w ciemny korytarz.
 - Powinnam się zająć obowiązkami.
- Wygoniła mnie z energią, o którą jej nie podejrzewałem.

88.

Kiedy usiadłem za kierownicą, w krzyż ucisnęła mnie metalowa cegła. Odpiąłem kaburę i położyłem pistolet Toby'ego na siedzeniu obok. Był poniedziałkowy czerwcowy wieczór, dochodziła dziewiąta trzydzieści. Lampy rzuciły na chodnik żółte krążki światła jak reflektory. Cherry Street wyglądała nieprawdopodobnie pięknie, świat jakby zniechomiał. Musiałem tylko dotrzeć do „Brazen Head” i nadrobić zaległości w spaniu. Ten plan wydał mi się niemal grzesznie rozkoszny. Postanowiłem pojeździć trochę ulicami, po których po pierwszej wizycie u Joy szedłem piechotą, żeby zatrzeć złe wspomnienia, kiedy oglądałem świat przez welon rozpaczy i wściekłości.

Pod koniec ulicy skręciłem w lewo. Z oddali zbliżały się szybko jakieś światła. Koło mnie przemknęła szara, zamazana szoferka furgonetki. Spojrzałem w lusterko wsteczne; furgonetka skręciła w Cherry Street.

Skręciłem w prawo i nad skrzyżowaniem Pine Street z Cordwainer Avenue zobaczyłem zielone światło. Nie obchodziło mnie, czy zdążę dojechać; to była przejażdżka dla przyjemności. Mijałem budynki podobne do domku Nettie. Jechałem i jechałem, a światła wciąż były zielone. Dodałem gazu. W lusterku eksplodował biały blask. Zerknąłem w nie i jakieś pół ulicy dalej zobaczyłem pędzącą na mnie szarą furgonetkę na długich światłach.

Żołądek podskoczył mi do gardła. Mountry znowu zaatakowało. Przydepnąłem gaz do dechy. Mój mały samochód poterkotał naprzód,

tymczasem światła furgonetki zrobiły się dwa razy większe.

Światło zmieniło się na żółte, kiedy do skrzyżowania zostało mi dziesięć metrów. Nadal było żółte, gdy zatrąbiłem i wpadłem w Cordwainer Avenue. Światła we wstecznym lusterku zbliżały się coraz bardziej.

Na przeciwnym pasie dwa samochody zahamowały ostro, zanim je minąłem. W lusterku zobaczyłem, że furgonetka wjeżdża na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Uderzyła w nadjeżdżający pojazd, odrzucając go na drugi pas. Oślepiający blask w moim lusterku zakłócił się i cofnął.

Przed sobą miałem metalowe ogrodzenia i parterowe ceglane budynki Pine Street. Zerknąłem w lusterko; furgonetka uciekła ze skrzyżowania.

Pochyliłem się do przodu, szukając drogi ucieczki. Pod latarnią stała jakaś potężna postać. Wojownik, na którego wpadłem w dniu śmierci mojej matki, odwrócił głowę i spojrzał za mną.

Lusterko wsteczne znowu eksplodowało blaskiem. Wcisnąłem hamulec. Zarzuciło mi tył w prawo, skręciłem kierownicę w tę samą stronę. Krajobraz zawirował wokół mnie. Pistolet spadł z fotela. Kiedy samochód znieruchomiał, byłem zwrócony twarzą w stronę światel furgonetki. Puściłem hamulec i dodałem gazu. Samochód skoczył naprzód, zadygotał i zgasł. Poczulem zapach palonej gumy i instalacji. Światła na desce rozdzielczej zgasły.

Drzwi furgonetki otworzyły się w wybuchu chrypiącego rechotu. Joe Stagers wyskoczył z furgonetki. Z drugiej strony wygramolił się jakiś osiłek z kijem baseballowym, Stagers podciągnął spodnie.

- Panu Dunstanowi zepsuł się samochód. Jaka szkoda!

Jego przyjaciel zarechotał: Cha, cha, cha.

Obróciłem kluczyk w stacyjce; taurus zamruczał.

Joe Stagers klepnął go w maskę.

- Hej, no co ty, nie pogadasz z nami?

Cha, cha, cha.

Zacząłem macać na ośle podłogę, ale nie znalazłem nic oprócz wycieraczki.

Gęba Joe Staggersa wypełniła okno jak halloweenowa dynia.

- Wyjdiesz się pobawić?

Sięgnął do klamki drzwi.

Miałem się bić z dwoma osiłkami. Choćbym walczył ze wszystkich sił, musiałem zginąć. Od bolesnej, upokarzającej śmierci dzieliły mnie minuty. Nagle głos cioci Joy przemówił do mnie z doskonałą wyrazistością: „Mawiał, że zjada czas”.

Możesz go wykorzystać, jeśli potrafisz.

Żołądek mi się ścisnął. Zamknąłem oczy i spadłem w ciemność.

Otworzyłem oczy ze świadomością, że zjadłem czas. Nadal siedziałem w samochodzie. Staggers zniknął. Światła jego furgonetki też. Otoczenie w żaden sposób nie przypominało Pine Street. Szałas z papy stały na błotnistym polu z drewnianym płotem, na którym wisiała tablica z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Daleko od drogi ogień palący się w metalowej beczce koło jakiejś rudery oświetlał tuzin mężczyzn w ubraniach pokrytych skorupą błota. Jakbym widział fotografię z czasów wielkiego kryzysu. W końcu oprzytomniałem na tyle, żeby pojąć, że to naprawdę czasy wielkiego kryzysu. Cofnąłem się prawie sześćdziesiąt lat.

Mężczyźni podeszli, najpierw ostrożnie, potem z pewną brutalną odwagą. Podejrzliwość i wrogość biły od nich jak smród.

Przekręciłem kluczyk. Silnik zamruczał.

- Szpiegujesz? - krzyknął jeden z nich. - Czym przyjechałeś?

Cała grupa, niepewna, onieśmielona, zatrzymała się na poboczu. Ten, który krzyknął, wyciągnął z kieszeni nóż i zrobił krok naprzód. Pozostali poszli za nim.

Usiłowałem sobie przypomnieć czynności, które przed chwilą wykonałem. Kroki zbliżały się. Pomyślałem o Joe Staggersie; przypomniałem sobie, jak szedłem przez dywan traw w ruinach przy New

Providence Road. Po raz pierwszy pojąłem, jakie środki wykorzystałem już dwa razy. Chciałbym je opisać, ale to tak, jakby się opisywało kolor. Błyskawica znowu przeszła mi czoło. Zjadłem czas, choć czułem się, jakby to mnie zjadano.

W ciemnościach rozbłysły reflektory, ktoś wrzasnął. Przełknąłem wymiociny.

Staggers stał koło furgonetki, spoglądał na mnie przez ramię. Jego koleś znajdował się cztery kroki ode mnie i gapił się na mnie ze zgrozą.

- Wsiadaj, Mały - rozkazał Staggers.

Mężczyzna wypuścił z ręki kij i popędził chwiejnie do samochodu.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Deska rozdzielcza rozbłysła i samochód ożył.

89.

W odrętwieniu wykonałem wieczorne rytuały i położyłem się do łóżka. Nie pojmowałem, co się ze mną dzieje. Wszystkie znajome określenia znikły. Nigdy nie zdołałbym wrócić do pisania programów komputerowych, ponieważ nie byłem już osobą, która potrafiła to robić. Aż do zgaszenia światła czytałem kryminał.

O szóstej rano obudziłem się zlany potem, z wysiłkiem dźwignąłem się z łóżka, wziąłem prysznic i ubrałem się w niebieską koszulkę polo i ostatnią parę czystych dżinsów. Wziąłem berettę. Wpół do siódmej rano to idiotyczna pora na noszenie pistoletu. Odłożyłem go. Upokożyłem Joe Staggersa, który po mnie wróci, ale nie za dnia. Ukryłem broń za barkiem i szedłem do knajpki na jajecznicę i kawę.

W drodze do lombardu kupiłem w kiosku „Echo”. Na konferencji prasowej burmistrz Edgerton przedstawił swojego przyjaciela Stewarta Hacha. Przyjaciel burmistrza powiadomił o budowie centrum sztuki oraz sali konferencyjnej na brzegu Missisipi tuż za szpitalem Świętej Anny - kosztem niespełna połowy obszernego parkingu szpitala.

Nieco mniejszy nagłówek na dole pierwszej strony donosił o **MORDERSTWIE W STARYM MIEŚCIE**. Cassandra Little, lat trzydzieści dwa, barmanka w „Speedway Lounge”, została brutalnie zamordowana w swoim mieszkaniu na Low Street. Kiedy nie zjawiała się w pracy, menedżer Bruce McMicken udał się do jej lokum i znalazł zwłoki. Policja przypuszcza, że pani Little zaskoczyła włamywacza.

Na Chester Street osmalone belki i ruiny zapadły się do piwnicy pensjonatu. Ściany wyglądały jak przypalone tosty.

Skurczyłem się w Lanyard Street. Toby pewnie jeszcze spał. Wszedłem do lombardu i przez jakieś dwadzieścia minut sprzątałem półki i zamiatłem podłogę. Podczas układania dokumentów na biurku znalazłem dwa kwity pod przyciskiem do papieru. Zniosłem je do biura; w szparze pod drzwiami zobaczyłem światło.

- A, tu jesteś - powiedziałem i wszedłem. Toby Kraft łypał na mnie spođe łba. - Czy... - reszta pytania ulotniła się bez śladu.

Spod brody spływał mu na pierś wachlarz krwi. Białe włókna na głowie nadawały jego włosom wygląd peruki. Oczy zmieniły się w pomalowane kamienie, twarogowa twarz wykrzywiła się w niemiłym grymasie. Przez chwilę wydawało mi się, że Toby zerwie się z miejsca i zacznie się ze mnie śmiać. Zrobiłem krok naprzód i ujrzałem ranę na jego szyi. Nagle w powietrzu wykwitł zapach krwi.

Robert?

Miałem ochotę wyjść i jechać tak długo, aż znajdę się w miejscu, gdzie po angielsku mówią tylko kelnerzy i sklepikarze. Potem wróciłem do lombardu i zadzwoniłem na policję.

Ledwie odłożyłem słuchawkę, przypomniałem sobie o prawniku ze śmiesznym nazwiskiem i wygrzebałem jego wizytówkę z kieszeni.

C. Clayton Creech spytał:

- Zamordowany? Jak?
- Ktoś mu poderznął gardło.
- Sejf jest zamknięty?
- Tak.
- Dzwonił pan na policję?
- Tak.

- To teraz niech pan zrobi dwie rzeczy. Trzeba wyjąć księgę z dolnej szuflady biurka i ukryć ją w magazynie.

Jak pan skończy, powiem, co dalej.

Suchy, beznamiętny głos był całkiem bezdźwięczny. Przyszło mi do głowy, że C. Clayton Creech nie po raz pierwszy dowiaduje się o nagłym zgonie swojego klienta. Zabierając księgę z szuflady, starałem się nie patrzeć na ciało Toby'ego. Wcisnąłem ją między dwa pudła w magazynie i wróciłem do telefonu.

- Od tej chwili zawarliśmy porozumienie. Zostałem zaangażowany jako pański adwokat za honorarium w wysokości jednego dolara. Przyjadę za dziesięć minut.

- Nie potrzebuję adwokata.

- Ale będzie pan potrzebował. Zgodnie z życzeniem pana Krafta o drugiej po południu chcę się spotkać z panem oraz pozostałymi członkami rodziny jego zmarłej żony. Wówczas zrozumie pan, dlaczego wolę nie poruszać tej kwestii w obecności policji. I buzia na kłódkę, dopóki nie przyjadę.

Odłożyłem słuchawkę i zacząłem czekać na porucznika Rowleya.

90.

Radiowóz, a za nim granatowy sedan wpadły w Lanyard Street i zahamowały ostro przed lombardem. Z radiowozu wysiedli dwaj mężczyźni w mundurach, Rowley wygramolił się z sedana. Popędził do drzwi, zobaczył mnie i walnął pięścią w szybę. Dobijał się, dopóki nie otworzyłem.

- Dunstan, do cholery, co ty tu robisz?

- Pomagam z lombardzie. To mój drugi dzień.

- Znalazłeś ciało?

- Wie pan, że tak. Podałem oficerowi dyżurnemu nazwisko.

Rowley odwrócił się do towarzyszących mu funkcjonariuszy.

- Nelson, przesłuchaj wstępnie pana Dunstana i zawieź go na posterunek. Gdzie zwłoki?

- Na zapleczu - powiedziałem.

Rowley wpadł do lombardu jak burza. Toby nadal wyglądał, jakby na mnie patrzył; naszła mnie wariacka ochota, żeby do niego podejść i przyglądnąć mu włosy. Przed lombardem zatrzymały się jeszcze dwa policyjne samochody. Z drugiego wysiadł kapitan Mullan oraz detektyw, którego jeszcze nie widziałem.

Mullan rzucił mi lodowate spojrzenie i wszedł do środka, detektyw za nim. Usłyszałem głos Mullana:

- Wiesz, naprawdę aż trudno uwierzyć.

Przed lombardem zapiszczały opony jeszcze dwóch radiowozów i karetki. Nagle w środku zaroilo się od policjantów. Funkcjonariusz Nelson otworzył notes na czystej stronie.

Mullan pojawił się na zewnątrz; Rowley deptał mu po piętach. Na widok drugiego detektywa zacisnęła zęby.

- Myślałem, że to mam być ja - powiedział detektyw.

- Co tu robi Oster?

Mullan nie zmienił wyrazu twarzy.

- A nie wzięłeś sprawy Little?

- Wiesz, że tak.

- Więc wracajcie na posterunek, poruczniku. Tą sprawą zajmie się detektyw Oster.

Wszyscy policjanci zaczęli się gapić na Rowleya.

- Świetnie - warknął. Policzki zabarwił mu ślad czerwieni. - Ale Dunstan już...

- Co „już”, poruczniku?

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę chudego, bladego mężczyzny w szarym garniturze, który pojawił się u mojego boku jakby jakimś magicznym sposobem, jak wyczarowany z chmury dymu. Miał rzadkie bezbarwne włosy, wąską, mocno pobrużdżoną twarz, okulary w grubej oprawce i usta jak wlot skrzynki na listy. Rozpoznałem ten suchy, bezdźwięczny głos.

- Proszę kontynuować, poruczniku.

- Jeszcze tego brakowało - powiedział Rowley. - C. Clayton Crech.

Creech był niepodatny na pogardę Rowleya. Był niepodatny na wiele spraw. Niezdolny do wstrząsu czy zaskoczenia, egzystował w stanie neutralnej gotowości na wszystko, co mogło go spotkać. Nie można go było niczym zaskoczyć, tak więc jego jedyną reakcją mogło być ironiczne pobłażanie. Nie reagował w konwencjonalny ludzki sposób, zupełnie jakby pochodził z innej planety. W tych okolicznościach jego obecność uspokoiła mnie ponad wszelkie oczekiwanie.

- To pański adwokat? - spytał Mullan.

- Tak jest.

Rowley parsknął z obrzydzeniem i przecisnął się przez tłum mundurowych. Funkcjonariusz Nelson spojrzał niepewnie na Oстера.

- Miałem go przesłuchać...

- Kontynuować - rozkazał Oster.

- Czy mój klient zostanie przewieziony na posterunek? - zagadnął Creech takim tonem, jakby pytał o wyniki meczu małej ligi w jakimś grajdołku.

- Pański klient zostanie zaproszony do uczestnictwa w dochodzeniu. - Mullan odwrócił się do mnie ze znużeniem. - Czy zechce pan złożyć zeznania na posterunku?

Creech zachęcił mnie do zgody, nie poruszywszy nawet jednym mięśniem.

- Oczywiście - powiedziałem.

- Będę obecny podczas przesłuchania - wtrącił Creech - jeśli mój klient sobie tego życzy.

- Życzę sobie, żeby pan Creech był obecny podczas przesłuchania - wyrecytowałem.

Z lombardu wyszedł zmęczony człowiek o skórze koloru pieczarki i potwierdził zgon Toby'ego. Sanitarisze wynieśli na noszach coś, co wyglądało jak wielki bochen chleba pod prześcieradłem.

- Pan mecenas pozwoli, że powiem, kto jest odpowiedzialny za wczorajszy pożar.

Nieruchoma postać Creecha jakimś cudem zasygnalizowała umiarkowane zaciekawienie.

- Szkoła Podstawowa imienia Carla Sandburga ustanowiła nagrodę dziesięciu tysięcy dolarów za informację, która doprowadzi do aresztowania winnego.

- Piękny gest - skomentował Creech.

Mullan odpowiedział uśmiechem.

- Wczoraj późnym popołudniem pański stary znajomy Żaba La Chapelle oraz pewien łobuz przezywany Dla Mnie Ode Mnie postanowili pogadać przy butelce bourbona i trawce.

- Daniel Odemmie? - spytałem.

- Dla Mnie Ode Mnie. Sześć lat temu ten geniusz poszedł na pocztę i odebrał walizkę pełną trawy, nadaną z okręgu Humboldt w Kalifornii. Jako odbiorcę podał samego siebie. Na swoje szczęście był klientem pana Creecha i udało mu się wyjść na wolność.

- Pożałowania godne niedopatrzenie podczas aresztowania - wtrącił Creech.

- Jak się już najarali, Żaba zaczął się chwalić, jaką kasę dostał za podpalenie budynku na Chester Street. Dla Mnie Ode Mnie uznał, że jego powinności praworządnego obywatela są ważniejsze od lojalności wobec przyjaciela. Doniósł na Żabę, który został osadzony w celi. Dziś przed czwartą rano wydarzyło się coś bardzo dziwnego.

Skóra na głowie zaczęła mnie mrowić.

- Żaba nie miał przy sobie nic ostrzejszego od paznokci, a jednak znalazł jakiś sposób, żeby poderżnąć sobie gardło. Wyglądał bardzo podobnie do Toby'ego.

- O - powiedziałem.

- Niedawno wspomniał pan Kloca Spelvina. Mógłby pan rzucić nieco światła na tę sprawę?

Wbite w blat obojętne spojrzenie C. Clayтона Creecha nakazało mi milczenie.

- Żałuję, ale nie mogę.

Mullan zakolysał się na piętach.

- Nelson, odprowadźcie pana Dunstana na posterunek. Możecie podwieźć również pana Creecha.

- Dziękuję, kapitanie, ale skorzystam ze sposobności i zaczerpnę świeżego powietrza. - Skierowane na sufit spojrzenie Creecha żądało ode mnie odpowiedzi. Spojrzałem nad jego ramieniem w stronę magazynu i ukrytej książki.

Dwadzieścia minut później C. Clayton Creech zjawił się w pokoju przesłuchań i za pomocą charakterystycznych dla siebie tajemniczych środków dał mi do zrozumienia, że wszystko poszło gładko. Niewzruszony Nelson otworzył notes i zaczął mi zadawać pytania. Creech zniechęcony na krześle po mojej lewej stronie i nie ruszył się z niego przez następne trzy godziny. Od czasu do czasu łagodnie karciał osobę, która mnie w danej chwili przesłuchiwała. Wydawał się równie zainteresowany zajściem jak jaszczurka wygrzewająca się na nasłonecznionym kamieniu. Tuż przed 12.30 policja miasta Edgerton wypuściła mnie z objęć, zalecając jednakże pozostawanie z nią w kontakcie.

Razem z Creechem mineliśmy funkcjonariusza dyżurnego, który ostentacyjnie nas zignorował.

- Wszystko gra - powiedział Creech. U stóp schodów dodał: - W mojej kancelarii o drugiej?

- Przyjdę - obiecałem i Creech zniknął.

91.

W poczekalni pełnej reprodukcji obrazów myśliwskich zza biurka wielkości trumny spojrzała na mnie baba o twarzy kata.

- Pan musi być panem Dunstanem.

- Muszę - powiedziałem.

Wzięła notes do stenografowania i długopis, po czym otworzyła drzwi gabinetu.

Usadowieni na drewnianych krzesłach o wysokich, wąskich oparciach Clark, Nettie i May odwrócili głowę w moją stronę. Na siwych

włosach ciotek przysiadły kapelusze z czarną koronką. Pod ścianą pełną półek z książkami stała sfatygowana skórzana kanapa; brązowe nitki tu i tam sygnalizowały obecność wzoru na zniszczonym orientalnym dywanie. Wysokie okna za plecami Creecha z widokiem na park wpuszczały blade światło, które ginęło dwa kroki dalej. W żalobnym zmroku prawnik zmienił się w sylwetkę bez twarzy.

Creech wyjął dokument z teczki na biurku i położył go przed sobą. Na dokumencie złożył pióro.

- Zanim pan usiądzie, proszę podpisać tę umowę, określającą formalnie warunki, o których rozmawialiśmy dziś rano, oraz przekazać mi umówione honorarium. Pan Dunstan podpisuje jedynie dokument dający mi prawo do występowania w charakterze jego adwokata. - Zwrócił się do pozostałych. - Jest to konieczne ze względu na fakt, że pan Dunstan znalazł ciało zmarłego, lecz nie ma żadnego związku ze sprawą, w jakiej się tu zebraliśmy.

Podpisałem jednoakapitowe oświadczenie i położyłem na kartce jednodolarowy banknot. Dolar zniknął, zanim Creech schował dokument do szuflady, choć nie widziałem, żeby go dotykał. Minąłem krzesła i usiadłem na skórzanej kanapie. Sekretarka przycupnęła na jej drugim końcu.

- Panna Wick będzie robić notatki z naszej konferencji - wyjaśnił Creech.

Sekretarka otworzyła notes i zawiesiła długopis nad kartką.

- Już poinformowałem pańskich krewnych o porannych wypadkach na Lanyard Street. Proszę przyjąć najserdeczniejsze kondolencje. Znałem pana Krafta jedynie na gruncie zawodowym, jako jego doradca prawny, ale pełniłem tę funkcję od wielu lat i osobowość pana Krafta wywarła na mnie wielkie wrażenie.

- Każdy łajdak robi wrażenie - skomentowała Nettie. - Ale nie twierdzą, że Toby nie miał zalet. Odwiedził naszą siostrzenicę na łożu śmierci.

- Mój klient darzył swoją pasierbicę wielkim uczuciem - oznajmił Creech. - Skoro pan Dunstan już do nas dołączył, możemy się zająć sprawą, jaka nas tu ściągnęła. Zgodnie z zaleceniem mojego klienta jego ostatnia wola oraz testament mają być odczytane tuż po jego śmierci, w miarę możliwości w ciągu dwudziestu czterech godzin. Proszę zanotować, że zgromadziliśmy się zgodnie z tymi instrukcjami.

- Zanotowałam - powiedziała panna Wick.

- Proszę także zanotować, że na miejscu są obecne wszystkie wymienione przez mojego klienta osoby, z wyjątkiem pani Joy Dunstan Crothers, która nie zjawiła się z własnej woli, oraz pana Clarence'a Aarona Crothersa, który nie zjawił się z powodu złego stanu zdrowia.

- Zanotowałam - powiedziała panna Wick.

Creech spojrział na leżącą przed nim teczkę.

- Mój klient życzył sobie także szybkiego pochówku. Oczywiście nie przewidział, że jego zgon nastąpi w wyniku napadu. Procedura biura koronera oraz wydziału policji może uniemożliwić wykonanie tego polecenia. Jednak proszę zanotować, że uszanujemy ducha instrukcji zmarłego i wzmiankowany pochówek nastąpi w ciągu dwudziestu czterech godzin od wydania zwłok Domowi Pogrzebowemu Spauldinga „Wieczne Odpoczywanie”.

- Zanotowałam.

Pan Creech prawie się uśmiechnął, choć półmrok i szczególny charakter jego twarzy utrudniały orientację.

- Zostałem również zobligowany do poinformowania obecnych o następujących sprawach. Mój klient zapewnił środki niezbędne do pochówku jego szczątków, włącznie z kupnem trumny, nagrobka wraz z inskrypcją oraz miejsca na cmentarzu koło grobu jego żony. Co więcej, nie życzył sobie żadnego nabożeństwa żałobnego w jakimkolwiek obrzędzie: protestanckim, katolickim, żydowskim czy też jakiegokolwiek innego wyznania. Pochówek ma się odbyć bez osób duchownych, a prawo wstępu ma na niego każdy, kto wyrazi wolę uczestnictwa. Mój

klient podkreślił, że każdy obecny ma prawo do spontanicznego wystąpienia. Proszę zanotować, że instrukcje te zostały odczytane i zrozumiane.

- Zanotowałam - powiedziała panna Wick.

- Dobrze usłyszałem? Inskrypcja? - spytał Clark.

- Proszę pozwolić, że znajdę odpowiedni ustęp. - Creech odwrócił parę stron. - Inskrypcja na nagrobku mojego klienta ma brzmieć jak następuje: w pierwszym rzędzie: TOBIAS KRAFT, dużymi literami; w drugim: data narodzin i zgonu; w trzecim: UFAJ NIESPODZIEWANEMU, mniejszymi literami drukowanymi, a poniżej pochyłym pismem „Emily Dickinson”.

- Ufaj niespodziewanemu? - powtórzył Clark. - A co to ma znaczyć, do diabła?

- Jak sądzę, sentencja ta wydała się mojemu klientowi na miejscu. - Creech odwrócił kartkę i podniósł głowę. - Zatem pora odczytać ostatnią wolę i testament pana Krafta. Czy mogę uznać, że osoby zgromadzone tutaj są gotowe pominąć wstęp i przejść bezpośrednio do części C, postanowień mojego klienta?

Nettie pochylili się do ucha May.

- Zapewniam panią, że bezpośrednie przejście do części C nie oznacza pominięcia żadnej istotnej dla państwa kwestii - powiedział Creech. - Poza tym pod koniec spotkania otrzymają państwo kopie pełnego dokumentu.

- To darujmy sobie te czary-mary - zdecydowała Nettie.

- Proszę zanotować, że osoby obecne zgodziły się zacząć czytanie testamentu od części C: postanowienia.

Panna Wick powtórzyła swoją kwestię.

Creech zaczął czytać suchym, beznamiętnym głosem.

- Ja, Tobias Kraft, postanawiam, że po mojej śmierci cały mój majątek zostanie rozdzielony w następujący sposób:

1) Kwota pięciu tysięcy dolarów zostanie przekazana anonimowo na Czerwony Krzyż.

2) Kwota pięciu tysięcy dolarów zostanie przekazana anonimowo na Muzeum Pamięci Holocaustu w Waszyngtonie.

3) Cała odzież, będąca w moim posiadaniu w chwili zgonu, zostanie przekazana instytucji dobroczynnej Goodwill Industries.

4) Reszta mojego majątku, w tym zawartość wszystkich moich kont bankowych, bony oszczędnościowe, akcje i obligacje, spółki inwestycyjne oraz nieruchomości należące do mnie lub będące własnością firmy T.K. Holding zapisuję Valerie Dunstan, znanej jako Star Dunstan. Jeśli Valerie Dunstan zejdzie z tego świata przede mną, spadek przechodzi na jej syna, Neda Dunstana.

Podniósł głowę znad testamentu.

- Proszę odnotować, że życzenia pana Tobiasza Krafta zostały odczytane i zrozumiane.

Nettie zagłuszyła pannę Wick.

- Albo pan coś przeoczył, albo źle usłyszałam.

- W takim razie pragnę wyjaśnić, że nie ma mowy o nieporozumieniu. Mój klient zapisał dziesięć tysięcy dolarów instytucjom dobroczynnym. Jego odzież trafi do Goodwill. Większą część majątku przekazał młodemu człowiekowi, siedzącemu na sofie za panią.

Odwrócili się i spojrzeli na mnie z różnym stopniem oszołomienia.

Clark znowu zaatakował.

- O jakim właściwie majątku mówimy?

- Jeśli pan pozwoli... - Creech wyjął z teczki kolejny stosik papierów, przejrzał pierwszą stronę, odłożył ją na bok, spojrzął na drugą. - Łączna wartość majątku wynosi pięćset dwadzieścia pięć tysięcy czterysta dwadzieścia dolarów, nie licząc odsetek. Pan Kraft był także właścicielem budynku, w którym mieszkał i prowadził interesy, jak również kamienicy na Chester Street oraz dwóch budynków handlowych w centrum Edgerton. Ich łączna wartość wynosi około ośmiuset tysięcy dolarów, wliczając odszkodowanie za kamienicę, która ostatnio spłonęła w pożarze.

Nettie i May skamieniały.

- W dodatku - powiedział Creech, przewracając kartkę - mój klient posiadał dwie polisy na życie. Wykupiła je jego żona. Po jej śmierci spadkobierczynią ustanowił Valerie Dunstan lub, w razie jej śmierci, jej syna Neda Dunstana. Każda polisa opiewa na trzysta tysięcy dolarów, więc ich łączna wartość wynosi sześćset tysięcy. Rozmawiałem z agentem ubezpieczeniowym pana Krafta i razem z nim zajmę się formalnościami. Przy odrobinie szczęścia i współpracy ze strony władz czeki z agencji ubezpieczeniowych nadejdą w ciągu trzech lub czterech tygodni.

Być może znowu się uśmiechnął, ale trudno było poznać.

- Pan Dunstan wkrótce będzie dość zamożnym młodzieńcem. Jeśli dotąd nie korzystał pan z usług dobrego księgowego, radzę się o to zatroszczyć.

- Jeszcze nie usłyszałam mojego nazwiska - odezwała się May.

- I nie usłyszysz - warknęła Nettie. - Ile z tego będziesz miał, Creech?

- Pominę tę uwagę. - Creech uporządkował papiery i zamknął teczkę. - W stresie ludzie często tracą panowanie nad sobą.

- Jeszcze mnie nie widziałeś, jak nad sobą nie panuję. He?

- Niech się zastanowię. Za przygotowanie testamentu pana Krafta otrzymałem zwykłą stawkę za godzinę. Cała suma wynosi prawdopodobnie około pięciu tysięcy dolarów za różne zmiany dokonywane w miarę upływu czasu. Pan Dunstan i ja nie nawiązaliśmy żadnych innych umów z wyjątkiem tej zawartej w państwa obecności, za którą otrzymałem kwotę jednego dolara. Pan Dunstan otrzyma rachunek za czas, który poświęciłem dziś jego sprawie, co nie ma żadnego związku z obecną kwestią. Wydaje mi się całkowicie zrozumiałe, że pan Dunstan nie wiedział o postanowieniach pana Krafta. Posunę się nawet do twierdzenia, że pan Dunstan został zaskoczony.

Nettie odwróciła się w moją stronę jak wcielenie burzy z piorunami.

- Chcę usłyszeć prawdę. Wiedziałeś, co się stanie, kiedy tu przyjechałeś?

- O niczym nie miałem pojęcia - odparłem. Długopis panny Wick śmigał po stronach notatnika. - I faktycznie, jestem zaskoczony. Toby powiedział, że się o mnie zatroszczy, ale myślałem, że chodzi mu o pracę w lombardzie.

- Teraz wszystko rozumiem - wycedziła Nettie. - Teraz wiem, dlaczego zaprosiłeś tego starego nikczemnika do szpitala. Na pewno składałeś mu potajemne wizyty.

Beznamiętny głos Creecha był jak wiadro zimnej wody.

- Pan Kraft dokonał ostatniej poprawki swojego testamentu dwa tygodnie po śmierci żony. Dokładna data brzmi: siedemnasty kwietnia 1965 roku. W tym czasie, jak mi się wydaje, pan Dunstan miał za parę miesięcy skończyć siedem lat. Sądzę także, że całkowicie jasne jest, iż pan Kraft zamierzał zostawić większą część swojego majątku matce pana Dunstana, a pan Dunstan dziedziczy w jej zastępstwie.

- Nettie - odezwała się May. - Czy ten stary oszust zostawił wszystko Star?

- No jasne. A ponieważ odeszła, wszystko dostał jej synek.

May wyciągnęła szyję w moją stronę.

- Neddie, chyba nie zatrzymasz wszystkiego dla siebie, co? Może nie powiodło ci się w życiu, ale i tak jesteś dobrym chłopcem.

Clark odezwał się, nie zaszczycając mnie spojrzeniem:

- Jak na robociarza dostałeś masę pieniędzy, chłopcze. Mam nadzieję, że podejmiesz właściwą decyzję.

- Czy zamierza pan przejąć lombard mojego klienta? - zwrócił się do mnie Creech.

- Nie.

- W takim razie rozpoczniemy likwidację firmy i sprzedamy dom. Jeśli pan sobie życzy, możemy wystawić na sprzedaż także inne budynki. Testament mojego klienta musi zostać zatwierdzony, procedura

taka na ogół trwa co najmniej rok, ale radzę już teraz zadbać o szczegóły.

- Tak, dziękuję. Proszę poczynić przygotowania do sprzedaży budynków Toby'ego.

Długopis panny Wick śmigał po kartce.

- Szybkie samochody - odezwał się Clark. - Duży dom. Francuski szampan i dziewczęta z dużymi niebieskimi oczami. Wiesz, co mówią o głupcu, który się wzbogacił. Gdybyś pozwolił mi zarządzać pieniędzmi, może zyskałbyś parę centów.

- Wujku, muszę się zastanowić - powiedziałem - więc bądźcie cicho przez chwilę.

- Muszę powiedzieć, co mi serce dyktuje - oznajmiła Nettie, zwracając się nie do mnie, lecz w pustkę przed sobą, podobnie jak Clark. - Mam do powiedzenia tylko jedną małą drobnostkę, bo jeśli jej nie wypowiem, rozrośnie się i przygniecie mnie swym ciężarem na wieki. Pan Toby Kraft poślubił naszą ukochaną siostrę. Choć odebrał nam Queenie, nigdy nie był przez nas źle widziany. Po odejściu naszej siostry pan Toby Kraft pozostał członkiem naszego rodzinnego kręgu. Można powiedzieć, że stał się namolny. Miał zwyczaj wpadania bez zaproszenia i zostawiania na kolację, więc ze względu na pamięć mojej drogiej zmarłej siostry przygotowałam dla tego człowieka więcej posiłków, niżbym chciała, i to samo może o sobie powiedzieć moja siostra May. Jeśli dodać do tego koszt tych wszystkich domowych obiadów, wydatki poszłyby w tysiące dolarów, a wszystko to przez chrześcijańskie miłosierdzie. Ten stary oszust nigdy nawet nie pisał, że odłożył taką fortunę, co, May?

- Nigdy - przyświadczyła May.

- Wyglądał tak, że nikt by nie dał za niego dwóch groszy. Ubierał się w najbrzydsze łąchy na świecie. Był pijakiem, o czym wiemy wszyscy, i łajdakiem, no i ta whisky! Ale darzyliśmy go miłością, ponieważ nie potrafimy inaczej. Tacy jesteśmy.

C. Clayton Creech wpatrywał się w nią z nieskrywanym podziwem.

- Neddie - odezwała się May. - Pomyśl, co zrobiłaby twoja matka.
- Właśnie myślę - odparłem. - Chciałbym przygotować dokument - zwróciłem się do Creecha - dzielący spadek po panu Krafcie na cztery równe części. Jedną dla cioci Nettie, drugą dla cioci May, trzecią dla cioci Joy i ostatnią dla mnie.

- Chce pan to jeszcze przemyśleć?

- Nie.

- Czy do sumy będącej przedmiotem podziału mam dołączyć także pieniądze z polis ubezpieczeniowych?

- Tak. Ile wypadnie na głowę?

Creech wyjął notes z szuflady i zapalił lucky strike'a z paczki na biurku.

- Czy nadąza pani za rozwojem wypadków?

Panna Wick zapewniła, że ostatnie wypadki zostały zaprotokołowane.

Creech pochylił się nad notesem i wydmuchnął solidny kłęb dymu.

- Pięćset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów gotówką na osobę. Plus przybliżona wartość budynków oraz polis ubezpieczeniowych i mamy milion dziewięćset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Jedna czwarta część spadku pana Dunstana to plus minus czterysta osiemdziesiąt jeden tysięcy dolarów.

- Proszę przygotować dokumenty - zarządziłem. - Toby zostawił te pieniądze mojej matce, a wiem, że podzieliłaby się z ciotkami.

- Pańska decyzja jest ostateczna?

- Słyszałeś, co powiedział - warknął Clark. - Bierz się do roboty.

May znówu na mnie spojrzała.

- Wiesz, Joy nie potrzebuje aż tylu pieniędzy. I, Neddie, czterysta osiemdziesiąt jeden tysięcy dolarów to okropnie dużo jak dla młodzieńca, który ma przed sobą całe życie.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Masz rację. Chciałbym z mojej części spadku przekazać dwadzieścia tysięcy dolarów na rzecz niejakiej Suki Teeter.

- Czy może pan przeliterować? - odezwała się panna Wick.

Przeliterowałem nazwisko Suki.

- Prowadzi galerię na Archer Street w College Park.

- To wystarczy - powiedział pan Creech. - Czy mam poinformować panią Teeter o tym uśmiechu losu?

- Proszę.

Nettie spaliła mnie wzrokiem.

- Dajesz pieniądze tej Suki?

- Star by to zrobiła - odparłem. - Widziałem się niedawno z Suki Teeter, potrzebuje pieniędzy. Jeśli uważacie, że nie powinienem tego robić, zawsze mogę zatrzymać wszystko dla siebie. A to by było...? - Zerknąłem na C. Clayтона Creecha.

- Milion dziewięćset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. - Powiedział to tak, jakby za taką sumę można było kupić bilet do kina i średnią porcję popcornu.

- Suki była ukochaną przyjaciółką Star - oświadczyła Nettie. - Matka byłaby z ciebie dumna. Wiedziałam, że masz dobre serce.

Creech zasugerował, żeby do moich podarunków dołączyć warunek, że pozostałe pieniądze po śmierci beneficjentów ponownie stają się moją własnością, na co Nettie odparła:

- Nie zamierzam zostawiać pieniędzy Czerwonemu Krzyżowi ani jakimś nazistom. Niech pan przygotuje te dokumenty, ale szybko. Chcę kupić kuchenkę gazową z dwoma piecykami i rusztem, z tych, co to je mają w restauracjach, i chciałabym ją zobaczyć, zanim kopnę w kalendarz.

Kiedy wszyscy wstaliśmy, Creech poprosił, żebym wrócił o wpół do szóstej na podpisanie dokumentów.

Na dole otworzyłem drzwi wyjściowe i ujrzałem eksplozję słonecznego blasku i migotliwej zieleni.

Clark kuśtykał tak szybko, że prawie można to było nazwać truchtem. Nettie i May wyszły na olśniewająco jasną Paddlewheel Road; kroczyłem za nimi. Dwa miejsca parkingowe od Commercial Avenue koło parkometru stał lśniący buick. Nie mogłem się pozbyć poczucia nierealności. Rozdałem około półtora miliona dolarów.

Clark przyjrzał się rękawom marynarki.

- Zdaje się, że grozi mi wypadnięcie z głównego nurtu mody. Ile mamy dostać od Toby'ego?

- Czteryście osiemdziesiąt tysięcy - odparła Nettie.

- To nie aż tak dużo, jeśli się spokojnie zastanowić. Nie można powiedzieć, że człowiek posiadający czterysta osiemdziesiąt tysięcy dolarów to bogacz, toteż nie myśl o nas w tej kategorii.

- Chcę wielką kuchnię gazową z rusztem - oznajmiła Nettie. - I będę ją miała. Co mnie obchodzi jakaś twoja kategoria.

- A wiesz, co ja bym chciała? - spytała May. - Kino domowe i antenę satelitarną zamiast tego tandetnego telewizorka, na którym można odbierać tylko trzy programy.

- Obie możemy mieć kino domowe - powiedziała Nettie. - Ale nie mogę się pogodzić z myślą, żeby zapłacić za taki zbytek.

- Za kino domowe nie musimy płacić. Ja tylko powiedziałam, że chciałabym je mieć, to wszystko.

- Nowe ubrania - ciągnął Clark. - Kiedy dostaniemy pierwszy czek, idę do Lyalla i ubieram się od stóp do głów. Potem pójdę spacerkiem do „Speedway” i postawię Cassie czarnego johnniego walkera na cześć starego Toby'ego, Panie świeć nad jego duszą.

- Clark - odezwałem się - powinieneś o czymś wiedzieć.

- Toby Kraft może teraz spoczywać w pokoju - powiedziała May. - Zawsze twierdziłam, że pomimo swych wad jest lojalny.

- Clark, dziś rano... - zacząłem.

- Ponieważ nie chciał dodawać nam cierpienia, powinniśmy uszanować jego życzenie i wyprawić mu porządną pochówkę, taki, jakiego chciał. Na pogrzebie Star przemówi walebny Swing. Neddie, walebny Swing jest słynnym mówcą pogrzebowym.

- Na pewno oszaleję na jego punkcie - odparłem - ale muszę wyjaśnić Clarkowi...

- Nie wolno się sprzeciwiać ostatniemu życzeniu umierającego - przerwał mi Clark.

- Clark! - krzyknąłem, o wiele zbyt głośno. - Nie postawisz drinka Cassie Little.

- A to dlaczego, jeśli wolno spytać? - zirytował się.

- Bo ona nie żyje.

- Mylisz się. Była nieco zaziębiona, ale poza tym nic jej nie dolega.

- Bardzo mi przykro. - Za późno było się wycofywać. Jego twarz już teraz zaczęła szarzeć z szoku. - Cassie została zabita w nocy w swoim mieszkaniu. Jej chłopak, Żaba, także zginął, w celi w areszcie.

- Oboje byli w gangu Clyde'a Prentissa - wtrąciła May. - Zabili ich, żeby siedzieli cicho, ot co.

Clarkowi zaszkliły się oczy.

- Bruce McMicken znalazł jej ciało. Dziś rano pisali o tym w gazetach.

Clark otworzył usta, zamknął je, znowu otworzył.

- To było bezlitosne, chłopcze. Bezlitosne. Powinieneś mi to powiedzieć trochę delikatniej.

- Próbowałem, ale wszyscy mi przerywali.

- Powinieneś mieć więcej szacunku dla ludzkich uczuć. - Uśmiechnął się drapieżnie, wpatrzony w chodnik. - Ten Żaba zabił ją z zazdrości o innych mężczyzn, a potem z rozpaczony popełnił samobójstwo. Mam nadzieję, że do pogrzebu zdołam zdobyć nowe ubranie.

- No, cóż my się tak prażymy na tym chodniku - mruknęła Nettie. - Pora wracać do domu.

- Do zobaczenia na Little Ridge o dziesiątej.

- Nie mogą jej pochować tak szybko! - załkał Clark.
- Jutro jest pogrzeb Star, nie twojej dziewczyny. Otwierajże ten samochód, niech się przewietrzy. - Nettie wyjęła z torebki kartkę. - Dziś rano dzwoniła do ciebie pani Rachel Milton i twoja przyjaciółka, pani Hatch. Miło sobie pogawędziłyśmy. Zapisałam ich numery.
Wcisnęła mi kartkę w rękę.

92.

Czułem się tak, jakby pękła nitka łącząca mnie z rzeczywistością lub z tym, co brałem za rzeczywistość. Trawa w Merchants Park pulsowała oślepiającą zielenią. Twarde, białozłote światło wbijało się w dachy samochodów. Na zmianę unosiłem się nad ziemią i brnąłem pod prąd rwącej rzeki. Zakrwawione ciało Toby'ego Krafta i jego wykrzywiona twarz nieustannie stały mi przed oczami.

Z wylotów uliczek odchodzących od Word Street przyzywała mnie migotliwa ciemność. Bruce McMicken przemknął ze spuszczoną głową przez chodnik i szarpnął drzwi „Speedway”. Za jego plecami truchtał duch Żaby La Chapelle'a. Nad wąskim oknem migotał niebieski neon. Zajrzałem; mężczyzna głaskał obnażone ramię młodej kobiety, której głowa zasłaniała jego twarz. Kobieta zaprezentowała profil i smukłą szyję. Mężczyzna pochylał się i powiedział coś, co ją rozśmieszyło. Moje serce załomotało i zmieniło się w lód.

Robert uniósł papierosa do ust. Zacisnął wargi, zaciągnął się i moje płuca wypełnił gorący, gryzący dym. Odwróciłem się i zatoczyłem, kaszląc. Podniosłem rękę do czoła i przekonałem się, że jest przezroczysta jak zakurzony kawałek szkła w kształcie dłoni.

Przysunąłem do niej drugą dłoń, rozsunąłem palce. Widziałem przez nie zarysy chodnika. Podbiegłem do wystawy, żeby się przekonać, czy całe moje ciało znika. W wystawie odbijała się normalna, nieprzejrzysta twarz. Z rękawów wychylały się normalne, nieprzejrzyste ręce. Znowu zacząłem oddychać. Kiedy spojrzałem w wystawę, zobaczyłem

stojące o trzy kroki ode mnie odbicie olbrzyma, który przemówił do mnie na Pine Street.

- Co się z tobą znów dzieje? - spytał.

Roześmiałem się.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Spróbuj.

- Dziś rano znalazłem zakrwawionego martwego człowieka. Po południu odkryłem, że ten człowiek zostawił mi dwa miliony dolarów. Trzy czwarte tej sumy rozdałem. A jakieś pięć sekund temu zacząłem znikać.

Olbrzym odrzucił głowę i wybuchł potężnym śmiechem. Musiałem się roześmiać, nie mogłem się oprzeć, tak samo jak wtedy ze Stewartem Hatchem. Śmiałem się z olbrzymem tak długo, aż z oczu zaczęły mi lecieć łzy.

- Cóż - powiedział, nadal emitując basowe pomruki - jeśli potrafisz się śmiać z własnej głupoty, przynajmniej nie zwariowałeś. Ale ciekawy z ciebie przypadek, Nedzie Dunstanie, muszę to przyznać.

- Skąd znasz moje nazwisko?

- Jest mnóstwo przyczyn, dla których człowiek zaczyna znikać. Ludzie znikają bez przerwy, z dobrych i złych powodów. Ale otrzymanie góry pieniędzy to najgorszy powód, o jakim słyszałem. - Potrząsnął głową z uśmiechem.

- Skąd znasz moje nazwisko?

- Ned. - Patrzył na mnie krytycznym wzrokiem, ale tylko na tyle, żeby mi wytknąć to, czego nie zauważyłem. - Jak myślisz, skąd?

Cofnąłem się, żeby go obejrzeć w całości. Jakies dwa metry dziesięć wzrostu, masa ze sto trzydzieści kilo, twarz o wyrazistych rysach, lśniące oczy i zęby tak białe, że mogłyby reklamować pastę do zębów. Spod włóczkowej afrykańskiej czapki wymykało się kilka siwych włosów. Miał na sobie czarne, bardzo pogniecione jedwabne spodnie i czarne lśniące mokasyny. Luźna bluza była w ciemnozielone i niebieskie pasy z szeroko rozstawionymi prążkami szkarłatu. Jego skóra lśniła

jak polerowany mahoń. Wyglądał jak najwspanialszy potomek pradawnego afrykańskiego rodu władców. Jego oszałamiający uśmiech stał się szerszy.

Nie, pomyślałem, nie wygląda jak król, lecz jak...

Ze środka jego jestestwa wytrysnęła fala skoncentrowanego światła i ciepła; moje myśli rozproszyły się, zanim zdążyłem zastanowić się, że niezależnie od tego, kim jest, w zadziwiający sposób przypomina mój ród; nie jest Dunstanem, lecz jest pokrewny Dunstanom. Fali ciepła towarzyszyło poczucie opiekuńczości i ochrony; zapragnąłem ucześcić się jego dłoni i błagać o pomoc.

Usłyszałem własny głos:

- Jak się nazywasz?

- Walter - powiedział olbrzym. - Ale uważaj: Walter, nie Wally. Nie znoszę tylko jednej rzeczy, jak się mnie nazywa Wally.

- Masz nazwisko, Walterze?

- Bernstein. Gdybym był mały, pewnie musiałbym znosić kpiny, ale jakoś nikt się ze mnie nie śmieje.

- Czy twój ojciec...?

- Mój ojciec był tylko trochę bielszy ode mnie. Nie widzę powodów, żeby się tak strasznie dopytywać.

- Ale ja chcę cię pytać. Nic nie rozumiem. Za każdym razem, kiedy odnoszę wrażenie, że wreszcie coś mi zaczyna świtać, muszę zaczynać od początku. - Przystałem gadać. Nie chciałem jęczeć w obecności Waltera Bernsteina.

- Ciągłe robisz małe kroki - powiedział. - A w dodatku jesteś cholernym Dunstanem. Dunstanowie nigdy nie widzą spraw w ogólnym zarysie, kręcą się w kółko, rozrabiają i zostawiają po sobie bałagan. To się ciągle powtarza, rozumiesz? Możesz to zmienić, jeśli będziesz bardzo czujny i zaczniesz się starać.

- Jak?

- Masz w sobie więcej, niż przypuszczasz. Nie zapominaj o tym, choćbyś dalej nic nie rozumiał. A dlaczego masz rozumieć? Myślisz, że życie powinno być proste?

- Co cię obchodzi? Dlaczego ciągle się pojawiaasz?
- Może mam już dość patrzenia, jak Dunstanowie ciągle dają ciała. Nie tylko wyście zostali, wiesz? Słuchałeś kiedyś Wagnera? Czytałeś nordyckie, islandzkie mity? Albo celtyckie? Nie wszystko się skupiło nad Morzem Śródziemnym. Kiedy patrzę na Goata Gridwella, chce mi się rzygać. Chcesz pogadać o znikaniu? To jest to. Niedobrze mi się od tego robi.

- Ale co mogę...

- Zajmij się swoimi sprawami, to możesz zrobić. - Walter Bernstein wyminął mnie i ruszył przed siebie. Potem, jak przy naszym pierwszym spotkaniu, zatrzymał się i obejrzał. - Masz szansę, jeśli ruszysz głową. - Rzucił mi przenikliwe spojrzenie i pomaszzerował przez Word Street skąpaną w oślepiającym blasku słonecznym. Nie widział go nikt oprócz mnie.

93.

Rachel Milton odebrała telefon w chwilę po tym, jak jej pokojówka kazała mi czekać.

- Ned, jak mi ulżyło, że oddzwoniłeś! Suki powiedziała mi o twojej matce. Jak się czujesz?

- Jestem trochę oszołomiony.

- Mam ochotę się skopać za to, że nie rzuciłam wszystkiego i nie pobiegłam do szpitala. Dostałeś moje kwiaty?

- Dziękuję, to było bardzo miłe. - Wyciągnąłem się na łóżku i patrzyłem, jak dwie ciężkie muchy krążą między sufitem i oknem. Za drugim lub trzecim okrążeniem jedna uderzała o szybę, spadała pod stół i jakieś dwie, trzy sekundy później z bzykiem leciała w górę.

- Słyszałam, że poznałeś się z Laurie Hatch.

- Tak, trochę.

- Przyjaźniłyśmy się, ale potem poróżniło nas głupie nieporozumienie. Jeśli będziesz jeszcze rozmawiać z Laurie, powiedz jej, że chciałabym wszystko naprawić.

- Wspomnę o tym.

Spytała o pogrzeb. Poinformowałem ją o szczegółach.

- Muszę się pożegnać ze Star i chcę się z tobą zobaczyć. Pamiętam, jak przyszedłeś na świat! - Zrobiła znaczącą pauzę. - I znałam twojego ojca. Wszystkie byłyśmy okropnie zazdrosne, kiedy wybrał twoją matkę. - Kolejna znacząca pauza. - Suki powiedziała, że interesuje cię Edward Rinehart.

- Chciałbym się dowiedzieć o nim jak najwięcej.

- Po pogrzebie zapraszam cię na obiad.

Mucha wpadła na szybę z dźwiękiem piłki tenisowej uderzającej o betonową ścianę. Zleciała na podłogę. Zaciekawilo mnie, co knuje Rachel Milton, ale postanowiłem zastanowić się nad tym po pogrzebie. Potem poddałem się i zadzwoniłem do Laurie Hatch.

- Gdzie jesteś? - Jej głos brzmiał jak muzyka. - Byłam taka, no, sama nie wiem, ale nie wiedziałam, gdzie cię znaleźć, i zadzwoniłam do twojej ciotki. Przekazała ci?

- Trochę z tym zwlekała. Jestem w „Brazen Head”.

- „Brazen Head”? Gdzie to jest?

Podaliśmy jej numer.

- Tyle się dzieje, że nie wiem, od czego zacząć.

- Zaczynij od pożaru.

Więc opowiedziałem o pożarze i Tobym Krafcie.

- A poza tym ci bandyci, którzy biorą mnie za kogoś innego, prawie mnie dopadli, ale im uciekłem. W porównaniu z Edgerton Manhattan to tropikalna wyspa.

- Przyjedź na moją tropikalną wyspę.

- Muszę się spotkać z prawnikiem i podpisać jakieś dokumenty. Potem prawdopodobnie wrócę tutaj.

Milczała przez chwilę.

- Rozumiem, że Stewart odbył z tobą długą rozmowę.

- To, co powiedział, nie ma dla mnie znaczenia.

- Czy Ashleigh do ciebie dzwoniła? Wydarzyło się coś zadziwiającego.

- Chyba wypadłem z obiegu. Dobre wiadomości?
- Nie wiem, jak to się stało, ale znalazła dokładnie to, czego potrzebowała. Masz z tym coś wspólnego?

- Niby jak?
- Ashleigh nie chciała powiedzieć, jak zdobyła te dokumenty, pomyślałam więc... Nieważne. Najlepsze jest to, że Stewart jeszcze nie nie podejrzewa. Jest taki z siebie zadowolony, aż się niedobrze robi, zwłaszcza że jest pewien, że nigdy się do mnie nie odezwiesz.

Powiedziałem, że rozumiem motyw Stewarta.

- Ale naopowiadałam ci tych głupich bajek, które zmyśliłam piętnaście lat temu, bo prawda była taka brzydka. Brzydziłam się sama sobą. - Wydawało mi się, że słyszę brzęk kostek lodu w szklance. - A jak doszedł do Teddy'ego Wainwrighta, dopiero musiał mieć używanie!

- Nie zwróciłem uwagi. A! Prawie zapomniałem. Rachel Milton do mnie dzwoniła, a kiedy się do niej odezwałem, poprosiła, żebym ci przekazał, że znowu się chce z tobą przyjaźnić. I bardzo chce z tobą porozmawiać.

- Skoro mowa o zadziwiających historiach... - W jej głosie znowu zabrzmiało dawne łągodne rozbawienie. - Grennie ma trzydziestopięcioletnią przyjaciółkę z Hongkongu, geniusza finansowego. Poznał ją parę miesięcy temu, kiedy przysłała do niego w sprawie fundacji dobroczynnej, od tej pory spotyka się z nią potajemnie. Jest wyjątkowo ładna - Ming-Hwa Sullivan. Wyszła za jednego faceta z Edgerton, Billa Sullivana, kiedy oboje studiowali na Harvardzie. Wrócili tu, bo on dostał pracę w Banku Illinois. Ona także zajęła się biznesem, odniosła ogromny sukces i rozeszli się. Grennie chce się z nią ożenić.

- A Rachel chce ci się wyplakać.

Jej głos znowu się zmienił.

- Okłamałam cię głupio, a Stewart zamieszał ci w głowie. Chcę wyjaśnić, co się stało naprawdę.

- Prawdziwa wersja wypadków?

- Mam po ciebie przyjechać?

Powiedziałem, że wynająłem samochód.

- To w niego wsiadaj i przyjeżdżaj.
- Będę koło szóstej.

94.

Zanieśliśmy kieliszki i resztkę wina do salonu, gdzie usiedliśmy na sofie koło kominka, pod wielkim obrazem Tamary Łempickiej. Laurie postawiła butelkę na dywanie i oparła się o poduszki, obejmując kieliszek obiema dłońmi.

- Tak się wstydzę, że prawie nie mogę mówić.

- Nie musisz.

- Mamy to gigantyczne kłamstwo przed oczami. Co za głupi nawyk! Myślałam, że nikt mnie nie polubi, jeśli będzie znać moją prawdziwą historię. Sama siebie nie lubiłam. To wszystko było takie... haniebne. - W jej oczach wezbrały łzy. - Byliśmy biedni. Mój ojciec zginął podczas napadu na sklep monopolowy! Chciałbyś się spotykać z kimś takim?

- To żaden wstyd, że miało się trudne początki.

Przeszyła mnie płonąącym spojrzeniem.

- Dorastałam ze świadomością, że świat... no, tak. Że nigdzie nie jest bezpiecznie. Nie wiedzieliśmy, czy będzie co jeść, i zawsze nas wyrzucali z domów, bo matka nie mogła płacić czynszu. Przy każdej przeprowadzce trafiałam do innej szkoły, więc nie miałam przyjaciół. W ogóle nie mogłam ich mieć. Ubierałam się w sklepach z używaną odzieżą, nie nosiłam modnych rzeczy. Byłam pośmiewiskiem. Codziennie. Wydawało mi się, że w każdej chwili może rozewrzeć się ziemia, wpadnę w czarną otchłań i będę spadać w nieskończoność. Myślałam, że wylądujemy na ulicy. Albo że wsadzą mnie do jakiegoś więzienia, a matka umrze.

Wytarła oczy.

- A kiedy wyszła za tego operatora z Warner Brothers, Morry'ego Burgera, myślałam, że uratowałyśmy się przed utonięciem. On miał

pracę i dom. Przez jakiś czas wszystko się układało. Ale dobry stary Morry wypijał butelkę dżinu dziennie i zaczął bić matkę. Kryłam się w pokoju i słuchałam, jak ją bije, a ona płacze, a on wrzeszczy, żeby przestała płakać i było tak... tak jakby ta otchłań w końcu się otworzyła. Przestałam czuć cokolwiek, byłam jak zombi. I, jak się okazało, bardzo dobrze. Tu przechodzimy do pierwszej dobrej historii. Wtulila się głębiej w sofę, trzymając kieliszek tuż przy twarzy.

- Kiedy miałam jedenaście lat, Morry zaczął przychodzić do mnie w nocy. Matka nie miała pojęcia. Zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała. A może wiedziała, ale się nie przyznawała. Potem Morry wyleciał z Warners.

Jeszcze podłapywał jakieś fuchy, ale nigdy nie zajmowało mu to dłużej niż kilka tygodni. Uciekałam z domu z tuzin razy, ale policjanci zawsze mnie odstawiali na miejsce. Straciliśmy dom, co bardzo przybiło Morry'ego.

Przez jakieś pół roku przenosiliśmy się z jednej rudery do drugiej, głównie na obrzeżach Hancock Park. A potem pewnej nocy moja matka wyszła z domu i ktoś zabił ją na zapleczu apteki. Nigdy nie znaleziono zabójcy.

Wówczas paliłam już trawę. Po śmierci matki poznałam pewną dziewczynę, Esther Gold. Była bogatą zepsutą dziewczyną, dawała mi amfetaminę i *quaalude*. Trzymałyśmy ze sobą. Pewnego razu Morry zabrał mi torbę i znalazł pigułki, co go natchnęło genialną myślą, że jestem tak zdeprawowana, iż może mnie sprzedawać swoim znajomym za pieniądze i kontakty. I tak robił, kilka razy w miesiącu. Ale choć perspektywa chodzenia do łóżka z przyjaciółmi Morry'ego oraz z nim samym była ohydna, obrzydliwa, straszna, Esther Gold zaczęła mi dawać percodan i dilaudid. Kiedy zjawiali się kumple Morry'ego, odlatywałam.

Otarła łzy z policzków i uśmiechnęła się w przestrzeń.

- Przebrnęliśmy przez moje dzieciństwo, o ile można je tak nazwać, a to znaczy, że pora na naprawdę niezły kawałek: dojrzewanie. Esther

wyjechała do Fairfax, a ja poszłam do liceum, toteż już jej nigdy nie widziałam, ale w liceum było pełno ćpunów i można było kupić co dusza zapagnie. Pewnego razu na angielskim powiedziałam do nauczycielki: „Jestem królową rajy, a ty jesteś wrzodem na tyłku Boga”. Dosłowny cytat. Wyrzuciła mnie z klasy. Poszłam do domu, ale to nie był dom, tylko spelunka, w której mieszkałam z Morrzym. Przez jakieś cztery godziny nie mogłam się ruszyć z miejsca. Wreszcie pojawił się gliniarz i spytał mnie o nazwisko. A ja powiedziałam, że jestem królową rajy. Zaczęła chichotać, z oczu potoczyły się jej nowe łzy. Otarłem je czubkami palców.

- Dziękuję. Wylądowałam w szpitalu. Wreszcie powiedziałam gliniarzom o Morrzym, który trafił za kratki, trzy razy „hurra” dla systemu opieki społecznej w Los Angeles. O samym szpitalu niewiele da się powiedzieć z wyjątkiem tego, że zaczęłam odzyskiwać równowagę. Był tam pewien cudowny człowiek, doktor Deering, psychiatra. Miał jakieś sześćdziesiąt lat i powiedział, że dostałam skierowanie do rodziny zastępczej, ale jeśli mam ochotę, on i jego żona przyjmą mnie pod swój dach. Tylko jemu na całym świecie mogłam ufać, ale i jemu nie ufałam do końca. Ale powiedziałam, że spróbuję. A potem wszystko się zmieniło. Choćbym się zachowywała nie wiadomo jak podejrzliwie albo paranoicznie, zawsze mieli do mnie cierpliwość. Zrozumiałam, na czym to polega, wiesz? Powiedziałam sobie: to mili ludzie. Taka szansa drugi raz ci się nie trafi. Nie spaprz sprawy.

Wypiła trochę wina; twarz zmieniła się jej z odrazy.

- Dla Stewarta Hacha to oczywiście oznacza, że byłam jakimś pasożytem, ale ja kochałam Deeringów. Byłam osobą, której nie chcę pamiętać, a oni się mną zajęli. Wynajęli nauczycieli. Znosili moje wrzaski. Rozmawiali ze mną. Kiedy się nauczyłam zachowywać jak normalny człowiek, zapisali mnie do prywatnej szkoły i pomagali odrabiać lekcje. Studia wydawały się nieosiągalne, kiedy więc zdałam maturę, znaleźli mi pracę recepcjonistki w centrum medycznym w San

Francisco. David i Patsy Deeringowie. Niech ich Bóg błogosławi.

Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Czy Stewart wspomniał, że uciekłam? Na pewno.

Powiedziałem, że nie pamiętam.

- Doktor Deering zawiózł mnie do San Francisco. Znalazł mi mieszkanie. Przez rok dzwoniłam do nich co najmniej raz w tygodniu, a potem Bóg postanowił znowu wrzucić mnie do tej otchłani. David i Patsy zginęli w wypadku samochodowym, kiedy jechali do domu z przyjęcia. Straszne. Wróciłam z ich pogrzebu i wpadłam w taką depresję, że przez miesiąc prawie nie wychodziłam z łóżka. Oczywiście z pracą koniec. Czułam się jak coś, co wypadło kotu z pyska, ale jakimś cudem podłapałam pracę w galerii i pewnego razu na wernisażu przypadkiem poznałam Teddy'ego Wainwrighta.

Stewart na pewno zasugerował, że go wykorzystałam. Nie ma sensu opowiadać wszystkiego od początku, ale potem uświadomiłam sobie, że to zrozumiałe, że zakochałam się w starszym mężczyźnie. Nie mogłabym się zakochać w nikim innym. Teddy mógł być moim ojcem, ale co z tego? Kochał mnie. Boże, jak on mnie kochał. Myślę, że... Pomógł mi się pozbierać już choćby tylko przez to, że był takim wspaniałym facetem. Szkoda, że nie żyje, chciałabym cię z nim poznać. Polubilibyście się.

- A kiedy poznałaś Stewarta, przypominał ci Teddy'ego?

Przysunęła się bliżej, oparła się o moje ramię.

- Czy to nie głupie? Hmm... Nie, właściwie mi się to nie podoba. Jesteś zbyt spostrzegawczy.

- Aż tak ci to nie przeszkadza.

Położyła rękę na moim udzie.

- Ten gość pochodził z miasteczka na jakimś odludziu. Wydawał się dość drętwy, ale na swój sposób czarujący. Nie wiedziałam, że jest chory. Bo jest, lubi krzywdzić ludzi. - Objęła mnie i przytuliła policzek do mojej twarzy. Była rozpalona jak rozgorączkowane dziecko.

95.

Po północy przewróciłem się na drugi bok i dostrzegłem koło łóżka jakąś sylwetkę. Stewart, pomyślałem i poderwałem się. Stewart Hatch zbliżył się do mnie i pochylił, ukazując uśmiechniętą twarz Roberta.

- Chcesz się zamienić? - spytał szeptem.
- Spadaj. Nie, zaczekaj. Muszę z tobą porozmawiać...
- Cccco...? - wymamrotała Laurie.
- Zejdę na dół po szklankę mleka - powiedziałem.

Zasnęła.

Włożyłem koszulę i spodnie. Broń, którą ukryłem pod spodniami, schowałem do kieszeni blezera. Robert ciągle się na mnie gapił z uśmiechem. Bawiła go moja niedoskonałość.

Minęliśmy cicho sypialnię Posy i Cobbiego, zeszedliśmy po schodach. Włączyłem światło nad stołem z blatem z grubej dechy, wyjąłem szklankę z szafki z alkoholem, gdzie znalazłem do połowy pełną litrową butelkę Johnnie walkera.

Robert usiadł na krześle we wnęce przy oknie.

- Czyżby nasza Laurie miała tendencję do popijania? Ty też pozwalasz sobie bardziej niż zwykle.

- Może trochę. Miałem ciężki tydzień. - Uniosłem szklankę. - Za Toby'ego Krafra. Podejrzewam, że był oszustem, ale na pewno życzył Star jak najlepiej. I mnie, jeśli się zastanowić.

- Z całą pewnością na to wygląda - przyznał Robert.

Usiadłem naprzeciwko niego w dość wojowniczym nastroju.

- Interesujące. Chciałbym zbadać, co miałeś na myśli, ale najpierw musisz się przymknąć i wysłuchać, co mam do powiedzenia. Wczoraj w nocy czekałeś na mnie w pokoju, czytałeś książkę Rineharta. Powiedziałaś coś w rodzaju: „Tatuś był kiepskim pisarzem”. Skąd wiesz, że Rinehart był naszym ojcem? Ja ci tego nie powiedziałem.

- Mogę się już odezwać? Skąd wiem o Rineharcie? Z tego samego źródła co ty. Od Star. Nie jesteś jej jedynym dzieckiem.

- Kłamiesz.

- Nie zapominaj, że poszedłeś do stołówki z Nettie i May.

- Byłeś w szpitalu?

- A jak myślisz, skąd te pieniądze wzięły się w twojej kieszeni? Może nie powinienem tego robić, ale nie mogłem sobie odmówić. Potem poszedłem do Star. Pożegnałem się z nią, a ona opowiedziała mi o Rineharcie. Oczywiście tobie zamierzała powiedzieć to samo. I naturalnie mogłem na ciebie liczyć, że rozpoczniesz poszukiwania. Pomimo wszystkich wad jesteś takim odpowiedzialnym chłopcem.

Mogłem się tylko na niego gapić.

- Liczyłeś na mnie...?

- Że zrobisz następny krok. Teraz znowu się zamknę, a ty mnie wprowadź w szczegóły.

- Ależ proszę. Edward Rinehart był synem Howarda Dunstana. Prawie na pewno nieślubnym. Szukał nas przez całe nasze życie. - Opisałem, co powiedział mi Howard Dunstan, ale zasugerowałem, że wiem to od Joy. Opowiedziałem także o spotkaniu z Maxem Edisonem, do którego pojechałem z Laurie.

- Edison dalej boi się Rineharta. Toby też się bał. Nie chciał, żebym wymienił jego nazwisko. Nie powiedziałem tego Laurie, ale myślę, że zginął przez nas. To ona wymówiła jego nazwisko na głos.

Robert chłonał każde moje słowo.

- Nie wiesz, jak Rinehart zabił Toby'ego Krafta, więc nie powinienś się o to obwiniać. Myślałeś, że Rinehart nie żyje. Poza tym Toby miał niebezpieczny fach, i nie mówię o lombardzie. Bądź mu wdzięczny za te pieniądze, i tyle.

- Ciekawe, skąd o nich wiesz?

- Zajrzałem do jego sejfu, pamiętasz? Kiedy wyjąłem dokumenty Hatcha, natrafiłem na testament Toby'ego i jego polisy. Łącznie z

budynkami musi być tego ze dwa miliony. Potraktuj to jak posag.

- Szkoda tylko, że go rozdałem.

Robert spojrział na mnie z autentyczną zgrozą. Potem zmrużył oczy, a kąciki jego ust lekko drgnęły.

- Żartujesz.

Opowiedziałem mu, jak to kazałem Creechowi podzielić spadek.

- Co cię opętało? Czemu palnąłeś taką głupotę?

Wyjaśniłem wszystko i dodałem:

- W końcu to miał być spadek Star, nie mój.

- Nie wierzę własnym uszom. Czy ten prawnik zasugerował, żeby pieniądze do ciebie wróciły, kiedy staruszki kopną w kalendarz?

- C. Clayton Creech zna każdy możliwy trik.

- Możemy czekać jeszcze dwadzieścia lat!

- Ciotki nie wydają pieniędzy. Preferują handel bezgotówkowy.

- Jak położą łapę na kasie, mogą się zmienić we wzorowe obywatelki. Już widzę, jak Clark kupuje największy samochód w mieście. Joy odda Clarence'a do domu starców. Zresztą wszystkie trzy pewnie tam wylądują.

- I dobrze. Jeśli tego potrzebują, będą mogły sobie na to pozwolić.

Do tego służą pieniądze.

- Miały być twoje! Nasze.

- Mam nadzieję, że ich za to nie zabijesz. - To miał być żart, ale sprowokowałem tylko jadowne spojrzenie.

Robert pokręcił głową i odwrócił wzrok.

- Chyba nie zabiłeś Toby'ego, co?

Westchnął i znowu pokręcił głową.

- Powinienem machnąć na ciebie ręką.

- Powiedz, że go nie zabiłeś ze względu na ten spadek.

- Odetchnąłbyś, co? Nie miałbyś powodu się zadręczać ani winić Laurie.

Pomyślałem, że śmierć Toby'ego nastąpiła w bardzo specyficznym momencie, i świat jakby zastygł w bezruchu.

- Ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie. Nie zabiłem Toby'ego Krafta. Przykro mi, będziesz musiał żyć z poczuciem winy.

- Kiedy go znalazłem, siedział za biurkiem. A to znaczy, że został zabity, zanim poszedł do swojego mieszkania na górze. Kiedy się zjawiłeś, był już martwy.

- Niezbyt przyjemny widok. Ale wygląd Toby'ego nigdy nie był miły dla oka. Szkoda, że rozdałeś trzy czwarte jego majątku.

- Ciebie nie potrzebuje pieniędzy.

- Skąd możesz wiedzieć? Mam już dość tej ciągłej prowizorki. Wolałbym się ustabilizować, ustatkować. Jesteś moim funduszem emerytalnym.

- Możesz wejść do dowolnego banku i wyjść z niego z fortuną. Dlaczego zadajesz sobie tyle trudu z Ashleigh Ashton i Laurie Hatch?

- Obiecałem Star, że o ciebie zadbam. Nie ostrzegła cię przede mną, prawda? Jak tylko przetrwamy urodziny, możemy żyć dalej, razem i osobno, osobno i razem, już zawsze.

Nie uwierzyłem mu.

- Dziś po południu mijałem pewien bar i zobaczyłem cię z dziewczyną. Coś się ze mną stało. Zacząłem znikać.

- Ja znikam bez przerwy. Jak daleko to zaszło?

- Ręce zrobiły mi się przezroczyste.

- Nikt cię nie przygotował na pewne aspekty życia Dunstanów. To może oznaczać, że twoja moc się odrobinę powiększyła.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, że cię zobaczyłem?

- Teraz też mnie widzisz. Co więcej, ja widzę ciebie.

- Kiedy tu przyjechałem, byłeś w łóżku z jakąś kobietą. Czulem wszystko. Kochałem się z kobietą, której nie było.

Robert uniósł brwi.

- Naprawdę?

Nie wydawał się niezadowolony.

- Nie wiedziałeś?

- Nie. - Uśmiechnął się. - Interesujące.

Białka jego oczu zdawały się jeszcze bielsze, zęby lśniły jak zaostrzone. Zauważył mój niepokój i wstał.

- Nie spodziewaj się, że mnie zobaczysz podczas pogrzebu, ale przyjdę. Jutro wieczorem porozmawiamy o naszych urodzinach. A tymczasem bardzo cię proszę, postaraj się przeżyć.

- Nie doceniasz mnie.

- To chyba niemożliwe. - Rzucił mi ironiczny uśmiech i przeniknął przez drzwi.

Przyjrzałem się im. Składały się z długiej drewnianej płyty podzielonej poziomymi listwami na dwie równe części. Wstałem, obszedłem stół i wycelowałem palec wskazujący w górny panel. Dotknąłem twardego drewna. Powiedziałem sobie, że jestem Dunstanem, i spróbowałem wcisnąć palec w drzwi. Spłaszczyl się i wygiął.

96.

Siedziałem przy stole Laurie, gapilem się w szklankę i rozmyślałem o bracie, moim cieniu, którego nieobecność ukształtowała całe moje życie. Wiedział, co może się ze mną stać w Middlemount, i uratował mnie przed śmiercią z głodu lub zimna - to Robert flirtował z Horstem, kiedy ja upijałem się w trupa. To on zaaranżował moje spotkanie z Ashleigh, ponieważ wiedział, że doprowadzi ono do kolacji z Laurie Hatch w „Le Madrigal”. A jednak nie przewidział, że oddam trzy czwarte spadku po Tobym Krafcie, i zareagował zaskoczeniem na opowieść o wizycie na New Providence Road. Chciał, żebym sądził, iż wie o mnie wszystko, ale nie wiedział o moim połowicznym zniknięciu na Word Street czy nowej zdolności zjadania czasu.

Wydawał się zupełnie nieświadomy tych chwil, kiedy działałem zgodnie z dziedzictwem Dunstanów, zwłaszcza jeśli moje postępowanie było związane bezpośrednio ze Star. Dosłownie wszystko, czego dowiedziałem się od chwili przybycia do Edgerton, wyzwoliło mnie

spod jego wpływu. Te moje cechy, z których istnienia nie zdawałem sobie sprawy, były mu całkowicie nieznane.

Ale z zachwytem usłyszał, że uczestniczyłem w jego erotycznych podbojach i że zacząłem znikać na Word Street - może chciał, żebym zupełnie zniknął? Od trzydziestu pięciu lat żył na skraju ludzkiej egzystencji niczym głodujący wilk; czy można się dziwić, że chciał więcej? Czy sądziłem, że zamierzał poślubić Laurie Hatch, położyć rękę na funduszu powierniczym rodziny Stewartów, a potem pozbyć się Laurie i Cobbiego? Po ostatnim łyku whisky ta śmiała myśl wydała mi się niemal całkowicie nieprawdopodobna. A jednak nie potrafiłem się jej pozbyć, w związku z czym nie mogłem spędzić tej nocy z Laurie.

97.

Ubrałem się po omacku.

- Zawsze dokądś idziesz - odezwała się zaspana Laurie.

- Muszę się przygotować do pogrzebu.

Podsunęła mi policzek do pocałowania.

- Zadzwoń jutro.

- To samo powiedział ten facet z ostatniej nocy.

Przejechałem koło domów z ciemnymi oknami i znalazłem się na autostradzie. Wielkie ciężarówki wyskakiwały z mroku jak żółtookie potwory, mijały mnie z łomotem i zmieniały się w czerwone iskierki w najdalszej dali. Nieliczne samochody przemykały ulicami Edgerton jak duchy. Znalazłem miejsce przed „Speedway”, przeszedłem na drugą stronę ulicy i skręciłem w Turnip Lane.

W pośpiechu omal nie potknąłem się o człowieka, który leżał na ziemi jak tobołek łachmanów. Pochyliłem się, myśląc, że jeśli to Piney Woods, dam mu na pokój w hotelu „Paris”. Odór niemytego ciała i alkoholu buchał znad obcego o matowych włosach i ze strupami na policzkach. Jego powieki drgnęły, jakby wyczuł moją obecność. Gdzieś w pobliżu inny mężczyzna zachrapał jak piła łańcuchowa.

Na Leather Lane z bramy wytoczył się jakiś facet i padł twarzą na bruk. Z sutereny dobiegł głos kobiety: „Zawsze to samo, zawsze to samo. Zawsze słyszę to samo, dokładnie to samo i mam już tego dość”. Gdzieś zaszumiała spuszczana woda. Metalowa latarnia rzucała mdłe światło. Skrzyłem w Fish.

Przeszedłem jakieś dziesięć metrów, kiedy rozległ się sygnał stary jak świat: ktoś zagwizdał dwa dźwięki, drugi oktawę niżej od pierwszego. Odwróciłem się; ulica była pusta. Spojrzałem przed siebie; z Lavender Lane wyłaniał się Joe Staggers. Roześmiał się, wyprostował i stanął na rozstawionych nogach.

- Proszę, proszę. Ja nie mogę. Będzie zabawa. - Ze zręcznością pływającą z wprawy wyjął nóż z tylnej kieszeni i zrobił ruch nadgarstkiem. Ostrze wyskoczyło z głośnym metalicznym szczękiem.

Obejrzałem się przez ramię. Mały stał pod latarnią.

- Jesteś gotowy, Dunstan? Co, brachu? - spytał Staggers. - Tylko już bez numerów.

Zrobił krok w moją stronę. Wyszarpnąłem z kabury pistolet, odbezpieczyłem i wycelowałem w Staggersa.

- Stój. - Obejrzałem się na Małego, który nawet nie drgnął. - Rzuć nóż.

- O kurczę, chłopcze! Zastrzelisz mnie czy co?

- Jeśli będę musiał. - Wycelowałem w Małego. - Uciekaj stąd. Już!

- On nie strzeli - powiedział Staggers. - Mowię nie ma.

- Rozwalił głowę Młodszemu - odezwał się Mały.

- W życiu do nikogo nie strzelił. Ale zabrał nam pieniądze, jeśli już zapomniałeś.

- To za mało, żeby dać się zabić.

Wycelowałem w Staggersa. Zdążył już zrobić parę kroków.

- Zapomnij o pieniądzach, spróbuj być dla odmiany mężczyzną - powiedział Staggers. - Jeśli kogoś zastrzeli, to mnie.

Obejrzałem się na Małego, nie przestając celować w Staggersa. Kiedy znowu na niego zerknąłem, przykucnął z rękami przyciśniętymi do boków. Uśmiechał się do mnie.

- Mały - rzuciłem - lepiej zmiataj, póki możesz.

- Czarus nikogo nie zastrzeli - oświadczył Staggers. - Chodź!

Usłyszałem, że Mały robi niepewnie krok naprzód; odwróciłem się i wycelowałem w jego pierś. Potem przesunąłem broń nieco na lewo i pociągnąłem za spust. Z lufy bluznął czerwony płomień, wystrzał podrzucił pistolet do góry. Kula uderzyła w ceglana ścianę, odbiła się rykoszetem i rozbiła zabite deskami okno. Mały uciekł. Usłyszałem brzęk pustej łuski o bruk.

Joe Staggers, wciąż przykucnięty, był już cztery metry ode mnie, z nożem w wyciągniętej ręce.

- Umyślnie spudłowałeś, ty gównojadzie.

- Do ciebie nie spudłuję.

- A może rzucę nóż, a ty rzucisz broń? I zaczniemy spokojnie rozmawiać.

- A może się stąd zabierzesz, zanim ci roztrzaskam łeb? - odparłem.

Jeszcze jeden ukradkowy krok. Wycelowałem w jego czoło.

- Odlóż nóż.

- Tak zrobię.

Opuścił rękę z nożem, zerknął na mnie i skoczył jak żaba. Wycelowałem w wielki kształt mknący nad brukiem. Płomień, wybuch, brzęk łuski na bruku. Staggers podciął mi nogi i przewrócił na plecy.

Teraz, pomyślałem, teraz!

Żołądek mi się skręcił. Głowę przeszył ból. Tkanka świata rozplynęła się miękko i przeskoczyłem sześćdziesiąt lat z Joe Staggersem ucze-pionym moich nóg.

Pojawiło się znajome uczucie niestosowności, wyrwania z kontekstu. Fish Lane, pogrążona w oparach końskiego nawozu, piwa i ścię-ków, przechyliła się na boki jak huštawka. Kiedy odzyskałem jasność widzenia, leżałem na plecach parę metrów od wejścia do knajpy. Na

ciemnym niebie lśniło dwa razy więcej gwiazd niż zazwyczaj. Podniosłem głowę; Joe Stagers dźwignął się na kolana. Wiedziałem, co mu zrobić, zanim jeszcze z knajpy wyszła banda mężczyzn w zniszczonych kurtkach i grubych czapkach. Zarechotali z zaskoczeniem. Jeden ruszył w naszą stronę, po chwili dołączyło do niego trzech innych. Stagers wstał i podniósł nóż.

Nie przyszło mi do głowy, że czysta koszula, solidne żółte buty i świeżo obcięte włosy nie przysparzają mi sympatii ludzi, którzy szli w naszą stronę. Nie robił wrażenia bogatego, ale na pewno bogatszego od nich. A wymachiwanie nożem tylko pogarszało sprawę. Odwrócił głowę w moją stronę; na widok bólu i dezorientacji w jego oczach prawie go pożałowałem.

- Gdzie my jesteśmy, do diabła?

Mężczyźni z baru też wyjęli noże.

Jeden wysunął się na czoło grupy. Rozdarte kieszenie kurtki kołysały się jak zajęcze uszy. Jakiś ochryply głos powiedział: „Ten jest twój”.

Rzuciłem pistolet na ulicę; podskoczył na kamieniach. Ten w podartej kurtce zrobił jeszcze jeden krok, a ja uczyniłem to, co należy.

Wokół mnie rozpostarła się ciemność. Ból łomotał mi w głowie, pot lał się po twarzy. Opuszczone budynki i zabite deskami okna spoglądały na mnie ze spokojem. Wyprostowałem się z wysiłkiem. Poczulem zapach kordytu. W oddali, pod latarnią na skrzyżowaniu dwóch uliczek dwaj pijacy wytrzeszczali na mnie oczy. Na Word Street załkała syrena.

- Pobiegł tam! - krzyknąłem, wskazując Fish Lane.

Pijacy odwrócili się chwiejnie, żeby spojrzeć, a ja rzuciłem się pędem w ciemność.

98.

Najpierw jechał karawan pana Spauldinga, potem lśniący buick wujka Clarka, a potem mój samochód z włączonymi światłami.

Przejechaliśmy przez bramę cmentarza Little Ridge i powlekliśmy się po chrupiącym żwirze pomiędzy schludnymi nagrobkami. Karawan zatrzymał się płynnie koło niewielkiego wzniesienia, Clark i ja za nim. Wysiedliśmy. Był piękny słoneczny poranek, niezbyt parny. Nettie i May w ciemnych sukienkach w łączkę i koronkowych kołnierzykach wyglądały jak żony kościelnych. Wujek Clark w garniturze koloru oberżyny, białej koszuli, czarnym krawacie i czekoladowej fedorze z białym otokiem prezentował się elegancko jak nigdy. Kawałek jaskrawozielonej sztucznej trawy leżał na stercie gliny, którą zaparkowany nieopodal żółty buldożer miał wkrótce wtłoczyć pod ziemię. Po drugiej stronie otwartego grobu stało coś w rodzaju wózka widłowego z metalowymi pionowymi szynami i wystającymi kleszczami. W cieniu buldożera przykucnęło dwóch grabarzy. Clark poprawił szykownie przekrzywioną fedorę.

- Myślę o twojej matce dniem i nocą, synu. Cieszę się, że dożyłem jej pogrzebu.

- Wujku - powiedziałem - bez ciebie to by nie było to samo.

Pan Spaulding oraz jego trzech asystenci w czarnych garniturach wyjęli trumnę z karawanu i zanieśli ją na wzgórze. W słonecznym świetle trumna lśniła dziwnym żółtawym odcieniem brązu. Gładkie kontury i zaokrąglone krawędzie nadawały jej wygląd jakiegoś przedmiotu z kosmosu.

- Te mosiężne okucia przetrwają wieki - zapewnił mnie Clark.

Pomogłem May wejść pod górkę; mamrotała coś o upale. Asystenci Spauldinga umieścili trumnę na stojaku nad prostokątnym otworem w ziemi. Przysadzisty mężczyzna w czarnej szacie i okularach w złotych oprawkach rozplótł dłonie, którymi przyciskał do okrągłego brzuszka Biblię w skórzanej oprawie, i przedstawił się jako wielbny Gerald Swing.

- Czy to już wszyscy żałobnicy? - spytał.

- Teraz już tak - powiedziałem. Stare volvo z wgniecioną karoserią właśnie parkowało za moim samochodem. Wielbny Swing

podszedł do otwartego grobu i popatrzył na niego w zadumie.

- Powiedziałaś Joy o pieniądzach od Toby'ego. Zdaje się, że chce oddać Clarence'a do domu opieki.

- Przed wyjazdem znajdę mu gdzieś miejsce, ale jeśli nie zdążę, będziesz się musiał tym zająć z ciocią Nettie.

- Synku, kiedy dostaniemy te czeki?

- Być może za trzy tygodnie.

- Ten strój jest bardzo szykowny, jeśli mogę tak o sobie powiedzieć - odezwał się Clark. Głos mu drżał. - Twoja matka była zdania, że jestem przystojny.

Zajrzałem pod rondo fedory; z jego oczu płynęły łzy.

Suki Teeter wysiadła z volva. Miała na sobie obszerny czarny kostium, ciemne okulary i czarny kapelusz wielkości sombrero.

- To ta dziewczyna, która przyszła do szpitala.

- Ned podarował jej fortunę, choć nie pojmuję dlaczego - odezwała się Nettie.

- Dałem jej o wiele mniej niż tobie i May.

- Neddie, a cóż ty nam takiego dałeś, na litość boską?

Suki uciszyła mnie, biorąc mnie w ramiona i tuląc do mnie złotą mgielkę twarzy.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję, nie potrafię się otrząsnąć!

Pocałowałem ją w policzek.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

- Spotkajmy się po pogrzebie.

Clark lekko uniósł kapelusz i znów wcisnął go na głowę.

- Miło, że panienka się zjawiała. Muszę powiedzieć, że wygląda panienka wyjątkowo atrakcyjnie.

- To samo można powiedzieć o szanownym panu.

Clark zaprezentował wspaniały uśmiech i dopełnił tryumfu, wyjmując z kieszeni na piersiach wielkie okulary w czarnych oprawkach. Wydawało mi się, że widziałem je tego ranka na biurku pana Spauldinga. Rozchylił je takim samym ruchem nadgarstka, jakim świętej pamięci Joseph Stagers otwierał nóż, po czym osadził je na nosie.

Z białego bmw wysiadła Rachel Milton w dopasowanym czarnym kostiumiku, eksponującym prawie całe nogi. Okulary miała większe nawet niż Clark, a raczej, jak podejrzewałem, pan Spaulding. Weszła wdzięcznie na wzgórze i objęła mnie.

- Mój drogi, tak mi przykro. Spotkamy się po pogrzebie?

Przedstawiłem ją ciotkom i Clarkowi, który uchylił kapelusza z zabójczą galanterią. Nettie łypnęła na mnie spođe łba.

- Nie wiem, jak zdołamy umieścić wujka Clarence'a w przyzwoitym domu. Jesteśmy stare i same musimy się o siebie troszczyć.

Rachel zrozumiała aluzję i odsunęła się. Powiedziałem coś krzepiącego, przyglądając się, jak Rachel Milton niepewnie zbliża się do Suki. Po chwili podejrzliwego wahania Suki zrobiła krok w jej stronę i obie padły sobie w ramiona.

Tkwący nad grobem wielebny Swing rzucił mi pytające spojrzenie. Skinąłem głową. Wielebny odkaszlnął głośno i otworzył Biblię, żeby spojrzeć na tekst, jakby chciał go sobie odświeżyć. Potem ją zatrzaskał.

- Zebraliśmy się tutaj, by pożegnać Valerie Dunstan, znaną swym bliskim i przyjaciółom jako Star, i oddać jej duszę Panu.

Zupełnie jakby włączył jakąś funkcję, która obniżyła jego zwyczajny głos do dźwięcznego, wibrującego i donośnego bas-barytonu.

Obejrzałem się na kępę klonów, potem do tyłu, ale nigdzie nie zobaczyłem Roberta.

Choć wielebny Swing nie miał szczęścia osobiście poznać Valerie Dunstan, tych kilka minut ze zrozpaczoną rodziną uświadomiło mu, że Star Dunstan - niech mu będzie wolno używać tego słodkiego przydomku - była kochającą matką, córką i siostrzenicą. Wielebny Swing wie, że Star Dunstan przygotowała tysiące pożywnych kanapek z tuńczykiem, sałatką jajeczną i masłem orzechowym z galaretką dla swojego syna Neda. Wielebny Swing wie, że spędziła wiele nocy przy

łóżeczku małego Neda, kiedy dręczyła go gorączka i choroby wieku dziecięcego. Godzinami prała i prasowała jego szkolne ubranka. Towarzyszyła synowi w zmaganiach z ułamkami i tabliczką mnożenia; wspierała go w pisaniu wypracowań. Wielebny Swing nie mógł się oprzeć ciekawości, czy wspólnie z synkiem zgłębiała chwalebną historię Jerozolimy i Ziemi Świętej, którą wielebny miał szczęście odwiedzić w towarzystwie wspierającej go żony, pani Violetty Puce Swing.

Nettie i May kiwały głowami jak roboty, mnie udało się nie chichotać. Nie wiem, czy Star kiedykolwiek widziała na oczy moje zeszyty. Nigdy w życiu nie zrobiła mi kanapki z masłem orzechowym i galaretką, a prasowała jedynie ubrania, w których występowała. Obejrzałem się na zagajnik; o jeden z klonów opierał się Robert, w niebieskim garniturze - takim samym jak mój. Wspomnienie naszego spotkania w domu Anscombe'ów i scalenia się w jedną osobę przeszło mnie jak rozpalone ostrze. W oczach stanęły mi łzy.

Wielebny Swing zaintonował:

- Matka tego młodzieńca, siostrzenica dostojnych dam, które tu widzę, codziennej inspiracji szukała na kartach tej oto księgi, która zajmowała specjalne miejsce w jej dobrym, prostym sercu.

Pomimo absurdalności tego wizerunku Star, a w jakiś sposób właśnie z jej powodu, uczucia, które obudził widok Roberta, zmieniły się w rozpacz, rozdzierającą mi pierś. Zacząłem szlochać. Wszyscy, włącznie z wielebnym, spojrzeli na mnie ze zdumieniem, ale zamiast się zawstydić, znowu poczułem w sobie silny prąd ludzkiego życia i bardziej niż kiedykolwiek zdałem sobie sprawę, że jestem synem mojej matki.

Kiedy znowu spojrzałem na zagajnik, Roberta już nie było.

Wielebny Swing wezwał nas do złożenia ciała Valerie „Star” Dunstan w proch, z którego powstała, i nakazał nam się radować z uwolnienia jej duszy. Pierwsza połowa tego zdania mi się spodobała. Nawet bardzo. Złóżmy ciało Star Dunstan w proch, z którego powstała. I tak się w niego obróci, więc złóżmy ją, odzianą w najlepszą czarną

sukienkę i ładne perłowe kolczyki, chyba że ciotki już je świsnęły z uwagi na fakt, że żywym przydadzą się bardziej niż umarłej. Miejmy nadzieję, że ziemia przyjmie ją życzliwie, jak innych, ufajmy, że to, co znajduje się w lśniącej kosmicznej kapsule pana Spauldinga, znajdzie zasłużony spokój, czy to w raju, zachwalanym przez wielebnego Swinga, czy też w innym, nieznanym mu królestwie.

Swing zaintonował piękną bas-barytonową modlitwę. Jeden z asystentów pana Spauldinga zdjął z grobu ozdobny płat sztucznej trawy, drugi wszedł do maszyny i nacisnął guzik. Trumna Star osunęła się do wykopu i niemal bezgłośnie spoczęła na jego dnie.

- Gerry Swing mówi ludziom to, co chcą usłyszeć - odezwał się Clark.

Razem z ciotkami zszedł ze wzgórza. Atmosfera stała się lżejsza. Zbita grupka żałobników rozpadła się na poszczególne osoby. Buldożer odchrząknął. Ruszyłem ku Suki Teeter i Rachel Milton; u mojego boku zjawiała się potężna postać w okularach w złotej oprawie i czarnym stroju.

- Wydaje mi się, że znam pańską drogą matkę tak dobrze, jakby należała do mojej parafii - odezwał się wielebny Swing swoim dźwięcznym głosem kaznodziei.

- Bardzo dziękuję. - Dałem mu pięćdziesiąt dolarów, które schował pod szatą.

- Wzruszyłem pana opisem matki?

- Moja matka pękłaby ze śmiechu, słuchając tego kawałka o kanapkach, ale przemówienie było piękne.

- Wiem, że pańska matka była dobrą chrześcijanką - oznajmił wielebny, nadal z włączoną funkcją głośnomówiącą.

- Uwielbiała Billie Holiday i Elle Fitzgerald i śpiewała w klubach. Czy to się liczy? Na swój sposób była fantastyczną matką.

Swing poklepał mnie po plecach i roześmiał się.

- Wie pan, co mi przeszkadza w takich zleceniach? - spytał normalnym głosem. - Zawsze jestem niedoinformowany. Gdyby Will Spaulding mi powiedział, że pańska matka była piosenkarką, poświęciłbym

pięć minut Elli i Billie, ale tak, że ludziom by z wrażenia oczy wyszły na wierzch. To byłoby niezapomniane przemówienie.

- I tak jest niezapomniane - zapewniłem go.

Zszedł po skłonie zbocza, rozdając błogosławieństwa. Nettie natychmiast znalazła się przede mną z May u boku.

- Wielebny ma wspaniały głos - oznajmiła - ale nie chciałabym go słuchać dniem i nocą. I nic nie wie o Star, choć był bardzo uprzejmy dla mnie i May.

- Przypuszczam, że wielebny wywiózł Violetę Puce do Ziemi Świętej w nadziei, że ją po drodze zgubi - dodała May. - Wracasz z nami do domu?

- Wpadnę później.

- Wybierasz się na bibkę z paniami? - spytał Clark, stając obok nas.

- Wielebny pięknie przemawiał, ale Star na pewno by chciała, żeby wspomniał i o mnie. Byłem światłem jej duszy.

99.

Suki lśniła łagodnym blaskiem koło bmw.

- Star i ja chodziłyśmy razem do naszej ulubionej knajpki, „Brennan's” - powiedziała Rachel. - Grennie Milton na pewno nas tam nie zaskoczy. Wiem, że trochę wcześniej na obiad, ale jadłam dziś tylko kubeczek jogurtu o wpół do ósmej.

- Ja wcale nie jadłem - powiedziałem.

- A ja dopiero wstałam. „Brennan's” jest tuż koło mojego domu, a nie byłam tam od lat. To będzie jak podróż w czasie.

- Ciągłe mają tam to zdjęcie - oznajmiła Rachel.

- Ned, nie masz pojęcia, co cię czeka. Wiesz, jak tam trafić? Nieważne, jedź za nami.

- Wiem, gdzie jest „Brennan's” - odparłem. - Ale i tak za wami pojadę.

Suki podryfowała do swojego samochodu.

- Czy ciotka Star musi kogoś umieścić w domu opieki? - spytała Rachel.

- Chodzi o męża Joy, Clarence'a Crothersa. Ma alzheimera w zaawansowanym stadium.

- Grenville umieścił mnie w zarządzie Mount Baldwin, najlepszego domu opieki w południowym Illinois. Mogę zadzwonić do Liz Fanteen, dyrektorki, i załatwić wszystko w pięć minut. Clarence jest gotów do wyjazdu?

- Bardziej gotowy nie będzie.

- Zajmę się tym po obiedzie. Daję ci słowo.

100.

Rachel zaparkowała przed irlandzkim barem na Fairground Road. Suki i ja znaleźliśmy wolne miejsca za rogiem. Kiedy wysiadłem, Suki stała już na chodniku. Patrzyła na mnie trochę nieśmiało.

- Jeszcze nie dość ci podziękowałam za taką hojność. Jesteś zdumiewający. Nawet mnie nie znasz.

- To miały być pieniądze Star. A ona by tak postąpiła.

Objęła mnie.

- Tylko dlatego mogę przyjąć te pieniądze z lekkim sercem, choć tak naprawdę nie stać mnie, żeby odmówić. Chcę tylko, żebyś wiedział, jaka jestem ci wdzięczna.

Weszliśmy do podłużnego, mrocznego wnętrza z lśniącym mahoniowym barem po jednej stronie i drewnianymi ławami po drugiej. W głębi widać było drugą salę. Zza baru uśmiechnął się do nas potężny facet z siwiejącymi skroniami.

- Pani Milton! - powiedział. - Dawnośmy się nie widzieli.

Jego spojrzenie musnęło mnie przelotnie, spoczęło na Star i wróciło do Rachel.

- Życzy sobie pani stolik w głębi sali?

Znowu zerknął na Suki i jego spojrzenie złagodniało. Cała twarz się rozpromieniła.

- Coś takiego, Suki Teeter wróciła do „Brennan's”. W dodatku piękna jak zawsze.

- Bob Brennan, wykapany ojciec - odparła.

- Byłyście wspaniałe. Czy Star Dunstan też przyjdzie?

Igła rozpedzona z prędkością światła przesyłała mi serce.

- Właśnie wracamy z jej pogrzebu - oznajmiła Rachel. - To jej syn Ned.

- Nie - powiedział wstrząśnięty Brennan. - Straszne. Przyjmij moje kondolencje. - Wyciągnął rękę nad barem i uściśnął mi dłoń. - Mój tata zawsze lubił, kiedy Star tu przychodziła. Ja też. Usiądźcie w głębi, zaraz przyniosę wszystko, czego sobie życycie.

Zaprowadził nas do stolika, podał karty dań.

- Pierwsze drinki na koszt firmy.

- Poproszę manhattan. Dziękuję, Bob.

- Ja to samo - dodała Suki.

- Ona też to piła? - spytałem.

- Manhattan bez lodu - powiedział Brennan.

Zamówiłem.

Suki powiodła wzrokiem po ścianach.

- Aż dreszcz przechodzi. Bob wygląda dokładnie jak jego ojciec.

- Musimy pokazać Nedowi to zdjęcie - powiedziała Rachel.

- Jeśli ty to zniesiesz, to ja też. Chodź. Pora na lekcję historii. - Zaprowadziła mnie pod ścianę.

- Boże, tylko spójrz na nas - wyjęczała Rachel.

Trochę ponad poziomem wzroku wisiała fotografia przedstawiająca dziesięć młodych kobiet i dwóch młodych mężczyzn, stojących przy barze w letnich ubraniach. Wszyscy uśmiechali się ze sztucznym rozradowaniem. Star, promiennie piękna, stała pomiędzy olśniewającą młodą Suki Teeter i równie olśniewającą młodą Rachel Newborn.

- Uuu - powiedziałem. To najlepiej oddawało moje uczucia. - To wasza paczka?

- Większość. Sarah Birch, Nanette Bridge, Tammy Wackford, Avis Albright, Zelda Davis, Mei-Liu Chang, dalej Sammie Schwartz. I ta

dziewczyna, która brała benzedrynę i mówiła wierszem.

- Georgy-Porgy - dodała Suki. - Właśnie wydała drugą powieść, ma dwoje dzieci, nie ma męża i jest najbardziej zadowoloną osobą na świecie. Nienawidzę jej.

Spytałem, co się stało z pozostałymi. Zelda Davis studiowała na Harvardzie i dostała pracę w Departamencie Stanu. Sammie Schwartz uciekła z jakimś motocyklistą i teraz uczyła trzecioklasistów w Arizonie. Nanette Bridge była współpracowniczką w kancelarii na Wall Street. Mongirl Thompson zniknęła - dosłownie - po tym, jak powiedziała chłopakowi, że idzie na spacer po plaży.

Brennan przyniósł drinki i przyjął zamówienie: sałatka dla Rachel oraz hamburgery z frytkami dla Suki i mnie.

- A pamiętasz Sujit? A Dużą Indiankę?

- Jak mogłabym je zapomnieć? - powiedziała Suki. - Kiedy Sujit wróciła do Bombaju, wywołała skandal na skalę krajową. Paru członków gabinetu musiało się podać do dymisji. Duża Indianka robi filmy awangardowe. Tak naprawdę nazywa się Bertha Snowbird.

- Widziałem jej filmy - powiedziałem. - Jest bardzo dobra. Która to?

Wróciliśmy pod ścianę i Suki wskazała zawziętą kobietę o prostych czarnych włosach z przedziałkiem pośrodku głowy, muskularnych ramionach i oczach lwicy. Obok niej stał mężczyzna, dwudziestopięcioletni, z profilem bohatera serialu i krótko obciętymi jasnymi włosami.

- Co to za facet? - spytałem.

- Don Messmer.

Messmer uśmiechał się do obiektywu nieśmiało, jak ktoś, kto wie, że jest na obcym terenie, ale spodziewa się samych dobrych rzeczy. Po drugiej stronie grupy o Sammie Schwartz opierał się ciemnowłosy mężczyzna z papierosem w ustach.

- A ten?

- Uczył angielskiego w Albertus - powiedziała Rachel. Uniosła kiełbasek do ust. - Nazywał się Erwin Leake.

Przed oczami stanął mi Piney Woods na ławce w Merchants Park. „Ścigasz cień, co umyka; zaprzestań pogoni lub udaj, żeś zaprzestał, a sam cię dogoni”.

- Dlaczego nie ma tu Edwarda Rineharta?
- Edward nie lubił się fotografować. Suki, pamiętasz, jak...
- Jasne - odparła Suki z ustami pełnymi hamburgera. Podniosła palec i przełknęła. - I ten drugi raz też.

- Dlaczego byliśmy takie głupie? Ktoś robi mu zdjęcie, a on rozbija aparat. Trzy miesiące później Sujit zrobiła mu zdjęcie na ulicy, a on wyrwał jej aparat i prześwietlił film. Nie powinnyśmy zacząć czegoś podejrzewać?

- Uważaliśmy, że podejrzliwość to burżuazyjny przesąd. Jak ci się żyje, Rachel?

Rachel Milton kończyła drugi manhattan.

- Nie za dobrze, szczerze mówiąc. Paskudnie, że Star umarła. A mój mąż uznał, że pora coś zmienić w życiu, mianowicie wymienić mnie na trzydziestopięcioletnią górę lodową.

- Ile ma lat ten twój mąż?

- Siedemdziesiąt dwa, ale to mu nie przeszkadza. Zakochał się. A jak Grennie się zakocha, to nic dla niego nie istnieje. I, oczywiście, wszystko jest w porządku. Wyszłaś za mąż?

- Oficjalnie raz. Nieoficjalnie dwa i pół razy. Zapomniałaś, że wyszłam za Rogera Lathropa!

- Tego klawesynistę, który grał, kręcąc pupą? Właśnie sobie przypomniałam. Chcę jeszcze jednego drinka, ale nie manhattan. Białe wino.

- A ja jeszcze jeden manhattan.

Skinąłem na Boba Brennana.

Suki odwróciła się do mnie.

- Opowiadałam ci o Rogerze. Pojechaliśmy do Popham College, a sześć lat później Uniwersytet Michigan dał mu etat. Oboje byliśmy szczęśliwi, że się wyrwiemy z Popham, możesz mi wierzyć. I wtedy...

- Fatalne słowa - wtrąciła Rachel.
- I wtedy Roger powiedział, że hamuję jego rozwój artystyczny, choć nie chciał, żebym wzięła to za bardzo do siebie.
- Jak się nazywała ta suka? - zainteresowała się Rachel. - Na pewno studentka.
- Sonia Skeffington. Pojechała z nim do Michigan zamiast mnie, a ja wróciłam tutaj. O mężach nieoficjalnych wolałabym nie mówić. Jeden był wspaniały, ale zmarł na codziennej przebieżce. Dwaj pozostali okazali się żywymi niespodziankami.

Dwadzieścia minut później Suki powiedziała:

- Myślałam, że mi serce pęknie, kiedy zobaczyłam Star w szpitalu.
 - Ja też - dodała Rachel.
 - Nie przyszedł do szpitala.
 - Och! Masz rację. Tamtego dnia miałam straszny humor. Wszystkich mieszałam z błotem. - Spróbowała skupić na mnie wzrok. - Ciebie też zmieszałam, prawda?
 - Tylko trochę.
 - Grennie właśnie mi przypomniał, że moje usługi nie są już mile widziane. Suki, mam fantastyczny pomysł. Obie wyjdziemy za Neda.
 - Śmiała myśl - powiedziałem.
 - Chyba za bardzo przypomina Edwarda - odparła Suki. - Ale jest o wiele miłszy.
 - Edward wcale nie był miły. Właśnie to nam się podobało.
 - Edward miał wszystkich gdzieś. Nawet Star. Ale wiesz, kto się o nią troszczył? Don Messmer.
 - Zapomnij. Wiesz, że niektórzy mężczyźni są zbyt przystojni, żeby im to wyszło na zdrowie. Nikt niczego od nich nie wymaga. Don Messmer.
 - Ciekawe, co teraz porabia.
 - Ma bar w Mountry - odezwałam się.
- Obie wybuchnęły śmiechem.

- Rachel, to znaczy... - Suki znowu zaczęła chichotać. - To znaczy, że musi sam siebie okradać.

- Chyba powinniśmy się zbierać.

- Musisz nam wybaczyć - powiedziała Rachel. - Nie widziałyśmy się od dawna. Jesteśmy w dziwnym nastroju.

- Miałaś rację - dodała Suki. - Trzeba wyjść za Neda.

- Zanim weźmiemy ślub, odwiozę was do domu.

- Za chwilę - oznajmiła Rachel. - Dwa pytania. Pierwsze... chcesz umieścić wujka w Mount Baldwin?

- Tak.

- Zajmę się tym. Zapisz mi jego nazwisko, bo zapomnę. - Sięgnęła do torby i wyjęła notes z piórem. Zapisałem nazwisko Clarence'a wraz z dopiskiem „wujek Star, miejsce w Mount Baldwin”. Dodałem jeszcze numer telefonu Nettie.

Rachel przyjrzała się kartce, po czym schowała notes z piórem do torby.

- Pytanie numer dwa. Nie, nie pytanie. Miałam ci coś powiedzieć?

- Nie spiesz się.

- Muszę wracać - powiedziała Suki. - Ned, odwiedzisz mnie?

- Obie was odwiozę.

- Coś ci powiem - oświadczyła Rachel - ale nie wiesz tego ode mnie. Jasne?

- Jasne.

Rachel włożyła ciemne okulary. Miałem wrażenie, że chce się ukryć.

- Mój mąż rzuca mnie dla trzydziestopięcioletniej wampirzycy z Hongkongu, czy to jasne? Wydaje mu się, że wszystko mu ujdzie na sucho. I jego przyjacielowi.

Kto to taki, wiesz? Podaj tylko inicjały.

- S. H.

- Dobrze. Suki, wiesz, co zrobił jego przyjaciel, kiedy poszedł za mną do kuchni w środku imprezy?

- Chwycił cię za cycki i potarł twoją ręką o swojego fiuta - odparła Suki. - Łatwizna.

- Świnia. Grenville robił ze swoim przyjacielem interesy, tak?

- Tak sądzę - powiedziałem.

- I raptem jego ukochany przyjaciel oskarża go o różne rzeczy.

- Jasne.

- A przyjaciel przyjaciela bez wątpienia będzie miał kłopoty, jeśli Stewart też będzie miał kłopoty. Ale nie używamy żadnych nazwisk, zgadza się?

- Na razie samych imion - powiedziała Suki.

- Nie mówię do ciebie. A teraz wyobraźmy sobie, że żona przyjaciela przyjaciela uznała, że obaj zasługują, żeby im utrzcć nosa. Przypuścmy, że zdążyła zadbać o swoje finanse w czasach, kiedy mąż dbał o nią na tyle, że na urodziny zafundował jej operację plastyczną.

- Coś takiego - odezwała się Suki.

- A teraz przechodzimy do pana Edwarda Rineharta.

- Jak to? - spytała Suki. - A, zapomniałam. Nie mówisz do mnie.

- Myślisz, że to jego prawdziwe nazwisko?

- Nie.

- Co? - spytała Suki.

- Jestem drugim wiceprezesem komitetu rocznicowego. Laurie była pierwszym, zanim Stewart ją wykluczył. Posłuchaj. Musisz zobaczyć te zdjęcia.

- Jakie zdjęcia?

- Fotografie.

- Parę naszych rodzinnych fotografii się gdzieś zapodziało - zacząłem i raptem zrozumiałem, co ma na myśli. - Fotografie Edwarda Rineharta. Widziałaś je w bibliotece i poznałaś go.

- Ja tego nie powiedziałam. Co, Suki?

- Muszę natychmiast wracać do domu - oświadczyła Suki. - Naprawdę.

Spytałem Rachel, czy jej pokojówka dziś pracuje.

- Tak, Lulu jest w domu. Bo pracą bym tego nie nazwała.
- Pojadę z tobą do domu, a w drodze powrotnej przywiozę Lulu.
- Myślisz, że nie pamiętam tego, co powiedziałam o twoim wujku.

Ale dałam ci słowo.

Pomogłem Suki wstać z krzesła. Wychodząc, wziąłem z baru pudełko zapalek firmowych. Postanowiłem zadzwonić dziś do Boba Brenna.

101.

Gospośia Rachel, Lulu White, pomogła mi wywabić Suki z bmw do galerii, gdzie jeden z młodych asystentów przysiągł, że położy ją do łóżka. Wróciłem do mojego samochodu i pojechałem na Grace Street.

Kobieta z recepcji wskazała mi drzwi na zapleczu czytelní. W szarym urzędowym korytarzu odnalazłem szare urzędowe drzwi z tabliczką „Asystent bibliotekarza”. Zapukałem, a Hugh Coventry zaprosił mnie do środka.

Pod ścianami pomieszczenia wielkości sypialni stały metalowe półki pełne książek i teczek. Hugh Coventry, ledwie widoczny zza stert papierzysk na biurku, z zamkniętymi oczami trzymał słuchawkę przy uchu.

- Wiem, wiem. Rozumiem. - Otworzył oczy, żeby sprawdzić, kto wszedł, i jego jasna cera przybysza z „Mayflower” poróżowiała. Pomachał mi ręką i wskazał wolne krzesło. Potem zrobił skomplikowany, trzepotliwy gest symbolizujący bezradność w obliczu niespodziewanych komplikacji.

- Żałuję, że nie potrafię tego wytłumaczyć. - Znowu zamknął oczy.
- Z całym szacunkiem, problem nie polega na moim zarządzaniu. W końcu to ja doprowadziłem tę bibliotekę do... Nie, proszę pana, mówimy o bibliotece. Wszystkie materiały są tutaj.

Usiadłem i zacząłem udawać, że nie słucham.

- Proszę pana, mam gościa... Tak, odpowiadam za postępowanie mojego personelu... Cóż, istnieje jeszcze jedna instancja... Sądzę, że

któryś ochotnik pomylił teczki.

Wyciągnął szyję i przyłożył wolną rękę do czoła.

- Tak, pani Hatch była tu wczoraj rano... Nie, tylko przez chwilę... Tak, jeśli będzie trzeba... Dobrze.

Odłożył słuchawkę, opuścił głowę i ścisnął skronie.

- Obłąd - wyjęczał. Podniósł głowę, wstał i wyciągnął do mnie rękę.
- Cześć, Ned. Miło, że wpadłeś. Czuję się jak w Centrum Dunstanów.

- Poznałeś moje ciotki.

- Uroczę kobiety. Przyszły tu z Laurie, choć nie widzę powodu, żeby informować o tym pana Hacha. Pani Rutledge i Huggins były pod wrażeniem naszej organizacji, ale wrażenie byłoby większe, gdybym znalazł ich zdjęcia. Gubimy rodzinne pamiątki na prawo i lewo.

- Opowiedz mi, jakie masz sposoby selekcji.

Rozmowa o szczegółach administracyjnych jakby go uspokoiła.

- Twoje ciotki podarowały nam właśnie to, czego szukał komitet. Parę studyjnych portretów z każdego pokolenia, zdjęcia z ulicy, zadziwiająca fotografia hotelu „Merchants” w budowie. Zwróciłem im to, z czego nie zamierzałem skorzystać, a resztę schowałem do opisanego pudełka, żeby dokonać ostatecznej selekcji. W tamtych czasach ze wsząd nadpływały fotografie i nie chciałem się w tym pogubić. Wtedy pracowaliśmy jeszcze w ratuszu.

- Kto dokonuje ostatecznego wyboru?

- Wówczas wiceprezesi, a może raczej wiceprezeski. Laurie i pani Milton. Dwa razy w tygodniu wysyłałem wybrane zdjęcia do ich gabinetu na tym samym korytarzu. Zgodziły się na wybrane przeze mnie zdjęcia Dunstanów, które zostały odłożone do pudełka. Gdzieś pod koniec września zaczęło nam się robić ciasno, więc przeniosłem wszystko z ratusza do piwnicy w tym budynku. Kiedy chciałem zajrzeć do akt Dunstanów, znalazłem pudełko, ale bez teczki. A teraz, jak już pewnie wiesz, to samo przydarzyło się z teczką Hatchów.

- Od dawna jej nie ma?

- Nie wiem! Pan Hatch wysłał swoje zdjęcia w lutym. Wczoraj rano

zadzwoił i powiedział, że chce dokonać pewnych zmian we wkładzie jego rodziny w wystawę, toteż zanotowałem, że mam mu odesłać teczkę. Dziś koło południa zadzwoił znowu, żądając zwrotu teczek. Natychmiast! Zszedłem na dół i... wiesz co. Wpadł w furję. Stewart Hatch nigdy nie ma problemów z uzewnętrznianiem uczuć, tak bym to ujął.

- Tyle teczek, a zginęła akurat jego.

- Właśnie. Oczywiście tak naprawdę nie mogła zginąć. Na pewno podczas przeprowadzki któryś ochotnik odłożył pudełko w niewłaściwe miejsce. Znajdę je i wasze rodzinne zdjęcia także, ale to będzie strasznie żmudna robota. - Wydał niemal bezgłośnie westchnienie. Potem wrodzona uprzejmość kazała mu się rozpogodzić i wyprostować. - Może pokażę ci nasz projekt?

Sprowadził mnie po metalowych schodach do dawnej służbowej stołówki. Szare ślady na cementowej podłodze zdradzały miejsce dawnych lad. Stoliki zostały ustawione na środku podłogi w podkowę. Dwie siwowłose kobiety, jedna w podkoszulku z napisem „Greenpeace”, druga w jasnoniebieskim dresie, oraz szesnasto- lub siedemnastoletni chłopak z różowymi włosami, kolczykiem w nosie i obwiedzionymi na czarno oczami sortowali sterty kopert.

- Cześć, ludzie - odezwał się Coventry. - Pozwólcie, że przedstawię wam Neda, przyjaciela pani Hatch. Ned, to Leona Burton, Marjorie Rattazzi i Spike Lundgren. Muszę powiedzieć, że pan Hatch nie jest z nas zadowolony.

- Trochę to potrwa - powiedział Spike. Spojrzał na mnie z urazą i machnął chudą ręką na pudła z teczkami, które stały pod trzema ścianami.

- Wiem, że nie będzie łatwo - odparł Coventry. - Ned, pozwól, że ci pokażę, gdzie powinny się znajdować.

Z półki na ścianie zdjęł czarne archiwalne pudełko. Na białej kartce w metalowej ramce widniały litery D-E. Pod nimi znajdowały się nazwiska: Dunstan (p. Annette Rutledge), Dorman (p. Donald Dorman,

p. George Dorman), Eames (panna Alice Eames, panna Violet Eames). Postawił pudełko na stole i zdjął przykrywkę. W środku znajdowały się listy i wydruki komputerowe.

- To pierwszy list pani Rutledge do nas oraz moja odpowiedź. Potem lista zdjęć, które zatrzymaliśmy, oraz oddzielny spis numerów porządkowych zdjęć na naszej wystawie.

Coventry wskazał tablicę podzieloną na części, niektóre oznaczające poszczególne lata, inne uporządkowane tematycznie, na przykład „Parostatki”, „Rozwój miasta” i „Czasy prosperity”. Trzy czwarte każdej sekcji zajmowały nazwiska i liczby.

- Zdjęcia Dunstanów powinny się znajdować pod tym materiałem. Niestety, nie ma ich, więc musimy je znaleźć.

Odłożył pudełko na półkę.

- Materiały Hatchów znajdowały się tam. - Przeszliśmy dalej i Coventry wyjął pudełko z literą H - „Rodzina Hatchów (p. Stewart Hatch).

- To jeszcze trudniej zrozumieć niż zagubienie materiałów Dunstanów. Mamy tu dwie oddzielne teczki, jedną ze zdjęciami i reklamami dotyczącymi targowiska oraz innymi sprawami rodziny Hatchów. Druga zawierała portrety studyjne oraz parę zdjęć klasowych z Edgerton Academy. Warte swojej wagi w złocie.

- I tego szukał, tak? - spytał Spike.

Leona Burton i Marjorie Rattazzi spojrzały na niego ze zdumieniem. Spike machnął rękami i pochylił się ku nim.

- Pań tu nawet nie było, kiedy to przyszło. Był tylko dziubus Hugh, ja i Florence Flutter.

- Flutter - poprawiła Marjorie Rattazzi, ta w dresie. - Flutter.

- Kiedy Florence Flutter chciała sobie przypomnieć, czy R jest przed czy po S, musiała recytować cały alfabet. A ja musiałem po niej poprawiać sześć razy dziennie. Jeśli coś nie pasuje, nie trzeba detektywa, żeby zgadnąć, czyja to robota. I jeszcze jedno. Zawsze

wstrzymywała oddech, kiedy wchodziłem do pokoju, ale to ona śmiedziła.

Coventry spojrzał na mnie przepaszająco i ze smutkiem.

- Pani Fluther przez wiele lat pracowała w bibliotece i wszyscy doceniamy jej wkład.

- Jasne - powiedział Spike - ale jemu chodzi o materiały Hatchów, tak? Przeszukaliście z Marjorie materiały Dunstanów, lecz... - Spike odwrócił różową głowę i przyjrzał mi się uważnie. Jego policzki zarumieniły się rumieńcem.

- Myślałeś, że interesują mnie zdjęcia Hatchów?

- Hugh, dziubus, daj mi jakąś inną robotę, co? Mam kłopoty ze wzrokiem.

Coventry kazał mu iść na górę i poukładać książki. Spike czmychnął.

- Ten chłopiec nie jest wcale taki straszny, jak mi się wydawało, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy - odezwała się Marjorie Rattazzi - ale nie rozumiem połowy tego, co mówi. - Uśmiechnęła się do mnie. - Byłam tutaj, kiedy pan Coventry przyszedł z panią Hatch i pańskimi ciotkami. Takie kobiety są bardzo silne, prawda?

- Jak tury - powiedziałem.

102.

Ciotki chłoneły serial, siedząc ramię w ramię na tapczanie, z rękami splecionymi na brzuchach i siwymi głowami pochylonymi w drapieżnym skupieniu. Clark garbił się w fotelu na biegunach.

- Dobrze, że nie jestem włamywaczem - odezwałem się.

- No to witaj, nieznajomy - powiedziała Nettie.

Clark mlasnął i spojrzał na mnie żółtym okiem.

- Może przypadkiem kupiłeś po drodze piwo?

- Wybacz.

- Jeszcze zostało parę w lodówce. Chętnie bym się napił. Ty też się poczęstuj, jeśli masz ochotę.

- Na stole stoi zapiekanka z tuńczykiem - oznajmiła Nettie. - Znajdź sobie jakiś talerz.

- Drogie panie, chcę z wami porozmawiać.

- Och, już wiemy! - zawołała May.

Wyjąłem dwie butelki z lodówki, zdjąłem kapsle i wróciłem do salonu. Clark przyjął piwo tak, jak władca przyjmuje podsuwane krzesło, nie patrząc.

- O czym wiecie?

- Skończyłam się zajmować tym wszystkim dwie sekundy przed twoim przyjściem - rzekła Nettie. - Moje siostry i ja wiemy, że postępujemy słusznie.

Clark oderwał butelkę od warg.

- Może powinienem podążyć w ślad za Clarence'em i zamieszkać obok niego. Po takiej tragedii człowiek zaczyna mieć różne dziwne myśli.

Spojrzałem na Nettie.

- Już się odezwali z Mount Baldwin?

- Rozmawiałam z panią Elizabeth Fanteen. Jest dyrektorką Mount Baldwin. Pytała o ciebie, ale ponieważ cię nie zastała, z radością porozmawiała ze mną. Może się zdziwisz, ale ta wytworna pani Milton zadzwoniła do Mount Baldwin i znalazła miejsce dla Clarence'a. Pani Fanteen mówi, że Clarence może się zjawić w każdej chwili.

- Cudownie.

- Potem spytała, jak wyglądają sprawy finansowe Clarence'a. Zapewniłam ją, że moja siostra i jej mąż są nędzarami.

- Lepiej rozmawiam z Creechem.

- Rozmawiałam z panem C. Claytonem Creechem zaraz po rozmowie z panią Fanteen. Być może ma dość szczególne maniery, lecz jest człowiekiem, który z niejednego pieca chleb jadł. Jeśli zdołasz z siebie wykrzesać trochę inicjatywy, pan Creech zaprasza cię jutro o dziewiątej rano na podpisanie dokumentów.

- I będziesz miał jeszcze mnóstwo czasu, żeby się zjawić na pogrzebie - dodał Clark.

Znowu spojrzałem na Nettie.

- Pan Creech poinformował mnie, że pogrzeb odbędzie się jutro o dziesiątej rano. Chcielibyśmy, żebyś reprezentował naszą rodzinę.

- Pójdę.

- Chcę trochę tej zapiekanki - powiedziała Nettie. - Tylko dla towarzysztwa.

- Ja też się skuszę na parę kęsów - dodała May.

- Wchodzę w to - dorzucił Clark. - Jedzenie przegania smutki.

Przyniosłem talerze i widelce i przyglądałem im się, kiedy jedli.

- Powiedziałeś, że dzwoniłaś do Laurie Hatch?

- Chyba tak - przyznała się Nettie. - Piękna młoda kobieta. Serce mi się łamie na myśl, że jej mąż jest podejrzany o przestępstwo.

- Powiedziałeś, że zastanawiasz się, czy do niej zadzwonić. Nie wspomniałaś, że poszłaś też do biblioteki.

Nettie skarciła mnie spojrzeniem.

- Pani Hatch jedynie pomogła mojej siostrze i mnie wyjaśnić to nieporozumienie z fotografiami, które zgubił pan Coverly. Ten człowiek nie potrafiłby zauważyć nieba, nawet gdyby leżał na plecach na polu.

- Coverdale - poprawiła ją May. - You Coverdale. Na pewno nie jest stąd. Tutaj ludzie nie nazywają swoich dzieci You.

- Hugh - powiedziałem. - Hugh Coventry.

- Wyjątkowo nerwowy człowiek - zauważyła May. - Szkoda, że ludzie czasami mają takie problemy.

- Moim zdaniem denerwował się z powodu pani Hatch - oznajmiła Nettie.

Nawiedził mnie spontaniczny, niemal żartobliwy cień myśli. Spytałem bez zastanowienia:

- Pani Hatch pewnie nie wspomniała o innych fotografiach?

- Nie pamiętam - powiedziała Nettie. - O jedenastej chcielibyśmy ci urządzić urodziny, jeśli znajdziesz wolną chwilę pomiędzy licznymi zajęciami.

- Zmieniasz temat.

- Pani Hatch prosiła, żebyśmy przekazały pozdrowienia dla Neddiego. Mówiłam ci, Neddie? Twoja przyjaciółka prosiła, żebyśmy ci przekazały pozdrowienia.

Uśmiechnąłem się do May.

- Chcesz powiedzieć, że wyszłaś z biblioteki z pustymi rękami?

- Na litość boską, tylko idiota przepuściłby taką okazję. Znalazłam mnóstwo przydatnych rzeczy. Całe pudełko gumek recepturek, aż dwa pudełka takich ładnych dużych spinaczy do papieru i stempel, na którym można zmieniać cyferki. Możemy stemplować książki!

- Przecież nie masz żadnych książek.

Uśmiechnęła się jak kot.

- No tak. Czy mogę zadzwonić do Rachel Milton?

- Skoro musisz...

- Nie do wiary - rzekłem, kiedy w słuchawce rozległ się głos Rachel. - Strasznie szybko zadziałałaś. Dziękuję.

- Zdrzemnąłam się, a potem wypiałam dwie filiżanki kawy. Liza Fanteen obiecała, że dopracuje szczegóły i zadba o wszystko. Jest genialna. Nawiasem mówiąc, jakąś godzinę temu przyleciał Grennie, wściekły jak nieboskie stworzenie. Zamknął się w gabinecie i wykonał z milion telefonów. Potem znowu wybiegł, krzycząc coś o spotkaniu ze Stewartem. Raz w życiu nie wydaje mi się, żeby kłamał. Powiesz Laurie, jeśli się z nią skontaktujesz? Łatwiej będzie mi pomagać, jeśli będę wiedziała, że Stewart pójdzie do więzienia.

Parę minut później poszedłem na drugą stronę ulicy, gdzie w drzwiach stała Joy. Opowiedziałem jej o Mount Baldwin. Ku mojej uldze Joy była zachwycona. A czy słyszałem najnowsze wieści? Wydarzyła się jeszcze jedna cudowna rzecz - Toby Kraft wykitował i został wszystkim fortunę!

103.

Kilka minut po trzeciej minąłem wystawę sklepu na Fairground Road i skręciłem w Buxton Place. Słońce raptownie zgasło. Domki z

gotyckimi dachami wyglądały jak złośliwe krasnoludy. Miałem wrażenie, że wirują na kołowrocie, i przez chwilę chciałem wracać do siebie i zdrzemnąć się.

Okna domu numer jeden pokazały mi tylko moje odbicie. Tak samo było w domu obok. Marnowałem tu czas. Odpowiedzi, których szukałem, mogłem znaleźć w terażniejszości, nie przeszłości, a drzemka była moim najlepszym pomysłem od czasu, kiedy powiedziałem wielebnemu Swingowi o upodobaniu mojej matki do muzyki. Przyszło mi do głowy coś, o czym Star wspominała dawno temu, gdy opisywała mi saksofonowe solo w „These Foolish Things” na koncercie przed moim narodzeniem. Znowu ją zobaczyłem, boleśnie rzeczywistą. Odwróciłem się, zrobiłem krok w stronę oślniewającego promienia światła na końcu ulicy, a wtedy zza rogu wyłonił się mężczyzna w czarnej czapce Kangola i niebieskiej koszulce z krótkimi rękawami. Zniknął w cieniu. Szedł, lekko utykając i szukając właściwego klucza w dużym pęku. Jego ciemna skóra miała zszarzały odcień, jakby zbyt długo była pozbawiona słonecznego światła.

- Pan Sawyer? - zawołałem. - Jak się pan miewa?

Earl Sawyer drgnął i podniósł głowę.

- Jestem Ned Dunstan. Widziałem pana na OIOM-ie w Świętej Annie.

- Przypominam sobie. - Zrobił wolno krok naprzód, potem drugi.

- Jak się pan czuje?

Sawyer znalazł właściwy klucz.

- Dobrze. Wyszedłem ze szpitala jeszcze tamtej nocy. Po kilku godzinach dokuczała mi już tylko głowa. Nawet siniaki znikły. Nigdy mi długo nie pozostają. Co pana tu sprowadza?

- Moja matka знаła właściciela tych domów.

Przechylił wyczekująco głowę.

- Zmarła pięć dni temu. Miałem nadzieję, że będę mógł z nim porozmawiać.

Jego oczy jakby zmieniły kształt.

- Byli tak blisko?

- Kiedyś.

- Jak się nazywał ten przyjaciel pańskiej matki?

- Edward Rinehart.

- Pomylił pan adres, przykro mi. Przychodzę tu dwa razy na tydzień od dziesięciu, piętnastu lat i nigdy o kimś takim nie słyszałem.

- Nie, nie pomyliłem się. Kto pana wynajął? Właściciel?

- Możliwe.

- Czy nazywał się Wilbur Whateley? Albo Charles Dexter Ward?

Z twarzy Sawyera jakby uciekło życie; jego spojrzenie na chwilę stało się nieobecne. Na wargach pojawił się nieśmiały uśmiech. Sawyer zerknął na drzwi tajni.

- Tym mnie pan zaskoczył, przyjacielu.

- Zauważyłem.

Zachichotał.

- Myślałem sobie: facet wszystko pomylił, a pan mi tu wyjeżdża z Charlesem Dexterem Wardem.

- Zna go pan?

- Nigdy go nie widziałem. - Sawyer podszedł do mnie i stanął twarzą w stronę wylotu uliczki, jakby dla upewnienia się, że nikt nas nie podsłucha. - Odpowiedziałem na ogłoszenie w „Echu”. Trzydzieści dolarów tygodniowo za dogłądanie obu domów w środy i soboty. Teraz pięćdziesiąt za tydzień. Pięćdziesiąt dolców tygodniowo za krótką podróż autobusem tam i z powrotem.

Pokiwał głową, jakby mówiąc, że to lepsze niż kradzieże i dwa razy łatwiejsze.

- Jak się kontaktujecie?

- Pan Ward dzwoni do mnie co sobota, punktualnie o szóstej wieczorem. „Jakieś problemy?” - pyta. „Żadnych”, odpowiadam. W poniedziałek rano taki chłopak z Lavender Lane przynosi mi kopertę z pięcioma dziesięciodolarówkami. Nolly Wheadle. - Zachichotał na wspomnienie chłopca, który wyprowadził mnie z Hatchtown tej nocy, kiedy

Robert po raz pierwszy mi się pokazał. - Pewnego razu, bardzo dawno temu, byłem cholernie przeziębiony i przegapiłem jedną środę. Pan Ward zadzwonił do mnie w sobotę, a ja jak zwykle powiedziałem, że nie było żadnych problemów. I wtedy... powiedzmy, że nauczyłem się go nie okłamywać. W następnej kopercie było tylko dziesięć dolarów.

- Skąd wiedział?

- Nie mam pojęcia. Przychodzi tu dwa, trzy razy w miesiącu. W numerze pierwszym stoją szklanki w zlewie. W numerze drugim na stole jest inna sterta książek.

- Wiem, że proszę o ogromną przysługę, ale czy mógłbym się tam rozejrzeć?

Wydał usta i zabrzączał kluczami.

- Pańska matka знаła pana Warda?

- Tak.

- Jak się nazywała?

Powiedziałem. Uderzył kluczami o dłoń i znowu się zadumał.

- Tylko niech pan nie dotyka rzeczy pana Warda.

Otworzył drzwi numeru pierwszego; ukazały spleśniałą, czarną jak węgiel przestrzeń pełną upiornych kształtów. Zniknął po lewej stronie; usłyszałem kliknięcie włącznika. Kinkiet rzucił niezdecydowane światło na salon Edwarda Rineharta. Po prawej stronie stały puste półki. Na półce koło kominka znajdował się wzmacniacz Fishera, magnetofon szpulowy oraz adapter stereo, na którego widok w roku 1957 wszystkim białły oczy. Nad sprzętem wisiał plakat z hiszpańskiej korridy oraz reprodukcja „Trzech muzykantów” Picassa. Po drugiej stronie koło kominka znajdowała się półka z płytami, dalej - wąskie drzwi. Sofa i trzy krzesła osłonięte prześcieradłami były upiornymi kształtami, które zobaczyłem od progu.

- Drzwi prowadzą do numeru drugiego - poinformował mnie Sawyer.

Tutaj Rinehart organizował imprezy i prywatne wykłady. Stawał przed kominkiem i czytał ustępy swojej książki. Siadał w wyszukanej pozie na sofie i szeptał prowokacje. Studentki z Albertus, biedny

potępiony Erwin „Pipey” Leake i ludzie w rodzaju Donalda Messmera zjawiali się na Buxton Place i wnosili tu swoje rozliczne namiętności.

Earl Sawyer przeszedł przez pokój do kuchni, gdzie w metalowym cebrzyku leżała góra śmieci. Udaliśmy się na górę i zajrzeliśmy do pokoju z pozbawionym pościeli podwójnym łóżkiem, dębową komodą i stołem.

- Coś tu pana interesuje?

- Wszystko - odparłem. W tym łóżku prawdopodobnie zostałem poczęty. Robert jakby się koło mnie zmaterializował - czułem jego natarczywą obecność - i zniknął, nie przybierając namacalnych kształtów.

- Co?

- Wydawało mi się, że coś słyszę.

- Takie domy mają własne odgłosy.

Na dole otworzył drzwi koło półki z płytami. Pokój ział czernią jak opuszczona kopalnia.

- Proszę poczekać, zapalę światło.

Wszedł w mrok i stał się gęstym cieniem. Usłyszałem jakieś łupnięcie i szurnięcie drewna o drewno, potem kolejne łupnięcie, jakby otwierano i zamykano szufladę.

- Zawsze wpadam na ten cholerny stół.

Włączył lampę na stole. Ujrzałem ścianę pełną półek z książkami. Sawyer przeszedł do większego stołu na środku pokoju i włączył lampę wśród stosów pożółkłych gazet i pustych pojemników po jedzeniu. Ze wszystkich stron ukazały się wysokie półki.

- Proszę.

Rinehart zmienił swój dom w bibliotekę. Półki ciągnęły się aż pod dach i w głąb domu. Żelazna drabina sięgała do krużganku z balustradą. W tym pokoju znajdowały się tysiące książek. Spojrzałem na grzbiety: H.P. Lovecraft, H.P. Lovecraft, H.P. Lovecraft. Podeszedłem do drabiny, wspiąłem się na kilka szczebli. Półki zapełniały niezliczone egzemplarze wszystkich wydań dzieł Lovecrafta oraz tłumaczenia na każdy możliwy język. Pierwsze wydania, wydania broszurowe, wydania

kolekcjonerskie, wydania biblioteczne. Niektóre były całkiem nowe, inne jakby z antykwariatu. Rinehart poświęcił wiele czasu i pieniędzy na rzadkie wydania, ale także kupował każdy tom dzieł Lovecrafta, bez wyboru.

- Zdaje się, że wiem, kto jest jego ulubionym pisarzem.

- Pan Ward uważa, że H.P. Lovecraft jest największym pisarzem świata. - Sawyer powiódł wzrokiem po półkach z cichą, wtórną dumą. - Wiele lat temu zacząłem po pracy czytać parę opowiadań. Pan Lovecraft zamieścił w nich wiele, ale nie wszystko, co wiedział. Miałem mnóstwo czasu na rozmyślanie.

Oto źródło jego dumy - własne teorie na temat Lovecrafta.

- Mam nadzieję, że wie pan, co to przypowieść?

- Chodziłem do szkółki niedzielnej.

Jego uśmiech zniknął, gdyż to, co miał do powiedzenia, było sprawą zbyt wielkiej wagi.

- Przypowieść to historia z ukrytym znaczeniem. Można go nie dostrzegać, ale tam tkwi.

- Niektóre przypowieści mają wiele znaczeń - odparłem. - Im dłużej się nad nimi zastanawiać, tym mniej wiadomo, o czym mówią.

- Nie, pan je źle czyta, w ten sposób na nic się nie przydadzą. Przypowieść ma tylko jedno znaczenie, a cała sztuka polega na tym, żeby je znaleźć. Historie pana Lovecrafta są takie same. Mogą wiele nauczyć, jeśli ma się dość sił, żeby zaakceptować prawdę.

Taki sam zachwyt widziałem na twarzach ludzi, którzy oddają się teoretyzowaniu o rozgałęzionym spisku łączącym zabójców Kennedy'ego, FBI, gangsterów, przemysł zbrojeniowy i satanistów. Zawsze otaczał ich smród szaleństwa.

- Niech pan tu spojrzy - Sawyer wskazał półkę pełną egzemplarzy „Z otchłani”. - To książka jego przyjaciela. Pan Ward powiedział, że powinna być znana, i miał rację. Świetna rzecz. Chyba moja ulubiona.

Spojrzał mi w oczy.

- Więc mówi pan, że pan Ward i Edward Rinehart to ta sama osoba? Rinehart to pseudonim?

Chciał mi udowodnić, że zna się na sprawach tego świata.

- Tak jak Charles Ward.

Jego chorobliwie szara twarz się zasepiła.

Na końcu półki dostrzegłem książkę wyglądającą na pierwsze wydanie „Koszmaru w Dunwich”. Wyjąłem ją; na skrzydełku okładki ujrzałem napis ołówkiem: W. Wilson Fletcher, Akademia Wojskowa Forteca, Owlsburg, Pensylwania, 1941 r.

Earl Sawyer zmaterializował się u mojego boku jak rozgniewany dzinn. Wyszarpnął mi książkę.

- Przepraszam, powinienem wspomnieć. - Włożył tomik na miejsce. - Pan Ward powiedział, żeby tej książki nigdy nie dotykać. Można powiedzieć, że to święta księga.

Przerwał mi przeprosiny w pół słowa.

- Niech pan już idzie. Popełniłem błąd.

104.

W drodze przez południowy kraniec College Park poczułem w dłoniach mrowienie, jakby ukłucia igiełek niedostrzegalnych gołym okiem. Spuściłem wzrok i zobaczyłem na kierownicy dwa zamazane kształty podobne do rąk.

- Jak ty to robisz? - odezwał się głos z tylnego siedzenia.

- To ty to robisz! - wrzasnąłem.

- Nie popadaj w paranoję - doradził Robert. - Już po wszystkim. Patrz.

Kierownicę ścisnęła całkowicie normalne ręce.

- Potrafię to wyjaśnić, ale byś nie zrozumiał. - Poklepał mnie po ramieniu. - Co porabiałeś w College Park? I co nowego na froncie Joe Staggersa?

- Nie wiesz?

- Nie mogę wiedzieć wszystkiego. - Zaplótł dłonie na zagłówku siedzenia obok mnie. - No, mówże.

- O Joe Staggersie możesz zapomnieć - oznajmiłem i opisałem spotkanie z Earlem Sawyerem.

- To mi nasuwa pewien pomysł. A na razie bierz kurs na Ellendale. Wydaje mi się, że Stewart Hatch ukrywa coś, co jest nam potrzebne.

Tajemnicze ograniczenia Roberta zeszyły na drugi plan w obliczu możliwości, że Hatch sam sobie rąbnął rodzinne zdjęcie.

- Nie ma go w domu - ciągnął Robert. - Otrzymał dziś niepokojące wiadomości. Razem z Grenville'em Miltonem konferują właśnie z prawnikiem.

- Nie zamierzam się włamać do jego domu.

- Nie musisz. Wejść i ci otworzę.

- Nie potrzebujesz mnie do pomocy.

- Kto to wie? Możesz się czegoś dowiedzieć o Laurie. A tymczasem wyjaśnij mi, dlaczego powinienem zapomnieć o Joe Staggersie.

Powiedziałem, że tego by nie zrozumiał.

105.

Posy Fairbrother, z jedną nogą na ziemi, kolanem wsparta o jeepa, pochylała się przez tylne drzwi, żeby zapiąć Cobbiego w foteliku. Wyglądała jak wyidealizowana postać na fryzie.

Robert westchnął.

- Szkoda, że jest zbyt zasadnicza, żeby się zabrać do kochanka swojej pani. Skręć w lewo, jest Bayberry.

Kanciasty współczesny dom Stewarta stał na nagiej działce u wylotu pierwszej ulicy za Blueberry. Minąłem go i zaparkowałem za zakrętem, na Loganberry.

W rozpalonej zielone pustce przeszliśmy przez trawnik i weszliśmy po schodkach na szary drewniany podest.

- *Momentito* - powiedział Robert. Wsiąkł w tylne drzwi i otworzył

je po nieco dłuższej chwili, niż oczekiwałem. - Stewart nie zainstalował systemu alarmowego. Podejrzewam, że nie ma tu nic wartościowego.

Rozejrzałem się po kuchni.

- Chyba że masz wózek widłowy.

Wielka kuchenka gazowa stała naprzeciwko czterometrowego marmurowego blatu, sięgającego za lodówkę z podwójnymi drzwiami i oszkloną szafkę na wino. Na półkach obok stało pół tuzina szkockiej i parę butelek wódki „Belvedere”, bez wątpienia czekających w kolejce do zamrażarki.

Jadalnię, którą ludzie pokroju Stewarta Hacha nazywają pokojem jadalnym, oddzielało od kuchni przepierzenie. W obszernym pomieszczeniu stały meble jak ze sklepu w miejscowym centrum handlowym.

Na górze w sypialni olbrzymi telewizor stał u stóp nieposłanego gigantycznego łóżka. Na sofie leżały rozrzucone koszulki polo i spodnie khaki. Robert otworzył garderobę. Ja przejrzałem szuflady biurka i znalazłem pudełko pełne unieważnionych czeków, ulotek z karaibskich miejscowości wypoczynkowych oraz dwie kasety wideo zatytułowane „Perwersyjne więzy” oraz „Miłość w okowach”.

Na nocnej szafce leżała książka „Tajniki rządów starożytnych chińskich władców”. W szufladzie znajdowało się pudełko naboji i dziewięciomilimetrowy pistolet. W następnej - kłęb kajdanek, skórzanych stringów, sznurów, nabijanych ćwiekami opasek i parę przedmiotów, których przeznaczenia nie znałem i nie chciałem poznać.

Zajrzałem pod łóżko, zobaczyłem tylko dywan i poszedłem do Roberta, stojącego w pomieszczeniu mniej więcej rozmiarów pokoju Star w domu Nettie. Pod metrami otwartych półek ze swetrami i koszulami poukładanymi według kolorów i odcieni wisiało pewnie z pięćdziesiąt garniturów i marynarek, co najmniej sto krawatów i dziesiątki pasków i szelek. Robert podszedł do sterty pudełek, otworzył jedno i wyjął pasiastą koszulę. Pomyślałem o Gatsbym.

- Zajrzyjmy do gabinetu na dole - powiedziałem.

Robert zabrał się do szafki z aktami. Szafa była pusta, jeśli nie liczyć nierozpieczętowanej skrzynki „Belvedere”. Na wąskiej półce na wysokości oczu znajdował się karton, przekrzywiony pod nieprawdopodobnym kątem. Wepchnąłem go głębiej i odkryłem dużą kopertę. Wyciągnąłem ją spod pudła.

- Zielone światło w doku.

Robert stanął obok mnie.

- Nawet nie chcę wiedzieć, co to znaczy. Otwórz.

Wyjąłem teczkę pełną zdjęć i w myślach przeprosiłem Laurie i moje ciotki za to, że choć przez chwilę podejrzewałem je o rąbnięcie zdjęć Hacha.

- Trzy razy hurra dla miejscowej drużyny - powiedział Robert.

Dwaj mężczyźni na zdjęciu na samej górze mogli być tylko Omarem i Sylvanem Dunstanami. Moje serce i żołądek fiknęły koziołka. Podeszedłem do biurka i wytrząsnąłem na nie resztę zdjęć. Z następnej fotografii spojrzał na mnie dwudziesto- lub dwudziestojednoletni Howard Dunstan w ciemnym surducie i wysoko zapinanej kamizelce. Jak nieustannie podkreślały jego córki, Howard był przystojny. Wyglądał na inteligentnego, uroczego, bezwzględnego, zdecydowanego i, jak mi się wydało, na wpół szalonego. Okrucieństwo i desperacja zdawały się rozszarpywać rysy twarzy tak niepokojąco podobnej do Roberta i mojej.

Stewart ukradł nasze zdjęcia, nie swoje.

Na podjeździe rozległ się warkot samochodu, potem drugiego. Dwukrotnie trzasnęły drzwiczki. Spojrzałem na Roberta. Wzruszył ramionami.

- Ty palancie - syknąłem.

- Każdy popełnia błędy.

Zgarnąłem zdjęcia i wepchnąłem teczkę do koperty. Przez okno za plecami Roberta widziałem, jak Stewart Hatch wchodzi do garażu, prowadząc ze sobą Grenville'a Milтона. Wyszli poza moje pole widzenia; słyszałem tylko ich kroki na cemencie.

- Co teraz?

Usłyszałem, że wchodzi do kuchni.

Robert położył palec na ustach i zamknął drzwi.

- Jak ten stary wyjdzie, Hatch pójdzie na górę.

Z kuchni dobiegł grzmiący głos Grenniego Milтона.

- Jeśli tu przyjdą, ja się tym zajmę - dodał Robert.

Położyłem dłoń na parapecie; za szybą zobaczyłem siatkę, która zagradzała mi drogę.

- Czekaj - szepnął Robert.

Poirytowany głos Milтона znaczył jego drogę przez salon jak sygnał radarowy.

- Oni coś na nas mają! Chcą akta finansowe aż do 1983 roku. Nie wydaje ci się, że to dziwny zbieg okoliczności?

- Daj spokój - odpowiedział Hatch.

Kroki zbliżyły się do pokoju jadalnego. Obaj usiedli.

- Mój prawnik z Louisville chce, żebyśmy rozdzielili nasze sprawy.

- Tamci nic nie mają. Nie mogą. Po prostu.

- Nie interesuje mnie siedzenie w pierdlu. Nie mam tego w programie. Słuchasz mnie, Stewart?

- Czy ja cię słucham? Przez całe popołudnie nic innego nie robię.

- To posłuchaj jeszcze tego: jak pójdziesz na dno, nie pociągniesz mnie za sobą.

- Ładnie z twojej strony. Grennie, nikt nie idzie na dno. To wszystko pozory. Jeśli rozdzielimy nasze sprawy, wzbudzimy podejrzenia. A tego chyba nie chcemy.

- Przygotowują akt oskarżenia, tego chcemy?

- Chcesz wiedzieć, dlaczego przygotowują? Ashton przesłuchiwała wszystkich w okolicy. Wynajmowała samochody, podróżowała samolotami, zatrzymywała się w ładnych hotelach i jadła w drogich restauracjach. Skąd pochodzi? Z Kentucky. Ci ludzie nie mieli pojęcia, ile przepuściła. I wróciła do domu z pustymi rękami.

- Ale...

- Wraca do domu i mówi: wybaczenie, chłopaki, nie poszczęściło mi się. Wiem to na pewno. Jej szef na to: Ashton, moja posada jest zagrożona, nie stać nas, żeby się poddać. I co robią? Sporządzają akt oskarżenia, Grennie, ponieważ w ten sposób usprawiedliwią jej wydatki. Jeśli nie pojawi się nic nowego, może się wycofać. Chcą z tego wyjść z twarzą, to wszystko.

- Nie zaprzeczysz, że było włamanie.

- Mój system zawiódł. Ktoś dostał się do budynku i zniszczył komputery. Ale, Grennie, nasze akta są nietknięte. Gwarantuję ci.

- Mam nadzieję, że masz rację. Jestem za stary na więzienie.

- Ja też. Nie mówiąc już o takiej żenującej wpadce. Nie powinienem wprowadzać Laurie do tego cholernego komitetu. Kolejny przykład na to, że nie warto być miłym dla ludzi. Co z Rachel?

- Rachel chwyciła moje finanse w śmiertelny chwyt na miesiąc przedtem, jak zafundowałem jej najlepszą operację plastyczną na świecie. Nie sądzę, żeby pałała żądzą zemsty. No, dobrze. Kręcimy się w kółko. Muszę wrócić do domu i przebrać się przed spotkaniem z Ming-Hwa.

- Jakby ci było mało kłopotów. Ale co ja tam mogę wiedzieć?

- Chciałbyś być na moim miejscu - odparł Milton. Przenieśli się do frontowych drzwi i powtórzyli połowę tego, co już powiedzieli. Buty Milтона załomotały na podjeździe.

Hatch zamknął drzwi i wszedł na schody. Na czwartym stopniu zatrzymał się i zszedł. Skręcił w stronę gabinetu. Robert mrugnął do mnie i zniknął, zostawiając po sobie pustą przestrzeń w swoim kształcie.

Gałka się obróciła, drzwi zaczęły się uchylać. Zrobiłem jedyne, co mogłem zrobić z wyjątkiem napaści - w chwili gdy Stewart Hatch przekroczył próg pokoju, wgrzyłem się w czas.

Kiedy zamglenie ustąpiło, zobaczyłem otwarte pole. Czulem ból, tak jak podczas poprzednich podróży, ale mniejszy. Przedemną rozciągały

się trawiaste pagórki, ptaki wisały z rozpostartymi skrzydłami na bezchmurnym niebie. Ruszyłem, jak mi się zdawało, mniej więcej w stronę przyszłej Bayberry Lane, usiłując sobie przypomnieć odległość od rogu ulicy. Kiedy uznałem, że jestem w pobliżu samochodu, powtórzyłem sztuczkę i zjawiłem się na wykładanym kafelkami skraju basenu przed domem. Jeden krok w prawo i znalazłbym się pod wodą.

Głowa mnie nie bolała, w brzuchu czułem tylko nieznaczny niepokój. Za to kobieta opalająca się toples na leżaku jakieś dwa metry ode mnie wydawała się na skraju szoku. Poderwała się i chwyciła ręcznik.

- Skąd pan się tu wziął?

- Jestem równie zażenowany jak pani - powiedziałem. - Chciałem spytać kogoś o drogę. Muszę oddać tę kopertę do domu na Bayberry Lane, ale nie mogę go znaleźć.

Owinęła się ręcznikiem i uśmiechnęła.

- Czego domu pan szuka?

- Pana Hatcha.

- Stewarta? - Wskazała kierunek, nie podnosząc ręki. - To tamten.

Pięćdziesiąt metrów dalej nad gładkim, soczyście zielonym trawnikiem widniał szary podest. Wcale się nie zbliżyłem do samochodu.

- Proszę iść Elderberry, skręcić w prawo w Loganberry i znowu w prawo.

Wyłoniłem się zza rogu na Loganberry Street. Robert opierał się o taurusa, szczerząc do mnie zęby.

- Do diabła z tobą - rzekłem.

- Wiedziałem, że nie potrzebujesz mojej pomocy - odparł. - Ale mam nadzieję, że mi wytłumaczysz, jak uciekłeś.

- Na latającym dywanie.

- Zdziwnie i coraz zdziwniej. Co teraz?

- Ja jadę do Laurie, a ty nie. Przyjdź dziś do „Brazen Head”.

- Nie podwieziesz mnie do miasta?

- Jakoś mi się nie wydaje, żebyś miał problemy z samodzielnym powrotem.

Dotknął czoła w kpiącym salucie i zniknął. Podeszedłem do drzwi samochodu.

- Proszę pana... - odezwał się ktoś.

Po drugiej stronie ulicy stała kobieta w szortach i krótkim topie.

- Muszę spytać. Jak on to zrobił?

- Mój brat robi tego psikusa, odkąd byliśmy dziećmi - odparłem. -
Doprowadzał tym matkę do szału.

106.

Laurie otworzyła drzwi. Z jej pięknej twarzy promieniowała czysta, niezmacona radość.

- Ned! Tak się cieszę. Wejdz.

Wtuliła się w moje ramiona.

- Opowiedz mi o pogrzebie.

- Wszystko w, porządku. Przyszła dawna przyjaciółka mojej matki, Suki Teeter, Rachel Milton też. Potem zjedliśmy we trójkę obiad. Rachel nie jest jednak taka zła.

- Powinnam do niej zadzwonić. Chcesz usłyszeć dobre wieści? Dzwoniła Ashleigh, pracują nad aktem oskarżenia. Grennie może nie mieć czasu na nacieszenie się jedyną prawdziwą miłością.

- Nawet takim jak on czasem się nie wiedzie.

- Uczcijmy to bardzo dobrym winem. - Poszła do kuchni i wróciła z butelką caberneta Heitz Private Reserve oraz dwoma kieliszkami.

Nalałem, a ona powiedziała:

- Muszę się upewnić, że Cobbie na tym nie ucierpi. Nie wiem, jak się wyjaśnia dziecku, że jego ojciec pójdzie do więzienia, ale chcę go chronić. Nawiasem mówiąc, wyszedł z Posy. Zabrała go na „Aladyna”.

- Miło, że jesteś sama.

- Tak sobie myślałam... - Oparła się wygodnie. - Posy dostała się na Columbię. Cobbie będzie potrzebował lekcji na wyższym poziomie, niż

mogę mu zapewnić tutaj. Dla nas Nowy Jork wydaje się o wiele bardziej sensowny.

- Posy chce z tobą zostać?

- Chętnie by skorzystała z tej szansy, a Cobbie nie musiałby się z nią rozstawiać. Poza tym jestem jej fanką - ja też nie chcę jej tracić. Gdybym kupiła duże mieszkanie albo domek, mielibyśmy spokój.

- Coś takiego kosztuje fortunę. Prywatna szkoła to dziesięć, piętnaście tysięcy rocznie. Plus lekcje muzyki. Stać cię na to?

- Stać fundusz. Nie pozwolę, żeby Parker Gillespie zrujnował mi życie.

To dlatego dzwoniła do Gillespiego: myślała o przeprowadzce do Nowego Jorku na długo, zanim mnie poznała.

- Niezły pomysł - rzekłem. - Chciałbym być w pobliżu, kiedy Cobbie po raz pierwszy usłyszy Bacha. Albo Charlie Parkera.

- Powinieneś być przy nim. Cobbie potrzebuje nie tylko muzyki. - Uśmiechnęła się do siebie, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo. - Nie, zacznę jeszcze raz. Chciałbyś, żebym przeprowadziła się do Nowego Jorku? - Odsunęła się odrobinę i jakby dla rekompensaty położyła mi rękę na kolanie. - Nie mam zamiaru stawiać cię w niezręcznej sytuacji.

- Oczywiście, że bym chciał. Pomyśl, ile moglibyśmy zobaczyć ładnych miejsc. - Usłyszałem, jak z moich ust pada słowo „ładne”, i zrozumiałem, że mówię o bajce. Ale chciałem, żeby stała się prawdą.

- Na przykład?

- Metropolitan Opera. Muzeum Fricka. Rog Bedford i Barrow w Village. Second Avenue w niedzielę rano w sierpniu, kiedy wszystkie światła robią się jednocześnie zielone, a w promieniu kilometra nie widać żadnego samochodu. Trawnik w Central Parku. Esplanada w Brooklyn Heights. I sto wspaniałych restauracji.

- Znajdziemy ulubioną i będziemy ją odwiedzać co miesiąc, jak w zegarku.

- Laurie, czy kiedy poszłaś z moimi ciotkami do biblioteki, poprosiłaś je, żeby zajęły się zdjęciami?

- Żeby je robiły? Nie miały aparatu.

Trudno o bardziej niewinną odpowiedź. Roześmiałem się.

- Żeby je wyniosły.

Robiła wrażenie zdziwionej.

- Po co?

- Zapomnij, że pytałem. Hugh powiedział, że zniknęły rodzinne zdjęcia Stewarta. Odkrył to po waszej wizycie. Moje ciotki potrafiłyby wynieść Empire State Building w paru reklamówkach i nikt by nie zauważył. Nie wiem, może chciałaś nim trochę wstrząsnąć. Zły pomysł. Wybacz.

Pomysł nie był zły, tylko idiotyczny. Laurie nie wiedziała, że Stewart zamierza zażądać zwrotu swojego archiwum.

- Więc zginęły dwa komplety zdjęć? Twoje i Stewarta?

- Strasznie dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz?

- Aż można by pomyśleć, że miałam z tym coś do czynienia. I że ci nie powiedziałam. A to wygląda tak, jakbym zamiast rozdrażnić Stewarta, chciała coś ukryć przed tobą.

Miała rację, tak to wyglądało. Pamiętałem, co Rachel Milton powiedziała mi o zdjęciach Hacha, ale Laurie dzięki swej spostrzegawczości rozwinęła temat bardziej, niż zamierzałem, zadając to bezmyślne pytanie.

- Hej, stop! - powiedziałem. - Za daleko, za wszystko. W twojej obecności muszę się bardzo liczyć ze słowami.

- Kto cię zawiózł do Domu Weterana?

- Tak, tak.

Na podjazd wtoczył się samochód. Zatrzymał się przed garażem. Laurie pocałowała mnie w policzek.

- Pamiętaj, kto jest twoim przyjacielem.

Cobbie aż pisnął z zachwytu.

- Ned, Ned, ja znam sztuczkę!

Posy uśmiechnęła się, zatrzymała wózek i postawiła na stole dwie reklamówki.

- Po filmie kupiłam parę książek i płyt, które zarekomendował Ned.

- Ja znam sztukę! - Oczy Cobbiego lśniły jak latarki. Pachniał popcornem.

- Powiedz, ile wydałaś, dodam to do twojego czeku. - Laurie chwyciła Cobbiego w objęcia. - Cześć, maluchu. Podobał ci się film?

- Aha. I ja...

- Znasz sztukę.

- Aha. - Zrobił dramatyczną pauzę i zaśpiewał dziwny zlepek nut. Potem wybuchnął śmiechem.

- Nie pojmuję - powiedziała Posy. - Śpiewa to w kółko i za każdym razem płacze ze śmiechu.

Cobbie znowu zaśpiewał dziwną melodię i tym razem tak go rozbawiła, że nie mógł skończyć.

- Zaśpiewaj wszystko - powiedziałem.

Stanął przede mną, spojrzał mi prosto w oczy i zaśpiewał całą frazę. Zrozumiałem, dlaczego brzmi tak dziwnie.

- Hm... Tyłu do coś śpiewasz? - Odwrócenie tych czterech słów zajęło mi więcej czasu niż jemu zaśpiewanie od końca ośmiu taktów.

- Co? - spytała Laurie.

Cobbie podreptał do fortepianu, zanosząc się śmiechem, i zabębnił melodię.

- A teraz od początku - poprosiłem.

Wyběbnił melodię w pierwotnym porządku i spojrzał na Posy z uśmiechem.

- O mój Boże - powiedziała. - To z filmu.

- Klamka zapadła - zwróciłem się do Laurie. - Jak dorośnie, będzie Spikiem Jonesem.

- Ned zostaje na kolację? - spytał Cobbie.

- Czy Ned zostaje? - powtórzyła Laurie, patrząc na mnie.

- Pod warunkiem że będę mógł razem z Cobbiem posłuchać tych nowych płyt - powiedziałem, myśląc jednocześnie, że po kolacji

powiniennem iść na Buxton Place, żeby sprawdzić, co Earl Sawyer ukrył w szufladzie. Niepokoił mnie ten Earl Sawyer. Bardzo mu się podobała myśl, że H.P. Lovecraft opisywał istniejącą rzeczywistość, i omal nie zemdał, kiedy dotknąłem pierwszego wydania z nazwiskiem właściciela na okładce. Spróbowałem je sobie przypomnieć: Fleckner? Flecker? Fletcher. W. Wilson Fletcher z Akademii Wojskowej Forteca w Owlsburgu, stan Pensylwania.

Przez jakieś pół godziny Cobbie słuchał Theresienmesse Haydna, od czasu do czasu oglądając się na mnie, żeby sprawdzić, czy nie umknął mi jakiś muzyczny cud. Od czasu do czasu mówił do siebie „ha”. Przy „Credo” spojrział na mnie ze zdziwieniem i zachwytem.

- To się nazywa fuga - wyjaśniłem.

Odwrócił się i wymamrotał: „Huga”.

Kiedy muzyka zamilkła, oznajmił, że pora na kreskówkę, i wybiegł przez drzwi koło kominka.

Laurie i Posy krążyły w kuchni między stołem i kuchenką. Posy spytała, czy widziałem książki, które kupiła dla Cobbiego, więc wróciłem do salonu. Znalazła krótkie, przeznaczone dla dzieci biografie Beethovena i Mozarta. Ostatnią książką w torbie były „Najlepsze mrozące krew w żyłach opowieści H.P. Lovecrafta”.

Przyniosłem tę ostatnią książkę do kuchni.

- Chyba nie kupiłaś tego dla Cobbiego?

- Skąd. Rozmawiałam z Laurie o tej książce, którą kiedyś przyniosłaś. Jakiegoś Rineharta, tak? Napomknęłyśmy o Lovecraftie i to mnie zaciekało. Jeden chłopak z wykładów neurobiologii jest wielkim fanem Lovecrafta. Nigdy nie czytałam żadnej jego książki, dlatego postanowiłam spróbować. Jeden zbieg okoliczności to przypadek, dwa - znak.

- Ha - odrzekłem i zdałem sobie sprawę, że zachowuję się jak Cobbie.

- Zabrania się flirtować z personelem. - Laurie podała mi butelkę wina. - Za dwadzieścia minut będziemy gotowe.

Rozlałem resztę wina do kieliszków, poszedłem na sofę i zacząłem czytać „Koszmar w Dunwich”.

Opowiadanie zaczyna się opisem złowrogich okolic w północnej części Massachusetts. Pomiędzy groźnymi wzgórzami leży miasto Dunwich, roztaczające atmosferę zepsucia. Miejskowa ludność zdegenerowała się, od lat łącząc się w kazirodcze związki. Następnie autor przechodzi do szczegółów, przedstawiając Lavinie Whateley, brzydką albinoskę, która w wieku trzydziestu pięciu lat urodziła smągłego Wilbura. Dziecko zaczęło chodzić w wieku siedmiu miesięcy, a mówić się nauczyło, zanim skończył rok. Jako nastolatek Wilbur miał grube wargi, kędzierzawe włosy i umiejętność doprowadzania psów do szału.

Jakiś szczegół, którego nie zapamiętałem, utkwił mi w podświadomości jak drzazga; cofnąłem się o parę stron i znalazłem zdanie: „Jedy-nymi osobami, które widziały Wilbura w pierwszych miesiącach jego życia, był stary Zechariah Whateley z Whateleyów nietkniętych zepsu-ciem oraz konkubina Earla Sawyera, Mamie Bishop”.

Przerzuciłem jeszcze parę stron i zobaczyłem: „Earl Sawyer wyru-szył do domu Whateleya wraz z dziennikarzami i fotografami”.

Na ramiona wystąpiła mi gęsia skórka. Raz to przypadek, dwa razy to znak. Domy na Buxton Place zostały zakupione na nazwiska postaci z Lovecrafta, a ich stróż również nosił miano z „Koszmaru w Dun-wich”. Earl Sawyer uwielbiał Edwarda Rineharta, ponieważ nim był.

- Laurie - powiedziałem, nie wiedząc, do czego zmierzam - wczoraj zostawiłem coś na górze.

- Co? - zawołała.

- Zaraz wracam.

Wbiegłem na schody, przeskakując po dwa stopnie, jakby gnały mnie demony. Wpadłem do sypialni Laurie. Coś we mnie opierało się, zdjęte zgrozą, ale otworzyłem komodę i przejrzałem jej ubrania. Do-pełniłem przestępstwa, zaglądając do szafy.

Od strony schodów dobiegł mnie głos Laurie:

- Czego tam szukasz?
- Ciemnych okularów. Właśnie się zorientowałem, że ich nie mam.
- Nie sądzę, żeby tam były. Kolacja za pięć minut.

Zajrzałem pod łóżko i szafkę nocną. Przeszukałem łazienkę. Wszedłem na korytarz, zerknąłem na drzwi pokoju Cobbiego, minąłem je i stanąłem pod sypialnią Posy. Wahałem się przez chwilę, wreszcie zwalczyłem pokusę i odwróciłem się w stronę schodów. Posy Fairbrother przyglądała mi się z korytarza.

- Dziękuję, że nie zajrzałeś do mojego pokoju - powiedziała. - Mam rozumieć, że według ciebie ukradłam te okulary?

- Nie, Posy, nie. Cholera, tylko usiłowałem je znaleźć.

- Nigdy nie widziałam cię w ciemnych okularach. Nieważne. Kolacja gotowa.

Przetrwalem ją jakoś, kierując rozmowę na kreskówki, na których temat Cobbie miał liczne przemyślenia, oraz Theresienmesse Haydna, której słuchałem tyle razy, że mogłem udawać eksperta. Posy patrzyła na mnie podejrzliwie, a Cobbie, dla którego posiłek w towarzystwie dorosłych był niezwykłą okazją, rzucił parę bon motów na poziomie czterolatka („Ta muzyka była bardzo, bardzo, bardzo smaczna” oraz „Miło, kiedy ludzie śpiewają i nie rozmazują nut”). Obie panie były na mnie złe, a przeprosiny za zamieszanie w związku z okularami nie ociepliły atmosfery. Zdziwiona Laurie odprowadziła mnie do drzwi. Powiedziałem, że jutro będę bardzo zajęty, ale zadzwonię, jeśli będę mógł. Cobbie wypadł z kuchni jak rakieta; wziąłem go na ręce i pocałowałem w policzek. Wyprostował się i oświadczył, akcentując każde słowo:

- Chcę-osłuchać-drugiej-HUGI!

107.

Zaparkowałem koło „Brennan's” i szybkim krokiem wszedłem w wąski zaułek Buxton Place. Półmrok zmieniał się w prawdziwy mrok,

światło księżyca odbijało się w szybach dawnych stajni. Tak jak się spodziewałem, drzwi i okna domków były zamknięte. Zacząłem kopać w bruk, aż udało mi się poluzować jeden kamień. Owinąłem go w kurtkę, poszedłem do domu numer dwa i zbliżyłem się do okna.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Serce omal mi nie pękło.

Głos Roberta, mój głos, tchnął mi do ucha:

- Oszalałeś?

Miałem ochotę zdzielić go tym kamieniem.

- Chyba się już nie gniewasz? Wyświadczyłem ci przysługę.

- Zostawiłeś mnie samego.

- A nie zniknąłeś sekundy później?

- A zniknąłem?

Zachichotał.

- Kochany braciszku, im więcej odkryjesz w sobie zdolności, tym lepiej na tym jutro wyjdziemy.

- Gdzie byłeś?

- Skoro mowa o przysługach... na Blueberry Lane.

Jego szyderczy uśmiezek był nie do zniesienia.

- Ktoś musiał naprawić szkody. Przeprosiłem za mój wybryk. Nie podziękowałem nawet Laurie i Posy za smakowitą kolację. Wyraziłem nadzieję, że zrozumieją, iż pogrzeb matki miał fatalny wpływ na moje manieri. Znalazłem okulary w samochodzie, bardzo przepraszam, że zawracałem im głowę moimi lękami. Ple ple ple. Wiesz, niektórych ludzkich cech nigdy nie zrozumieję, ale twoja sympatia do tego małego naprawdę mnie zadziwia. Musiałem go odrywać od swojej nogi. Jeśli nie będziesz uważać, całkiem go rozpuścisz.

- Śledziłeś mnie?

- Nie. Zjadłem smaczną kolacyjkę w „Le Madrigal”. Julian tak słodko ze mną flirtował, że wpadnę do niego na drinka koło wpół do drugiej w nocy. Będzie na mnie czekać, cały drżący.

- Chcesz się kochać z Julianem?

- Nie wyróżniam ludzi bez powodu. Ale skoro damy z Blueberry Lane zostały ułagodzone, powiedz, czemu się włamujesz.

- Powiem, jak wejdziemy.

Robert przesiąknął przez drzwi numeru drugiego. Jak zwykle, wyglądało to jak filmowy efekt specjalny. Drzwi otworzyły się z rozmachem. Upuściłem kamień i wszedłem.

- Sprawdź, czy wszystkie okna są zasłonięte - polecił Robert.

Zaciągnąłem szczelnie zasłony.

- Widzisz coś?

- Nie więcej niż ty. - Po omacku dotarł do stołu i zaczął szukać włącznika lampy. - Skoro Earl Sawyer cię oprowadził, po co tu wracać?

- On się nie nazywa Earl Sawyer - odparłem i streściłem mu wszystkie ostatnie odkrycia.

Przynajmniej raz udało mi się go zaskoczyć.

- Jak ten brzydki staruszek może być Edwardem Rinehartem? Nie jest do nas podobny. To ma być nasz ojciec?

- Trzydzieści lat temu był chyba dokładnie taki jak my. Kiepsko mu się wiodło, ma jakieś dwadzieścia kilo nadwagi i fatalnie się odżywia. W dodatku jest szalony jak szczur z szamba, co zniekształca prawdziwe rysy.

- Mogłem go zabić w tym cholernym Cobden Building.

- On też nie wiedział, kim jesteś. Tak naprawdę cię nie widział. Ale kiedy mnie tu wpuścił, połapał się, kogo ma przed sobą. Musiał.

- Dlaczego cię nie zabił?

- Bo zabicie tylko jednego z nas na nic mu się nie przyda.

- Nie, nie, nie. On nie wie, że jest nas dwóch. Dlatego jeszcze żyję.

- Teraz już wie. Może nas widział tamtej nocy w Hatchtown. Czeka do jutra, kiedy złapie nas razem. Ale cokolwiek zamierza, mamy nad nim przewagę.

Robert pojął, o co mi chodzi.

- Nie wie, że wiemy.
- Przynajmniej mam nadzieję, że to przewaga. W każdym razie - nasza jedyna.

Podszedł ze zmarszczonymi brwiami do włącznika, zapalił światło.

- Nie zakładaj z góry, że coś zrobię.
- Robert. Zrobimy, co trzeba.

Na stole, do którego podszedł Earl Sawyer, rysowały się dwie równoległe linie. Jedna miała jakieś dwadzieścia centymetrów długości, druga nie więcej niż pięć. Zdjęcie na kartonowej podpórce, pomyślałem. Zajrzałem do szuflady, ale znalazłem w niej tylko mysie bobki. Sawyer zabrał ze sobą to, czego nie chciał mi pokazać.

- Potrząśnijmy jego klatkę. - Robert prawie dygotał z podniecenia. - Niech się tak wścieknie, żeby nie mógł myśleć.

- Jak?

Spojrzał na trzydzieści czy czterdzieści egzemplarzy „Z otchłani”.

- Wydaje mi się, że jest zadziwiająco przywiązany do tych książeczek.

- Jesteś podły.
- Mam parę zapalek, ale trzeba będzie czegoś więcej.
- Myślę, że zdołam ci pomóc.
- I potrzebujemy metalowego pojemnika, mniej więcej jak połowa wanny. Chcę to zrobić na zewnątrz, żebyśmy nie podpalili domu.
- Czekaj.

Przeszedłem do domu numer jeden, znalazłem po omacku włącznik w kuchni i przewróciłem cebrzyk, który zauważyłem podczas poprzedniej wizyty. Śmieci posypały się na brudną podłogę. Wyniosłem cebrzyk na tyły domu. Robert stał na niewielkim, ogrodzonym ceglany murem podwórku, pod równomiernie ciemniejącym niebem. Odwrócił się, a ja położyłem cebrzyk na ziemi i poszedłem po „Z otchłani”. Obracaliśmy trzy razy, zanim wynieśliśmy wszystkie egzemplarze. Wyjąłem z kieszeni zapalniczkę i podniosłem książkę.

- Jeszcze nie. - Robert odgiął okładkę i oddał ją od grzbietu. Podzielił kartki na pół, potem na jeszcze cieńsze części. Zacząłem rozdzielać drugi egzemplarz. Luźne kartki spadały z furkotem na beton.

Gdy rozdarliśmy na części prawie połowę książek, Robert przykląkł obok nich.

- Teraz zaczyna się zabawa. - Zapalił zapalną i przytknął ją do kartek. Żółty płomyk przeskoczył na pierwszą, potem na drugą. Robert odwrócił kartki. Płomyk skurczył się, stracił moc, potem popęzł na krawędzie stron i wgryzł się w nie mocno. Robert położył płonące strony w cebrzyku i przytrzymał nad ogniem następne.

- Nie można się czuć lepiej, paląc książki - zauważyłem.

- Nie bądź taki drętwy - odparł Robert. W jego głosie drżał śmiech.

Rozdzierałem książki, a Robert karmił nimi płomienie, każdą nową warstwę rozkładając jak drwa w kominku, by ogień rozprzestrzenił się równomiernie. W powietrze wzbijały się płonące strzępy, szybowwały ku ścianom. Ogień trawił niektóre strony bez reszty, nie pozostawiając nawet popiołu. Inne kurczyły się do rozmiaru ruchliwych świetlnych kropek, świetlików; jeszcze inne rozkwitały w żar-ptaki. Kilka spaliło się, wznosząc ku niebu. Płomienie rzucały na ściany ruchliwe cienie.

Robert pochylił się nad cebrzykiem; pomarańczowe i czerwone płomienie oświetliły mu twarz. Wyglądał jak idealne wcielenie piękna, jak „Dawid” Michała Anioła. Jego brwi zmieniły się w czarne namalowane krechy, tak samo gładkie na całej długości. Oczy miał przejrzyste i lśniące, nos tak doskonały, jakby wyciosał go z kamienia sam Bóg. Głębokie cienie podkreślały jego kości policzkowe i duże, wyraziste usta. Z tej twarzy biła witalność, pewność siebie, gracia - a także, gdy przyglądał się świetlikom i żar-ptakom, głód, który kazał mu się radować na widok zniszczenia.

- Twoja kolej. - Podskoczył, żeby złapać szybujące żółte skrzydło.

Przykucnąłem koło cebrzyka i zacząłem wrzucać do niego kartki, cofając rękę przed gwałtownie skaczącymi płomieniami. Drukowane litery zwiły się i syczały. Robert ścigał umykające żółte skrzydło, dopóki nie rozsypało się w konstelację czerwonych gwiazdek, potem pobiegł za innym płonącym ptakiem. Wyglądał jak czciciel jakiegoś starożytnego bóstwa; we włosach miał sznury ze złotych świerszczy, a sam w ekstazie oddawał się ceremonii całopalnej. Potem przyszło mi do głowy, że wygląda nie jak wyznawca, lecz jak sam bóg radujący się ze zniszczenia i chaosu.

Podbiegł i podsunął okładkę na żer płomieniom; żółty język liznął zieloną oprawę. Poczucie niepojętej głębi tej sceny zniknęło, zostało wytarte przez świadomość, że ten nienasycony głód, ten dotkliwy niedostatek na zawsze uwięził go w dzieciństwie. Nagle Robert wydał mi się ograniczony ciężarem wszystkiego, czego pragnął, i po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, że ugrzązł w niby-życiu, przed którym mogę go uratować tylko ja. Potrzebował mnie jeszcze boleśniej i dotkliwiej niż ja jego. W głębi tej zazdrosnej, wypełnionej oparami czeluści, która uchodziła za jego duszę, on także to wiedział i tylko udawał, że jest inaczej.

Jego piękna twarz pociemniała, kiedy zauważył, że mu się przyglądam.

- Myślałem właśnie, że na swój sposób jesteście bardzo podobni, a jednak wcale niepodobni - powiedziałem. Zarobiłem kolejne kose spojrzanie.

Zajęliśmy się pracą, aż wszystkie egzemplarze dzieła Edwarda Rineharta obróciły się w popiół, a na dnie cebrzyka zostało tylko parę nadpalonych okładek. Na podwórku cuchnęło jak w zgliszczach domu Helen Janette. Na betonie poniewierały się czarne osmalone liście. Robert zmiażdżył je stopą.

- Spalmy jeszcze parę Lovecraftów.
- Nie będę palić dobrych książek - odparłem. - Ale mam pomysł.

Wszedłem do domu. Zauważyłem, że ręce mam czarne od sadzy. Podejrzywałem, że tak samo wygląda moja twarz. Robert stanął w drzwiach. W przeciwieństwie do mnie wyglądał nieskazitelnie.

Wziąłem przez chusteczkę „Koszmar w Dunwich”.

- To chyba pierwsza książka Lovecrafta, jaką kiedykolwiek przeczytał. Zakładam się, że to jego biblia.

Robert okazał odrobinę zainteresowania.

- Zrobi wszystko, żeby ją odzyskać.

- W takim razie każemy mu skakać przez płonące obręcze. - Spojrzał na zegarek. - Umyj się. Strasznie się uświwiłeś.

- Co będzie jutro?

- Nasze przygody zwykle zaczynają się około trzeciej lub czwartej. Znajdę cię wcześniej, gdziekolwiek będziesz. A tymczasem nie rób nic głupiego.

- Ty też.

Uśmiechnął się.

- Ned chowa asa w rękawie. Ned nie pokazuje wszystkich swoich kart. Pozwól, że spytam: on nie wie, że my wiemy, że on wie, że jest nas dwóch. Możesz mi wyjaśnić, jak to wykorzystamy?

- Tak jak w Boulder - powiedziałem. Nie miałem zamiaru zdradzać mu reszty.

- Odmawiam.

- Nie masz wyboru. Tylko to nam zostało.

Spojrzał na mnie strasznym wzrokiem. Wiedział, że tak jest, i nie potrafił tego przyznać.

- Na nic się nie zgadzam.

Podszedłem do stołu, z którego Earl Sawyer prawdopodobnie zabrał oprawną w ramki podobiznę siebie z młodych czasów.

- Chodź tutaj. - Robert zbliżył się do mnie niechętnie. - Pokaż rękę.

- Skoro się upierasz.

Podsunał pod lampę prawą dłoń z rozłożonymi palcami. Jej wewnętrznej strony nie rozdzielały żadne linie, na palcach nie było linii papilarnych. Jakby dłoń była z dziwnie żywego plastiku.

- Nie dla wszystkich wystarczyło linii - rzekł Robert. - Choć nie mogę powiedzieć, żeby mi ich brakowało.

Brakuje ci ich bardziej, niż chcesz przyznać, pomyślałem.

Wyszarpnął rękę.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

- I tak już się sporo nauczyłem - powiedziałem.

Robert zniknął.

108.

Przed magazynem na Lavender Street przykucnął obszarpany chłopiec z rękami na kolanach i papierosem między palcami. Poruszył ramionami, podniósł papierosa, włożył do ust. Wykuł na pamięć każdy gest Żaby La Chapelle'a. Kiedy się zbliżyłem, poderwał się na równe nogi i śmignął w otwarte drzwi. Szczęknęła zasuwa.

Oparłem dłonie o drzwi i szepnąłem:

- Chcę się widzieć z Nollym Wheadle'em.

Moje słowa padły w ciszę.

- Nolly? Pomogłeś mi wydostać się z Hatchtown w zeszły piątek. Chcę z tobą porozmawiać. - Znowu cisza. - Mam tu dla ciebie pięć dolarów.

Usłyszałem szelest. Cichy, cwaniacki głosik powiedział:

- Dziesięć.

- Stoi.

- Włóż pod drzwi.

- Chcę usłyszeć, jak otwierasz.

- Najpierw drzwi.

Wsunąłem banknot w szparę. Zasuwa szczęknęła, drzwi uchyliły się odrobinę. Wśliznąłem się do środka. Drzwi zamknęły się za mną i zapadły zupełnie ciemności. Nolly szepnął do kogoś:

- Spadaj.

Małe bose stopy zaplaskały o klepisko. Oczy zaczęły mi się przyzwyczajać do mroku; pod ścianą zobaczyłem zarysy ciał chłopców siedzących obok siebie jak ptaki na grzędzie.

Wątła sylwetka Nolly'ego zamajaczyła z boku.

- Mów cicho.

- Pamiętasz mnie?

- No.

- Ścigało nas dwóch facetów.

- Podobno jednym się zająłeś? - Jego głos świszczwał jak powietrze ulatujące z przebitej opony.

- Ktoś to zrobił.

Nolly wydał świst - chichot, jak się zorientowałem.

- Zdaje się, że był tam ktoś jeszcze. Ktoś, kto nas widział, lecz sam się nie pokazał. Ty go znasz. Płaci ci za pewne usługi.

- Świadczymy usługi. To nic nie znaczy.

- Dziś go spotkałem. Powiedział, że nazywa się Earl Sawyer. - Z głębi starego magazynu dobiegły nas szepty. - Chyba czasem nosi czarny płaszcz i kapelusz.

Ciemna sylwetka Nolly'ego zeszywniała. Ktoś w głębi powiedział:

- Czarna Śmierć.

- Cicho! - syknął Nolly.

- Nazywacie go Czarna Śmierć? - szepnąłem.

- Do Rzeźnika z nim, Nolly, do Rzeźnika - odezwał się jakiś cichy głosik.

Nolly pochylił się do mnie.

- Nie powinieneś o nim wiedzieć, a poza tym coś ci się pokićkało. Mówisz o dwóch różnych gościach jak o jednej osobie.

- Kto to jest Rzeźnik?

- Stamtąd się nie wraca. I nie jest tylko dla zwierząt.

Cofnął się; chwyciłem go za połę koszuli i wepchnąłem do kąta. Poddał się z ponurą, rozpaczliwą biernością. Ukłąłem i wcisnąłem mu w rękę następnego piąta.

- Wiem, że się boisz. Ja też. To dla mnie ważne.

- Sprawa życia i śmierci?

- Sprawa życia i śmierci.

Szepnął tak cicho, że prawie go nie słyszałem:

- Jest takie imię, którego nie wolno wymówić, bo on słyszy przez ściany. Ci, którzy go widzą, kiedy on nie chce być widziany, dostają nauczkę. To C. Ś. Wiesz, kogo mam na myśli?

- Tak.

- Pojawia się w nocy i zawsze tu był. To nie jest człowiek. Tu wszyscy myślą, że to wampir. Dla mnie to nie wampir, tylko demon z piekła.

- Zawsze tu był?

- Został stworzony, kiedy zbudowano Hatchtown. Hatchtown to on, tak myślę. To dlatego jest, jak jest.

- Czyli?

Prychnął pogardliwie.

- Zła woda, nie ma kanalizacji. Jak rzeka wylewa, to nas zatapia i zostawia błoto. To Hatchtown. C. Ś jest jak my, tylko że to demon. Jeśli jest gdzieś jakiś pan Hatch, to on stworzył C. Ś. Szkoda.

Oparłem się o ścianę i zasłoniłem twarz rękami. Nolly pochylił się do mnie.

- Za Earla Sawyera jeszcze pięć dolców.

Dałem mu banknot.

- Pan Sawyer jest stary i zły. Prędkiej cię kopnie, niż powie dobre słowo, co się jeszcze nie zdarzyło.

- Gdzie mieszka?

- Zwykle go widzę koło Leather Lane. Ale gdy znika, to znika, jak lis.

- W porządku - powiedziałem i wstałem. Nolly pokierował mnie w stronę drzwi i je uchylił. Wyśliznąłem się; ku mojemu zaskoczeniu Nolly wymknął się za mną. Te fragmenty jego twarzy, które zdołałem wyłowić z mroku, wyglądały jak rękawica baseballowa. Rozejrzał się i szepnął tak cicho, że ledwie dostrzegłem ruch jego warg.

Pochyliłem się; przysunął usta do mojego ucha.

- Podobno widziano cię dwa dni temu na Fish Lane z Joe Staggersem z Mountry.

- Możliwe - odszepnąłem. Uświadomiłem sobie, że ten mały wie o wszystkim.

- Joe Stagers już się nie pojawił. Nikt po nim nie płakał. Ani w Hatchtown, ani w Mountry.

- Ten pan dostał wezwanie.

- Musiało być głośne.

Co kombinował, czego szukał?

- W każdym razie zbyt głośne dla niego.

- Padł strzał, ale nikt nie dostał. Ty tak nie robisz, co?

- Nolly - szepnąłem. - Chcesz mi coś powiedzieć?

Wzruszył ramieniem, podciągnął spodnie. Przesząpił z nogi na nogę, potrząsnął głową. Naśladowując Żabę La Chapelle'a lepiej od niego samego, podciągnął rękawy i łypnął jednym okiem, jakby chciał zajrzeć za róg ulicy. Zdałem sobie sprawę, że Żaba był jednym z nich, że nocował w starym magazynie i od czasu do czasu wypełniał polecenia C. Ś., wampira z Hatchtown. Pomyślałem, że wypełniał je do końca swego nędznego życia. Nolly nadal usiłował zajrzeć za róg.

- Znasz Horsehair?

Pokręciłem głową.

- Jest mała i ciemna. I się wiję. Możesz nią dojść na miejsce i nikt nie będzie wiedział, że tam jesteś. Przechodnie jej nie widzą, bo jest taka, jaka jest. - Zbliżył usta do mojego ucha. - On chodzi po Horsehair. Więc jak chcesz go znaleźć, co mnie się nigdy nie udało, może znajdziesz go tam.

- Czyli gdzie?

- Wszędzie - szepnął. - Na przykład tam.

Wskazał brudną ręką ledwie widoczną szczelinę między dwoma budynkami i zniknął w magazynie.

109.

Wszedłem w szczelinę, którą wskazał mi Nolly. Mroczna, wąska uliczka ciągnęła się jakieś sześć metrów prosto, po czym skręcała w

lewo. Miałem wrażenie, że Nolly Wheadle pokazał mi tajemnicę w tajemnicy, klucz do prawdziwego wnętrza Hatchtown. Horsehair zaprowadziła mnie do Raspberry, potem w maleńką Barrel Lane, a dalej, jak mi się zdawało, w kierunku Veal Yard. Od jej ścian odbijały się odgłosy z innych zaułków. Przypląnął do mnie smród, przypominający ten z domu Joy. Wsiąkł w cegły. Gdzieś w pobliżu jakiś człowiek nucił „Chattanooga Choo-Choo”; wydawało mi się, że to Piney Woods zatacza się po Leather Lane. Kiedy wreszcie wyszedłem na Veal Yard, ujrzałem za wyschniętą fontanną wylot Horsehair, wąski niczym pęknięcie w murze. Zrozumiałem, skąd Edward Rinehart obserwował pierwsze pojawienie się Roberta.

VI

Jak spędziłem urodziny

110.

Następnego ranka sam sobie złożyłem życzenia wszystkiego najlepszego z okazji trzydziestych piątych urodzin oraz wyraziłem nadzieję, że doczekam trzydziestych szóstych. Jeśli chodzi o prezenty urodzinowe, najlepszym ze wszystkich było przeżycie. Ubrałem się na pogrzeb Toby'ego w czystą białą koszulę, szare spodnie, krawat i blezer. Następnie zadzwoniłem do biura numerów i zdobyłem numer Akademii Wojskowej Forteca w Owlsburgu, w Pensylwanii. Ciekawiło mnie, kim był W. Wilson Fletcher i skąd Rinehart miał jego książkę. Jeśli Fletcher przeżył drugą wojnę światową, pewnie jeszcze chodził po ziemi i mógł pamiętać kolegę, któremu pożyczył książkę.

Powiedziałem kapitanowi Lighthouse'owi z wydziału administracyjnego, że przygotowuję artykuł dla „Edgerton Echo” na temat największej na świecie kolekcji dzieł H.P. Lovecrafta. Chciałbym porozmawiać z W. Wilsonem Fletcherem, pierwotnym właścicielem perły kolekcji, „Koszmaru w Dunwich”, który umieścił na książce swoje nazwisko, nazwę akademii oraz datę: rok 1941.

- Czy ten Fletcher podał swój stopień?
- Nie, tylko nazwisko.
- Czyli był kadetem. Sprawdzę w księdze absolwentów. - Czekałem przez jakiś czas. - W. Wilson Fletcher nie figuruje w księdze, co może oznaczać jedno z dwojga: albo zmarł, albo został wyrzucony, czego nie lubimy robić. Rok 1941, tak?

- Tak. - Powstrzymałem chęć powiedzenia „tak jest”.

- Sprawdzę listy uczniów w roku 1941 oraz latach sąsiadujących.

Spytałem go, czy też jest absolwentem akademii.

- Tak jest - oznajmił. - Rocznik 1970. Odслужиłem dwadzieścia lat i wróciłem, żeby pomóc mojej starej szkole. Kocham ją, naprawdę. A teraz zobaczmy... 1941... nie, nic. Może był w tamtym roku Artylerzystą, co by go umiejscawiało w klasie rocznika 1942... Tak, jest. Wilbur Wilson Fletcher, klasa 1942. Nic dziwnego, że używał samego inicjału. Rozumiem, że wspomni pan w artykule o akademii?

- Oczywiście.

- Zechce pan jeszcze poczekać. Chcę sprawdzić jeszcze dwa źródła. W Księdze Honorowej Akademii Forteca znajdziemy jego nazwisko, jeśli zginął podczas działań wojennych. Jeśli nie, spytam major Audrey Arndt, przełożonej działu sekretarek. Major pracuje tu od 1938 roku i pamięta wszystko i wszystkich. Akademia bez niej by się rozpadła. Zechce pan poczekać?

- Oczywiście. Dziwię się, że jeszcze pan jest w akademii.

- Nie mam wakacji, a pani major nie jest ich zwolenniczką. Proszę zaczekać.

Czekałem dziesięć minut. Wydawało mi się, że przez ten czas zdążyłbym wytapetować pokój. Zgadłem, że Wilbur raczej nie przysporzył nam wojennych zwycięstw ani nie dostał medalu za odwagę. Zaniosłem telefon na stół i po raz pierwszy zauważyłem, że ktoś wyciął na blacie - precyzyjnie, niemal elegancko - swoje inicjały i datę: P. D. 10/17/58. P. D. Spisał się na medal. Litery i cyfry, niemal wzór kaligrafii, biegły łukiem wzdłuż krawędzi stołu, tak małe, że zauważało się je tylko wtedy, gdy się patrzyło bezpośrednio na nie. Być może był to muzyk czekający na rozpoczęcie koncertu.

W słuchawce trzasnęło i przytłumiony głos kapitana powiedział:

- Oddaję słuchawkę major Arndt.

Znowu trzask.

Władczy kobiecy głos powiedział:

- Tu major Arndt. Proszę wyjaśnić, dlaczego interesuje się pan kadetem Fletcherem.

Powtórzyłem bajeczkę.

- Miałem nadzieję z nim porozmawiać i pomyślałem, że akademia da mi jego numer.

- Proszę pana, Akademia Forteca z radością współpracuje z prasą, ale współpraca obowiązuje obie strony. Proszę mi dać słowo, że to, co panu powiem, zużytkuje pan dyskretnie i taktownie. A przed publikacją przefaksuje mi pan artykuł do akceptacji.

Zamrowiła mnie skóra.

- Zgoda.

- Niestety, poruszył pan temat jedyne go nieszczęśliwego wypadku w historii akademii. Kadet Fletcher zmarł w wyniku napaści tuż przed przerwą świąteczną w roku 1941. Napastnika nigdy nie znaleziono. W rezultacie nasza znakomita placówka zyskała wielki, acz niepożądany rozgłos.

- Coś takiego.

- Wolałabym, żeby nie wspominał pan w swoim artykule o śmierci kadeta Fletchera. A w bardziej realistycznej wersji - proszę, by opisał pan to zajście jako nieszczęśliwy wypadek i powstrzymał się od spekulacji.

- Pani major - powiedziałem. - Nie ma powodu, żebym odgrzebywał skandal sprzed pięćdziesięciu lat. Chciałbym panią prosić o jeszcze jedną przysługę i zapewniam, że zastosuję się do pani warunków.

- Proszę mówić.

- Kadet Fletcher nie może mi powiedzieć, w jaki sposób wszedł w posiadanie lub jak się pozbył tej książki, ale być może jego koledzy zdolają to sobie przypomnieć. Jeśli zechce mi pani przefaksować listę kadetów w latach 1939-1941, zacznę szukać. W moim artykule nie

pojawi się ani słowo na temat okoliczności śmierci Fletchera. Interesują mnie tylko dzieje tej książki.

- Zmarnuje pan mnóstwo czasu.
- My w „Echu”, pani major, mamy go aż za dużo.

111.

Ford, taki sam jak mój, przepłynął wzdłuż długiego szeregu samochodów na lśniącym podjeździe. C. Clayton Creech, przyodziany w grafitowy garnitur i szary filcowy kapelusz, przyglądał się zebranim ze zwykłym spokojem. Spojrzałem na nagrobek koło grobu Toby'ego. HENRIETTA „QUEENIE” DUNSTAN KRAFT, 1914-1964, NIEZRÓWNANA W SWEJ WIRTUOZERII.

- Tak między nami - zwróciłem się do Creecha - czy Toby był oszustem na wielką skalę?

- Skazany tylko raz - wycedził. - Na podstawie fałszywych zeznań.

Na dole zbocza bliźniak mojego taurusa parkował na końcu szeregu samochodów. Zza kierownicy wysiadł pan Tite. Otworzył drzwi przed Helen Janette.

- Które nie miały nic wspólnego z tymi lewymi adopcjami?
- Hazel nie sypała - odrzekł zwięźle Creech, spoglądając w dół zbocza.

- Więc o co chodziło?
- Takie tam bzdury.

Helen Janette i jej anioł stróż weszli na wzgórze. Frank Tite udał, że nie dostrzega, iż Helen idzie do mnie. Prawnik uchylił kapelusza.

- Dzień dobry pani.
- Panie mecenasie, chciałabym zamienić słowo z pańskim przyjacielem. - Gestem zaprosiła mnie na stronę. - Chcę, przeprosić za to, jak się zachowywałam w tamtą noc. Jestem żalosną starą kobietą, a wtedy nie potrafiłam myśleć logicznie.

- Musiała to pani okropnie przeżyć.
- Kiedy się traci dobytek całego życia, człowiek zaczyna rozumieć,

co znaczy „okropnie”. Nie pojmuję, dlaczego ten mały La Chapelle tak oszalał.

- Znała go pani?

- Mieszkał za rogiem. Razem z Clyde'em Prentissem. Od kołyski rozrabiali jak najęci.

Ostatni żałobnicy dołączyli do tłumu nad grobem Toby'ego. Wszyscy z wyjątkiem dwojga lub trojga w czerni, bardzo elegancy.

- Cały problem w Hatchtown - oznajmiła Helen Janette. - Na co komu sala konferencyjna? Stewart Hatch powinien zburzyć całe stare miasto i odbudować je od fundamentów. Albo przynajmniej wyremontować te domy. Pańska rodzina też by się ucieszyła, gdyby wyremontowano Cherry Street, prawda?

- Z nimi nigdy nie wiadomo. Ale dlaczego to Hatch miałby coś robić?

- Dobrze, nieważne - powiedziała i odeszła.

Pan Spaulding stanął nad otwartym grobem. Ciche rozmowy umilkły.

- Drodzy przyjaciele i sąsiedzi, pan Kraft nie życzył sobie na własnym pogrzebie obecności osoby duchownej, ale miał nadzieję, że zebrani wygłoszą spontaniczne mowy. Jeśli pragniecie wyrazić swoje uczucia, wystąpcie i przemówcie.

W tłumie dało się zauważyć lekkie poruszenie. Wystąpiła starsza pani. Podniosła głowę; słońce zaślniło w jej okularach.

- Toby Kraft nie był moim bliskim, zaufanym przyjacielem, lecz go ceniałam. Traktował klientów uczciwie. Do każdego zwracał się z szacunkiem. I był szczodry. Bywał szorstki, ale wiem, że często wyciągał pomocną dłoń do wielu tu obecnych. - Tłum wydał potwierdzający pomruk. - Moim zdaniem Toby Kraft nie pozostawał obojętny na krzywdę. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Potem nad grobem przemawiało jeszcze siedem osób. Siwowłosa mężczyzna oznajmił:

- Toby nigdy nie był romantyczny ani sentymentalny, ale nikt nie może mu zarzucić, że nie kochał swojej żony z całego serca.

Spytałem Creecha, czy znał Queenie.

- Toby zakochał się po same uszy - odparł. - Na jej widok szczęka mu opadała, a oczy wychodziły z głowy. Wiele razy zapraszali mnie na obiad i muszę powiedzieć, że takiego ciasta jak placek ze słodkimi ziemniakami Queenie nie jadłem nigdy przedtem ani potem. - Uśmiechnął się, bardziej do siebie niż do mnie. - To był jedyny placek w moim życiu, który unosił się parę centymetrów nad stołem, jakby prosił, żeby go zjeść.

Ostatnia mówczyni zauważyła:

- Pan Kraft zachowywał się tak, jakby na śniadanie jadał koła zębate i żyłki, ale był po naszej stronie. Pewnego razu powiedział mi: „Georgio, być może jestem sukinsynem - wybaczenie państwo - ale do moich obowiązków należy troszczenie się o was”. Pomógł mi zapłacić za pogrzeb męża. A kiedy moja córka poszła do Morehouse, wysyłał jej co tydzień pieniądze i nigdy nie zażądał niczego w zamian. Powiadam, Toby Kraft był dobrym, dobrym człowiekiem.

Pan Spaulding wmieszał się w tłum i zaczął ścisnąć ręce przyszłym klientom. Zebrani rozeszli się do samochodów.

- Tak, tak, Toby był wspaniałym facetem - powiedział C. Clayton Creech. Rzucił mi jaszczurcze spojrzenie. - Ufam, że nie żałuje pan wczorajszej decyzji?

- Toby by to pochwalił.

- Zawsze lubiłem tę jego skłonność do kaprysów. Moi klienci na ogół się im opierają. W miarę upływu lat coraz bardziej doceniam wyobraźnię.

Zaczęliśmy schodzić ze wzgórza.

- Za co poszedł do więzienia? - spytałem.

W mlecznobiałej dłoni Creecha zadźwięczały kluczyki.

- Przypuszczam, że starczyło mu wyobraźni, by zrozumieć, że nie ma innego wyjścia.

112.

Ciotki krzątały się przy kuchence. Clark, wspaniały w kanarkowej sportowej marynarce, podniósł głowę znad stołu.

- Spójrz, chłopcze, mam nową marynarkę dla uczczenia twoich urodzin!

Nettie zaśpiewała „Sto lat” i cmoknęła mnie w policzek.

- Stój, nie ruszaj się - zarządziła May. - Przyniosę twój prezent!

- Na pogrzebie starego Toby'ego pewnie było pusto - zagadnął Clark.

- Nie, przyszło mnóstwo ludzi. Niektórzy mówili o tym, jak bardzo kochał Queenie.

- Tego mu nie można odmówić - przyznała Nettie. - Od chwili gdy po raz pierwszy spojrzał na moją siostrę, zachowywał się jak zaczarowany.

- Chciałem was o coś spytać - powiedziałem.

May wróciła z reklamówką z logo miejscowego sklepu spożywczego. Prawie się krygowała.

- Kiedy dałam ci te skarpetki i bieliznę, miałam już niespodziankę na twoje urodziny.

- Dasz mi na urodziny niespodziankę?

- Teraz to już nie będzie niespodzianka. - Wyjęła z torby różową marynarkę w rozrzucone tu i tam piłki, kije do golfa i dołki z chorągiewkami. Grenville Milton na jej widok zaczęły się ślinić.

Zdjąłem blezer i włożyłem różowe szaleństwo. Pasowało doskonale.

- Cholera, chłopcze - odezwał się Clark. - Teraz wyglądasz jak ktoś, kto umie się zabawić.

- I jest jeszcze coś! - dodała Nettie. - Placek ze słodkimi ziemniakami. Mój jest tak samo dobry jak Queenie, zobaczysz.

- Co jeszcze mamy w jadłospisie?

- Pieczone żeberka wieprzowe i fasolę. May przyniosła chleb domowej roboty. I sałatkę z pianką z tego przepisu, co pokazywali w

telewizji. No i mamy mnóstwo zapiekanki z wczoraj. O jedzenie możesz się nie martwić.

- Zaslugujemy na pokrzepienie po tylu smutkach - oznajmił Clark. - Teraz, kiedy go już nie ma, brak mi go bardziej, niż myślałem. Czy poszukiwania mordercy przyniosły jakieś rezultaty?

- Nie sądzę.

- W Edgerton szaleje Kuba Rozpruwacz, ale policja nie chce tego przyznać. To by przeraziło mieszkańców.

- To nie jest zwykły Kuba Rozpruwacz - rzekła Nettie złowróźnie.

- O, nie. Weźmy na przykład wczorajszy wypadek w College Park. Jakby mnie ukąsiła osa.

- Jaki wypadek?

- Około pierwszej przechodnie usłyszeli straszliwy hałas. Wiele szyb pękło na kawałki. Podobno niebo rozjaśniło się błękitnym blaskiem.

- Niewątpliwie jest to znak - dodała May.

- W radiu dziś powiedzieli, że to wszystko przez statek kosmiczny. Trzeba się nad tym zastanowić.

Spojrzałem przez okno na stary stół piknikowy, przykryty papierowym obrusem i zastawiony jednorazowymi kubkami.

- Szkoda, że Joy nie przyjdzie.

- Joy nie chciała dziś ze mną rozmawiać - oznajmiła May. - Nie zdziwiłabym się, gdyby jednak zmieniła zdanie co do tego domu opieki.

W piersi odezwało mi się pierwsze ostrzegawcze drżenie, zapowiadające, że do ataku zostało mi od trzech do czterech godzin.

- Na pogrzebie spotkałem pana Creecha. Spytałem, za co Toby poszedł do więzienia, ale nie chciał mówić.

- Dzisiaj - przemówił Clark - powinniśmy pamiętać tylko o jego dobrych uczynkach, nie o błędach.

- Których były tysiące - dodała Nettie.

- Niezliczone jak ziarnka piasku na plaży - uzupełniła May. - Gotowi do rozpoczęcia obchodów?

Siedzący naprzeciwko Clark zmógł prawie całą fasolkę. Na papierowych talerzach przed ciotkami zebrały się góry kości. W tle łagodnie szumiały moje ostrzegawcze sygnały. Wszyscy czuliśmy to ciepłe, rozlewające się uczucie, które nadchodzi po obfitym posiłku. W chwili gdy zacząłem się zastanawiać, czy znowu przywołać temat odsiadki Toby'ego Krafta, May mnie wyręczyła.

- Nettie, a pamiętasz, jak posadzili Toby'ego? Queenie miała taką małą lodówkę i była bardzo zła, bo przez pół roku nie miała czasu, żeby coś z tym zrobić. Pamiętam, gdy Toby wrócił, kazał Queenie natychmiast przynieść nową lodówkę.

- Skoro siedział tylko pół roku, nie popełnił żadnej wielkiej zbrodni - podchwyciłem.

- Nie tylko nie popełnił wielkiej zbrodni, ale w ogóle był niewinny - odparła May. - Niby po co miałby się do kogoś włamać? Gdyby chciał, znalazłby idiotę, który by to dla niego zrobił.

- Przez cały czas siedział w domu z Queenie. - Nettie zerknęła na mnie. - Tak zeznała, ale przysięgli jej nie uwierzyli, więc wyszło na to, że kłamała. Nasza siostra była wzorem uczciwości. To jasne jak słońce.

- Czasami była aż za dobra - oznajmiła May. - Ned, poproszę jeszcze żeberek i tej sałatki z telewizji.

- Toby nic nie powiedział, żeby się ratować?

- Nie powiedział, bo nie mógł i nie chciał. - Nettie odebrała May salaterkę z sałatką i nałożyła sobie połowę na talerz. Niechęć zwyciężyła dyskrecję. - Toby nawet nie chciał rozmawiać z prawnikiem. Skazali go za kradzież obrazka w srebrnej ramce, a wszystko dlatego, że jeden nicpoń z Hatchtown zeznał, że widział, jak Toby się włóczy koło tamtego domu.

Znane uczuci«, jakby monotony elektryczny puls, napłynęło mi do rąk i wszystkie kolory wokół zapłonęły. Nie wiedziałem, ile czasu mi jeszcze zostało. Robert snuł się gdzieś w pobliżu, spalając się z zazdrości.

- To wspaniałe przyjęcie urodzinowe - powiedziałem - Ale muszę iść na górę i na chwilę się położyć.

- Nic nie szkodzi - odparła Nettie. - Gdybyś miał paść tu na ziemię i toczyć pianę z ust, poczułabym się jak żałosna staruszka.

Buzujące pulsowanie w moich żyłach uciszyło się; żółte płomienie wokół piersi i ramion Clarka schowały się w jego marynarce.

- Na pogrzebie Toby'ego ktoś zrobił uwagę, która nasunęła mi myśl, że te domy są własnością Stewarta Hatcha. Zawsze sądziłem, że należą do was.

May zmarszczyła brwi. Clark wpatrzył się w zadumie w platek mięsa wypreparowany z żeberek. Nettie poklepała mnie po ręce.

- Synku, nie musisz się o nas martwić.

- A to znaczy, że to on jest właścicielem waszych domów?

- Przez lata nasza rodzina prowadziła liczne interesy z Hatchami. Kiedy pieniądze stracił na wartości, pan Hatch zdał sobie sprawę z naszych problemów i zechciał wyświadczyć dobry uczynek.

- Jaki uczynek?

- Pan Hatch zamierza rozbudować tę dzielnicę. Tymczasem do końca życia możemy pozostać w tych domach.

- A jeśli pójdzie do więzienia?

- Bez względu na to, co się stanie, poradzimy sobie.

- Jesteśmy bezpieczni i wszystko to osiągnęliśmy sami - dodała May. - Pieniądze Toby'ego to raczej lukier na torcie.

- Skoro mowa o deserze - odezwał się Clark - gdzie ten placek?

- Poczekasz, aż chłopiec wydobrzeje po ataku - oznajmiła Nettie. - To nie twoje urodziny.

113.

Przeszedłem przez kuchnię; z każdym krokiem odczuwałem jego obecność.

- Pokaż się, Robercie - powiedziałem.

Wszedłem do salonu.

- Wiesz, że właścicielem tych domów jest Stewart? Co się dzieje? Nie może rozbudować jednej części Cherry Street.

Wyobraziłem sobie, że mój milczący bliźniak stoi przede mną, śmiejąc się z mojej dezorientacji.

Znalazłem się na półpiętrze i zamarłem. Howard Dunstan przyglądał mi się z obojętnym zaciekawieniem. Powstrzymałem chęć ucieczki. Na usta wypłynął mu błady uśmiech. Moje urodziny mu się podobały. Wraz z Robertem złągodziłem nudę wieczności, zapewniając przedstawienie ciekawsze, niż się spodziewałem.

- Wyjdź na zewnątrz, rozruszaj swoje córki - powiedziałem. - Mam cię już dość.

Wyraz jego twarzy mówił: „Nie rozumiesz, coś ci umyka”. Howard odwrócił się, skinął głową w stronę okna za plecami i zniknął.

Podszedłem do okna i wyjrzałem. Przy stole piknikowym siedziały cztery osoby w radosnym nastroju. Robert, obnoszący różową marynarkę z elegancką niedbałością, mówił do Nettie coś, co przywołało na jej twarzy uśmiech zachwytu, od którego w policzkach pojawiły się dołeczki. Wyglądał zadziwiająco przystojnie, choć dostrzegałem w nim ten bolesny głód, który zauważyłem po raz pierwszy, gdy ścigał świetliki i żar-ptaki.

Oderwałem się od okna i spojrzałem na drzwi pokoju Nettie i Clarka. Były uchylone. Niemal nie wierząc, że to robię, wśliznąłem się do środka. Pod ścianą stały dwie drewniane szafki; dwa krzesła z miękkimi siedzeniami stały za podwójnym łóżkiem z białymi poduszkami i spłowieła żółta kołdra. Czułem się jak gwałciciel. Przed łóżkiem znajdowała się wysoka bielizniarka. Jedyna szafa w pokoju znajdowała się na prawo.

Przypłynął do mnie słodki, spleśniały zapach lawendy. Połowę drążka zajmowały garnitury Clarka. Długie, luźne sukienki Nettie - drugą połowę. Schłodne stosiki swetrów i bluz wypełniały niemal całą półkę nad drążkiem. Zza bluz wyglądał rożek koperty.

W kopercie znalazłem mnóstwo czarno-białych fotografii. Mogły przedstawiać Nettie i jej siostry, stojące od najwyższej do najniższej przed domem na New Providence Road; Clarka Rutledge'a w wypracowanej pozie i obszernych spodniach; Star Dunstan koło fortepianu w nocnym klubie, śpiewającą „They Can't Take That Away from Me”. Tylko przeglądając je, mogłem oczyścić ciotki z podejrzeń.

Wyjąłem trzy fotografie i zorientowałem się, że ludzie na nich na pewno nie są Dunstanami.

Młody mężczyzna w słomkowym kapeluszu opierał nogę na schodku pojazdu. Na zdjęciu studyjnym jakaś osiemnastolatka z prostą ciemną grzywką, w perłach, białej sukience do połowy łydki oraz lśniących jedwabnych pończochach uśmiechała się znad zrolowanego dyplomu. Starsze wersje tych samych osób: on w garniturze z kamizelką, ona w kapeluszu helmie, a przed nimi dwóch chłopców w marynarskich ubrankach, jeden prawie niemowlę. Schowałem zdjęcia do koperty i wyjąłem następne. Objawy znowu dały znać o sobie, zapowiadając wesołą przejażdżkę.

Mały chłopczyk, przebrany na tę okazję w miniaturową marynarkę i muszkę, z grzywką jak u matki, siedział na stołku przed dekoracją przedstawiającą włoskie miasteczko na wzgórzach. Był niemal sobowtórem trzyletniego Neda Dunstana na zdjęciu, które przysłała mi matka.

Wyjąłem zdjęcie klasowe z Edgerton Academy, jedno z tych, które według różowowłosego Spike'a chciałem znaleźć. Dwudziestu nastoletnich chłopców stało w trzech rzędach na schodach przed szkołą. W ostatnim rzędzie stałem ja sam w wieku trzynastu lat, ponury, samotny, nieszczęśliwy i ciemny jak Kaliban.

Wyszedłem z sypialni prosto na opartej o ścianę, uśmiechniętego Roberta.

- Nettie i May to dwie doskonałe oszustki. A Clarkiem jestem wprost zachwycony. Ten człowiek powinien zasiadać w Senacie. Nie masz nic przeciwko temu, że korzystając z twojej nieobecności, poznałem się z rodziną?

- A jakbym miał, to zrobi ci to jakąś różnicę?

Spojrzał na kopertę i zmrużył oczy.

- Czy to to, o czym myślę?

Podał mu ją.

- Zabierz to do samochodu. Muszę dotrzeć przed atakiem do „Brazen Head”.

- Wytrzymasz?

- Panuję nad sobą bardziej niż kiedykolwiek.

- Ciągłe odkrywamy nowe umiejętności. - Robert zabrał kopertę i zniknął.

Kiedy pojawiłem się na podwórku, Clark i ciotki spojrzeli na mnie z ulgą i zaskoczeniem.

- Błyskawicznie do siebie dochodzisz - odezwała się Nettie.

- Jeszcze się nie zaczęło - odparłem. - Muszę wracać do hotelu. Ale dziękuję za przyjęcie. I bardzo mi się podoba nowa marynarka. - Przyszło mi do głowy pytanie, na które nie otrzymałem odpowiedzi. - Rozmawialiśmy o Tobym. Mówiliście, że włamał się do domu w Hatchtown?

- Czy w Hatchtown mają obrazy w srebrnych ramach? - zaszydził Clark.

- Nettie powiedziała, że widział go jakiś osobnik z Hatchtown.

- Pewien padalec imieniem Spelvin twierdził, że widział Toby'ego w Ellendale. W tamtych czasach ludzie jego pokroju nie płatali się po Ellendale.

- Gdzie konkretnie? - W żyłach popłynął mi prąd elektryczny.

- Na Manor Street - powiedział Clark. - Tam gdzie w latach dwudziestych budowano wielkie dwory.

- O czyj dwór chodzi? - Już wiedziałem.

- Carpentera Hatcha. Nie wiem, jak to możliwe, że przysięgli uznali, iż Toby Kraft mógł się tak stoczyć i zidiociec.

Ulotniłem się z podwórka bez budzącej szacunek zwinności Roberta.

- I co zrozumiałeś z tych zdjęć? - spytał rozwalony na tylnym siedzeniu Robert.

- Ty pierwszy.

- Jest to dokumentalny zapis mniej więcej piętnastu lat z życia bogacącej się rodziny - zaczął kpiącym profesorskim tonem. - Zaczynamy od sprytnego osiłka i małej ślicznotki, która miała nieszczęście za niego wyjść. Z czasem osilek zmienił się w zasadniczego tyrana, a ślicznotka - w przerażoną zjawę. Mieli dwóch synów, którzy przyszli na świat w odstępnie siedmiu czy ośmiu lat. Wysłano ich do strasznej szkoły, by umocnić złudzenie, że stali się arystokratami.

- Coś jeszcze?

- Pierwszy syn jest podobny do nas.

- Jest również bardzo podobny do Howarda Dunstana.

Robert zamknął usta.

- Ten osilek to Carpenter Hatch. Dziewczyna, która zmieniła się w zjawę, nazywała się Ellie, co jest zdrobnieniem od Ellen, jak w Ellendale. Ich pierwszy syn wyładował w więzieniu, zniknął i prawdopodobnie umarł. Drugi, Cobden, zaczął pracować u ojca, ożenił się i spłodził syna. Przez całe życie bał się, że jego syn Stewart będzie taki jak jego starszy brat.

- Który przypadkiem przypominał Howarda Dunstana. A kiedy rzekomo umarł, to kukułcze piskłę wróciło do Edgerton jako Edward Rinehart.

- Po raz drugi powrócił jako Earl Sawyer. Wiele osób zrobiło wszystko, żeby nie odkrył, że to on jest moim ojcem. Naszym ojcem.

- To by znaczyło...

- Powiedz. Chcę wiedzieć.

- To by znaczyło, że Edward Rinehart jest Dunstanem, a ty i ja jesteśmy Hatchami. Dobry stary tatko związał ze sobą dwie rodziny, a jaki mamy na to fizyczny dowód? Neda Dunstana. Nic dziwnego, że

Stewart rąbnął nasze zdjęcia i chciał cię wygonić z miasta. Mogłeś zrujnować reputację jego rodziny. - Wybuchnął śmiechem. - Rozkoszne. Rinehart pracował dla swojego bratanka przez piętnaście lat i tak się zmienił, że Stewart go nie rozpoznał. Znał go tylko z tych zdjęć.

A Nettie i May? - pomyślałem. Nettie natychmiast rozpoznałaby Edwarda Rineharta jako nieślubnego syna jej ojca. Ale Edward Rinehart unikał Dunstanów, tak samo jak musiał unikać Hatchów. Nigdy nie pozwalał się fotografować. Jeśli ciotki nie znały tożsamości kochanka Star, nie mogły szantażować Stewarta Hatcha.

Skrzyłem na wolne miejsce na Word Street. Fasada hotelu „Paris” lśniła jak lawa. Skórę na głowie przeszył mi gorący elektryczny dreszcz, spelzł po plecach i rękach. Im więcej się dowiadywałem, tym większy miałem zamęt w głowie. Każda nowa informacja prowadziła w ślepy zaułek.

- Idź do mojego pokoju - powiedziałem. - Zaraz tam będę.

- Niczego nie obiecuję. - Robert zniknął z tylnego siedzenia.

Pomknąłem przez eksplodujące dźwięki i kolory w uliczkach, wpadłem w Veal Yard. Słoje na blacie recepcji wy płynęły ku mnie spod warstw polityury.

- Przyszedł faks dla pana - powiedział recepcjonista. Miał na sobie rażąco błękitną koszulę, odwrócił się i podał mi plik kremowych kartek.

Wchodziłem po schodach, czytając lśniące czernią litery. Major Audrey Arndt z przyjemnością, i tak dalej, zakładając, że zgodziłem się, i tak dalej. Jej podpis zahuczał jak strzał z armaty. Odczytałem nazwiska kadetów z lat 1938-1942. Piąte od dołu w roczniku 1941 brzmiało: Cordwainer C. Hatch.

Wszedłem do pokoju. Robert stał przy oknie. Ze stołu uniósł się lśniący jak klejnot łuk liter: P. D. 10/17/58 i poszybował na środek pokoju.

- Masz ten faks?

- Cordwainer Hatch - powiedziałem. - Brat Cobdena. Zdaje się, że

zabił kadeta w akademii wojskowej, żeby zdobyć książkę, którą ukradłem z Buxton Place. - Kątem oka widziałem już błękitne światło, a potężne ciśnienie zewnętrzne skoncentrowało się i zmieniło w stały nacisk.

- Wiesz, co musimy zrobić.

Podniósł ręce.

- Nie rozumiesz. Tobie będzie trudniej niż mnie. Nie wiem, czy dołazasz to wytrzymać.

Podszedłem do niego. Kremowa mgiełka, której nigdy przedtem nie widziałem, przefiltrowała się przez jego skórę i zawisła jak dym tytoniowy. Na chwilę, zanim dotknąłem Roberta, zabrałem ze stołu „Koszmar w Dunwich” i wcisnąłem go do kieszeni różowej marynarki. Wszystko zawało się z łomotem. Zacisnąłem palce na ręce Roberta, doskonale wiedziałem, co zobaczymy.

115. Pan X

O, Wijące się ~~Dostojne~~ Okrutne Istoty, które jedną ręką dajecie, drugą zaś odbieracie - Zaczynam rozumieć

Najpierw muszę się zająć ~~bardziej~~ zasadniczą sprawą. ~~Teraz jednak~~ Gorzko, jak gorzko, tę gorycz dopiero teraz zaczynam pojmować.

W miarę upływu długich lat - Przyzwyczyłem się do pocieszającej Fantazji - że Boski i Ironiczny Byt - abstrakcja - niepojęty dla Mistrza z Providence - ~~pobłogosławił~~ Obarczył mnie Zadaniem - Doniosłym - Zgładzenia Przeciwnika - lub - jak odkryłem - Przeciwników. - ~~mogę~~ ~~jedynie~~ Zapisuję tu, że Okropności - zesłane przez Wymienionych - nauczyły mnie, iż źle pojmowałem Waszą Prawdziwą Naturę. Dary i Objawienia umacniały waszego Sługę w złudzeniu bycia Wybranym - jakże byłem ~~naivny~~ GŁUPI.

Wczoraj w nocy - w Ciemności - moje Szaleństwo wybuchło - na widok Wielkiego Zniszczenia. Święty Płomień ~~osmałił~~ pognąbił Niebios - stałem w Popiołach - pod -

I - w Zgrozie i Przerażeniu - otrzymałem Dar.

Stałem, jakbyście tego ~~nie wiedzieli~~ nie byli świadomi, wśród Popiołów - jak Dym z Armatniej Gardzieli - moja Furia bluzgała - i wtedy - Pożarty - Płynna Substancja - którą jest Czas - Podróż tam i z powrotem - Bosko i w Chwale - Tam gdzie od nowa zamordowałem Ferdy Dunstana, zwańcego się Michael'em Anscombe'em oraz Moirę Hightower Dunstan, zwańcą się Sally Anscombe - i Wówczas - w Tryumfie - Zniszczyć Bliźniaczych Przeciwników -

Humor - nie ma na niego Miejsca w waszym Królestwie - Ironia - równie odległa jak Litość. Przeklinam się, że byłem tak ślepy - że nie dostrzegłem mojego Ogrójca - mojej Golgoty -

Brzeg rzeki - ma swój Cel i Cel - Przerażający, Ból równy Bólowi - Furia równa Furii - nie ma Triumfu bez Próby. Oto przebite moje prze-guby i kostki - oto cios Miecza Centuriona -

Ukrzyżowanie to nie zabawa, pozwólcie, że wam to powiem. I dodam jeszcze, że półczłowiek i Wyrzutek ma granice wytrzymałości! Krzyczę - i niech mój Krzyk dosięgnie Niebios - że Zniszczyli moje Dzieło!

A jednak - wśród Zagłady - pojąłem - O, Pełzające Okropności - niech będą Błogosławione moje Rany od Miecza - moja Wielka Strata - i Cierpienie - to zapowiedź nadejścia Wielkiego Ognia - gdyż moja Tożsamość nie pozwoli się ukryć - Wielki Ogień podążą za Dymem z Armatniej Gardzieli -

Na wpół oszalały z furii - z urazy - od odkrycia Zbrodni sen mi umyka - dygoczę, zlany potem, który przenika me szaty - nie mogę jeść - oto Błogosławieństwa podarowane mi na Końcu - kiedy Zginę - by zyskać Życie Wieczne -

Moi nieprzyjaciele Dręczą mnie - wyzywam ich - jak dawniej - moja Przewaga - moja Armia Potężniejsza - w Inteligencję - Nowa Umiejętność podarowana mi przez Potrzebę - Przeciwnik nie zna mego ziemskiego miana - co więcej - wiem, że jest ich Dwóch - Wielka Przewaga - nie Podejrzewają - i pokażę Jednemu - gdy okiełznam Czas...

Wśród Furii - śmieję się - na myśl o takiej Zabawie - Odkładam Pióro - zamykam Księgę - Tryumf już blisko - O, Bezlitośni Ojcowie -

116.

Na pół sekundy przed lądowaniem w Boulder w Kolorado znowu zjednoczyłem się ze swoim cieniem.

Jak w dzieciństwie wzdrygnąłem się, przerażony tym pogwałceniem granic, tą inwazją. Tym razem czułem wstręt Roberta równie wyraźnie jak własny. Mieliśmy trzydzieści pięć lat, nie dziewięć, i szok był o wiele większy. Ale nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo upodobiłem się do Roberta; moc, którą w sobie odkryłem, oraz wiedza, którą on miał przez całe życie, wyrastały ze wspólnego pnia. Jeszcze raz przeżyliśmy zapierające dech w piersiach zjednoczenie i świadomość, że w żaden sposób nie możemy zatrzeć naszych indywidualności. Dzieliliśmy wiedzę i doznania, ale pomimo tej symbiozy pozostaliśmy Nedom i Robertem. Ku wspólnemu zaskoczeniu przekonaliśmy się, że rządzi Ned.

Znaleźliśmy się w roku 1967, wystrojeni w różową marynarkę zdobną w golfowe akcesoria. Staliśmy na trawniku przed domem Anscombe'ów. Księżyc wisiał nad górskimi szczytami jak monstualny guzik, w powietrzu pachniało świerkami. Z okna w dobudówce po lewej stronie świecił błękitny ogień. Pan X z roku 1967 polował na swego syna. Promień błękitnego światła, jak ironiczne powitanie od naszego pana X, Cordwainera Hacha, przebił się przez szparę w zasłonach

salonu. Na schodach prowadzących na strych spotkały się właśnie nasze dziewięcioletnie repliki. Nie było widać ani nas, ani demona w salonie, ponieważ wtedy jeszcze się nie pokazywaliśmy.

Dobrze znane mi ciśnienie wepchnęło nas przez drzwi. Pani Anscombe w bezkształtnej szacie sięgającej jej prawie do stóp, z „Księżycem na dobranoc” w jednej ręce i zmierzwionymi matowymi włosami wpatrywała się w zwłoki męża. Nasz pan X stał za nią, błyskając spod ronda kapelusza wściekłym, groteskowym uśmiechem. Pani Anscombe weszła w kałużę krwi swego męża. Frank Sinatra śpiewał o tym, jak w pewną piękną noc spotkała się nieodparta siła i niewzruszony przedmiot.

- Oż ty w dupę - powiedziała pani Anscombe. Odwróciła się do nas.
- A ty kto, Bob Hope?

Dziewięcioletni Robert, niezdolny ujrzeć trzydziestopięcioletniego mężczyzny, który zmaterializował się przed drzwiami, przyglądał się jej z kuchni. Pani Anscombe, jakby idąc za moimi myślami, obejrzała się na niego i weszła głębiej w czerwoną kałużę. W jej oczach mignęło mętne zrozumienie, książka upadła z plaskiem w krew.

- Czemu to robisz? - krzyknęła pani Anscombe. - Nie rozumiesz, że już jestem w piekle?

- Proszę się nie martwić, droga pani. Wkrótce przyjdzie kolej i na panią - odpowiedział Cordwainer Hatch.

Zrobiła chwiejnie jeszcze jeden krok w stronę kuchni.

- Cholera, naprawdę jestem w piekle - krzyknęła - ale ten sukinsyn nie jest CZERWONY, jest NIEBIESKI!

W naszą stronę sunęła Czarna Śmierć z zaułków Hatchtown. Biła od niego mdląca fala niemal bezgranicznej furii zatrutej szaleństwem jeszcze większym niż szaleństwo Alice Anscombe; jego umysł sięgnął ku mnie i Robertowi, żeby nas pochłonąć. Po raz pierwszy poczułem, że mogę się przeciwstawić jego mocy. Robert wrzasnął „Zrób coś!”, a ja

odpowiedziałem: „Czekaj”. Umysł Cordwainera dobijał się do mojego jak wiatr łomoczący okiennicą.

To nic nie znaczy. Ruszaj!

Powietrze zmieniło się w ciało stałe, wypchnęło nas przez ustępliwe ściany do niewielkiego pokoju pełnego tekturowych pudeł. Cordwainer był parę centymetrów od nas. Śmierdział dnem rzeki. Z salonu, gdzie pan X z roku 1967 karciał panią Anscombe, lało się błękitne światło. Nasz pan X zagrzmiął w naszych umysłach:

- Ty mały nikczemny, nikczemny, nikczemny wandalu! Ty potworze!

Wyciągnął nóż spod płaszcza.

Wściekły ryk i seria przytłumionych odgłosów obwieściły zgon pani Anscombe. Młodszy pan X wydał wrzask frustracji, wpadł do kuchni i przeniósł się na zewnątrz w poszukiwaniu małego chłopca, który znowu zdołał przed nim umknąć.

- Pewnie złościsz się z powodu książek - powiedziałem.

Cordwainer chwycił nas za ramię, obrócił i przycisnął do piersi. Wbił nam nóż w gardło.

To ma być ten twój plan? - spytał Robert. *Wybacz, ale nie będę tu czekać, aż mnie zabiją.* Kazałem mu się uspokoić.

- Tak, tak można powiedzieć. Złuszczę się z powodu książek. - Wbił w naszą szyję kolejny milimetr noża. - Zaspokój moją ciekawość. Skąd znasz nazwisko Edwarda Rineharta? Od matki? Czy od tego starego głupca Toby'ego Krafta?

- O Edwardzie Rineharcie słyszałem od mnóstwa osób. Gdzie jesteście?

Zachichotał.

- Nie pamiętasz Anscombe'ów? Czy Boulder w Kolorado nic ci nie mówi? Cofnęliśmy się w czasie, Płynnej Substancji, materii bez wątplenia dla ciebie niepojętej, choć chciałbym wiedzieć, jak wówczas zdołałeś mi uciec. Przemów, proszę, jestem tym żywo zainteresowany, zapewniam cię.

Dlaczego nic nie robisz? - wrzasnął Robert. *Będziesz gadać z facetem, który nam wbija nóż w szyję?*

Zamknij się i daj mi to załatwić, odpowiedziałem. *Musimy z nim porozmawiać.*

- Mogę ci powiedzieć, kim jesteś naprawdę - zwróciłem się do Cordwainera. - To cię nad wyraz zainteresuje, daję słowo. Ja także byłem zaskoczony.

- Starczy tych zagadek. Zobaczmy, może jakiś inny podpalacz książek zechce do nas dołączyć.

Do pokoju wpadł potężny wiatr, przygniótł poły różowej marynarki do naszej piersi. W salonie przesuwały się meble. W kuchni z półek spadły chyba wszystkie talerze; rozbiły się o ściany. Okno za mną rozprysnęło się na kawałki. Zdradziłem Robertowi część mojego planu; zachichotał.

Myśleliście, że mnie oszukacie?

Wicher porywał wszystkie przedmioty w domu.

- Szukasz kogoś? - spytałem.

Zniszczyliście moje książki! To oburzające! Gdzie on jest?

- Panie Sawyer, chcę panu coś pokazać. Ludzie nas zobaczą. Jeśli ma pan odrobinę rozumu, cofnie pan ten nóż.

Mocniej zacisnął ręce na naszej piersi.

- Ustąpię ci.

Nóż cofnął się i dźgnął nas w krzyż.

Co teraz, do cholery? - spytał Robert. Poradziłem, żeby się modlił, i wszyscy trzej wpadliśmy przez podłogę w nagle roztopiony czas.

117.

Usiłowałem znaleźć coś, czego mogłem nie znaleźć. A nawet gdybym znalazł, nie miałem pewności, co zobaczymy.

Świat przestał wirować. Staliśmy na ścieżce z ubitej ziemi obok dwupasmowej tłuczniowej drogi. W dwie strony sunęły powozy konne i staroświeckie automobile. Robert krzyczał, że nie rozumie, co się

dzieje, Cordwainer kłuł nas nożem w plecy. Natychmiast ujrzelśmy dowód na to, że znaleźliśmy się we właściwym miejscu.

Po lewej stronie przez szybę wysokiego samochodu sunącego ku nam Wagon Road wyglądała szalona, brodata twarz Howarda Dunstana. Koło niego kulila się żona. Kiedy zbliżyli się bardziej, ujrzelśmy za nimi dwie ładne młode kobiety, pewnie Queenie i Nettie. May i Joy, jeszcze dziewczynki, wyglądały z siedzenia na tyle wozu.

To nic nie znaczy, powiedział Cordwainer. Nic. To iluzja, jarmarczna sztuczka. Gdzie jest ten drugi, ty nikczemniku?

Po drugiej stronie Wagon Road, za zaprzęgniętym w konia wozem pełnym worków jutowych pojawił się pojazd jeszcze smuklejszy i droższy niż samochód Howarda Dunstana. Carpenter Hatch, jak zwykle czujny i niezadowolony, mruknął coś, co kazało Ellie - już wędnącej - zniknąć z pola widzenia. Przez tylne okno wyglądał naburmuszony pięcioletni sobowtór mnie i Roberta. Za Hatchami pojawił się trzeci pojazd, wspanialszy niż samochód Howarda, lecz mniej efektowny niż żaglowiec Hatcha. Dziewczynki z tylnego siedzenia wytykały Dunstanów palcami. Zrównały się już prawie z Hatchami. May Dunstan wbiła spojrzenie w naburmuszoną dziecianną buzię w mijanym samochodzie. Howard wpatrywał się przed siebie. Ellie Hatch, widoczna przez jedną sekundę, odwróciła się i spojrzała na puste pole. W chwili gdy oba pojazdy się rozdzieliły, na Wagon Road rozpełtało się piekło.

Wszystkie szyby i reflektory w promieniu pięćdziesięciu metrów rozprysły się na setki odłamków. Opony spadały z osi i toczyły się po tłuczniu. Przerażone konie stawały dęba, gnały przed siebie, a wozy wpadały na wszystko, co stanęło im na drodze. Z worków posypały się ziemniaki. Jakiś koń upadł i zniknął pod wozem, wierzgał w powietrzu cienkimi jak zapałki nogami. Cordwainer poluzował chwyt i cofnął nóż.

Przez hałasy i zgrzyty przebijało się rzenie koni i krzyki ludzi. Żaglowiec wpłynął na pobocze, by wyminąć karambol. Z bliska dochodził mnie płacz Ellie Hatch; nie był to głos kobiety, która była już daleko

ode mnie, lecz wspomnienie dziecka siedzącego za nią. Robert i ja wtargnęliśmy do umysłu i pamięci Cordwainera.

Sójka spadła na podłogę ruiny przy New Providence Road. Naga dziewczynka, jedenasto- lub dwunastoletnia, przycisnęła dłoń do krwawiącej rany na piersi i upadła na brudny cement; młody Max Edison skinął głową zza kierownicy limuzyny; „Koszmar w Dunwich” wyskoczył z wyciągniętej ręki chłopca w mundurze; mężczyzna w mundurze powiedział „zaraza”; w bramie na Chester Street nóż wbił się w brzuch dziwki; kreskówkowy potwór spadł z kreskówkowego nieba; pióro ślizgało się po stronicy w linie; coś zagubionego, nieodwracalnie uszkodzonego mknęło przez zaułki Hatchtown i tym czymś był Cordwainer Hatch.

Robert krzyczał: *zabij go, zabij! Co z tobą?*

Poczułem smak egotyzmu Cordwainera, iluzji świętej misji i pomyślałem: wiem, jak to się skończy.

Rzenie przerażonych koni, hałas zderzających się pojazdów. Wyjąłem nóż z ręki Cordwainera.

Wypuść mnie!

- Dobrze, wypuszczę cię - powiedziałem i puściłem.

Robert wrzasnął.

Cordwainer zatoczył się ze śmiechu.

- Jesteś zbyt słaby, nie zdołałeś mnie zatrzymać. - Spojrzał na swoją pustą rękę. - Myślisz, że potrzebny mi nóż? Bez brata nic nie znaczysz.

- Co zobaczyłeś? - spytałem. - Zobaczyłeś siebie?

Rzucił się na mnie. W chwili gdy nasze ciała się zderzyły, zrobiłem obrót, żeby złagodzić impet, i chwyciłem go mocno. Wszyscy trzej wpadliśmy w nagle otwartą zapadnię na poboczu szosy.

118.

Cordwainer Hatch, wciąż niesiony impetem, wyrwał się z mojego uchwytu i wpadł na stół w pokoju w „Brazen Head”. Jęknął i zasłonił oczy rękami.

- Nie spiesz się - powiedziałem.

Opuścił ręce, powiódł wokół wzrokiem, zdjął kapelusz. Na jego zniszczonej twarzy pojawiło się lekkie podobieństwo do Edwarda Rineharta.

- Nawet wątłe istoty mają w sobie chęć walki.

Obejrzał się przez ramię i wycofał pod ścianę. Rozważał strategię.

Zabij go! - nalegał Robert. *Jest zagubiony, nie rozumie, co się stało.*

To będzie dla niego o wiele gorsze, odparłem. *Poczekaj.*

- Pamiętasz tamten dzień? - zwróciłem się do Cordwainera. - Wiesz, co się stało na Wagon Road?

Postanowił mnie wysondować, widziałem to. Odłożył kapelusz na stół w parodii dyplomatycznego gestu - przyparłem go do muru i jego następne słowa to potwierdziły.

- Zawrzyjmy chwilowy rozejm. Tego się nie spodziewałem, ale nadarzyła nam się interesująca możliwość wysłuchania, co mamy sobie do powiedzenia. Chcę, żebyś opisał swoje fantazje. Kiedy skończysz, powiem ci, jak wygląda prawda. Oszołomi cię. Biorąc pod uwagę to, co mi zrobiłeś, moja oferta jest wyjątkowo łaskawa.

Ale zapłacisz za swą odrażającą zbrodnię, daję ci słowo.

Wyłupmy mu oczy, zaproponował Robert. *Niech zakwyczy.*

Jeszcze zakwyczy, obiecałem. *Spotka go najgorsza chwila w życiu.*

- Zdaje się, że źle cię oceniłem - zwróciłem się do Cordwainera. - Miałeś się tak rozgniewać, żeby nie móc myśleć.

- O, rozgniewaliście mnie. I przyznaję, jesteś silniejszy, niż się spodziewałem. Ale nie ma sensu kontynuować tej dyskusji bez twego brata. Straciłeś element zaskoczenia, więc go przywołaj.

- Mojego brata wyeliminowałem dziś rano. Był bezużyteczny. Przeszkadzał. Skoro jesteś gotów wysłuchać moich fantazji, jak je nazywasz, pragnę ci pokazać parę rzeczy.

Rzucił mi nieufne spojrzenie. Chyba uznał, że mówię prawdę.

- Gratulacje. Może najpierw powiesz mi, co tak niezwyklego znajdujesz w tym dawnym karambolu na Wagon Road?

W tamtej chwili czułem się bardzo podobny do Roberta.

- A może ty najpierw opowiedz mi o domu na skraju Lasu Johnso-
na?

Twarz Cordwainera wykrzywił chytry, upiorny uśmiech.

- Nie zrozumiałbyś. To niemożliwe.

- Więc powiem ci o paru sprawach, o których prawdopodobnie nie
wiesz. Carpenter Hatch kupił ten dom od córek Howarda Dunstana.
Howard spędził w nim całe życie, a potem zginął w pożarze.

Cordwainer stanął za stołem, położył rękę na oparciu krzesła i spoj-
rzył w sufit. Postanowił mi ustąpić.

- Doprawdy, to kompletny absurd. Człowiek, którego uważałem za
ojca, kupił tę ziemię, by budować na niej domy dla ludzi, których na-
zywał awansowanym marginesem. Dunstanowie nigdy nie mieli nic
wspólnego z tym miejscem. Zagnieździli się na Cherry Street jak kara-
luchy i nigdy się stamtąd nie przenieśli.

Bił od niego ten sam wariacki tryumf, z którym opowiadał mi o za-
szyfrowanym przekazie w opowiadaniach H. P. Lovecrafta.

- Dlatego to, co ci zrobił, jest tak interesujące.

Jego usta otworzyły się w bezgłośnym śmiechu.

- Rozbawiłem cię.

- Jestem pod wrażeniem. Matka naopowiadała ci najbardziej zadzi-
wiających nonsensów.

Wyjąłem z koperty zdjęcie ukazujące Howarda w zapiętej kamizel-
ce. Podałem mu je. Uśmiechnął się z pogardą.

- Wyglądasz całkiem jak Howard Dunstan - powiedziałem. - Twój
prawdziwy ojciec.

- Sam to zmyśliłeś czy też Star zwariowała?

Położyłem obok zdjęcie Cordwainera Hatcha.

- Którego z tych mężczyzn uznałbyś za swego biologicznego ojca?

Ledwie spojrział na zdjęcia.

- Nie sądzę, żebyś to zrozumiał, ale moi prawdziwi ojcowie nie po-
chodzą z tego świata.

- Opowiem ci o twojej przyrodniej siostrze Queenie. Najstarszej z czterech córek Howarda. Queenie potrafiła czytać w myślach i przenosić się z jednego miejsca na drugie w ułamku chwili. Nie chodziła, nie zawracała sobie głowy otwieraniem drzwi czy wspinaczką po schodach, przenosiła się, i tyle. To umiejętność Dunstanów. Kiedy May Dunstan, jej siostra, była młodą panną, jej zalotnik chciał ją zgwałcić. Zmieniła go w zieloną kałużę.

Przez jego twarz przebiegł grymas. Cordwainer spojrział na nas.

- To May spowodowała ten wypadek na Wagon Road. W chwili gdy cię zobaczyła, zrozumiała, że jesteś synem Howarda. Byłeś do niego zbyt podobny. Spójrz na to zdjęcie. Wszystkie umiejętności, jakimi dysponujemy, odziedziczyliśmy po Howardzie Dunstanie.

- Zmieniła człowieka w zieloną kałużę? - Cordwainer wpatrywał się we mnie w napięciu. - To prawda?

- Już nie wiem, co jest prawdą. Żaden z nas nie ma z nią zbyt wiele do czynienia. Ale ja miałem ciebie zamiast H. P. Lovecrafta.

Jego usta drgnęły, oczy błysnęły. Znowu przez chwilę ujrzałem w nim przebłysk Edwarda Rineharta.

- Czy to był błąd? Że nazwałem się Earlem Sawyerem? Nie sądziłem, że ktoś to pojmie.

- Prawie mi to umknęło.

Przysunął do siebie zdjęcie.

- Chcesz, żebym opowiedział o Wagon Road? Pamiętam tę dziewczynkę, która się na mnie gapiła. Nie wiedziałem, kim jest. Potem nasza szyba się rozpadła i wszystko oszalało. Mój ojciec - rzekomy - pojechał do domu jakby nigdy nic.

- Jak cię traktował?

Przejrzałem zdjęcie; znalazłem to z siedmio- lub ośmioletnim Howardem przed siedzącym Sylvanem o płonących oczach.

Cordwainer położył je obok innych.

- Kiedy nie prawil kazań, udawał, że mnie nie ma. Przygnębiałem go. Oczywiście miał jeszcze Cobdena, swojego beniaminka. Cobden był zawsze najlepszy, mały pętał.

- I był do niego podobny.

- Bardzo ciekawe. - Cordwainer nadal wpatrywał się w zdjęcia. - Nie przyznaję ci racji, ale to by wyjaśniało bardzo wiele spraw z mojego dzieciństwa. Rodzice nigdy nie okazywali mi ciepła, za to rozpieszczali brata.

- Carpenter pewnie nigdy by tego nie przyznał, nawet przed samym sobą. To by go zhańbiło.

- Prawie wierzę. - Uśmiechnął się do zdjęć. - Wiesz, chyba naprawdę wierzę. Matka musiała mieć więcej fantazji, niż sądziłem. - Podniósł głowę. - To by wyjaśniało moją urodę. Zawsze byłem zabójczo przystojny. Jak ty. Ale tożsamość moich ziemskich rodziców... cóż, jest mi obojętna.

- Howard Dunstan cię oszukał. Zwabił cię do lasu, w ruiny swego domu. Pokazywał ci różne rzeczy. Dopilnował, żebyś trafił na pewną książkę i nakarmił się fantazjami H.P. Lovecrafta. I przez cały czas z ciebie kpił. To była zabawa.

Cordwainer znowu spojrzął na zdjęcia, po czym zwrócił ku nam opuchnięte oczy i martwą twarz.

- Przemówiła do mnie cała natura. Przemówili Wielcy.

- Nie wątpiłeś? Nie zdarzały ci się chwile, kiedy uświadamiałeś sobie, że zawierzyłeś opowiadaniom człowieka, który nigdy nie ukrywał, że pisał fikcję?

- Miałem wątpliwości - oznajmił Cordwainer z niezaprzeczalną godnością. W przeciwieństwie do Roberta poczułem drgnienie litości. - Poznałem Czarną Noc Duszy.

- Od czasu do czasu nawet fałszywi mesjasze mają zły dzień.

- Nie jestem fałszywy! - zagrział Cordwainer.

- Nie, ty nie. Ty jesteś prawdziwym Dunstanem. Wszystko, w co kazał ci wierzyć twój ojciec, jest w połowie prawdziwe. Howard chciał popatrzeć, jak mnie eliminujesz. Nie obchodzi go, jak się zakończy ta gra.

- Moi ojcowie z pewnością zrobili z ciebie swoją zabawkę. Są bezlitośni, mogę o tym zaświadczyć.

- Co się stało z kadetem W. Wilsonem Fletcherem?

Cordwainer przyjrzał się nam uważniej.

- Pracowita pszczołka, co?

- Zdumiało cię, że May Dunstan zmieniła człowieka w kałużę żółci.

Dobrze odgadłem; jego twarz stała się białą maską.

- Może Fletcher pokazał ci pewną książkę... A może zobaczyłeś go pewnego dnia przy lekturze. Ale coś się wydarzyło. Zapragnąłeś tej książki, co?

Wyjąłem z kieszeni „Koszmar w Dunwich”. Cordwainer wbił w nią spojrzenie. (*Trafiony zatopiony*, odezwał się Robert. *Jest twój.*)

Jego znieruchomiałą twarz wykrzywił spazm.

- Ukradłeś mi tę książkę. Żądam jej zwrotu. Nie pojmujesz jej znaczenia.

- Oddam ci ją po wizycie u Howarda Dunstana. Czekaj na nas. - Odłożyłem książkę na stół. Cordwainer rzucił się w jej stronę; chwyciłem go za przegub.

119.

Wpadliśmy w zbity, mroczny las, trochę jak z bajki o Jasiu i Małgosi, trochę jak z horroru. Miałem nadzieję, że jest późny wieczór 25 czerwca 1935 roku.

Cordwainer chwycił nas za ramię i przyciągnął do siebie.

- Nie znam tego miejsca. Gdzie jesteśmy?

- W Lesie Johnsona, sześćdziesiąt lat temu - odparłem. - Tej nocy byłeś dzieckiem. Pewnie już spałeś w domu na Manor Street.

- W tamtych czasach niewiele sypiałem. Ludzkie życie było dla mnie męką i wolałem płakać. Z premedytacją moczyłem się w nocy. W porównaniu z moim twoje dzieciństwo było bajkowe. - W ciemnościach jego głowa, okrągła jak armatnia kula, majaczyła wysoko nad czarnym płaszczem, jakby wisiała w powietrzu. - W porządku, możesz zrobić z siebie głupca. Gdzie ten dom?

- Niedaleko - odrzekłem, nie mając pojęcia, gdzie jesteśmy.

Cordwainer szarpnął nas, chwycił za kark i przyciągnął do siebie. Był o wiele silniejszy, niż się spodziewałem. Jego ręka miażdżyła naszą krtań, a bliźniaczy smród szaleństwa i dna rzecznej drażnił nos. Jego myśli zapuściły sondę na skraj mojego umysłu, tak samo robiła ciocia Nettie, zanim uniosła mnie w powietrze. Zabroniłem mu dostępu; zachichotał. Zacisnął chwyt, odcinając nam dopływ powietrza.

- Śmieszne, ale nie widzę żadnego domu. Ani świateł.

Moje oczy przywykły do ciemności; drzewa wyłoniły się z mroku i zmieniły w szereg osrebrzonych blaskiem księżycy kolumn. Tuż przed nami rósł wielki klon, który już widywałem, choć nie na jawie. Zachrypałem; Cordwainer nieco rozluźnił chwyt.

- Chciałeś coś powiedzieć, Robercie?

- Dom jest tam, trzydzieści metrów na prawo.

- Prawie ci wierzę. - Z porów skóry jego łysej głowy i ust ulatywał opar dna rzecznej. - Jak długo będziesz jeszcze udawać?

Robert był bliski furii, miał już dość. Moje usta otworzyły się i Robert przemówił przeze mnie:

- To co, koniec rozejmu?

- O, nie - odparł Cordwainer. - Jeszcze nie wyjaśniłem, jak wygląda rzeczywistość. Przyznajesz, że kłamiesz? Jesteś gotów poznać prawdę?

- Pozwól, że odpowiem pytaniem - powiedziałem. - Boisz się tego, co możesz zobaczyć?

- To śmieszne.

- Więc zrób mi tę uprzejmość: puść moją szyję i daj mi jeszcze pięć

minut. - A Robert dodał: - A jeśli nie, dokończę, co zacząłem w Cobden Building.

- Za to też muszę ci się zrewanżować - zapowiedział Cordwainer. - Pięć minut, ani chwili dłużej. Proszę, kontynuuj.

Weszliśmy w zagajnik klonowy. Pamiętałem go ze snu. Dalej przez gąszcz splątanych koron przebijał się masywny dąb. Robert znał te okolice równie dobrze jak ja, choć i on widywał je tylko we śnie. Przyszło mi do głowy, że po tysiącu powtórek zamieniliśmy się miejscami: teraz to ja byłem cieniem, sunącym ku naszemu przeznaczeniu.

- Odrzucam myśl, że jesteś zdolny do podróży w czasie - odezwał się Cordwainer. - To ja przeniosłem nas na Wagon Road.

- A kto nas przeniósł tutaj?

- Nie wątpię, że potrafisz podróżować w przestrzeni. Odziedziczyłeś to po mnie.

- Spójrz w prawo. Za jakieś dziesięć sekund ujrzysz światło w oknie. - Minęliśmy ostatnie dęby. Cordwainer roześmiał się z niedowierzaniem. Dwa kroki dalej spomiędzy gałęzi błysnął żółty blask.

Cordwainer znieruchomiał. Ponad obłocznymi koronami drzew pojawił się trójkątny zarys okna na facjacie.

- Myślisz, że się na to nabiorę?

Ruszył przez łąkę. Dobiegł mnie jego świszczący oddech. Przyjrzał się portykowi, fasadzie, kominom bodącym niebo.

- Czyj to dom?

- Podejdz bliżej - powiedziałem. - On nas nie słyszy i nie zobaczy nic prócz własnego odbicia.

Cordwainer zrobił parę kroków dalej i zatrzymał się.

- Znam te ściany. - Powoli zaczął rozumieć. - To okno jest bardzo podobne do tego, przez które wczółgałem się jako nieświadomy chłopiec. - Odwrócił się z płonącym spojrzeniem. - Och, jakże jesteś zdradziecki, ale przejrzałem twój nędzny plan. Pokazałeś mi jego replikę.

- Poczekaj, aż zobaczysz, kto jest w środku.

- To nie do zniesienia. To bluźnierstwo. W takich ścianach przemówili do mnie Wielcy Ojcowie. Ten budynek był moją szkołą.

- A twoim nauczycielem był Howard Dunstan. To on znajduje się w tamtym wielkim pokoju. Idź, zajrzyj przez okno. Uznaj to za próbę wiary.

- Moja wiara przeszła wiele prób - mruknął. - Podobnie jak cierpliwość, choć próby nigdy nie były tak dotkliwie.

Znaleźliśmy się dziesięć kroków od oświetlonego okna. W pokoju na białym kominku stała oddająca ostatnie tchnienie paprotka oraz lis, skradający się ku krawędzi szklanego klosza. Lśniące wahadło ruszało się w lewo - prawo, prawo - lewo. Na mosiężnym zegarze była 11.31.

- Jeśli ktoś tam jest - powiedział Cordwainer - niech się ukáže.

Jak na wezwanie, Howard Dunstan podszedł do okna. Twarz miał zniszczoną, włosy i brodę siwe, lecz wciąż przypominał człowieka ze zdjęć oraz tego, który jechał ze swoją rodziną przez Wagon Road. Mówił powoli, monotonnie, jak hipnotyzer. Wiedziałem, kto stoi poza zasięgiem wzroku. Zmęczona desperacja Howarda kryła wyrachowanie, które aż do tej chwili mi umykało. Była to twarz kogoś, kto nigdy nie powiedział ani jednego szczerego słowa, nie postąpił spontanicznie, nie zdradził więcej niż to konieczne - była to twarz zniszczona samotnością.

Cordwainer Hatch, jakby pod wpływem przyciągania magnetycznego, zrobił bezwolnie kilka kroków naprzód.

Zobaczyłem samego siebie, wchodzącego przez lśniącą ramę do roku 1935 z popołudnia, kiedy to Stewart Hatch powiódł gestem po zdziczonym polu i całkiem wyraźnie zasugerował, że jego dziadek wraz z Sylwestrem Miltonem spalili dom, przed którym staliśmy. Teraz już wiedziałem, że Stewart się mylił; prawdziwą wersję przekazał mi Cordwainer. Wiedziałem także, że dwie młodsze wersje Neda Dunstana, trzy- i ośmioletnie, przed sekundą pojawiły się na chwilę i znikły, ponieważ przybyły zbyt wcześnie i samotne. Potem powiedziałem coś

do Howarda, który wciąż mówił. Usiłowałem przerwać ten strumień, pytając: „Kim jesteśmy?”.

Howard potrząsnął głową i wymówił bezgłośnie: *Uciekliśmy przez ryś w złotej czarze*, a potem coś, czego nie potrafiłem odczytać z ruchu warg. Cordwainer westchnął, jakby całe powietrze uszło z jego ciała. Howard cofnął się w głąb pokoju, poza zasięg naszego wzroku. Pomyślałem: wie, że tu jesteśmy, gra dla obu widzów, każdy cholerny gest jest przemyślany...

Cordwainer cofnął się o krok, zatoczył i z zaskakującą prędkością runął w las. Pobiegłem za nim. Zatrzymał się w zagajniku klonowym. Twarz miał ukrytą w cieniu.

- Nadal uważasz, że to sztuczka? - spytałem.

- Czy powiedział: „Jesteśmy dymem z armatniej gardzieli”? - spytał takim głosem, jakby mówił przez sen.

- Chyba tak. Pamiętam to.

Cordwainer wydał mokry, bulgoczący odgłos, jakby usiłował odkrztusić coś z płuc.

- Czytałem z jego ust. Mówił o złotej czarze. A potem „Jesteśmy dymem z armatniej gardzieli”.

- Już to słyszałeś?

- O, tak. Tak. Bardzo często. - W jego głosie słychać było szloch. - W dzieciństwie.

Z głębi lasu dobiegły nas ciężkie kroki. Cordwainer odwrócił się sztywno, niezdarnie, jakby zeszywniał mu kark. W ciemnościach zamigotał płasający płomień.

- Ludzie z miasta - powiedziałem. - Chcą go spalić. Przed stu pięćdziesięciu laty to samo wydarzyło się w Providence.

- Howard Dunstan nie mieszkał w Providence.

- Jego przodek zbudował dom przezwany Przeklętym Domem. Sylvan Dunstan przeniósł go tutaj, cegła po cegle.

Płomień pomiędzy drzewami rozdzielił się na trzy pochodnie. Cordwainer pociągnął mnie ku kępie klonów.

Pochodnie rzucały na leśną ściółkę krąg światła jak reflektory. Od czasu do czasu gdzieś zapalała się kiść liści. Cordwainer zagłębił się w las. Nie zwracał na mnie uwagi - moje istnienie już go nie obchodziło.

Przywódcą grupy był Carpenter Hatch, starszy i tęższy niż ten z Wagon Road. Jeśli nie liczyć pochodni i wypisanej na twarzy żądz zemsty, wyglądał jak małomiasteczkowy waźniak, właśnie taki, jakim zawsze chciał zostać. Trzy kroki dalej po obu jego stronach maszerowali ludzie, których dzieliło zarówno pochodzenie, jak i wzajemna niechęć. Ponury, łysiejący osobnik, co najmniej dziesięć lat starszy i pewnie o głowę wyższy od Carpentera Hatcha, musiał być Sylwestrem Miltonem. Szczuropodobny Konus La Chapelle truchtał z drugiej strony.

Wraz z Cordwainerem stanąłem za dębem jakieś dwadzieścia kroków od nich. Cordwainer, ciężko dysząc, wpatrywał się w mężczyznę, którego uważał za swojego ojca, maszerującego na nas ze wzniesioną pochodnią i twarzą płonąca nienawiścią. Od pochodni Milтона zajmowały się nisko wiszące liście.

- Niech pan uważa - odezwał się La Chapelle.

- Zamknij się, Konus - warknął Milton.

Cordwainer wyskoczył na drogę. Wszyscy trzej się zatrzymali. Przez parę pierwszych sekund musiało im się wydawać, że przed nimi zjawiała się odcięta głowa. Carpenter Hatch ochłonał pierwszy.

- Z drogi. To nie twoja sprawa.

- Widział nas - odezwał się Milton.

- Przestań się trząść i przyjrzyj się temu starcowi - odparł Hatch. - To przygłup, degenerat. Posłuchaj, starcze - powiedział dźwięcznie. - Nie pracujesz już dla pana Dunstana. To niktzemnik, który zasługuje na karę. Mam tu pięćdziesiąt dolarów. To mnóstwo pieniędzy, wiem, ale dam ci je, jeśli się oddalisz i będziesz milczeć.

Cordwainer ryknął i rzucił się na nich. Milton i La Chapelle upuścili pochodnie i uciekli. Carpenter Hatch obejrzał się przez ramię, odskoczył i cisnął pochodnią w Cordwainera. Rzucił się do ucieczki, zanim Cordwainer zdążył złapać pochodnię. Wyskoczyłem z ukrycia, podniosłem upuszczone pochodnie i zgasilem płomienie. Cordwainer uniósł pochodnię nad głowę, nasłuchując odgłosów panicznej ucieczki. Jego ramiona podnosiły się i opadały jak tłoki. Nie wiedziałem, czy płacze, czy tylko ciężko oddycha.

Odwrócił się i ruszył w stronę domu. Liście nad jego głową zajmowały się ogniem.

Kiedy wynurzyłem się z lasu, Cordwainer biegł wzdłuż budynku, zawodząc. Twarz lśniła mu od łez. Zbliżyłem się do niego; znieruchomiał, potem jakby mnie rozpoznał.

- Wiesz, co mi zrobił? - ryknął.
- Okłamał cię.

Cordwainer popędził w głąb łąki, dzierżąc pochodnię jak lancę, zatonął koło, pobiegł w przeciwnym kierunku. Nie wiedziałem, że czegoś szuka, i wydawało mi się, że popadł w czyste zwierzęce szaleństwo. Za drugim okrążeniem padł na kolana i wygrzebał z ziemi podłużny, płaski, ubłocony kamień. Lewą ręką chwycił pochodnię i wrócił pędem do budynku. Kamień poszybował w stronę okna jak dysk; brzęknęło, w dół posypał się lśniący deszcz odłamków. Cordwainer zamachnął się i przez wybite okno poszybowała pochodnia.

Odwrócił się. Z jego gardła wydobywały się podniecone, bolesne popiskiwanie. Obrzucił mnie nieprzytomnym spojrzeniem, dostrzegł tylko pochodnie, wyrwał mi je i popędził do drzwi wejściowych.

Zapaliło się światło na ganku. Szczęknięła otwierana zasuwa, drzwi uchyliły się, ukazując pusty korytarz i pokój, gdzie pomiędzy stertami książek migotały płomienie.

- Gdzie on? - wrzasnął Cordwainer.

Przez oświetlone okna ujrzałem siwowłosą postać znikającą w drzwiach pokoju, w którym Cordwainer otrzymywał lekcje szaleństwa.

W oknie nad portykiem zapaliło się światło. Usłyszałem - a może tylko mi się zdawało, że słyszę - jakby piski nietoperzy. Przez podłogę gabinetu pełzły jęzory ognia. Stawały się coraz większe, sięgały już na korytarz.

- Idzie na strych - oznajmiłem.

Cordwainer odwrócił się z furią.

- Do tamtych. Pewnie słyszałeś, jak Carpenter i Ellie o nich szepczą.

- Stworzenia podobne do ośmiornic, stonóg, pajaków - powiedział zdławionym głosem.

Cofnęliśmy się i zadarliśmy głowy. W oknie strychu pojawiło się łagodne żółte światło.

Spodziewałem się, że Cordwainer urzeczywistni własną wizję i wbiegnie do płonącego domu, ale on mnie zaskoczył - wydał całkowicie nieludzki dźwięk, w którym brzmiała radość, pogarda i szaleństwo. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to śmiech.

- Robercie! Jakaż szkoda, że zabrakło ci rozumu i uprzejmości, by przeczytać moje opowiadania, zanim je zniszczyłeś. Gdybyś je przeczytał, pojąłbyś naszą sytuację. Wszystko zostało spisane! Przywiedliśmy się nawzajem w to miejsce.

Chciałem znaleźć Roberta, ale Robert zaginął.

- Spisane? - spytałem, grając na zwłokę. - Jak to?

- Dzięki... - Na jego ustach pojawił się ekstatyczny uśmiech. - Dzięki, muszę to powiedzieć, memu geniuszowi. Jakimż byłem głupcem! Zaparłem się własnego arcydzieła!

Zrozumiałem, że jego upokorzenie przeszło niemal natychmiast w euforię, i to przeraziło mnie bardziej niż cokolwiek dotąd. Odsunąłem się, wściekły na Roberta za to, że znowu mnie zostawił.

- Twierdzisz, że opisałeś Howarda Dunstana?

- Opisałem Innego, którego nazwiska nie znałem. Zdradził mnie, Robercie - miałaś całkowitą rację! Cudownie!

- Więc idź do niego. Jeśli tak napisałeś, idź tam, zanim będzie za późno.

- Jak to możliwe, że tego nie pojmujesz? - krzyknął. - Mamy iść do niego obaj!

Znowu, jak w najgorszych chwilach mojego dzieciństwa, potężna moc chwyciła mnie jak wielka łapa i popchnęła ku otwartym drzwiom. Cordwainer, unoszący się parę centymetrów nad ziemią, pędził w moją stronę. Cofnąłem się co najmniej trzy metry, ogień jakby wyciągnął ku mnie ręce. Zdołałem zebrać siły, żeby się przed nim obronić. Czułem się, jakbym - we wspomnieniach tak to wygląda - jakbym usiłował wydobyć na powierzchnię opierającą się część istoty Roberta. Gdy zatrzymałem się tuż przy drzwiach, skwar przywarł mi do pleców jak wielkie zwierzę, tak groźne, że moje ubranie mogło się zająć ogniem od samej bliskości. Cordwainer także się zatrzymał. Z odległości paru metrów wysłał ku mnie tę samą władczą siłę, która kiedyś mnie obezwładniała. Przekonałem się, że mogę się jej oprzeć.

Cordwainer zawył.

Staliśmy twarzą w twarz, jak w chwycie, który miał trwać, dopóki jeden z nas nie opadnie z sił. Bez Roberta czułem się jak okaleczony, skazany na zagładę. Potem w moich wspomnieniach otworzyły się tajemne drzwi i Star Dunstan przemówiła z wielkiej, ciemnej, nieznannej przestrzeni: *Jakby otworzył się przede mną cały świat*. Ustąpiłem przed tym, czego przez całe życie bałem się najbardziej, i przeszedłem przez drzwi - nie potrafię tego inaczej opisać. Ta lękliwa, wymuszona kapitulacja zaprowadziła mnie w pierwotną ciemność. Przeszedłem na drugą stronę. Ze środka mojego jestestwa wystrzeliły siły i zdolności, o których posiadaniu nie miałem pojęcia; sięgnęły ku psychicznemu huraganowi Cordwainera.

- Musisz wejść do środka! - ryknął. - Nie rozumiesz? Idź!

- To twoje opowiadanie, nie moje - odparłem, zrobiłem krok naprzód i pochwyliłem go w straszliwe moce, które odziedziczyłem po Howardzie Dunstanie. Mój stary wróg, Edward Rinehart, pan X,

Cordwainer Hatch, otworzył usta i wrzasnął jak zając, któremu szczęki pułapki zacisnęły się na nodze. Ja też miałem ochotę krzyknąć. Pchnąłem go, wyjącego, prosto w płonący dom naszych przodków.

Gdzieś w jego głębi trzasnęły belki. Okna na strychu zamigotały czerwienią, potem błękitem. Cofnąłem się i cicho, w osłupieniu, wypowiedziałem imię Roberta. Huk pożaru zagłuszył mój głos. Kolejna belka potoczyła się z łomotem w stronę piwnicy. Płomienie buchnęły przez dach i zniknęły za podnoszącym się czarnym ekranem. Wróciłem do „Brazen Head”.

121.

Dygotałem jak w febrze, ubranie przesiąkło mi swądem. Oparłem się o stół. Kiedy dłonie przestały mi się trząść, wyjąłem z kieszeni biblię Cordwainera Hatcha. Podobnie jak moje ubranie, cuchnęła zniszczeniem. Otworzyłem ją na chybił trafił i przeczytałem pierwsze zdanie, jakie mi wpadło w oko:

„Było to stworzenie podobne do ośmiornicy, stonogi, pająka, lecz miało na poły ukształtowaną ludzką twarz i...”.

Rzuciłem książkę na stół.

Na fontannę na Veal Yard padało mdłe światło latarni. Przez dwie godziny tam tutaj zrobiła się noc. Wyszorowałem twarz i ręce, schowałem fotografie do kopert i zszedłem na dół.

Recepcjonista udął, że nie bawi go moja marynarka.

- Wiadomość dla pana. Miałem ją właśnie panu wysłać.

- Proszę mi ją przeczytać.

Uniósł brwi, sięgnął pod kontuar i rozłożył kartkę.

- „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Zadzwoniłam do Nettie, żeby o ciebie spytać, a ona zdradziła mi tajemnicę. Chcesz dostać ładny prezent?

Przyjdź do mnie. Laurie”.

Jakoś udało mu się przeczytać to tak, że każde słowo brzmiało obscenicznie. Złożył kartkę i podał mi ją z wyszukaną ironiczną kurtuazją.

- Zechce pan zachować tę uroczą pamiątkę?

Mercedes Stewarta Hatcha stał krzywo na podjeździe, przednimi kołami zaparkowany na trawniku. Okrążyłem go, truchtem zbliżyłem się do drzwi i wszedłem.

U stóp schodów Posy Fairbrother trzymała na rękach Cobbiego. Był sztywny jak kij. Stewart wrzeszczał w kuchni, ale nie rozumiałem ani słowa. Cobbie wyciągnął do mnie rączki, przytuliłem go do piersi. Czułem bicie jego serca.

- Mam zadzwonić na policję? - spytała szeptem Posy.

W kuchni trzasnęła rozbity o ścianę talerz. Stewart wydawał pijackie ryki. Potem rozbił się kolejny talerz. Cobbie zaczął płakać.

- Ja się tym zajmę - powiedziałem. - Cobbie, wrócisz do Posy?

Pokiwał głową wtuloną w moją szyję.

- To hopla.

Posy chwyciła go w objęcia i poszła z nim na górę.

Wszedłem do kuchni. Laurie, która stała przy stole w niszy, spojrzała na mnie i zakomunikowała spojrzeniem, że się boi, ale nad sobą panuje. Rozbite skorupy poniewierały się na podłodze między nią i Stewartem Hatchem, który stał przed otwartymi szafkami, na szeroko rozstawionych nogach, żeby nie upaść. Na plecach ładnej włoskiej koszuli miał plamę potu.

- Nie nudzą ci się te kłamstwa? - wrzasnęła. Chwycił kolejny talerz i trzasnął nim o ścianę dwa metry od Laurie. Znowu na mnie zerknęła, Stewart też się obejrzał. Jego dyrektorska fryzura przyłgnęła do głowy, przesycona potem. Białka oczu miał wściekle przekrwione.

- Wynos się z mojego domu! - Potem się uśmiechnęła i wyprostował, oparty o stół. - O Jezusie, Dunstan, nawet ty powinienes mieć na tyle rozumu, żeby nie wkładać czegoś takiego.

- Cobbie się boi - odparłem. - Może byś wrócił do siebie?
- Nie o Cobbiego tu chodzi! Ta suka zrujnowała mi życie. - Pogroził mi palcem. - Ale o tym już wiesz, co? - Zrobił krok w moją stronę. - Przelecieć moją żonę i wysłać mnie do pudła, o to ci chodzi?

- Wybierasz się do więzienia?

- Przykro mi to powiedzieć, naprawdę przykro, ale ten cudowny zaszczyt może się stać moim udziałem. Ashton dokonała niemożliwego, a jak, to już sam wiesz, no nie? Jestem rozsądnym facetem, chciałbym dla odmiany usłyszeć prawdę. - Przy jego pijackich oczach policzki wydawały się jeszcze bardziej czerwone.

Znowu zaczynało go ponosić, co mu się podobało. Kiedy tracił panowanie nad sobą, czuł się lepiej niż teraz.

- Właśnie to mnie zastanawia - ciągnął. - To małe nic z Kentucky odgrzebało sprawy, o których nikt nie powinien wiedzieć, chyba żeby zajrzał w moje dokumenty. O ich istnieniu nie wiedział nikt z wyjątkiem Grenniego, a jestem cholernie pewny, że on tego nie zrobił.

Wyszczerzył do mnie zęby, spojrział w dół, na talerz, który pękł dokładnie w połowie, i kopnął go kosztownym mokasynem. Zachichotał jak upośledzony umysłowo Huckleberry Finn.

- Poproszono nas o zjawienie się jutro o dziewiątej rano na posterunku policji w celu dopełnienia - uniósł głowę, szukając właściwego słowa - formalności przed przesłuchaniem w związku z licznymi oskarżeniami. Na przykład o oszustwa podatkowe. Defraudację. Malwersację. Grennie sra w gacie. Moim zdaniem już go mają. I jak ja będę wyglądał?

- Podoba mi się twoja troska.

- Aha. Mnie twoja też. - Przejechał rękami po twarzy. - Bądź ze mną szczery, powiedz, jak to zrobiłeś. Błąkam się w ciemnościach. Wskaż mi drogę.

- Stewarcie - powiedziałem - nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Przycisnął dłoń do serca.

- Czy włamałeś się do mojego budynku? Dowody temu zaprzeczają.

- Kiepski z ciebie przestępca. Nawet nie zatrudniłeś C. Claytona Creecha.

Zachwiał się i uniósł ręce.

- Creech! Mój ojciec wolałby przejść na drugą stronę ulicy, niż się z nim przywitać.

- Twój ojciec nie był przestępcą. Cordwainer go wyręczył.

Kolor jego twarzy zbliżył się znacznie do fioletu. Stewart spojrział na Laurie, która pokręciła głową.

- Nie? Może i nie. Pewnie i nie. - Znowu spojrział na mnie, bliski wybuchu. - Czyżbym, brachu, opowiedział ci o moim zmarłym wujku Cordwainerze? Odśwież mi pamięć.

- Opowiedziałeś.

- A przypadkiem wspomniałem jego imię? Chyba nie.

- Jego imię widnieje chyba na wszystkich ulicach tego miasta. Ale rozumiem, dlaczego wolisz o nim nie wspominać.

Cofnął się.

- Z kim gadałeś?

- Wszystkie tajemnice w końcu wychodzą na jaw. Nawet twoje. Idź do domu.

- Wiesz co? Ten komitet to był naprawdę debilny pomysł. - Roześmiał się ochryple, skrzekliwie, zarozumiale i bez wesołości. - Może ta suka z kasą fiskalną zamiast duszy, mówię o mojej kochanej żonie, jednak mnie nie wydała.

- Chyba nie musiałam - odezwała się Laurie.

- W dodatku jest moją żoną. - Znowu ten brzydki śmiech, kra, kra, kra. - Czy to ci coś mówi? - Był już na skraju wybuchu, którego pragnął od samego początku. - Wyjaw mi swoje tajemnice, Dunstan. Zaczynam wszystko widzieć wyraźniej, w lepszej, to dobre słowo, perspektywie.

- Jeśli nie wyjdiesz, to cię stąd wyniosę.

- Myślisz, że mam coś do stracenia? - Zrobił krok w moją stronę. Twarz mu się wykrzywiła. - Nie mam. A ty tak. - Od niechcenia

uderzył mnie pięścią w głowę. Uskoczyłem i rąbnąłem go w brzuch.

- Przestańcie! - krzyknęła Laurie.

Stewart zatoczył się do tyłu.

- Cudnie - mruknął. - Znasz moją złotą zasadę?

Pokręciłem głową.

- Nigdy się nie bić po pijaku. - Opuścił ręce i zrobił krok w stronę tylnego wyjścia. Podeszedłem bliżej, a wtedy obrócił się na pięcie i zadał szybki, silny cios lewym sierpowym, który złamałby mi szczękę, gdybym nie uskoczył. Rąbnął mnie w głowę. W uszach mi zadzwoniło. W porę spostrzegłem, że zamierza poprawić z prawej, i znowu rąbnąłem go w brzuch, tym razem mocniej. Przyczłapał do stołu i powiedział:

- Yhy.

Oczy miał prawie zupełnie czerwone. Sięgnął za siebie, namacał szufladę i wyjął nożyk do owoców.

- Szukałem czegoś bardziej imponującego - powiedział.

Laurie zaczęła się przesuwać w stronę salonu. Stewart wycelował w nią nóż.

- Stój tam!

Spojrzała na mnie.

- Każdy Hatch rzuca się na mnie z nożem, mam tego dość - oznajmiłem. Zbyt wściekły, żeby myśleć rozsądnie, ruszyłem prosto na niego. - No, dziabnij mnie, ty wypasiony, wypieszczony przyszły skazańcu.

Stewart dziabnął nożem powietrze na postrach. Zrobił krok, zachwiał się i usiłował odzyskać równowagę, pochylając się ku mnie i znowu dziabiąc. Chwyciłem go za nadgarstek, szarpnąłem i kopnąłem w kostkę. Padł twarzą na podłogę, w potłuczone talerze. Wspominając porucznika Rowleya, kopnąłem Stewarta w zębra.

- Dość! - krzyknęła Laurie.

Usiadłem na nim okrakiem. Stęknął. Wyjąłem mu z ręki nożyk.

- Nie zabijaj go! - zawołała Laurie.

- Laurie, bardzo cię proszę, bądź już cicho - wymamrotałem i wykręciłem Stewartowi rękę. Dźwignąłem go na kolana. Kolejne szarpnięcie postawiło go na nogi. - Do cholery, Stewart, potrzebny ci dozorca. - Palnąłem go w ucho. - Mamy zadzwonić po policję i opowiedzieć, jak chciałeś mnie zarżnąć?

- Pieprz się, jak nie rozumiesz dowcipu. Jestem obecnie pod wpływem stresu.

Wykręciłem mu rękę bardziej; krzyknął z bólu.

- Wiem, że masz problemy, ale groziłeś mi nożem i nie przeczę, zranienie cię sprawiłoby mi przyjemność.

Kopnął mnie w goleń i usiłował się wyrwać. Szarpnąłem jego ramię i usłyszałem chrupnięcie więzadeł i głośny trzask kości wyskakującej ze stawu.

Stewart jęknął i zatoczył się do przodu.

- Złamałeś mu rękę!

- Nie, raczej wyłamałem mu staw. Niech się kochany Stewart przevezie do Lawndale i zgłosi na pogotowie, a jakiś miły pan doktor zaraz mu nastawi ramię. Potrafisz prowadzić lewą ręką, co, Stewart?

- Do Lawndale nie wpuściliby cię nawet na parking - syknął Stewart.

Rąbnąłem go w ramię. Zawył; kolana się pod nim ugięły.

- Potrafię.

Oparłem go o stół i kazałem otworzyć drzwi. Poszliśmy do mercedesa.

- Gdzie masz kluczyki?

- W prawej kieszeni.

Wyjąłem je. Stewart osunął się na siedzenie ze skórzaną tapicerką i z wysiłkiem wciągnął nogi do środka. Włożyłem mu kluczyki w lewą rękę. Spocony i skrzywiony, zdołał uruchomić silnik. Przechylił się, żeby położyć lewą rękę na dźwigni zmiany biegów. Z jękiem wrzucił wsteczny bieg i wyjechał z podjazdu. Brzęk metalu i tłuczonego szkła powiadomił mnie, że udało mu się trafić w mojego taurusa. Pomknął podjazdem i wypadł w Blueberry Lane. Tylne światło zwisało na

plątaninie kabli. Prawy tylny błotnik taurusa wyglądał jak zmięta chusteczka. Zabrałem koperty z tylnego siedzenia i spojrzałem nad dachem samochodu. Laurie przyglądała mi się w zamyśleniu z okna salonu.

122.

Wyszła przed dom i chwyciła mnie w objęcia.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję, że przyjechałeś. Nie wiem, co by mógł zrobić, zupełnie oszalał. - Poczułem słaby, wcale nie przykry zapach whisky.

- Czy Cobbie się uspokoił?

- Powiedziałam mu, że pomogłeś uspokoić jego ojca. - Weszła do środka, westchnęła i położyła mi głowę na ramieniu. - Biedne dziecko powinno zasnąć w pół minuty.

- Mam nadzieję. Wcale mu nie było tego trzeba. - Pocałowałem ją w czubek głowy; tuliła się do mnie jeszcze przez chwilę.

- Naprawdę jestem ci wdzięczna. - Podniosła głowę i uśmiechnęła się. - Dostałeś wiadomość?

- Tak, dziękuję.

- Nie powiedziałaś, że masz urodziny! Musiałam się dowiedzieć od Nettie.

- Nie chciałem ci sprawiać kłopotu.

Podsunęła mi usta do pocałowania.

- Do tej pory dzień był miły?

Roześmiałem się.

- Można tak powiedzieć.

- Co porabiałeś?

- Ciotki wyprawiły mi przyjęcie. A potem byłem ciągle w biegu.

- Pewnie był grill. Marynarka pachnie dymem. - Odchyliła się, nie wypuszczając mnie z objęć, i pięknie się uśmiechnęła. - To bardzo podmiejska marynarka.

- May ją dla mnie zwędziła. Podoba ci się?

- Oczywiście. Po tym, jak się obszedłeś ze Stewartem, chcę, żebyś

miał dobry humor. W różowym jest ci bosko. Zawsze powinieneś się ubierać w różowe spodnie, różowe koszule i różowe garnitury w małe jachty i koła ratunkowe.

Umiejętność zmienienia brzydkiej sceny w żart zrozumiały dla nas dwojga wciągnęła mnie w jej prywatną aurę. Zapragnąłem, by wszystko, co mnie dręczyło, znalazło taki żartobliwy, ironiczny komentarz. Potem przyszło mi do głowy, że chyba już się odciąłem od tych wszystkich dręczących rzeczy, skoro tak o nich myślę.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem.

- Wystraszył mnie Stewart. Ty na mnie zrobiłeś wrażenie.

- Wiedziałaś, że w końcu to ty się wszystkim zajmiesz. Może pogorszyłem sprawę.

- Nie sądzę. - Znowu mnie pocałowała. - Po rozbiciu talerzy zamierzał się zabrać do szklanek. Pomożesz mi posprzątać te szczątki? - Zerknęła na koperty, które trzymałem pod pachą. - Co to?

- Później ci pokażę. - Odłożyłem je na stolik do kawy, razem weszliśmy do kuchni i zaczęliśmy zamiatać odłamki. Resztki porcelanowych talerzy leżały w archipelagach na podłodze, a na stole tworzyły nieregularne wyspy. Wstrząśnięta Posy zjawiała się w kuchni i zaczęła sprzątać skorupy koło kuchenki. - Cobbie wreszcie zasnął, ale musiałam mu przeczytać chyba każdą książeczkę w pokoju. Wszystko w porządku?

- Ned jest bohaterem - powiedziała Laurie. - Powinnaś go zobaczyć. Stewart skoczył na niego z nożem.

- Do owoców - dodałem. - Nawet on był zażenowany.

Spakowaliśmy skorupy do worków na śmieci. Posy spytała, czy jeszcze się na coś przyda.

- Nie, wszystko zrobione - odparła Laurie.

- Cieszę się, że Ned wybawił cię od smoka.

Ukloniłem się. Posłała mi całusa i wyszła. Na schodach rozległy się jej lekkie kroki.

- Nie sądzisz, że zasłużyliśmy na drinka? - spytała Laurie.

- Ze Stewartem na pewno nie mamy się co równać, ale chętnie

próbuję swoich sił. Będę mieć cholernego siniaka na skroni i bolą mnie ręce. Teraz rozumiem, po co bokserom rękawice.

Laurie zdjęła szklankę z półki, drugą ze stołu, przycisnęła je do dys-
trybutora lodu w lodówce i przyniosła litr ulubionego napitku świętej
pamięci Tobiasza Krafta. Napełniła szklanki w trzech czwartych.

- Piłaś, kiedy zjawił się Stewart - powiedziałem.

- Tak? - Nie wiedziałem, czy naprawdę zapomniała, czy tylko uda-
je. Potem zorientowałem się, że to cicha kpina. - A tak. Dałam ci czystą
szklankę, a tę wzięłam ze stołu. Rozumiem. Wymieniając moje rozlicz-
ne wady, Stewart wspominał też o pijaństwie?

- To akurat pominął. Ktoś, kto tyle pije, nie uważa tego za wadę.

- Fakt. O Boże, usiądźmy wreszcie.

Objęła mnie i razem weszliśmy do salonu.

Usiedliśmy na długiej sofie przed stolikiem do kawy.

Wielki pokój wydawał się przeraźliwie pusty, jak wyludniona po-
czekalnia na lotnisku.

- Przepraszam, że krzyczałam. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu
poczułam, że żal mi Stewarta.

Pociągnąłem łyk szkockiej. Oparła głowę na poduszce.

- Jak sądzisz, co z nim będzie? Poradzi sobie?

- Chcesz wiedzieć, co będzie z dobrym starym Stewartem? Powiem
ci. Po roku odsiadki przeżyje prywatne spotkanie z Jezusem i stanie się
narodzonym na nowo chrześcijaninem. Do końca odsiadki będzie
przewodniczył kółkom różańcowym i badaczom Biblii. Jak wyjdzie,
wstąpi do jakiejś trzeciorzędnej religijnej szkoły i poświęci parę lat na
duszpasterstwo w więzieniach. Powiadomi o tym prasę, która zamieści
na jego temat mnóstwo artykułów. Powiedzmy to wprost, to świetna
historia - spadkobierca fortuny popada w kłopoty z prawem, w więzie-
niu przeżywa nawrócenie i poświęca się czynieniu dobra. Pewniak. Za
trzy lata będzie miał własny kościół z licznym personelem. Kiedy bę-
dzie opisywać swoją przeszłość, przedstawi Ellendale jako Sodomę i
Gomorę. Steki z połędwicy, eleganckie samochody, drogie garnitury,

łańcuchy, skóra i pejcze. Liczba jego wyznawców powiększy się czterokrotnie i wkrótce będzie mógł kupić nowy budynek ze studiem telewizyjnym. Potem napisze książkę i zacznie występować w talk-show.

Wzmianka o łańcuchach i skórze jakoś mi się wymknęła. Zdziwiło mnie, że jest we mnie aż tyle gniewu.

Laurie słuchała, rozbawiona.

- Na pewno masz rację. Skąd ci przyszły do głowy te pejcze? Stewart jest zbyt normalny na sadomaso.

- Dorzuciłem dla lepszego efektu historii o nawróceniu. Jak się już znajdzie w więzieniu, powinienem mu powiedzieć, że fikcja daje lepsze efekty niż prawda.

Laurie przyglądała mi się z tym samym zastanowieniem.

- Powiedziałeś, że masz już dość Hatchów, którzy rzucają się na ciebie z nożami.

- Tak jakoś palnąłem.

- Też dorzuciłeś? Ilu Hatchów tu jest?

O nie, pomyślałem.

W jej spojrzeniu coś się nieuchwytnie zmieniło.

- Co? Nie rozumiem.

Przełknąłem kolejny łyk, przygotowując się. Wcale nie chciałem się przygotowywać.

- Ned?

- Masz rację. Muszę cię w coś wprowadzić.

- Chciałeś mi pokazać zdjęcia. - Jej suchy głos cudownie mnie prowokował. Była gotowa do walki jak armia stojąca na szczycie wzgórza w furkocie proporców i blasku mieczy. Mogłem ją tylko podziwiać.

- Najpierw musisz się dowiedzieć, co się wydarzyło przez ostatnie dwa dni. Jestem ci to winien. Poznałaś mnie z Hugh Coventrym i pomogłaś się dowiedzieć o Edwardzie Rineharcie.

- W co mnie chcesz wprowadzić?

Proporce naprawdę pięknie furkotały.

- W to, co muszę - odparłem.

123.

Zacząłem od Buxton Place i Earla Sawyera. Po opuszczeniu domów, powiedziałem, przyszedłem na Blueberry Lane i zobaczyłem nazwisko dozorca w książce Lovecrafta.

- To dlatego się tak dziwnie zachowałeś? Nie mogliśmy pojąć, co cię naszło.

- Wiem, przepraszam. Musiałem się zastanowić w samotności.

- No, dzięki Bogu, wróciłeś. Co dalej?

- Na pogrzebie Toby'ego ktoś mi zasugerował, że Stewart jest właścicielem domów ciotek na Cherry Street. To nie miało sensu. I od samego początku nie pojmowałem, dlaczego udają, że nie znają mojego ojca.

- Ja też, ale nie widzę związku.

- Zrobiłem coś nieładnego. Przejrzałem szafę Nettie. I tam znalazłem jedną z tych kopert. Druga była w domu Stewarta.

- Włamałeś się do Stewarta?

- Nie musiałem. Zabrałem kopertę, ale on pierwszy nam ją ukradł. Więc tylko ją odzyskałem.

- Miał zdjęcia twoich ciotek?

- Nie chciał, żeby znalazły się na wystawie.

- A te drugie były u Nettie? No, przynajmniej to jest jasne. Chciały dostać za nie okup. Nettie i May są niegłupie.

- Nettie i May wiedzą, jak dostać to, czego chcą. - Uśmiechnąłem się. - Pytanie tylko, czego chcą?

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Te zdjęcia muszą być im drogie.

- Chcesz obejrzeć?

- Już się nie mogę doczekać. - Odstawiła szklanekę i przysunęła się do stolika.

Wyjąłem z koperty zdjęcia Omara i Sylvana.

- Zapamiętaj te twarze.

Potem była fotografia Howarda Dunstana, którą ułożyłem na zdjęciu Cordwainera.

- Podobny do ciebie. - Odwróciła się z olśniewającym uśmiechem i spojrzała na mnie, a potem na fotografię. - W pewnym sensie. Ty nie masz takich upiornych oczu.

- To Howard Dunstan. Nettie i May były jego córkami.

- Trochę dziwny, prawda? A to? - Wzięła następne zdjęcie. Pod okiem krępego nadzorca w kapeluszu dwaj robotnicy pchali taczki w stronę wznoszącego się wśród błota rusztowania. Po prawej stronie zdjęcia dwaj inni szli przez Commercial Avenue z naręczem desek. Nieco dalej stał zaparkowany ford model T i ciężarówka. Za plecami nadzorca w kapeluszu stał i gapił się tęgi przechodzień w garniturze z serży i słomkowym kapeluszu - takim, jaki nosił młody Carpenter Hatch. Ich sylwetki i kapelusze pasowały do siebie jak rym.

- To hotel „Merchants” w budowie, rok 1929. Hugh Coventry lubił to zdjęcie.

- Jest dobre, prawda? Tyle w nich ruchu, a ci dwaj w kapeluszach wyglądają jak żart.

- Tu jestem ja. - Położyłem na stole zdjęcie z moich trzecich urodzin.

- Boże, jakie piękne dziecko. - W jej oczach zalśnił zachwyt i humor. - Wiesz, oczywiście byłeś piękny, ale tu jesteś naprawdę piękny. Powinieneś występować w reklamach.

- Moja matka by się z tobą zgodziła. A tutaj zdjęcia z koperty Hatchów. - Pokazałem jej zdjęcia Carpentera, pyszniącego się nowym wozem, oraz Ellen z dyplomem.

- Kto to? Dziadkowie Stewarta?

- Tak.

- Ładna dziewczyna, prawda? Ale on wygląda jak tucznik. Spójrz na te potężne uda.

Wyjąłem zdjęcie Cordwainera w muszce, spoglądającego wilkiem spod grzywki.

Laurie się pochyliła. Pociągnęła łyk z niemal pustej szklanki i spojrzała na mnie.

- To ty? Niemożliwe. Wtedy jeszcze nie było cię na świecie.
- To czarna owca rodziny Hatchów. Cordwainer, wujek Stewarta.
- Podobny do ciebie.
- To ja jestem podobny do niego. Laurie, czy kiedy te zdjęcia zaczęły do was napływać, oglądałaś je?

Zagryzła dolną wargę.

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam.
- Rachel Milton widziała te fotografie. Kazała mi się im przyjrzeć.
- Nie rozumiem. - W jej oczach widziałem samą niewinność i zmieszanie. - Rachel powiedziała, że je widziałam?
- Nie. Ale mogłaś.
- Może i widziałam. Nie zwróciłam uwagi. Wtedy nawet cię nie znałam.

- Stewart wiedział, kim jestem, ledwie mnie zobaczył. Cordwainer podobno zmarł przed jego przyjściem na świat, a nie sądzę, żeby jako dziecko widział zdjęcia wujka - zakały rodziny, dopóki więc nie zaczął zbierać rodzinnych fotografii na wystawę, nie wiedział nawet, jak wyglądał Cordwainer. Nie mógł nie dostrzec podobieństwa wujka do Howarda Dunstana.

Pokręciła głową. Włosy musnęły jej policzek, odgarnęła je.

- Prawdę powiedziawszy... - Znowu pokręciła głową. - Chyba muszę się napić. A ty?

Oparłem głowę na poduszce. Byłem zupełnie zagubiony. Jakiś głos odezwał się: chcę być zagubiony.

Laurie obeszła stół, żeby nie przechodzić nad moimi nogami. Usiadła metr ode mnie i pociągnęła łyk bursztynowego płynu z kostkami lodu.

- Usiłuję zrozumieć, o co chodzi z tymi zdjęciami. Twoje ciotki zabrały kopertę Stewarta na chybił trafił, ale po co Stewart ukrył ich fotografie?

Przysunęła Cordwainera w muszce i z grzywką do zdjęcia mnie w pasiastej koszulce.

- Och. Bo wujek czarna owca był twoim ojcem?

Wziąłem studyjny portret Howarda Dunstana i położyłem go obok dwóch pozostałych zdjęć.

- Czy to ci coś mówi?

Pochyliła się, spojrzała na Howarda, potem na mnie.

- Jeśli chcesz, pokażę ci inne zdjęcia Cordwainera. - Podniosła się z sofy i uśmiechnęła w białą pustkę przed nami. - Nie chcę już oglądać żadnych zdjęć. Chyba rozumiem, dlaczego Stewart chciał je ukryć.

- Myślę, że dał moim ciotkom mnóstwo pieniędzy.

Roześmiała się.

- Stewart nie wierzy w egalitaryzm. Nie ucieszyłby się z informacji, że z Dunstanami łączą go związki krwi. Prawdę mówiąc, zrobiliby wszystko, żeby to zatuszować. - Oczy jej błysnęły. Przysunęła się do mnie. - Twoje ciotki wiedziały o tym od samego początku!

- Tak mi się zdaje, choć twierdzą, że nigdy nie widziały Edwarda Rineharta. Nawet jeśli, skąd miały wiedzieć, kim jest?

- Nieważne! Wiedziały! Oczywiście nie mogły o tym powiedzieć Star - to była ich tajemnica. A Stewart chciał cię wypędzić z miasta, zanim dowiesz się prawdy.

- Ale dlaczego dał moim ciotkom fortunę za trzy stare domy? Nie wierzę, że aż tak mu zależy na reputacji babki.

- Stewart jest snobem. Lubi być wielkim panem Hatchem. Oddałby wiele, żeby tego bronić.

- Mam wrażenie, że dotarłem do jakiegoś końca, ale on się nie kończy.

Przesunęła się, wyprostowała nogę i objęła ramieniem oparcie sofy. Oparła głowę na rękę i czekała na ciąg dalszy.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać - wyznałem. Zreferowałem jej już wszystkie najważniejsze sprawy.

- Opowiedz o Hatchach, którzy rzucają się na ciebie z nożami.

Przełknąłem rozwodnioną whisky z okruchami lodu.

- Szczerze mówiąc, jeśli powiem ci wszystko, weźmiesz mnie za kłamcę lub wariata.

Usiadła bokiem, podpierając brodę. Z twarzy biła jej pełna współczucia determinacja.

- Poznałeś swojego ojca, tego Edwarda Rineharta. Cordwainera Hatcha. Zgadza się? I rzucił się na ciebie z nożem. Na Buxton Place?

- Kurczę, aleś ty mądra.

- Uważnie słucham. Gdzie to było?

- Tu i tam. - Uśmiechnąłem się.

- Chodziłeś tu i tam ze swoim ojcem. I z przyczyn, które dopiero czekają na wyjaśnienie, ów dzentelmen starał się z tobą rozprawić.

- Laurie, bardzo mi przykro, ale to cię naprawdę donikąd nie doprowadzi.

- Skoro tu jesteś, ojciec jednak się z tobą nie rozprawił. Mam rozumieć, że ty rozprawiłeś się z nim?

- Sam się ze sobą rozprawił, kiedy się dowiedział, że jest synem Howarda Dunstana. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Nie ustąpiła.

- Gdzieś w Edgerton znajdują się zwłoki Cordwainera Hatcha. Wkrótce zostaną odkryte. I zaraz potem zidentyfikowane.

- To się nie zdarzy, wierz mi.

Odjęła rękę od twarzy, jej ramię ześliznęło się z oparcia sofy, kolano przesunęło do góry. W dziwnie paradoksalnym geście odrzucenia przysunęła się do mnie.

- Wszystko to jest takie wymijające. Chcesz, żebym ci wierzyła, ale jesteś coraz mniej wiarygodny. Zaufaj mi chociaż na tyle, żeby powiedzieć, gdzie byłeś.

Nie wiedziałem, że jest we mnie tyle wrogości. Laurie Hatch tkwiła przede mną jak nieufny anioł i w tamtej chwili bardziej chciałem jej odplacić za tę nieufność, niż otworzyć przed nią sekretną część mojego życia.

- Zrobię coś więcej. Pokażę ci.

- Pokażesz? Nie chcę nigdzie wychodzić.

Wyciągnąłem dłoń, nie mogąc się powstrzymać przed popełnieniem niewybaczalnego błędu.

- Odstaw tę szklankę i weź mnie za rękę.

Powoli, nie odrywając ode mnie oczu, odstawiła szklankę. Pomyślałem, że od czasów Morry'ego Burgera nie jest taka bezbronna, jeśli chodzi o odczytywanie intencji mężczyzn. Zanim wprowadziła się do państwa Deeringów, nauczyła się widzieć wszystko, jakby miała oczy wokół głowy. I jeszcze więcej.

Jeśli chcesz mnie poznać, pomyślałem, powinnaś o tym wiedzieć.

Chwyła mnie za rękę; wciągnąłem ją, jak zwykle z poczuciem, że wpadam w otchłań w ziemi, w coś, z czym - wiedziałem - nigdy nie zdoła się pogodzić. Wylądowaliśmy na rogu Commercial Avenue i Paddlewheel Road, w niewielkiej odległości od przyszłej kancelarii C. Claytona Creecha. Domy były na razie zwykłymi jednorodzinnymi domkami z prywatnymi wejściami do parku, ogrodzonego wysokim metalowym płotem. Dokładnie naprzeciw nas stał ford i ciężarówka.

Rusztowanie obejmowało pierwsze piętro budynku obrastającego metalowy szkielet. Na rusztowaniu i wokół niego roili się ludzie. Przed budynkiem mężczyzna w kapeluszu darł się na dwóch robotników przy kadzi z cementem; przed bramą parku po naszej stromej ulicy dwaj faceti wyladowywali deski z wozu zaprzęgniętego w konia. Mężczyzna w słomkowym kapeluszu i garniturze z serży, który nie tuszował jego podobieństwa do Luciano Pavarottiego lub prezydenta Garfielda, zależnie od punktu widzenia, wyłonił się zza zaparkowanych samochodów i powoli podszedł do budowy. Było popołudnie ciepłego, lekko pochmurnego dnia, prawdopodobnie w połowie września.

Fotograf stojący może ze trzy metry od Laurie i mnie - ten sam, który miał uwiecznić ten moment - obserwował scenę zza aparatu fotograficznego wielkości skrzynki na owoce. W jednej ręce trzymał flesz, w drugą czarną zasłonę. Wyglądał jak magik.

Laurie osunęła się na chodnik, przycisnęła wolną rękę do czoła.

Podniosłem ją. *Chciałaś się dowiedzieć?* - pomyślałem. *To się rozejrzyj.* Jej twarz lśniła niezdrowo, oczy się zamgliły.

- Tylko nie zwymiotuj - powiedziałem.

- Nigdy nie wymiotuję. - Podniosła głowę. - Gdzie jesteśmy?

- Na rogu Paddlewheel Road i Commercial Avenue. W roku 1929. Przyjrzyj się.

Szczegóły tej sceny zbliżały się do momentu, kiedy miały zostać uwiecznione. Garfield-Pavarotti wyszedł zza rogu i stanął za nadzorcą, ryczącym na robotników, którzy właśnie oddalali się z taczkami od kadzi, ledwie widocznej zza budynku. Fotograf schował się pod czarną zasłoną. Ludzie z tartaku skończyli wyładunek, wzięli naręczą desek i ruszyli przez ulicę. Robotnicy z taczkami sunęli jak juczne konie. Nadzorca założył ręce na piersi, wypiął klatkę piersiową i rozstawił nogi we władczej postawie. Grubasek w serżowym garniturze założył ręce, wypiął pierś i stanął na rozstawionych nogach. Ukryty pod zasłoną fotograf stanął na rozstawionych nogach i pochylił się nad wizjerem. Robotnicy zbliżali się do rusztowań. Rząd żarówek eksplodował w żółtym rozbłysku i ostrym, perkusyjnym trzasku.

Laurie podskoczyła. Taczki wtoczyły się na drewniany pomost na rusztowaniu; mężczyźni niosący deski weszli na chodnik. Widz w słomkowym kapeluszu ominął nadzorcę, nadzorca wydarł się na konie pociągowe. Fotograf wyłonił się spod zasłony i wyprostował.

- Ned, ja nie chcę... proszę - szepnęła Laurie.

Wokół nas ukształtował się ogromny pokój na Blueberry Lane. Laurie zatoczyła się i padła na kolana koło sofy. Zgięła się wpół, oparła czoło o dywan, jak pan Michael Anscombe w swoich ostatnich chwilach życia. Ukląkłem obok i pogłaskałem ją po plecach. Odpędziła mnie gestem.

- Mogę ci pomóc?

- Nie. - Odczołgała się, wydzwignęła na sofę i legła bezwładnie. Po chwili usiadła.

- Omal nie zламаłam mojej świętej zasady i nie obrzygałam dywanu.

- Jak głowa?

- W jednym kawałku. - Pochyliła się, wzięła szklanę i przycisnęła ją do czoła. Zamknęła oczy. Wyprostowała nogi. Uniosła szklanę do ust. - Chcę jeszcze raz spojrzeć na to zdjęcie.

Pochyliła się, zaczęła grzebać wśród fotografii. Miała spuchnięte powieki.

- Dwie minuty temu staliśmy w tym miejscu.

- Jeden krok dalej i znaleźlibyśmy się na zdjęciu.

- Nie rozumiem i na pewno mi się to nie podoba.

- Mnie też nie.

Wyprostowała się.

- Ale ty to zrobiłeś. Ty mnie tam zabrałeś. To nie jest dobre.

- Ani dobre, ani złe. Na pewno nieprzewidziane. Niespodziewane.

- Niespodziewane. - Twarz powlokła się jej równomiernym, jaszkrawym rumieńcem. - Dlaczego mi nie powiedziałeś, co chcesz zrobić?

- A uwierzyłybyś?

W jej oczach znowu pojawiła się czujna, wnikliwa inteligencja. Laurie doszła do siebie. To, że czuła się, jakby miała grypę, nic nie znaczyło. Widziała wszystko, nawet gniew, którego ja nie dostrzegłem.

- Często to robisz?

- Najbardziej, jak można. Pewnie już nigdy nie będę tego musiał powtarzać.

- Odziedziczyłeś to po Cordwainerze Hatchu?

- Po jego ojcu.

- Dziś nie zniosę już nic więcej.

- Jak wolisz. - Zacząłem chować fotografie. Miałem wrażenie, że ktoś mi ścisnął głowę w imadle i jeszcze obił młotkiem. Laurie podciągnęła kolana pod brodę i odprowadziła mnie wzrokiem. Dobrnąłem do taurusa i spojrzałem na zegarek. Moje trzydzieste piąte urodziny przeszły do historii. W drodze do miasta musiałem zjechać z autostrady i zdrzemnąć się godzinę.

Funkcjonariusz Treuhaft obserwował, jak obchodzę wyschniętą fontannę. Miał taki wzrok, jakby podejrzewał, że ucieknę na jego widok.

- Zdaje się, że mam gości - powiedziałem.
- Kapitan Mullan i porucznik Rowley na pana czekają.
- O czym chcą porozmawiać?

Mrugnął.

- Zdaje się, że ma to coś wspólnego z pańską dzisiejszą wizytą na posterunku.

- Ach tak. Długo pan czeka?
- Może dwie minuty.

Recepcjonista przywołał mnie gestem dłoni. Oparł się o kontuar i przemówił, ledwie poruszając wargami:

- W pańskim pokoju jest dwóch policjantów. Jeśli chce pan zniknąć, tam są tylne drzwi. - Małym palcem wskazał schody prowadzące do wąskiego korytarza.

Dałem mu pięć dolarów i położyłem na kontuarze książkę Lovecrafta i zdjęcia.

- Zechce pan to przechować?

Wzruszył ramionami i kontuar opustoszał.

Na mój widok porucznik Rowley zerwał się z łóżka. Siedzący za stołem kapitan Mullan skinął mi głową ze znużeniem.

- Proszę usiąść. - Wskazał krzesło naprzeciwko.

Moje palce spoczęły na wykaligrafowanych literkach RD. 10/17/58; usłyszałem głos mojej matki: *Gdybym potrafiła śpiewać tak, jak tamten człowiek grał, chciałabym zatrzymać czas...*

- Proszę opisać swój dzień przed wizytą na policji.

Robert nie tracił czasu.

- Jeździłem.

- Jeździłeś. - Rowley oparł się biodrem o stół. - I zajechałeś do Ellendale?

Star powiedziała: *Najpierw nie wiedziałam, czy ten zespół mi się podoba. To był kwartet z Zachodniego Wybrzeża, a ja nigdy nie przepadałam za jazzem z Zachodu. Ale potem taki saksofonista, podobny do bociana, wyszedł zza fortepianu i zaczął grać „These Foolish Things”. I, och, Neddie, było tak, jakbym...*

- Tak mi się wydaje.

- Około wpół do jedenastej Stewart Hatch zjawił się na ostrym dyżurze w szpitalu Lawndale - powiedział Mullan. - Twierdzi, że zaskoczył pana w intymnej sytuacji z panią Hatch i że zaatakował go pan nożem.

- Masz nóż? - spytał Rowley.

- Pan Hatch twierdzi również, że w trakcie bójki, jaka wywiązała się potem, zwichnął mu pan rękę i ogólnie go poturbował. Chce wnieść przeciwko panu oskarżenie.

...jakbym się znalazła w takim miejscu, o którym nigdy nie słyszałam, ale od razu poczułam się w nim jak w domu. On tylko musnął tę melodię, a potem zaczął się wspinać coraz wyżej i wyżej, a wszystko, co grał, łączyło się ze sobą, krok za krokiem, jak historia...

- Nie obchodzi mnie, co zrobi - powiedziałem. - To na nic. Przeinańczył całą historię.

- To on zwichnął panu ramię?

- Pokaż ten nóż, Dunstan - zażądał Rowley.

- Nie mam. - Opowiedziałem im o wizycie w Ellendale i bójce z pijanym Stewartem Hatchem. - Wtedy otworzył szufladę i wyjął nożyk do owoców. Powiedział coś w rodzaju „szukałem czegoś bardziej okazałego”. Później rzucił się na mnie, a ja przewróciłem go i zwichnąłem mu rękę. Kopnąłem go także w zębra, ponieważ akurat nie miałem dobrego humoru. Następnie wyrzuciłem go z domu. Stuknął w mój samochód, zresztą wynajęty, i ruszył setką do Lawndale. Dziwię się, że jest aż tak głupi. Jego żona widziała całe zajście.

- Poziom alkoholu w jego krwi przekraczał normę czterokrotnie - powiedział Mullan. - A tak przy okazji, funkcjonariusz przesłuchujący

panią Hatch twierdzi, że w związku z nożem jej mąż użył słowa „imponujący”. Szukałem czegoś bardziej imponującego. Subtelna różnica.

- Kapitanie - odezwał się Rowley. - Oni to uzgodnili. Pan Hatch przyłapał ich w łóżku, a Dunstan rzucił się na niego z nożem.

- Funkcjonariusz przesłuchujący panią Hatch zobaczył worki na śmieci pełne potłuczonych talerzy. Sądzę, że możemy odrzucić wersję pana Hacha.

- Już tam byliście?

- Jeśli chcemy, potrafimy działać bardzo szybko.

Neddie! - usłyszałem głos matki. *Jakby cały świat się przede mną otworzył. Jakbym poszła do nieba.*

Z gardła Rowleya wyrwał się charkot.

- Ten facet jest wszędzie. Gdziekolwiek się obejrzymy, zawsze jest. Od dwóch dni nikt nie widział Joe Staggersa, a wiemy, że Staggers go szukał. Jak pan myśli, co się stało?

- Na razie nikt nie doniósł o jego zaginięciu.

- Dunstan ma zawsze alibi, kobiety zawsze go bronią. Kłopoty pana Hacha przeminają, Dunstan też się ulotni. Wszystko wróci do normy. Kogo chce pan mieć po swojej stronie, kapitanie?

Mullan zaplótł ręce na brzuchu i spojrzał w sufit.

- No, poruczniku, myślę, że może już pan iść do domu. I proszę zluzować funkcjonariusza Treuhafta.

- Niech pan to przemyśli.

- Dziękuję za pomoc, poruczniku. Zobaczymy się jutro rano.

Martwe oczy Rowleya spojrzały na Mullana, na mnie i znowu na Mullana.

- Jak pan woli.

Trzasnęła drzwiami.

Mullan przyglądał mi się tym samym nieprzeniknionym, obojętnym spojrzeniem, które wycelował w sufit.

- Dziwny z pana człowiek.

- Tak mi mówiono.

Jego blady uśmiech zdradził mi, że Robert pozwolił sobie na niewyobrażalny wybryk.

- Zakładam, że czekał pan na wieści ode mnie.

- Tak.

Nie poruszył się nawet o centymetr. Nawet jego uśmiech nie drgnął.

- Czy pamięta pan, jak wspomniałem o anonimowym rozmówcy, który oskarżył Earla Sawyera o liczne zabójstwa?

- Jasne.

- Właśnie dlatego jest pan taki dziwny. Ja o tym nie wspomniałem.

- Przepraszam. Za dużo się dzieje.

- To chyba nie pan był tym anonimem?

- Nie, ja nie.

- Ale ten temat pana interesuje.

- Nie mogę zaprzeczyć - przyznałem, usiłując znaleźć bezpieczną ścieżkę na polu minowym, na które wrzucił mnie Robert.

- Mniej więcej o dziewiątej wieczorem odwiedził mnie pan na posterunku w celu poinformowania, że podejrzewa pan Earla Sawyera o to, że niegdyś używał nazwiska Edward Rinehart. - Uniósł brwi, jakby czekał na potwierdzenie. Kiwnąłem głową. - Jest pan już drugą osobą, która chce ze mną porozmawiać o Earlu Sawyerze. Nie sądzę, żeby to był zbieg okoliczności.

- Myślałem, że policja nieustannie dostaje anonimowe telefony.

- Bylibyśmy bardzo szczęśliwi. Obecny tutaj starszy nie musiałby tak ciężko tyrać. No dobrze, zapomnijmy o telefonie. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę: kiedy poszliśmy razem do szpitala Świętej Anny, wspomniał pan Clotharda Spelvina? Kloca?

- Pańska pamięć działa doskonale. Od zawsze, jak sądzę.

- Na posterunku powiedział pan, że matka zdradziła panu nazwisko Rineharta.

Jego uśmiech nadal wyglądał jak lodowiec, ale kapitan nie robił wrażeń wrogo nastawionego. Krok za krokiem zbliżał się do czegoś;

odesłał Rowleya i Treuhafta, ponieważ chciał to coś utrzymać w tajemnicy. Nie miałem pojęcia, co Robert mu powiedział, i nie mogłem sobie pozwolić na błąd. Ale nie wiedziałem, dokąd zmierza.

- Tuż przed śmiercią.

Kapitan wyprostował nogi i założył ręce za głowę.

- Tak dla porządku: dowiedział się pan, że matka wróciła do Edgerton i że źle się czuje. Jak to się wydarzyło? Czy ciotka zadzwoniła do pana do Nowego Jorku?

- Tak, ale ja byłem już w drodze. Zrobiłem sobie urlop i jeździłem autostopem. Wiem, że to głupio brzmi, ale wtedy miałem na to ochotę. Chciałem dotrzeć w ten sposób do Illinois, odwiedzić ciotki i wrócić samolotem. Dwa dni przed śmiercią mojej matki, kiedy jechałem przez Ohio z kierowcą, z którym rozmawialiście, Bobem Mimsem... nie wiem, jak to zabrzmiało.

- Niech pan spróbuje.

- Miałem silne przeczucie, że matka ma kłopoty ze zdrowiem i że muszę się pośpieszyć.

- Choć nie mieszkała na stałe w Edgerton.

- Wiedziałem, że jeśli poczuje bliską śmierć, przyjedzie do domu.

- Podróżował pan przez Ohio z Bobem Mimsem. Nabrał pan silnego przekonania, że pańska umierająca matka wróciła do domu.

- Brzmi głupio, ale tak było.

- Co potem?

- Mims zjechał z trasy i wysadził mnie przed motelem „Comfort”, gdzie poznałem Ashleigh Ashton. Zgodziła się mnie podwieźć.

- Następnego dnia, kiedy przyjechał pan do Edgerton, poprosił pan asystentkę prokuratora generalnego Ashton, by wysadziła pana przed szpitalem Świętej Anny. Nie na Cherry Street. To musiało być szczególnie silne przeczucie.

- Można tak powiedzieć. Kapitanie, dlaczego o tym rozmawiamy?

- Z paru powodów. No, dobrze. Znalazł się pan na OIOM-ie. Dowiedział się, że matka miała wylew. Jej serce jest w złym stanie. W

głębi duszy wie pan, że matka umiera, ale przynajmniej zdążył pan przyjechać, żeby jeszcze z nią porozmawiać. Nie jest to łatwe. Każde słowo kosztuje ją mnóstwo wysiłku, a pan musi wyęźać słuch, żeby je zrozumieć. Wszystkie te czynniki sprawiają, że każde słowo ma wyjątkową wagę. Tak?

Nadal spoglądał przed siebie, z wyprostowanymi nogami i rękami za głową.

- Jakby pan przy tym był - powiedziałem.

- Bo byłem. - Kolejny krok w kierunku tajemniczego celu. - W tych warunkach pańska matka robi coś niespodziewanego. Chwyta pana za rękę i mówi: „Edward Rinehart” i podaje panu informacje o tym nieznanym dzentelmenie.

Kapitan głądził tak długo, że mógłbym stracić czujność. Chciał wiedzieć, czy wiem, że Rinehart jest moim ojcem. On o tym wiedział. Prowadził mnie przez labirynt. Zburzył mój spokój, a co więcej, zburzył także spokój Roberta. Z jakiegoś powodu chciał stwierdzić, jak daleko już się zapuściłem.

- Powiedziała, że Rinehart jest moim ojcem.

- Pewnie chciał się pan czegoś o nim dowiedzieć. I pomyślał pan, że Toby Kraft panu pomoże.

- Do niego zwróciłem się najpierw.

- Pomógł? Oczywiście niebezpośrednio? Na przykład, czy to on skierował pana z panią Hatch do Domu Weterana w Mount Vernon?

Kapitan Mullan odrobił pracę domową.

- Zasugerował, żebym porozmawiał z niejakim Maxem Edisonem. Pani Hatch zaproponowała, że mnie podwiezie.

Odrzucił głowę w moją stronę, nie zmieniając pozycji ciała.

- Nie sądzę, żeby pan wiedział o Edisonie. To nie trafiło do gazet.

Prawie zobaczyłem zwłoki na zakrwawionym łóżku, zmasakrowane gardło.

- Było tak, jak w przypadku Toby'ego Krafta, ale obok leżał nóż. Ta sama noc. Wszyscy są zdania, że to samobójstwo. Mnie to pasuje.

Zostały mu jakieś trzy, cztery miesiące życia, więc postanawia się zabić, póki jest jeszcze w pełni władz umysłowych. Ale jest coś interesującego. Recepcjonista twierdzi, że poprzedniego dnia Edisona odwiedził prywatny detektyw Leroy Pratchett. Chudy, w czarnej skórzanej kurtce. Z bródką.

- Żaba.

- Ależ pan podejrzliwy. Jak pan połączył Rineharta z Earlem Sawyerem?

Opowiedziałem mu o Buxton Place i o tym, jak Hugh Coventry rozpoznał nazwiska właścicieli. Opisałem spotkanie z Earlem Sawyerem, jak mnie wpuścił do domów, jak zobaczyłem książki Rineharta i Lovecrafta, i jak znalazłem nazwisko Sawyera w „Koszmarze w Dunwich”.

Mullan przyciągnął krzesło bliżej stołu i usiłował wyglądać, jakby mi wierzył.

- Czy pod nieobecność Sawyera złożył pan drugą wizytę na Buxton Place?

Pokręciłem głową.

- Nie jest pan odpowiedzialny za zniszczenie tych książek?
Zrozumiałem, co chce mi powiedzieć.

- Pan był na Buxton Place.

- Drogi panie, przez cały wieczór szukałem Earla Sawyera. - Wyciągnął ręce i ziewnął. - Proszę wybaczyć, za stary jestem na te bzdury. Wkrótce, przynajmniej tak liczę, grób Edwarda Rineharta na cmentarzu w Greenhaven zostanie rozkopany. Być może dowiemy się, kogo tam pochowali. Na pewno nie Rineharta.

- Też tak sądzę.

- Jak by pan to nazwał, nieporozumieniem? No, panie Dunstan, wstajemy. Zabieram pana na przechadzkę.

125.

Mullan skinął w stronę recepcji i schodów prowadzących do tylnego wyjścia.

- Tędy.

Recepcjonista wyłonił się z drzwi gabinetu i przejrzał ulotki na półce w głębi.

Ruszyłem za Mullanem po schodach. Kapitan poruszał się szybciej, niż się spodziewałem; otworzył z rozmachem drzwi i wymaszerował na zewnątrz. Przytrzymałem drzwi i wyszedłem prosto na wąski brukowany zaułek, który musiał się nazywać Horsehair. Po lewej dostrzegłem znikający szary garnitur Mullana i smugę siwych włosów.

Wydawało mi się, że rozpoznałem podwójne drzwi na Lavender. Mullan zatrzymał się, zamazana plama jego twarzy odwróciła się ku mnie.

- Porozmawiajmy o pańskiej podejrzliwości. Ten tak zwany Pratchett pojawia się w Domu Weterana. Przypuśćmy, że to Żaba. Co to oznacza? Prentiss już nie żyje. Następnej nocy bang, leżą pokotem jak kaczki, wszyscy razem: Edison, Toby Kraft, Cassandra Little i La Chappelle. Tak między nami mówiąc, czy przypadkiem widzi pan jakieś hipotetyczne wyjaśnienie?

- Hipotetyczne - tak. Helen Janette powiedziała, że Żaba dorastał na tych uliczkach. Może Rinehart - Earl Sawyer - prześladował go w ten czy inny sposób od najwcześniejszych lat. - Opowiedziałem mu o tym, jak rzekomy Charles Ward korzystał z usług Nolly'ego Wheadle'a i jak Nolly opowiadał o osobie, którą nazywał Czarną Śmiercią.

- Może Rinehart, Sawyer czy jak go tam nazwiemy wysłał Żabę do Domu Weterana, żeby się zorientował, czy tam byłem i czy kogoś wypytywałem. Jakiś pracownik poinformował go, że dwoje ludzi rozmawiało z Maxem Edisonem i może Edison powiedział, że ci dwoje dowiedzieli się o nim od Toby'ego.

- Podczas naszych licznych pogawędek ani razu nie wspomniał pan o Edisonie ani Edwardzie Rineharcie.

- Kapitanie, nasze spotkania były nieodmiennie pasjonujące, ale nie odniosłem wrażenia, żeby miały coś wspólnego z moim ojcem.

- Czy to Edison powiedział panu o Klocu Spelwinie?

- Tak. Lubilem Maxa Edisona. Nie zasłużył na taką śmierć. - Przypomniałem sobie, że rozmawiamy hipotetycznie. - Jeśli tak właśnie było.

- Jeśli tak właśnie było, proszę mi opowiedzieć resztę.

- Sawyer zajął się Maxem i Tobym, a potem musiał się też pozbyć Żaby. Uznał, że Żaba mógł zwierzyć się swojej przyjaciółce, dlatego ją także zabił. Co do Clyde'a Prentissa - nie wiem. - Przypomniałem sobie, że widziałem Żabę i Cassie Little na OIOM-ie. - Wie pan, może to było coś w rodzaju ostatniej raty. Prentiss mógł się wykręcić od więzienia, wsypując Żabę.

Mullan parsknął.

- Earl Sawyer zabił czworo ludzi, ponieważ nie chciał, żeby pan się dowiedział, iż jest pańskim ojcem. O to chodzi?

- Czuł się zdradzony.

- Chce pan dodać coś jeszcze?

- Chce pan mi powiedzieć, o co panu chodzi? Dlaczego pan myślał, że mogę pracować dla prokuratury albo jakiejś agencji rządowej?

- Powiedzmy, że czuję się zdradzony. - W mroku błysnął i zniknął kolejny lodowaty uśmiech. - Ma pan szansę spełnić obywatelski obowiązek.

Ruszył przed siebie.

Smród, który utożsamiałem z domem Joy, znowu przebił się przez cegły; może po dwudziestu krokach Mullan skręcił w Raspberry. W ciemnościach brukowana ulica zbiegła stromo w dół ku budynkowi; po obu stronach drzwi zapieczętowanych żółtą taśmą trzymali straż dwaj policjanci. Na widok Mullana stanęli na baczność.

- To pana powinno zainteresować.

Kiedy dotarliśmy do drzwi, policjanci prężyli się już jak wartownicy przed Pałacem Buckingham.

- Odmaszerować - rozkazał Mullan.

Rzucili mi obojętne, lecz czujne gliniarskie spojrzenie i odeszli.

Mullan zerwał taśmę.

- Telefon Earla nadal jest zarejestrowany na Annie Engstad, która mieszkała tutaj przed nim, ale szef ochrony Hacha ma ten adres w dokumentach. Musiałem wyłamać zamki, żeby się tu dostać. Jeśli niepokoi się pan o prawa pana Sawyera, nakaz rewizji podpisał sędzia Gram, z którym co sobota grywam w gólf.

Otworzył drzwi i smród dna rzeki runął na nas jak niewidzialna ściana. Mullan wszedł i zapalił światła. Usłyszałem chrobot uciekających szczurów.

- Dobry Boże - wyszeptalem.

Ujrzałem niski, ciasny pokój, jak po wybuchu bomby. Oto miałem przed sobą ostatnią rezydencję Cordwainera Hacha. Podłogę zaścielały sterty odpadków, niektóre sięgające pasa. Pod ścianami szeleściły gazety. Wzdłuż ściany po lewej stronie na wąskim łóżku poniewierały się skłębione brudne koszule, skarpety, bluzy i dresy, po przeciwnej stronie śmieci zwisały z blatu stołu, stykając się ze stertami na podłodze. Od ogromu tego bałaganu zakręciło mi się w głowie. Szmaty, pudełka po pizzy, szklanki, zmięte gazety, broszurowe wydania książek bez okładek, plastikowe kubki, mozaika śmieci pod krzesłem i wokół niego, piramidy rozdzielające się tu i ówdzie jak ściany kanionu.

- Salon i sypialnia Earla - oznajmił Mullan. - To zabrzmi dziwnie, ale proszę niczego nie dotykać bez mojego pozwolenia. Niektóre materiały będą nam potrzebne jako dowody rzeczowe. - Wskazał na drugi pokój w głębi. - To jego kuchnia i gabinet do pracy, chyba tak to można określić. Jeszcze gorzej niż tutaj. Zanim tam wejdziemy, proszę spojrzeć na szafę.

Dobrnął do niej, brodząc w śmieciach, szarpnął drzwi. Koło brązowej wiatrówki Sawyera i spodni khaki wisiała koszula i spodnie od munduru. Jeden druciany wieszak był pusty. Daszek czapki od munduru wystawał z półki, na której znajdowała się także czapka Kangola, długa czarna latarka, pałka policyjna i obłe końce przedmiotów, których nie potrafiłem zidentyfikować na pierwszy rzut oka. Ze sterty

butów na podłodze szafy spojrzwały na nas żółte oczy wychudzonego szczura.

- Uciekaj! - krzyknął Mullan i tupnął nogą. Szczur prysnął przez dziurę w ścianie. - Niech pan spojrzy tam, koło pałki.

Obszedłem jakąś gąbczastą substancję, wspiałem się na palce i zobaczyłem rząd noży - kuchennych, z drewnianymi i kościanymi rękojeściami, składanych i w stalowych pochwach.

- Niech się pan przyjrzy - polecił Mullan.

Pochyliłem się i ujrzałem rdzawe plamy i zaschnięte odciski palców.

- Earl lubił noże - powiedział Mullan - ale nie dbał o ich czystość, tak samo jak o czystość czegokolwiek z wyjątkiem munduru i paru innych drobiazgów, dzięki którym jakoś się prezentował.

Poszedłem za nim do wachlarzowatej plamy w prawym kącie pokoju, gdzie Mullan wydobył ze śmieci kartonowe pudło.

- Na szczęście zatrzymywał pamiętki. - Wziął wygięty kawałek metalu, który niegdyś był parasolką, i odchylił nim pokrywę pudła.

Ujrzałem płataninę zegarków, bransoletek, kolczyków nie do pary, kilku pęków kluczy, starych portfeli wymieszanych z drobnymi białymi kostkami i zakrzywionym fragmentem ludzkiej czaszki, do której przywarła grudka krwawej miazgi.

Mullan dotknął czaszki parasolką.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby była to część ciała niejakiego Keyesa młodszego. Pamięta go pan?

- Jakżebym mógł zapomnieć? To w związku z nim po raz pierwszy oskarżono mnie o morderstwo.

- Widzi pan te kostki? Moim zdaniem tyle zostało z rączki noworodka, którego znalazł na wysypisku cztery lata temu. Następnego dnia aresztowaliśmy matkę: Charleen Toomey, szesnastolatkę, miłą Irlandkę. Wyznała, że położyła swoje nowo narodzone dziecko na śmieciach, ale przysięgała, że żyło. Jak twierdziła, miała nadzieję, że znajdzie się jakiś samarytanin, który przygarnie jej dziecko.

- A pan jak twierdzi?

- Że chciała je wrzucić do kubła, ale w ostatniej chwili stchórzyła. - Tracił jeden z portfeli. - Własność pewnego pijaczka, Pipeya Leake'a, pobitego na śmierć w zaułku przy hotelu „Merchants” w 1975 roku. A to należało do jednego chłopaka, Phila Dorii, który włóczył się w okolicach Buffalo Hill i polował na starszych facetów. W 1979 ktoś go zasztyletował. Ta bransoletka należała prawdopodobnie do heroinistki, która uciekła z domu i sprzedawała swoje wdzięki na Chester Street. Znano ją jako Chodnikową Molly.

- Czy to trafi na posterunek?

- Tak. Wkrótce potem Earl Sawyer-Edward Rinehart stanie się własnością publiczną. Pan także. W tej chwili mamy jeszcze szansę zdecydować, jak będzie wyglądać ta historia i jak wielka popularność pana czeka.

- Jak to?

Mullan rzucił parasolkę na stertę odpadków. Już nie wyglądał jak barman.

- Pewne aspekty działań pańskiego przyjaciela Stewarta Hacha prawdopodobnie doprowadzą do rozpoczęcia dochodzenia w moim wydziale. Chciałbym stłumić skandal na tyle, na ile można. I bez Kuby Rozpruwacza zrobi się tu strasznie.

- Chce pan to zatuszować?

Byłem - tylko tak mogę to opisać - zdjęty zgrozą.

- Nie mógłbym, nawet gdybym był na tyle głupi, żeby spróbować. Takiej historii nie da się zatuszować. Nawet Rowley rozumie, że może wyciągnąć z Hacha jeszcze trochę pieniędzy, jeśli skieruje światła na pana. Nie na wiele się to zda, ale na pewno odwróci uwagę od Stewarta.

- Światła na mnie - powtórzyłem.

- Jakies dwie godziny temu Grenville Milton spakował się i pojechał na drugi brzeg do motelu koło Cape Girardeau. Zabukował dwa bilety pierwszej klasy do Mexico City na jutro, wpół do ósmej rano, wylot z St. Louis. Zabrał sto trzydzieści tysięcy dolarów i rugera kalibru

.45. Nie wiem, o co chodzi z tymi rugerami. Kiedy tacy goście jak Milton kupują broń, to zawsze rugera.

- Dwa bilety. W pierwszej klasie.

- Potem zadzwonił do niejkiej Ming-Hwa Sullivan. Ta kobieta to jest dopiero numer. Nie zgodziła się przyjechać do motelu i wyśmiała pomysł ucieczki. Powiedział, że się zabije, a ona na to: „Grenville, jeśli jesteś dorosły, sam rozumiesz, jak niewiele mam wspólnego z twoją decyzją”. Dosłowny cytat. Ledwie skończyła z nim rozmawiać, zadzwoniła do nas, a my zadzwoniliśmy do Cape Girardeau. Mają tam dwie jednostki policji. Piętnaście minut później tamtejszy kapitan odzwonił do mnie. Milton strzelił z rugera cztery razy. Rozwalił telefon w pokoju, rozwalił telewizor, otworzył okno i rozwalił neon przed motelem, a potem usiadł na podłodze, włożył lufę do ust i rozwalił sobie czerep.

- Hatch o tym wie?

- Jeszcze nie.

- Nie rozumiem, dokąd pan zmierza.

Mullan obszedł mnie ostrożnie.

- Proszę do kuchni.

126.

Kiedy zapalił światło, do ucieczki rzuciły się szczury oraz kilka karaluszych plemion. W głębi pomieszczenia muchy wirowały w ekstazie nad zakrzepłymi, lśniącoymi gruzkami zielonej galarety, rozdzielonej ścieżkami prowadzącymi do łazienki, zlewu i tylnego wyjścia. Drzwi łazienki były wystarczająco uchylone, bym zdołał się zorientować, iż nie chcę tego oglądać przy zapalonym świetle.

Z tego chaosu prostokątny stół w lewym kącie wyróżniał się jak polana w lesie. Na środku polany leżało czarne, złocone pióro wieczne ułożone równo przy księdze podobnej do tej, w której Toby Kraft zapisywał fikcyjne transakcje. Nad śmietniskiem po drugiej stronie stołu wisiała fotografia w srebrnej ramce, pomazana kredkami i złotym

pisakiem. Ruszyłem pomiędzy górami śmieci; stanąłem przed stołem i przyjrzałem się, jak mój ojciec zmodyfikował rodzinne zdjęcie Hatchów. W Carpentera i Ellen Hatchów celowały dorysowane noże i strzały. Oczy małżonków były zmienione w czarne dziury, ich usta znikły pod czarnymi wampirzymi uśmiechami. Grube czarne krechy skasowały małego Cobdena Hatcha. Na głowie małego Cordwainera widniała złota korona, od której były lśniące promienie, a na środku jego piersi świeciło złote serce.

- Zauważył pan - odezwał się Mullan.

Oto co Earl Sawyer schował do szuflady na Buxton Place; oto co Edward Rinehart kazał ukraść Toby'emu Kraftowi ze swego rodzinnego domu na Mansion Row.

- Jak się nazywa dziecko w koronie?

- Earl Sawyer. Edward Rinehart.

- Gratulacje. Pański ojciec i ojciec Stewarta byli braćmi, toteż Stewart jest pańskim ciotecznym bratem.

- Zdaje się, że Earl nie przepadał za rodziną.

- Niech pan przyniesie to krzesło, odwróci je i usiądzie.

Postawiłem krzesło przed stołem i usiadłem.

- Więc tak - powiedział Mullan. - Jesteśmy tutaj, ja i pan. Porucznik Rowley dwoi się i troi, żeby dzięki łapówkom utrzymać się na powierzchni, ale nie może tknąć tego, co jest w tym pokoju. Rozumie pan?

- Co Rowley wie o Earlu Sawyerze?

Kolejny mroźny uśmiech.

- Wie, że Earl od trzydziestu lat grasował po mieście i zabijał ludzi. Ten drobny, lecz elektryzujący szczegół, że Earl Sawyer jest zaginionym przed laty Cordwainerem Hatchem, na razie umknął jego uwadze.

- A my to mamy ukryć?

- Tego się nie da ukryć. I mało mnie to obchodzi. Natomiast chciałbym do minimum ograniczyć rozgłos i odejść z nietkniętą reputacją i emeryturą. Dziennikarze zwałą się tu z całego kraju. Będę musiał przed

nimi codziennie uciekać w drodze do pracy. Jakoś to zniosę.

- W takim razie po co tu przyszliśmy?

- Jeśli chce mi pan pomóc zrozumieć, co się tu dzieje, może zdołamy coś uratować z tego chaosu. Ufa mi pan?

- Nie mogę na to odpowiedzieć.

- Dobrze. Nic, co teraz zostanie powiedziane, nie znajdzie się w aktach. Daję słowo. Chce pan rozmawiać dalej?

- Zobaczymy, jak nam pójdzie.

- Może jednak jest jakaś nadzieja. - Mullan przyjrzał się zmasakrowanej fotografii za moimi plecami. - Nie zdziwiło pana, że ten chłopiec to Cordwainer Hatch.

- O tym, że moim ojcem jest Cordwainer Hatch, dowiedziałem się jakieś dwanaście godzin temu. - Opowiedziałem, jak wpadłem do Hugh Coventry'ego i jak dowiedziałem się o zniknięciu zdjęć Hatchów. Od niechcenia wspomniałem, że podejrzewałem Nettie, po czym opisałem, jak znalazłem zdjęcia w jej sypialni. - Wystarczyło spojrzeć i już wiedziałem, że Cordwainer jest moim ojcem.

- Zakładam, że Cordwainer nie żyje.

Nie odpowiedziałem.

- To, co chcę zrobić, będzie o wiele łatwiejsze, jeśli nie będę musiał organizować poszukiwań Cordwainera Hatcha podczas procesu jego bratanka. Uważam, że dziś się coś wydarzyło - jakaś konfrontacja - a ponieważ pan tu jest, jego pewnie już nie ma. Proszę coś powiedzieć.

Milczałem.

- To pozostanie między nami. Jeśli powie mi pan, że go zabił, nawet nie przyjdzie mi do głowy pana o coś oskarżyć.

- Cordwainer Hatch nie żyje.

- Zrobi nam pan obu przysługę, mówiąc, gdzie znajdzie jego ciało.

- Jego ciała nikt nie znajdzie.

Mullan przyjrzał mi się wzrokiem bez cienia osądu.

- I za dwa lata żadna koparka ani żadne bawiące się w lesie dziecko nie znajdzie jego szczątków. I kiedy rzeka znowu wyleje, jego ciało nie wyłoni się z mułu.

- Do niczego takiego nie dojdzie. Teraz to pan musi mi zaufać.

- Zabił go pan?

- Ma pan podsłuch?

Uśmiechnął się.

- Trzeba będzie powiedzieć, że sam się zabił.

- Chciałbym zadać pytanie zupełnie z innej beczki. Czy ma to coś wspólnego z którąś z zaginionych fotografii, także tych z pańskiej rodziny?

- Czy jest coś, czego mi pan nie mówi?

- Spróbuję to wyłuszczyć jaśniej. Kiedy Stewart Hatch oskarżył pana o atak z nożem w rękę, zasugerował także, że mógł się pan włamać do jego domu w poszukiwaniu pewnych fotografii, które przez pomyłkę zabrał z biblioteki. Nic mnie nie obchodzi, czy poszedł pan do jego domu i zabrał coś, co należało do pańskiej rodziny. Chcę wiedzieć, czy pokazał pan te zdjęcia Cordwainerowi Hatchowi.

Sygnaly alarmowe, od pewnego czasu jazgoczące w moim układzie nerwowym, przybrały na sile.

- A bo co?

Mullan zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, a kiedy zaczął mówić, dopiero po chwili zrozumiałem treść jego słów:

- Kiedy byłem mały, matka pokazała mi raz Howarda Dunstana na ulicy. Był już stary, ale nie wyglądał łagodnie jak zwykle starszuskowie. Prawdę mówiąc, przestraszyłem się go. Moja matka powiedziała: „Gdy byłem młodą dziewczyną, wystarczyło, że Howard Dunstan się do mnie uśmiechnął, a czułam się jak pierwszego dnia wiosny”. Podejrzewam, że tak samo działał na wiele innych kobiet.

Wpatrywałem się w Mullana z jawnym podziwem, zmaconym jedynie odrobiną wstrząsu. Wiedział wszystko - wszystko, czego mógł się

dowiedzieć. Odkąd znaleźliśmy się sami w hotelu, prowadził mnie krok po kroku w stronę tego, co starałem się ukryć.

- Pan jest zbyt dobry na to miasto - odezwałem się.

- W Cape Girardeau nie mają takich historii. W chwili gdy Stewart Hatch na pana spojrział, postanowił, że należy pana aresztować albo wypędzić z miasta. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, kim naprawdę jest Earl, zgadza się?

- Myślał, że Cordwainer nie żyje.

- Cordwainer też o niczym nie wiedział. Ale chyba wiem, za kogo się uważał. Proszę się odwrócić i otworzyć ten dziennik czy jak też to nazwiemy. Miał piękny charakter pisma, to muszę przyznać.

Odwróciłem się i chwyciłem dziennik. Odwróciłem grubą plik kartek i przeczytałem: *Ja także miałem własnych Judaszów, pierwszy był Kloc Spelvin, któremu zapłaciłem za zdradę nocną wizytą w jego celi.*

Dalej wykaligrafowane słowa układały się w wyznanie: *Jeśli mogę to ocenić, nadal jestem przystojny na pewien surowy sposób.*

A stroną wcześniej czarne drukowane litery krzyczały: *NIENAWIDZĘ SZTUKI. SZTUKA NIGDY NIKOMU NIE WYSZŁA NA ZDROWIE.*

I jeszcze wcześniej: *O Wielcy, jeśli w ogóle istniejecie, błagam o łaskę Poznania równą mym Zasługom.*

I ostatnie zapiski: *Odkładam Pióro - zamykam Księgę - Tryumf już blisko - O Bezlitośni Ojcowie -*

- Pokazał mu pan zdjęcie Howarda Dunstana? - spytał Mullan.

Zamknąłem księgę.

- Co chce pan z tym zrobić?

- Doskonale pytanie. Kiedy funkcjonariusze, których widział pan przed drzwiami, oglądali pierwszy pokój, ja wszedłem tutaj, otworzyłem dziennik i przeczytałem parę akapitów. Kazałem funkcjonariuszom wyjść i przejrzałem zapiski do końca. Cordwainer Hatch uważał się za potomka rasy potwornych istot, które wysłały go tutaj, by przygotował świat na ich nadejście. Twierdził, że potrafi się przenosić w przestrzeni, przenikać do zamkniętych pomieszczeń i stawać się niewidzialny. Co

będzie, jeśli to się rozniesie? Tysiące dziennikarzy zacznie zgłębiać sprawy morderstw. Całe miasto zmieni się w talk-show. Mój szef wyleci, ja też i przez resztę życia będę uciekał przed ludźmi, którzy będą chcieli napisać o potworze z Edgerton.

- Nie potrzebuje pan tego jako dowodu rzeczowego?

- W tamtym pudełku mam dowodów, ile dusza zapragnie. - Spojrzał na lśniąca hałdę śmieci dwa metry od nas. Szczur wyłonił się do połowy spomiędzy odpadków i spojrzał wprost na niego.

- Zjeżdżaj - powiedział Mullan.

Szczur, tłusty, gładki i bezczelny, poruszył nosem i wylazł cały. Mullan tupnął. Szczur zrobił krok naprzód, nie spuszczać z niego oczu.

Mullan rozpiął kurtkę i sięgnął po rewolwer.

- Czasami poczucie własnej godności popycha nas do niepożądanych czynów.

Odbezpieczył broń i wycelował. Szczur wyszczerzył zęby i skoczył. Mullan cofnął się i strzelił. Na chwilę przed dopadnięciem nogi kapitana szczur zmienił się w zakrwawiony kłębek sierści z różowym rozdziawionym pyskiem. W uszach mi dzwoniło. Blaszane echo głosu Mullana powiedziało:

- Przynajmniej mogę powiedzieć, że strzeliłem w samoobronie.

Kopniakiem odrzucił szczątki na stertę śmieci i schował broń do kabury.

- Dobry strzał - powiedziałem, choć miałem wrażenie, że mój głos przebija się przez ręcznik.

- Chyba tracę rozum. - Jego usta się poruszały, ale ja słyszałem tylko blaszane echo. - Wydaje mi się, że ten gość zrobił to wszystko, co opisał. Nie wiem, jak inaczej wyjaśnić, dlaczego zabił Prentissa i Żabę.

- Słuszna uwaga - odezwałem się cicho.

- Czy ma pan brata bliźniaka? On tak twierdzi. Napisał, że to pański brat zabił Keyesa młodszego.

- Mam brata. On nie jest prawdziwym człowiekiem. - Mullan wpatrywał się we mnie z natężeniem, jakby widział więcej, niżby chciał. - Nie zdawałem sobie sprawy z jego istnienia, aż pojawił się na tej ulicy.

- Wystarczy. - Wydawało mi się, że Mullan ma ochotę zabić jeszcze jakiegoś ambitnego szczura. - Policja miasta Edgerton uzna, że pański ojciec, Cordwainer Hatch, popełnił te zbrodnie z wściekłości z powodu odrzucenia przez rodzinę. Odciski z tego chlewu będą pasować do odcisków pobranych od niego podczas pierwszego aresztowania. FBI będzie miało odciski Rineharta, a w Greenhaven pochowano kogoś innego w wyniku pomyłki administracyjnej. Żaba La Chapelle i Clyde Prentiss popełnili samobójstwo. Zabójstwo Toby'ego Krafta i Cassandry Little powiążemy z działalnością organizacji przestępczych. Świadek pozostający pod ochroną policji zeznał, że Cordwainer Hatch alias Edward Rinehart, alias Earl Sawyer poniósł śmierć podczas bójki, a jego ciało nie zostanie odnalezione.

- Chyba chce mnie pan wrobić. Ale wtedy podam więcej szczegółów na temat ciała.

Nasze głosy dochodziły jakby z królestwa Okrutnych Bogów mojego ojca.

- Niech się pan przymknie i słucha - odparł Mullan. - I niech pan zapamięta moje słowa, bo będzie je pan musiał powtórzyć ze sto razy.

127.

Nigdy się tego nie dowiem, ale zakładam się, że kapitan Mullan należał do tych osób, które potrafią śnić w długich, spójnych narracyjnie sekwencjach. Może taką zdolność można w sobie wyrobić po latach pracy w policji, zwłaszcza w wydziale zabójstw, tak jak wyrabia się mięśnie na siłowni.

Natomiast wiem, że Mullan posłużył się swoją wyrobioną wyobraźnią i natychmiast, bez wahania, skonstruował historię, która uratowała

nas obu. Od czasu do czasu przychodziłem mu z pomocą. A on wbijał mi pewne szczegóły do głowy. Oto co mi powiedział:

Kiedy matka podała mi nazwisko Edwarda Rineharta, dowiedziałem się, że w roku 1958 został aresztowany i zginął podczas więziennego buntu. Suki Teeter powiedziała mi więcej. To także nie zaspokoilo mojej ciekawości, więc poprosiłem Hugh Coventry'ego, żeby sprawdził akt własności domów na Buxton Place; zauważyłem, że właściciele noszą nazwiska bohaterów z opowiadań ulubionego autora Rineharta. Odwiedziłem te domy i spotkałem się z Earlem Sawyerem, który mnie wpuścił do środka. Sawyer dowiedział się, że zamieszkałem w „Brazen Head”, powiedział, że mieszka nieopodal i podał mi swój adres. Następnego dnia wieczorem jakiś nieznany mi mężczyzna zadzwonił do mnie z lobby hotelu i oznajmił, że ma zaginione rodzinne fotografie Dunstanów. Nie chciał zdradzić, w jaki sposób je zdobył, ale zapytał, ile są dla mnie warte. Zgodziliśmy się na sto dolarów. Zszedłem na dół, zauważyłem go z daleka i poszedłem za nim na Veal Yard.

- Jak wyglądał? - spytałem.

W ciemnościach wyglądał na mężczyznę rasy białej, wzrost metr siedemdziesiąt lub metr siedemdziesiąt pięć, waga około osiemdziesięciu kilo. Miał ciemnogrnatową lub czarną kurtkę na suwak, ciemne spodnie i rękawiczki. Przyniosłem zdjęcia do pokoju i zauważyłem swoje podobieństwo do Howarda Dunstana. Po pogrzebie mojej matki Rachel Milton poradziła, żebym przyjrzał się zdjęciom będącym pod opieką Hugh Coventry'ego, lecz nie przedstawiającym Dunstanów, które już znajdowały się u mnie. Poszedłem do biblioteki i dowiedziałem się, że teczka Hatchów zaginęła tuż po wizycie pani Hatch oraz moich ciotek.

Przyszło mi do głowy, że ciotki mogły zabrać zdjęcia Hatchów, żeby je wymienić na nasze. Później znalazłem je w domu cioci Nettie.

Podobieństwo młodzieńca - jak odgadłem, Cordwainera Hatcha - do Howarda Dunstana i mnie nasunęło mi przypuszczenia co do prawdziwej tożsamości Edwarda Rineharta.

Odwiedziłem panią Hatch i wdałem się w utarczkę z pijanym Stewartem. Po powrocie do hotelu przyszło mi do głowy, że mógłbym zadzwonić do Earla Sawyera i spytać, czy zechciałby się przyjrzeć paru starym zdjęciom. Mógłby nieumyślnie zdradzić jakiś drobiazg, który doprowadziłby mnie do jego pracodawcy. Jego nazwiska nie było w książce telefonicznej, toteż przez pół dnia snułem się po uliczkach, szukając adresu, który mi podał, aż wreszcie znalazłem się przed zrujnowanym domem. Uświadomiłem sobie, że przez pół dnia nic nie piłem, i poczułem ogromne pragnienie. A stałem przed domem Sawyera. Zapukałem. Sawyer cofnął się na mój widok, ale kiedy wyjaśniłem, w jakiej sprawie przyszedłem, bez oporu wpuścił mnie do środka.

Udałem, że nie dostrzegam warunków panujących w jego pokoju. Sawyer powiedział, że wie, iż jego mieszkanie jest niechlujne, ale jeśli on może w nim mieszkać na okrągło, ja mogę wytrzymać parę minut.

- Rozumie pan? - spytał Mullan. - Jeśli ja mogę mieszkać w nim na okrągło, ty możesz wytrzymać parę minut.

- Dlaczego to takie ważne?

- Bo jest na tyle charakterystyczne, że brzmi prawdziwie.

Sawyer wprowadził mnie do salonu. Zachowywał się dziwnie, jakby z podszytą rozbawieniem galanterią, która nieco zalatywała histerią. Poprosił o zdjęcia. Podałem mu kopertę i powiedziałem, żeby przyjrzał się zdjęciu młodego Howarda Dunstana. Zrobił to, lecz go nie rozpoznał.

Podałem mu zdjęcia Hatchów. Sawyer przejrzał fotografie z niekłamanej ciekawością. Znowu spojrzął na zdjęcie Howarda Dunstana

i położył je koło wizerunku Cordwainera Hatcha. Był nieco zbity z tropu. Spytałem, czy ma wodę mineralną; oddał mi obie koperty i poszedł do kuchni. Podążyłem za nim, chcąc się upewnić, czy nie przyniesie mi wody z kranu i czy szklanka będzie czysta.

Sawyer, nie spodziewając się, że za nim idę, odgarnął śmiecie sprzed lodówki. Zauważyłem nad stołem zdjęcie i podszedłem, żeby się mu bliżej przyjrzeć. Zobaczyłem, jak Earl potraktował osoby na fotografii, i odgądnęłam, że mam przed sobą Cordwainera Hatcha.

Wówczas mój gospodarz odwrócił się i spytał, co robię. Wskazałem na chłopca w koronie i z płonącym sercem i powiedziałem: „To ty”.

- I co z tego? - odparł. - Już dawno przestałem być Cordwainerem Hatchem.

- Proszę powtórzyć - zarządził Mullan.
- Już dawno przestałem być Cordwainerem Hatchem.
- A potem powiedział pan: „Wróciłeś do Edgerton jako Edward Rinehart i czy o tym wiesz, czy nie, jestem twoim synem”. Proszę powtórzyć.

Earl Sawyer przyjął tę wieść bez zaskoczenia. Skinął głową, przyglądając mi się z nieco histerycznym ożywieniem, które już u niego zaobserwowałem na Buxton Place.

- Pewnie tak. I co z tego? Nigdy cię nie chciałem - powiedział.

Chciałem wyjść z kuchni i wrócić do hotelu, by napić się czystej wody z czystej szklanki. Sawyer poszedł za mną, mówiąc:

- Chcę ci coś pokazać.

Otworzył tylne drzwi.

- Tyle jestem ci winien.

Wszedłem w ślad za nim w wąski, kręty zaułek.

Mullan otworzył tylne drzwi i powiedział:

- Proszę za mną.

Zanurzył się w maleńką uliczkę pełną niespodziewanych zakrętów pod niespodziewanymi kątami. Szedł nią ze swobodą zrodzoną z długiego doświadczenia.

- Wie pan, co to jest?

- Horsehair*.

* *Horsehair* (ang.) - końskie włosie.

- A dlaczego się tak nazywa?

- Pewnie dlatego, że jest taka wąska.

- Dobrze wytłumaczenie - powiedział Mullan, nie wyjaśniając, czy mam rację. Skręcił w ulicę dwa razy szerszą od Horsehair. Jego sylwetka, ledwie widoczna w mroku, znieruchomiała. Ulica rozszerzyła się na prawo i zakończyła ceglana ścianą. Tutaj Horsehair miała swój koniec; nie, jak sądziłem, w jednym z zaułków Hatchtown, lecz na tej zniemacka uciętej uliczce pomiędzy ceglany murem i chylącą się ku upadkowi fasadą od dawna zapomnianej odlewni. Na murze widniał napis „Rzeźnik”.

- Wie pan, co robili tutejsi rzeźnicy?

Nie wiedziałem.

Machnął ręką w stronę budynku, który brałem za odlewnię. W szerokich podwójnych odrzwiach znajdowały się szybki, jak w starych drzwiach stajni na Buxton Place. Mullan naparł ramieniem na jedno skrzydło; zadygotały. Weszliśmy do podłużnego, szerokiego pomieszczenia z hakami na ścianach. Na środku klepiska znajdował się okrąg mający jakieś dwa metry średnicy. W nos załaskotały mnie jakieś zimne, gryzące opary. Kichnąłem.

Mullan podszedł do studni.

- Sto lat temu przyprawiano tu stare konie. Te podwójne drzwi miały się im kojarzyć ze stajnią. Rzeźnicy zabijali niezdolne do pracy konie i robili klej z ich kopyt. Niektórzy zdierali im skóry i wysyłali

do garbarni. Tu, w Edgerton, obcinali ogony i grzywy, które sprzedawali perukarzom i wytwórciom materaców. Kiedy koń wchodził do środka, ogłuszacz - tak go nazywano - uderzał go młotem w czoło. Koń padał, a wtedy człowiek zwany dźwigaczem podnosił go za pomocą tego urządzenia. - Wskazał zwisającą z sufitu długą, na wpeł przegniłą linę na bloczkach. - Obcinano mu grzywę i ogon, a dźwigacz wieszał ciało konia na haku. Kiedy nadchodziła pora, znowu je podnosił, przesuwając nad studnię i opuszczał w dół. A studnia... studnia sama pozbywała się szczątków.

- Jak bardzo jest głęboka? - Spojrzałem w nieruchomą lśniąca czerń jakieś dwadzieścia centymetrów od krawędzi studni.

- Wystarczająco. W ruchliwe dni rzeźnicy wrzucali tu dziesięć, dwanaście koni i żaden nie wypłynął. Nigdy. Jeśli wszystkie ciała, które rzekomo wrzucono do Rzeźnika, naprawdę tam są, to jest im cholernie ciasno.

- Co to jest, kwas?

Mullan poszedł w głąb pomieszczenia i rozgrzebał obcasem ziemię. Pochylił się i podniósł coś wielkości małego bochenka. Wrócił i wtedy zobaczyłem w jego rękach odłamek brukowca.

- Uwaga.

Rzucił kamień do studni. Kiedy brukowiec był tuż nad taflą, wydało mi się, że płyn sięgnął ku niemu. Syczący strumień z głębi studni objął go i cisnął nim jak korkiem; smuga gryzącego dymu podrażniła drogi oddechowe. Do oczu napłynęły mi łzy. Brukowiec wywijał koziołki na powierzchni, już o połowę mniejszy. Wyglądało to tak, jakby ławica piranii nie pozwalała mu zatonać. W ciągu paru sekund kamień stał się wafelkiem, okruszkiem, pyłkiem.

- To jest to, czym chciałby być kwas, jak dorośnie - odezwał się Mullan. - Na początku lat trzydziestych przez parę miesięcy władze miasta usiłowały wprowadzić w czyn doskonały pomysł urządzenia tu punktu likwidacji śmieci. Kiedy wiadomość o tym się rozeszła, zmienili

zдание i zaczęli rozsyłać oficjalne sprostowania. Nieważne, tutaj zaprowadził pana Earl Sawyer. Otworzył te drzwi, pan za nim wszedł, a wtedy on wyjął nóż. Rzucił pan zdjęcia mniej więcej tutaj. - Musnął stopą ziemię. - Zaczęliście walczyć. Popchnął go pan do Rzeźnika, nie wiedząc, co się stanie. I do widzenia. Nie ma ciała, więc to jedyne wytłumaczenie. Sprawdzi się. Nikt nie będzie marnować czasu na szukanie zwłok. A pana musiał tu przyprowadzić ktoś miejscowy, bo inaczej by pan tu nie trafił. Mieszkańcy Edgerton na ogół nie słyszeli o Rzeźniku, a trzy czwarte tych, którzy słyszeli, myślą, że to bajka. Zajmijmy się resztą tej nocy.

Zaprowadził mnie do domu Sawyera i kazał wziąć dziennik.

- Nigdy go nie widziałem. Od tej pory nie istnieje.

Przeszedłem przez śmieci i zabrałem księgę z czystej połaci stołu.

- Co teraz?

- Wrócimy do „Brazen Head” po zdjęcia. Potem zaprowadzę pana na posterunek, gdzie prawdopodobnie będzie pan przesłuchiwany aż do świtu. Pamięta pan swoje kwestie?

- Chyba tak.

- Mamy jeszcze czas, żeby je powtórzyć. Chce pan jeszcze coś zrobić?

- Lepiej zadzwonię do C. Clayтона Creecha.

- Pan i Stewart Hatch.

Mullan zamknął drzwi i wyłączył światło gestem, który jakby parodiował codzienne domowe czynności.

129.

W sali przesłuchań, w której porucznik Rowley wyjaśnił mi, że jest moim najlepszym przyjacielem, powtórzyłem sen kapitana Mullana widowni liczącej od dwóch do tuzina osób, raz za razem, jak katarynka, jak Szeherazada, która zna tylko jedną opowieść i będzie ją powtarzać do skutku. Przedemną, demonstrując zaciekawienie, podejrzliwość,

obojętność lub zmęczenie, zasiadali policjanci i policjantki w oficjalnych garniturach, mundurowi policjanci starsi ode mnie o dwa pokolenia, którzy palili bohatersko papierosa za papierosem i znużeni patrzyli cynicznie na stół zamiast na mnie, zastępca burmistrza, rzeczniczka prasowa wydziału policji, która poprawiała włosy i mrugała do lustra weneckiego, szef policji oraz dwóch tajemniczych panów o pergaminowych twarzach, którzy wyglądali jak przeznaczeni do odstrzału kremlowscy działacze. Dla nich wszystkich śpiewałem piosenkę kapitana Mullana, który na ogół przysłuchiwał mi się z kąta pokoju. Tuż przed wschodem słońca zostałem objęty programem ochrony świadków lub czymś w tym rodzaju i zaprowadzono mnie do celi. O wpół do ósmej obudził mnie szcęk drzwi. C. Clayton Creech, otoczony zwykłą atmosferą ożywienia po relaksującej przechadzce po cmentarzu, wpłynął do środka, wspaniały w grafitowym garniturze i takim samym filcowym kapeluszu, z czarną, podniszczoną aktówką w ręce. Przysiadł w stopach mojej pryczy i przyjrzał mi się w sposób nasuwający skojarzenia z pewnym rodzajem uczucia.

- Dziękuję za polecenie moich usług pan Hatchowi - powiedział. - Stewart trochę zbyt późno się do mnie zgłosił, ale zrobię, co w mojej mocy. A na weselszą nutę: wkrótce wyjdzie pan z tego szamba. - Przybrał wygodniejszą pozycję, nie robiąc żadnego dostrzegalnego gołym okiem ruchu. - Oficjalnie uważa się, że usunął pan z Hatchtown pasażerka i dowiódł gorącej chęci współpracy z policją.

- Miło usłyszeć. A nieoficjalnie?

- Niektórzy żywią wątpliwości co do tego anonimowego osobnika, który wymienił zdjęcia na pięć podobizn Andrew Jacksona. Mówię o tym z prawdziwą przykrością.

- Widzę.

- Nieznaczną pociechę przynoszą dwie sprawy. Po pierwsze, ze względu na poparcie, jakiego udziela panu nasz dowódca policji, owi panowie nie mogą działać zgodnie ze swoimi przekonaniem. Po drugie,

pan Stewart Hatch nie podważa twierdzenia, jakoby był pan nieślubnym synem jego wuja Cordwainera. Najwyraźniej fotografie, które przedłożył pan do oceny naszym funkcjonariuszom, stanowią niezbity dowód.

- Stewart od początku o tym wiedział.

- To, co pan Hatch wiedział lub nie, nie ma znaczenia dla naszej rozmowy.

Usiadłem i oparłem się o ścianę.

- A co ma?

- Fakt, iż pan Hatch przyznał się do tego, że wie. Jako że pani Hatch nie zgodziła się zeznawać na jego korzyść, Stewart nie chce już podważać pańskich roszczeń do dziedziczenia rodzinnego funduszu.

- Roszczeń? Nie chcę tych pieniędzy. Nigdy nie twierdziłem, że chcę.

- Mówimy o roszczeniach w znaczeniu prawa czy tytułu, nie żądania czy domagania się.

Stewart coś knuł; myślał, że zatrzymam te pieniądze dla siebie. Bez wątplenia w tym spisku maczał palce Creech - z tą samą obojętną, pozabawioną uczuć wprawą, którą wnosił do wszystkich swoich poczynań.

- Jeśli Stewart zostanie skazany, fundusz przechodzi na Cobbiego - oznajmiłem. - Nie pomogę mu okraść syna.

Creech wykazał się nadzwyczajną cierpliwością.

- Pan Hatch został wyeliminowany z łańcucha pokarmowego. Mogę mu pomóc na wiele sposobów, lecz nie uchronię go przed wyrokiem. Sytuacja wygląda następująco: gdyby został pan usunięty - na przykład gdyby trwał pan w nieświadomości, kto jest pańskim ojcem - Cobden Carpenter Hatch odziedziczyłby rodzinny fundusz, to pewne. Jednakże w tym stanie rzeczy w świetle prawa należy się on panu.

Uznałem, że Creech nie jest winny spiskowania. Stewart popełnił elementarny błąd.

- Stewart zapomniał, że warunek, który go wykluczył, eliminuje również mnie. Cordwainer Hatch został dwukrotnie skazany. Jeśli on wypada, to ja też.

- Warunek, o którym pan wspomina, nie dotyczy Cordwainera. Jego brat, Cobden Hatch, w maju 1968 roku zmienił warunki dziedziczenia funduszu. Poprawka nie działa wstecz.

- Co to znaczy?

- Że nie ma zastosowania do czynów popełnionych przed majem 1968.

- Wolne żarty.

- Rzadko żartuję. Nie jest mi z tym do twarzy. - Założył nogę na nogę, skrzyżował ręce i zmienił się w ścisły, samowystarczalny paku- nek. Uśmiechnął się jak jaszczurka. Wyraźnie pławił się w creechobło- gości.

- Przed wizytą w tej zachwycającej instytucji miałem przyjemność odbyć długą rozmowę telefoniczną z panem Parkerkem Gillespiem, zarządcą majątku Hatchów. Pan Gillespie jest dżentelmenem o poryw- czym charakterze. Nasza uroczą historyjka nie obudziła jego sympatii, lecz nie starał się jej podważyć. Cobden Hatch chciał sprowadzić syna na dobrą drogę za pomocą wypróbowanej metody kija i marchewki. W 1968 roku jego brat został uznany za zmarłego, co było dla wszystkich bardzo wygodne. Cobden Hatch nigdy nie brał pod uwagę, że fundusz mógłby trafić w ręce kogokolwiek oprócz jego rodzonego syna. A jed- nak możemy uznać, że Stewart Hatch połapał się, co się święci, ledwie na pana spojrzął. Cordwainer był pierworodnym jego ojca; pan był jego synem; fundusz należał się panu. Nieślubne pochodzenie nie miało nic do rzeczy z warunkami dziedziczenia. Cordwainer Hatch był synem Carpentera i Ellen Hatchów. Na jego metryce figuruje nazwisko Car- pentera. W świetle prawa był on jego synem.

- Na mojej metryce figuruje nazwisko Donalda Messmera.

- Ponieważ Stewart przyznał, że to wie, nie ma to żadnego znacze- nia. Niech się pan z tym pogodzi, pieniądze Hatchów przejdą w pańskie ręce.

- Nie wierzę.

- Poprzednio też pan nie wierzył.

Jaszczurczy uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Od czasu do czasu mam obowiązek poinformować pana o znacznym spadku. Zdaje się, że w pańskim życiu pisana mi jest rola niebiańskiego posłańca.

- Przepraszam. Za ten pierwszy raz.

- Ze względu na życzenie Carpentera Hatcha, by dostępne jego spadkobiercom finanse nie mogły ulec ograniczeniu, cała kwota przechodzi w pańskie ręce nienaruszona. Prywatnie pragnę wyznać, że wyjątkowy widok tak wspaniale przygwożdżonej rodziny Hatchów budzi we mnie jedynie radosne odczucia.

- O jakiej kwocie mówimy?

- Pan Gillespie szacuje obecną wartość majątku na dwadzieścia do dwudziestu pięciu milionów, ostrożnie licząc. Pan Gillespie skontaktuje się dziś z panem i z pewnością doradzi panu dalsze korzystanie z jego usług. Spodziewałbym się mrozącego krew w żyłach opisu czekającej pana żalosnej sytuacji w razie, gdyby pan odmówił.

- Chyba będę musiał z nim porozmawiać - powiedziałem, czym go szalenie rozbawiłem.

- W tym czasie przygotuję dokumenty niezbędne do oddzielenia pana Gillespiego od funduszu i prześlę je panu pocztą kurierską do Nowego Jorku. Jeśli pan sobie życzy, dokonam pewnych badań, by się przekonać, czy mój kolega podał panu rzeczywistą kwotę.

- Ile mnie to będzie kosztowało?

- Otrzyma pan rozliczenie według mojej zwyczajowej stawki dwustu dolarów za godzinę. Jeśli to panu odpowiada, proszę po powrocie do Nowego Jorku przesłać faks panu Gillespiemu, zobowiązując go do przesyłania mi kopii wszelkich kierowanych do pana pism. Mój szacowny kolega z pewnością zanieczyści spodnie. Szacuję, że za te dwieście dolarów na godzinę zyska pan od dwóch do trzech milionów.

- Panie mecenasie - powiedziałem - jest pan moim bohaterem.

- Pańskie pieniądze będą miały troskliwą opiekę. A ponieważ lepiej

od pana Gillespiego znam pański temperament, proszę mnie od razu poinformować, jak wielką sumę zamierza pan roztrwonić.

Uśmiechnąłem się, ale mi się nie zrewanżował. Siedział na brzeжку mojej pryczy, żyłasty, w nieokreślonym wieku, w bezosobowym graficznym garniturze i czekał na odpowiedź.

- Chcę się zatroszczyć o Cobbiego Hatcha.

- Zamierza pan ustanowić fundusz na jego edukację oraz przyznać jego matce rozsądną roczną kwotę pozwalającą na prowadzenie wygodnego życia czy też chce pan go uczynić bogaczem?

- Dostanie połowę kwoty.

- Jest pan konsekwentny. Spodziewałem się, że podzieli pan całą sumę na kilka równych części. Czy mogę coś zasugerować?

Skinąłem głową.

- Zalecam ustanowienie funduszu podobnego do funduszu Hatchów, który zapewni chłopcu co roku pewną sumę wraz z oddzielną kwotą dla matki. W wieku dwudziestu jeden, dwu, pięciu, trzydziestu lat, jakkolwiek pan postanowi, chłopiec otrzyma resztę sumy. Zanim skończy dwadzieścia jeden lat, kwota narosnie do wartości pierwotnego funduszu.

- Jak długo potrwa przygotowywanie dokumentów?

- Mniej więcej tydzień.

- To do roboty. - Zastanowiłem się nad szczegółami. - Niech Cobbie dostanie jedną czwartą w wieku dwudziestu jeden lat, kolejną jedną czwartą jako dwudziestoczwololatek, resztę po ukończeniu trzydziestki. Pani Hatch ma dostawać rocznie dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Skinąłem głową.

- Kwota będzie wypłacana z funduszu ustanowionego dla jej syna. Ta decyzja, niezwykle wspaniałomyślna, pociąga za sobą konieczność mojej stałej partycypacji. Mam wrażenie, że wolałby pan, żebym wysyłał rachunki za moje usługi panu, nie pani Hatch i jej synowi.

- Zechce pan wysłać do pani Hatch list streszczający moje postanowienia?

- Oczywiście. - Creech wyprostował się i usiadł z dłońmi między kolanami, co uznałem za pozycję zwiastującą odejście. Tymczasem wyjął z aktówki plik papierów i wręczył mi go ze spojrzeniem zabarwionym odrobiną dezaprobaty.

- Oto dokumenty dotyczące obligacji finansowych państwa Crothers w związku z Domem Pogodnej Starości Mount Baldwin. Zgodnie z naszą umową miał je pan podpisać wczoraj w mojej kancelarii, ale nie szkodzi, przyniosłem je tutaj. Pani Crothers nie może się znaleźć na bruku.

Przeprosiłem i podpisałem dokumenty, które znikły w aktówce. Creech odchylił się do tyłu, unikając jednakże kontaktu ze ścianą.

- Czy do wczoraj wiedział pan o Rzeźniku?

Zadał to pytanie tonem sugerującym, że nie ma ono większego znaczenia.

- Słyszałem, jak jeden chłopiec z Hatchtown o nim mówił, ale nie wiedziałem, o co chodzi.

- Czy wiadomo panu, że miasto używało go niegdyś jako śmietnika?

Powiedziałem, że kapitan Mullan o tym wspomniał.

- Jakiś tydzień po wprowadzeniu tej decyzji w czyn mieszkańcy Hatchtown zaczęli gwałtownie i na niespotykaną dotąd skalę zapadać na zdrowiu. Grypy, rozstrój żołądka. Przez pierwszy miesiąc sześć osób zmarło w wyniku nieznanych chorób. Pod koniec drugiego znacznie wzrosła liczba uszkodzeń okołoporodowych. Pod koniec trzeciego opinia publiczna doprowadziła do zaprzestania tych praktyk. Gdy jako dziecko mieszkałem na Leather Lane, słyszałem o noworodkach, które przychodziły na świat ślepe, głuche, opóźnione umysłowo, ze zdeformowanymi lub brakującymi kończynami bądź też ze wszystkimi tymi przypadłościami. Pierwotna działalność ustała dawno temu. Właściciele terenu otworzyli na nim plac targowy.

Milczałem.

- Przypuszczam, że Hatchowie wiedzieli, że to, co się znajduje w tej studni - niezależnie od tego, czy to oni to w niej umieścili, czy też nie

- w końcu przesączy się do ujęć wody. Po dziś dzień mieszkańcy Hatchtown piją tylko wodę mineralną.

- Zauważyłem.

- Jeśli Cordwainer Hatch zginął w Rzeźniku, miał zaszczyt spotkać kilku moich dawnych klientów. - Creech chwycił aktówkę i wstał, wydając zgrzytliwy dźwięk, w którym rozpoznałem creechochichot dopiero wtedy, gdy prawnik podszedł do drzwi i zawołał strażnika.

Jakiś kwadrans później funkcjonariusz policji odprowadził nas do holu. Na widok Creecha paru gliniarzy odwróciło się do nas plecami. Wyszliśmy na zewnątrz; był pochmurny poranek, jakieś dziesięć stopni chłodniejszy od poprzedniego dnia. Po rynku snuły się jęczory mgły. Palce lekko dotknęły mojego łokcia, jakby uświadamiając mi nowo odzyskaną wolność. Na ławce koło fontanny spod sterty koców zaślśniły złote włosy Goata Gridwella.

- Dziękuję, mecenasie - powiedziałem i przekonałem się, że Creecha już nie ma.

130.

Szedłem ulicami wśród wirujących smużek mgły. Dove, Leather, Mutton, Treacle, Wax, z każdym krokiem spodziewałem się stukotu obcasów, cichego śmiechu, które zdradziłyby obecność Roberta za moimi plecami. Wiedziałem, co zrobił i dlaczego. A Robert wiedział, co ja zrobiłem - nie mogliśmy dłużej mieć do siebie pretensji. Zagrożenie ze strony istoty, którą znałem jako pan X, zostało radykalnie usunięte. To ja tego dokonałem, ja pokonałem wroga. Robert i ja osiągnęliśmy równowagę, pomyślałem i postanowiłem go poinformować, że oddałem połowę fortuny, na jaką ostrzył sobie zęby. Nawzajem uratowaliśmy sobie życie. Skończyliśmy ze sobą.

Znalazłem się na Veal Yard; powiodłem wzrokiem po wąskich kamieniczkach i ciemnej szczelinie za fontanną. Robert był blisko, czekał na odpowiedni moment. Wszedłem do hotelu; ze skórzanego fotela wyfrunęła Laurie Hatch.

Chwyła mnie w objęcia i przytuliła gładki policzek do mojej zaróżnianej twarzy.

- Dzięki Bogu. - Przechyliła głowę, zadrżała mi w oczy. - Jak się czujesz?

- Jeszcze nie wiem.

- Czuje się taka... sama nie wiem. Musiałam cię zobaczyć. Wczoraj cały świat wywrócił mi się do góry nogami. Byłam jak odrętwiała. Potem wpadła policja i zaczęły się pytania. Nawet o te fotografie. Rozmawiali z tobą?

- Przez całą noc.

- I wypuścili cię. Nie masz kłopotów.

- Wszystko gra.

Oparła mi głowę na piersi. Spojrzałam na gapiącego się na nas zachłannie recepcjonistę, który czym prędzej schował się za kontuarem.

- Przepraszam, że ci to zrobiłem. To był błąd.

- Nie, Ned, nie. - Dotknęła mojego policzka. - To nie błąd. Boże, tak się martwiłam, nie wiedziałam, czy wszystkiego nie zepsułam. Nie spałam przez całą noc. Chciałam, żebyś był przy mnie.

Poszliśmy na górę, trzymając się za ręce. Kiedy drzwi się za nami zamknęły, Laurie przywarła do mnie całym ciałem.

- Od kiedy wiedziałaś?

- Co? - Jej przyciśnięte do mojego ramienia usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Czy kiedy mnie zobaczyłaś po raz pierwszy, wiedziałaś, kim jestem?

Omal nie uderzyła mnie głową w brodę. Odsunęła się parę centymetrów.

- Skąd miałam wiedzieć?

- Stewart wykluczył cię z komitetu, bo nie chciał, żebyś zobaczyła zdjęcia, które ci wczoraj pokazałam.

- Co tam Stewart. Myślisz, że cię rozpoznał?

- Staram się to ustalić.

Cofnęła się jeszcze o krok.

- Stewart interesuje się swoją rodziną sto razy bardziej niż ja. Nie pamiętam, ile uwagi poświęcałam tym zdjęciom. Przejrzałam je, jeśli o to ci chodzi. Może w szpitalu twoja twarz wydała mi się znajoma, ale nie wiedziałam dlaczego.

- A dwa dni później nie zadzwoniłaś do Parkera Gillespiego?

- Oczywiście, że zadzwoniłam! - Rozłożyła ręce. - Przyjechała Ashleigh, nie pamiętasz? Niepokoiłam się, co się stanie z Cobbiem, jeśli Stewart pójdzie do więzienia. To naturalne, że chciałam porozmawiać z zarządcą majątku. Ned, nie unieszczęśliwiaj nas obojga.

Pocałowałam jej dłoń.

- Nikogo nie chcę unieszczęśliwić. Chcę tylko poznać prawdę. Opowiedz mi o niej. Nazajutrz po tym, jak zrobiłaś wszystko, żebyśmy odnalazł Edwarda Rineharta, chciałaś też, żebyśmy zapomnieli o wszystkim.

Położyła mi rękę na biodrze.

- Kochanie, sam mi powiedziałeś, że uważasz się za zagrożenie dla Cobbiego i mnie.

- Pewnie nie wiesz o Grenville'u Miltonie?

Jej oczy pociemniały.

- Wczoraj wieczorem kupił dwa bilety pierwszej klasy do Meksyku i uciekł do motelu na Cape Girardeau. Zabrał ze sobą sto trzydzieści tysięcy dolarów i broń. Błagał swoją kochankę, żeby z nim pojechała. Odmówiła, a on się zastrzelił.

Przez oczy Laurie przemknął cień myśli precyzyjnej jak twierdzenie Euklidesa. Podeszła do stołu, dotykając ust wskazującym palcem.

- Stewart już wie?

- Prawdopodobnie dlatego zadzwonił do C. Clayтона Creecha.

- Zamierza zrujnować tyle osób, ile się da. Pociągnie na dno każdego, kto miał z nim coś wspólnego. - Usiadła - niemal ciężko - na krześle, na którym kapitan Mullan rozpoczął powolną drogę do wiarygodnej

wersji wypadków. - Zniszczy wszystko.

- Na przykład fundusz Hatchów.

Zniknął ledwie zarysowany uśmiech, jaki pojawił się na jej twarzy na myśl o destrukcyjnej namiętności męża. Laurie założyła nogę na nogę i czekała na to, co miałem powiedzieć. Oczywiście miała przejrzyste jak górski strumień.

- Zadzwoił do Parkera Gillespiego - powiedziałem. - Nie mógł wiedzieć, że rozmawiałem o Cordwainerze Hatchu z policjantem nazwiskiem Mullan. Chciał tylko wszystko zniszczyć.

- Chciał zniszczyć mnie.

- Powiedział, że zrzeka się roszczeń do funduszu. Powiedział Gillespiemu, że dowiedział się o istnieniu prawowitego spadkobiercy, Neda Dunstana, nieślubnego syna starszego brata jego ojca. Cobden Carpenter Hatch trochę na tym ucierpi, ale Stewart nie może ukrywać prawdy. Tak to jakoś ujął.

Laurie przesunęła się i zauważyła schludny napis na blacie. Przeciągnęła po nim palcami, tak jak Mullan. Gdzieś głęboko we mnie odezwała się Star: *Zagłębiał się w tę melodię coraz bardziej, aż otworzyła się jak kwiat i wysypały się z niej dziesiątki innych melodii, które stawały się coraz to bujniejsze i bujniejsze...*

- Niewiele wiem o Cordwainerze - powiedziała Laurie. - Czy przypadkiem strasznie dawno temu nie aresztowali go za coś?

...a ty byłeś ze mną, rosłeś we mnie, a ja myślałam, że to tak, jakby rodziło się jedno piękne dziecko po drugim.

- Warunek dotyczący niekaralności nie dotyczy Cordwainera. Cobden Hatch dodał go pod koniec lat sześćdziesiątych.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie jesteś zbyt zaskoczona.

- Pół minuty temu dałeś mi wielką, wyraźną wskazówkę. Ale to nie znaczy, że nie jestem zaskoczona. Pan Creech obgadał to z Gillespiem? Nie ma żadnego wątpliwości?

- Stewart wiedział, co robi. Myślałaś o tym, kiedy rozmawialiśmy o przeprowadzce do Nowego Jorku?

Długo milczała.

- To było podłe.

- To nic złego, że chcesz zapewnić Cobbieniu to, co miał dostać.

- Powinien to dostać. - Spojrzała na mnie prosząco. - Ned, ciągle jeszcze nie przetrzymałam tego, co mi powiedziałeś, i nie miałam czasu zastanowić się, jak to wpłynie na naszą sytuację, ale musisz wiedzieć, że to nie w porządku. Nie zgodzisz się ze mną? Dwadzieścia cztery godziny temu nie miałaś pojęcia, że wuj Stewarta był twoim biologicznym ojcem. On sam nie chciał tego spadku. Nawet nie był Hatchem!

- W świetle prawa był.

- Ale ty - ty, Ned Dunstan - nie jesteś taki jak Stewart. Chcę, żebyśmy razem zamieszkali w Nowym Jorku. Byłbyś dla Cobbiego o wiele lepszym ojcem niż Stewart. To prawda. A ja cię kocham. Nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy być razem. Ale Cobbie ma większe prawo do funduszu niż ty. Rozumiesz to, prawda?

- To, co rozumiem, nie ma żadnego znaczenia. W świetle prawa Cobbie nie może się domagać tych pieniędzy. Zanim zaczniemy rozmawiać o naszym dalszym życiu, musisz się pogodzić z obecną sytuacją.

Nieustannie wbijała we mnie spojrzenie.

- A gdyby Grennie się nie zabił? Co by było, gdyby Stewart nie zadzwonił do Parkera Gillespiego?

- Znasz odpowiedź. Wróciłbym do Nowego Jorku i czekał na ciebie. Myślałem, że tego chciałaś.

- Nadal tego chcę.

- Ale gdyby Stewart nie zadzwonił do Parkera Gillespiego, ten znalazłby się w wielkim kłopotcie. Dziś po południu całe Edgerton dowie się, że prawdziwe nazwisko Sawyera brzmiało Cordwainer Hatch, a ja jestem jego synem. Jak sądzisz, co zrobiłby Gillespie?

- Wyjawiłby prawdę. To oczywiste. Nie wiem, czy od razu, ale na pewno nie zwlekałby dłużej niż kilka godzin. A potem uczcilibyśmy to w „Le Madrigal”.

- Jak szczęśliwa rodzina.

- Czy nie to się liczy najbardziej?

- Nawet Stewart znał mnie lepiej niż ja sam. Ty też od razu mnie przejrzałaś.

- Zobaczyłam najbardziej interesującego mężczyznę, jakiego udało mi się spotkać od dawna. Zaczęłam się w tobie zakochiwać już w czasie kolacji z Ashleigh. Wiesz, co zrobiłeś? Powiedziałeś Grenniemu, że jest palantem, rozumiałeś moje poczucie humoru i byłeś przy mnie, Ned, patrzyłeś na mnie tymi niewiarygodnie brązowymi oczami i byłeś przy mnie. Nie osądzałeś mnie, patrzyłeś mi w twarz, nie na piersi, i nie usiłowałeś odgadnąć, jak szybko zaciągniesz mnie do łóżka. Fascynacja nowym facetem to było ostatnie, czego potrzebowałam, ale byłam bezradna. Ashleigh w dziesięć sekund zorientowała się, co się dzieje. Jeśli mi nie wierzysz, jesteś głupi.

- Zakochałem się w tobie w sklepie z upominkami w szpitalu. Kiedy Creech powiedział mi o funduszu, spytał, ile chcę rozdać. On też mnie przejrzał, ale dla C. Clayтона Creecha ludzie nie mają tajemnic. - Powiedziałem jej o podziale pieniędzy i ustanowieniu nowego funduszu dla jej syna. - A tymczasem będziesz dostawać dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, wypłacanych z jego pieniędzy.

W lśniącej tarczy jej twarzy nic się nie zmieniło.

- Nie sądzisz, że powinniśmy to jeszcze przedyskutować?

- Byłem w areszcie, Laurie. Creech przyszedł do mnie na jakiś kwadrans przedtem, nim mnie wypuścili. Zrobiłem to, co uznałem za słuszne.

- Creech ci wmówił, co według niego jest słuszne. Jeszcze nie jest za późno na zmiany. - Promieniując najczystszym, szczerym rozsądkiem, wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń, jakby trzymała w niej kulę ziemską.

- Creech o nas nie wie. I nie wie, jak jest w Nowym Jorku. Niby skąd? Mieszkanie, którego mi potrzeba, kosztuje do dwóch milionów. Będę musiał organizować przyjęcia, spotykać się z odpowiednimi ludźmi, robić pewne rzeczy. Będziemy potrzebować nauczycieli, guwernerów i lekcji w Europie. Ile potrzebujesz na życie? Trzy miliony? Pięć? Reszta może iść na Cobbiego, pod warunkiem że będę dostawał rocznie od pięciuset do ośmiuset tysięcy. Możemy być razem. Jeśli weźmiemy ślub, będzie tak, jakby fundusz nie został podzielony.

- Chcesz zawrzeć intercyzę przedmażeńską?

Odchyliła się i przyjrzała mi się wzrokiem nie tyle szacującym, ile raczej rewidującym poprzednią ocenę, choć nie załatywało od niej chłodem czy wyrachowaniem. To spojrzenie przemawiało w jej obronie - określało przyczyny jej ogromnej atrakcyjności. W jej oczach malował się smutek zabarwiony ironią; uderzyło mnie, że nigdy nie podejrzewałem istnienia smutnej ironii. Poczulem, że przyszłość otwiera się na niuanse, na które nie mam wpływu. W tamtej chwili nie mogłem zaprzeczyć istnieniu tego, co wydawało się główną zasadą jej życia, co w świecie dojrzałych emocji znaczyło więcej niż głębia. Aura Laurie rozciągała się jak wielkie piękne skrzydła. Uważałem tę zdolność za tarczę, lecz nie potrafiła ona odbijać ciosów; raczej przyciągała do siebie, a wszystko, co pochłoneła, dodawało jej sił. Laurie siedziała przede mną, promieniując inteligencją.

- Nie znoszę intercyz - powiedziała. - Jak można tak rozpoczynać małżeństwo? To tak, jakby się kupowało udziały w koncernie Coca-Coli. - Jej uśmiech miał w sobie nieprzeniknioną tajemnicę. - Myślę, że najlepsza będzie dla nas Filadelfia. Jest tańsza od Manhattanu, a Curtis Institute to świetna szkoła muzyczna. Chodził do niej Lennie Bernstein.

Podobnie jak C. Clayton Creech, zmieniła pozycję, nie robiąc najmniejszego ruchu. Wstała z uśmiechem.

Jej następne słowa wyjaśniły, kogo miała na myśli, mówiąc „nas”.

- Przyjedziesz do Filadelfii, prawda?
 - Lepiej powiedz Posy, żeby przeniosła papiery do tamtejszego uniwerku.
 - Zawsze mogę znaleźć drugą Posy. - Wiedziała, że mną wstrząsnęła. Ten wstrząs był celowym zabiegiem, wyznaczającym początek nowego związku między nami. - Zwłaszcza w Filadelfii. Tylko w Edgerton było ją trudno zdobyć. - Pocałowała mnie w policzek. - Zadzwoń do mnie przed wyjazdem. Muszę znać twój adres i telefon.
- Patrzyłem, jak niespiesznie odchodzi korytarzem.

131.

Nad Veal Yard dryfowały jęzory mgły. Bruk lśnił wilgocią. W szarym świetle budynki wokół placyku wyglądały na bliskie ruiny. Za fontanną na bruku stał czarny damski pantofel na szpilce, z obcasem zaklinowanym między dwoma kamieniami. Wyglądał, jakby właścicielka porzuciła go zaledwie przed chwilą. Odchodząca kobieta, kobieta opuszczająca kogoś tak ostatecznie, że musiała zostawić pantofel... Przypomniałem sobie, jak wymownie Laurie przekraczała próg moich drzwi, jak wyraźnie brzmiał głos Star, opisującej saksofonową solówkę na koncercie, na którym zjawiała się, gdy nosiła mnie w łonie.

Raptem z każdego lśniącego kamienia i smugi mgły przemówiła do mnie rozpacz, a świat stał się jakby głębszy i większy. Rozpacz, pomyślałem, rozpacz jest wszędzie, jak mogłem się spodziewać, że przed nią ucieknę...

W ulicze zamajaczyła znikająca twarz Roberta.

- Robert! - krzyknąłem. - Muszę...

W drodze na Cherry Street nieustannie oglądałem się przez ramię, sądząc, że zobaczę go rozpartego na tylnym siedzeniu, otwierającego usta, by powiedzieć coś dowcipnego i okrutnego, ale kiedy zatrzymałem samochód przed domem Nettie, nadal byłem sam. Było parę minut po dziewiątej. Trójka moich ulubionych krewnych znajdowała się w

kuchni. Wsiadłem z samochodu i spojrzałem w okna domu Joy. Firanki wisiały prosto i nieruchomo. Pora była zbyt wczesna, żeby Joy zajęła swoje stanowisko.

Nettie i May uwijały się przy kuchence, przygotowując jajecznicę, bekon i coś, co pachniało jak kurcze wątróbki. Clark Rutledge uśmiechnął się szyderczo znad miseczki jakichś grudek z cukrem.

- Dobrze, że nosisz tę ładną marynarkę, chłopcze.

Nettie spytała, czy się przyłączę. Powiedziałem, że mogę gotów zjeść konia z kopytami. Usiadłem koło Clarka.

- W radiu powiedzieli, że Grenville Milton zabił się wczoraj w nocy. Chcesz poznać moje zdanie?

- Wal.

- To spisek. Stewart Hatch ma wrogów, którzy nie przestają go oczerniać.

- Pani Hatch musi przechodzić męki piekielne - odezwała się Nettie. - A to taka piękna kobieta. Prawda, Ned?

- Można tak powiedzieć.

May nałożyła na talerze jajecznicę i wątróbki, Nettie wyjęła z piekarnika zawinięty w folię bekon. Clark odsunął pustą miseczkę na środek stołu.

- I pan Hatch został z tym całym interesem. I o to chodziło.

- W dodatku ma żonę i dziecko - dodała May.

- Jego żona i dziecko dostaną od dziesięciu do dwunastu milionów z rodzinnego funduszu - wyjaśniłem.

- Więc będą mieć dach nad głową! Co za ulga - rzekła May.

- A mnie ulżyło na wieść, że i wy macie dach nad głową - odparłem. - Kiedy Stewart Hatch dowiedział się o samobójstwie Milтона, powiedział rodzinnemu prawnikowi, Parkerowi Gillespiemu, o wujku Cordwainerze, więc nie musicie się już o nic martwić.

Nettie i May zabrały się do wątróbek.

- Do jutra wszyscy się dowiedzą, kim był Edward Rinehart - dodałem.

May wzniosła oczy ku niebu.

- To wielka ulga. Może nie przepadam za jedzeniem, ale uwielbiam mówić i milczenie przychodzi mi z trudem.

- O czym tak paplacie, do diabła? - spytał Clark.

- Pan Hatch uwolnił nas od przysięgi milczenia - powiedziała Nettie. - I chyba musimy za to podziękować naszemu chłopcu. Dobrze się spisałeś i jesteśmy ci wdzięczni za wszystkie wysiłki.

- Popieram - mruknął Clark. - Choć żałuję, że pan Hatch wylądował w pudle. Był hojny ponad wszelką miarę.

- Cóż, synku - powiedziała Nettie - nic nie mogliśmy na to poradzić, że znaleźliśmy pana Edwarda Rineharta lepiej od twojej matki.

- Bo wyglądał jak wasz ojciec.

- Nie można było nie dostrzec podobieństwa. Ale my nie mogliśmy jej o niczym powiedzieć. Nie można zdradzać takich rzeczy niewinnej dziewczynie.

Parsknąłem śmiechem.

- Na pewno trudno było zasugerować, że jej chłopiec był nieślubnym synem waszego ojca, nie mówiąc jej tego wprost. Ale skąd, na litość, wiedziałyście, że to Cordwainer Hatch?

- No jakże, dzięki Joy - powiedziała May. - Wiesz, że całymi dniami wysiaduje w oknie. Pewnego wieczora zadzwoniła i mówi do mnie: „May, właśnie zobaczyłam, jak ten nicpoń Cordwainer Hatch wchodzi do domu naszej siostry ze Star pod rękę”. Wtedy właśnie Star przyprowadziła go na spotkanie z rodziną, co nie powtórzyło się nigdy więcej. Włożyłam najlepszy płaszcz i kapelusz i jak na skrzydłach pomknęłam na drugą stronę ulicy. Ledwie wyszli, zadzwoniłam do Joy i mówię: „Joy, może ten młodzieniec faktycznie pochodzi z naszej rodziny, ale nie nazywa się Cordwainer Hatch”. A Joy na to: „Kochanie, bardzo się mylisz. Z pewnością przybrał nowe nazwisko z powodu skandalicznej reputacji”.

- Skąd Joy mogła wiedzieć, że to Cordwainer?

- Przez całe trzy miesiące pracowała w tamtym domu - odparła Nettie. - Miała osiemnaście lat. Był wielki kryzys, wiesz, i chociaż ciągle żyło nam się dość wygodnie dzięki sprzedaży ziem poza miastem, musieliśmy się rozglądać za pracą. Carpenter Hatch szukał porządnej dziewczyny do pracy w domu i Joy się zgłosiła. Powiedziała, że chce się wyrwać z domu, wyobrażasz sobie?

Kiedy teraz się o niej myśli, trudno to sobie wyobrazić.

- I Carpenter Hatch ją zatrudnił? Nie wiedział, kim jest?

- Moim zdaniem podobało mu się, że córka Dunstana zmienia mu pościel i sprząta łazienkę. Joy zaczęła pod koniec października. Cordwainer był wtedy w szkole z internatem. Rodzice musieli go odesłać, wiesz? - Pokiwała głową, udanie naśladując współczucie i smutek.

- Pewnego razu, porządkując szufladę, Joy natknęła się na zdjęcia, które pani Hatch ukryła. Dostrzegła podobieństwo chłopca do naszego zmarłego ojca. Wkrótce potem Joy musiała odejść.

- Hatch ją wyrzucił, bo coś powiedziała? - Potem zrozumiałem, co chciała mi przekazać. - Nie, Joy nie porządkowała, ona modyfikowała zawartość szuflady. Też była sroczką, jak Queenie i May.

- Choć nam nie dorównywała - powiedziała May. - Mimo to pan Hatch nie miał żadnych dowodów. Ale zaczął ją podejrzewać i praca się skończyła.

- Powiedziała wam, co tam widziała, a wyście to sobie zapamiętały. Kiedy odbyliście tę istotną rozmowę ze Stewartem Hatchem?

- Kiedy to było, Clark? - spytała Nettie.

- Około 1984 albo 1985. Pan Reagan był w Gabinetce Owalnym. Jak powiedział, był to poranek Ameryki.

- Pewnie już wam się skończyły pieniądze, które Carpenter Hatch dał wam za dom przy New Providence Road.

- Clark zainwestował w żurawiny - mruknęła Nettie.

Clark poinformował mnie o niezwykle uniwersalnych właściwościach żurawin. Ich sok, zdrowy i przyjemny w smaku, stanowi składnik kilku

popularnych koktajli. Żurawiny w postaci sosu co roku w Święto Dziękczynienia występują na każdym stole w kraju. W tym spisie żurawinowych cnót pobrzmiwała nuta żalu.

- Niestety - dodała Necie. - Przez żurawiny straciliśmy pieniądze.
- Człowieka, z którym robiłem interesy, można nazwać pospolitym zbrojcem - powiedział Clark - choć był słodki jak miód.

- Więc musieliście porozmawiać ze Stewartem Hatchem.
- W celu przedstawienia mu prawdziwej okazji handlowej.
- A jednym z warunków waszej umowy było przyrzeczenie, że nigdy nie wyjawicie tego, co wiecie o Edwardzie Rineharcie.

- Dlatego teraz jesteście tacy szczęśliwi, mogąc znów swobodnie rozmawiać - oznajmiła Nettie. - Potem przyjechałeś i od razu rzuciłeś nam w twarz nazwisko Rineharta, co było prawdziwym szokiem. Nie mieliśmy wyboru, synku, lecz daliśmy ci najlepszą radę, jaką mogliśmy dać.

- Jestem pod wrażeniem. Zaszantażowaliście Stewarta Hatcha i wydusiliście z niego fortunę.

- Szantaż to nie jest ładne słowo. Osiągnęliśmy porozumienie. Wszyscy byli zadowoleni, również pan Hatch.

- Ile wycisnęliście z tego starego oszusta?

Clark po raz pierwszy uśmiechnął się bez najmniejszej nutki szyderstwa.

- Piękną sumkę.

- No myślę. - Pomimo wszystko byłem zachwycony tą trójką starych łobuzów. - Od lat życie z pieniędzy Hatcha, co? Najpierw sprzedaliście ziemię, potem tajemnicę. Jestem z was dumny. Dunstanowie nigdy nie byli praworządnymi obywatelami, ale Hatchowie są o wiele gorsi.

- Neddie... - May odłożyła sztucę na talerz, który lśnił czystością jak wypolerowany. - Teraz, kiedy możemy rozmawiać szczerze i otwarcie, chciałabym ci zadać pytanie. Pan Rinehart, jak się kazał

nazywać, zginął w więzieniu. Nie rozumiem, w jaki sposób odkryłeś jego prawdziwe imię.

- Teraz moja kolej się zwierzyć. Musiałem pożyczyć te zdjęcia, które ciocia Nettie schowała w szafie.

- Czy to nie ciekawe? - powiedziała May. - Muszę powiedzieć, że nigdy nie zrozumiałam, dlaczego pani Hatch poprosiła mnie, żebym je zwędziła z biblioteki. Zresztą poszło jak z płatka. Ci ludzie nie zauważyliby nawet, gdyby im zedrzcę ubranie z grzbietu, zwłaszcza ten pan Covington.

- Pamiętasz, May - wtrąciła Nettie - pani Hatch powiedziała, że Ned wspomniał o naszym talencie, a ona w głębi duszy nabrała przekonania, że dzięki tym zdjęciom zdołamy odzyskać nasze cenne pamiątki.

- Tak, prawda. Tak było. Ale ich nie odzyskałyśmy. Może powinniśmy znowu złożyć wizytę w bibliotece.

- Oba komplety zdjęć mam w samochodzie - powiedziałem. - Zaraz je wam dam. Jeśli je odeślecie Hugh Coventry'emu, będą absolutnie bezpieczne.

- Czy to nie miłe? - rzekła Nettie. - Pani Hatch jest bardzo atrakcyjna. Przypomina mi te dziewczęta, które mówią, patrząc prosto w kamerę: „Dziś tygrysy rozszarpały troje dzieci podczas wycieczki do zoo. Szczegóły po prognozie pogody”. I podobał mi się jej synek.

- Mnie też - powiedziałem.

Nettie odwróciła się do May.

- Widziałam go, kiedy czuwałyśmy przy Star w Świętej Annie. Ależ był komiczny! Wychylił się z wózecka i powiedział: „Nic nie wnioskuję, pani Rutledge”. Nie wierzyłam własnym uszom!

- Powinien występować w telewizji, razem z mamą - mruknął Clark.

- Powiedział: „Nigdzie się...”. Nie, nie tak. „Nie wnioskuję i...”. Jak to było, Neddie?

- „Nigdzie się nie spieszę i nic nie wnioskuję” - odparłem. - Pójdę po te zdjęcia, a potem zajrzę do Joy. Dziś wracam do Nowego Jorku.

- Tak szybko? - May westchnęła. - Och, a wydaje się, że przyjecha-
łeś pięć minut temu.

Clark posłał mi łobuzerski uśmiech i dźwignął się zza stołu.

- Pójdę z tobą.

132.

Schodząc po schodach, Clark posłał mi spojrzenie światowca, kó-
rego nie powstydziliby się Maurice Chevalier. Mgła zmieniła się w
cienki szary welon, przez który wszystko wydawało się bardziej odle-
głe niż w rzeczywistości. Podałem Clarkowi koperty, a on przechylił
głowę z konspiracyjną miną, jakby wokół roilo się od niewidzialnych
oczu i uszu.

- Zgaduję, że coś cię łączyło z panią Hatch.

- Bardzo małe coś - odparłem.

W jego przekrwionych oczach błysnęła ojcowska duma.

- Więc jednak mógłbyś być prawdziwym Dunstanem.

- Być może masz rację. - Przypomniałem sobie o niewidocznych
oczach i uszach i obejrzałem się na dom po drugiej stronie ulicy. -
Wiesz, czy Joy dzwoniła do Mount Baldwin?

- Nie odezwała się od dwóch dni. Skoro już tu jesteśmy, zajrzyjmy.

Joy nie odpowiedziała na pukanie. Zapukałem znowu. Czoło Clarka
pokryło się setkami równoległych zmarszczek.

- Na wypadek kłopotów i innych takich Joy zostawia klucz na ze-
wnątrz. Czekaj. Przypomnę sobie, gdzie go chowa.

Podniosłem słomiankę i wyjąłem klucz.

- Przypomniałem sobie w chwili, gdy się pochyliłeś. Daj.

Otworzył drzwi i zatrzepotał rękami przed twarzą.

- Nie rozumiem, jak ludzie mogą żyć w takim smrodzie. Joy! To ja
i Neddie, syn Star! Jak się czujesz?

Usłyszałem cienki zdławiony dźwięk.

- Słyszysz?

Milczenie i tylko ten pisk, którego Clark nie słyszał.

- Lepiej wejdźmy. - Przekroczyliśmy próg; odór owionął nas ze wszystkich stron.

- Joy? Jesteś tam?

- Zjrzyjmy do salonu - zaproponowałem. Miałem nadzieję, że Joy nie dostała wylewu, wkładając Clarence'a do wanny. Pisk stał się głośniejszy. W salonie Clarence wybałuszył na nas oczy z ulgą i przerażeniem jednocześnie i rzucił się w uwięzi.

- HmMMM! HmMMM!

- Clark, dzwoń do Mount Baldwin i każ natychmiast przysłać ambulans.

- Zrobi się. Ty szukaj Joy. To mi się nie podoba.

Clarence wysyłał za mną wiadomości alfabetem Morse'a. Przeszedłem przez jadalnię i kuchnię. Joy widać brała lekcje gospodarstwa domowego u Earla Sawyera. Miała przed sobą jeszcze długą drogę, ale już zmierzała w stronę etapu lśniącej galarety. Łazienka była nawet standardy Earla.

Włączyłem światło przy schodach; słyszałem, jak Clark wzywa ambulans z Mount Baldwin. Żarówka zamrugła i rzuciła jadowicie żółte światło na wąskie, uchylone drzwi. Clark Rutledge pomstował w salonie. Ze strychu dobiegło głucho łupnięcie, które już tu kiedyś słyszałem. Jakiś ciężki przedmiot stuknął o drewnianą skrzynkę. Przed oczami stanęła mi piłka rozmiaru dyni.

- Poczekam, ale niedługo. To ostrzeżenie!

Zanim zdążyłem dotrzeć na górę, zaczął powtarzać wszystkie informacje od początku komuś innemu. Za drzwiami strychu piłka znowu uderzyła o skrzynkę. Otworzyłem drzwi do końca i zobaczyłem parę trampek noskami opartych o sosnową podłogę i przechylonych. Dwie cienkie nogi ginęły pod czarną spódnicą.

- O, nie - powiedziałem i stanąłem nad ciałem Joy.

Koło jej wyciągniętej ręki leżała taca, łyżka, przewrócona miseczka i zaschnięte resztki rosółu z kluseczkami. Joy była lodowata. Tuż po

spotkaniu ze mną podgrzała puszkę zupy, napełniła nią miseczkę, zniosła na tacy na strych i umarła. Pod ścianą na strychu stała drewniana klatka, a w niej niewielkie łóżko. Do desek na rogach łóżka były przybite płaskie arkusze dykty. Obok, po prawej stronie łóżeczka w klatce, stała prycza przykryta wojskową derką. Coś, co znajdowało się w łóżeczku, tłukło o klatkę.

Przypomniałem sobie imiona na nagrobkach za ruiną domu na New Providence Road. Joy nie z powodu fobii stała się więźniem własnego domu. Razem z Clarence'em padła ofiarą bezlitosnego obowiązku. Nie chciałem o tym wiedzieć. Chciałem zejść na dół i odjechać. Kuzyn mojej matki tłukł w klatkę tak mocno, że obudowa łóżeczka drżała.

Minąłem rozrzucone ramiona Joy oraz rozsypane kluski. Stałem przy łóżku; uderzył mnie niemal namacalny powiew smrodu dna rzeczynego; z wysiłkiem spojrzałem w dół. Na materacu leżało stworzenie o błoniastym, ulotnym, rozświetlonym blaskiem ciele z twarzą mężczyzny o siwiejącej czuprynie i konfucjańskich siwych pasmach brody. Jego ekstatyczne brązowe oczy rozszerzyły się w szoku. Warstwy koloru, pelzającego po prostokątnym, pozbawionym kończyn korpusie pociemniały od lazuru i brzoskwiniowego różu do intensywnego fioleto, na którym rysowały się czarne jak atrament spirale. Stworzenie przeszło mnie spojrzeniem pełnym potwornego żądania, zatrzęsło się i znowu uderzyło głową o klatkę.

Bez udziału czegokolwiek, co można by zaklasyfikować jako myśl, podszedłem do pryczy, wyjąłem spod derki poduszkę i przycisnąłem ją do makabrycznej twarzy. Stworzenie szarpnęło się, otworzyło usta i kłapnęło zębami, jakby szukając mojej ręki. Jego ciało rozbłysło pasmami jaskrawej czerwieni. Potem szczęki znieruchomiały, a kolor spłowieł. Błoniaste małe ciało powlekło się bezdenną czernią, która rychło zmieniła się w martwą szarość.

Ręce i nogi trzęsły mi się jak w drgawkach, ale nie wiedziałem, czy to przerażenie zrodziło się na widok stworzenia, którego zęby nadal czułem przez poduszkę, tego, co z nim zrobiłem, czy z powodu mnie

samego. Z ust wyrwał mi się nieartykułowany szloch. Puściłem poduszkę, chwyciłem się dyktu przy łóżeczku. Wydawało mi się, że podłoga faluje; wyobraziłem sobie ciało Joy, pełznące ku mnie między zeszytyniałymi robaczkami klusek.

Głos słabszy od mojego powiedział bez przekonania:

- Musiałem.

Ogarnęła mnie fala wariackiego rozbawienia. Ten sam niepewny głos dodał:

- I tak niewiele go czekało, prawda?

Nie, pomyślałem, nie czekało go wiele, nie czekała go nawet ostatnia miska rosółu z kluseczkami. To także powiedziałem na głos.

Moje ręce wydarły poduszkę z poszewki, chwyciły stworzenie, które zamordowałem, za wątle pasma brody i podniosły je. Spod brody zwisała zwiędła, poszarpana substancja, jakby stare pajęczyny. Wtłoczyłem stworzenie w poszewkę i zszedłem, potykając się, po schodach.

Clark stał w korytarzu.

- Ambulans wkrótce będzie - powiedział. Zerknął na poszewkę. - Znalazłeś Joy?

- Chyba miała zawał. Nie żyje. Bardzo mi przykro. Musimy zadzwonić na policję, ale przedtem potrzebuję trochę czasu.

Spojrzenie Clarka znowu uciekło ku poszewce.

- Mały Mysio umarł z głodu?

- Wiedziałeś o nim. - Zszedłem na dół z poszewką makabrycznie kołyszącą się u mojego boku.

- Szczerze mówiąc, tylko go słyszałem, nigdy nie widziałem. Queenie i moja żona były przy jego narodzinach. Clarence i Joy... przez tego chłopca nie mieli już życia. Od chwili gdy się narodził, nie zaznali chwili spokoju.

- Nie mogli go nazwać Mysio - zaprotestowałem. Znowu przypomniały mi się nazwiska na płaskich granitowych kamieniach przy New Providence Road.

- Tak naprawdę nigdy nie nadali mu prawdziwego imienia. Joy bardzo się szczyliła swoją znajomością francuskiego, wiesz. Tak słyszałem. Na widok dziecka Queenie wybuchnęła płaczem. Joy powiedziała: „Chcę je zobaczyć”. A kiedy Nettie wzięła dziecko na ręce, Joy dodała: „Moi aussi”. To po francusku znaczy: „Ja też”. Uznała, że to Howard jest winien temu, iż dziecko się takie urodziło, i nigdy mu nie wybaczyła. Więc nazwaliśmy chłopca „Moi aussi”, co szybko przerobiliśmy na Mysia.

- Chcesz się pożegnać z Mysiem?

- Łopata jest przy drzwiach.

133.

Najkrótszy i najbardziej ponury ze wszystkich trzech pogrzebów, jakich byłem świadkiem w Edgerton, odbył się na zapleczu domu Joy, a jedyne żałobnik wykonywał także obowiązki grabarza i duchownego. W płataninie chwastów pod gnijącym drewnianym płótem wykopałem małą jamę. Kopiając, słyszałem, jak Clark znęca się nad sanitariuszami z Mount Baldwin. Włożyłem poszewkę do jamy i przysypałem ziemią. Potem przykryłem wyrwanymi chwastami, a te zasłoniłem innymi, żywymi.

- Mysio - przemówiłem. - Tobie to już wszystko jedno, ale przepraszam. Twoja matka nie mogła się tobą dłużej zajmować. A kiedy mogła, i tak żyło ci się strasznie. Dostałeś znaczone karty. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć. Jeśli przypadkiem znowu się tu pojawisz, jest prawie pewne, że lepiej ci się powie, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, lepiej zostań, gdzie jesteś.

Rzuciłem łopatę w chwasty i poszedłem do domu. Clark wezwał policję. Stanęliśmy w korytarzu. Dziesięć minut później dwóch młodziutkich policjantów wysiadło z radiowozu i podbiegło do drzwi. Zznałem, że znalazłem zwłoki pani Joy Crothers, ciotki mojej matki. Rodzina niepokoiła się, ponieważ Joy od dwóch dni nie dawała znaku życia. Razem z wujkiem Clarkiem wszedłem do jej domu. Pan Crothers ma

alzheimerera w zaawansowanym stadium, kiedy więc znaleźliśmy zwłoki jego żony, zadzwoniliśmy do domu opieki, do którego go przyjęto, i przewieźliśmy go tam.

- Wydaje mi się, że dostała zawału, niosąc obiad mężowi.

Na schodach jeden policjant wreszcie zrobił uwagę na temat smrodu.

- Pan Crothers już dawno stracił kontrolę nad funkcjami fizjologicznymi - powiedziałem. - A moja ciotka była stara. Nie miała siły porządnie go umyć.

- Bez urazy, ale ten smród jest gorszy - powiedział policjant.

Clark, idący na przedzie, odezwał się:

- Możecie nie wiedzieć, co się dzieje z ludzkim ciałem, kiedy się go nie pilnuje. Dziękujcie Bogu, że jeszcze jesteśmy zdrowi.

- Dlaczego mieszkał na strychu?

- Pewnie uznała, że tam jest bezpieczny - odparłem. - Kazała zrobić dla niego specjalne łóżko. Zobaczycie.

Clark otworzył drzwi i weszliśmy. Policjanci obejrzeni zwłoki i zaczęli notować.

- Zmarła, wyświadczać kolejny akt ludzkiej dobroci - powiedział Clark. - Taka była.

- Rosół z kluskami - powiedział policjant. - To nie zabójstwo, ale będziemy musieli poczekać na raport koronera. To o tym łóżku pan wspominał?

- Przybiła dyktę, żeby nie uciekał.

Spojrzeni na łóżeczko Mysia, obejrzeni się na Clarka. Wujek dostrzegł nadarżającą się sposobność.

- Ta kobieta czuwała przy nim dniem i nocą, dbając o niego, jak umiała najlepiej. Co za tragedia - akurat przedwczoraj znaleźliśmy miejsce dla Clarence'a w Mount Baldwin. Z pewnością wstrząsająca świadomość rychłego rozstania przyspieszyła jej odejście. Clarence był jej całym życiem. O, chłopcy, nie zapominajcie okazywać swym żonom czułości i szacunku. Kobiety tego potrzebują.

- Jeśli zachoruję na alzheimera, mam nadzieję, że żona mnie nie zamknie w klatce - mruknął policjant.

- Akt najczystszej czułości i miłości - oznajmił Clark. - Możecie sobie wyobrazić, jaka to ważna osoba, skoro sama pani Rachel Milton załatwiła mu miejsce w Mount Baldwin.

Policjanci zerknęli na siebie.

- Zaczekajmy na dole - zaproponował jeden.

Clark przeprosił nas i poszedł powiedzieć o wszystkim żonie. Wyszli na ganek, zanim przyjechał koroner, a kiedy wysiadł z samochodu, w pośpiechu przebiegli przez ulicę. Był to ten sam zmęczony mężczyzna z cerą koloru pieczarki, który wydał ciało Toby'ego Krafta policji. Stałem na dworze, w drzwiach trzymali straż dwaj policjanci. Nettie dopadła koronera i stanęła mu na drodze. Wyglądała jak góra znana z częstych lawin.

- Przyszedł pan zbadać zwłoki mojej siostry?

- Taką mam pracę - powiedział.

- Ufam, że wykona pan swoje obowiązki z szacunkiem dla zmarłej i pozwoli nam pożegnać ją w taki sposób, jakiego by sobie życzyła.

- Prawdopodobnie dostanie pani to, czego pani żąda. Jestem tu, by potwierdzić zgon pani siostry i wykluczyć ewentualność przestępstwa. Ale żeby tego dokonać, muszę wejść do domu.

- Czy ja panu przeszkadzam? - usiłowała dowiedzieć się Nettie.

Policjant powiedział koronerowi, że zwłoki są na górze. Ten odwrócił się do Nettie.

- Jak pani tłumaczy ten odór?

- Głównie to Clarence. Odkąd zawiodły go władze umysłowe, moja biedna siostra zajmowała się jego higieną osobistą. Reszta to śmieci, które siostra gromadziła w kuchni, co jest brzydkim zwyczajem.

- To nie śmiecie. Czy pani siostra miała kłopoty z podskórną wodą w piwnicy?

- Doktorze - oznajmiła Nettie. - Ci dwaj przystojni młodzieńcy czekają na pana.

Koroner zrobił krok do tyłu, omal na mnie nie wpadł, zamruczał przeprasząco. Policjanci zaprowadzili go na górę, uśmiechając się ukradkiem.

Nettie stanęła obok mnie.

- Słusznie postąpiłeś, synku.

- Mam nadzieję.

- Dziecko mojej siostry pożerało jej siły od pierwszej chwili, gdy zaczęło oddychać, biedactwo. Joy błogosławi cię za to, że urządziłeś Mysiowi przyzwoity pogrzeb. Mam nadzieję, że będziesz nas często odwiedzać.

- Ciociu, nie zwracajcie uwagi na to, co przeczytacie o mnie w gazetach. To wszystko ucichnie, kiedy zacznie się proces Stewarta Hacha.

Usłyszeliśmy kroki na schodach. Koroner zbliżył się do nas. Nettie wzięła mnie pod rękę i uniosła dumnie głowę.

- Dzisiaj wydam akt zgonu wymieniający jako przyczynę śmierci zawał serca. Może pani przystąpić do wszystkich przygotowań.

- Dziękuję - odrzekła ciocia lodowato.

- Czy pan Crothers jest nietypowo niski? Poniżej przeciętnej?

- Nie jest u szczytu swych możliwości - oświadczyła Nettie dostojnie. - Okrutna choroba zmieniła Clarence'a nie do poznania.

Koroner obszedł ją szerokim łukiem i opuścił dom. Nettie wbiła władcze spojrzenie w policjantów.

- Młodzieńcy, byliście nam wielką pomocą w tej godzinie smutku. Jakże mi miło wiedzieć, że tacy dżentelmeni poświęcają życie publicznej służbie.

Minutę później jeden dzwonił do pana Spauldinga, a drugi trzymał warty przy drzwiach.

- Mam zostać z wami przez parę dni? - spytałem.

- Jestem wdzięczna, że poświęciłeś nam tyle czasu. I uratowałeś nasze zdjęcia! To uwolniło mnie od wielkiego ciężaru. Przygotuj się do drogi i nie zapominaj o nas.

- Uważaj na siebie - dodał Clark. - Odkąd Mysio odszedł, nie zostało nas wielu.

134.

Niebo nad Cherry Street znikło. Na przedniej szybie osiadła mokra, srebrzysta mgła. Włączyłem wycieraczki, które wytarły na szybie dwa przejrzyste półksiężycy.

W hotelowym pokoju zadzwoniłem na lotnisko i zabukowałem miejsce na lot o szóstej wieczorem z St. Louis do Nowego Jorku. Miałem dość czasu na wszystko. Zadzwoniłem do agencji wynajmu samochodów i powiedziałem, że na lotnisku będzie na nich czekać samochód z uszkodzonym tyłem. Urzędnik o manierach strażnika więziennego kazał mi czekać i skontaktował się z filią firmy w St. Louis.

- Tym razem się panu upiecze - odezwał się po chwili. - Przy zdawaniu kluczyków proszę podać szczegóły wypadku, nazwisko, adres i numer telefonu drugiej strony oraz nazwę jego lub jej ubezpieczyciela.

- Te informacje możecie otrzymać od Stewarta Hacha. Upił się i wjechał mercedesem w tył waszego taurusa.

- Dodatkowa opłata za zwrot samochodu poza strefą - pięćdziesiąt dolarów - usłyszałem i połączenie zostało zerwane.

Zadzwoniłem na lotnisko i zmieniłem rezerwację na pierwszą klasę. C. Clayton Creech twierdził, że mam co najmniej dziesięć milionów dolarów, a to, co było dobre dla Grenniego Milona, mogło być dobre i dla mnie. Moi towarzysze podróży na pewno się zachwycą różową marynarką, a przed wejściem do samolotu dostaje się darmową torbę precelków.

135.

We mgle gęstniejącej na Word Street snuło się parę widmowych sylwetek. Neon „HOTE PARIS” malował bruk łagodną, lśniąca

czerwienią. Wrzuciłem bagaże na tylne siedzenie i siadłem za kierownicą. Na Chester Street skręciłem na północ. Sądziłem, że w końcu zobaczę znak zapowiadający most na Missisipi oraz autostradę do St. Louis. Zanim dojechałem do College Park, budynki po obu stronach drogi zmieniły się w zamazane tło, a reflektory nadjeżdżających pojazdów wyglądały jak kocie oczy. Przypomniałem sobie, jak zęby Mysia wbiły się w poduszkę, zobaczyłem atramentowy ogień wykwitający wewnątrz ciemnej czerwieni jego skurzonego ciała. Brudna pajęczyna, w którą zmieniło się to ciało, jego głowa - jak kula do kręgli - w poszewce poduszki... Pusta połać miasteczka akademickiego przemykała koło mojego samochodu ze złej strony, jak mi się wydawało. Jechałem dalej. Nie skręciłem, dalej więc zmierzałem na północ, w stronę rzeki, która płynęła ku St. Louis.

Potem przypomniałem sobie, że w College Park Chester Street staje się Faigground Road, a Faigground Road nie przechodzi przez miasteczko uniwersyteckie na wylot, tylko kończy się na jego południowym krańcu. Jakimś cudem zdołałem zatoczyć koło i ruszyć na południe nieznaną ulicą. Miasteczko uniwersyteckie nie mogło zmienić położenia. Na szczęście ciągle jeszcze miałem kilka godzin zapasu. Musiałem tylko zawrócić.

Poszewka z Mysiem wylądowała cicho, lecz nie dość cicho, w jamie wygrzebanej w zaniedbanym ogródku Joy. Usłyszałem jej plaśnięcie i pomyślałem o słowach, które wypowiedziałem nad grobem. Nie były odpowiednie. Mysio zasługiwał na coś więcej ze strony swojego mordercy. Był prawdziwym Dunstanem - Clark powiedział, że zmieniam się w prawdziwego Dunstana, ale nie mogłem się równać z Mysiem, Blaskiem i Wrzaskunem. To, co uleciało z armatniej gardzieli i wyszło się ze złotej czary, wyglądało jak Mysio. Howard o tym wiedział i ta wiedza go zabijała.

Nie rozumiałem, gdzie jestem ani dokąd jadę. Szukając znajomych nazw, pochyliłem się nad kierownicą i spojrzałem przez szybę. Jakies

trzy metry przed moim samochodem z mroku wyłoniła się zielona tablica. Runiczne symbole przemknęły, zanim stały się czytelne. Nie ważne, pomyślałem; nadal jechałem na południe, a miałem się kierować na północ, więc wystarczy skręcić w prawo, na zachód, w najbliższą ulicę, a potem w prawo, na północ.

Minąłem dwa inne nieczytelne znaki i już sunąłem na północ, wzdłuż rzeki. W głowie widziałem mapę Missisipi i miasta Missouri i Illinois po jej obu stronach. Szukałem Jonesboro, Murphysboro i Crystal City. Na północ od Crystal City leży Belleville, o krok od wschodniej części St. Louis. Ta mgła się podniosła, a jeśli nie, w końcu z niej wyjadę. Dopóki byłem w ruchu, robiłem postępy. Jechałem przez ustępującą szarą ścianę z prędkością mniej więcej dwudziestu kilometrów na godzinę. Kiedy nie widziałem już nic oprócz własnych reflektorów, stawałem i czekałem, aż droga znowu się pojawi. Jeśli widziałem zbliżające się ku mnie reflektory, a czasami się pojawiały, zjeżdżałem na pobocze i zwalniałem tak, że można by mnie prześcignąć na piechotę. Minęła godzina. Mgła się rozstąpiła i przerzedziła, na wąskich trawnikach zobaczyłem dwuwymiarowe, przytulone do siebie domy. Jestem w Jonesboro, pomyślałem. Mgła opadła i wymazała domy. Pół godziny później wjechałem w lśniący opar, kładący się na otwartych polach po obu stronach jezdni. Opar zmienił się w płynną czerń i zmusił mnie do zwolnienia do dziesięciu na godzinę.

Raptem wdepnąłem hamulec. Niebieska plastikowa kierownica jakby się ku mnie zbliżyła; moje ręce zaczęły znikać. Po plecach przeszły mi mrówki, poczułem za plecami czyjąś obecność. Zawołałem Roberta i odwróciłem się, ale siedzenie było puste. Znowu go zawołałem. Wrogość uderzyła we mnie jak zimowy wicher.

- Robercie, muszę... - Jego niewidzialna obecność ulotniła się i zostałem sam.

- Gdzie jesteś? - Mój głos odbił się od mgły i ucichł. Podniosłem ręce; znowu były widzialne, namacalne.

Muszę z tobą porozmawiać. Muszę wiedzieć, czego ode mnie chcesz.

Przypomniałem sobie twarz znikającą w uliczce za Veal Yard. On chce wszystkiego, pomyślałem.

Za oknem z wirujących kłębow mgły wyłoniła się królewska postać w złoto-czarno-krwawoczerwonej bluzie. Otworzyłem okno; do samochodu wsączyła się zimna wilgoć. Walter Bernstein skinął mi głową niczym król udzielający audiencji.

- Walterze, gdzie on jest? - spytałem. - Dokąd poszedł?

- Nikt ci tego nie może powiedzieć, lecz jesteś na właściwej drodze. O ile się jej będziesz trzymać. - Zniknął w fioletowej mgle.

Chwyciłem klamkę drzwi, wypuściłem smugę mglistego światła, na tyle dużą, żeby w nie wejść, i dźwignąłem się z siedzenia. Reflektory samochodu ukazały niewyraźny zarys znaku drogowego. Robert był tuż obok, za mną, koło mnie, nie wiedziałem.

- Pokaż się - powiedziałem. - Tyle jesteś mi winien.

Robert uważał, że nic mi nie jest winien. Robert był jak Mysio, wyciekł z rysy w złotej czarze, ulotnił się z armatniej gardzieli. *Moi aussi.* Ruszyłem w stronę znaku drogowego, wspiąłem się na palce, spojrzałem na białe znaki na zielonym metalu i roześmiałem się głośno. Wróciłem na New Providence Road.

Obszedłem znak. Ponieważ moje życie zależało od tego, czy się ruszam, szedłem. Za moimi plecami rozległy się ciche kroki; odwróciłem się, ale zobaczyłem tylko parę żółtych ślepi i światło lejące się z otwartych drzwi. W szarości wisiała ciężka cisza.

- Więc jesteśmy, Robercie - odezwałem się. - Postaraj się.

Za moimi plecami rozległ się niepewny krok, potem drugi. Zrobiłem to, co musiałem: ruszyłem przed siebie. Ziemia uniosła się na spotkanie z moimi nogami i raptem poczułem wyzwolenie szaleńczej radości. Byliśmy w miejscu, w którym od początku staraliśmy się znaleźć.

Gdzieś w kłębach lśniącej mgły rozbrzmiewały kroki. Zrobiłem jedyną rzecz, której mój rozgniewany bliźniak nie potrafił, i ześliznąłem się trzydzieści pięć lat wstecz.

Siedemnastego dnia października roku 1958 stanąłem na tyłach załoczonego audytorium Uniwersytetu Albertus. Dziewczęta w sweterkach i chłopcy w sportowych kurtkach wypełniali rzędy siedzeń przed sceną, na której perkusista w grubych okularach i z krótko obciętymi jasnymi włosami, uśmiechnięty kontrabasista, który mógł być krewnym Waltera Bernsteina, oraz zapamiętały pianista sunęli z impetem ku końcowi, zdaje się, „Take the A Train”. Podobny do bociana mężczyzna z zaczątkami łysiny, czarnymi okularami i szerokimi, wyrazistymi ustami pochylił się nad fortepianem i włączył w graną przez kolegów melodię. Jego dystans zmieszany z zaangażowaniem przywodził mi na myśl Laurie Hatch.

Spojrzałem na widownię. Krótkie fryzury, końskie ogony, francuskie koki, gładkie krótkie włosy z wyraźnym przedziałkiem. Na parę taktów przed końcem „A Train” dostrzegłem ciemną, charakterystyczną głowę mojej matki. Oto ona, osiemnastoletnia Star Dunstan, siedząca w dziesiątym, może dwunastym rzędzie, tuż przy przejściu. Przygarbione plecy świadczyły, że ma już dość tego koncertu. Szedłem w tłumie, aż zobaczyłem jej towarzysza. Pianista uderzył w klawisze, perkusista ogłosił koniec piosenki. Mężczyzna obok mojej matki podniósł ręce i zaczął bić brawo. Jego profil zanadto przypominał mój.

Pianista zwrócił się do widowni i powiedział:

- Chcielibyśmy zagrać balladę... „These Foolish Things”.

Spojrzał na saksofonistę i rzucił pierwszy zarys melodii. Saksofonista oderwał się od fortepianu, podszedł do mikrofonu na środku sceny, położył palce na klapkach. Zamknął oczy, już skoncentrowany. Wstęp dobiegł końca; saksofonista przyłożył instrument do ust i powtórzył zagraną przed chwilą fragment melodii, jakby dopiero się go uczył.

Potem poszybował nad linią melodyczną i zagrał lejącą się frazę, która mówiła: znacie piosenkę, ale czy znacie tę historię?

Star poderwała głowę. Edward Rinehart słuchał, nie słysząc; krył pogardę, rozparty w fotelu.

Na początku drugiej zwrotki saksofonista powiedział: to był dopiero początek. Z saksofonu uleciał wznoszący się łuk melodii, która zawisła w powietrzu, rozrosła się, a saksofonista powiedział: to podróż. W miarę jak opowiadał, w tej historii rozpoczynały się inne wewnętrzne opowieści, a wariacje prowadziły do kolejnych, zupełnie niespodziewanych wariacji. Saksofonista dotarł do namiętych rozwiązań harmoniczych, pozwolił im wybrzmieć i wzbił się jeszcze wyżej.

Star poruszyła się, otworzyła usta, pochyliła do przodu. Czujęm, że po policzkach płyną mi łzy.

Jakby cały świat się przede mną otworzył... Zagłębiał się w tę melodię coraz bardziej, aż otworzyła się jak kwiat i wysypały się z niej dziesiątki innych melodii, które stawały się coraz to bujniejsze i bujniejsze...

Saksofonista poruszał tylko palcami. Stał nieruchomo, z zamkniętymi oczami, niedbale zgarbiony. Jego usta wokół stroika wyglądały jak jakieś mięsiste morskie stworzenie. Nuta po nucie, nad audytorium wysnuwała się przepiękna historia wraz ze wszystkimi szczegółami, tworząc strukturę, która wciąż zmieniała znaczenie. Perkusista przechylił głowę i zaczął wybijać rzeński rytm, uśmiechnięty kontrabasista dołączył do znanej harmonii, pianista westchnął cicho: „Tak, Paul”. Wszystko wydawało się naturalne, łatwe, nieuniknione jak rozległy krajobraz widziany ze szczytu góry, ciągnący się i ciągnący przez tysiąc zwrotek.

W innym, moim czasie mgła kłębiła się nad drogą, gdzie dwie pary kroków zbliżały się w stronę tego, co musiało się stać. Oparłem się o ścianę i słuchałem, jak długo mogłem - i otworzył się przede mną cały świat.

136.

Co? A, chcecie wiedzieć, co się stało z Robertem? Przepraszam, odpowiedź już padła - na tyle, na ile to możliwe. Kiedy idę przez długie korytarze lotnisk, przez lśniąco czyste i zachęcające bary wspaniałych hoteli, przez chodniki każdego miasta, w którym zatrzymuję się na tydzień lub dwa w tym niekończącym się locie, w moim uchu brzmia kroki Roberta.

Ale skoro pytanie już padło, w rewanżuję także zadam jedno. Czy jesteście pewni - tak do końca - że wiecie, kto wam opowiedział tę historię?

OD AUTORA

Wielbiciele H. P. Lovecrafta zauważą dowolności, na jakie sobie pozwoliłem w związku z „Koszmarem w Dunwich”. Po raz pierwszy został on wydany w twardej oprawie w zbiorze „The Outsider and Others”, opracowanym przez Augusta Derletha i Donalda Wandreia, a wydanym przez Arkham House w roku 1939, parę lat przed odkryciem pana X w Akademii Wojskowej Forteca opowiadania w fikcyjnej książce. Zbiór zatytułowany „Koszmara w Dunwich i inne”, wydany przez Derletha dla Arkham House, ukazał się dopiero w roku 1963.

S.T. Joshi w swej biografii „H.P. Lovecraft: A Life” napomyka przelotnie o „bardzo dziwnym osobniku z Buffalo w stanie Nowy Jork”, Williamie Lumleyu, który uznał mity o Starszych Bogach i Wielkich Starych, obecnie powszechnie nazywane „Mitologią Cthulhu”, za rzeczywistość i trzymał się tego przekonania pomimo wszelkich zaprzeczeń samego pisarza oraz jego kręgu kolegów i przyjaciół. Joshi cytuje ironiczną uwagę Lovecrafta w liście do Clarka Ashtona Smitha z roku 1933: „Może nam się wydawać, że tworzymy fikcję, możemy nawet (absurdalna myśl!) powątpiewać w to, co piszemy, ale w rzeczywistości mówimy prawdę wbrew samym sobie - nieświadomie służymy za tubę Tsathoggui, Croma, Cthulhu i innych przyjemnych panów z Otchłani”.

Chciałbym podziękować Bradfordowi Morrowowi, Warrenowi Vache, Ralphowi Vicinanzie, Davidowi Gernertowi, dr Liii Kalinich, Sheldonowi Jaffreyowi, Hapowi Beasely'emu, mojej redaktorce Deb Futter i żonie Susan Straub za sugestie, wsparcie i pomoc w czasie pisania „Pana X”.

Peter Straub

Spis treści

I. JAK WRÓCIŁEM DO DOMU I DLACZEGO	9
II. JAK SIĘ DOWIEDZIAŁEM O DNIE RZEKI	105
III. JAK OMAL NIE ZGINĄŁEM	161
IV. JAK WRESZCIE ZNALAZŁEM SWÓJ CIEŃ I CO SIĘ WYDARZYŁO	205
V. JAK SIĘ NAUCZYŁEM ZJADAĆ CZAS	329
VI. JAK SPĘDZIŁEM URODZINY	473
Od autora	589